

Daphne
du
Maurick

Rebecca

An illustration in orange and white. On the left, a woman's profile is shown with long, flowing hair. To the right, the name 'Rebecca' is written in a stylized, calligraphic font. Below the letters 'e', 'c', and 'a' are three lit candles with flames and melting wax.

*Daphne
du
Maurier*

Rebecka

Z angielskiego przełożyła
ELEONORA ROMANOWICZ-PODOSKA



Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
REBECCA

Copyright © Daphne du Maurier 1938
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Ewentualnych spadkobierców tłumaczki, Eleonory Romanowicz-Podoskiej,
prosimy o kontakt

Redakcja: Danuta Wdowczyk, Jolanta Rososińska

Projekt graficzny okładki: Dark Crayon | Piotr Cieśliński

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7985-318-2

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

tel.691962519

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Tej autorki](#)
[O książce](#)

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)

Tej autorki

KOZIOŁ OFIARNY
REBEKA

O książce

Nowa pani de Winter doskonale pamięta swój przyjazd do położonej wśród nagich, białych buków samotnej posiadłości na wybrzeżu Kornwalii. Przybyła z mężem, którego prawie nie знаła, i znalazła się w zimnych kamiennych murach, które wcale nie chciały jej gościć... Bo nigdy nie zapomniały swojej pierwszej właścicielki, Rebeki, choć ta od dawna nie żyje. A jednak jej pokoje pozostały nietknięte, jej stroje wciąż są gotowe do włożenia, a jej służąca – pani Danvers – cały czas jest wobec niej lojalna. Nawet w lustrach jakby dalej odbijała się jej postać.

I choć serce ściska strach, krew krzepnie w żyłach, a umysł nękają złe przeczucia, nowa pani de Winter postanawia odkryć, kim była jej doskonała poprzedniczka i jaki straszny los spotkał ją w posiadłości Manderley.

1

Śniło mi się tej nocy, że znowu byłam w Manderley. Wydawało mi się, że stoję przed bramą z kutego żelaza prowadzącą do alei wjazdowej, nie mogę jednak wejść, gdyż brama jest zamknięta. Wisi na niej łańcuch z kłódką. We śnie zawołałam dozorcę, ale nikt się nie odezwał, a gdy zajrzałam przez zardzewiałe sztachety, zobaczyłam, że domek dozorczy jest niezamieszkaany.

Z komina nie unosił się dym, małe okienka ziały pustką. Nagle, jak to bywa we śnie, zostałam obdarzona nadprzyrodzoną mocą i przeniknęłam jak duch przez bramę zagrządzającą mi drogę. Aleja wjazdowa wiła się jak dawniej, wieloma skrętami, ale idąc po niej, uświadomiłam sobie, że jednak coś się zmieniło. Teraz aleja była wąska, zapuszczona, niepodobna do tej, jaką znaleźliśmy przed laty. Najpierw dziwiło mnie to i zastanawiało, dopiero gdy schyliłam głowę, by nie uderzyć się o nisko zwisającą gałąź, zrozumiałam, co się tu stało. Natura objęła wszystko ponownie w swoje posiadanie, powoli zagarniając aleję swymi podstępными mackami. Lasy, które zawsze nam zagrażały, wreszcie odniosły zwycięstwo. Tworzyły ciemną, nieprzeniknioną gęstwinę po obu stronach alei. Buki o białych, nagich pniach chyliły się ku sobie, a gałęzie splecione w dziwnym uścisku tworzyły nad moją głową łuk niby sklepienie nawy kościelnej. Były tam także inne, nieznane mi drzewa, skarłowaciałe dęby i powykrzywiane wiązy o konarach szczepionych silnie z gałęziami buków. Wyrosły one na tej ziemi, a wśród nich olbrzymie krzewy i różne rośliny, których dawniej nie było.

Aleja wiła się teraz jak wstążka. Zniknął żwir, powierzchnię porosła trawa i mech. Po dawnej alei pozostało tylko wspomnienie. Gałęzie drzew zwisały nisko, utrudniając przejście. Pokręcone korzenie przypominały gigantyczne

szpony. Tu i ówdzie wśród tej dżungli rozpoznawałam krzewy, które za naszych czasów stanowiły ozdobę parku – hortensje, piękne okazy sztuki ogrodniczej, słynące ze swych wspaniałych niebieskich kwiatów. Nieprzycinane ręką ludzką zdziczały i wybujały do potwornej wysokości, bezkwietne, czarne i brzydkie jak rosnące obok nich nieznane intruzy.

Coraz dalej i dalej, to na wschód, to na zachód, wiała się nędzna ścieżynka, która ongiś była naszą aleją wjazdową. Niekiedy myślałam, że całkowicie zanikła, lecz pojawiała się znowu spod zwalonego pnia lub przebijała przez błotnisty rów powstały po zimowych deszczach. Nie przypuszczałam, że aleja jest aż tak długa. Widocznie mile pomnożyły się podobnie jak drzewa, a ścieżka wiodła nie do domu, lecz do jakiegoś labiryntu, do dzikiej gęstwiny. Nagle przede mną ukazał się dom, do ostatniej chwili ukryty przez niezwykle wybujały, ogromny krzew, rozrastający się na wszystkie strony. Stałam z bijącym sercem i czułam, jak do oczu napływają mi łzy.

To było Manderley, nasze Manderley, tajemnicze i ciche jak zawsze. Szare mury lśniły w księżycowym blasku mojego snu, w gotyckich oknach odbijał się zielony trawnik i taras. Czas nie mógł zniszczyć doskonałej proporcji budowli ani samego położenia domu, które można przyrównać do klejnotu umieszczonego we wgłębieniu dłoni.

Taras schodził na trawniki ciągnące się aż do morza. Gdy się odwróciłam, ujrzałam srebrną tafłę wody zastygłą w świetle księżyca, podobną do gładkiej powierzchni jeziora. Najłżejsza fala nie marszczyła tej tafli widzianej we śnie, ani jedna chmurka, gnana wiatrem z zachodu, nie zaciemniała jasności bladego nieba. Odwróciłam się znowu w stronę domu i choć stał nietknięty, jakby opuszczony dopiero wczoraj, spostrzegłam, że ogród, podobnie jak lasy, uległ prawu dżungli. Rododendrony wysokości pięćdziesięciu stóp, oplecione paprociami, zwarły się w uścisku z nieznanymi nędznymi krzewami, które natrętnie czepiały się ich korzeni, jak gdyby wiadome swego gorszego pochodzenia. Bez złączył się z miedzianym bukiem, a złośliwy bluszcz, odwieczny wróg piękna, oplątał tę parę, wiążąc ją jeszcze silniej i pozbawiając wolności. Bluszcz panował niepodzielnie w opuszczonym ogrodzie. Jego długie pędy pełzające po trawnikach wkrótce wedrą się na dom. Zobaczyłam

również jakąś zdziczałą roślinę leśną, której nasiona niegdyś rozsiały się pod drzewami. Teraz maszerując razem z bluszczem, zdziczałe leśne rośliny, podobne do ogromnego rabarbaru, wpełzały w całej swej brzydocie na soczystą trawę, w której zwykle kwitły żonkile.

Wszędzie rosły pokrzywy, przednia straż armii dżungli. Smukłe chwasty wdarły się na taras, pokryły ścieżki, podeszły nawet pod okna domu. Nie były czujnymi strażnikami, gdyż w wielu miejscach szeregi ich przerwała roślina podobna do rabarbaru. Pokrzywy leżały ze zgniecionymi wierzchołkami i suchymi łodygami, tworząc przejścia dla królików. Z alei weszłam na taras, gdyż pokrzywy nie stanowiły dla mnie w śnie przeszkody. Szłam jak zaczarowana, nic nie mogło mnie powstrzymać.

Blask księżyca przedziwnie oddziaływa na wyobraźnię, nawet na wyobraźnię śpiącego. Gdy tak stałam w milczeniu, bez ruchu, mogłabym przysiąc, że dom nie jest pustą skorupą, lecz żyje dawnym życiem.

Światło padało z okien, firanki poruszał lekko podmuch nocnego wiaterek, a tam w bibliotece z pewnością drzwi są na wpół uchylone, tak jak je zostawiliśmy, wychodząc. I moja chustka zapewne leży na stole przy wazonie z jesiennymi różami.

W pokoju powinny znajdować się ślady naszej obecności. Mały stos książek z czytelnik przygotowanych do zwrotu, porzucony egzemplarz „Timesa”. Popielniczki z niedopałkami, poduszki leżące na fotelach, na których wyraźnie widnieją wgłębienia odcisnięte przez nasze głowy, kłody żarzące się aż do rana w kominku. I Jasper, kochany Jasper, z oczami pełnymi wyrazu, z obwisłymi wargami, wyciągnięty na dywanie, stukając ogonem o podłogę na odgłos kroków swego pana.

Obłok, dotychczas niewidoczny, przesłonił księżyc niby ręką zakrywająca twarz. Złudzenie prysło i światła w oknach pogasły. Patrzyłam na opuszczony dom. Teraz nie było już w nim życia, nie nawiedzały go duchy i szept przeszłości nie rozbrzmiewał wśród pustych ścian.

Dom ten był grobowcem. Nasz strach i cierpienia pogrzebane zostały w jego ruinach. I już nie zmartwychwstaną. Gdy wspomnę Manderley, nie będzie we mnie goryczy. Będę myśleć

o takim Manderley, jakim byłoby, gdybym tam mogła żyć bez strachu. Będę wspominać ogród różany w lecie, ptaki śpiewające o świcie, podwieczorki pod kasztanem i szum morza dobiegający z oddali. Będę myśleć o kwitnących bzach i Dolinie Szczęścia. Są to wartości trwałe, które nie mogą zaniknąć. Są to wspomnienia, które nie sprawiają bólu. Postanowienia te powzięłam we śnie, podczas gdy obłok przesłaniał tarczę księżyca, bo podobnie jak większość śpiących ludzi wiedziałam, że to jest sen.

W rzeczywistości znajdowałam się w obcym kraju, oddalona o wiele setek mil od Manderley, i miałam się obudzić za kilka sekund w małym, skromnym pokoju hotelowym, dodającym otuchy swoją banalnością. Po obudzeniu westchnę, przeciągnę się, odwrócę, a gdy otworzę oczy, ogarnie mnie zdumienie na widok jaskrawego słońca i czystego nieba, tak odmiennych od łagodnego światła księżyca w moim śnie. Oczekiwał nas dzień, niewątpliwie długi i monotony, lecz nasycony spokojem, którego nie zazналиśmy dotychczas. Nie będziemy mówić o Manderley, nie opowiem mojego snu, gdyż Manderley nie należy już do nas. Manderley już nie istnieje.

Nigdy nie wrócimy do Manderley, to jedno jest pewne. Przeszłość jest jeszcze zbyt bliska. To, o czym staraliśmy się zapomnieć i pozostawić za nami, odżyłoby na nowo. Uczucie strachu i tajemnego niepokoju, przeradzające się z biegiem czasu w obłędne przerażenie – obecnie, dzięki Bogu, stłumione – mogłoby w jakiś nieprzewidziany sposób stać się stałym towarzyszem, tak jak to było dawniej.

On jest niezwykle cierpliwy i nigdy się nie skarży, nawet wówczas, gdy ogarniają go wspomnienia, a zdarza się to częściej, niż się do tego przyznaje.

Domyślam się, że wraca do przeszłości, kiedy nagle staje się daleki i zadumany, a z kochanej twarzy znika wszelki wyraz, jak gdyby przesunęła się po niej niewidzialna ręka; kiedy twarz jego staje się maską, rzeźbą – klasyczną i zimną, piękną, lecz bez życia. Pali wówczas papierosa za papierosem, nie gasząc ich, a żarzące się niedopałki leżą dokoła na ziemi jak płatki kwiatów. Mówi szybko, żarliwie o byle czym, czepiając się jakichkolwiek tematów, jakby to był środek uśmierzający ból. Podobno istnieje taka teoria, że przeżyte cierpienia udoskonalają zarówno mężczyzn, jak i kobiety i że aby osiągnąć coś na tym lub innym świecie, musimy przejść próbę ognia. Przeszliśmy tę próbę w całej pełni. Oboje poznaliśmy, co to jest strach, samotność i wielkie nieszczęście. Przypuszczam, że na każdego człowieka prędzej czy później przychodzi chwila próby. Każdy z nas ma swojego demona, który go tyranizuje i zadręcza, aż wreszcie trzeba mu wypowiedzieć walkę. Myśmy już pokonali naszego demona, a przynajmniej tak nam się wydaje.

Zły duch nie gnębi nas więcej. Przeszliśmy przez naszą próbę, oczywiście nie bez szwanku. On słusznie przeczuwał nieszczęście od samego początku. Wzorem deklamującej

z patosem aktorki w podrzędnej sztuce mogę powiedzieć, że drogo zapłaciliśmy za wolność. Dość już miałam melodramatu w życiu i chętnie oddałabym moje pięć zmysłów, gdyby to mogło zapewnić nam nadal obecny spokój i bezpieczeństwo. Szczęście nie jest wartością, którą można ocenić, jest to sposób myślenia, stan umysłu. Oczywiście nachodzą nas chwile depresji, lecz są również inne chwile, kiedy czas nieodmierzony zegarem biegnie w wieczność, a ja, widząc Jego uśmiech, wiem, że jesteśmy razem, że kroczymy zgodnie naprzód, że nie dzieli nas żadna różnica myśli czy zdań. Nie mamy przed sobą teraz żadnych tajemnic. Dzielimy się wszystkim. Wprawdzie nasz mały hotelik jest nudny, jedzenie marne i jeden dzień podobny do drugiego, ale nie chcemy, żeby było inaczej. Spotkalibyśmy za dużo Jego znajomych w każdym wielkim hotelu. Oboje lubimy prostotę, a jeśli czasami jesteśmy znudzeni – cóż, nuda to przyjemna odtrutka na strach. Życie nasze płynie utartym trybem, a ja... ja odkryłam w sobie talent do czytania na głos. On okazywał zniecierpliwienie jedynie wtedy, gdy spóźniał się listonosz, bo oznaczało to, że musimy czekać do następnego dnia na pocztę z Anglii. Próbowaliśmy słuchać radia, ale hałas jest zbyt denerwujący. Wolimy więc przedłużać przyjemność oczekiwania na gazety. Wynik meczu krykieta, choć dowiadujemy się o nim dopiero po wielu dniach, nie przestaje być dla nas interesujący.

Jakże często od nudy ratowały nas wiadomości o meczach krykieta rozgrywanych przez Wielką Brytanię z dominiami albo opis zawodów bokserskich lub nawet wyniki meczów bilardowych. Finały turniejów szkolnych, wyścigi psów, różne dziwne współzawodnictwa w zapadłych hrabstwach, wszystkie te wiadomości stanowiły pokarm dla naszych zgłodniałych umysłów. Niekiedy trafiają do moich rąk stare egzemplarze miesięcznika „Field”, a wówczas przenoszę się z tej obojętnej dla mnie wyspy do krainy angielskiej wiosny. Czytam o strumieniach spływających po wapiennych skałach, o wiosennych muszkach, o szczawiu rosnącym na zielonych łąkach, o wronach krążących nad lasami, o wszystkim, co przypomina mi Manderley. Z tych przez tyle osób przeglądanych i podniszczonych kartek unosi się zapach mokrej ziemi, ostra woń torfu na moczarach, przypominają mi one

również mokry mech uginający się pod stopami, upstrzony tu i ówdzie białymi plamami przez czaple.

Kiedyś znalazłam artykuł o dzikich gołębiach. Gdy czytałam go głośno, wydawało mi się, że znowu zaszyłam się w gęstwinę lasu w Manderley, a gołębie latają nade mną. Słyszałam ich ciche, pełne tkiwości nawoływania, tak kojące i rzeźwiące w upalne letnie popołudnie. Nic nie zakłócało spokoju ptaków, dopóki Jasper, szukając mnie, nie przebiegł przez zarośla, węsząc wilgotnym pyskiem przy ziemi. Gołębie wylatywały wówczas z ukrycia w nierozsądnym popłochu i uderzając skrzydłami z wielkim hałasem, znikwały nam z oczu, szybując nad wierzchołkami drzew. Po ich odlocie cisza znowu spadała na las, a ja – nie wiadomo dlaczego – czując się nieswojo, uświadamiałam sobie, że słońce nie złoci już szeleszczących liści, że pociemniały gałęzie, że wydłużyły się cienie, w domu zaś czekają na podwieczorek świeże maliny. Wstawałam wówczas z posłania z paproci, strzepywałam ze spódnicy delikatny pył zeszłorocznych liści, przywoływałam gwizdem Jaspera i kierowałam się do domu, gardząc sobą za przyśpieszony krok, za spojrzenia rzucane przez ramię.

Jakie to dziwne, że artykuł o dzikich gołębiach mógł tak żywo przypomnieć przeszłość. Zaczęłam się jąkać przy czytaniu. Pobladła kochana twarz sprawiła, że przerwałam nagle i zaczęłam przewracać stronicę, aż znalazłam wzmiankę o krykicie, bardzo rzeczową, bardzo nudną. Jakże wtedy błogosławiłam tych flegmatycznych graczy w białych flanelowych strojach, gdyż po kilku minutach na Jego twarzy pojawił się wyraz spokoju. Bładość jego zniknęła i zaczął ze zdrowym podnieceniem krytykować jedną z drużyn za nieudolną grę.

Uniknęliśmy powrotu w przeszłość, a ja dostałam nauczkę. Czytaj o wiadomościach z Anglii, o angielskim sporcie, polityce i ceremoniach, ale w przyszłości zachowaj dla siebie samej słowa, które mogą ranić. W tajemnicy mogę sobie na nie pozwolić. Barwy, zapachy i dźwięki, deszcz i szmer fal, nawet jesienne mgły i zapach przyływu to są wspomnienia z Manderley, wspomnienia nie do zabicia. Niektórzy ulegają nałogowi czytania rozkładu kolejowego. Wymyślają niezliczone podróże po kraju, zabawiając się wyszukiwaniem

najtrudniejszych połączeń. Mój konik jest mniej nudny, choć równie dziwny. Jestem kopalnią wiadomości o angielskiej wsi. Znam nazwisko każdego właściciela terenów łowieckich, a nawet nazwiska dzierżawców nie są mi obce. Wiem, ile zabito pardw, ile kuropatw, ile jeleni. Wiem, gdzie łowi się pstrągi i gdzie skaczą łososie. Biorę udział we wszystkich polowaniach par force na lisy. Nawet nazwiska ludzi, którzy tresują młode psy gończe, są mi dobrze znane. Stan urodzajów, cena opasów, tajemnicze choroby świń – rozkoszuję się tymi wiadomościami. Może to mierna rozrywka i nie bardzo intelektualna, ale gdy czytam o wsi, wdycham powietrze Anglii i spoglądam z większą odwagą na rozświetlone niebo.

Nędzne winnice i rozsypujące się murki kamienne przestają mnie nużyć, gdyż jeśli chcę, popuszczam wodze fantazji i zrywam naparstnice oraz blade firletki spod ociekających deszczem żywopłotów.

Jakże miłe są te kaprysy wyobraźni, łagodzą one gorycz i żal, osładzają nam nasze dobrowolne wygnanie. Dzięki tym kaprysom spędzam przyjemnie popołudnie i wracam, odświeżona i uśmiechnięta, na skromny rytuał podwieczorku. Zamawiamy niezmiennie to samo – po dwa kawałki chleba z masłem i chińską herbatę. Jak bardzo musimy wydawać się konwencjonalni, trzymając się uparcie zwyczajów, tak jak to robiliśmy w Anglii. Tu, na tym jasnym balkonie, liczącym setki lat, zbielełym od słońca, przypomina mi się godzina wpół do piątej w Manderley i stół przysunięty do kominka w bibliotece. Punktualnie co do minuty otwierały się drzwi i zaczynał się niezmienny ceremoniał nakrywania do stołu – srebrna taca, imbryk, śnieżnobiały obrus. Jasper, o długich, zwisających uszach spaniela, udaje obojętność na widok ciastek. Taką ucztę mieliśmy codziennie, a jedliśmy tak mało.

Mam teraz przed oczami ociekające masłem placuszki. Cienkie, chrupiące trójkąciki grzanek i gorące pszenne ciasteczka. Wyśmienite sandwicze o nieznanym składniku i zagadkowym zapachu oraz ten nadzwyczajny piernik. Tort hiszpański rozpływający się w ustach i jego solidniejszy towarzysz – placek ze skórką pomarańczową i rodzynkami. Jedzenia tego starczyłoby na wyżywienie jednej głodującej

rodziny przez cały tydzień. Nie wiedziałam, jaki był dalszy los tych smakołyków, i często martwiło mnie to marnotrawstwo.

Nigdy jednak nie ośmieliłam się spytać pani Danvers, co z tym wszystkim robiła. Spojrzała by na mnie pogardliwie, ze swoim zimnym uśmiechem wyższości na ustach, i powiedziała by zapewne:

– Nigdy za życia pani de Winter nie robiono mi żadnych wymówek.

Pani Danvers. Ciekawa jestem, co ona teraz robi. Ona i Favell. Sądzę, że to właśnie wyraz jej twarzy wywołał we mnie po raz pierwszy uczucie niepokoju. Pomyślałam wówczas: „Ona mnie porównuje do Rebeki” i cień tamtej przesunął się między nami...

Wszystko minęło, skończyło się wreszcie. Żaden demon mnie już nie dręczy, oboje jesteśmy wolni. Nawet mój wierny Jasper przeniósł się do krainy wiecznych łowów, a Manderley już nie istnieje. Niby pusta muszla leży martwe wśród gęstwiny lasów, tak jak to widziałam we śnie. Gąszcz chwastów, królestwo ptaków. Niekiedy może jakiś włóczęga zawędruje tam, szukając schronienia przed ulewą, i jeśli jest odważny, ujdzie mu to bezkarnie. Lecz ktoś nieśmiały, jakiś bojaźliwy kłusownik, niech nie zapędma się w lasy Manderley. Mógłby trafić do małego domku nad zatoką, lecz nie zaznałby spokoju pod jego rozpadającym się dachem, gdy krople deszczu wybijają na nim swój rytm. Może tam wciąż jeszcze panuje nastrój pełen grozy... A także ten zakręt alei, gdzie drzewa wdzierają się na żwir, nie jest miejscem, w którym należy się zatrzymywać, zwłaszcza po zachodzie słońca. Szum liści przypomina szelest sukni balowej, a gdy liście nagle zadrżą, opadną i rozsypią się po ziemi, może się wydawać, że to odgłos szybkich kroków kobiecych, a wgłębienia w żwirze – to ślady jedwabnych pantofelków na wysokich obcasach.

Gdy wspominam to wszystko, z ulgą spoglądam na widok roztaczający się z naszego balkonu. Żaden cień nie przesłania jaskrawego blasku, kamieniste winnice lśnią w słońcu, a bugenwille pokryte są białym kurzem. Może kiedyś spojrzę na ten widok z czułością. Teraz, choć nie wzbudza we mnie roztkliwienia, dodaje mi pewności siebie. A pewność siebie jest cechą, którą bardzo cenię, chociaż nabrałam jej dość późno. Chyba właśnie dlatego, że On polega na mnie, stałam się

wreszcie śmiała. W każdym razie pozbyłam się nieufności, onieśmielenia, strachu przed obcymi. Jestem zupełnie inna, niż byłam, gdy jechałam po raz pierwszy do Manderley – pełna nadziei i dobrych chęci, obciążona rozpaczliwą nieśmiałością i pragnąca podobać się wszystkim. Właśnie ten mój brak pewności siebie wywierał złe wrażenie na ludziach pokroju pani Danvers. Jak niekorzystnie musiałam się przedstawiać po Rebecce. Widzę siebie teraz, gdy pamięć rzuca pomost poprzez lata – moje proste, krótkie włosy i młodą, nieupudrowaną twarz. Widzę siebie w źle skrojonym żakiecie, spódnicy i swetrze własnej roboty, sunącą za panią van Hopper jak nieśmiały, płochliwy żreback. Zwykle wkraczała przede mną do restauracji na lunch, a jej krępa, kołysząca się w biodrach postać z trudem utrzymywała równowagę na chybotliwych, wysokich obcasach. Bluzka strojona w falbanki zdobiła jej obfity biust, nowy kapelusz z ogromnym, sterczącym ukośnie piórem osłaniał wysokie czoło. W jednej ręce niosła dużą torebkę, taką, w której z łatwością mieszczą się paszporty, kalendarzyki i notesy brydżowe, a w drugiej trzymała nieodłączny lornion – wroga osobistych spraw innych ludzi.

Zmierzała wprost do swego stołu przy oknie w rogu sali i zbliżając lornion do małych oczek, rozglądała się na wszystkie strony, po czym wypuszczała z ręki lornion zawieszony na czarnej wstążce i wykrzykiwała ze wstrętem:

– Ani jednej znanej osobistości! Powiem dyrekcji, że muszą mi obniżyć rachunek. Cóż oni sobie myślą, że po co ja tutaj przyjechałam? Żeby patrzeć na chłopców hotelowych?!

Przywoływała do siebie kelnera głosem ostrym, urywanym, zgrzytającym jak piła.

Jak bardzo inna jest mała restauracyjka, gdzie teraz jadamy, od tej wielkiej, ozdobnej i wspaniałej sali hotelu Côte d'Azur w Monte Carlo. I jak bardzo różni się od pani van Hopper mój obecny towarzysz, którego mocne, kształtne ręce obierają teraz mandarynkę w spokojny, metodyczny sposób i który spogląda na mnie od czasu do czasu z uśmiechem. Tłuste palce pani van Hopper, ozdobione licznymi pierścionkami, chwytają za talerz, na którym piętrzy się stos ravioli, a oczy jej spoglądają podejrzliwie na mój talerz w obawie, że może wybrałam coś lepszego. Niepotrzebnie się niepokoiła, gdyż kelner,

z niesamowitą bystrością wrodzoną kelnerom, dawno wyczuł, że zajmuję stanowisko niższe i zależne od niej, i postawił przede mną talerz z kawałkiem szynki i ozora, który ktoś przed półgodziną odesłał do bufetu, bo wędlina była źle pokrojona.

Dziwna jest ta niechęć służby i wyraźnie okazywane zniecierpliwienie. Pamiętam jakiś pobyt z panią van Hopper u znajomych na wsi. Pokojówka nigdy nie zjawiała się na mój nieśmiały dzwonek, nie przynosiła mi trzewików, a wczesną ranną herbatę, zawsze lodowato zimną, stawiała pod drzwiami sypialni. To samo działo się w hotelu Côte d'Azur, chociaż nie w tak jaskrawej formie. Czasem ta przemyślana obojętność zmieniała się w poufałość obłudną i obraźliwą, sprawiającą, że kupowanie znaczków od portiera było męczarnią, której wolałam unikać. Jakże młoda i niedoświadczona musiałam się wydawać i jak silnie to odczuwałam. Byłam zbyt wrażliwa, zbyt naiwna, słowa raniły mnie jak ciernie, choć w rzeczywistości wypowiedane były lekko.

Pamiętam dobrze tę porcję szynki i ozora – wyschnięte, nieapetyczne skrawki – ale nie miałam odwagi jej odesłać. Jadłyśmy, milcząc, bo pani van Hopper lubiła jeść w skupieniu. Sos ściekał jej po podbródku, co świadczyło, że ravioli jej smakują.

Nie był to widok wzbudzający we mnie apetyt. Odwracając od niej wzrok, zobaczyłam, że ktoś zmierza do sąsiedniego stołu, niezajmowanego od trzech dni. Maître d'hôtel, z unizonym ukłonem przeznaczonym wyłącznie dla znakomitych gości, wskazywał miejsce nowemu przybyszowi.

Pani van Hopper odłożyła widelec i sięgnęła po lornion. Zaczerwieniłam się za nią ze wstydu, podczas gdy ona wpatrywała się w naszego sąsiada. Ten, nie zdając sobie sprawy z jej zainteresowania, przeglądał kartę z namysłem. Po chwili pani van Hopper zatrasnęła lornion i nachyliła się do mnie przez stół. Jej małe oczka błyszczały podnieceniem, gdy powiedziała nieco za głośno:

– To jest Max de Winter, właściciel Manderley. Słyszałaś oczywiście o tej posiadłości. De Winter wygląda źle, prawda? Mówią, że nie może przeboleć śmierci swojej żony...

Ciekawa jestem, jak by się ułożyło moje życie, gdyby pani van Hopper nie była taką snobką.

Bawi mnie myśl, że mój los wisiał na nitce jej snobizmu. Ciekawość mojej pracodawczyni była chorobliwa, przechodząca niemal w manię. Z początku byłam tym przerażona i okropnie zawstydzona. Czułam się jak chłopiec, który znosi chłostę za swego pana, gdy widziałam, jak ludzie śmieją się za jej plecami, wymykają się szybko z pokoju, kiedy ona wchodzi, a nawet znikają za drzwiami dla służby w korytarzu hotelowym.

Od wielu lat pani van Hopper przyjeżdżała do hotelu Côte d'Azur. Poza brydżem jej głównym zajęciem, powszechnie już znanym w Monte Carlo, było udawanie znajomości z wybitnymi osobistościami, choćby widziała je tylko raz w życiu na drugim końcu hali pocztowej. W jakiś swoisty sposób nawiązywała rozmowę i zanim ofiara zdążyła poczuć niebezpieczeństwo, pani van Hopper zapraszała ją do swego apartamentu. Sposób ataku był tak nagły i niespodziewany, że rzadko kiedy ofierze udawało się wymknąć. W hotelu stale okupowała wybraną kanapę w salonie, między holem a przejściem do restauracji. Tam piła kawę po lunchu i obiedzie. Wszyscy wchodzący i wychodzący musieli przejść obok niej. Niekiedy używała mnie za przynętę, a ja, nienawidząc swej roli, musiałam wędrować na drugi koniec salonu, by prosić o pożyczenie książki lub gazety, pytać o adres jakiegoś sklepu lub zawiadamiać o spotkaniu wspólnego znajomego. Wydawało się, że znakomitości są dla niej tak niezbędne jak kleik dla chorego. Chociaż wołała ludzi utytułowanych, każda twarz widziana kiedyś w tygodnikach poświęconych życiu towarzyskiemu była także pożądana. Nazwiska wymienione w kolumnie plotek – autorzy, artyści,

aktorzy, nawet pośledniego gatunku – imponowały jej, o ile dowiedziała się o nich z prasy.

Widzę panią van Hopper, jakby to było wczoraj, tego pamiętnego popołudnia – mniejsza z tym przed ilu laty – gdy siedziała na swej ulubionej kanapie, rozważając metodę ataku. Domyślałam się z jej roztargnienia i sposobu uderzania lornionem o zęby, że rozważa różne możliwości. Gdy zrezygnowała z leguminy i szybko zjadła owoce, domyśliłam się, że chce skończyć lunch wcześniej od nowego przybysza, aby zająć miejsce na kanapie, obok której będzie musiał przejść. Nagle zwróciła się do mnie z błyskiem w małych oczkach:

– Idź prędko na górę i odszukaj list od mego siostrzeńca. Pamiętasz, ten pisany w czasie podróży poślubnej, z fotografią. Przynieś mi go zaraz.

Zrozumiałam, że ułożyła sobie plan działania i że siostrzeniec ma być pretekstem do zawarcia znajomości. Nie po raz pierwszy drażniła mnie rola, którą musiałam odgrywać w jej planach. Jak pomocnik żonglera podawałam odpowiednie rekwizyty, po czym milcząca i uważna czekałam na dalsze wskazówki. Nieznajomy nie będzie zadowolony z natręctwa, tego byłam pewna. Z tego, co usłyszałam o nim podczas lunchu – garść plotek zebranych przez panią van Hopper przed dziesięcioma miesiącami z gazet i przechowywanych w pamięci do dalszego użytku – mogłam sobie wyobrazić, pomimo mojej młodości i niedoświadczenia życiowego, że niechętnie przyjmie pogwałcenie swojej samotności. Dlaczego przyjechał właśnie do hotelu Côte d'Azur w Monte Carlo, było wyłącznie jego sprawą, i każdy by to zrozumiał prócz pani van Hopper. Takt był zaletą jej nieznaną, dyskrecja także, a ponieważ żyła plotkami, przybysz musi paść ofiarą jej dociekań. Znalazłam list w przegródce biurka i zawahałam się przez chwilę, zanim zeszłam do salonu. Wydawało mi się, choć było to bezsensowne, że w ten sposób daruję mu kilka minut samotności.

Pragnęłam zdobyć się na tyle odwagi, by zejść schodami służbowymi okólną drogą do restauracji i ostrzec go przed zasadzką. Byłam jednak zbyt konwencjonalna, nie wiedziałam też, jak należałoby to powiedzieć. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić na swoje miejsce obok pani van Hopper

i patrzeć spokojnie, gdy ona, niby wielki, zadowolony z siebie pająk, snuć będzie swą sieć, aby w nią schwytać przybysza.

Zamarudziłam dłużej, niż przypuszczałam, bo gdy wróciłam do salonu, zobaczyłam, że Maxim de Winter wyszedł już z sali jadalnej, a pani van Hopper, bojąc się stracić okazję, nie czekała na list i zaryzykowała bezczelnie zaczepić go sama. Właśnie siedział obok niej na kanapie. Podeszłam i podałam jej list bez słowa. On wstał natychmiast, a pani van Hopper, zaróżowiona z sukcesu, machnęła niedbale ręką w moją stronę i wymamrotała moje nazwisko.

– Pan de Winter wypije z nami kawę, idź i poproś kelnera o jeszcze jedną filiżankę – powiedziała tonem, który wskazywał moją pozycję towarzyską. Oznaczał on, że jestem młodym, nieważnym stworzeniem i że nie ma potrzeby wciągać mnie do rozmowy. Zwykle mówiła tym tonem, gdy chciała wyrzucić wrażenie. Sposób przedstawiania mnie był pewnego rodzaju samoobroną, gdyż kiedyś wzięto mnie za jej córkę, co wprowadziło nas obie w wielkie zakłopotanie.

Lekceważący ton wskazywał, że można mnie spokojnie ignorować, toteż kobiety witały mnie lekkim, niedbałym skinieniem głowy i natychmiast zapominały o moim istnieniu, a mężczyźni z uczuciem wielkiej ulgi zagłębiali się w wygodnych fotelach, zadowoleni, że nie muszą wysilać się na grzeczności.

Byłam więc zaskoczona tym, że de Winter nie usiadł i że sam przywołał kelnera.

– Muszę się sprzeciwić – zwrócił się do pani van Hopper. – To ja proszę obie panie na kawę – i zanim się zorientowałam, usiadł na moim twardym krześle, a ja znalazłam się na kanapie obok mojej pracodawczyni.

Widać było, że jest niezadowolona z takiego obrotu rzeczy, ale po chwili opanowała się i pochyliwszy swe obfite kształty nad stołem, zwróciła się do de Wintera, mówiąc głośno i potrząsając listem:

– Poznałam pana od razu, jak tylko pan wszedł do restauracji, i pomyślałam: O, to przecież pan de Winter, przyjaciel Billa, muszę mu pokazać fotografie Billa i jego żony robione w czasie podróży poślubnej. Proszę zobaczyć. To Dora. Czyż nie jest urocza? Ta drobna, szczupła postać, te wielkie oczy. Tu, na tym zdjęciu opalają się w Palm Beach. Bill szaleje za nią,

co jest zrozumiałe. Nie znał jej jeszcze wtedy, gdy urządził to przyjęcie w hotelu Claridge, gdzie pana spotkałam po raz pierwszy. Ale pan pewnie nie pamięta takiej starszej pani jak ja?

Mówiąc to, rzuciła mu prowokacyjne spojrzenie i zalotny uśmiech.

– Przeciwnie, pamiętam panią doskonale – odparł de Winter i zanim zdołała chwycić go w potrzask wspomnień pierwszego spotkania, podał jej papierośnicę. Ceremonia zapalania papierosów powstrzymała panią van Hopper na chwilę. – Nie sądzę, żebym się dobrze czuł w Palm Beach – powiedział de Winter, gasząc zapałkę.

Spojrząwszy na niego, pomyślałam, że wyglądałby dziwnie na tle Florydy. Należał do miasta z piętnastego wieku, miasta otoczonego murami warownymi, o wąskich uliczkach, wybrukowanych kamieniem, i strzelistych wieżach, miasta, którego mieszkańcy nosili spiczaste buty i długie pończochy.

Twarz miał ciekawą, wrażliwą, jakby ze średniowiecza. Przypominała mi ona portret Nieznanego Dzentelmena, który widziałam w jakiejś galerii. Gdyby można było zamienić angielski tweed na czarny strój z koronkami przy kołnierzu i mankietach, spoglądałby na nas z odległej przeszłości – przeszłości, kiedy to męskie postacie w opończach snuły się po nocy i zatrzymywały w cieniu starych bram, wędrowały po wąskich schodach i ciemnych lochach – przeszłości szeptów w mroku, lśniących szpad i spokojnej, wytwornej kurtuazji.

Chciałam sobie przypomnieć starego mistrza, który namalował ten portret. Obraz stał w rogu sali, a oczy spoglądały z ciemnej ramy na każdego przechodnia.

Pani van Hopper i de Winter rozmawiali, ale ja wskutek rozmyślenia zgubiłam wątek.

– Nie, nawet przed dwudziestu laty nie – mówił de Winter – to mnie nigdy nie bawiło.

Pani van Hopper roześmiała się zadowolona.

– Gdyby Bill miał taką posiadłość jak Manderley, nie szukałby rozrywek w Palm Beach – powiedziała. – Mówiono mi, że Manderley jest jak z bajki, że nie można tego inaczej określić.

Przerwała, spodziewając się uśmiechu de Wintera, ale on bez zmiany wyrazu twarzy palił papierosa, a ja zauważyłam nikłą jak pajęczyna zmarszczkę między brwiami.

– Oczywiście widziałam fotografie Manderley – nie ustawała pani van Hopper. – Wygląda zachwycająco. Bill mówił mi, że żadna ze słynnych rezydencji nie umywa się do Manderley. Dziwi mnie, że pan w ogóle może stamtąd wyjeżdżać.

Milczenie pana de Wintera stawało się coraz bardziej przykre. Było to dla każdego oczywiste, że pani van Hopper zagalopowała się jak niezdarne źrebię na niedozwolony teren. Czułam, że się czerwienię i pograżam przez nią w upokorzeniu i wstydzie.

– Oczywiście wy, Anglicy, jesteście wszyscy tacy sami, jeśli chodzi o wasze domy – perorowała coraz głośniej. – Mówicie o nich lekceważąco, aby nikt nie posądził was o dumę. Manderley ma słynny krużganek pieśniarzy i bardzo cenne portrety, prawda?

Zwróciła się do mnie, jakby wyjaśniając:

– Pan de Winter jest tak skromny, że nie chce się do tego przyznać, ale wydaje mi się, że ta piękna rezydencja jest w posiadaniu jego rodziny od czasów Wilhelma Zdobywcy. Mówią, że krużganek pieśniarzy to istny klejnot. Podobno pańscy przodkowie często podejmowali gości królewskich w Manderley?

To przekraczało wszystko, co dotychczas zdarzało mi się znosić, nawet od niej, ale jego szybka replika była niespodziewana:

– Po raz ostatni w Manderley podejmowany był Ethelred, zwany Niegotowym. Właśnie nadano mu ten przydomek, gdy gościł u mojej rodziny. Zawsze spóźniał się na obiad.

Zasługiwała na taką odpowiedź. Myślałam, że się poczuje dotknięta, ale choć to się wyda nieprawdopodobne, nie rozumiała ironii. Wiłam się zawstydzona jak dziecko, które dostało klapsa.

– Doprawdy? – plotła dalej. – Nie miałam o tym pojęcia. Słabo znam historię, a królowie angielscy płaczą mi się w głowie. Jakie to ciekawe! Muszę o tym napisać mojej córce, ona się bardzo interesuje historią.

Zapanowała cisza, a ja poczułam, że znowu się czerwienię. Byłam za młoda, na tym polegało nieszczęście. Gdybym była starsza, spojrzałabym na niego z porozumiewawczym uśmiechem. Jej nieprawdopodobne zachowanie stworzyłoby

pewną więź między nami. Tymczasem byłam głęboko zawstydzona i przeżywałam jedną z licznych męczarni młodości.

Sądzę, że de Winter odczuł moje zakłopotanie, gdyż nachylił się do mnie i łagodnie spytał, czy mam ochotę jeszcze napić się kawy. Gdy odmówiłam, poczułam na sobie spojrzenie jego zdziwionych oczu. Zastanawiał się, jaki stosunek łączy mnie z panią van Hopper i czy obie mamy równie błahe zainteresowania.

– Jak się pani podoba Monte Carlo, a może się wcale pani nie podoba? – zapytał, wciągając mnie do rozmowy, co mnie zupełnie zmieszało. Zachowywałam się jak podłotek, który niedawno opuścił szkołę. Powiedziałam coś banalnego i głupiego, że Monte Carlo jest sztuczne, lecz zanim skończyłam bąkać moje zdanie, pani van Hopper przerwała mi:

– Ona jest zepsuta, proszę pana, na tym cała rzecz polega. Większość dziewcząt oddałaby chętnie swoje oczy, żeby zobaczyć Monte Carlo.

– To by się chyba miało z celem? – powiedział z uśmiechem.

Pani van Hopper wzruszyła ramionami, wypuszczając wielki obłok dymu z papierosa. Myślę, że nie zrozumiała go od razu.

– Jestem wierna Monte Carlo – powiedziała. – Nie znoszę zimy w Anglii, po prostu nie służy memu zdrowiu. Ale co pana tutaj sprowadza? Pan nie jest stałym gościem na Riwierze. Czy pan ma zamiar grać w baka czy też w golfa?

– Jeszcze sam nie wiem, wyjechałem dość nagle.

Jego własne słowa musiały wywołać jakieś wspomnienie, gdyż twarz zachmurzyła mu się znowu i lekko zmarszczył brwi. Pani van Hopper dalej paplała, nic nie dostrzegając:

– Oczywiście w Manderley nie ma mgieł, to zupełnie co innego. Zachodnia część kraju musi być urocza wiosną.

De Winter sięgnął po popielniczkę i zgasił papierosa. Zauważyłam zmianę wyrazu w jego oczach. Coś nieokreślonego pojawiło się w nich na chwilę, a ja odniosłam wrażenie, że dostrzegłam to, czego nie powinnam była widzieć.

– Tak – odpowiedział krótko. – Manderley jest teraz w pełnej krasie.

Zapanowało milczenie, które trwało kilka minut. Milczenie to niepozbawione było napięcia. Spojrzałam ukradkiem na de

Wintera. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wyglądał zupełnie jak mój Nieznany Dżentelmen, który otulony oponczką, tajemniczo snuje się nocą po krużgankach zamku. Głos pani van Hopper wdarł się w moje marzenia jak dzwonek.

– Ma pan tu pewnie wielu znajomych, chociaż ja znajduję, że Monte Carlo jest bardzo nudne tej zimy. Widzi się tak mało dobrze znanych twarzy. Księżę Middlesexu przybył tu na swoim jachcie, ale jeszcze nie byłam na pokładzie.

O ile mi wiadomo, nigdy na tym jachcie nie była.

– Pan na pewno zna Nell Middlesex – ciągnęła pani van Hopper. – Jaka to czarująca kobieta! Mówią, że to drugie dziecko nie jest jego, ale ja w to nie wierzę. Ludzie wygadują niestworzone rzeczy o ładnych kobietach. A ona jest taka urocza. Niech pan powie, czy to prawda, że małżeństwo Caxton – Hyslop nie jest udane?

Snuła zawiłą sieć plotek, nie zauważając, że nazwiska te były mu zupełnie obce, nic nieznaczące i że w miarę jej paplania de Winter stawał się coraz chłodniejszy i coraz bardziej milczący. Nie przerwał jej ani razu ani też nie spojrzął na zegarek. Wydawało się, że nakazał sobie dobre zachowanie od chwili, gdy zakpił z niej w mojej obecności, a teraz przestrzegał zawzięcie dobrych form towarzyskich, uważając, żeby jej znowu nie obrazić. Uwolnił go wreszcie chłopiec hotelowy, oznajmiając, że krawcowa czeka na panią van Hopper w jej apartamencie.

De Winter wstał natychmiast.

– Nic chcę pani zatrzymywać – powiedział. – Moda zmienia się obecnie tak szybko, że może nawet ulec zmianie, zanim pani znajdzie się na górze.

Nie zrozumiała złośliwości, lecz przyjęła ją jako dowcip.

– To wspaniale, że pana tutaj spotkałam – mówiła, idąc do windy. – Teraz gdy zdobyłam się na odwagę, by przełamać pierwsze lody, mam nadzieję, że będziemy się widywać częściej. Musi pan wpaść do mnie na koktajl. Spodziewam się jutro wieczór kilku osób, może pan się do nas przyłączy?

Odwróciłam się, by nie widzieć jego zakłopotania.

– Bardzo żałuję – odpowiedział de Winter – ale jutro prawdopodobnie pojedę do Sospel i nie wiem, kiedy wrócę.

Nie nalegała więcej, ale stała nadal przy drzwiach windy.

– Mam nadzieję, że dostał pan dobry pokój. Hotel jest na wpół pusty, więc jeśli jest panu niewygodnie, niech pan zażąda zmiany. Pewnie pański kamerdyner rozpakował już rzeczy?

Poufałość ta była nawet jak na nią niezwykła. Dostrzegłam wyraz jego twarzy.

– Nie mam kamerdynera – powiedział spokojnie. – Może pani zechciałaby się tym zająć?

Tym razem strzał był celny, gdyż pani van Hopper zaczerwieniła się i zaśmiała nieco zmieszana.

– Nie sądzę... – zaczęła i nagle zwróciła się do mnie: – Może ty byś mogła pomóc panu de Winterowi, jeśli sobie tego życzy. Potrafisz przecież być pożyteczna.

Nastąpiła chwila ciszy, a ja stałam zmieszana, czekając na jego odpowiedź. Spojrzał na nas drwiąco, sardonicznie, z cieniem uśmiechu na ustach.

– Przemiała propozycja – powiedział – ale ja przestrzegam dewizy mojej rodziny. Ten podróżuje najszybciej, kto podróżuje samotnie. Może pani o tym słyszała.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł.

– To śmieszne – powiedziała pani van Hopper, gdy jechałyśmy windą. – Czy myślisz, że to nagle odejście było przejawem złego humoru? Mężczyźni wyprawiają dziwne rzeczy. Pamiętam, jak pewien znany pisarz na mój widok uciekł schodami służbowymi. Myślę, że miał do mnie słabość i nie był pewien siebie. Oczywiście byłam wtedy młodsza.

Winda zatrzymała się gwałtownie na naszym piętrze. Chłopiec otworzył drzwi.

– A propos, moja droga – mówiła, gdy szłyśmy korytarzem – nie myśl, że jestem złośliwa, ale dziś po południu narzucałaś się trochę panu de Winterowi. Twoje wysiłki, by zmonopolizować konwersację, wprawiały mnie w zakłopotanie. Jestem pewna, że jego też. Mężczyźni nienawidzą tego rodzaju zachowania.

Nic nie odpowiedziałam. Nie było na to żadnej odpowiedzi.

– Och, nie masz się czego obrażać – roześmiała się i wzruszyła ramionami – ostatecznie jestem odpowiedzialna za twoje zachowanie się tutaj. Chyba starsza kobieta, która mogłaby być twoją matką, może ci zwrócić uwagę. *Eh bien, Blaize, je viens...*¹ – Nucąc jakąś melodię, weszła do sypialni, gdzie czekała na nią krawcowa

Uklękłam na kanapce przy oknie i wyjrzałam na dwór. Słońce nadal świeciło jasno, wiał wesoły wiatr. Za pół godziny będziemy grać w brydża przy szczelnie zamkniętych oknach i rozgrzanych kaloryferach.

Myślałam o popielniczkach, które będę musiała oczyszczać, i o zgniecionych niedopałkach ze śladami pomadek do ust zmieszanych z niedojezdzonymi czekoladkami. Umysł wychowany na loteryjkach niełatwo chwyta brydża. Nadto znajomi pani van Hopper nudzili się, grając ze mną.

Czułam, że moja młodość hamuje swobodę ich konwersacji, podobnie jak obecność pokojówki w jadalni do chwili podania deseru. Nie wypadało im pogrążyć się swobodnie w trzęsawisko skandalów i plotek. Mężczyźni zachowywali się ze sztuczną serdecznością i zadawali mi żartobliwe pytania z historii czy malarstwa, przypuszczając, że niedawno skończyłam szkołę i że na żaden inny temat nie potrafię rozmawiać.

Westchnęłam i odwróciłam się od okna. Słońce było takie zachęcające, a wesoły wiatr pędził po morzu białą pianę fal. Przypomniałam sobie zakątek w Monako, który widziałam przed kilku dniami: przechylony ze starości dom stojący na wybrukowanym kamieniami placu. Wysoko, w rozpadającym się dachu, było okno wąskie jak szpara. Mógłby się w nim ukazać średniowieczny duch. Wzięłam z biurka papier i ołówek i zaczęłam rysować od niechcienia profil o orlim nosie. Posępne spojrzenie, wydatny nos, pogardliwy wyraz ust. Dodałam spiczastą bródkę i koronki przy kołnierzu, tak jak uczynił to ongiś stary mistrz.

Ktoś zapukał do drzwi. Windziarz wszedł z kopertą w ręce.

– Madame jest w sypialni – powiedziała mu, ale potrząsnął głową i oświadczył, że list jest dla mnie. Rozdarłam kopertę i znalazłam w środku pojedynczą kartkę, na której widniało kilka słów skreślonych nieznanym pismem.

„Proszę mi wybaczyć. Zachowałem się bardzo niegrzecznie dziś po południu”.

To wszystko. Ani podpisu, ani wstępnego zwrotu. Ale moje nazwisko wypisane było na kopercie, i to bezbłędnie, co się rzadko zdarza.

– Czy będzie odpowiedź? – spytał chłopiec.

Oderwałam wzrok od kartki.

– Nie, nie będzie żadnej odpowiedzi.

Po wyjściu chłopca schowałam kartkę do kieszeni i powróciłam do mego rysunku, ale z niewiadomych przyczyn przestał mi się on podobać. Twarz była sztywna i martwa, a koronkowy kołnierz i broda przypominały rysunki z rebusów.

Następnego ranka, po brydżu, pani van Hopper obudziła się z bólem gardła i dużą gorączką. Zatelefonowałam do doktora, który zjawił się natychmiast i stwierdził gripę.

– Musi pani pozostać w łóżku, dopóki nie pozwolę pani wstać – powiedział. – Nie podoba mi się stan pani serca, który nie ulegnie poprawie, o ile nie będzie pani leżeć w całkowitym spokoju. Wolałbym – zwrócił się do mnie – żeby pani van Hopper miała wykwalifikowaną pielęgniarkę. Pani nie udźwignie chorej. Pielęgniarka potrzebna będzie tylko na okres około dwóch tygodni.

Uważałam, że wynajmowanie pielęgniarki nie ma sensu, i zaprotestowałam, ale ku memu zdziwieniu pani van Hopper zgodziła się ze zdaniem lekarza. Zapewne cieszyła się na myśl o tym, jakie wrażenie wywrze na otoczeniu obecność pielęgniarki. Wyobrażała sobie powszechne współczucie, liczne odwiedziny, listy od znajomych, nadsyłane kwiaty. Zaczynała się już nudzić w Monte Carlo, a ta niegroźna choroba przyniesie urozmaicenie.

Pielęgniarka miała robić zastrzyki i lekki masaż. Lekarz przepisał chorej dietę. Po przybyciu pielęgniarki zostawiłam panią van Hopper pod jej opieką, zadowoloną, opartą o poduszki. Gorączka zaczynała opadać. Pani van Hopper zarzuciła na ramiona najładniejszy kaftanik, a na głowę włożyła czepeczek przybrany wstążkami.

Nieco zawstydzona własnym dobrym nastrojem, zatelefonowałam do jej znajomych, żeby odwołać małe przyjęcie, które miało się odbyć tego wieczoru. Następnie zesłam na dół do restauracji na lunch o dobre pół godziny wcześniej niż zwykle. Spodziewałam się, że sala będzie pusta, gdyż zazwyczaj nikt nie jadał przed pierwszą. Sala rzeczywiście

świeciła pustkami, tylko stół sąsiadujący z naszym był zajęty. Na tę ewentualność nie byłam przygotowana. Myślałam, że de Winter wyjechał do Sospel. Z pewnością przyszedł wcześniej, żeby uniknąć spotkania z nami o godzinie pierwszej. Byłam już w połowie sali i nie mogłam się cofnąć. Nie widziałam go od chwili, gdy weszliśmy do windy poprzedniego dnia. Nie zjawił się bowiem na obiad, prawdopodobnie dla tego samego powodu, dla którego teraz wcześniej jadł lunch.

W takiej sytuacji nie umiałam się właściwie zachować. Pragnęłam być starsza, inna. Podeszłam do stołu, patrząc prosto przed siebie.

Natychmiast zostałam ukarana za moją nieśmiałość. Przewróciłam wazon z anemonami w chwili, gdy rozkładałam serwetkę. Woda rozlała się po obrusie i zaczęła mi spływać na kolana. Kelner był na drugim końcu sali, więc nie zauważył. Lecz w jednej sekundzie mój sąsiad znalazł się przy mnie z serwetką w ręce.

– Nie może pani siedzieć przy mokrym stole – powiedział ostro – to odbiera apetyt. Proszę wstać.

Zaczął wycierać obrus, a tymczasem kelner, widząc zamieszanie, pośpieszył z pomocą.

– To mi nie przeszkadza – powiedziałam. – To nie ma żadnego znaczenia. Jestem sama.

De Winter milczał, a kelner schwycił szybko wazon i rozrzucone kwiaty.

– Proszę to zostawić – powiedział nagle de Winter – i nakryć przy moim stole. Mademoiselle zje lunch ze mną.

Spojrzałam na niego zmieszana.

– Och nie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

Szukałam gorączkowo jakiegoś wytłumaczenia. Wiedziałam, że on nie chce jeść ze mną lunchu. To była tylko grzeczność z jego strony. Popsułabym mu całą przyjemność posiłku. Postanowiłam śmiało powiedzieć prawdę.

– Proszę, niech pan nie robi tego przez grzeczność. To bardzo miło z pana strony, ale wszystko będzie dobrze, jak kelner wytrze obrus.

– Ależ ja nie robię tego przez grzeczność – nalegał de Winter – sprawi mi przyjemność, jeśli pani zje ze mną lunch. Nawet

gdyby pani nie wywróciła tak niezgrabnie wazonu, też bym panią o to poprosił.

Widocznie moja twarz wyrażała powątpiewanie, bo uśmiechnął się.

– Nie wierzy mi pani, ale to nic nie szkodzi, proszę usiąść przy moim stoliku. Nie musimy prowadzić rozmowy, jeżeli nam się nie będzie chciało.

Usiedliśmy, podał mi kartę, a gdy zastanawiałam się nad wyborem dań, powrócił do swojej przekąski, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Charakterystyczną cechą de Wintera był swobodny sposób bycia. Czułam, że spokojnie możemy przetrwać w milczeniu aż do końca posiłku i że milczenie nie będzie nam ciążyło. On na pewno nie będzie mi zadawać pytań z historii.

– Co się stało z pani znajomą? – spytał.

Powiedziałam mu o grypie.

– Jak mi przykro – powiedział, a po krótkiej przerwie dodał: – Chyba dostała pani moją kartkę. Byłem bardzo zawstydzony. Zachowałem się karygodnie. Jedynym moim wytłumaczeniem jest to, że stałem się gburem wskutek samotności. Jak to miło z pani strony, że zgodziła się pani dziś mi towarzyszyć.

– Pan nie był niegrzeczny – powiedziałam. – W każdym razie tego rodzaju przycinki nie docierają do niej. Ta jej nieznośna ciekawość sprawia, że bezwiednie naraża się wszystkim. To znaczy, wszystkim ważnym osobistościom.

– Wobec tego powinienem się czuć zaszczycony – odparł de Winter – ale dlaczego pani van Hopper zalicza mnie do takich osobistości?

Zawahałam się, zanim odpowiedziałam:

– Myślę, że z powodu Manderley.

Nie odpowiedział nic, a mnie ogarnęło znowu to przykre uczucie, że weszłam na teren zakazany. Zastanowiłam się, dlaczego gdy ktoś wspominał o jego domu, znanym tak wielu osobom, a ze słyszenia nawet i mnie, de Winter milknął natychmiast. Nazwa ta jak gdyby oddzielała go od innych ludzi.

Jedliśmy przez chwilę w milczeniu. Przypomniała mi się pocztówka, którą kupiłam kiedyś w wiejskim sklepiku, gdy jako dziecko spędzałam wakacje na zachodzie Anglii. Na pocztówce namalowany był w jaskrawych barwach pałac. Rysunek był

nieudolnie wykonany, ale nawet jego wady nie mogły zszpecić doskonałości symetrii budynku, piękna szerokich schodów wiodących na taras, rozległych zielonych trawników ciągnących się ku morzu. Zapłaciłam dwa pensy za pocztówkę – połowę mojej tygodniowej pensji – a potem zapytałam pomarszczoną staruszkę w sklepie, co to za pałac. Spojrzała na mnie zdumiona moją ignorancją.

– Przecież to Manderley.

Pamiętam, że wyszłam ze sklepu upokorzona, ale wcale przez to nie mądrzejsza.

Może wspomnienie tej pocztówki, dawno zagubionej w jakiejś książce, pomogło mi zrozumieć, dlaczego de Winter zrywał się na nietaktowne pytania pani van Hopper i innych osób jej pokroju. Może Manderley było dla niego taką świętością, że nie wolno było nawet mówić na ten temat.

Wyobraziłam sobie panią van Hopper, jak zapłaciwszy sześć pensów za wejście, wędruje po pokojach, zakłócając spokój swoimi wybuchami śmiechu.

Myśli nasze musiały zapewne biec w tym samym kierunku, gdyż de Winter zaczął mówić o niej.

– Pani znajoma jest o wiele starsza od pani. Czy to krewna? Czy pani ją dawno zna?

Widziałam, że nadal intrygował go nasz stosunek.

– To właściwie nie jest znajoma – odpowiedziałam. – To moja pracodawczyni. Szkoli mnie na tak zwaną damę do towarzystwa i płaci mi dziewięćdziesiąt funtów rocznie.

– Nie wiedziałem, że można sobie kupić towarzysza. Dzisiaj brzmi to tak dziwnie jak handel niewolnikami na Wschodzie.

– Kiedyś sprawdziłam w słowniku, co znaczy słowo „towarzysz” – przyznałam się – i tam było napisane, że „towarzysz jest to przyjaciel od serca”.

– Pani ma z nią niewiele wspólnego.

Zaśmiał się. Wyglądał teraz inaczej, był młodszy i mniej daleki.

– Dlaczego pani to robi?

– Dziewięćdziesiąt funtów to dla mnie poważna suma.

– Czy pani nie ma rodziny?

– Nie, rodzice nie żyją.

– Pani ma urocze i niezwykle nazwisko.

– Mój ojciec był uroczym i niezwykłym człowiekiem.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

Spojrzałam na de Wintera znad szklanki lemoniady. Niełatwo było scharakteryzować mego ojca i nigdy o nim nie mówiłam. Był moją najdroższą własnością. Istniał wyłącznie dla mnie, podobnie jak Manderley dla mego sąsiada. Nie chciałam mówić o ojcu zdawkowo przy stole w jakiejś restauracji w Monte Carlo.

W czasie tego lunchu panował dziwny, pełen uroku nastrój, jakby oderwany od rzeczywistości. Nastrój ten dobrze zachował się w mojej pamięci. Oto ja, niemal pensjonarka, która jeszcze poprzedniego dnia siedziała z panią van Hopper sztywna, cicha i potulna, w dwadzieścia cztery godziny później opowiadałam o swoich sprawach rodzinnych nieznanemu mężczyźnie. Czuję się zmuszona do mówienia, gdyż oczy jego patrzyły na mnie życzliwie, podobnie jak oczy Nieznanego Dzentelmena.

Nieśmiałość opadła ze mnie, rozluźniając oporny język i wyzwalając wszystkie małe tajemnice mego dzieciństwa – przyjemności i zmartwienia. Wydawało mi się, że pomimo niedołęznego opisu de Winter uchwycił coś niecoś z kipiącej żywotności mego ojca, a także z miłości, jaką darzyła go moja matka. Miłość ta była żywotną, życiodajną siłą, nieomal nieziemską i tak potężną, że gdy ojciec owej tragicznej zimy umarł na zapalenie płuc, matka pozostała przy życiu przez zaledwie pięć krótkich tygodni i poszła za nim do grobu.

Pamiętam, że przerwałam moją opowieść nieco zadyszana, nieco oszołomiona. Restauracja wypełniła się ludźmi, którzy rozmawiali i śmiali się przy akompaniamencie orkiestry i brzęku talerzy. Spojrzawszy na zegar nad drzwiami, zobaczyłam, że jest już druga. Siedzieliśmy półtorej godziny przy stole i cały czas wyłącznie ja mówiłam.

Gwałtownie powróciłam do rzeczywistości. Zakłopotana, z płonąca twarzą zaczęłam, jękając się, przepraszać. Nawet nie chciał słuchać tych przeprosin.

– Powiedziałem na początku lunchu, że ma pani urocze i niezwykle nazwisko – odezwał się de Winter. – Posunę się dalej, o ile mi pani wybaczy, i powiem, że pasuje ono równie dobrze do pani, jak pasowało do jej ojca. Od bardzo dawna nic nie sprawiło mi takiej przyjemności, jak ta godzina spędzona

z panią. Wyrwała mnie pani z przygnębienia i neurastenii. Te dwa demony dręczyły mnie od roku.

Spojrzałam na niego i uwierzyłam, że mówi prawdę. Wyglądał na mniej skrępowanego niż przedtem, był bardziej bliski, bardziej ludzki, nieosaczony wspomnieniami.

– Wie pani – powiedział – mamy oboje więź, która nas łączy. Oboje jesteśmy samotni. Mam wprawdzie siostrę, ale rzadko się z nią widuję, i starą babkę, której składałam z obowiązku wizyty najwyżej trzy razy do roku. Lecz to nie wypełnia samotności. Należy pogratulować pani van Hopper. Dziewięćdziesiąt funtów to tanio za taką towarzyszkę.

– Pan zapomina, że pan ma dom, a ja go nie mam.

Natychmiast pożałowałam tych słów, bo w oczach jego pojawił się znowu ten tajemniczy, nieodgadniony wyraz, a mnie ogarnęło przykre uczucie, jakie gnębi człowieka po popełnieniu nietaktu. De Winter pochylił głowę, by zapalić papierosa, i milczał przez chwilę.

– W pustym domu można czuć się równie samotnie jak w pełnym hotelu – odezwał się wreszcie. – Najgorsze jest to, że z domem łączy się tyle wspomnień.

Zawahał się, a ja myślałam przez chwilę, że może zacznie mówić nareszcie o Manderley. Coś powstrzymało go jednak, jakby owładnął nim nagle niezrozumiały lęk. Zgasił zapałkę, a jednocześnie z oczu jego zniknął przeblysk ufności.

– A więc „przyjaciółka od serca” ma wolny dzień? – powiedział tonem koleżeńskim, odzyskując równowagę. – Jak zamierza go spędzić?

Pomyślałam o wybrukowanym kamieniami placu w Monako i o domku z wąskim oknem. Mogłabym tam pójść o trzeciej ze szkicownikiem i ołówkiem. Powiedziałam de Winterowi o moim zamiarze nieśmiało, tak jak wszystkie osoby bez talentu mówią o swoim ulubionym koniku.

– Zawiozę tam panią samochodem – powiedział, nie zważając na moje protesty.

Przypomniałam sobie uwagę pani van Hopper o moim narzucaniu się, zrobioną poprzedniego wieczoru. Zmieszałam się, bo mógłby pomyśleć, że wspomniałam o pójściu do Monako po to, aby mnie tam podwiózł. Tak by się właśnie zachowała pani van Hopper, a ja nie chciałam, żeby mnie zaliczył do tej

samej kategorii osób. Zauważyłam, że dzięki lunchowi z nim zyskałam na prestiżu, bo gdy wstawaliśmy od stołu, mały maître d'hôtel podbiegł i odsunął moje krzesło. Ukłonił się z uśmiechem – całkowita zmiana w porównaniu z jego zwykłą obojętnością – podniósł chusteczkę, którą upuściłam na podłogę, i wyraził nadzieję, że „mademoiselle jest zadowolona z lunchu”. Nawet chłopiec hotelowy przy drzwiach spojrzał na mnie z szacunkiem.

Mój towarzysz uważał oczywiście te objawy za naturalne, nie wiedział przecież o źle pokrojonej szynce z poprzedniego dnia. Zmiana ta przygnębiła mnie. Poczulałam do siebie pogardę. Przypomniłam mi się ojciec i jego lekceważący stosunek do zewnętrznych przejawów snobizmu.

– O czym pani myśli?

Szliśmy korytarzem do holu. Podniósłszy wzrok, zobaczyłam, że przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Czy coś sprawiło pani przykrość?

Atencje maître d'hôtel skierowały moje myśli w pewnym kierunku. Gdy piliśmy kawę, opowiedziałam de Winterowi o krawcowej Blaize. Jaka była uradowana, że pani van Hopper kupiła trzy suknie. Odprowadzając ją do windy, wyobraziłam sobie Blaize przy szyciu tych sukien, w małej pracowni mieszczącej się na tyłach dusznego sklepiku, i syna gruzlika dogorywającego na kanapie w tejże izbie. Widziałam jej zmęczone oczy, gdy nawlekała igłę, oraz ścinki materiałów zalegające podłogę.

– I co? – spytał, uśmiechając się. – Czy ten obraz odpowiadał rzeczywistości?

– Nie wiem, nigdy tego nie sprawdziłam.

Wspomniałam mu, że gdy zadzwoniłam po windę, Blaize wyszukała coś w torebce i podała mi stufrankowy banknot.

– Proszę – szepnęła tonem poufałym, nieprzyjemnym – niech pani przyjmie tę skromną prowizję za przyrowadzenie swojej pracodawczyni do mego sklepu.

Gdy odmówiłam purpurowa ze wstydu, Blaize wzruszyła pogardliwie ramionami.

– Jak sobie pani chce, ale zapewniam panią, że taki jest zwyczaj. Może pani woli suknię. Proszę przyjść do sklepu bez

madame, a ja znajdę dla pani coś ładnego i nie policzę ani grosza.

Nie wiem dlaczego, ale ogarnęło mnie uczucie zawstydzenia i przykrości, jakie miewałam, gdy będąc dzieckiem, przewracałam kartki zakazanej książki. Obraz syna gruzlika zniknął mi z oczu, a zamiast tego zobaczyłam siebie jako osobę o innej etyce, wsuwającą z porozumiewawczym uśmiechem ten brudny banknot do kieszeni lub też wymykającą się tego właśnie wolnego popołudnia do sklepu Blaize, by wyjść stamtąd z suknią otrzymaną za darmo.

Sądziłam, że de Winter się uśmieje. Była to głupia historia. Nie wiem, dlaczego mu ją opowiedziałam. Lecz on spojrzał na mnie w zamyśleniu, mieszając kawę.

– Myślę, że popełniła pani wielki błąd – powiedział po chwili.

– Odmawiając przyjęcia tych stu franków? – spytałam oburzona.

– Nie, skąd znowu, za kogo mnie pani uważa? Sądzę, że popełniła pani błąd, przyjeżdżając tutaj z panią van Hopper. Pani nie nadaje się do takiej pracy. Jest pani przede wszystkim za młoda i za wrażliwa. Blaize ze swoją prowizją to jeszcze nic. Takich propozycji od tego rodzaju osób będzie pani miała bez liku. Albo pani musi ulec i stać się podobna do Blaize, albo też pozostać sobą i załamać się. Kto pani doradził ten rodzaj pracy?

Wydawało mi się naturalne, że de Winter wypytuje mnie w ten sposób i nie brałam mu tego za złe. Miałam wrażenie, że znamy się od dawna i że spotkaliśmy się teraz po kilku latach rozłąki.

– Czy pani zastanawiała się nad przyszłością? Co pani da ta praca? Przypuśćmy, że pani van Hopper znudzi się jej „przyjaciółka od serca”, i co wtedy?

Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że nie martwię się tym zbyt. Znajdą się inne panie van Hopper, a ja jestem młoda i pełna wiary w siebie. Ale zanim de Winter skończył mówić, przypomniałam sobie ogłoszenia ukazujące się często w tygodnikach, w których jakieś towarzystwo dobroczynne prosi o wsparcie dla młodych kobiet znajdujących się w ciężkich warunkach materialnych. Pomyślałam o pensjonatach, które odpowiadają na takie ogłoszenia, a potem zobaczyłam siebie z bezużytecznym szkicownikiem w ręce, bez żadnych

kwalfikacji, jākajęcą się przy odpowiedziach na pytania groźnych pośredników pracy. Może powinnam była przyjąć te dziesięć procent od Blaize.

– Ile pani ma lat? – spytał, a gdy mu powiedziałam, zaśmiał się i wstał z fotela. – Znam ten wiek, jest się wtedy szczególnie upartym i spoględa się w przyszłość bez lęku. Jaka szkoda, że nie możemy się zamienić latami. Proszę iść na górę i włożyć kapelusz, a ja każę podprowadzić samochód.

Gdy szedł ze mną do windy, pomyślałam o wczorajszym dniu, o plotkarskim języku pani van Hopper i zimnej grzeczności de Wintera. Już go osędziłam, nie był ani twardy, ani sardoniczny. Uważałam go już za wieloletniego przyjaciela, jakby brata, którego nigdy nie miałam.

Byłam tego popołudnia w doskonałym nastroju, pamiętam to dobrze. Widzę niebo usiane puszystymi obłoczkami, białe grzywy fal na morzu. Czuję znowu wiatr na twarzy, słyszę własny śmiech i jego śmiech, który mi wtórował. To nie było to samo Monte Carlo, jakie znałam, a może istota rzeczy polegała na tym, że teraz zaczęło mi się podobać. Miejscowość miała jakiś urok, którego dawniej nie dostrzegałam. Musiałam patrzeć na nią innymi oczami. W porcie na migotliwych falach tańczyły łódki niby papierowe okręciki, po nabrzeżu spacerowali marynarze, dobroduszni, uśmiechnięci i weseli. Minęliśmy jacht, który pani van Hopper umiłowala zapewne dzięki tytułowi jego właściciela. Na widok takiej ilości lśniącego mosiędzu spojrzeliśmy na siebie i roześmieliśmy się głośno. Pamiętam dobrze, jakbym go jeszcze miała na sobie, mój wygodny, źle leżący flanelowy kostium ze spódnicą jaśniejszą od żakietu wskutek częstszego używania. Zniszczony kapelusz o zbyt dużym rondzie i buty na niskich obcasach, zapinane na jeden pasek. Rękawiczki o szerokich mankietach kurczowo trzymane w niepielegnowanej ręce. Nigdy nie wyglądałam tak młodo, a nie czułam się tak staro. Pani van Hopper wraz z jej grypą przestała dla mnie istnieć. Brydź i koktajle poszły w niepamięć, zapomnialam również o moim skromnym stanowisku.

Byłam osobą ważną, dorosłam wreszcie. Dziewczyna cierpięca męki nieśmiałości, która stała pod drzwiami salonu, miętosząc chustkę w rękach, podczas gdy stamtąd dochodził

gwar głosów tak denerwujący nowego gościa – dziewczyna ta rozplynęła się tego popołudnia jak widmo. Biedne to było stworzenie i nie myślałam o niej inaczej, jak z pogardą.

Wiatr dął zbyt silnie, aby można było rysować. Wesole poddmuchy wypadały gwałtownie z za rogu mojego placu. Wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy w nieznanym mi kierunku. Droga pięła się pod górę, samochód wspinał się wraz z nią, krążyliśmy wysoko jak ptaki. Jakże inny był ten samochód od wynajmowanego na sezon przez panią van Hopper staromodnego daimlera, którym jeździliśmy do Mentony w bezwietrzne popołudnia. Siedziałam wówczas na składanym siedzeniu tyłem do kierowcy i musiałam wykręcać szyję, by obejrzeć okolicę. Samochód de Wintera musiał mieć chyba skrzydła Merkurego, bo wjeżdżaliśmy coraz wyżej, zawrotnie szybko, a niebezpieczeństwo cieszyło mnie, ponieważ nie znałam jeszcze strachu, ponieważ byłam młoda.

Pamiętam, że roześmiałam się głośno, a wiatr poniósł daleko mój śmiech. Gdy spojrzałam na mego towarzysza, zobaczyłam, że już się nie śmieje – znowu był milczący i daleki, człowiek z dnia wczorajszego, zasklepiony w swojej tajemniczej osobowości.

Zdałam sobie sprawę, że wyżej nie możemy jechać, bo już jesteśmy na szczycie. Pod nami wiła się stroma, wykuta w skale droga. De Winter zatrzymał samochód. Zobaczyłam, że droga kończy się na prostopadłym stoku, który obrywa się nagle w przepaść mającą ze dwa tysiące stóp głębokości. Wyszliśmy z samochodu i spojrzeliśmy w dół. To mnie wreszcie otrzeźwiło. Przekonałam się, że zaledwie pół długości auta dzieli nas od przepaści. Morze, niby pomarszczona mapa, ciągnęło się aż do horyzontu, a bliżej było falami o ostry zarys brzegu. Domy przypominały białe muszle w okrągłej grocie, oświetlone tu i ówdzie wielkim pomarańczowym słońcem. Na naszym wzgórzu świeciło ono jeszcze innym blaskiem, bardziej ostrym i surowym. Nastrój popołudnia uległ zmianie, nie był już osnuty lekką mgiełką czaru. Wiatr ustał, nagle zrobiło się zimno.

Gdy zaczęłam mówić, głos mój brzmiał zbyt obojętnie. Głupi nerwowy głos osoby, która się czuje nieswojo.

– Czy pan zna to miejsce? – spytałam. – Czy pan już tu był kiedyś?

Spojrzał na mnie wzrokiem obcego człowieka. Niepokój ścisnął mi serce, bo uświadomiłam sobie, że de Winter całkowicie zapomniał o mojej obecności. Tak zagubił się w labiryncie własnych, niespokojnych myśli, że przestałam dla niego istnieć. Miał wyraz twarzy człowieka idącego we śnie i na chwilę ogarnęło mnie przerażenie, że może jest niezupełnie normalny. Są ludzie, którzy wpadają w trans – oczywiście słyszałam o takich – i postępują według dziwnych praw, o jakich my nic nie wiemy, wykonując zawiłe rozkazy swoich podświadomości. Może on należy do nich, a oto znajdujemy się tutaj o sześć stóp od śmierci.

– Już jest późno, może pojedziemy do domu?

Mój obojętny ton, blady, nieprzekonywający uśmiech nie zwiodłyby nawet dziecka.

Oczywiście posądziłam go niesłusznie, wszystko było w porządku, bo gdy tylko odezwałam się po raz drugi, ocknął się z zamyślenia i zaczął mnie przepraszać. Widocznie zbladłam, a on to zauważył.

– Moje zachowanie jest karygodne – powiedział i wzięwszy mnie za ramię, poprowadził w kierunku samochodu. Wsiedliśmy, zatrzasnął drzwi.

– Proszę się nie bać, wykręcić jest znacznie łatwiej, niż się wydaje.

Miałam zawroty głowy, było mi słabo, obiema rękami trzymałam się kurczowo siedzenia, podczas gdy on łagodnie, bardzo łagodnie manewrował samochodem, dopóki nie znaleźliśmy się znowu na stromej drodze.

– Więc pan już tu kiedyś był? – spytałam z ulgą, gdy samochód sunął w dół po krętej, wąskiej drodze.

– Tak – odpowiedział i dodał po chwili: – Przed wielu laty. Chciałem zobaczyć, czy to miejsce się zmieniło.

– A czy się zmieniło?

– Nie, ani trochę.

Zastanawiałam się, co zmusiło go do cofnięcia się w przeszłość wraz ze mną, przypadkowym świadkiem jego nastroju. Jaka otchłań czasu dzieliła go od tamtych lat, co przeżył w tym okresie, jakim zmianom uległ jego charakter? Nie chciałam tego wiedzieć. Żałowałam, że pojechałam z nim.

Zjeżdżaliśmy w dół po krętej drodze, nie zatrzymując się, nie mówiąc ani słowa. Ogromne pasmo chmur rozciągało się na zachodniej stronie nieba, wiał chłodny, orzeźwiający wiaterek. Nagle de Winter zaczął mówić o Manderley. Nie wspominał ani słowem o sobie, lecz opowiadał, jak piękne są zachody słońca w wiosenne popołudnia, kiedy półwysep tonie w czerwonych blaskach. Morze, nieogrzone jeszcze po długiej zimie, nabiera wówczas ciemnostalowej barwy. Z tarasu słysząc szum przyływu w małej zatoce. Wieczorny wietrzyk kołysze kwitnące żonkile, pieszcząc ich złote kielichy osadzone na smukłych łodygach. Choćby się zerwało nie wiadomo ile kwiatów, nie przerzedzi to ich szeregów, stoją bowiem gęsto niby wojsko, ramię przy ramieniu. Na zboczu, poniżej trawników, rosną krokusy, złote, różowe i lila, lecz o tej porze roku już przekwitają i giną, podobnie jak blade pierwiosnki. Prymule, te bardziej pospolite, sympatyczne kwiatki, plenią się w każdej szczelinie jak chwasty. Za wcześnie jeszcze na dzwonki, główki ich nadal kryją się pod zeszłorocznymi liśćmi, ale skoro tylko rozkwitną, zaćmiewają skromne fiołki, zagłuszają nawet paprocie w lasach, a barwą swoją rywalizują z błękitem nieba.

De Winter opowiadał, że nigdy nie pozwala przynosić dzwonek do domu. W wazonie tracą życie i urok. Aby zobaczyć je w całej krasie, trzeba iść do lasu około południa, tak aby słońce mieć wprost nad głową. Dzwonki wydzielają wtedy ostry, gorzkawy zapach, jakby w łodygach ich krążyły niezwykle obfite wonne soki. Ludzie, którzy zrywali dzwonki w lasach, byli w jego pojęciu barbarzyńcami. W Manderley nie wolno było ich zrywać. Czasem, jadąc samochodem po okolicy, widział rowerzystów z pękami dzwonek przyczepionymi do kierownicy. Więdzące kielichy traciły kolor, pokaleczone łodygi sterczały nagie, pokryte kurzem.

Prymule nie są tak wrażliwe. Choć to kwiat dziki, dostosowuje się łatwo do cywilizacji. Prymule wdzięczą się i uśmiechają bez żalu, włożone do zwykłego słoika stojącego w oknie wiejskiego domku mogą przetrwać tydzień, jeśli mają dość wody.

Żadnych polnych kwiatów nie wolno było przynosić do domu w Manderley. Do dekoracji służyły wyłącznie kwiaty

wyhodowane w ogrodzie otoczonym murem. Róże są jednymi z nielicznych kwiatów, mówił, które wyglądają lepiej w wazonie niż na krzewie. Nabierają wówczas barwy i zapachu, jakich nie posiadają w ogrodzie. Rozkwitłe róże mają w sobie coś pospolitego, płytkiego i jaskrawego, jak kobiety o nieuczesanych włosach. W domu stają się tajemnicze i subtelne. Róże kwitną w Manderley przez osiem miesięcy w roku.

Spytał, czy lubię bzy. Na skraju trawnika rośnie krzew, którego zapach dociera do jego sypialni. Siostra de Wintera, trzeźwo myśląca praktyczna osoba, skarżyła się zawsze, że w Manderley za dużo jest kwiatów. Zapach ich odurza. Może miała rację. Ale to go nie obchodziło. Było to jedyne odurzenie, jakie go pociągało. Jego pierwsze wspomnienia z dzieciństwa wiążą się z wielkimi gałęziami bzu wstawionymi do białych wazonów. Kwiaty wypełniały dom przenikliwym, budzącym tęsknotę zapachem.

Krzewy azalii i rododendronów rosną po obu stronach ścieżki biegnącej doliną ku zatoce. A gdy się szło ścieżką w majowy wieczór, odnosiło się wrażenie, że krzewy wydzielają całą posiadaną woń. Gdy schyliłeś się i podniosłeś opadły płatek, krusząc go w palcach, miałeś w dłoni esencję tysiąca zapachów – upajającą, pełną słodyczy. Wychodziłeś z doliny oszołomiony, niemal pijany, na twardy, biały żwir plaży i nad cichą wodę. Ciekawy, może zbyt raptowny kontrast...

Podczas gdy de Winter opowiadał, samochód nasz przyłączył się do wielu innych. Nie zauważyłam, kiedy zapadł zmierzch. Wjechaliśmy w światła i hałas ulic Monte Carlo. Hałas działał mi na nerwy, a światła były zbyt jaskrawe, zbyt żółte. Zmiana nastroju nastąpiła za szybko, była gwałtowna i niepożądana.

Niedługo przyjedziemy do hotelu. Zaczęłam szukać rękawiczek w kieszeni drzwi samochodu. Znalazłam je, a jednocześnie palce moje natrafiły na jakąś książkę. Cienkość jej świadczyła, że są to wiersze. Staralam się przeczytać tytuł, gdy samochód zwalniał przed drzwiami hotelu.

– Może pani tę książkę zabrać i przeczytać, jeśli pani ma ochotę – powiedział de Winter. Głos jego brzmiał teraz obojętnie i zdawkowo. Przejażdżka się skończyła, wróciliśmy do hotelu i Manderley oddaliło się o wiele setek mil.

Ucieszyłam się z książki i trzymałam ją mocno w ręce wraz z rękawiczkami. Pragnęłam mieć jakąś rzecz należącą do niego, teraz gdy musiałam się z nim rozstać.

– Tu się pożegnamy – powiedział. – Muszę odstawić samochód. Nie zobaczymy się wieczorem w restauracji, bo jem obiad gdzie indziej. Dziękuję za dzisiejszy dzień.

Weszłam sama do hotelu, przygnębiona jak dziecko, którego rozrywka nagle się skończyła. To popołudnie zepsuło mi resztę dnia. Myślałam, jak godziny będą się wlokły do chwili, kiedy pójdę spać, jak smutno mi będzie podczas samotnej kolacji.

Nie mogłabym znieść wesołych pytań pielęgniarki na górze ani szorstkich indagacji pani van Hopper, toteż usiadłam w rogu za kolumną i zamówiłam herbatę.

Zjawił się znudzony kelner, a widząc, że jestem sama, nie okazywał pośpiechu. Była to zresztą najnudniejsza pora dnia, kilka minut po wpół do szóstej, kiedy podwieczorek już minął, a godzina koktajli jeszcze nie nadeszła.

Opuszczona, zniechęcona, zasiadłam głębiej w fotelu i zaczęłam kartkować tomik wierszy. Książka, bardzo zniszczona od ciągłego przeglądania, otworzyła się sama na stronie, którą ktoś musiał często czytać.

*Uciekłam odeń w głąb nocy i dni,
Uciekłam odeń pod sklepienie lat;
Zamknęłam przed nim serca mego drzwi,
Kryjąc się, uczuć zacierając ślad
Mgłą łez i w śmiechu wrzaskliwych kaskadach;
A potem – w górę, przez urwisty stok
Biegłam, ścigana krok w krok,
I w dół spadałam w mroki przerażenia,
Czując, że za mną cień się jego skrada.*

Czułam się jak ktoś, kto podgląda przez dziurkę od klucza. Odłożyłam książkę z lekkim niepokojem. Jaki demon pognał go w góry dziś po południu? Przypomniałam sobie ten moment, gdy zaledwie kilka kroków dzieliło nas od przepaści głębokiej na dwa tysiące stóp, oraz dziwny wyraz twarzy de Wintera. Czyje kroki słyszał w swej wyobraźni, czyje szept, jakie wspomnienia, i dlaczego właśnie ten wiersz przechowuje

w kieszeni drzwi samochodu? Pragnęłam, aby de Winter był mniej daleki, a ja kim innym, tylko nie tym stworzeniem w zniszczonym kostiumie i w pensjonarskim kapeluszu o zbyt szerokim rondzie.

Nadąsany kelner przyniósł mi podwieczorek. Podczas gdy jadłam chleb z masłem, smakujący jak trociny, myślałam o ścieżce w dolinie, którą mi dziś po południu opisywał de Winter, o zapachu azalii i o białym żwirze na brzegu zatoki. Jeśli on kochał to wszystko tak bardzo, dlaczego skusiła go powierzchowna błyskotliwość Monte Carlo? Powiedział pani van Hopper, że nie miał żadnych wyraźnych planów i że wyjechał w pośpiechu. Wyobraziłam go sobie biegnącego po tej ścieżce w dolinie oraz pędzącego tuż za nim demona.

Wzięłam znowu książkę do ręki. Tym razem otworzyła się na stronie tytułowej. Przeczytałam dedykację: „Maxowi – od Rebeki. 17 maja”. Słowa te napisane były dziwnym, pochyłym pismem. Mały kleks widniał na poprzedniej czystej stronie, jak gdyby osoba pisząca dedykację strząsnęła niecierpliwie pióro, żeby atrament napłynął do stalówki. Potem, gdy zaczęła pisać, atrament kładł się grubo i imię Rebeka wyróżniało się mocniejszą czernią. Duże, pochyłe „R” górowało nad innymi literami.

Zatrzasnęłam książkę i odłożyłam na bok, przykrywając ją rękawiczkami. Wyciągnęłam rękę do stojącego w pobliżu krzesła, wzięłam stary egzemplarz „L'Illustration” i zaczęłam przewracać kartki. Natrafiłam na piękne fotografie zamków nad Loarą. Przeczytałam uważnie cały artykuł, przyglądając się zdjęciom, ale gdy skończyłam, uświadomiłam sobie, że nie rozumiałam ani słowa. To nie Blois ze swoimi strzelistymi wieżyczkami i wieżami wyzierało z zadrukowanej stronicy. To była twarz pani van Hopper, którą poprzedniego dnia widziałam w restauracji, to były jej małe oczka zerkające ukradkiem na sąsiedni stół. Ravioli nadziane na widelec zawisły w powietrzu, podczas gdy mówiła:

– Potworna tragedia, pełno o niej było w gazetach. Podobno on nigdy o tym nie mówi, nigdy nie wspomina jej imienia. Utopiła się w zatoce w pobliżu Manderley...

Cieszy mnie, że gorączka pierwszej miłości nie może się powtórzyć. Pierwsza miłość bowiem to gorączka i brzemię zarazem, cokolwiek by o tym pisali poeci. Kiedy się ma dwadzieścia jeden lat, nie jest się zbyt odważnym. Dni pełne są drobnych tchórzostw, bezpodstawnych lęków. Tak łatwo się poczuć urażonym, tak szybko dotkniętym, tak rani każde ostrzejsze słowo. Dziś, pod osłoną pancerza obojętności i dojrzałości, drobne ukłucia zdarzające się co dnia są zaledwie lekkimi muśnięciami i szybko się o nich zapomina. Lecz w tym czasie – jakże długo dźwięczało w uszach jakieś niedbale wypowiedziane słowo, stając się płomiennym stygmatem, a rzucone przez ramię spojrzenie nabierało cech wieczności. Byle wykręt kojarzył się z trzykrotnym pianiem kura, a każdy wybieg przypominał pocałunek Judasza. Dorosły człowiek może kłamać z niezmaconym spokojem sumienia i zachowuje się beztrosko, ale wówczas nawet drobne kłamstwo paliło język, rzucało na stos.

– Co robiłaś dziś rano?

Słyszę jeszcze głos pani van Hopper opartej o poduszki. Okazywała rozdrażnienie charakterystyczne dla osób, które nie są obłożnie chore i za długo leżą w łóżku. A ja, sięgając do szufladki stolika nocnego po karty, czułam, jak pełna winy oblewam się rumieńcem.

– Grałam w tenisa z trenerem. – W momencie gdy wypowiadałam to kłamstwo, ogarnęła mnie panika, bo co by się stało, gdyby trener właśnie teraz, tego popołudnia, przyszedł do apartamentu mojej pracodawczyni i wtargnąwszy do sypialni, poskarżył się, że nie przychodziłam na lekcje od wielu dni?

– To bardzo niedobrze, że w czasie mojej choroby masz tak mało zajęcia – powiedziała pani van Hopper, gasząc papierosa

w słoiku z kremem. Wzięła karty do ręki i zaczęła je tasować wprawnymi, irytującymi ruchami nałogowego gracza. – Nie wiem, co ty robisz przez cały dzień – ciągnęła – nigdy nie pokazujesz mi swoich szkiców, a gdy proszę, byś zrobiła dla mnie zakupy, zapominasz o taxolu. Mam wszakże nadzieję, że zrobisz postępy w tenisie, przyda ci się to później. Marny gracz to okropność. Czy nadal serwujesz z dołu? To fałszywy system.

Rzuciła na stół damę pik, której ponura twarz patrzyła na mnie jak Jezebel.

– Tak – powiedziałam dotknięta pytaniem, myśląc, jak słuszne i właściwe było jej powiedzenie. Określało mnie doskonale. Ja postępowałam fałszywie. Wcale nie grałam z trenerem, nie grałam w tenisa ani razu, od kiedy zachorowała, a od tego czasu minęło już ponad dwa tygodnie. Zastanawiałam się, dlaczego robiłam z tego tajemnicę, dlaczego nie mówiłam jej, że każdego ranka de Winter zabiera mnie na przejażdżkę samochodem, że jem lunch przy jego stole.

– Musisz częściej chodzić do siatki, inaczej nie będziesz nigdy dobrze grać – powiedziała pani van Hopper, a ja zgodziłam się, zżymając się na swoją hipokryzję i kładąc na jej damę waleta kier.

Monte Carlo zatarło się częściowo w mojej pamięci, a także nasze poranne przejażdżki, miejsca, które zwiedzaliśmy, nawet nasze rozmowy. Ale nie zapomniałam dotychczas, jak mi drżały ręce, gdy wkładałam kapelusz, jak pędziłam korytarzem i w dół po schodach, zbyt niecierpliwa, by czekać na wolno zjeżdżającą windę, jak wybiegałam przez wahadłowe drzwi, zanim portier zdążył je uchylić.

De Winter już czekał na mnie, siedząc za kierownicą. Czytał gazetę, a na mój widok uśmiechał się, rzucał dziennik na tylne siedzenie i otwierał drzwi, mówiąc:

– Jak się dziś czuje „przyjaciółka od serca” i dokąd chciałaby pojechać?

Nawet gdyby jeździł przez cały czas w kółko, byłoby mi to zupełnie obojętne. Znajdowałam się bowiem w tym pierwszym, pełnym podniecenia stanie, kiedy sam fakt, że siadam obok niego i objąwszy kolana, pochylam się ku przedniej szybie, był oszalamiający. Czułam się jak mały uczeń adorujący starszego

kolegę – opiekuna z najwyższej klasy, tylko że de Winter był zarazem miłszy i bardziej niedostępny.

– Dziś wieje zimny wiatr, proszę włożyć mój płaszcz.

Pamiętam to dobrze, gdyż byłam na tyle młoda, by czuć się szczęśliwa na myśl, że mam na sobie jego okrycie. Podobnie uczeń, któremu jego bohater powierzył sweter, zawiązuje rękawy na szyi, dusząc się z dumy. Gdy pożyczalam płaszcz de Wintera i zarzucałam go na ramiona, choćby na przeciąg kilku minut, stanowiło to dla mnie wielkie szczęście i opromieniało cały ranek.

Jakże obce mi były subtelne sposoby kusicielskie, o których czytałam w książkach – wyzwanie i pościg, sztuka słownego fechtunku, zaczepne spojrzenie, podniecający uśmiech. Arkana prowokacji były mi nieznane. Siedziałam z mapą na kolanach, wiatr rozwiewał moje matowe, niekręcące się włosy, i czułam się szczęśliwa, gdy de Winter milczał, a zarazem wyczekiwałam jego słów. Czy mówił, czy nie, nastrój mój nie ulegał zmianie. Jedynym moim wrogiem był zegar w samochodzie, którego wskazówki posuwały się nieubłaganie w kierunku godziny pierwszej. Jeździliśmy na wschód, jeździliśmy na zachód, mijaliśmy setki wiosek przyczepionych jak mięczaki do skał wybrzeża Morza Śródziemnego, a dziś nie pamiętam nazwy żadnej z nich.

Pamiętam jedynie gładkość skórzanych siedzeń, mapę leżącą na moich kolanach, postrzępioną na brzegach, zniszczoną na zgięciach. Pamiętam, jak pewnego dnia, patrząc na zegar, pomyślałam: Nie wolno mi nigdy zapomnieć tego momentu... jest teraz dwadzieścia minut po jedenastej. Zamknęłam oczy, żeby sobie tę chwilę lepiej utrwalić w pamięci. Gdy je otworzyłam, zbliżaliśmy się do zakrętu drogi, a wiejska dziewczyna w czarnym szalu pozdrawiała nas ręką. Mam żywo w pamięci tę postać – zakurzoną spódnicę, błysk białych zębów w przyjaznym uśmiechu. W ciągu sekundy minęliśmy zakręt i dziewczyna zniknęła nam z oczu. Należała już do przeszłości, była tylko wspomnieniem.

Chciałam wrócić, uchwycić tę chwilę, która minęła. Uświadomiłam sobie jednak, że gdybyśmy to zrobili, obraz byłby inny, nawet słońce już powędrowałoby wyżej na niebie, rzucając inne cienie, a dziewczyna szłaby przed siebie, nie

pozdrawiając nas tym razem, może nie zauważając wcale. Rozmyślania te przejmowały mnie dreszczem, wprowadzały nastrój melancholii, a gdy spojrzałam na zegar, zobaczyłam, że upłynęło dalsze pięć minut. Wkrótce nadejdzie pora, kiedy będziemy musieli wracać do hotelu.

– Jak by to było dobrze – powiedziałam impulsywnie – żeby wynaleziono sposób na przechowywanie wspomnień podobnie jak perfum. Tak, żeby się nie ulatniały i nigdy nie spowszedniały i żeby w dowolnej chwili można było odkorkować butelkę i przeżywać ten moment na nowo.

Spojrzałam na de Wintera, czekając, co powie. Nie odwrócił głowy, wpatrywał się w drogę.

– Jakież to poszczególne momenty w swoim młodym życiu chciałaby pani przeżyć na nowo?

Nie mogłam poznać po jego głosie, czy żartuje ze mnie, czy mówi serio.

– Nie wiem – zaczęłam, ale potem wyrwało mi się nieopatrznie: – Chciałabym zachować tę chwilę i nigdy jej nie zapomnieć.

– Czy to ma być pochwała dzisiejszego dnia, czy też mnie jako kierowcy? – zapytał. A gdy roześmiał się kpiąco jak brat, zamilkłam, uświadamiając sobie nagle, jak wielka dzieli nas przepaść – przepaść, którą zwiększa jeszcze jego dobroć.

Zrozumiałam wówczas, że nigdy nie powiem pani van Hopper o naszych rannych wycieczkach, bo jej uśmiech dotknąłby mnie tak samo jak jego śmiech. Nie gniewałaby się ani nie zgorszyła. Podniosłaby lekko brwi, jakby w niedowierzaniu, po czym powiedziałaby, wzruszając tolerancyjnie ramionami:

– Moje dziecko, to niezwykle miło i ładnie z jego strony, że zabiera cię na wycieczki. Chodzi tylko o to, czy aby jesteś pewna, że go te przejażdżki straszliwie nie nudzą?

Następnie kazałaby mi iść po taxol, klepiąc mnie po ramieniu. Co za upokorzenia związane są z młodością, pomyślałam i zaczęłam obgryzać paznokcie.

– Chciałabym – powiedziałam z pasją, wciąż jeszcze słysząc śmiech de Wintera i nie zastanawiając się nad słowami – chciałabym być kobietą w wieku lat trzydziestu sześciu, ubraną w czarną jedwabną suknię, ze sznurem pereł na szyi.

– Gdyby tak było, nie siedziałyby pani w tym samochodzie ze mną – odparł. – Proszę przestać obgryzać paznokcie, i tak są już dostatecznie brzydkie.

– Pewnie uzna mnie pan za niegrzeczną impertynentkę – ciągnęłam – ale chciałabym wiedzieć, dlaczego zaprasza mnie pan na wycieczki dzień po dniu. Jasne, że pan to robi z dobrego serca, ale dlaczego ja jestem przedmiotem tej pańskiej dobroci?

Siedziałam sztywno wyprostowana, biła ze mnie nieszczęsna napuszoność młodości.

– Zapraszam na wycieczki – odpowiedział poważnie – ponieważ nie nosi pani czarnej jedwabnej sukni ani pereł i nie ma pani trzydziestu sześciu lat.

Z jego twarzy nie mogłam wyczytać, czy śmieje się ze mnie w duchu, czy nie.

– To bardzo pięknie – powiedziałam. – Pan wie o mnie wszystko, co tylko można wiedzieć. Przyznaję, że to niewiele, bo nie żyłam zbyt długo i niewiele wydarzyło się w tym czasie prócz śmierci bliskich mi osób, ale o panu wiem tylko tyle, co usłyszałam w dniu naszego pierwszego spotkania.

– Czego się pani wówczas dowiedziała?

– Tego, że mieszka pan w Manderley i... i że stracił pan żonę.

Wreszcie wypowiedziałam słowo, które miałam na końcu języka przez tyle dni. Żona. Słowo to padło lekko, swobodnie, jak gdyby wzmianka o niej była najzwyczajszą rzeczą pod słońcem. Żona. Słowo to zawisłe w powietrzu w chwili, gdy je wypowiedziałam, tańczyło mi przed oczami. A ponieważ przyjął je w milczeniu, słowo to nabrało nienawistnego i przerażającego znaczenia, stało się zakazanym słowem o nienaturalnym brzmieniu. Nie mogłam go cofnąć, to było nieodwracalne. Znowu ujrzałam napis na tytułowej stronie tomiku poezji i to dziwne, pochyle „R”. Serce ścisnęło mi się boleśnie. On mi tego nigdy nie wybaczy, to będzie koniec naszej przyjaźni.

Pamiętam, że wpatrywałam się w szybę wprost przed siebie, nie widząc uciekającej drogi, a w uszach dzwoniło mi nadal to słowo. Milczenie zamieniło się w minuty, minuty – w mile. Myślałam, że wszystko jest skończone, że już nigdy z nim nie pojedę. Jutro on wyjedzie. A pani van Hopper rozpocznie normalny tryb życia. Będziemy z nią spacerować po tarasie tak jak przedtem. Portier zniesie na dół jego walizki ze świeżo

naklejonymi nalepkami. Zobaczą je przelotnie w windzie bagażowej. Zamieszanie związane z wyjazdem i nastrój ostatecznego rozstania. W wyobraźni usłyszałam odgłos zmiany biegu, w chwili gdy samochód skręcał na skrzyżowaniu, potem nawet i ten odgłos wsiąkł w hałas uliczny, aż wreszcie znikł na zawsze.

Byłam tak głęboko pochłonięta tą wizją, że widziałam nawet, jak żegnający go portier schował do kieszeni napiwek i wchodząc przez drzwi hotelowe, szepnął coś przez ramię odźwiernemu. Nie zauważyłam, że samochód zwolnił biegu i dopiero gdy się zatrzymał, powróciłam do rzeczywistości. De Winter siedział bez ruchu. Bez kapelusza, z białym szalikiem dookoła szyi, przypominał teraz bardziej niż kiedykolwiek średniowieczną postać z portretu. Pogodny krajobraz nie tworzył dla niego odpowiedniego tła. De Winter powinien stać na schodach strzelistej katedry, z zarzuconą opończę, podczas gdy żebrak u jego stóp zbierałby złote monety.

Zniknął przyjaciel wraz z jego dobrocią i koleżeńskością, zniknął także brat, który śmiał się ze mnie, gdy obgryzałam paznokcie. Ten mężczyzna był mi obcy. Zastanawiałam się, dlaczego siedzę obok niego w samochodzie.

Wtem de Winter odwrócił się do mnie i powiedział:

– Przed chwilą mówiła pani o wynalazku umożliwiającym przechowywanie wspomnień. Powiedziała pani, że chciałaby móc w dowolnej chwili przeżywać przeszłość. Ja mam inne zdanie na ten temat. Moje wspomnienia są gorzkie i wolę o nich nie myśleć. Przed rokiem wydarzyło się coś, co zmieniło całe moje życie. Chcę zapomnieć wszystko, co przeżyłem aż do tego momentu. Te dni minęły, zostały wykreślone. Muszę zacząć życie na nowo. Tego dnia, gdyśmy się poznali, pani van Hopper spytała mnie, dlaczego przyjechałem do Monte Carlo. Otóż Monte Carlo pomogło mi zakorkować te wspomnienia, które pani chciałaby wskrzesić. Oczywiście, nie zawsze udaje się utrzymać je zakorkowane... niekiedy zapach przenika przez korek butelki i jest zbyt silny dla mnie. Wówczas zły duch, jak ktoś podglądający ukradkiem, stara się wyciągnąć korek. Zrobił to podczas naszej pierwszej wspólnej przejażdżki, gdy pojechaliliśmy w góry i stanęliśmy nad przepaścią. Byłem tam przed kilku laty z moją żoną. Spytała mnie pani, czy miejsce to

wygląda tak samo, czy nic się nie zmieniło. Wyglądało dokładnie tak samo, ale, co stwierdziłem z ulgą, było dziwnie bezosobowe. Nic nie przypominało tamtej chwili. Nie pozostawiliśmy po sobie żadnych cieni. Może dlatego, że pani była ze mną. Pani przekreśliła moją przeszłość znacznie skuteczniej niż wszystkie światła Monte Carlo. Gdyby nie pani, wyjechałbym stąd dawno do Włoch i Grecji, a może jeszcze dalej. Zaoszczędziła mi pani tylu wędrowek. Do diabła z pani purytańskim przemówieniem! Do diabła z pani pomysłem o mojej dobroci. Zapraszam panią, bo pragnę pani towarzystwa, a jeśli mi pani nie wierzy, może pani wysiąść z wozu i sama wracać do domu. Proszę otworzyć drzwi i wyjść!

Siedziałam bez słowa, trzymając ręce na kolanach, nie wiedząc, czy mówi to serio.

– No cóż – dodał – co pani ma zamiar zrobić?

Gdybym była o rok czy dwa młodsza, tobym się chyba rozplakała. Dziecinne łzy są tuż pod powiekami i płyną przy byle sposobności. Czułam, że napływają mi do oczu, czułam, że oblewam się rumieńcem. Spojrzawszy przelotnie w lusterko nad szybą, zobaczyłam, jak żałośnie wyglądam – smutne oczy, purpurowe policzki, proste włosy zwisające spod filcowego kapelusza o zbyt szerokim rondzie.

– Ja chcę do domu – powiedziałam drżącym głosem.

De Winter bez słowa uruchomił silnik, włączył bieg i zawrócił, kierując się tam, skąd przed chwilą przyjechaliśmy.

Szybko przebywaliśmy przestrzeń. O wiele za szybko, pomyślałam, zbyt łatwo, a krajobraz przyglądał nam się obojętnie. Dojechaliśmy do zakrętu szosy, który chciałam uwiecznić w pamięci. Wiejskiej dziewczyny już tam nie było, koloryt zszarzał – zakręt nie różnił się właściwie niczym od innych zakrętów mijanych przez setki turystów. Cały urok tego miejsca zniknął wraz z moim dobrym nastrojem, a na myśl o tym zadrżały mi usta i дума dorosłej osoby poszła w zapomnienie. Podłe łzy zachwycone swoim zwycięstwem wypełniły mi oczy i popłynęły po policzkach.

Nie mogłam ich powstrzymać, gdyż przyszły nieproszone. Gdybym sięgnęła do kieszeni po chustkę, de Winter zauważyłby, że płaczę. Muszę pozwolić łzom płynąć i znosić ich słony smak na wargach, aby uniknąć dalszego upokorzenia. Nie wiem, czy

de Winter odwrócił głowę i spojrział na mnie, bo wpatrywałam się uporczywie w drogę wzrokiem zamglonym łzami. Nagle ujął moją rękę, podniósł ją do ust i pocałował, potem bez słowa rzucił mi swoją chustkę na kolana. Byłam zbyt zawstydzona, by jej dotknąć.

Myślałam o bohaterkach powieści, które zawsze wyglądają pięknie, gdy płaczą. Jakież kontrast musiała przedstawiać moja zapuchnięta twarz i czerwone obwódki dokoła oczu. Jakie ponure zakończenie mojego poranka, a dzień, który mnie czekał, będzie tak długi! Zjem lunch z panią van Hopper w jej pokoju, ponieważ pielęgniarka została zwolniona na popołudnie. Potem z całą niestrudzoną energią rekonwalescentka zmusi mnie do gry w bezika. Wiedziałam, że będę dusić się w tym pokoju. Pogniecione prześcieradła, rozrzucone koce, zmiętoszone poduszki i szafka nocna zasypana pudrem, zalana perfumami, poplamiona różem – wszystko to wywoływało we mnie obrzydzenie. Łóżko będzie zarzucone gazetami złożonymi byle jak, francuskie powieści z postrzępionymi brzegami i zerwanymi okładkami będą leżały pomieszane z amerykańskimi magazynami. Zgniecione niedopałki papierosów będą znajdować się wszędzie – w słoiku z kremem, na talerzu z winogronami i na podłodze przy łóżku. Odwiedzający zawsze hojnie obdarowywali ją kwiatami. Wazony stały jeden obok drugiego, a w nich oranżeryjne, egzotyczne rośliny gęsto otaczały delikatną mimozę. Nad nimi górowało wielkie, przybrane wstążkami pudełko owoców w cukrze.

Później znajomi przyjdą na koktajle, które będę musiała przygotować, nienawidząc moich obowiązków. Będę stała onieśmielona w swoim kącie, osaczona ich papuzią paplaniną. Będę się znowu czuła jak chłopiec, który znosi chłostę za swojego pana, i rumieniła się za panią van Hopper, gdy podniecona przybyciem gości usiądzie na łóżku i zacznie za głośno mówić, za długo się śmiać, wreszcie sięgnie po patefon i nastawi płytę, kołysząc grubymi ramionami w takt muzyki. Wolałam panią van Hopper kłótliwą i zniecierpliwioną, z upiętymi loczkami, gniewającą się, że zapomniałam kupić taxol. Te wszystkie przykrości oczekiwały mnie w jej apartamencie, podczas gdy de Winter po rozstaniu ze mną

powędruje sam w kierunku morza, poczuje wiatr na twarzy, będzie iść ku słońcu. Możliwe, że pogrąży się w tych wspomnieniach, o których nic nie wiedziałam i których nie mogłam z nim dzielić. Przewędruje ponownie przez minione lata.

Przepaść dzieląca nas była teraz głębsza niż kiedykolwiek, a on stał na drugim brzegu, odwrócony ode mnie. Poczułam się bardzo młoda, mała i ogromnie samotna. Zapominając o dumie, wzięłam jego chustkę i wytarłam nos. Nie dbałam już więcej o mój nieszczęsny wygląd. To nie mogło mieć żadnego znaczenia.

– Do diabła z tym wszystkim – powiedział nagle de Winter jakby zły, jakby znudzony. Przyciągnął mnie bliżej do siebie i objął ramieniem, nie spuszczać oczu z drogi, trzymając prawą rękę na kierownicy. Pamiętam, że samochód pędził jeszcze szybciej niż przedtem.

– Jesteś taka młoda, że mogłabyś być moją córką, a ja nie umiem z tobą postępować.

Droga zwięzła się na zakręcie, a de Winter musiał szybkim zwrotem ominąć psa. Myślałam, że mnie puści, ale trzymał nadal przy sobie. Gdy minęliśmy zakręt i byliśmy znów na prostej, w dalszym ciągu nie zwolnił uścisku.

– Proszę zapomnieć wszystko, co mówiłem dziś rano – powiedział po chwili. – To jest skończone i zlikwidowane. Nie wspominajmy o tym nigdy więcej. Rodzina nazywa mnie zawsze Maximem, chciałbym, żebyś mnie tak samo nazywała. Już zbyt długo traktujesz mnie tak bardzo oficjalnie.

Wyciągnął rękę, chwycił mój kapelusz za rondo i cisnął przez ramię na tylne siedzenie. Potem pochylił się i pocałował mnie w czubek głowy.

– Obiecuj mi, że nigdy nie włożysz czarnej jedwabnej sukni.

Uśmiechnęłam się, a on odpowiedział mi uśmiechem. Ranek stał się znów wesoły, promienny. Popołudnie z panią van Hopper nie miało żadnego znaczenia. Przemienie szybko, a potem nastanie wieczór i jutrzejszy dzień. Byłam pewna siebie, triumfująca, czułam się w tym momencie niemal na tyle odważna, by uważać się za równą mojej pracodawczyni. Widziałam siebie, jak wkroczę do sypialni pani van Hopper, spóźniona na bezika, a gdy spyta mnie, ziewając niedbale,

o przyczynę spóźnienia, odpowiem: „Straciłam poczucie czasu. Jadłam lunch z Maximem”.

Byłam jeszcze na tyle dziecinna, by uważać mówienie po imieniu za wielką zdobycz.

Ranek ten, pomimo przykrych chwil, radował mnie pewną bliskością, która się wytworzyła między nami. Nie pozostawałam tak daleko w tyle, jak przypuszczałam. Nadto Maxim pocałował mnie. Pocałunek ten był naturalny, pocieszający i spokojny. Nie odznaczał się dramatycznością, jak opisują to w książkach. Nie wprawił mnie w zakłopotanie. Wydawało mi się, że ten beznamiętny pocałunek przyniósł swobodniejszy nastrój. Wszystko stało się proste. Przepaść między nami przestała istnieć. Odtąd miałam go nazywać Maximem.

Popołudnie spędzone z panią van Hopper nie było tak uciążliwe, jak się tego obawiałam, chociaż odwaga opuściła mnie i nie wspomniałam o moim poranku. Kiedy po skończonej grze pani van Hopper złożyła karty i wyciągając rękę po pudełko, spytała: „Powiedz mi, czy Max de Winter nadal mieszka w hotelu?”, zawahałam się chwilę jak pływak przed skokiem do wody, stchórzyłam i tracąc wyuczone panowanie nad sobą, odpowiedziałam:

– Tak, myślę, że tak, bo przychodzi do restauracji na posiłki.

Ktoś musiał jej coś powiedzieć, pomyślałam, ktoś widział nas razem, może trener poskarżył się, może zarządzający hotelem przysłał ostrzeżenie – czekałam na jej atak. Ale ona spokojnie wkładała karty do pudełka, ziewając leniwie, podczas gdy ja doprowadzałam do porządku rozrzuconą pościel. Potem podałam jej puderniczkę, pudełko z różem i pomadkę do ust. Pani van Hopper odłożyła karty i wzięła ze stolika lusterko.

– Przystojny facet – powiedziała – ale sędzę, że dziwak z niego, trudno go rozgryźć. Myślałam, że w czasie rozmowy przy kawie zaprosi mnie do Manderley, ale był bardzo powściągliwy.

Milczałam. Patrzyłam na nią, gdy brała pomadkę i poprawiała zarys swoich wąskich ust.

– Nigdy jej nie widziałam – ciągnęła, odsuwając lusterko od twarzy, by zobaczyć efekt – ale podobno była bardzo ładna. Ubierała się znakomicie i olśniewała pod każdym względem.

Winterowie urządzali wspaniałe przyjęcia w Manderley. Śmierć jej była nagła i tragiczna. Słyszałam, że ją ubóstwiał. Potrzebny mi ciemniejszy puder do tej jaskrawej pomadki. Przynieś mi, moja droga, i schowaj to pudełko do szuflady.

Byłyśmy zajęte pudrem, perfumami i różem, dopóki nie rozległ się dzwonek i nie weszli goście. Podałam im koktajle. Byłam otępiała, nie miałam ochoty do rozmowy. Zmieniałam płyty, wyrzucałam niedopałki.

– Czy rysowała pani coś ostatnio, młoda osobo? – Sztuczna serdeczność starego bankiera z monoklem zwisającym na tasiemce i mój wesoły uśmiech nieszczerości.

– Nie, ostatnio wcale nie rysowałam. Czy można panu podać papierosy?

To nie ja odpowiedziałam, wcale mnie tam nie było. W wyobraźni poszukiwałam ducha, którego mglista postać wreszcie nabrała kształtu. Rysy Rebeki były niewyraźne, koloryt niedostrzegalny, rozstawienie oczu i gatunek włosów nadal nieznanne, wszystko jeszcze do odkrycia.

Uroda jej przetrwała w pamięci, a uśmiech nie został zapomniany. Gdzieś nadal rozbrzmiewał jej głos, wracało wspomnienie jej słów. Były takie domy, które odwiedzała, i rzeczy, których dotykała. Może w szafach wiszą suknie, które nosiła, z niewywietrzalym jeszcze zapachem perfum.

W mojej sypialni, pod poduszką leży książka, którą miała w rękach. Widzę Rebeke, jak otwiera ją na pierwszej, czystej stronie, uśmiecha się, pisząc, i strząsa pióro. „Maxowi od Rebeki”. To musiały być jego urodziny, a Rebecka położyła książkę wśród innych prezentów na stole śniadaniowym. Śmieli się razem, gdy zrywał papier i sznurek. Może ona zaglądała mu przez ramię, gdy czytał dedykację. Max. Nazywała go Maxem. To brzmiało poufale, wesoło i łatwo się wymawiało. Niech go sobie rodzina nazywa Maximem. To dobre dla babek, ciotek i takich osób jak ja spokojnych, nudnych, młodych, które nie mają znaczenia. Ona wybrała sobie skrót Max. Słowo to było jej własnością, napisała je z taką pewnością siebie na stronie tytułowej książki. Ten śmiały charakter pisma, jakby przebijający biały papier, był symbolem jej osobowości, tak pewnej siebie, tak opanowanej.

Wiele razy musiała do niego pisać i w różnych nastrojach, a zawsze używała tego zdrobnienia.

Krótkie liściki nabazgrane na małych kartkach papieru i niekończące się listy, gdy wyjeżdżał, intymne, przeznaczone tylko dla nich wiadomości. Jej głos rozlegający się po całym domu i ogrodzie, beztroski i bliski, podobnie jak dedykacja w książce.

A ja miałam go nazywać Maximem.

Pakowanie. Dręczący smutek związany z wyjazdem. Zgubione klucze, niewypełnione nalepki, bibułka rozrzucona na podłodze. Nienawidzę tego wszystkiego. Nawet teraz, gdy tyle się napodróżowałam, gdy mieszkam, jak to się mówi, na walizkach. Nawet dziś, kiedy zasuwanie szuflad i otwieranie szaf i komód w hotelach czy wynajętych willach stało się dla mnie czynnością nieomal mechaniczną, ulegam smutkowi i czuję, że coś tracę. Tutaj, powiadam sobie, żyliśmy, byliśmy szczęśliwi. To było nasze, chociaż na tak krótko. Dwie noce tylko spędziliśmy pod tym dachem, a jednak pozostawiamy coś po sobie. Nic materialnego, jak szpilka do włosów na toaletce czy pusta butelka po pigułkach aspiryny, czy chustka do nosa pod poduszką, lecz coś nieokreślonego, chwilę naszego życia, jakąś myśl, jakiś nastrój.

Dom ten był naszym schronieniem, rozmawialiśmy, kochaliśmy się wśród tych ścian. To było wczoraj. Dzisiaj wędrujemy dalej, nie zobaczymy go więcej i jesteśmy inni, zmieniliśmy się w jakiś niedostrzegalny sposób. Nigdy nie będziemy tacy sami jak przedtem. Nawet gdy zatrzymujemy się, by zjeść lunch w jakiejś przydrożnej gospodzie, a ja idę do ciemnego, nieznanego pokoju, żeby umyć ręce – klamka u drzwi jest mi obca, tak jak tapeta odklejająca się od ścian i małe popękane lustro nad umywalnią – chwila ta jest moja, należy do mnie. Zdaję sobie z tego sprawę. To terażniejszość. Nie ma przeszłości i przyszłości. Oto myję ręce, a popękane lustro ukazuje mi moje odbicie, jak gdyby zawieszony w czasie. To jestem ja, ta chwila nie przeminie.

Następnie otwieram drzwi i idę do pokoju jadalnego, gdzie Maxim czeka na mnie przy stole, a ja rozmyślam, że przez

chwilę postarzałam się i poszłam dalej, że zrobiłam jeden krok naprzód w kierunku nieznanego przeznaczenia.

Uśmiechamy się, wybieramy potrawy, mówimy o tym i owym, ale – rozmyślam jednocześnie – nie jestem tą samą osobą, która rozstała się z nim przed pięciu minutami. Osoba ta pozostała w przeszłości. Jestem inną kobietą, starszą, bardziej dojrzałą...

Onegdaj przeczytałam w gazecie, że hotel Côte d'Azur w Monte Carlo przeszedł pod inne kierownictwo i ma zmienioną nazwę. Całe wnętrze zostało przerobione, pokoje urządzone inaczej. Może apartament pani van Hopper na pierwszym piętrze już nie istnieje. Może nie ma już śladu po mojej małej sypialni. Tego dnia, gdy klęczałam na podłodze i mocowałam się z uszkodzonym zamkiem kufra, czułam, że tu nigdy nie wrócę.

Epizod ten skończył się z chwilą zatrzaśnięcia zamka. Wyrzałam przez okno i miałam wrażenie, że odwracam stronę albumu z fotografiami. Te szczyty dachów i to morze przestały być moje. Należały do dnia wczorajszego, do przeszłości. Pokoje ogołoczone z naszych rzeczy wydawały się już puste. Apartament robił wrażenie, że pragnie się nas pozbyć i oczekuje niecierpliwie nowych gości, którzy mieli przybyć nazajutrz, ciężkie kufry stały pozamykane na korytarzu. Mniejsze walizki miały być później spakowane. Na wpół opróżnione butelki z lekarstwami, słoiki z kremami, podarte rachunki i listy wypełniały kosze do śmieci po brzegi. Szuflady stolików świeciły pustką, biurko było ogołoczone z drobiazgów. Poprzedniego dnia pani van Hopper zaskoczyła mnie wiadomością o nagłym wyjeździe, gdy nalewałam jej kawę podczas śniadania.

– Helena odpływa do Nowego Jorku w sobotę. Małej Nancy grozi operacja wyrostka robaczkowego, więc Helenę wezwano telegraficznie do domu. To przyśpieszyło moją decyzję. Pojedziemy także. Europa mi obrzydła, zresztą możemy tu wrócić wczesną jesienią. Jak ci się podoba perspektywa zobaczenia Nowego Jorku?

Sama myśl o wyjeździe przejęła mnie zgrozą. Widocznie rozpacz odbiła się na mojej twarzy, gdyż pani van Hopper najpierw zdziwiła się, potem rozgniewała.

– Co z ciebie za dziwne, wiecznie niezadowolone dziecko! Nie mogę cię rozgryźć. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że w Stanach

dziewczeta w twojej sytuacji, bez pieniędzy, mogą się świetnie bawić? Tłumy chłopców i rozrywek. Wszyscy ci chłopcy należą do twojej klasy. Możesz mieć swoje własne kółko przyjaciół i nie będziesz musiała być stale na każde moje wezwanie, tak jak tutaj. Myślałam, że nie lubisz Monte Carlo?

– Przyzwyczaiłam się – odpowiedziałam niezręcznie, zrozpaczona, bijąc się z myślami.

– To trudno, będziesz musiała przyzwyczaić się do Nowego Jorku i już. Musimy zdążyć na ten statek Heleny, więc trzeba natychmiast zająć się biletami. Pójdź zaraz na dół do biura hotelowego i zmusz tego młodego człowieka, by przejawiał trochę energii. Będziesz miała tak wypełniony dzień, że nie znajdziesz chwili na cierpienia z powodu wyjazdu z Monte Carlo.

Roześmiała się nieprzyjemnie, gasząc papierosa w maśle, i poszła telefonować do wszystkich swoich znajomych.

Nie byłam w stanie pójść od razu do biura. Weszłam do łazienki, zamknęłam drzwi i usiadłam na korkowej macie, podpierając rękami głowę.

Stało się wreszcie, nadszedł czas wyjazdu. Wszystko skończone. Jutro wieczorem znajdę się w pociągu, trzymając na kolanach jej pudełko z biżuterią i pled, jak pokojówka, a ona w tym potwornym nowym kapeluszu z jednym piórem, niknąca w ogromnym futrze, będzie siedziała naprzeciwko mnie w wagonie sypialnym. Umyjemy się w tym małym dusznym przedziale o stukających drzwiach, wyposażonym w zachlapaną umywalkę, wilgotny ręcznik, mydło z przyczepionym włosem, karafkę na wpół wypełnioną wodą, nieodłączny napis na ścianie *Sous le lavabo se trouve une vase*. A tymczasem każdy wstrząs, każde szarpnięcie pędzącego pociągu będzie mi oznajmiać, że mila za milą oddala mnie od niego. On siedzi samotnie w restauracji hotelowej przy znanym mi stole i czyta książkę, nie przejmując się niczym, nie myśląc.

Może pożegnam się z nim w holu, tuż przed wyjazdem. Ukradkowe, szybkie pożegnanie w tajemnicy przed panią van Hopper. Nastąpi chwila milczenia, potem uśmiech i słowa. „Tak, naturalnie, proszę napisać”. „Nie podziękowałam należycie za twoją dobroć”. „Musisz przysłać mi te zdjęcia”. „Jaki jest twój adres?” „Przyślę go później”. On zapali papierosa, prosząc

przechodzącego kelnera o zapalną, a ja pomyślę: Jeszcze tylko cztery i pół minuty. Nigdy go już więcej nie zobaczę.

Ponieważ wyjeżdżam, ponieważ wszystko skończone, nagle nie będziemy mieli sobie nic do powiedzenia. Staniemy się obcymi ludźmi, spotykającymi się po raz ostatni, podczas gdy myśli moje kołaczą się boleśnie, wołając: „Kocham cię tak bardzo. Jestem okropnie nieszczęśliwa. Nigdy przedtem mnie to nie spotkało i nigdy już nie spotka”. Usta moje ułożą się w wymuszony, konwencjonalny uśmiech, a mój głos będzie mówił: „Spójrz na tego śmiesznego staruszka, kto to może być, musiał dopiero przyjechać”. Zmarnujemy ostatnie chwile, śmiejąc się z obcego człowieka, ponieważ sami staliśmy się już sobie obcy. „Mam nadzieję, że zdjęcia będą udane”, powiem, powtarzając się z rozpaczą, a on podchwyci: „Tak, to zdjęcie na placu powinno wypaść dobrze, światło było odpowiednie”. Rozmawialiśmy już o tym – było mi zresztą obojętne, czy zdjęcie będzie niejasne i czarne, teraz kiedy nadchodzi ten ciężki moment ostatecznego pożegnania.

„Strasznie dziękuję jeszcze raz, było tak cudownie...” – powiem z tym sztucznym uśmiechem, używając słów, których nigdy nie używałam. „Cudownie” – co to znaczy? Było mi to zupełnie obojętne. Pensjonarki mówiły tak o hokeju, ale słowo to nie nadawało się do określenia ubiegłych tygodni, pełnych smutku i radości. Potem otworzą się drzwi windy, ukazując panią van Hopper, ja przejdę przez hol na jej spotkanie, a on wolno powróci do swego kącika i weźmie do ręki gazetę.

Siedząc tak głupio na macie korkowej w łazience, przeżywałam to wszystko, a także naszą podróż i przyjazd do Nowego Jorku. Ostry głos Heleny, która jest mniej korpulentnym wydaniem matki, i Nancy, jej okropne dziecko. Studenci, z którymi pani van Hopper mnie zapozna, i młodzi urzędnicy bankowi – odpowiedni towarzysze dla kogoś w mojej sytuacji – będą mi proponować: „Może spotkamy się w środę wieczór”. „Czy pani lubi jazz?”. Chłopcy z zadartymi nosami i świecącymi twarzami. Będę musiała być uprzejma, marząc jednocześnie o tym, aby móc zostać sama z własnymi myślami, choćby, tak jak teraz, zamknięta w łazience.

Pani van Hopper zastukała do drzwi.

– Co ty tam robisz?

– Przepraszam, już wychodzę. – Udałam, że odkręcam kurek, myję ręce i wieszam ręcznik.

Spojrzała na mnie z ciekawością, gdy otworzyłam drzwi.

– Ale długo tam byłaś! Przecież wiesz, że dziś nie ma czasu na marzenia, za dużo jest roboty.

On niewątpliwie za kilka tygodni wróci do Manderley, tego byłam pewna. Wielki stos listów będzie oczekiwać go w holu, a wśród nich mój list, nabazgrany na statku. Sztuczny list, siłący się na dowcip, opisujący towarzyszy podróży. Będzie leżał zapomniany w teczce do listów. Maxim odpowie nań po wielu tygodniach, pewnego niedzielnego ranka, w pośpiechu, przed lunchem, znalazłszy list przy płaceniu jakichś rachunków. A potem nic więcej. Nic poza kartką świąteczną – a to będzie ostateczne poniżenie. Może z rysunkiem Manderley na tle zimowego krajobrazu. Drukowane życzenia brzmiące: „Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku od Maximiliana de Wintera”. Złote litery. Ale przez grzeczność przekreśli piórem wydrukowane nazwisko i napisze pod spodem na osłode „od Maxima”, a jeśli będzie miejsce, doda: „Mam nadzieję, że dobrze się bawisz w Nowym Jorku”. Zaklei kopertę, nalepi znaczek i ciśnie ją na stos innych życzeń.

– Szkoda, że panie jutro wyjeżdżają – powiedział portier, trzymając słuchawkę w ręce. – W przyszłym tygodniu rozpoczynają się przedstawienia baletu. Czy pani van Hopper wie o tym?

Z wysiłkiem oderwałam się myślami od Bożego Narodzenia w Manderley i zajęłam się naszą podróżą.

Pani van Hopper miała zjeść lunch w restauracji po raz pierwszy po swojej chorobie, a mnie ścisnęło w dołku, gdy wchodziłam za nią na salę. Wiedziałam, że Maxim wyjechał na cały dzień do Cannes, bo uprzedził mnie o tym poprzedniego dnia. Obawiałam się ciągle, że kelner będzie niedyskretny i zapyta: „Czy mademoiselle będzie jadła obiad z monsieur dziś wieczór jak zwykle?”. Robiło mi się niedobrze za każdym razem, gdy kelner zbliżał się do naszego stołu, ale na szczęście nic nie powiedział.

Dzień minął na pakowaniu rzeczy, a wieczorem przyszli znajomi, aby się pożegnać. Jadłyśmy obiad w saloniku, a potem pani van Hopper poszła od razu spać. Nie widziałam się

dotychczas z Maximem. Zeszłam do holu o wpół do dziesiątej pod pretekstem zdobycia nalepek bagażowych, ale go tam nie było. Niesympatyczny portier uśmiechnął się na mój widok.

– Jeśli pani szuka pana de Wintera, to telefonował z Cannes, że nie wróci przed północą.

– Proszę o paczkę nalepek bagażowych – powiedziałam, ale poznałam po jego oczach, że nie dał się oszukać. Nie będzie więc nawet ostatniego wieczoru. Tę godzinę, na którą czekałam przez cały dzień, będę musiała spędzić w samotności mojej sypialni, wpatrując się w walizkę i solidną torbę podróżną. Może to i lepiej, gdyż niewesoły byłby ze mnie kompan, a Maxim wyczytałby wszystko z mojej twarzy.

Wiem, że płakałam tej nocy. Były to gorzkie, młodzieńcze łzy, jakie dziś nie popłynęłyby z moich oczu. Taki płacz, z głową głęboko wtuloną w poduszkę, nie zdarza się, gdy się skończyło dwadzieścia jeden lat. Pulsujące skronie, zapuchnięte oczy, ściśnięte gardło. A rano te rozpaczliwe wysiłki, żeby ukryć ślady łez przed światem – zimne okłady, woda kolońska, nadmierna ilość pudru. Strach, że łzy napływające same do oczu i drżenie ust doprowadzą do katastrofy. Pamiętam, że otworzyłam szeroko okno i wychyliłam się przez nie. Miałam nadzieję, że świeży ranny powiew ochłodzi zdradliwą czerwień pod warstwą pudru. Słońce nigdy nie świeciło tak jasno ani dzień nie zapowiadał się tak pięknie. Monte Carlo wydało mi się nagle pełne życzliwości i uroku. Miałam wrażenie, że jest to jedyne bliskie mi miejsce na świecie. Kochałam je. Ogarnęła mnie fala tkliwości. Chciałam pozostać tu na całe życie, a opuszczałam je dzisiaj. Po raz ostatni szczotkuję włosy przed tym lustrem, po raz ostatni myję zęby nad tą umywalnią. Nigdy nie będę spać w tym łóżku. Nigdy nie przekreślę kontaktu tej lampy. Oto drepczę w szlafroku, roztkliwiając się nad zwykłym pokojem hotelowym.

– Czy ty aby nie dostałaś kataru? – spytała mnie pani van Hopper przy śniadaniu.

– Nie – odpowiedziałam – chyba nie. – Przez myśl przebiegło mi, że będę mogła posłużyć się tą wymówką, jeśli będę miała zbyt zaczerwienione oczy.

– Nie cierpię wyczekiwania, gdy wszystkie rzeczy są spakowane – narzekła pani van Hopper. – Trzeba było

zdecydować się na wcześniejszy pociąg. Mogłybyśmy zdążyć, gdybyśmy się postarały. Byłybyśmy wówczas dłużej w Paryżu. Należałoby zadepeszyć do Heleny, żeby nas nie oczekiwała na dworcu. Trzeba będzie ustalić inne miejsce spotkania. A może – spojrzała na zegarek – udałoby się jeszcze zmienić zamówione bilety. W każdym razie warto spróbować. Idź i dowiedz się w biurze.

– Dobrze – powiedziałam, ulegając jej kaprysom jak manekin. Poszłam do sypialni, zrzuciłam szlafrok, włożyłam tę swoją starą flanelową spódnicę i wciągnęłam przez głowę sweter własnej roboty.

Moja obojętność w stosunku do pani van Hopper zmieniła się w nienawiść. Więc to już koniec, nawet ranek zostanie mi zabrany. Nie tylko nie starczy czasu na półgodzinną rozmowę na tarasie, ale może nawet zabraknąć kilku minut na pożegnanie. I to dlatego, że pani van Hopper zjadła trochę wcześniej śniadanie i że się nudzi. Trudno, cisnę w kąt powściągliwość i pruderię, zapomnę o ambicji. Zatrzasnęłam drzwi apartamentu i pobiegłam wzdłuż korytarza. Nie czekałam na windę, przeskakiwałam po trzy stopnie po schodach aż na trzecie piętro. Znałam numer jego pokoju – 148 – i zaczęłam walić do drzwi, bez tchu z wypiekami na twarzy.

– Proszę! – krzyknął.

Otworzyłam drzwi, już żałując swego postępku i tracąc odwagę. Pomyślałam, że może dopiero co się obudził, przecież wrócił późno w noc i leży jeszcze w łóżku, rozczochrany i zły.

Golił się już jednak przy otwartym oknie w bonzurce z wielbłądziej wełny włożonej na piżamę. Czułam się niezdarnie w swoim flanelowym kostiumie i ciężkich butach. Teraz wydało mi się, że postąpiłam głupio, robiąc z tego tragedię.

– O co chodzi? – spytał. – Czy coś się stało?

– Przyszłam się pożegnać. Wyjeżdżamy dziś rano.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, potem odłożył brzytwę na umywalkę.

– Zamknij drzwi – powiedział.

Zamknęłam je i stałam zmieszana, ze spuszczonej rękami.

– Co ty opowiadasz?

– Mówię, że wyjeżdżamy dzisiaj. Miałyśmy jechać późniejszym pociągiem, a teraz ona chce zdążyć na

wcześniejszy. Bałam się, że się już nie zobaczymy, a chciałam koniecznie ci przed wyjazdem podziękować.

Wymknęły się te idiotyczne słowa, zupełnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Byłam sztywna i onieśmielona, za chwilę powiem, jaka nasza znajomość była „cudowna”.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

– Ona zdecydowała się dopiero wczoraj. Wszystko zostało załatwione w pośpiechu. Córka jej odpływa do Nowego Jorku w sobotę, a my mamy jechać z nią razem. Spotkamy się w Paryżu, a stamtąd udamy się do Cherbourga.

– Zabiera cię ze sobą do Nowego Jorku?

– Tak, ale ja nie chcę jechać. Wiem, że będę się tam źle czuła, że będę nieszczęśliwa.

– Więc dlaczego z nią jedziesz, na litość boską?

– Muszę, przecież wiesz o tym, zarabiam w ten sposób na życie. Nie stać mnie na to, by rzucić tę posadę.

Maxim wziął brzytwę i skończył się golić.

– Usiądź – powiedział – to nie potrwa długo. Ubiorę się w łazience. Będę gotów za pięć minut.

Wziął ubranie z krzesła, cisnął je do łazienki na podłogę, wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. Usiadłam na łóżku i zaczęłam obgryzać paznokcie. Znalazłam się w przedziwnej sytuacji, stałam się marionetką. Zastanawiałam się, co on myśli, co zrobi.

Rozejrzałam się po pokoju. Był to typowo męski pokój, bez piętna indywidualności. Panował w nim nieporządek. Zauważyłam nadmierną ilość butów i całe wiązki krawatów. Na toalecie dostrzegłam tylko dużą butelkę szamponu i parę szczotek do włosów w oprawie z kości słoniowej, żadnych fotografii portretowych, żadnych zdjęć amatorskich. Instynktownie rozglądałam się po pokoju, spodziewając się, że przynajmniej jedna fotografia będzie stała przy łóżku lub na półce nad kominkiem. Jedna duża fotografia w skórzanej ramce. Jednakże na półce znajdowały się tylko książki i pudełko z papierosami.

Zgodnie z obietnicą Maxim ubrał się w pięć minut.

– Chodź, posiedzisz ze mną na tarasie, a ja zjem śniadanie.

Spojrzałam na zegarek.

– Nie mam czasu, muszę się już zająć zmianą zamówionych biletów.

– Mniejsza o to, muszę z tobą pomówić.

Wyszliśmy na korytarz, Maxim zadzwonił po windę. On nie rozumie, pomyślałam, że wcześniejszy pociąg odchodzi za półtorej godziny. Pani van Hopper zatelefonuje lada moment do portiera i spyta, czy tam jestem.

Milcząc, zjechaliśmy windą i wyszliśmy na taras, gdzie stoły nakryte były do śniadania.

– Co będziesz jeść? – spytał.

– Już zjadłam śniadanie, a zresztą mogę tu zostać tylko cztery minuty.

– Proszę o kawę, jajko na miękko, grzanki, marmoladę i mandarynkę – zwrócił się do kelnera.

Wyciągnął z kieszeni pilnik i zaczął opilać paznokcie.

– A więc pani van Hopper znudziło się Monte Carlo – powiedział – i teraz chce wrócić do domu. Ja również. Ona do Nowego Jorku, a ja do Manderley. Co wolisz? Możesz wybierać.

– Nie kpij ze mnie, to nieładnie. Muszę dowiedzieć się o te bilety, więc pożegnaj się teraz.

– Jeśli myślisz, że należę do ludzi, którzy starają się być dowcipni przy śniadaniu, to się grubo mylisz. Jestem zawsze w złym humorze wczesnym rankiem. Powtarzam, masz do wyboru. Albo jedziesz do Ameryki z panią van Hopper, albo ze mną do Manderley.

– Czy to oznacza, że potrzebujesz sekretarki czy czegoś w tym rodzaju?

– Nie, proponuję ci małżeństwo, mały głuptasie.

Nadszedł kelner ze śniadaniem. Siedziałam, trzymając ręce na kolanach, i przyglądałam się, jak kelner stawia na stole dzbanki z kawą i mlekiem.

– Nie zdajesz sobie sprawy – powiedziałam po odejściu kelnera – że nie jestem osobą, która nadaje się do małżeństwa.

– Co chcesz przez to powiedzieć, do diabła?! – wykrzyknęłam, odkładając łyżeczkę i wpatrując się we mnie.

Patrzyłam na muchę, która siadła na marmoladzie. Maxim odgonił ją niecierpliwym gestem.

– Nie wiem, jak to ująć – powiedziałam powoli. – Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ale na przykład choćby to, że nie należę do

twego świata.

– Jaki jest mój świat?

– No, przecież Manderley. Wiesz, co mam na myśli.

Wziął łyżeczkę i nałożył sobie marmolady na talerzyk.

– Równie mało orientujesz się w tych sprawach jak pani van Hopper i jesteś równie niemądra. Co ty wiesz o Manderley? Tylko ja mogę osądzić, czy będziesz pasowała do tego otoczenia, czy nie. Myślisz pewnie, że oświadczam ci się tak nagle tylko dlatego, że nie chcesz jechać do Nowego Jorku. Myślisz, że proszę cię, byś wyszła za mnie za mąż z tego samego powodu, dla którego, jak przypuszczałaś, wozilem cię samochodem i zaprosilem na obiad tego pierwszego wieczoru. Żeby okazać dobre serce. Czy tak?

– Tak – odpowiedziałam.

– Pewnego dnia – ciągnął, smarując grzanekę grubo marmoladą – może uświadomisz sobie, że dobroczynność nie jest najsilniej rozwiniętą we mnie cechą. W tej chwili w ogóle nic sobie nie uświadomiasz. Nie dałaś mi odpowiedzi. Czy zostaniesz moją żoną?

Nie sądzę, bym nawet w najśmielszych marzeniach uważała to za możliwe. Pewnego razu, gdy jechałam z nim samochodem, po dłuższej chwili milczenia zaczęła mi się snuć po głowie fantastyczna historia, że on jest ciężko chory, w malignie i że posłał po mnie, bym go pielęgnowała. Kiedy fantazja doprowadziła mnie do momentu, w którym odświeżałam mu skronie wodą kolońską, zajechaliśmy przed hotel i na tym się wszystko skończyło. Kiedy indziej wyobraziłam sobie, że mieszkam w jakimś domku na terenie Manderley, do którego on przychodzi czasem i siaduje przy kominku. Ta nagła propozycja małżeństwa oszołomiła mnie, a nawet wstrząsnęła do głębi. Tak jakby się sam król oświadczył. To nie brzmiało prawdziwie. A on dalej zjadał marmoladę, jak gdyby to była najzwyczajsza rzecz pod słońcem. W książkach mężczyźni klękali przed kobietami, i to w świetle księżyca. Nie oświadczali się przy śniadaniu i nie w ten sposób.

– Zdaje się, że moja propozycja nie została zbyt dobrze przyjęta – powiedział. – Bardzo mi przykro. Myślałem, że mnie kochasz. Dobra nauczka za moją zarozumiałość.

– Ale ja cię kocham, kocham cię szalenie! Byłam bardzo nieszczęśliwa przez ciebie. Płakałam całą noc, bo myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę.

Gdy powiedziałam te słowa, Maxim roześmiał się i wyciągnął do mnie rękę przez stół.

– Niech cię Pan Bóg błogosławi za to wyznanie. Kiedyś, gdy osiągniesz wspaniały wiek trzydziestu pięciu lat, o którym marzysz, przypomnę ci tę chwilę. A ty mi nie uwierzysz. Jaka szkoda, że musisz dorosnąć.

Zawstydziłam się i byłam zła na niego za to, że śmiał się ze mnie. Widocznie kobiety nie robiły takich wyznań mężczyznom. Wielu rzeczy muszę się jeszcze nauczyć.

– A więc zgadzasz się, tak? – ciągnął, jedząc grzanekę z marmoladą. – Zamiast być towarzyszką pani van Hopper, staniesz się moją towarzyszką, a twoje obowiązki będą niemal dokładnie takie same. Ja również lubię nowe książki z czytelnicy, kwiaty w salonie i bezika po obiedzie. I żeby ktoś mi nalewał herbatę. Jedyna różnica polega na tym, że nie używam taxolu, wolę eno. Poza tym będziesz musiała pilnować, żeby nigdy nie zabrakło mojej ulubionej pasty do zębów.

Bębniłam palcami po stole, nie będąc pewna ani siebie, ani jego. Czy nadal wyśmiewał się ze mnie, czy to wszystko było żartem? Spojrzał na mnie i widocznie dostrzegł niepokój na mojej twarzy.

– Zachowuję się jak brutal, prawda? Inaczej sobie wyobrażałaś oświadczyzny. Powinniśmy znajdować się w oranżerii, ty w białej sukni z różą w ręku, w oddali powinny rozbrzmiewać dźwięki walca granego na skrzypcach. A ja powinienem całować cię namiętnie za palną. To byś dopiero uważała za prawdziwe oświadczyzny. Kochane biedactwo, czujesz się pokrzywdzona. Nie martw się, zabiorę cię za to do Wenecji w podróż poślubną, będziemy trzymać się za ręce w gondoli. Ale nie zostaniemy tam długo, bo chcę ci pokazać Manderley.

Chciał mi pokazać Manderley... Nagle uświadomiłam sobie, że wszystko się spełni, zostanę jego żoną, będziemy razem spacerować po ogrodzie, schodzić po ścieżce biegnącej doliną ku morzu. Widziałam siebie, jak stoję na stopniach tarasu po śniadaniu, obserwując niebo i rzucając okruchy ptakom,

a potem w dużym kapeluszu ocieniającym twarz i z sekatorem w rękę wędruję do ogrodu ścinać kwiaty do wazonów. Wiedziałam teraz, dlaczego, będąc dzieckiem, kupiłam tę pocztówkę z widokiem Manderley – to było przeczucie, nieświadomy krok w przyszłość.

Chciał mi pokazać Manderley... Puściłam wodze fantazji. Zjawiały się przede mną różne postacie i obraz po obrazie, a on przez cały czas zajadał mandarynkę, dając mi co chwila po cząsteczce i obserwując mnie uważnie. Oto jesteśmy otoczeni tłumem ludzi, a Maxim zwraca się do kogoś: „Zdaje się, że pani nie zna jeszcze mojej żony”. Pani de Winter. Będę panią de Winter. Myślałam o nowym nazwisku i o tym, jak ono będzie wyglądać na czekach dla dostawców i na wysyłanych przeze mnie zaproszeniach.

Słyszałam siebie mówiącą przez telefon: „A może byście przyjechali do Manderley na następny weekend?”. Dużo gości, zawsze tłum ludzi. „Ach, jaka ona jest czarująca, musicie ją poznać...” To o mnie ktoś szepnie tak z boku, a ja odwrócę się, udając, że nie słyszałam.

Idę do jakiegoś domku z koszykiem pełnym winogron i brzoskwiń dla chorej staruszki. Ręce jej wyciągają się do mnie: „Niech panią Pan Bóg błogosławi za jej dobroć”. A ja powiem: „Gdyby czegoś było potrzeba, proszę zwrócić się do pałacu”. Pani de Winter. Będę panią de Winter. Widziałam lśniąca powierzchnię stołu w sali jadalnej, długie świece. Maxima siedzącego na jednym końcu. Obiad na dwadzieścia cztery osoby, we włosy mam wpięty kwiat. Wszyscy patrzą na mnie, podnosząc kieliszki. „Wypijmy zdrowie pani domu”. Później Maxim powie: „Nigdy nie wyglądałaś tak ładnie jak dzisiaj”. Wielkie, chłodne pokoje pełne kwiatów. Moja sypialnia z płonącem kominkiem w zimie. Ktoś stuka do drzwi. Wchodzi jakaś uśmiechnięta pani, siostra Maxima, i zwraca się do mnie: „To wprost nadzwyczajne, jak ty go potrafiłaś uszczęśliwić. Cieszymy się z tego bardzo, wszyscy są tobą zachwyceni”. Pani de Winter. Będę panią de Winter.

– Reszta mandarynki jest kwaśna, nie jedz jej – odezwał się Maxim. Spojrzałam na niego, słowa powoli docierały do mojej świadomości. Popatrzyłam na talerzyk. Cząsteczka owocu była twarda i niedojrzała. Miał rację. Mandarynka była bardzo

kwaśna. Czułam jej ostry, gorzki smak w ustach, ale dopiero teraz to zauważyłam.

– Czy ja mam zakomunikować tę nowinę pani van Hopper, czy ty sama to zrobisz?

Maxim złożył serwetkę, odsunął talerzyk, a ja zastanawiałam się, jak on może mówić o tym tak spokojnie, jakby to była jakaś błaha sprawa, jakby chodziło tylko o zmianę planów i nic więcej. Dla mnie był to niby wybuch pocisku rozpryskującego się na tysiąc odłamków.

– Ty jej powiedz, będzie bardzo zła.

Wstaliśmy od stołu. Byłam podniecona, miałam wypieki i drżałam na myśl o tym, co mnie czeka. Byłam ciekawa, czy Maxim powie kelnerowi, biorąc mnie z uśmiechem pod rękę: „Może pan nam złożyć życzenia, mademoiselle i ja mamy zamiar się pobrać”. Pozostali kelnerzy usłyszą te słowa, uklonią się, uśmiechną, a gdy przejdziemy do holu, fala podniecenia popłynie za nami. Lecz Maxim nic nie powiedział. Bez słowa opuścił taras, a ja poszłam za nim w kierunku windy. Minęliśmy portiernię, nikt na nas nawet nie spojrział. Portier przeglądał stos papierów, rozmawiając przez ramię ze swoim pomocnikiem. On nie wie, pomyślałam, że zostanę panią de Winter. Będę mieszkać w Manderley. Manderley będzie należeć do mnie. Wjechaliśmy windą na pierwsze piętro, a gdy szliśmy korytarzem, Maxim wziął mnie za rękę i zaczął nią wymachiwać w takt kroków.

– Czy mężczyzna czterdziestodwuletni wydaje ci się bardzo stary? – spytał.

– O nie – odpowiedziałam szybko, może zbyt skwapliwie. – Ja nie lubię młodych ludzi.

– Nie znałaś żadnych.

Doszliśmy do drzwi apartamentu.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli to sam załatwię – odezwał się Maxim. – Powiedz mi, czy nie masz nic przeciw temu, żebyśmy się szybko pobrali? Chyba nie chcesz robić sobie wyprawy lub innych głupstw w tym rodzaju? Formalności można bez trudu załatwić w ciągu kilku dni. Pozwolenie, ślub cywilny, a potem wyjazd samochodem do Wenecji albo gdziekolwiek tylko zechcesz.

– Nie w kościele? – spytałam. – Nie w białej sukni, z druhami, dzwonami i chórem chłopców? A co powiedzą twoi krewni i wszyscy znajomi?

– Zapominasz, że taki ślub już brałam.

Staliśmy pod drzwiami. Zauważyłam, że gazeta nadal sterczy w skrzynce na listy. Byłyśmy zbyt zajęte, by czytać przy śniadaniu.

– A więc co o tym myślisz?

– Dobrze – odpowiedziałam. – Dotychczas przypuszczałam, że pobierzemy się w Anglii. Nie zależy mi na ślubie kościelnym, tłumie ludzi i wszelkich ceremoniach.

Uśmiechnęłam się do niego i dodałam pogodnie:

– Tak będzie chyba najmilej.

Maxim tymczasem odwrócił się do drzwi i otworzył je. Weszliśmy do małego przedpokoju.

– Czy to ty?! – zawołała pani van Hopper z saloniku. – Gdzieś ty się, do licha, podziewała? Dzwoniłam do portiera trzy razy, powiedziano mi, że ciebie nie widzieli.

Nagle zachciało mi się jednocześnie śmiać i płakać. Bolesny skurcz ścisnął mi serce. Przez chwilę pragnęłam, żeby się to wszystko nie wydarzyło, żebym była gdzieś daleko, sama, żebym szła na spacer, pogwizdując bez troski.

– To wszystko z mojej winy – powiedział Maxim, wchodząc do saloniku i zamykając za sobą drzwi. Usłyszałam jej okrzyk zdziwienia.

Poszłam do swego pokoju i usiadłam przy otwartym oknie. Czułam się jak w poczekalni u lekarza. Powinnam przerzucać jakiś tygodnik, przyglądać się fotografiom niebudzącym zainteresowania i czytać artykuły, z których nie zapamiętam ani słowa, aż do momentu wejścia pielęgniarki, pogodnej i energicznej, wypranej z wszelkich uczuć ludzkich przez lata stosowania środków dezynfekcyjnych.

– Wszystko w porządku, operacja się udała. Nie ma żadnego powodu do niepokoju. Proszę iść do domu i przespać się.

Ściany między pokojami były grube, nie dochodziły mnie żadne odgłosy rozmowy. Zastanawiałam się, co on jej mówi, jak układa zdania. Może powiedział: „Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Widywaliśmy się codziennie”. A ona na to: „Ach, proszę pana, to jest najbardziej romantyczna historia,

jaką słyszałam”. Romantyczne – to było słowo, które starałam się przypomnieć sobie, jadąc windą. Tak, naturalnie, romantyczne. W ten sposób ludzie to określają. Niespodziewane i romantyczne. Nagle postanowili się pobrać i już. Co za przygoda. Uśmiechałam się do siebie, siedząc na ławeczce pod oknem, obejmując rękami kolana i rozmyślając, jak to będzie cudownie, jaka ja będę szczęśliwa. Miałam wyjść za mąż za człowieka, którego kocham. Zostanę panią de Winter. Jak to głupio, że nie ustaje ten ucisk w dołku, skoro jestem taka szczęśliwa. To nerwy, oczywiście. Wyczekiwanie jak u doktora. Ale właściwie może byłoby lepiej, z pewnością bardziej naturalnie, gdybyśmy weszli razem do saloniku, trzymając się za ręce, śmiejąc się, uśmiechając do siebie i żeby on powiedział: „Mamy zamiar się pobrać, kochamy się bardzo”.

Kochamy się. Dotychczas nie powiedział ani razu, że mnie kocha. Może nie zdążył. Wszystko odbyło się tak szybko podczas śniadania. Marmolada, kawa i ta mandarynka. Nie zdążył. Mandarynka była bardzo gorzka. Nie, nie powiedział, że mnie kocha. Tylko to, że się pobierzemy. Krótko i zdecydowanie, bardzo oryginalnie. Oryginalne oświadczenia są lepsze, bardziej prawdziwe, niepodobne do innych oświadczeń. Niepodobne do oświadczeń młodych ludzi, którzy pewnie plotą głupstwa, nie wierząc w połowę wypowiedzanych słów. Młodzi ludzie mówią bez związku, namiętnie, składając niemożliwe do dotrzymania przysięgi. Tak jak on za pierwszym razem, gdy oświadczał się Rebecce... Nie wolno mi o tym myśleć. Daj spokój, to zakazana myśl, którą podszeptuje zły duch. Idź precz, szatanie! Nie wolno mi o tym myśleć, nigdy, nigdy, nigdy. On mnie kocha, chce mi pokazać Manderley. Kiedyż oni wreszcie skończą tę rozmowę, kiedy zawołają mnie do tamtego pokoju?!

Wzrok mój padł na tomik wierszy leżący na stoliku przy moim łóżku. Maxim zapomniał, że mi go pożyczył. Widocznie więc nie przywiązywał wielkiej wagi do tych wierszy. „Czemu zwlekasz? – szepnął zły duch. – Otwórz książkę na stronie tytułowej, przecież to właśnie masz ochotę zrobić. Otwórz ją”. Nieprawda, powiedziałam, ja tylko chcę zapakować książkę. Ziewnęłam, wolno podeszłam do stolika. Wzięłam książkę do ręki. Zahaczyłam nogą o sznur od nocnej lampki, potknęłam się i upuściłam książkę na podłogę. Otworzyła się na stronie

tytułowej. „Maxowi od Rebeki”. Ona nie żyje. Nie trzeba myśleć o umarłych. Śpią w spokoju, a wiatr kołysze trawą porastającą ich groby. Jak żywe jednak jest jej pismo, jakże pełne siły. Te dziwne, pochyłe litery. Ten kleks zrobiony wczoraj. Dedykacja wyglądała, jakby była napisana wczoraj. Wyjęłam nożyczki do paznokci z neseseru i zaczęłam wycinać tę stronę, oglądając się za siebie jak zbrodniarz.

Wycięłam całą stronę. Nie zostawiłam postrzępionych brzegów. Książka stała się znowu biała i czysta. Nowa, nietknięta książka. Podarłam tę stronę na strzępy i wrzuciłam je do kosza na śmieci. Potem usiadłam znowu przy oknie. Nie przestawałam jednak myśleć o tych strzępach i po chwili musiałam wstać i zajrzeć do kosza. Nawet teraz widać było wyraźnie grube, czarne litery na skrawkach papieru. Pismo nie uległo zniszczeniu. Wzięłam zapalki i podпалиłam te skrawki. Płomień miał piękny kolor, papier czerniał, brzegi zwijały się, pochyłe pismo znikało. Ze skrawków pozostał szary popiół. Litera „R” zniknęła ostatnia, zwinęła się w płomieniu, rozprostowała na chwilę, stając się większa niż kiedykolwiek, wreszcie rozsypała się także. Ogień ją zniszczył. To nawet nie był popiół, tylko pył lekki jak puch...

Umyłam ręce. Poczułam się lepiej, znacznie lepiej. Ogarnęło mnie to czyste, świeże uczucie, jakie ma się przy zawieszaniu kalendarza na początku roku. Pierwszego stycznia. Powiało świeżością, pogodną otuchą. Otworzyły się drzwi i Maxim wszedł do pokoju.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Najpierw zaniemówiła ze zdumienia, ale już zaczyna odzyskiwać równowagę. Idę na dół do portiera, żeby dopilnować jej wyjazdu wcześniejszym pociągiem. Wahala się przez chwilę. Pewnie miała nadzieję, że będzie świadkiem na naszym ślubie, ale byłem nieustępliwy. Idź i rozmów się z nią.

Nie powiedział, że się cieszy, że jest szczęśliwy. Nie wziął mnie pod rękę i nie wszedł ze mną do saloniku. Uśmiechnął się, skinął ręką i wyszedł na korytarz. Poszłam do pani van Hopper, czując się niepewnie i niewyraźnie jak pokojówka, która wymówiła pracę za pośrednictwem przyjaciółki.

Stała przy oknie, paląc papierosa. Dziwaczna, przysadzista postać, której już nigdy nie zobaczę. Płaszcz opinał ciasno jej

duże piersi, śmieszny kapelusz siedział bokiem na głowie.

– No cóż – odezwała się suchym, ostrym tonem. Takim tonem nie zwróciłaby się do Maxima. – Muszę przyznać, że szybko się zawięłaś. „Cicha woda brzegi rwie” potwierdza się całkowicie w twoim przypadku. Jak tego dokonałaś?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie podobał mi się jej uśmiech.

– Bardzo szczęśliwie złożyło się dla ciebie, że miałam grypę. Teraz rozumiem, jak spędzałaś dni i dlaczego byłaś taka roztargniona. Lekcje tenisa... ha! Powinnaś była mi o tym powiedzieć.

– Przepraszam panią.

Popatrzyła na mnie z zaciekawieniem. Potem obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem od stóp do głów.

– Powiedział mi, że chce wziąć ślub za kilka dni. Twoje szczęście, że nie masz rodziny, która by ci mogła zadawać kłopotliwe pytania. Mnie ta cała sprawa już nie obchodzi, umyvam ręce. Nie wiem, co pomyślą sobie jego znajomi, ale to jego rzecz. Czy wiesz, że on jest o wiele starszy od ciebie?

– Ma tylko czterdzieści dwa lata – powiedziałam – a ja jestem poważna jak na swój wiek.

Pani van Hopper roześmiała się i strząsnęła popiół z papierosa na podłogę.

– O tak, niewątpliwie.

Przyglądała mi się nadal w sposób, w jaki nigdy przedtem tego nie robiła. Oceniała mnie, badając zalety, jak sędzia na pokazie bydła. Oczy jej miały jakiś dociekliwy, nieprzyjemny wyraz.

– Powiedz mi – odezwała się poufnym tonem niby przyjaciółka do przyjaciółki – czy zrobiłaś coś, czego nie powinnaś była zrobić?

Przypominała teraz krawcową Blaize, która zaproponowała mi te dziesięć procent.

– Nie wiem, co pani ma na myśli.

Roześmiała się, wzruszyła ramionami.

– Och... mniejsza z tym. Ale zawsze twierdziłam, że angielskie dziewczęta to zagadkowe stworzenia, pomimo ich pozornego zamiłowania do sportu. A więc mam jechać sama do Paryża i zostawić cię tutaj, dopóki twój adorator nie załatwi

formalności związanych ze ślubem? Widzę, że nie zaprasza mnie na wesele.

– Wydaje mi się, że nikogo nie prosi, zresztą pani już będzie wtedy płynąć do Nowego Jorku.

– Hm, hm – mruknęła. Wzięła torebkę z przyborami kosmetycznymi i zaczęła pudrować nos. – Przypuszczam, że wiesz, co robisz – ciągnęła. – Bądź co bądź, to wszystko stało się bardzo szybko, prawda? W ciągu kilku tygodni zaledwie. Nie sądzę, żeby on miał łatwy charakter, będziesz musiała przystosować się do niego. Dotychczas prowadziłaś niezwykle spokojny tryb życia i chyba nie możesz powiedzieć, że ja cię zamęczałam. Będziesz miała moc roboty jako pani domu w Manderley. Mówiąc szczerze, moja droga, po prostu nie wyobrażam sobie siebie w tej roli.

Jej słowa zabrzmiały jak echo moich własnych słów wypowiedzianych przed godziną.

– Nie masz doświadczenia – mówiła – nie znasz tego środowiska. Ledwo potrafisz sklecić dwa zdania na moich herbatkach brydżowych, więc co ty będziesz miała do powiedzenia jego licznym znajomym? Przyjęcia w Manderley były słynne za jej życia. Na pewno opowiadał ci o nich?

Zawahałam się, ale, dzięki Bogu, nie czekała na moją odpowiedź.

– Naturalnie należy ci życzyć szczęścia. Przyznaję, że on jest bardzo przystojny, ale... żal mi ciebie. Moim zdaniem popełniasz wielki błąd. Będziesz kiedyś gorzko żałować tego kroku.

Odłożyła puderniczkę i spojrzała na mnie przez ramię. Może była nareszcie szczerą, ale ja nie chciałam takiej szczerości. Milczałam. Chyba miałam nadąsany wyraz twarzy, gdyż wzruszyła ramionami i podeszła do lustra, aby poprawić kapelusz w kształcie grzyba. Cieszyłam się, że wyjeżdża, cieszyłam się, że jej nigdy nie zobaczę. Żałowałam tych miesięcy, które spędziłam, pracując u niej, biorąc od niej pieniądze, drepcząc za nią jak bezbarwny, niemy cień. Oczywiście byłam niedoświadczona, oczywiście byłam głupia, nieśmiała i młoda. Wiedziałam o tym. Nie potrzebowała mi tego mówić. Przypuszczam, że umyślnie zachowywała się w ten sposób i że z jakiegoś iście kobiecego powodu była niezadowolona z tego małżeństwa. Jej miara wartości została zachwiana.

Nie będę się przejmować, zapomnę o niej i o jej ostrych słowach. Nowa otucha wstąpiła we mnie, gdy podarłam tę stronę i spaliłam jej strzępy. Przeszłość nie będzie istnieć dla nas obojga, zaczynamy na nowo, on i ja. Przeszłość rozwiła się podobnie jak popiół w koszu do śmieci. Zostanę panią de Winter. Będę mieszkać w Manderley.

Wkrótce ona wyjedzie, będzie sama w przedziale wagonu sypialnego, beze mnie, a ja będę razem z nim w sali restauracyjnej hotelu. Będziemy jedli lunch przy jednym stole i robili plany na przyszłość. Przeddzień wielkiej przygody. Może po jej wyjeździe powie mi wreszcie, że mnie kocha, że jest szczęśliwy. Do tej pory nie było czasu, zresztą takich słów nie wypowiada się łatwo, muszą czekać na właściwy moment.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam jej twarz w lustrze. Przyglądała mi się z pobłażliwym uśmiechem na ustach. Myślałam, że mimo wszystko zachowa się wspaniałomyślnie, wyciągnie rękę, życząc szczęścia, i doda otuchy, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Ale ona uśmiechała się nadal, wsuwając kosmyk pod kapelusz.

– Z pewnością wiesz – powiedziała wreszcie – dlaczego żeni się z tobą. Chyba nie pochlebiasz sobie, myśląc, że on cię kocha? Po prostu pusty dom działa mu na nerwy tak dalece, że omal nie zwariował. Przyznał się do tego, zanim wszedł do pokoju. On po prostu nie może dłużej mieszkać sam w tym domu...

Przyjechaliśmy do Manderley na początku maja, zjawiając się, jak powiedział Maxim, z pierwszymi jaskółkami i dzwonkami. Miała to być najładniejsza pora przed nadejściem lata. Azalie wypełniają całą dolinę swoim zapachem, a czerwone jak krew rododendrony są w pełnym rozkwicie.

Pamiętam, że wyjechaliśmy z Londynu samochodem wczesnym rankiem podczas ulewnego deszczu i przybyliśmy do Manderley około piątej, na podwieczorek. Przypominam sobie, że jak zwykle byłam nieodpowiednio ubrana, mimo iż od dnia ślubu minęło już siedem tygodni. Miałam na sobie trykotową sukienkę rdzawego koloru, na szyi wąskie futerko uchodzące za kunę. Za wierzchnie okrycie służył mi luźny płaszcz nieprzemakalny, o wiele za duży, sięgający aż do kostek. Uważałam, że jest to dobre zabezpieczenie przed deszczem, a dzięki długości płaszcza wydawałam się wyższa. W jednej ręce trzymałam kurczowo rękawiczki, a w drugiej dużą skórzaną torebkę.

– To londyński deszcz – powiedział Maxim przy wyjeździe – zobaczysz, że słońce zaświeci dla ciebie, gdy znajdziemy się w Manderley.

Miał rację, bo chmury porzuciły nas w Exeter i popłynęły z powrotem na północ, pozostawiając wielki szmat czystego nieba nad naszymi głowami. Przed nami wiła się biała droga.

Ucieszyłam się na widok słońca, gdyż przesądnie uważałam deszcz za zły znak, a ołowiane niebo nad Londynem odebrało mi ochotę do rozmowy.

– Czujesz się lepiej? – spytał Maxim, a ja uśmiechnęłam się do niego i wzięłam go za rękę. Pomyślałam, jakie to wszystko proste dla niego – wróci do własnego domu, wejdzie do holu, weźmie listy z tacy, zadzwoni, żeby podano podwieczorek.

Zastanawiałam się, czy się domyśla, że jestem zdenerwowana, i czy jego pytanie „Czujesz się lepiej?” oznaczało właśnie, że to rozumie.

– Trochę cierpliwości, już niedługo będziemy na miejscu. Pewnie marzysz o herbatie – powiedział i puścił moją rękę, gdyż zbliżyliśmy się do zakrętu i trzeba było zwolnić.

Zrozumiałam, że milczenie moje przypisywał zmęczeniu. Nie przyszło mu na myśl, że bałam się przyjazdu do Manderley, choć jednocześnie pragnęłam tego tak bardzo. Teraz, gdy nadeszła ta chwila, chciałam, żeby się odwlekła. Pragnęłam, abyśmy się zatrzymali przy jakiejś przydrożnej gospodzie, wypili herbatę i usiedli przy kominku. Marzyłam, aby podróżować jako młoda mężatka zakochana w swoim mężu. Przerażała mnie myśl, że jadę po raz pierwszy do Manderley jako żona Maxima de Wintera. Przejeżdżaliśmy przez wiele miłych dla oka wiosek, gdzie okna domków miały wesoły wygląd. Jakaś kobieta trzymająca dziecko na ręku uśmiechnęła się do mnie, a jej mąż, zapewne idąc po wodę do studni, przeszedł przez drogę, pobrząkując wiadrem.

Marzyłam, żebyśmy byli takimi prostymi ludźmi, może ich sąsiadami. Żeby Maxim opierał się wieczorami o furtkę, paląc fajkę, dumny z ogromnej malwy wyhodowanej przez siebie, podczas gdy ja uwijałabym się w lśniącej czystości kuchni, nakrywając stół do kolacji. Na kredensie cykałby głośno budzik, na półkach stałyby rzędem talerze. Po kolacji Maxim czytałby gazetę, opierając nogi o kratę przed kominkiem, a ja sięgnęłabym do szuflady po wielki stos skarpetek do cerowania. Takie życie byłoby z pewnością spokojne i regularne, a także znacznie łatwiejsze, niewymagające ode mnie tak wiele.

– Jeszcze tylko dwie mile – odezwał się Maxim. – Czy widzisz to duże pasmo drzew na szczycie wzgórza, którego zbocze schodzi w dolinę, a za doliną kawałek morza? Tam właśnie jest Manderley. A to są lasy, o których ci opowiadałem.

Zmusiłam się do uśmiechu, ale nic nie odpowiedziałam. Ogarnął mnie popłoch, to przykre uczucie, którego nie można opanować. Zniknęło moje radosne podniecenie, moja duma pełna szczęścia. Czułam się tak, jak dziecko przywiezione po raz pierwszy do szkoły lub jak młoda wiejska dziewczyna szukająca pracy, która nigdy nie opuszczała rodzinnego domu. Całe

opanowanie, jakie zdobyłam w ciągu krótkich siedmiu tygodni małżeństwa, zamieniło się w szmatkę powiewającą na wietrze. Miałam wrażenie, że najbardziej elementarne zasady sposobu bycia stały mi się obce, że nie odróżnię prawej ręki od lewej, nie będę wiedziała, czy mam stać, czy siedzieć, jakich łyżek i widelców używać przy obiedzie.

– Zrzuć ten płaszcz – powiedział Maxim, obrzucając mnie szybkim spojrzeniem. – Tutaj wcale nie padało. Popraw swoje futerko. Biedactwo, przywiozłem cię tu w takim pośpiechu, zapominając, że powinnaś obsprawić się w Londynie.

– Nie zależy mi na strojach, jeśli ty nie przywiązujesz do tego specjalnej wagi.

– Większość kobiet myśli tylko o strojach – odparł w roztargnieniu.

Minąwszy zakręt, dojechaliśmy do skrzyżowania dróg, gdzie zaczynał się wysoki mur.

– Oto jesteśmy – powiedział. W jego głosie zabrzmiało podniecenie, a ja zacisnęłam kurczowo obie ręce na skórzanym siedzeniu.

Droga skręcała w lewo i przed nami ukazała się wysoka brama z kutego żelaza, a przy niej domek dozorczy. Gdy przez szeroko otwartą bramę wjeżdżaliśmy w długą aleję, dostrzegłam twarze wyglądające przez okno i dziecko, które wybiegło zza domku i patrzyło ciekawie. Skuliłam się na siedzeniu, serce biło mi gwałtownie, wiedziałam bowiem, dlaczego twarze te ukazały się w oknie i dlaczego dziecko przypatrywało nam się z taką ciekawością.

Chcieli zobaczyć, jak wyglądam. Wyobrażałam sobie, jak śmiejąc się, rozmawiają w małej kuchni:

– Dostrzegłem tylko czubek kapelusza, nie chciała pokazać twarzy. No cóż, dowiemy się jutro, usłyszymy o niej coś niecoś z pałacu.

Może wreszcie Maxim domyślił się, że ogarnia mnie onieśmienie, gdyż pocałował mnie w rękę i śmiejąc się lekko, powiedział:

– Nie przejmuj się ciekawością ludzi, to przecież zrozumiałe, że wszyscy chcą zobaczyć, jak wyglądasz. Prawdopodobnie nie mówili o niczym innym przez szereg tygodni. Bądź sobą, a wszyscy cię pokochają. Nie troszcz się o prowadzenie domu,

bo pani Danvers zajmuje się wszystkim. Pozostaw to jej całkowicie. Z początku będzie sztywna. Muszę przyznać, że to niezwykle typ, ale tym się wcale nie przejmuj. Ona ma taki sposób bycia. Widzisz te krzewy hortensji? Gdy rozkwitną, tworzą zwarty niebieski mur.

Nic nie odpowiedziałam, bo myślałam o sobie, gdy jako dziecko kupiłam ongiś pocztówkę w wiejskim sklepiku. Pamiętam, jak wyszłam na zalaną słońcem drogę, trzymając pocztówkę w ręku i ciesząc się z nabytku: „Co za ozdoba do mojego albumu. Manderley, jaka to śliczna nazwa”. A teraz tu mam mieszkać, to jest mój własny dom. Będę pisać do znajomych w taki sposób: „Zostajemy w Manderley przez całe lato, musicie nas koniecznie odwiedzić”. Będę spacerować swobodnie po tej alei, w tej chwili jeszcze mi obcej, znając na pamięć każdy zakręt. Zauważę od razu, gdzie pracowali ogrodnicy – przycięte krzewy, odpiłowane gałęzie. Wstąpię do domku przy bramie na przyjacielską pogawędkę: „Czy noga pani dzisiaj dokucza?”. A staruszka, której ciekawość już została zaspokojona, zaprosi mnie do kuchni. Zazdrościłam Maximowi, że jest swobodny, beztroski i że uśmiech na jego ustach oznacza radość z powrotu do domu.

Jakże odległy wydawał mi się czas, kiedy ja też będę się uśmiechać i czuć swobodnie w Manderley. Pragnęłam, by ten czas nadszedł szybko, żebym już nawet była stara, siwa, poruszająca się wolno, żebym przeżyła tutaj wiele lat – wszystko, bylebym przestała być tym nieśmiałym, głupim stworzeniem, za jakie się uważałam.

Brama zamknęła się za nami z trzaskiem, szosa z wiszącym nad nią kurzem zniknęła z oczu. Przekonałam się, że inaczej wyobrażałam sobie aleję wjazdową w Manderley – nie była to szeroka, posypana żwirem, starannie utrzymana droga, z pasami darniny ciągnącymi się po obu stronach.

Aleja wiała się jak wąż, miejscami stawała się bardzo wąska, kolumny drzew strzelały w górę, a ich ciasno splecione gałęzie tworzyły nad naszymi głowami łuk niby sklepienie nawy kościelnej. Nawet w południe słońce nie przenikało przez gęstwinę zielonych liści, rozsiewając jedynie migotliwe plamki złota po żwirze. Panowała tu zupełna cisza, całkowity spokój. Na szosie wesoły, zachodni wiatr owiewał moją twarz i kołysał

trawą rosnącą po obu stronach drogi, lecz tu wiatr nie docierał. Nawet szum silnika samochodu nabrał innego brzmienia. Wydawało się, że pracuje ciszej niż przedtem. Gdy aleja zaczęła zbiegać w dolinę, drzewa zacieśniły się wokół nas; wielkie buki o białych, gładkich pniach, stykające się niezliczonymi gałęziami, oraz inne, nieznane mi drzewa podchodziły tak blisko, że mogłam ich dotknąć ręką. Jechaliśmy dalej i dalej, minęliśmy mostek nad małym strumieniem i ciągle jeszcze ta niezwykła aleja wiała się jak zaczarowana wstążka przez ciemny i cichy las, zagłębiając się chyba w sam środek tej gęstwiny, i ciągle nie widać było żadnej polany, żadnej otwartej przestrzeni, na której mógłby znajdować się dom.

Długość alei zaczęła mi działać na nerwy. To musi być ostatni zakręt, myślałam, lecz gdy pochylałam się do przodu, za każdym razem spotykało mnie rozczarowanie: nie pojawiał się dom ani pole, ani rozległy, przyjazny ogród – nic, tylko cisza i głęboki las. Brama wjazdowa stała się wspomnieniem, a szosa czymś, co należy do innej epoki, innego świata.

Nagle zobaczyłam przed sobą wylot ciemnej alei i kawałek nieba. Po chwili drzewa przerzedziły się, nieznane krzewy zniknęły, a po obu stronach drogi pojawiła się gęstwiną krwistoczerwonych kwiatów, wznoszących się wysoko ponad naszymi głowami. Znaleźliśmy się wśród rododendronów. Ten niespodziewany widok zaskoczył mnie i oszołomił, gdyż stanowił tak wielki kontrast z ciemnym lasem. Nieprawdopodobnie obfite szkarłatne pęki tworzyły zbitą masę kwiecista, nie ukazując ani listka, ani gałązki, tylko jaskrawą czerwień, wspaniałą, fantastyczną. Nigdy nie widziałam takich rododendronów.

Spojrzałam na Maxima. Uśmiechał się.

– Podobają ci się? – spytał.

– Tak – odpowiedziałam bez zastanowienia, nie byłam jednak pewna, czy mówię prawdę. Rododendrony uważałam bowiem za skromne krzewy, o kwiatkach zazwyczaj koloru lila lub różowego, rosnące obok siebie na okrągłej grządce. A to były potwory wznoszące się ku niebu, stojące w zwartym szeregu, zbyt piękne, zbyt potężne – wydawało mi się, że to wcale nie są rośliny.

Znajdowaliśmy się teraz blisko domu. Zobaczyłam, że aleja staje się szeroka, taka, jaką sobie wyobrażałam. Krwistoczerwony mur rododendronów nadal ciągnął się po obu stronach, gdy minęliśmy ostatni zakręt i przed nami ukazało się Manderley. Tak, to było Manderley, o którym marzyłam, Manderley z mojej pocztówki sprzed lat. Pałac niezwyklej piękności, o nieskazitelnych liniach, wydał mi się wspanialszy, niż oczekiwałam. Stał w kotlinie wśród łąk i trawników, tarasy schodziły do ogrodu, a ogrody opadały do morza. Gdy podjechaliśmy do szerokich kamiennych schodów i zatrzymaliśmy się przed otwartymi drzwiami, zobaczyłam przez gotyckie okna, że w holu jest pełno ludzi.

– Niech ją diabli wezmą, ona doskonale wie, że sobie tego nie życzyłem – cicho zaklął Maxim i gwałtownie zahamował samochód.

– O co chodzi? – spytałam. – Co to za ludzie?

– Obawiam się, że będziesz musiała przez to przejść – powiedział ze złością. – Pani Danvers zebrała całą służbę domową i folwarczną na nasze powitanie. Nie martw się, nie musisz nic mówić. Ja to załatwię.

Nie mogłam znaleźć klamki od drzwi, robiło mi się niedobrze ze zdenerwowania, było mi również zimno po długiej jeździe. Tymczasem po schodach zszedł lokaj, a za nim młody służący. Lokaj, który otworzył drzwi samochodu, był stary i miał sympatyczną twarz. Uśmiechnęłam się do niego i wyciągnęłam rękę, ale chyba tego nie zauważył, bo wziął pled i mój mały neseser. Pomagając mi wysiąść z samochodu, spojrzał na Maxima.

– Oto jesteśmy, Frith – powiedział Maxim, zdejmując rękawiczki. – Gdy wyjeżdżaliśmy z Londynu, padał deszcz. Zdaje się, że tu wcale nie padało. Czy wszyscy zdrowi?

– Tak, proszę pana. Dziękuję. Nie, w tym miesiącu prawie nie mieliśmy deszczów. Cieszymy się z pańskiego powrotu i mamy nadzieję, że państwo czują się dobrze.

– Tak, oboje czujemy się dobrze, dziękuję, Frith. Jesteśmy tylko zmęczeni jazdą i marzymy o herbacie. Nie spodziewałem się tej całej ceremonii – mówiąc to, Maxim wskazał na hol.

– Tak zarządziła pani Danvers – odpowiedział lokaj z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Powinienem był się tego domyślić – rzucił ostro Maxim. – Chodź – zwrócił się do mnie – to nie potrwa długo, a potem dostaniesz wreszcie herbatę.

Weszliśmy razem po schodach. Frith i młody służący szli za nami, niosąc pled i mój płaszcz. Czułam ucisk w dołku, gardło miałam zaciśnięte ze zdenerwowania.

Gdy zamknę oczy, z łatwością przywołuję ten obraz. Widzę siebie stojącą na progu domu – szczupłą, niezgrabną postać w trykotowej sukience, kurczowo ściskającą w mokrych dłoniach rękawiczki. Widzę wielki hol, otwarte drzwi do biblioteki, obrazy Petera Lely’ego i van Dyke’a na ścianach, wspaniałe schody wiodące do krużganku pieśniarzy. A hol, aż po korytarze prowadzące w głąb domu, wypełnia morze zaciekawionych twarzy. Wszyscy wpatrywali się we mnie, jak tłum uliczny gapi się na schwytanego przestępcę. Jakaś postać wysunęła się z tego morza twarzy, postać wysoka i chuda, cała w czerni. Błada twarz o wystających kościach policzkowych i dużych, zapadniętych oczach przypominała czaszkę kościotrupa.

Postać ta podeszła do mnie, a ja wyciągnęłam rękę, zazdroszcząc jej godności i pewności siebie. Podała mi dłoń bezwładną, ciężką, lodowato zimną, jakby martwą.

– To jest pani Danvers – powiedział Maxim. Wówczas zaczęła mówić. Jej martwa ręka nadal leżała w mojej dłoni, zapadnięte oczy wpatrywały się we mnie tak uporczywie, że musiałam spuścić wzrok. Wtedy ręka jej ożyła i poruszyła się w mojej, a mnie ogarnęło przykre uczucie zawstydzenia.

Teraz nie pamiętam dokładnie jej słów, ale wiem, że witała mnie uroczyście w imieniu swoim i całej służby. Przemówienie jej było sztywne, konwencjonalne, przygotowane na tę okazję, wygłoszone zimno i bez życia. Skończywszy, czekała jak gdyby na moją odpowiedź. Pamiętam, że zaczerwieniłam się i zaczęłam jąkać jakieś słowa podziękowania, upuszczając rękawiczki. Pani Danvers pochyliła się, by je podnieść, a gdy mi je podawała, zobaczyłam pogardliwy uśmieszek na jej ustach. Odgadłam natychmiast, że uważa mnie za źle wychowaną. Coś w wyrazie jej twarzy niepokoiło mnie. Nawet gdy cofnęła się na swoje miejsce, widziałam jej czarną postać wybijającą się spośród innych i czułam, że nie spuszcza ze mnie oczu. Maxim

wziął mnie pod rękę i wygłosił krótkie przemówienie z całkowitą swobodą, jakby mu to nie sprawiało najmniejszego wysiłku. Potem zaprowadził mnie do biblioteki na herbatę i zamknął za nami drzwi. Byliśmy wreszcie sami.

Dwa cocker-spaniele, które leżały przy kominku, zerwały się, by nas powitać. Wspięły się przednimi łapami na Maxima, tuląc z czułością swe długie, jedwabiste uszy i pyskami szukając jego rąk. Potem podeszły do mnie, obwąchując podejrzliwie moje buty. Stara suka, ślepa na jedno oko, była matką drugiego psa. Po chwili przestała się mną interesować i wróciła z pomrukiem do kominka, ale Jasper wsadził nos w moją rękę, położył pysk na kolanach i wpatrywał się we mnie oczami pełnymi wyrazu, machając przyjaźnie ogonem, gdy głaskałam jego jedwabiste uszy.

Poczułam się lepiej, kiedy zdjęłam kapelusz oraz moje nieszczęsne futerko i cisnęłam je na kanapkę pod oknem, gdzie leżały rękawiczki i torebka.

Był to wygodny, zaciszny pokój, w którym półki z książkami zajmowały całe ściany aż do sufitu – taki pokój, jakiego samotny mężczyzna nigdy nie opuszcza. W bibliotece stały masywne fotele przed dużym kominkiem, kosze dla psów, w których one nigdy nie leżały. Wgłębienia w fotelach zdradzały, gdzie się wylegują. Przez duże okna widać było rozległe trawniki, a za nimi połyskującą tafłę morza.

W pokoju unosił się zapach przeszłości, jak gdyby niemal niczym niezakłócony, pomimo że wczesnym latem bzy i róże wypełniały bibliotekę swą wonią. Powietrze, napływające z ogrodu bądź od morza, traciło swą świeżość i stawało się jakby częścią pokoju, w którym się nic nie zmienia, częścią stęchłych i nigdy nieczytanych książek, rzeźbionego sufitu, ciemnej boazerii, ciężkich zasłon.

Był to zapach stęchlizny, zapach cichego kościółka, w którym rzadko odprawia się nabożeństwo, pleśń pokrywa mury, a bluszcz wpęła aż na okna. Pokój do odpoczynku, pokój do rozmyślań.

Wkrótce podano nam podwieczorek. Była to ceremonia z godnością celebrowana przez Fritha i młodego służącego. Nie brałam w niej udziału, dopóki oni nie wyszli. Podczas gdy Maxim przeglądał wielki stos listów, zmusiłam się do zjedzenia

dwóch ociekających masłem placuszków, które pokruszyłam palcami, i szybko wypiliśmy gorącą herbatę.

Niekiedy Maxim spoglądał na mnie i uśmiechał się, po czym wracał do listów, które, jak przypuszczałam, nagromadziły się podczas ubiegłych miesięcy. Rozmyślałam o tym, że mało wiem o jego życiu w Manderley, jak ono będzie dzień po dniu, że nie wiem nic o jego znajomych i przyjaciółkach, zarówno mężczyznach, jak i kobietach, o rachunkach, jaki płacił, o rozporządzeniach gospodarskich, jakie wydawał. Ostatnie tygodnie minęły tak szybko, a ja – jadąc z nim samochodem przez Francję i Włochy – myślałam tylko o tym, jak bardzo go kocham. Patrzyłam na Wenecję jego oczami, powtarzałam jego słowa, nie zadawałam żadnych pytań ani na temat przeszłości, ani przyszłości, nasycona szczęściem teraźniejszej chwili.

Maxim był weselszy, niż przypuszczałam, bardziej czuł, niż go sobie wyobrażałam, młodzieńczy i żywy – nie ten Maxim, którego poznałam, nie ten obcy człowiek, który siedział sam przy stole w restauracji ze wzrokiem utkwionym przed siebie, pochłonięty własnymi tajemniczymi przeżyciami. Mój Maxim śmiał się i śpiewał, rzucał kamyki do wody, brał mnie za rękę, nie marszczył czoła, nie miał żadnego ciężaru na barkach. Poznałam go jako kochanka, przyjaciela i w czasie tych sześciu tygodni po ślubie zapomniałam, że on ma swoje własne życie o ściśle ustalonym trybie, życie, do którego musi powrócić i je kontynuować, że minione tygodnie staną się dla niego krótkim, przelotnym wypoczynkiem.

Obserwowałam go w chwili, gdy czytał listy. Dostrzegłam, że zmarszczył brwi, czytając jeden z nich, uśmiechnął się przy innym, a następny odrzucił z obojętnym wyrazem twarzy. Pomyślałam, że gdyby nie łaska boska, mój list pisany z Nowego Jorku leżałby również na tym stosie. Maxim przeczytałby go obojętnie, może zastanawiając się w pierwszej chwili nad podpisem, po czym rzuciłby go, ziewając, na stos innych listów i sięgnąłby po herbatę. Zrobiło mi się zimno na myśl o tym, jak niewiele brakowało, żeby siedział tu sam przy podwieczorku, kontynuując swój dawny tryb życia, prawie wcale nie myśląc o mnie. W każdym razie nie żałowałyby naszego rozstania. W tym czasie ja przebywałam w Nowym Jorku, grając

w brydża z panią van Hopper i wyczekując dzień po dniu na list, który by nigdy nie nadszedł.

Zasiadłam wygodnie w fotelu i rozejrzałam się po pokoju, starając się nabrać trochę pewności siebie oraz przeświadczenia, że znajduję się właśnie tutaj, w Manderley, w tym domu z pocztówki, w Manderley, które jest takie słynne. Musiałam nauczyć się, że to wszystko należy teraz do mnie, zarówno do mnie, jak i do niego – głęboki fotel, w którym siedziałam, niezliczone książki na półkach sięgających sufitu, obrazy na ścianach, ogrody, lasy, Manderley, o którym czytałam – to wszystko należało do mnie, ponieważ byłam żoną Maxima.

Zestarzemy się tutaj razem, będziemy siedzieć przy podwieczorku jako starzy ludzie, Maxim i ja, otoczeni innymi psami, które zastąpią nam obecne, a w bibliotece unosić się będzie zawsze ten sam zapach stęchlizny. Pokój ten przejdzie przez wspaniały okres zniszczenia i nieporządku, gdy chłopcy – nasi chłopcy – będą podrastali. Wyobrażałam ich sobie rozwalonych na kanapie w zabłoconych butach, przynoszących do biblioteki wędki, kije krykietowe, duże składane noże, łuki i strzały.

Na stole, obecnie wypolerowanym i pustym, będzie stać brzydka skrzynka z kolekcją motyli i ciem oraz druga z ptasimi jajkami zawiniętymi w watę.

– Nie wolno tu tego wszystkiego wnosić – powiem im. – Zabierzcie to do swojego pokoju, moi drodzy.

Chłopcy wybiegną, krzyżąc i nawołując się, tylko najmłodszy, spokojniejszy od braci, pozostanie w pokoju i będzie bawił się grzecznie.

Marzenia moje przerwało otwarcie drzwi. Wszedł Frith ze służącym, by sprzątnąć ze stołu.

– Pani Danvers zapytuje, czy pani chciałaby obejrzeć swój pokój – zwrócił się do mnie Frith.

Maxim podniósł wzrok znad listów i zapytał:

– Jak wypadła przeróbka wschodniego skrzydła?

– Bardzo dobrze, proszę pana, przynajmniej tak mi się wydaje. Oczywiście rzemieślnicy narobili bałaganu i pani Danvers bała się, że nie zdążą skończyć robót przed powrotem państwa. Wynieśli się jednak w poniedziałek. Mam wrażenie, że

będzie się tam wygodnie mieszkać, proszę pana, ta strona domu jest o wiele jaśniejsza.

– Czy robiłeś duże przeróbki? – zapytałam.

– O nie, nieduże – odpowiedział krótko Maxim – tylko kazałem odnowić i pomalować pokoje we wschodnim skrzydle, które chciałem wziąć do naszego użytku. Słusznie mówi Frith, że ta część domu jest weselsza. Stamtąd będziemy mieli piękny widok na ogród różany. Było to za życia mojej matki skrzydło z pokojami gościnnymi. Jak tylko przejrzę listy, przyjdę do ciebie na górę. A ty idź i zaprzyjaźnij się z panią Danvers. To dobra sposobność.

Wstałam powoli z fotela i wyszłam do holu. Znowu powróciło zdenerwowanie. Wolałabym zaczekać na Maxima, a potem razem z nim, trzymając go pod rękę, obejrzeć pokoje. Nie chciałam iść sama z panią Danvers. Jakże wielki wydał mi się teraz pusty hol. Odgłos moich kroków na kamiennej posadzce odbijał się echem od sufitu, a ja wstydziłam się, że robię tyle hałasu. Czułam się skrępowana podobnie jak w kościele. Zaczęłam iść drobnym kroczeniem i pomyślałam, że Frithowi stąpającemu cicho na filcowych podeszwach musi się wydawać, że zachowuję się głupio.

– Jaki wielki jest ten hol, prawda? – powiedziałam zbyt wesoło, zbyt sztucznie, nadal jak pensjonarka, ale lokaj odpowiedział z powagą:

– Tak, proszę pani, Manderley jest wielkim domem. Nie tak wielkim, oczywiście, jak niektóre rezydencje, ale dość wielkim. To była sala bankietowa za dawnych czasów. Używana jest jeszcze podczas większych uroczystości... na duże przyjęcia lub bale. Otwarta jest dla publiczności raz w tygodniu.

– Tak – powiedziałam, nadal zażenowana moimi głośnymi krokami. Idąc za lokajem, czułam, że traktuje mnie jak osobę zwiedzającą. Zachowywałam się jak turysta, który spogląda grzecznie na prawo i lewo, przypatruje się broni wiszącej na ścianie, obrazom i dotyka rękami rzeźbionej poręczy schodów.

Czarna postać stała, czekając na mnie u góry schodów. Zapadnięte oczy w trupio bladej twarzy wpatrywały się we mnie uporczywie. Obejrzałam się na flegmatycznego Fritha, ale on zniknął w jakimś korytarzu.

Byłam sama z panią Danvers. Gdy wchodziłam po wielkich schodach, stała bez ruchu, z rękami założonymi na podołku, i nie spuszczała ze mnie wzroku. Wysiłam się na uśmiech, na który nie zareagowała. Nie miałam o to pretensji, bo mój uśmiech był bez sensu, głupi, wymuszony.

– Mam nadzieję, że nie czekała pani zbyt długo – powiedziałam.

– Pani rozporządza czasem według swego uznania – odparła pani Danvers. – Jestem tutaj po to, by wykonywać pani polecenia.

Odwróciła się i skierowała przez sklepione przejście krużganka do szerokiego, wyściełanego dywanem korytarza. Słyszy tym korytarzem w milczeniu, następnie skręciłyśmy w lewo przez jakieś dębowe drzwi, zeszyłyśmy w dół po wąskich schodach i znowu do góry, aż wreszcie znalazłyśmy się przed innymi drzwiami. Pani Danvers otworzyła je szeroko i usunęła się na bok, by mnie przepuścić. Weszłam do małego przedpokoju czy buduaru, w którym stała kanapa, fotele i biurko. Stąd wchodziło się do dużej sypialni o wielkich oknach, za którą mieściła się łazienka. Podeszłam od razu do okna i zobaczyłam, że na dole znajduje się ogród różany i wschodnia część tarasu, a za ogrodem wznosi się porośnięte trawą zbocze ciągnące się aż do lasu.

– Stąd nie widać morza – zwróciłam się do pani Danvers.

– Nie, z tego skrzydła nie widać morza – odparła – ani go nie słyhać. W tym skrzydle nawet trudno by się było domyślić, że jest ono tak blisko.

Pani Danvers mówiła w jakiś szczególny sposób, jak gdyby coś się kryło za jej słowami. Kładła nacisk na słowa „to skrzydło”, dając do zrozumienia, że ta część domu nie dorównuje drugiemu skrzydłu.

– Jaka szkoda, ja bardzo lubię morze – powiedziałam.

Pani Danvers milczała i nadal wpatrywała się we mnie. Ręce miała znowu złożone na podołku.

– W każdym razie pokój jest śliczny i na pewno będę się tu dobrze czuła. Słyszałam, że został odnowiony przed naszym przyjazdem.

– Tak.

– A jak ten pokój wyglądał przedtem? – spytałam.

– Były tu lila tapety i ciemne zasłony. Pan de Winter uważał, że jest dość ponury. Pokój ten był używany rzadko, tylko jako gościnny. Ale pan de Winter specjalnie zaznaczył w swoim liście, że pani właśnie tutaj zamieszka.

– Więc to nie jest jego dawna sypialnia?

– Nie, proszę pani, pan de Winter nigdy nie mieszkał w tym skrzydle.

– Nie mówił mi tego – powiedziałam. Podeszłam do toaletki i zaczęłam rozczesywać włosy. Moje rzeczy były już rozpakowane, szczotki i grzebień leżały na tacce. Cieszyło mnie, że Maxim podarował mi szczotki do włosów i że pani Danvers mogła je zobaczyć na toaletce. Były nowe, kosztowne i nie musiałam się ich wstydzić.

– Alice rozpakowała rzeczy i będzie pani usługiwać, dopóki nie przyjedzie pani garderobiana – powiedziała pani Danvers.

Uśmiechnęłam się do niej i odłożyłam szczotkę.

– Ja nie mam garderobianej – powiedziałam nieśmiało. – Myślę, że Alice mi wystarczy. To pewnie jedna z pokojówek.

Pani Danvers miała ten sam wyraz twarzy co podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy upuściłam tak niezręcznie rękawiczki.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe na stałe – odparła. – Jest w zwyczaju, że panie jej sfery mają garderobiane.

Zaczerwieniłam się i znowu sięgnęłam po szczotkę. Doskonale zrozumiałam złośliwość zawartą w jej słowach.

– Jeśli pani uważa to za konieczne, to proszę się tym zająć – powiedziałam, unikając jej wzroku. – Może znajdzie pani jakąś młodą dziewczynę, która chce się wyszkolić na garderobianą.

– Jak pani sobie życzy, to tylko od pani zależy.

Zapadło milczenie. Pragnęłam, żeby już sobie poszła. Zastanawiałam się, dlaczego stoi z tak charakterystycznie złożonymi rękami i nie spuszcza ze mnie oczu.

– Pani pewnie jest w Manderley od wielu lat – odezwałam się z wysiłkiem – dłużej od innych?

– Nie tak długo jak Frith – odpowiedziała.

Pomyślałam, że głos jej jest martwy i zimny jak ręka, którą mi podała.

– Frith pracował tutaj za życia starszego pana, gdy pan de Winter był chłopcem.

– Więc pani przybyła znacznie później?

– Tak, znacznie później.

Znowu spojrzałam na nią i znowu zobaczyłam jej oczy, czarne i ponure, wzbudzające we mnie – nie wiadomo dlaczego – dziwny niepokój, jakieś niedobre przeczucie. Próbowałam uśmiechnąć się, ale nie mogłam. Czułam się jak zahipnotyzowana tymi oczami, w których nie było ani życia, ani iskierki sympatii dla mnie.

– Przybyłam tu, kiedy pierwsza pani de Winter była świeżo po ślubie – powiedziała, a jej głos, który dotychczas był głuchy i bezdźwięczny, rozbrzmiał teraz niespodziewanym ożywieniem. Na chudych policzkach pojawiły się rumieńce.

Ta raptowna przemiana zaskoczyła mnie, a nawet trochę przestraszyła. Nie wiedziałam, co mam zrobić ani co powiedzieć. Miałam wrażenie, jakby pani Danvers wypowiedziała słowa, które były zakazane, słowa, które tłumiła w sobie przez długi czas, a których teraz nie mogła powstrzymać. Nadal nie spuszczała ze mnie oczu. Patrzyła na mnie z mieszaniną litości i szyderstwa, aż wreszcie poczułam się jeszcze młodsza i mniej przygotowana do życia, niż przypuszczałam.

Widziałam, że pogardza mną, stwierdzając z całym snobizmem właściwym jej klasie, że nie jestem wielką damą, tylko osobą skromną i nieśmiałą. A jednak we wzroku jej było coś jeszcze prócz szyderstwa, jakaś niechęć czy też złe zamiary.

Musiałam coś powiedzieć, nie mogłam tak siedzieć, manipulując szczotką do włosów i okazując pani Danvers, jak bardzo się jej boję i jak jej nie dowierzam.

– Pani Danvers – usłyszałam swój głos – mam nadzieję, że będziemy żyć w przyjaźni i dojdziemy do porozumienia. Musi pani być wyrozumiała dla mnie, ponieważ ten tryb życia jest mi obcy i dotychczas byłam w innych warunkach. Chciałabym bardzo, żeby wszystko ułożyło się jak najlepiej, a przede wszystkim, aby pan de Winter był szczęśliwy. Wiem od niego, że prowadzenie domu mogę powierzyć pani, i proszę, żeby pani zarządzała wszystkim jak dawniej. Nie chcę wprowadzać żadnych mian.

Przerwałam, trochę zdyszana, nadal onieśmielona, nie wiedząc, czy moje słowa były właściwe. Gdy podniosłam wzrok,

zobaczyłam, że pani Danvers przesunęła się do drzwi i stoi z ręką na klamce.

– Dobrze, proszę pani – powiedziała. – Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona z moich usług. Już dłużej niż rok zarządzam domem i pan de Winter nie miał dotychczas żadnych zastrzeżeń. Oczywiście za życia pierwszej pani de Winter tryb życia był zupełnie inny. Wówczas dom był otwarty, wydawano liczne przyjęcia i chociaż zarządzałam gospodarstwem, pani kontrolowała wszystko sama.

Znowu odniosłam wrażenie, że starannie dobiera słów, próbuje, jak by przeniknąć moje myśli, i śledzi mój wyraz twarzy.

– Wolę pozostawić wszystko w pani rękach – powtórzyłam.

Na jej twarzy pojawił się ten sam wyraz, który dostrzegłam podczas naszego powitania w holu – wyraz szyderstwa, zdecydowanej pogardy. Wiedziała, że nigdy się jej nie sprzeciwię i że się jej boję.

– Czy potrzebuje mnie pani jeszcze? – spytała.

Udałam, że rozglądam się po pokoju.

– Nie – odpowiedziałam – chyba mam wszystko. Będzie mi tu bardzo wygodnie. Pani tak ślicznie urządziła ten pokój...

To zdanie było ostatnią poniżającą próbą zdobycia jej uznania. Wzruszyła ramionami, ale nie uśmiechnęła się.

– Wykonywałam tylko polecenie pana de Wintera.

Stała nadal w otwartych drzwiach z ręką na klamce. Wydawało mi się, że ma jeszcze coś do powiedzenia, ale szuka odpowiednich słów, czekając, aż jej dam sposobność.

Pragnęłam, żeby sobie poszła. Stojąc w drzwiach, wyglądała jak cień. Patrzyła uważnie, oceniając mnie swymi oczami głęboko osadzonymi w trupio bladej twarzy.

– Jeśli pani coś nie będzie odpowiadać, proszę mi zaraz o tym powiedzieć, dobrze? – odezwała się wreszcie.

– Tak – powiedziałam – oczywiście. – Czulałam jednak, że coś innego miała na myśli. Znowu zapanowało milczenie.

– Gdyby pan de Winter pytał o swoją dużą szafę – odezwała się nagle – zechce mu pani wyjaśnić, że nie dało się jej przenieść. Próbowaliśmy, ale nie mogliśmy wnieść szafy przez te wąskie drzwi. Tutaj pokoje są mniejsze niż w zachodnim skrzydle. Jeśli panu nie spodoba się urządzenie tych apartamentów, to proszę,

by mi o tym powiedział. Nie wiedzieliśmy, jak mamy umeblować te pokoje.

– Niech się pani nie martwi – powiedziałam. – Jestem pewna, że będzie zadowolony. Przykro mi, że miała pani tyle kłopotu. Nie wiedziałam, że mąż kazał odnowić i przemeblować te pokoje. Niepotrzebnie to zrobił. Na pewno czułabym się równie dobrze w zachodnim skrzydle.

Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem i zaczęła poruszać klamką.

– Pan de Winter napisał, że pani woli mieszkać po tej stronie. Pokoje w zachodnim skrzydle są bardzo stare. Sypialnia jest dwa razy większa od tej, zresztą bardzo piękna, z rzeźbionym sufitem. Fotele obite gobelinami są bardzo cenne, jak również i rzeźbiona półka nad kominkiem. Jest to najpiękniejszy pokój w całym domu. Z okien widać morze.

Poczułam się nieswojo, byłam onieśmielona. Nie wiedziałam, dlaczego w głosie jej przebijała niechęć. Jednocześnie dawała mi do zrozumienia, że pokój, w którym zostałam zainstalowana, jest gorszy od innych w Manderley, że jest to jakby drugorzędny pokój dla drugorzędnej osoby.

– Sądzę, że pan de Winter przeznaczą najpiękniejszy pokój dla zwiedzających – powiedziałam.

Pani Danvers nadal ruszała klamką, wreszcie spojrzała na mnie badawczo, a gdy po chwili wahania zaczęła mówić, głos jej był jeszcze spokojniejszy i bardziej bezbarwny niż przedtem.

– Sypialnie są zamknięte dla publiczności. Wolno zwiedzać tylko hol, krużganek i sale na parterze. – Przerwała na chwilę, wpijając we mnie wzrok. – Państwo mieszkali w zachodnim skrzydle za życia pani de Winter. Ten wielki pokój, o którym pani mówiłam, z widokiem na morze, był sypialnią pani de Winter.

Zobaczyłam, że cień przemknął po jej twarzy. Usunęła się z przejścia, słysząc odgłos kroków. Maxim wszedł do pokoju.

– Jak ci się podoba? – spytał. – Czy będziesz się tu dobrze czuła?

Rozejrzał się entuzjastycznie, zadowolony jak uczeń.

– Zawsze uważałem ten pokój za najładniejszy. Tyle lat marnowałem się jako gościnny, byłem jednak pewny, że można go

lepiej wykorzystać. Świetnie go pani urządziła, pani Danvers, należy się pani za to wielkie uznanie.

– Dziękuję panu – powiedziała z niewzruszonym wyrazem twarzy, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju, cicho zamykając drzwi.

Maxim wyjrzał przez okno.

– Bardzo lubię ogród różany – powiedział. – Jedno z moich pierwszych wspomnień jest z nim związane. Pamiętam, jak dreptałem za moją matką na małych, niepewnych nóżkach, podczas gdy ona zrywała przekwitłe róże. W pokoju tym wyczuwa się nastrój szczęścia i spokoju, nie dochodzi tu szum morza. Trudno się nawet domyślić, że jest ono tak blisko.

– To samo powiedziała mi pani Danvers.

Maxim odszedł od okna i zaczął krążyć po pokoju. Brał do ręki różne przedmioty, przyglądał się obrazom, otwierał szafy, dotykał moich sukien, które już były rozpakowane.

– Jak ci poszło z panią Danvers? – spytał nagle.

Odwróciłam się i zaczęłam znowu czesać włosy przed lustrem.

– Wydaje mi się trochę sztywna – powiedziałam po chwili. – Może myślała, że będę się wtrącać do prowadzenia domu.

– Sądzę, że nie miałyby o to do ciebie żalu – odparł Maxim.

Spojrzałam na niego i przekonałam się, że przygląda się badawczo memu odbiciu w lustrze. Po chwili odwrócił się i cicho gwizdząc, znowu podszedł do okna. Zaczął kołysać się na piętach w przód i w tył.

– Nie przejmuj się nią. To jest pod wielu względami typ niezwykle. Przypuszczam, że kobiecie niełatwo się z nią żyć. Nie martw się o to. Jeśli będzie dokuczliwa, pozbedziemy się jej. Ale ona, jak wiesz, doskonale zarządza domem, więc wszelkie kłopoty gospodarskie spadną ci z głowy. Uważam, że tyranizuje służbę, lecz mnie nie śmie tyranizować. Gdyby spróbowała, wylałbym ją dawno.

– Mam nadzieję, że będziemy z nią w zgodzie, gdy mnie lepiej pozna – powiedziałam szybko. – Przecież to naturalne, że na początku jest do mnie niechętnie ustosunkowana.

– Niechętnie, dlaczego niechętnie? Co masz na myśli, u diabła?

Odwrócił się od okna. Brwi miał zmarszczone. Dziwny, na wpół gniewny wyraz pojawił się na jego twarzy. Zastanawiałam się, dlaczego przejął się moimi słowami, i już ich żałowałam.

– Chodziło mi o to, że łatwiej jest prowadzić gospodarstwo dla samotnego mężczyzny. Sądzę, że przyzwyczaiła się do samodzielności i może obawia się, że będę ją krępować.

– Krępować, o mój Boże... jeśli myślisz... – Urwał nagle, podszedł i pocałował mnie w czubek głowy. – Dajmy spokój pani Danvers – powiedział. – Mało mnie ona obchodzi. Chodź, chcę pokazać ci Manderley.

Nie widziałam pani Danvers tego wieczoru i więcej o niej nic rozmawialiśmy. Uspokoiliłam się, gdy przestałam o niej myśleć, nie czułam się teraz intruzem. Gdy wędrowaliśmy po pokojach na parterze i oglądaliśmy obrazy, a Maxim objął mnie ramieniem, poczułam, że staję się bardziej podobna do tej osoby, którą pragnęłam się stać, o której marzyłam, która znalazła dom w Manderley.

Moje kroki przestały rozbrzmiewać tak drażniąco na kamiennej podłodze holu, gdyż buty Maxima robiły znacznie więcej hałasu, a odgłos łap idących za nami psów dodawał otuchy.

Cieszyłam się również z tego, że to był pierwszy wieczór w naszym wspólnym domu. Ponieważ oglądanie obrazów zajęło sporo czasu, Maxim, spojrzawszy na zegarek, powiedział, że jest zbyt późno, aby się przebierać do obiadu. Uniknęłam zakłopotania wobec Alice, która spytałaby, jaką suknię włożę, i która pomagałaby mi się ubierać. Potem musiałabym schodzić po tych wielkich schodach do holu i byłoby mi zimno w wydekoltowanej sukni, którą podarowała mi pani van Hopper, gdyż nie podobała się jej córce. Przerazała mnie myśl o ceremonialnym obiedzie w tej surowej sali jadalnej. Teraz, dzięki temu drobnemu szczegółowi, że nie włożyliśmy strojów wieczorowych, obiad minął w przyjemnym nastroju, zupełnie tak samo jak wówczas, gdy jadalniśmy razem w restauracjach. Czułam się dobrze w mojej trykotowej sukience. Śmiałam się i wspominałam różne momenty z naszej podróży po Włoszech i Francji. Nawet oglądaliśmy zdjęcia przy stole. Frith i służący byli równie bezosobowi jak kelnerzy i nie wpatrywali się we mnie tak uporczywie jak pani Danvers.

Po obiedzie przeszliśmy do biblioteki. Frith zaciągnął zasłony i dorzucił drewno do ognia. Wieczór był chłodny jak na maj. Rozkoszowałam się ciepłem promieniującym z kominka.

Nigdy przedtem nie siedzieliśmy tak spokojnie po obiedzie, gdyż we Włoszech wędrowaliśmy wieczorami, pieszo lub samochodem, chodziliśmy do małych kawiarenek, zatrzymywaliśmy się na mostach, wpatrując się w płynącą wodę.

Maxim skierował się automatycznie do fotela, który stał z lewej strony kominka. Usiadł i wyciągnął rękę po gazety. Podłożył jedną z poduszek pod głowę i zapalił papierosa.

Pomyślałam, że to jego zwyczaj, że tak się zachowywał od lat.

Nie spojrział na mnie, czytał gazetę, spokojny, zadowolony z powrotu do dawnego sposobu życia, pan domu. Gdy tak siedziałam, rozmyślając i głaszcząc od niechcenia jedwabiste uszy spaniela, uświadomiłam sobie, że przede mną inna kobieta siedziała w tym fotelu, że po osobie tej musiały pozostać wgłębienia w poduszkach i na poręczy, gdzie spoczywała jej ręka. Inna kobieta nalewała kawę z tego samego srebrnego dzbanka, podnosiła filiżankę do ust, schylała się do psa, zupełnie tak samo jak ja.

Wstrząsnął mną dreszcz, jakby ktoś z tyłu nagle otworzył drzwi, przez które wpadł zimny podmuch. Siedziałam w fotelu Rebeki, opierałam głowę o poduszkę Rebeki, a pies przyszedł do mnie i położył mi łeb na kolanach, ponieważ taki miał zwyczaj i pamiętał, że kiedyś ona dawała mu cukier.

Nigdy nie przypuszczałam, że tryb życia w Manderley będzie taki regularny i ustalony. Przypominam sobie teraz, że nazajutrz rano po naszym przyjeździe Maxim wstał wcześniej, ubrał się i zasiadł do korespondencji jeszcze przed śniadaniem. Gdy zesłam na dół po dziewiątej, przynaglona głośnym dźwiękiem gongu, przekonałam się, że Maxim już skończył śniadanie i obiera jabłko.

Spojrzał na mnie, uśmiechając się, i powiedział:

– Nie przejmuj się, że już zjadłem. Musisz się do tego przyzwyczaić. O tej porze nie mogę sobie pozwolić na marudzenie. Zarządzanie takim majątkiem jak Manderley zabiera bardzo dużo czasu. Kawa i gorące dania stoją na kredensie. Przy śniadaniu obsługujemy się sami.

Powiedziałam, że mój zegarek się spóźnia, że za długo siedziałam w kąpieli, ale Maxim nie słuchał, tylko wpatrywał się w jakiś list, marszcząc brwi.

Doskonale pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarło na mnie wspaniałe śniadanie: herbata w dużym srebrnym imbryku, kawa, gorące dania stojące na maszynie – jajecznicą, bekonem, rybą. Były również jajka na miękko w specjalnie ogrzewanym naczyniu i płatki owsiane w srebrnej miseczce. Na drugim kredensie stała szynka i duży kawał zimnego bekonu. Na stole znajdowały się pszenne placuszki, grzanki i słoiki z dżemem i miodem. Patery z piętrzącymi się owocami stały na obu końcach stołu. Zdziwiłam się, że Maxim, który we Włoszech i Francji jadł na śniadanie tylko jeden rogalik i owoce oraz wypijał filiżankę kawy, w domu dzień w dzień zasiadał do tak bogato zastawionego stołu. Nie widział w tym nic śmiesznego, nie uderzało go marnotrawstwo.

Zauważyłam, że zjadł mały kawałek ryby. Ja wzięłam jajko, zastanawiając się, co się dzieje z resztą potraw – z jajecznicą, z chrupkim bekonem, płatkami owsianymi, rybą. Może służba, której zapewne nigdy nie będę oglądać, czeka pod kuchennymi drzwiami na dary z naszego stołu? A może wszystko wyrzuca się na śmietnik? Nigdy się tego nie dowiem, bo nie ośmielę się zapytać.

– Dzięki Bogu, nie posiadam licznej rodziny, która byłaby uciążliwa dla ciebie – odezwał się Maxim. – Mam tylko siostrę, z którą się bardzo rzadko widuję, oraz prawie niewidomą babkę. Zresztą Beatrice zaprosiła się na lunch. Przypuszczałem, że przyjedzie. Na pewno chce ciebie zobaczyć.

– Dzisiaj? – spytałam przerażona.

– Tak oznajmiła w liście, który otrzymałem dziś rano. Beatrice nie zostanie długo. Myślę, że ją polubisz. Jest bardzo bezpośrednia i prawdomówna. Ani krzty sztuczności. Jeśli się jej nie spodobasz, powie ci to prosto w oczy.

Nie uważałam, żeby to było pocieszające, i zastanawiałam się, czy obłuda nie posiada czasem swoich dodatkich stron. Maxim wstał i zapalił papierosa.

– Mam dziś rano wiele spraw do załatwienia. Chciałbym oprowadzić cię po ogrodzie, ale muszę zobaczyć się z Crawleyem, moim administratorem. Byłem zbyt długo nieobecny. On także przyjdzie na lunch. Nie masz nic przeciw temu, że zostajesz sama?

– Oczywiście, że nie. Poradzę sobie doskonale.

Maxim wziął listy i wyszedł z pokoju. Pomyślałam wówczas, że inaczej wyobrażałam sobie ten pierwszy ranek w Manderley. W marzeniach widziałam, jak szliśmy pod rękę w kierunku morza, potem wracaliśmy zmęczeni na zimny lunch, na którym nie było gości. Po południu siedzieliśmy pod tym kasztanem, który widziałam wczoraj przez okno biblioteki.

Marudziłam długo nad moim pierwszym śniadaniem w Manderley, aby skrócić sobie ten ranek. Dopiero gdy wszedł Frith i spojrzał na mnie zza parawanu, zdałam sobie sprawę, że już jest po dziesiątej. Zerwałam się w poczuciu winy i przeprosiłam go za to, że tak długo siedziałam przy stole. Lokaj uklonił się w milczeniu, zachowując się bardzo grzecznie i poprawnie, ale dostrzegłam błysk zdziwienia w jego oczach.

Zastanawiałam się, czy powiedziałam coś niewłaściwego. Może nie należało go przeproszać. Może poniżyłam się w jego mniemaniu. Jakże pragnęłam wiedzieć, co należy mówić i jak się zachowywać! Czy on domyślał się, tak jak pani Danvers, że pewność siebie, wdzięk i opanowanie nie były mi wrodzone? Musiałam zdobywać te cechy powoli i boleśnie, kosztem wielu gorzkich chwil.

Wychodząc z pokoju, potknęłam się o próg, gdyż nie patrzyłam pod nogi. Frith zbliżył się, by mnie podtrzymać, podniósł moją chusteczkę, a Robert, młody służący, który stał za parawanem, odwrócił się, by ukryć uśmiech.

Słyszałam ich głosy, idąc przez hol, słyszałam, jak jeden z nich, zapewne Robert, roześmiał się. Może śmieli się ze mnie. Poszłam na górę, by schronić się w moim pokoju, ale gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że pokojówki właśnie sprzątają sypialnię. Jedna zamiatała podłogę, druga ścierała kurz z toaletki. Spojrzały na mnie zdumione. Szybko wyszłam z sypialni. Okazało się, że o tej porze nie powinnam przebywać w swoim pokoju. To było niewłaściwe. Zakłócało porządek domowy. Cicho zesłam na dół, zadowolona, że ranne pantofle nie stukają na kamiennej podłodze. Udałam się do biblioteki, gdzie przez szeroko otwarte okna wpadał chłód poranka. W kominku leżały przygotowane drwa, ale ogień nie płonął.

Zamknęłam okna i rozejrzałam się dokoła, szukając zapalek. Nie znalazłam ich. Zastanawiałam się, co mam zrobić. Nie chciało mi się dzwonić na służbę. Ale biblioteka, w której było tak ciepło i przytulnie wczorajszego wieczoru przy ogniu płonącym w kominku, dziś rano przypominała lodownię.

Na górze w sypialni były zapalaki, ale jeśli tam pójde, przeszkodzę w pracy pokojówkom. Zresztą nie zniósłabym widoku ich okrągłych twarzy i zdumionych spojrzeń. Postanowiłam poczekać, aż Frith i Robert wyjdą z jadalni, a potem wziąć zapalaki z kredensu. Weszłam na palcach do holu i zaczęłam nasłuchiwać. Nadal sprząтали ze stołu, gdyż słyszałam ich głosy i brzęk naczyń. Po chwili nastąpiła cisza, pewnie wyszli przez drzwi służbowe do kuchni. Przeszłam przez hol do jadalni. Tak jak przypuszczałam, zapalaki leżały na kredensie. Szybko schwyciłam je, a w tym momencie Frith zjawił się w pokoju.

Chciałam schować zapaliki do kieszeni, ale lokaj spojrział zdziwiony na moją rękę.

– Czy pani czegoś potrzebuje?

– Och, Frith – powiedziałam nieśmiało – nie mogłam znaleźć zapalek.

Natychmiast podał mi inne pudełko oraz papierosy. To mnie znowu zmieszało, gdyż nie paliłam.

– Nie, chodzi o to, że było mi zimno w bibliotece. Pewnie odzwyczaiłam się od naszego klimatu po pobycie za granicą. Chciałam rozpalić kominek.

– W bibliotece rozpalamy ogień dopiero po południu, proszę pani – powiedział Frith. – Pani de Winter zawsze spędzała ranki w buduarze. Tam już jest rozpalony kominek. Oczywiście, jeśli pani sobie życzy, aby rozpalić ogień w bibliotece, każę to zaraz zrobić.

– O nie, skąd znowu. Pójdę do buduaru. Dziękuję, Frith.

– Tam pani znajdzie papier listowy, pióra i atrament. Pani de Winter zawsze załatwiała w buduarze swoją korespondencję i telefony. Jest tam również telefon wewnętrzny, gdyby pani chciała rozmówić się z panią Danvers.

– Dziękuję, Frith.

Wyszłam znowu do holu, nucąc jakąś melodię. Chodziło mi o wywołanie wrażenia, że jestem pewna siebie. Nie mogłam przyznać się, że nigdy nic widziałam tego budynku, bo Maxim nie pokazał mi go wczoraj wieczorem. Czułam, że Frith stoi w drzwiach jadalni, patrząc, jak idę przez hol. Musiałam udawać, że znam drogę. Po lewej stronie wielkich schodów znajdowały się jakieś drzwi. Podeszłam do nich śmiało, modląc się w duchu, żeby prowadziły do celu, ale gdy otworzyłam je, zobaczyłam, że jest to składzik, w którym przechowuje się różne rupiecie. Był tam stół, na którym układało się bukiety, fotele z wikliny stały rzędem pod ścianą, kilka płaszczy nieprzemakalnych wisiało na kołkach. Wyszłam stamtąd, nadrabiając miną, i spojrzałam w kierunku jadalni. Frith nadal stał w drzwiach. Nie oszukałam go ani na chwilę.

– Do buduaru idzie się przez duży salon, proszę pani, przez te drzwi na prawo od schodów. Prosto przez salon, a potem trzeba skrócić w lewo.

– Dziękuję, Frith – powiedziałam pokornie, nie udając więcej.

Minęłam podłużny salon zgodnie ze wskazówkami Fritha. Był to piękny pokój o wspaniałych proporcjach. Z okien roztaczał się widok na trawniki opadające ku morzu.

Przypuszczałam, że salon ten jest dostępny dla publiczności i że Frith, o ile to on oprowadza zwiedzających, zna historię obrazów wiszących na ścianach oraz styl wszystkich mebli. Widziałam, że jest to wyjątkowo piękny pokój, a krzesła i stoły są z pewnością bezcenne. Mimo to nie miałam ochoty pozostać w nim dłużej. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym kiedykolwiek usiąść na tych krzesłach, stać przed rzeźbioną półką nad kominkiem czy też rzucić książki na stół. Pokój ten miał uroczysty charakter sali muzealnej, gdzie wnęki oddzielone są sznurami, a strażnik w płaszczu i kapeluszu, podobnie jak przewodnicy we francuskich zamkach, siedzi na krześle przy drzwiach. Wysłam z salonu, skręciłam w lewo i trafiłam wreszcie do małego buduaru.

Ucieszył mnie widok psów siedzących przed kominkiem. Jasper zerwał się zaraz, machając ogonem, i dotknął pyskiem mojej ręki. Stara suka podniosła łeb, zwróciła swe niewidzące oczy w moim kierunku, lecz powęszywszy chwilę, przekonała się, że nie jestem tą osobą, której wyczekiwała. Odwróciła łeb z głuchym pomrukiem i zaczęła wpatrywać się w płomienie. Jasper odszedł ode mnie i usiadłszy obok suki, zaczął lizać swój bok. Psy wiedziały, tak samo jak Frith, że kominek w bibliotece rozpalano dopiero po południu. Przyzwyczajone były od dawna przychodzić rano do buduaru. Zanim podeszłam do okna, domyśliłam się, że stąd będzie widać rododendrony. Oto one, krwistoczerwone, wspaniałe krzewy, które widziałam wczoraj, zgrupowane przed otwartym oknem, wpełzające na aleję wjazdową. Wśród krzewów, na maleńkiej polance pokrytej gładkim dywanem mchu, stał posązek nagiego fauna grającego na flecie.

Szkarłatne rododendrony tworzyły tło dla posągu, a polanka przypominała małą scenę, na której faun tańczy i gra.

W buduarze nie pachniało stęchlizną, tak jak w bibliotece. Nie było tu starych, zniszczonych foteli, stołów zarzuconych pismami i gazetami, których chyba nikt nie czytał, ale widocznie musiały tam leżeć, gdyż ojciec Maxima, a może jego dziadek tak sobie tego życzyli.

Buduar był pokojem kobiecym, urządzonego z wdziękiem i dużym smakiem. Pokój ten należał do kogoś, kto z wielką starannością dobiera wszystkie sprzęty i ozdoby, tak że każde krzesło, każdy wazon, najmniejszy nawet drobiazg harmonizował z całością oraz osobowością właścicielki. Wydawało się, że osoba, która urządziła ten pokój, mówiła: „Ja chcę mieć to i to, i tamto” i brała jeden przedmiot po drugim ze skarbów Manderley, pogardzając rzeczami drugorzędnej wartości, wybierając z nieomylnym instynktem to, co najlepsze. Nie było tu różnorodności stylów ani mieszaniny epok. W dziwny i zaskakujący sposób osiągnięty został doskonały efekt, zupełnie inny niż w zimnym, uroczystym salonie otwartym dla zwiedzających. Pokój odznaczał się niezwykłą żywością, miał w sobie coś z żartu i blasku rododendronów zgrupowanych pod oknem. Zauważyłam wówczas, że rododendrony przeniknęły również i do buduaru. Ich wielkie, ciepłe pęki patrzyły na mnie z półki nad kominkiem, unosiły się na powierzchni wody w płytkim naczyniu, stały smukłe i wdzięczne na sekretarze obok złotych świeczników. Wypełniały cały pokój, rzucając ciepły czerwony odbłask na ściany opromienione rannym słońcem. Prócz rododendronów nie było tu innych kwiatów. Zastanawiałam się, czy buduar urządzonego został specjalnie z tą myślą, gdyż w pozostałych pokojach rododendrony nie rzucały się w oczy. W jadalni i w bibliotece stały starannie ułożone bukiety, ale ustawione były dyskretnie, nie tak jak tutaj i nie w takich ilościach.

Usiadłam przy sekretarze. Zdziwiło mnie, że ten uroczy, barwny buduar ma jednocześnie praktyczne zastosowanie. Wydawało mi się, że pokój urządzonego z tak niezwykłym smakiem, pomimo przesadnej ilości kwiatów, może być tylko dziełem sztuki dekoracyjnej, pełnym nastroju i intymności.

Sekretera jednak, aczkolwiek piękna, nie była wyłącznie ładną zabawką, przy której kobieta pisze krótkie liściki, gryząc koniec pióra i niedbale pozostawia je przez wiele dni na przekrzywionym bibularzu. Przedziałki w sekretarze oznaczone były napisami: „Listy do załatwienia”, „Listy do zachowania”, „Gospodarstwo”, „Administracja”, „Menu”, „Różne”, „Adresy”. Na każdej karteczce widniał ten ostry charakter pisma, który już znałam. Pismo to zaskoczyło mnie, a nawet przestraszyło,

ponieważ nie widziałam go od chwili, gdy zniszczyłam stronę z dedykacją w tomiku poezji. Nie przypuszczałam, że jeszcze je kiedyś zobaczę.

Wyciągnęłam jedną z szuflad i znowu napotkałam to pismo, tym razem w grubej księdze oprawnej w skórę, z napisem „Goście w Manderley”. Do księgi tej, podzielonej na dni i tygodnie, wpisywano nazwiska osób, które gościły w Manderley, nazwy pokoi, w których mieszkały, potrawy, które jadły. Przewracając kartki, zobaczyłam, że jest to wykaz obejmujący cały rok, dzięki czemu pani domu mogła sprawdzić z dokładnością co do dnia, niemal nawet godziny, kto i kiedy spędzał noc pod jej dachem, gdzie spał i co jadł. Prócz księgi znalazłam w szufladzie białe grube arkusze papieru do notatek, papier listowy z herbem i adresem oraz wizytówki koloru kości słoniowej w małych pudełkach.

Wyjęłam jedną z nich i zobaczyłam nadruk: „Pani R. de Winter”, a w rogu na dole „Manderley”. Włożyłam ją z powrotem do pudełka i zamknęłam szufladę. Nagle ogarnęło mnie uczucie zawstydzenia, jak gdybym, przebywając u kogoś w gościnie i korzystając z biurka pani domu, podglądała ukradkiem jej korespondencję. Lada moment może ona wejść do pokoju i zastać mnie nad otwartą szufladą, do której nie miałam prawa zaglądać.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu stojącego przede mną na sekreterze. Serce mi zamarło ze strachu, że zostałam schwytana na gorącym uczynku. Drżącą ręką podniosłam słuchawkę i zapytałam:

– Kto mówi, o co chodzi?

Usłyszałam dziwne brzęczenie, potem niski, ostry głos, ale nie mogłam rozpoznać, czy męski, czy kobiecy.

– Pani de Winter? Pani de Winter?

– To musi być pomyłka – odpowiedziałam. – Pani de Winter nie żyje już więcej niż rok.

Siedziałam, wpatrując się w tubkę aparatu. Dopiero gdy głos powtórzył z naciskiem nazwisko, uświadomiłam sobie, że palnęłam głupstwo i że nie mogę cofnąć mych słów. Obląłam się rumieńcem.

– Tu mówi Danvers, proszę pani – odezwał się głos w słuchawce. – Dzwonię z wewnętrznego telefonu.

Moja gafa była tak oczywista, głupia i niewybaczalna, że nie mogłam jej pominąć milczeniem. Okazałabym się, o ile to możliwe, jeszcze większą idiotką.

– Przepraszam panią – powiedziałam, zacinając się. – Dzwonek telefonu przestraszył mnie, nie wiedziałam, co mówię. Nie uświadomiłam sobie, że to o mnie chodzi, i nie zauważyłam, że mówię przez wewnętrzny telefon.

– Przykro mi, że panią zaskoczyłam – odparła pani Danvers. Czułam, że domyśla się, co robiłam przy sekreterze. – Chciałam się tylko dowiedzieć, czy mam przyjść do pani i czy aprobejuje pani menu na dzień dzisiejszy.

– Ależ tak, naturalnie, to znaczy, że aprobejuję menu. Proszę zarządzić to, co pani chce. Pozostawiam pani wolną rękę.

– Wolałabym, żeby pani przeczytała menu – mówiła dalej. – Znajdzie je pani na bibularzu.

Zaczęłam gorączkowo przewracać papiery i wreszcie znalazłam kartkę, której przedtem nie dostrzegłam. Szybko przejrzałam menu: potrawka z krewetek, pieczeń cielęca, szparagi, zimny mus czekoladowy – nie wiedziałam, czy to lunch, czy obiad, prawdopodobnie lunch.

– Doskonale, świetnie ułożone menu.

– Jeśli pani chce coś zmienić, proszę mi powiedzieć, a ja natychmiast wydam polecenie kucharzowi. Jak pani widzi, zostawiam puste miejsce na sos, żeby pani zdecydowała. Nie wiem, jaki sos pani lubi do pieczeni cielęcej. Pani de Winter była bardzo wybredna w tej materii i zawsze musiałam ją o to pytać.

– O tak... zaraz... sama nie wiem. Może ten sos, co zwykle, ten, który by pani de Winter zamówiła.

– Nie zależy pani na jakimś specjalnym sosie?

– Nie, naprawdę nie.

– Myślę, że pani de Winter zamówiłaby sos na winie, proszę pani.

– Wobec tego niech będzie na winie.

– Bardzo mi przykro, że przeszkodziłam pani w pisaniu listów.

– Wcale mi pani nie przeszkodziła, proszę się tym nie martwić.

– Poczte wysyłamy w południe. Robert przyjdzie po pani listy i sam nalepi znaczki – powiedziała pani Danvers. – Jeśli pani ma

coś pilnego, to proszę zatelefonować do niego, a on spowoduje, żeby listy zabrano natychmiast na pocztę.

– Dziękuję pani – odpowiedziałam.

Nasłuchiwałam przez chwilę, ale ona nie odezwała się więcej. Usłyszałam, że odłożyła słuchawkę. Zrobiłam to samo. Potem spojrzałam na sekretkę i na papier listowy. Miałam wrażenie, że przegródki z napisami wyrzucają mi moją beczynność. Ta, która siedziała tu przede mną, nie marnowała czasu tak jak ja. Sięgała po telefon, wydawała szybko polecenia, ewentualnie skreślała jakąś potrawę, której nie lubiła. Nie mówiła do pani Danvers tak jak ja: „Tak” i „Naturalnie”. Potem zaczynała pisać listy, może pięć, sześć, siedem listów, na które należało odpowiedzieć. Pisała tym dziwnym, pochyłym pismem, które tak dobrze znałam. Oddzierała z bloku jeden po drugim arkusz gładkiego, białego papieru, który szybko pokrywała pismem. Na końcu prywatnych listów podpisywała się „Rebeka”, a litera „R” dominowała nad pozostałymi.

Bębniłam palcami po blacie. Przegródki świeciły pustką. Nie było w nich listów czekających na odpowiedź ani rachunków, które należało uregulować. Gdybym miała coś pilnego, powiedziała pani Danvers, to wystarczy zatelefonować do Roberta, a on zajmie się tym, aby list dostarczono natychmiast na pocztę. Zastanawiałam się, ile pilnych listów pisała Rebeka i do kogo. Może do krawcowej: „Muszę mieć koniecznie tę białą jedwabną suknię na wtorek” lub do fryzjera: „Przyjadę w piątek, proszę mnie zapisać na godzinę trzecią do samego pana Antoine’a. Mycie głowy, masaż, ułożenie włosów i manikiur”. Nie, takie listy byłyby stratą czasu. Zatelefonowałyby do Londynu. Frith by to załatwił: „Mówię z polecenia pani de Winter”.

Nadal bębniłam palcami. Nie miałam do kogo napisać listu. Pozostawała tylko pani van Hopper. Jakie to było śmieszne, absurdalne, że oto siedzę przy moim własnym biurku, w moim własnym domu i nie mam nic lepszego do roboty, jak pisać listy do pani van Hopper, której nie lubię i której nigdy więcej nie zobaczę. Przysunęłam bliżej papier listowy i wzięłam do ręki cienkie pióro z jasną, ostrą stalówką. „Szanowna Pani” – zaczęłam. Pisałam z namysłem, wymuszonym stylem, wyrażając nadzieję, że podróż była przyjemna, że jej wnuczka ma się

lepiej, że w Nowym Jorku jest ładna pogoda. Zauważyłam po raz pierwszy, że mam niewyrobiany charakter pisma, nieciekawym i pospolitym, jakbym była osobą niewykształconą, uczennicą drugorzędnej szkoły.

Gdy usłyszałam nadjeżdżający samochód, zerwałam się w popłochu i spojrzałam na zegar. Wiedziałam, że to Beatrice z mężem. Dopiero minęła dwunasta. Zjawili się znacznie wcześniej, niż przypuszczałam. A Maxim jeszcze nie wrócił. Zastanawiałam się, czy uda mi się ukryć, czy zdążę uciec przez taras do ogrodu. Frith, wprowadzając ich do buduaru, powie: „Pani widocznie wyszła”. Będzie to zupełnie naturalne, nie będą tym zdziwieni. Psy spojrzały na mnie badawczo, gdy podbiegłam do drzwi prowadzących na taras. Jasper ruszył za mną, machając ogonem.

Z tarasu widać było małą polankę, na którą chciałam się dostać. W chwili gdy zamierzałam przemknąć się między rododendronami, usłyszałam głosy w pobliżu i cofnęłam się do pokoju. Goście wchodzili do domu od strony ogrodu, ponieważ Frith powiedział im, że znajdą mnie w buduarze. Szybko weszłam do wielkiego salonu i skierowałam się do najbliższych drzwi po lewej stronie. Prowadziły do długiego korytarza o kamiennej posadzce. Zaczęłam biec tym korytarzem, uświadamiając sobie w pełni własną głupotę i gardząc sobą za histeryczne zachowanie. Czułam jednak, że nie jestem w stanie spotkać się z tymi ludźmi, w każdym razie nie w tej chwili. Wydawało mi się, że korytarz prowadzi do części gospodarczej domu. Za zakrętem zobaczyłam klatkę schodową. Natknęłam się tam na służącą, której jeszcze nie znałam. Może była to pomywaczka. W jednej ręce miała szczotkę, w drugiej wiadro. Wytrzeszczyła na mnie oczy w zdumieniu, jakbym była zjawiskiem niespodziewanym w tej części domu.

– Dzień dobry – odezwałam się bardzo zmieszana i ruszyłam w stronę schodów.

– Dzień dobry pani – odpowiedziała dziewczyna.

Wchodziłam na górę, a ona stała z otwartymi ustami, wlepiając we mnie okrągłe oczy.

Myślałam, że schody zaprowadzą mnie do pokoiw sypialnych i że trafię do swego apartamentu we wschodnim skrzydle. Chciałam tam posiedzieć tak długo, aż nadejdzie pora lunchu, kiedy to obowiązki gościnności zmuszą mnie do zejścia na dół. Musiałam jednak zmylić kierunek, bo gdy weszłam na górę, znalazłam się w nieznanym mi długim korytarzu, podobnym do korytarza we wschodnim skrzydle, lecz szerszym i ciemniejszym, ponieważ ściany wyłożone były dębową boazerią.

Zawahałam się chwilę, potem skręciłam w lewo i natrafiłam na szerokie schody. Było ciemno i bardzo cicho. Nie spotkałam nikogo. Jeśli pokojówki sprzątały tu rano, musiały już skończyć pracę i zejść na dół. Nie widziałam śladów ich bytności ani nie czułam charakterystycznego zapachu świeżo czyszczonych dywanów. Gdy stałam, zastanawiając się, w którą stronę pójść, odniosłam wrażenie, że cisza ta jest niezwykła, że ma w sobie coś przynębiającego, podobnie jak dom opuszczony przez mieszkańców.

Otworzyłam pierwsze z brzegu drzwi. Zobaczyłam pokój pogrążony w całkowitych ciemnościach. Przez szczelnie zamknięte okiennice nie wpadała ani odrobinka światła. W środku pokoju mgliście rysowały się kontury mebli przykrytych białymi pokrowcami. Duszno tu było i pachniało stęchlizną, jak zwykle w rzadko używanym pokoju. Być może nie odsłaniano okien od poprzedniego lata. Gdyby teraz rozsunąć zasłony i otworzyć skrzypiące okiennice, ćma uwięziona od wielu miesięcy spadnie martwa na dywan i znajdzie się obok zapomnianej szpilki i zeschniętego liścia, który kiedyś wpadł przez otwarte okno. Cicho wysunęłam się z pokoju i poszłam wzdłuż korytarza, mijając po obu stronach zamknięte drzwi. Wreszcie znalazłam się przed niszą w zewnętrznej ścianie, gdzie przez duże okno wpadało światło.

Wyjrzałam i zobaczyłam trawniki ciągnące się aż do brzegu oraz jasnozielone morze pokryte białymi grzywami fal pędzonych wiatrem od zachodu.

Morze było blisko, znacznie bliżej, niż przypuszczałam, tuż za grupką drzew, poniżej trawników, zaledwie o pięć minut

drogi od domu. Wydawało mi się, że gdybym przyłożyła ucho do okna, usłyszałabym szum fal bijących o brzeg małej zatoczki ukrytej za drzewami. Zrozumiałam, że obeszłam dom dokoła i znajduję się w korytarzu zachodniego skrzydła. Tak, pani Danvers miała rację, stąd słycać szum morza. Można sobie wyobrazić, że zimą fale wdzierają się na zielone trawniki i zagrażają domowi. Nawet teraz wskutek silnego wiatru szyby pokryły się mgiełką, jakby od ludzkiego oddechu. Mgiełka nasycona solą, którą przyniósł wiatr. Szybko pędząca chmura przesłoniła na chwilę słońce. Morze raptownie zmieniło barwę, stało się czarne, białe grzywy fal wydawały się groźne i okrutne. Morze nie było już wesołe i roziskrzzone, jak przed chwilą.

Pomyślałam, że przyjemniej jednak mieszkać we wschodnim skrzydle. Wolałam mimo wszystko ogród różany od widoku morza. Wróciłam na schody i już miałam zejść na dół, gdy usłyszałam, że z tyłu otwierają się drzwi. Stanęła w nich pani Danvers. Patrzyłyśmy na siebie przez chwilę bez słowa. Nie wiedziałam, czy oczy jej wyrażały złość czy ciekawość, gdyż twarz jej stała się maską, skoro tylko mnie spostrzegła. Pomimo milczenia pani Danvers zawstydziłam się, jakby mnie schwymano na gorącym uczynku, i czułam, że oblewam się zdradliwym rumieńcem.

– Zabłądziłam – odezwałam się wreszcie – szukałam swego pokoju.

– Przeszła pani na drugą stronę domu, to jest zachodnie skrzydło.

– Tak, wiem.

– Czy wchodziła pani do jakiegoś pokoju? – spytała.

– Nie, tylko otworzyłam drzwi, ale nie wchodziłam. W pokoju było ciemno, meble pokryte pokrowcami. Nie miałam zamiaru nic ruszać. Przypuszczam, że zależy pani na tym, aby ta część domu pozostawała zamknięta.

– Jeśli pani sobie życzy, otworzę te pokoje – odpowiedziała pani Danvers. – Wystarczy, że otrzymam od pani polecenie. Wszystkie pokoje są umeblowane i mogą być w każdej chwili oddane do użytku.

– O nie, wcale nie miałam tego na myśli.

– A może chciałaby pani, żebym oprowadziła panią po całym zachodnim skrzydle?

– Nie – odparłam, potrząsając głową. – Muszę zejść na dół.

Zacząłam schodzić, a ona szła u mego boku jak strażnik pilnujący więźnia.

– Jak pani będzie miała wolną chwilę, proszę mi dać znać, to pokażę pani pokoje w zachodnim skrzydle – powtórzyła z naciskiem. Nie wiem, dlaczego poczułam się nieswojo.

Natarczywość pani Danvers przypomniała mi pewien moment z mego dzieciństwa, gdy byłam w odwiedzinach u starszej ode mnie koleżanki. Chwyciła mnie ona za ramię i szepnęła na ucho:

– Chodź, pokażę ci książkę schowaną w szafie u matki w sypialni. Obejrzymy ją, dobrze?

Pamiętam jej bladą, podnieconą twarz, pamiętam, jak błyszczały jej oczy i jak silnie ścisnęła mnie za ramię.

– Każę zdjąć pokrowce, a wtedy pani zobaczy, jak wyglądały te pokoje, kiedy w nich mieszkano – ciągnęła pani Danvers. – Pokazałabym je pani dziś rano, ale myślałam, że pani pisze listy w buduarze. Jak pani będzie miała ochotę zobaczyć to skrzydło, proszę zatelefonować do mnie. Uporządkowanie pokoi nie potrwa długo.

Zeszliśmy na dół. Pani Danvers otworzyła drzwi i usunęła się na bok, robiąc mi przejście. Jej czarne oczy patrzyły na mnie pytająco.

– To bardzo miło z pani strony – powiedziałam. – Dam pani znać.

Wyszliśmy razem na główną kondygnację schodów za krużgankiem pieśniarzy.

– Dziwi mnie, jak pani mogła zabłądzić – odezwała się pani Danvers – przecież drzwi prowadzące do zachodniego skrzydła różnią się znacznie od tych.

– Ja nie szłam tędy.

– W takim razie musiała pani trafić z drugiej strony przez korytarz o kamiennej posadzce?

– Tak – odpowiedziałam, unikając jej oczu. – Tak, przyszałam z drugiej strony.

Pani Danvers nie spuszczała ze mnie wzroku, jakby spodziewając się, że powiem jej, dlaczego uciekłam z buduaru do nieznannej mi części domu. Wydawało mi się, że domyśla się

dlaczego, że podglądała mnie przez szparkę w drzwiach, gdy wędrowałam po zachodnim skrzydle.

– Państwo Lacy są tutaj już od dłuższego czasu – powiedziała.

– Słyszałam, jak samochód zajechał kilka minut po dwunastej.

– O, nie wiedziałam o tym.

– Frith na pewno zaprowadził gości do buduaru. Teraz jest już chyba wpół do pierwszej. Czy pani trafi tam sama?

– Tak.

Schodziłam po szerokich schodach do holu, czując, że ona stoi nadal na górze i nie spuszcza ze mnie oczu.

Wiedziałam, że muszę teraz wrócić do buduaru, by przywitać siostrę Maxima i jej męża. Nie mogłam ukryć się w sypialni. Wchodząc do salonu, obejrzałam się i zobaczyłam, że pani Danvers stoi na podeście niby czarny wartownik.

Przez chwilę stałam pod drzwiami buduaru z ręką na klamce, przysłuchując się odgłosom rozmowy. Widocznie Maxim wrócił, gdy wędrowałam po zachodnim skrzydle. Pewnie przyprowadził administratora, bo wydawało mi się, że w pokoju jest wiele osób. Opanowało mnie to samo paraliżujące onieśmienie, które ogarniało mnie tak często w dzieciństwie, gdy kazano mi witać się z gośćmi. Nacisnęłam klamkę i weszłam do pokoju. Wszystkie twarze zwróciły się ku mnie i zapanowało milczenie.

– Wreszcie się zjawiała – powiedział Maxim. – Gdzie ty się ukrywałaś? Już chcieliśmy wysłać po ciebie wyprawę ratunkową. To jest Beatrice, to Giles, a to Frank Crawley. Uważaj, omal nie nadepnęłaś na psa.

Beatrice była wysoką, przystojną kobietą o szerokich ramionach. Oczy i zarys twarzy miała bardzo podobne do Maxima. Ubrana po sportowemu, nie była tak elegancka, jak się spodziewałam. Należała do osób, które troskliwie leczą psy chore na nosówkę, które znają się na koniach i dobrze strzelają. Nie pocałowała mnie. Mocno uściśnęła mi rękę, patrząc prosto w oczy, następnie zwróciła się do Maxima:

– Jest zupełnie inna, niż przypuszczałam. Wcale nie zgadza się z twoim opisem.

Wszyscy roześmieli się, ja również, nie będąc pewna, czy nie śmieją się ze mnie. Zastanawiałam się, czego spodziewała się Beatrice i jak mnie Maxim opisał.

– To jest Giles – powiedział Maxim, dotykając mego ramienia.

Giles wyciągnął ogromną łapę i tak mocno ścisnął mi rękę, że straciłam czucie w palcach. Jego wesołe oczy uśmiechały się zza okularów w rogowej oprawie.

– Frank Crawley – przedstawił Maxim.

Odwróciłam się do administratora. Był to bezbarwny, chudy mężczyzna o wystającej grdyce. W oczach jego wyczytałam ulgę, gdy spojrzał na mnie. Zastanowiło mnie to, ale nie miałam czasu na rozmyślanie, ponieważ wszedł Frith i podał mi sherry, a Beatrice zwróciła się do mnie:

– Maxim powiedział, że wróciliście dopiero wczoraj wieczorem. Gdybym wiedziała, nie niepokoilibyśmy was tak od razu po przyjeździe. Jak ci się podoba Manderley?

– Jeszcze tak niewiele zdążyłam zobaczyć, ale jest tu bardzo pięknie.

Beatrice oglądała mnie od stóp do głów, co było do przewidzenia, ale robiła to w sposób naturalny, niepozbawiony życzliwości, nie tak złośliwie jak pani Danvers. Miała prawo mnie oceniać jako siostra Maxima. Maxim podszedł i wziął mnie pod rękę, co mi dodało otuchy.

– Wyglądasz o wiele lepiej, mój drogi – zwróciła się do niego Beatrice, przechyliwszy na bok głowę i przyglądając mu się uważnie. – Nie jesteś już taki mizerny. Sądzę, że zawdzięczamy to tobie. – Skinęła głową w moją stronę.

– Zawsze byłem zdrowy – odpowiedział Maxim zniecierpliwiony. – Nigdy na nic nie chorowałem. Tobie się wydaje, że każdy, kto nie jest taki gruby jak Giles, musi być chory.

– Głupstwa mówisz – odparła Beatrice. – Wiesz doskonale, że przed pół rokiem byłeś całkowicie wykończony. Przeraziłam się straszliwie, gdy zobaczyłam cię w takim stanie. Obawiałam się, że grozi ci poważna choroba. Giles może poświadczyć. Prawda, że Maxim wyglądał okropnie w czasie naszych ostatnich odwiedzin? Czyż nie mówiłam, że z pewnością się rozchoruje?

– Tak, muszę przyznać, mój stary, że bardzo się poprawił – potwierdził Giles. – Dobrze zrobiłeś, wyjeżdżając stąd. Prawda, Crawley, że Maxim wygląda świetnie?

Czułam, jak palce Maxima zaciskają się na mym ramieniu. Wiedziałam, że usiłuje nie stracić panowania nad sobą. Z jakichś

przyczyn rozmowa o jego zdrowiu denerwowała go, a nawet gniewała. Uważałam, że to nietaktowne ze strony Beatrice upierać się przy tym temacie.

– Maxim jest bardzo opalony – powiedziałam nieśmiało. – Opaleniźna ukrywa wiele braków. Szkoda, że nie widzieliście go w Wenecji, jak jadł śniadanie na balkonie, żeby się opalić. Uważa, że mu z tym do twarzy.

Wszyscy roześmieli się, a Crawley powiedział:

– O tej porze roku Wenecja musiała być cudna.

– Tak, mieliśmy wspaniałą pogodę. Tylko jeden dzień pochmurny, prawda, Maximie?

Szczerliwie udało się skierować rozmowę na bezpieczniejszy temat podróży po Włoszech i pięknej pogody. Rozmowa toczyła się teraz gładko, bez wysiłku. Maxim, Beatrice i Giles rozprawiali o samochodzie Maxima, i Crawley spytał mnie, czy to prawda, że po kanałach już nie pływają gondole, tylko motorówki. Myślę, że byłoby mu to zupełnie obojętne, gdyby nawet morskie statki stały na kotwicy w Canale Grande. Pytał o gondole, żeby mi pomóc i poprzeć moje wysiłki mające na celu odwrócenie uwagi od zdrowia Maxima. Byłam mu za to wdzięczna i wyczułam w nim sprzymierzeńca.

– Jasper ma za mało ruchu – odezwała się Beatrice, dotykając psa nogą. – Jest o wiele za gruby, a ma zaledwie dwa lata. Czym ty go karmisz, Maximie?

– Moja droga, dostaje dokładnie to samo co twoje psy – odpowiedział Maxim. – Nie udawaj, że wiesz więcej o psach ode mnie.

– Skąd ty możesz wiedzieć, mój kochany, co Jasper dostawał, kiedy ciebie nie było w domu przez kilka miesięcy? Nie w mówisz mi, że Frith chodzi z nim do bramy wjazdowej dwa razy dziennie. Ten pies nie biegał przez wiele tygodni, widzę to po jego sierści.

– Wolę, żeby był potwornie gruby niż na wpół zagłodzony jak ten twój zwariowany pies – odparł Maxim.

– To niezbyt mądra uwaga, zważywszy, że Lion zdobył w lutym dwie pierwsze nagrody na wystawie psów Crufta – odcięła się Beatrice.

Nastrój znowu stawał się napięty. Widziałam, że Maxim ma zaciśnięte usta. Zastanawiałam się, czy rodzeństwa zawsze tak

się przekomarzają i wprawiają innych w zakłopotanie. Marzyłam, żeby wszedł Frith i zapowiedział lunch. A może wezwą nas dźwięki gongu. Nie wiedziałam, jaki zwyczaj panuje w Manderley.

– Jak daleko od nas mieszkacie? – spytałam, siadając przy Beatrice. – Czy musieliście bardzo wcześnie wyruszyć?

– Mieszkamy o pięćdziesiąt mil stąd, moja droga, w sąsiednim hrabstwie, za Trowchester. Mamy o wiele lepsze tereny łowieckie. Musisz przyjechać do nas na dłużej, jak tylko Maxim da ci nieco swobody. Giles wybierze ci dobrego konia.

– Niestety, nie poluję – przyznałam się. – Jako dziecko uczyłam się jeździć konno, ale nie wiem, czybym teraz potrafiła.

– Musisz zacząć na nowo – powiedziała Beatrice. – Nie można przecież mieszkać na wsi i nie jeździć konno. Nie wiedziałabyś, co ze sobą zrobić. Maxim mówi, że malujesz. Oczywiście to bardzo miłe zajęcie, ale nie daje ruchu. To dobre jak deszcz pada, gdy się nie ma nic lepszego do roboty.

– Moja droga, nie wszyscy są takimi gorącymi zwolennikami świeżego powietrza jak ty – wtrącił Maxim.

– Nie mówiłam do ciebie, mój stary. Wiemy wszyscy, że tobie nic więcej do szczęścia nie potrzeba, jak wałęsać się po ogrodach Manderley, nigdy nie przyspieszając kroku.

– Ja również lubię chodzić – powiedziałam szybko. – Jestem pewna, że nigdy mnie nie znudzą wędrówki po Manderley. Prócz tego mogę się kąpać, gdy będzie ciepło.

– Jesteś optymistką, moja kochana – odparła Beatrice. – Nie przypominam sobie, żebym się tu kiedykolwiek kąpała. Woda jest zbyt zimna, a plaża kamienista.

– To mi nie przeszkadza, przepadam za pływaniem. Tylko nie wiem, czy prądy nie są zbyt silne i czy kąpiel w zatoce jest bezpieczna.

Nikt się nie odezwał, a ja uświadomiłam sobie nagle, co powiedziałam. Serce zaczęło mi walić gwałtownie. Czułam, że oblewam się rumieńcem. Pochyliłam się do Jaspera, żeby go pogłaskać, cierpiąc męczarnie zakłopotania.

– Jasperowi przydałoby się trochę popływać – przerwała ciszę Beatrice. – Pozbyłby się tego tłuszczu. Ale w zatoce nie dałby sobie rady, prawda, Jasper? Dobry Jasper. Miłe psisko.

Obie głaskałyśmy psa, nie patrząc na siebie.

– Jestem piekielnie głodny, co się dzieje z lunchem? – powiedział Maxim.

– Jest dopiero pierwsza według zegara nad kominkiem – stwierdził Crawley.

– Ten zegar zawsze się śpieszył – zauważyła Beatrice.

– Chodzi doskonale od wielu miesięcy – zaprzeczył Maxim.

W tym momencie otworzyły się drzwi i Frith oznajmił, że lunch jest podany.

– Chciałbym umyć ręce – odezwał się Giles.

Wstaliśmy wszyscy z wielką ulgą i przeszliśmy przez salon do holu. Beatrice wzięła mnie pod rękę. Wyprzedzałyśmy mężczyzn o kilka kroków.

– Kochany stary Frith – powiedziała Beatrice. – Wcale się nie zmienia. Gdy patrzę na niego, wydaje mi się, że jestem młodą dziewczyną. Nie gniewaj się, że ci to mówię, ale jesteś jeszcze młodsza, niż przypuszczałam. Maxim zdradził mi twój wiek, ale przecież ty jesteś jeszcze dzieckiem. Powiedz mi, czy bardzo go kochasz?

Nie byłam przygotowana na takie pytanie. Beatrice musiała zauważyć mój zdziwiony wyraz twarzy, gdyż roześmiała się lekko i ścisnęła mnie za ramię.

– Nie odpowiadaj – powiedziała. – Wiem, co myślisz. Jestem natrętną nudziarą, prawda? Nie gniewaj się na mnie. Jestem bardzo przywiązana do Maxima, choć kłócimy się zawsze, gdy się widzimy. Jeszcze raz muszę ci pogratulować jego wyglądu. Przed rokiem bardzo martwiliśmy się o niego. Znasz oczywiście tę całą historię.

Beatrice zamilkła, bo właśnie weszliśmy do jadalni, gdzie znajdowała się służba. Po chwili przyłączyli się do nas panowie. Gdy usiadłam i rozkładałam serwetkę na kolanach, zastanawiałam się, co by powiedziała Beatrice, gdyby zdawała sobie sprawę, że nie wiem nic o wydarzeniach ubiegłego roku, że nie znam szczegółów tragedii, która wydarzyła się w zatoce, że Maxim nie zdradził się z niczym i że ja go nigdy o to nie pytam.

Lunch minął lepiej, niż przypuszczałam. Rodzeństwo prawie się nie sprzeczało. Zapewne dzięki temu, że Beatrice zaczęła wreszcie zachowywać się taktownie; w każdym razie rozmawiała z Maximem o sprawach dotyczących Manderley,

o swoich koniach, o ogrodzie i o wspólnych znajomych. Frank Crawley, który siedział obok mnie z lewej strony, gawędził o tym i owym, za co byłam mu wdzięczna, gdyż nie wymagało to ode mnie żadnego wysiłku. Giles zajmował się więcej jazdą niż konwersacją, choć od czasu do czasu przypominał sobie o moim istnieniu i rzucał jakąś uwagę w moim kierunku.

– Masz tego samego kucharza co dawniej, Maximie? – spytał, gdy Robert podał mu po raz drugi zimny suflet. – Zawsze mówię Bei, że Manderley jest obecnie jedynym miejscem w Anglii, gdzie można dobrze zjeść. Pamiętam ten suflet z dawnych czasów.

– Myślę, że kucharze zmieniają się od czasu do czasu – powiedział Maxim – ale jazda pozostaje na tym samym poziomie. Pani Danvers zna wszystkie przepisy i osobiście zarządza kuchnią.

– Niezwykła kobieta ta pani Danvers – zwrócił się do mnie Giles – nie uważasz?

– O tak, pani Danvers jest nadzwyczajną osobą.

– Ale urodą nie grzeszy, co? – powiedział Giles i wybuchnął śmiechem.

Frank Crawley milczał, a Beatrice przyglądała mi się uważnie. Po chwili odwróciła się i zaczęła rozmawiać z Maximem.

– Czy pani gra w golfa? – spytał Crawley.

– Nie, niestety nie gram – odpowiedziałam zadowolona, że zmienił temat rozmowy i że pani Danvers została zapomniana. Chociaż nie wiedziałam nic o golfie, chętnie słuchałabym uwag Crawleya o tej grze. Rozmowa o golfie była nudna, ale i bezpieczna zarazem. Nie mogła doprowadzić do kłopotliwej sytuacji.

Podano sery i kawę, a ja zastanawiałam się, czy powinnam już wstać od stołu. Patrzyłam na Maxima, ale nie dawał mi znaku. Giles rozpoczął jakąś zawiłą opowieść o wykopywaniu samochodu z zasypanych śnieżną – nic wiem, co doprowadziło go na te wspomnienia. Słuchałam grzecznie, kiwając głową od czasu do czasu i uśmiechając się do niego. Czułam, że Maxim zaczyna się denerwować na drugim końcu stołu. Wreszcie Giles umilkł, a ja przychwyciłam spojrzenie Maxima. Lekko zmarszczył brwi i skinął głową w kierunku drzwi.

Zerwałam się natychmiast i potrąciłam niezgrabnie stół, odsuwając krzesło. Kieliszek Gilesa przewrócił się, porto wylało się na obrus.

– O Boże! – powiedziałam, zatrzymując się i nie wiedząc, co robię, sięgnęłam po serwetkę.

– Zostaw, Frith się tym zajmie – rzucił Maxim. – Nie rób zamieszania. Beatrice, zabierz ją do ogrodu, jeszcze tam nie była.

Maxim wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego. Żałowałam, że mieliśmy gości. Zepsuli nam ten dzień. To był zbyt wielki wysiłek tuż po powrocie. Ja również byłam zmęczona – zmęczona i przygnębiona. Wydawało mi się, że Maxim był zły, gdy powiedział, abyśmy poszły do ogrodu. Jak to głupio z mojej strony, że wywróciłam ten kieliszek porto.

Wyszliśmy przez taras na zielony trawnik.

– Szkoda, że tak szybko wróciliście do Manderley – powiedziała Beatrice. – Byłoby znacznie lepiej, gdybyście jeszcze pojeździli po Włoszech przez kilka miesięcy i przyjechali tu w połowie lata. Wyszłoby to na korzyść Maximowi, a tobie również byłoby łatwiej. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pierwsze tygodnie w Manderley będą dla ciebie dosyć męczące.

– Och, nie sądzę. Czuję, że szybko przywiążę się do Manderley.

Beatrice milczała. Spacerowałyśmy tam i z powrotem po trawniku.

– Powiedz mi coś niecoś o sobie – odezwała się wreszcie. – Co robiłaś na południu Francji? Maxim mówił, że byłaś tam z jakąś okropną Amerykanką.

Wytłumaczyłam jej, co łączyło mnie z panią van Hopper i dlaczego wzięłam taką posadę. Beatrice słuchała ze współczuciem, ale wydawało mi się, że myśli o czymś innym.

– Tak – powiedziała, gdy umilkłam – to wszystko, jak mówisz, stało się nagle i niespodziewanie. Niemniej jednak ucieszyliśmy się bardzo, moja droga. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi.

– Dziękuję, Beatrice, dziękuję bardzo.

Zastanawiałam się, dlaczego powiedziała, że ma nadzieję, iż będziemy szczęśliwi, zamiast powiedzieć, że jest tego pewna. Była miła i szczerą, polubiłam ją bardzo, ale w głosie jej brzmiała nutka wątpliwości, która mnie przestraszyła.

– Gdy Maxim napisał – mówiła dalej, biorąc mnie pod rękę – że wynalazł cię na południu Francji i że jesteś bardzo młoda i bardzo ładna, muszę przyznać, że byłam wstrząśnięta. Naturalnie spodziewaliśmy się rozbawionej panny z towarzystwa, bardzo nowoczesnej, wymalowanej, takie bowiem typy dziewcząt spotyka się w tego rodzaju miejscowościach. Gdy weszłaś do buduaru przed lunchem, zaniemówiłam ze zdumienia.

Beatrice roześmiała się, ja roześmiałam się także. Nie powiedziała jednak, czy mój wygląd rozczarował ją, czy też sprawił jej ulgę.

– Biedny Maxim – ciągnęła – miał straszne przejścia. Mam nadzieję, że dzięki tobie zapomniał o przeszłości. On ubóstwia Manderley.

Pragnęłam, by nie zmieniała tematu, by powiedziała mi coś więcej o przeszłości w sposób lekki i naturalny, ale podświadomie broniłam się przed tym, nie chciałam nic słyszeć.

– Nie jesteśmy z Maximem wcale do siebie podobni – powiedziała Beatrice – mamy zupełnie inne charaktery. Z mojej twarzy można wyczytać, czy kogoś lubię, czy nie, czy jestem zła, czy zadowolona. Nie potrafię ukrywać moich uczuć. Maxim jest całkiem inny. Bardzo spokojny, bardzo opanowany. Nigdy nie wiadomo, co myśli. Ja tracę panowanie nad sobą przy byle głupstwie, wybucham i zaraz mi to mija. Maxim traci panowanie nad sobą raz czy dwa razy do roku, ale gdy je traci, mój Boże, to traci całkowicie. Nie sądzę, żebyś ty mogła go do tego doprowadzić. Myślę, że jesteś łagodnym stworzeniem.

Uśmiechnęła się i uścisnęła mnie za ramię. Pomyślałam, jakby to było dobrze być łagodną i zrównoważoną, siedzieć z robótką na kolanach, nie chmurząc czoła. Nie denerwować się nigdy, nie dręczyć się wątpliwościami i brakiem decyzji, nie stać tak jak ja, pełna nadziei i dobrych chęci, przestraszona, obgryzająca paznokcie, niepewna, jaką drogę obrać, jaką kierować się gwiazdą.

– Nie będziesz mi miała za złe, że ci coś powiem? – ciągnęła Beatrice. – Uważam, że powinnaś coś zrobić ze swymi włosami. Dlaczego nie dasz ich sobie ułożyć? Zupełnie ci się nie kręczą, prawda? Musisz źle wyglądać w kapeluszu. Dlaczego nie zaczesujesz włosów za uszy?

Posłusznie zaczesalam je i czekałam na ocenę. Spojrzała na mnie krytycznie, przechylając na bok głowę.

– Nie, tak jest jeszcze gorzej. Za surowo, nie jest ci do twarzy. Nie, wystarczy, jak je ułożysz w ten sposób, żeby się lekko falowały. Nigdy nie lubiłam tego uczesania à la Joanna d’Arc czy jak to się tam nazywa. A co mówi Maxim? Czy uważa, że tak ci jest do twarzy?

– Nie wiem, nigdy o tym nie wspominał.

– No cóż, może mu się takie uczesanie podoba. Nie zwracaj uwagi na moje zdanie. Powiedz mi, czy kupiłaś sobie jakieś suknie w Paryżu lub Londynie?

– Nie, nie mieliśmy na to czasu. Maxim śpieszył się do domu. Zresztą mogę sobie sprowadzić katalogi.

– Widzę po twoim sposobie ubierania się, że nie dbasz ani trochę o stroje.

Spojrzałam na moją flanelową spódnicę z zawstydzeniem.

– Przeciwnie – powiedziałam – bardzo lubię ładne rzeczy. Tylko dotychczas nie miałam pieniędzy na stroje.

– Dziwi mnie, że Maxim nie zatrzymał się na tydzień w Londynie i nie kupił ci ładnych sukien. Uważam, że zachował się egoistycznie. To takie do niego niepodobne. Na ogół przywiązuje dużo wagi do strojów.

– Czyżby? Nigdy tego nie zauważyłam. Myślę, że nie zwraca uwagi na moje suknie. Jest mu to chyba zupełnie obojętne.

– O, no to w takim razie musiał się bardzo zmienić.

Odwróciła ode mnie wzrok i gwizdnęła na Jaspera, trzymając ręce w kieszeniach. Po chwili spojrzała na dom.

– Więc nie używacie zachodniego skrzydła?

– Nie, mieszkamy we wschodnim. Całe skrzydło zostało odnowione.

– Tak? Nie wiedziałam. Ciekawa jestem dlaczego.

– To pomysł Maxima. Wydaje mi się, że woli wschodnie skrzydło.

Beatrice nic nie odpowiedziała. Wpatrywała się nadal w okna, pogwizdując.

– Jak sobie radzisz z panią Danvers? – spytała nagle.

Pochyliłam się i zaczęłam głaskać łeb i uszy Jaspera.

– Mało z nią miałam do czynienia – powiedziałam. – Trochę się jej boję. Nigdy nie spotkałam takiej osoby.

– Nic dziwnego – zauważyła Beatrice.

Jasper spojrzał na mnie swymi wielkimi, pokornymi oczami, nieco zaniepokojony. Pocałowałam go w jedwabisty czubek głowy i położyłam rękę na czarnym nosie.

– Nie masz się czego jej bać – odezwała się Beatrice – a w żadnym wypadku nie daj tego po sobie poznać. Ja, co prawda, nigdy nie miałam z nią do czynienia i wcale tego nie pragnę. Muszę przyznać jednak, że była dla mnie zawsze bardzo uprzejma.

Nadal głąskałam łeb Jaspera.

– Czy odniosła się do ciebie życzliwie? – spytała Beatrice.

– Nie, nie bardzo.

Beatrice zaczęła znowu gwizdać i delikatnie trąciła Jaspera nogą.

– Starałabym się na twoim miejscu jak najmniej mieć z nią do czynienia.

– Tak, ona doskonale zarządza domem, więc nie potrzebuję się wtrącać do niczego.

– Nie przypuszczam, żeby miała o to żal – odparła Beatrice.

To samo powiedział Maxim poprzedniego wieczoru. Zdziwiłam się, że oboje są tego samego zdania. Sądziłam, że pani Danvers chodziło wyłącznie o to, bym się nie wtrącała do gospodarstwa.

– Myślę, że z biegiem czasu pani Danvers przeboleje tę całą historię – powiedziała Beatrice – ale z początku może ci utrudniać życie. Oczywiście jest szaleńczo zazdrosna. Obawiałam się tego.

– Dlaczego? – spytałam, patrząc na Beatrice. – Dlaczego jest zazdrosna? Nie wydaje mi się, by Maxim był do niej szczególnie przywiązany.

– Moje dziecko, to nie chodzi o Maxima. Ona go szanuje, ale nic poza tym. Nie, widzisz – przerwała, marszcząc brwi i patrząc na mnie niepewnie – chodzi o to, że nie może pogodzić się z twoją obecnością tutaj.

– Dlaczego, dlaczego nie może się z tym pogodzić?

– Myślałam, że wiesz – odpowiedziała Beatrice. – Myślałam, że ci Maxim powiedział. Ona po prostu ubóstwiała Rebekę.

– O, teraz rozumiem.

Obie głaskałyśmy i poklepywałyśmy Jaspersa, który, nieprzyzwyczajony do takich czułości, przewrócił się na grzbiet z zachwytem.

– Oto nasi panowie – powiedziała Beatrice. – Wynieśmy krzesła i usiadźmy pod kasztanem. Jak strasznie Giles tyje, wygląda wprost odrażająco przy Maximie. Frank pewnie wróci do biura. Co to za nudne stworzenie, nigdy nie ma nic do powiedzenia. No, jak tam? O czym dyskutowaliście? Pewnie ulepszyliście świat. – Roześmiała się.

Mężczyźni przyłączyli się do nas.

Giles rzucił patyk Jasperowi. Wszyscy patrzyliśmy na psa. Crawley spojrzał na zegarek.

– Muszę już iść – powiedział. – Bardzo pani dziękuję za lunch.

– Proszę o nas nie zapominać – powiedziałam, podając mu rękę.

Zastanawiałam się, czy tamci też się pożegnają. Nie byłam pewna, czy przyjechali tylko na lunch, czy też na cały dzień. Miałam nadzieję, że sobie pojedą. Chciałam, żebyśmy zostali sami z Maximem, tak jak to było we Włoszech.

Usiedliśmy wszyscy pod rozłożystym kasztanem. Robert przyniósł krzesła i koce. Giles położył się na wznak i nasunął kapelusz na oczy. Po chwili zaczął chrapać, usta miał otwarte.

– Cicho, Giles – powiedziała Beatrice.

– Ja wcale nie śpię – mruknął, otwierając oczy i zaraz je zamykając.

Nie był interesujący. Zastanawiałam się, dlaczego Beatrice wyszła za niego za męża. Przecież nie mogła go kochać. Może to samo myślała o mnie. Zauważyłam, że od czasu do czasu przygląda mi się ze zdziwieniem, jakby zadawała sobie pytanie: „Co, u licha, Maxim w niej widzi?”. Ale spojrzenie jej było życzliwe.

Rodzeństwo rozmawiało o babce.

– Musimy odwiedzić staruszkę – powiedział Maxim.

– Biedactwo już całkiem dziecinnieje – zauważyła Beatrice – nawet nie potrafi porządnie jeść.

Przysłuchiwałam się ich rozmowie, przytulając się do ramienia Maxima i ocierając podbródkiem o jego rękaw. Maxim głaskał moją rękę odruchowo, nie myśląc o mnie i gawędząc z siostrą.

W ten właśnie sposób ja traktuję Jaspera, pomyślałam. Teraz sama zachowuję się jak Jasper, tuląc się do Maxima, który pogłaszcze mnie od czasu do czasu, gdy sobie o mnie przypomni, a ja cieszę się, że jestem blisko niego przez chwilę. On mnie lubi, podobnie jak ja lubię Jaspera.

Wiatr ustał. Popołudnie było spokojne, senne. Świeżo skoszona trawa pachniała mocno, słodko jak w lecie. Pszczoła bzyknęła nad głową Gilesa, odpędził ją kapeluszem. Jasper przywlókł się do nas z wywieszonym językiem, uciekając od słońca. Ułożył się obok mnie i zaczął lizać swój bok, oczami prosząc o wybaczenie. Słońce oświetlało gotyckie okna domu, w których odbijały się trawniki i taras. Wąska strużka dymu unosiła się z komina. Zastanawiałam się, czy zgodnie ze zwyczajem rozpalono ogień w kominku w bibliotece.

Drozd przeleciał nad trawnikiem i usiadł na magnolii rosnącej pod oknem jadalni. Nawet z tej odległości czułam delikatny zapach kwiatów magnolii. Wszędzie panował spokój i cisza. Szum fal w zatoce dochodził z oddali. Widocznie była to pora odpływu. Pszczoła przeleciała, brzęcząc, nad nami, przerywając swój lot, by zakosztować kwiatu kasztana. Tak to sobie wyobrażałam, pomyślałam. Tak właśnie wymarzyłam sobie życie w Manderley.

Pragnęłam tak siedzieć bez ruchu, nie mówić nic, nie słuchać, co mówią inni, aby zachować tę chwilę na zawsze. Byliśmy bowiem spokojni, zadowoleni i senni, jak pszczoła brzęcząca nad naszymi głowami. Wkrótce wszystko się zmieni, nadejdzie dzień jutrzejszy, po nim następny dzień i następny rok. A my będziemy inni, nigdy w tym samym gronie nie zasiądziemy pod kasztanem. Może spośród nas ktoś wyjedzie, zachoruje lub umrze – przyszłość snuła się przed nami, nieznana, nieprzewidziana, przyszłość inna od tej, jakiej pragnęliśmy, jaką zamierzaliśmy sobie ułożyć. Chwila obecna należała jednak do nas, nikt nie mógł nam jej zabrać. Oto siedzimy razem, Maxim i ja, trzymając się za ręce, a przeszłość i przyszłość nie mają żadnego znaczenia. Ten ułamek czasu przechowa się w mojej pamięci, lecz Maxim nie zapamięta go wcale, nigdy o nim nie wspomni. Moment ten nie będzie dla niego świętością. Właśnie mówi o konieczności wycięcia krzewów przy alei wjazdowej, a Beatrice przerywa mu, udzielając swoich rad i jednocześnie

rzucając garść trawy na Gilesa. Dla nich była to godzina kwadrans po trzeciej któregoś popołudnia, podobna do innych godzin, do innych dni. Nie pragnęli, tak jak ja, zatrzymać tej chwili, uwięzić jej, zabezpieczyć. Oni nie odczuwali strachu.

– No cóż, musimy już ruszać – powiedziała Beatrice, otrzepując źdźbła trawy ze spódnicy. – Nie mogę się spóźnić, Cartrightowie przyjadą do nas na obiad.

– Jak się miewa Vera? – spytał Maxim.

– Och, jak zwykle, zawsze mówi o swoich chorobach. On się bardzo postarzał. Z pewnością będą wypytywać o was.

– Pozdrów ich serdecznie ode mnie – powiedział Maxim.

Wstaliśmy. Giles otrzepał kapelusz z kurzu. Maxim przeciągnął się, ziewając. Słońce schowało się. Spojrzałam na niebo. Pokryło się barankami. Małe obłoczki pędziły w zwartym szyku, szereg za szeregiem.

– Wiatr się zmienia – stwierdził Maxim.

– Mam nadzieję, że ulewa nie złapie nas w drodze – powiedział Giles.

– Obawiam się, że na dziś to koniec pogody – wtrąciła Beatrice.

Poszliśmy wolno w stronę podjazdu, gdzie stał ich samochód.

– Nie widzieliście, jak zostało odnowione wschodnie skrzydło – odezwał się Maxim.

– Chodźcie na górę – zaproponowałam – to nie potrwa długo.

Weszliśmy do holu, potem na górę po dużych schodach.

Wydawało mi się dziwne, że Beatrice mieszkała tu przez tyle lat. Gdy była małą dziewczynką, zbiegała po tych schodach wraz ze swą nianią. Urodziła się tu, wychowała, znała każdy kąt, należała bardziej do tego domu, niż ja kiedykolwiek będę należeć. Wiele wspomnień musiała zachować w sercu. Ciekawiło mnie, czy kiedy wraca myślą do minionych dni, pamięta siebie jako dziewczynkę z warkoczykiem, tak inną od tej czterdziestopięcioletniej kobiety, energicznej i prowadzącej ustalony tryb życia...

Weszliśmy do naszych pokojów. Giles, pochylając głowę, by nie uderzyć się o framugę drzwi, powiedział:

– Jak tu ładnie, wielka zmiana na korzyść, prawda, Bea?

– Widzę, że nie żałowałaś grosza, mój drogi! – wykrzyknęła Beatrice. – Nowe zasłony, nowe łóżka, wszystko nowe.

Pamiętasz, Giles, mieszkaliśmy tutaj, gdy miałeś złamaną nogę. Było tu bardzo ponuro. Co prawda matka nigdy nie dbała zbyt wiele o wygody. Zresztą ty nigdy tutaj nie umieszczałeś gości, prawda, Maximie? Chyba że był wielki tłok. Zwykle pakowano tu kawalerów. Muszę przyznać, że teraz ten pokój jest uroczy. Okna wychodzą na ogród różany, to jego wielka zaleta. Czy mogę się upudrować?

Mężczyźni zeszli na dół, a Beatrice spojrzała w lustro.

– Czy to stara Danvers zajmowała się tym wszystkim? – spytała Beatrice.

– Tak. Uważam, że doskonale to zrobiła.

– Nic dziwnego, po tylu latach praktyki. Ciekawa jestem, ile to mogło kosztować. Założę się, że nieślą sumkę. Czy pytałaś Maxima?

– Nie, nie pytałam.

– Myślę, że pani Danvers nie przejmowała się kosztami. Czy mogę użyć twego grzebienia? Jakie ładne szczotki. Prezent ślubny?

– Maxim mi je podarował.

– Hm. Podobają mi się. Oczywiście chcemy ci coś ofiarować. Na co masz ochotę?

– Och, doprawdy nie wiem. Nie kłopotz się o to.

– Moja droga, nie bądź śmieszna. Nie jestem taka, by ci żałować prezentu, mimo że nie byliśmy zaproszeni na ślub!

– Mam nadzieję, że nie masz o to żalu. Maxim chciał wziąć ślub za granicą.

– Oczywiście, że nie mam żalu. Bardzo rozsądnie postąpiliście. Przecież to nie był... – Urwała w środku zdania i upuściła torebkę. – Do diabła, czy aby zamek się nie popsuł? Nie, wszystko w porządku. Co ja mówiłam? Nie pamiętam. Ach tak, o prezentach ślubnych. Musimy coś wymyślić. Ty pewnie nie lubisz biżuterii?

Milczałam.

– Wasza sytuacja jest zupełnie inna niż zwykłej młodej pary – ciągnęła Beatrice. – Niedawno córka mojej przyjaciółki wychodziła za mąż. Naturalnie młodym ofiarowano w prezencie obrusy, serwisy do kawy, krzesła do jadalni i inne rzeczy, zgodnie ze zwyczajem. Dałam im ładną stojącą lampę. Zapłaciłam za nią pięć funtów u Harrodsa. Jeśli pojedziesz do

Londynu po suknie, pamiętaj, idź do mojej krawcowej, madame Carroux. Ona ma doskonały gust i nie zdziera.

Wstała od toaletki i obciągnęła spódnicę.

– Czy będziecie mieli dużo gości? – spytała.

– Nie wiem. Maxim mi nic nie mówił.

– Co za dziwak z niego, nigdy nie wiadomo, co zrobi. Zdarzało się, że w całym domu nie było wolnego łóżka, takie zjeżdżały tłumy gości. Nie wyobrażam sobie, jak ty... – Urwała nagle i poklepała mnie po ramieniu. – No, zobaczymy. Szkoda, że nie jeździsz konno ani nie polujesz, dużo na tym tracisz. Czy aby przypadkiem nie żeglujesz?

– Nie.

– Dzięki Bogu.

Skierowała się do drzwi, ja za nią. Szłyśmy korytarzem.

– Przyjedź nas odwiedzić, jak będziesz miała ochotę – powiedziała Beatrice. – Uważam, że goście powinni zapraszać się sami. Życie jest za krótkie, by marnować je na wysyłanie zaproszeń.

– Dziękuję bardzo.

Doszłyśmy do podestu schodów, skąd widać było hol. Mężczyźni stali na ganku.

– Chodź prędzej, Beo! – krzyknął Giles. – Spadło już kilka kropli deszczu, więc postawiliśmy budę. Maxim mówi, że barometr spada.

Beatrice podała mi rękę i pochylając się, musnęła mój policzek wargami.

– Do widzenia. Wybacz mi, moja droga, że zadawałam ci tyle niedyskretnych pytań i mówiłam różne rzeczy, o których nie powinnam była mówić. Nigdy nie grzeszyłam nadmiarem taktu, co Maxim może poświadczyć. Jak ci już przedtem powiedziałam, jesteś zupełnie inna, niż sobie wyobrażałam.

Spojrzała mi prosto w oczy, pogwizdując, wyciągnęła papierosa z torebki i zapaliła zapalniczkę.

– Widzisz – powiedziała zatraskując zapalniczkę i schodząc po schodach – jesteś zupełnie inna od Rebeki.

Gdy wyszliśmy na ganek, słońce ukryło się za chmurami. Padał drobny deszczyk. Robert biegł po trawniku, żeby wnieść krzesła do domu.

Staliśmy na ganku, dopóki samochód nie zniknął za zakrętem alei. Wówczas Maxim wziął mnie pod rękę i powiedział:

– Dzięki Bogu, już po wszystkim. Weź szybko płaszcz i chodź na spacer. Mniejsza o deszcz, chcę się przejść. Nie znoszę takiego przesiadywania.

Był blady i zmęczony. Dziwiłam się, dlaczego pobyt Beatrice i Gilesa, rodzonej siostry i szwagra, tak go męczył.

– Zaczekaj chwilkę, pobiegnę na górę po płaszcz.

– W składziku wisi mnóstwo płaszczy, weź jeden z nich – powiedział niecierpliwie. – Gdy kobieta pójdzie do sypialni, znika na pół godziny. Robercie, proszę przynieść płaszcz dla pani ze składziku. Wisi tam co najmniej z pół tuzina płaszczy pozostawionych przez gości.

Maxim już zszedł z ganku i wołał Jaspera:

– Chodź no, stary leniu, musisz pozbyć się tego tłuszczu.

Jasper zataczał koła, szcękając histerycznie z radości, że czeka go spacer.

– Cicho bądź, idioto! – krzyknął Maxim. – Gdzież się ten Robert podziewa?

Robert wybiegł z holu, niosąc płaszcz. Włożyłam go szybko, nie mogłam zapiąć kołnierza. Oczywiście był na mnie za duży i za długi, ale nie mogłam go zmienić. Wyruszyliśmy razem przez trawniki w stronę lasu, Jasper biegł przed nami.

– Krótka wizyta mojej rodziny wystarczy na dłuższy czas – odezwał się Maxim. – Beatrice jest najlepszą osobą na świecie, ale zawsze popełnia nietakty.

Nie byłam pewna, na czym polegał nietakt Beatrice, ale wolałam się nie dopytywać. Może Maxim nadal miał za złe rozmowę o jego zdrowiu przed lunchem.

– Co myślisz o niej? – spytał.

– Podobała mi się bardzo, była dla mnie bardzo miła.

– O czym rozmawialiście po lunchu?

– Och, nie pamiętam. Przeważnie ja mówiłam. Opowiadałam jej o pani van Hopper, o naszym spotkaniu i tak dalej. Powiedziała, że jestem zupełnie inna, niż przypuszczała.

– Czego się spodziewała, do diabła?

– Myślę, że osoby eleganckiej, bardziej wyrobionej. Rozbawionej panny z towarzystwa, jak to określiła.

Maxim milczał przez chwilę, potem schylił się i rzucił patyk Jasperowi.

– Beatrice jest czasem piekielnie głupia.

Wdrapaliśmy się po zboczu porośniętym trawą i weszliśmy do lasu. Drzewa rosły tu gęsto, jedno tuż przy drugim, było ciemno. Deptaliśmy po suchych gałęziach i zeszłorocznych liściach. Tu i ówdzie napotykaliliśmy świeżą zieleń młodych pędów paproci oraz dzwonki, które wkrótce miały zakwitnąć. Jasper szedł cicho, węsząc z pyskiem przy ziemi. Wzięłam Maxima pod rękę.

– Czy podobają ci się moje włosy? – spytałam.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Twoje włosy? Dlaczego o to pytasz? Oczywiście, że mi się podobają. O co chodzi?

– Mniejsza z tym. Po prostu byłam ciekawa.

– Jaka ty jesteś śmieszna!

Doszliśmy do polanki, przez którą prowadziły dwie ścieżki w różnych kierunkach. Jasper pobiegł na prawo bez wahania.

– Nie tędy – zawołał Maxim – wracaj, przyjacielu!

Pies zatrzymał się, obejrzał na nas, machając ogonem, ale nie zawrócił.

– Dlaczego on chce iść tamtędy? – spytałam.

– Pewnie z przyzwyczajenia – krótko odpowiedział Maxim. – Ścieżka ta prowadzi do małej zatoczki, gdzie dawniej trzymaliśmy żaglówkę. Chodź tu, Jasper!

Skręciliśmy w lewo w milczeniu. Po chwili obejrzałam się i zobaczyłam, że pies biegnie za nami.

– Ta ścieżka doprowadzi nas do doliny, o której ci opowiadałem. Poczujesz zapach azalii. Nie szkodzi, że pada deszcz, dzięki niemu będą pachniały mocniej.

Maxim odzyskał humor, robił wrażenie szczęśliwego i wesołego. Był tym Maximem, którego znałam i kochałam. Zaczął mówić o Franku Crawleyu, jaki z niego porządny człowiek, staranny, godny zaufania, i jak jest przywiązany do Manderley.

To już dobrze, pomyślałam. Tak było we Włoszech. Uśmiechnęłam się do niego i ścisnęłam go za ramię. Zobaczyłam z ulgą, że ten dziwny, zmęczony wyraz zniknął z jego twarzy. Odpowiadając mu: „Tak”, „Naprawdę?”, „Co ty mówisz, kochanie?”, zastanawiałam się, dlaczego obecność Beatrice zdenerwowała go i co ona takiego zrobiła. Przypomniałam sobie wszystko, co mówiła o jego wpadaniu w pasję raz czy dwa razy do roku.

Musi go dobrze znać, przecież jest jego siostrą. Ale to nie zgadzało się z moim wyobrażeniem o Maximie. Wiedziałam, że może być zdenerwowany, rozdrażniony, nawet zniecierpliwiony, ale nie zły, jak to ona sugerowała, lub wpadający w pasję. Może przesadziła, ludzie bardzo często mają mylne mniemanie o swoich krewnych.

– Patrz – odezwał się nagle Maxim – spójrz na to.

Staliśmy na zboczu zalesionego wzgórza. Przed nami, wzdłuż potoku, wiała się ścieżka prowadząca ku dolinie. Nie rosły tu wielkie drzewa, zniknęło gęste poszycie lasu. Po obu stronach wąskiej ścieżki ciągnęły się krzewy azalii i rododendronów. Nie były krwistoczerwone, jak te olbrzymy w alei wjazdowej, lecz łososiowe, białe i złote, prawdziwe okazy piękna i wdzięku pochylające swe śliczne, delikatne główki zroszone łagodnym letnim deszczem.

W powietrzu unosił się słodki, odurzający zapach. Wydawało mi się, że nawet woda w strumieniu, deszcz i mokry mech pod naszymi stopami nasyciły się tym zapachem. W ciszy słychać było tylko szmer strumyka i szelest deszczowych kropli. Maxim odezwał się ścisłym głosem, jak gdyby nie chciał zakłócać spokoju.

– To jest Dolina Szczęścia.

Staliśmy bez ruchu, bez słowa, patrząc na otaczające nas jasne główki kwiatów. Maxim pochylił się, podniósł płatek z ziemi i podał mi go. Zwijające się brzegi zwiedłego płątka stawały się brązowe; a gdy roztarłam go w dłoni, poczułam

słodki, mocny zapach, równie odurzający jak woń krzewu, z którego pochodził.

Nagle zaczęły śpiewać ptaki. Najpierw nad strumieniem odezwał się kos tonem czystym, rześkim, po chwili odpowiedział mu drugi, ukryty w lesie, a wkrótce powietrze wypełniło się pieśnią, która biegła za nami, gdy schodziliśmy w dolinę. Zapach białych płatków także nam towarzyszył. Byłam oszołomiona, jak gdybym znalazła się nagle w zaczarowanej krainie. Nie przypuszczałam, że dolina ta może być aż tak piękna.

Niebo, obecnie zachmurzone i ponure, tak inne od nieba wczesnego popołudnia, ani nieustający, uporczywy deszcz nie zakłócały cichego spokoju doliny. Szmer deszczu i strumyka zlewał się w jeden ton, a dźwięczny śpiew kosa rozbrzmiewał harmonijnie w wilgotnym powietrzu. Idąc, ocierałam się o kwiaty azalii, które tak się rozrosły po obu stronach ścieżki, że niemal stykały się ze sobą. Kropelki wody padały mi na ręce z ociekających deszczem kwiatów. Na ścieżce leżały brązowe, mokre, nadal pachnące płatki i uschnięte liście paproci. Gdzieś widać było na wpół wystające z ziemi korzenie drzew. Unosił się tam również inny, silniejszy zapach gęstego mchu i mokrej ziemi. Trzymając Maxima za rękę, szłam w milczeniu. Urzekł mnie czar Doliny Szczęścia. To był rdzeń Manderley, tego Manderley, które poznam i nauczę się kochać. Pierwsze wrażenie poszło w niepamięć – te ciemne, gęste lasy, jaskrawe rododendrony, wspaniałe i pełne pychy. Zapomniałam również o wielkim domu, o ciszy holu, w którym tak głośno dudniły kroki, o niesamowitym spokoju panującym w zachodnim skrzydle spowitym w pokrowce. Tam czułam się intruzem wędrującym po nieznanym pokojach lub siedzącym przy biurku, które nie należało do mnie. Tutaj było inaczej. Czułam, że nic nie broni mi dostępu do Doliny Szczęścia. Doszliśmy do końca ścieżki. Kwiaty splatały się łukiem nad naszymi głowami. Przeszliśmy pod nim schyleni. Gdy się wyprostowałam, strzepując krople deszczu z włosów, zobaczyłam, że dolina wraz z azaliami została w tyle. Tak jak mi to Maxim opisywał przed wielu tygodniami w Monte Carlo, znaleźliśmy się nagle w małej zatoczce. Fale były o brzeg pokryty białym żwirem.

Maxim uśmiechnął się do mnie, widząc zdumienie na mojej twarzy.

– To zaskakujące, prawda? – powiedział. – Nikt się tego nie spodziewa. Kontrast jest tak nieoczekiwany, że aż bolesny.

Podniósł kamyk i rzucił go Jasperowi, mówiąc:

– Przynies go, przyjacielu.

Jasper pomknął w poszukiwaniu kamyka. Długie, czarne uszy psa powiewały na wietrze.

Kraina baśni zniknęła, czar prysnął. Staliśmy się znowu zwykłymi śmiertelnikami, dwojgiem ludzi bawiących się na plaży. Rzucaliśmy kamyki, podeszliśmy nad skraj wody, puszczaliśmy kaczki i wylawialiśmy kawałki drzewa z morza. Zaczynający się przypływ wdzierał się z pluskiem w zatoczkę. Małe skały zniknęły pod wodą, wodorosty kołysały się na kamieniach. Wyłowiliśmy dużą deskę i położyliśmy ją na brzegu powyżej linii przypływu. Maxim odwrócił się do mnie roześmiany, odgarniając włosy z oczu, a ja odwinęłam rękawy płaszcza zalanego falą. Rozejrzeliśmy się i zobaczyliśmy, że Jasper gdzieś zniknął. Wołaliśmy i gwizdaliśmy, ale się nie zjawiał. Spojrzałam z niepokojem na brzeg zatoczki, gdzie fale uderzały o skały.

– Nie – powiedział Maxim – zauważylibyśmy go, nie mógł tam wpaść do wody. Jasper, ty idioto, gdzie jesteś? Jasper, Jasper!

– Może wrócił do Doliny Szczęścia?

– Przed minutą widziałem go przy tamtej skale, jak obwąchiwał martwą mewę.

Szliśmy plażą w kierunku doliny.

– Jasper, Jasper! – wołał Maxim.

W oddali, za skałami po prawej stronie, rozległo się krótkie, ostre szczeknięcie.

– Słyszysz? – powiedziałam. – Przełazi na drugą stronę.

Zacząłam wspinać się po śliskich skałach w kierunku, z którego doszło szczeknięcie.

– Wracaj! – ostro powiedział Maxim. – Nie pójdziemy tamtędy. Ten głupi pies musi sam sobie dać radę.

Zawahałam się, spoglądając na Maxima ze skały.

– Może biedaczysko spadł – powiedziałam. – Pozwól, że pójde po niego.

Jasper zaszczekał znowu, tym razem jeszcze dalej.

– Och, słuchaj! – zawołałam. – Muszę pójść po niego. Tam jest bezpiecznie, prawda? Czy przyływ nie odetnie mu drogi?

– Nic mu się nie stanie – powiedział Maxim z rozdrażnieniem w głosie. – Najlepiej go tam zostawić. Trafi sam do domu.

Udałam, że nie słyszę, i zaczęłam wspinać się na skały. Wielkie, ostre głązy zasłaniały mi widok. Ślizgając się i potykając na mokrych kamieniach, starałam się iść w kierunku, skąd dochodziło szczekanie psa. Pomyślałam, że Maxim nie okazuje dostatecznej troskliwości. Nie mogłam tego zrozumieć. Na domiar złego zaczął się przyływ. Zatrzymałam się przy wielkim głazie, który zasłaniał mi przedtem widok, i spojrzałam w dół. Ku memu zdziwieniu zobaczyłam inną zatoczkę, podobną do tamtej, lecz szerszą i bardziej zaokrągloną. Mały kamienny falochron zbudowany był w poprzek zatoczki, dzięki czemu powstał nieduży, naturalny porcik. Zobaczyłam zakotwiczoną boję, ale nie było tam żadnej łodzi. Biały żwir pokrywał plażę tak jak w tamtej zatoczce, ale brzeg był tutaj bardziej stromy i spadał urwiście ku morzu. Las dochodził do pasma splątanych wodorostów znaczących granicę przyływu, niemal sięgając skał. Na skraju lasu stał długi, niski budynek, ni to domek, ni to przystań, zbudowany z tego samego kamienia co falochron.

Na plaży znajdował się jakiś człowiek, może rybak, w długich butach i rybackim kapeluszu, a Jasper obszczekiwał go, biegnąc dokoła i doskakując do jego nóg. Mężczyzna nie zwracał uwagi na psa. Pochylony, grzebał w żwirze.

– Jasper! – zawołałam. – Jasper, chodź tutaj!

Pies spojrzał do góry, pomachał ogonem, ale nie usłuchał. Nadal obszczekiwał samotną postać na plaży.

Obejrzałam się. Maxim nie nadchodził. Zeszłam po skałach na plażę. Żwir trzeszczał mi pod nogami. Na odgłos moich kroków mężczyzna podniósł głowę. Zobaczyłam wówczas, że ma małe oczka kretyna i mokre, czerwone wargi. Uśmiechnął się do mnie, pokazując bezzębne dziąsła.

– Dzień dobry – odezwał się. – Paskudnie, co?

– Dzień dobry – odpowiedziałam. – Tak, pogoda nie jest ładna.

Przyglądał mi się z zaciekawieniem, uśmiechając się cały czas.

– Szukam muszli – powiedział. – Tu nie ma muszli. Szukałem od rana.

– Przykro mi, że nic nie znaleźliście.

– Tak, tu nie ma muszli.

– Chodź, Jasper, już jest późno. Chodź do domu.

Ale Jasper był nieznośny. Chyba wiatr i morze podnieciły go do tego stopnia, że uciekł ode mnie, głupio szczekając, i zaczął gonić po brzegu bez żadnego celu. Pomyślałam, że nie pójdzie za mną, a nie miałam smyczy.

– Czy macie jakiś sznurek? – spytałam.

– Ee?

– Czy macie jakiś sznurek? – powtórzyłam.

– Tu nie ma muszli – powiedział, potrząsając głową. – Szukam od rana. – Skinął głową i otarł swe bladoniebieskie, łzawiące oczy.

– Potrzebny mi sznurek, żeby zabrać psa. Nie chce iść ze mną.

– Ee? – mruknął z uśmiechem kretyna.

– Nie szkodzi – powiedziałam – to nieważne.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, potem pochylił się i dotknął mnie palcem.

– Znam tego psa, on należy do pałacu.

– Tak, chcę go teraz zabrać.

– To nie pani pies.

– To pies pana de Wintera – powiedziałam łagodnie. – Chcę go zabrać do domu.

– Ee?

Zawołałam raz jeszcze Jaspiera, ale on gonił za piórem, które unosił wiatr. Pomyślałam, że może znajdę sznurek w domku, i skierowałam się w tę stronę. Kiedyś musiał tu być ogródek, ale teraz trawa wybijała wysoko, a wśród niej gęsto rosły pokrzywy. Okna były zabite deskami. Sądziłam, że drzwi są zamknięte na klucz, gdy jednak odsunęłam zasuwkę, otworzyły się ku mojemu zdumieniu. Weszłam do środka, pochylając głowę, by nie uderzyć o niską framugę drzwi. Spodziewałam się, że ujrzę zwykły skład żeglarski, brudny i zakurzony, w którym liny, bloki i wiosła leżą na podłodze. Kurzu tam nie brakowało, a miejscami i brudu, lecz nie dostrzegłam żadnych lin ani bloków. Pokój zajmował całą długość domku i był umeblowany.

W rogu stało biurko, pośrodku stół i krzesła, przy ścianie tapczan. Zobaczyłam również kredens z filiżankami i talerzami, półki z książkami i modelami okrętów. Przez chwilę myślałam, że pokój jest zamieszkały – może ten biedak tu mieszka – ale rozejrzawszy się ponownie, nie dostrzegłam śladów ludzkiej gospodarki. Zardzewiałe pręty paleniska dawno nie widziały ognia, na zakurzonej podłodze nie było śladów stóp ludzkich, a porcelana w kredensie pokryła się pleśnią. W pokoju pachniało stęchlizną. Pajęczyna osnuła modele okrętów, tworząc widmowy takielunek. Nikt tu nie mieszkał. Nikt tu nie przychodził. Gdy otwierałam drzwi, skrzypnęły zawiasy. Deszcz głucho dudnił po dachu i stukał w okna zabite deskami. Obicie tapczanu nadgryzły myszy lub szczury. Widziałam dziury o postrzępionych brzegach. W domku było wilgotno i zimno, ciemno i ponuro. Poczulałam się nieswojo. Nie miałam ochoty pozostawać tu dłużej. Nie mogłam znieść głuchego dudnienia deszczu po dachu. Wydawało mi się, że dudni w pokoju. Słyszałam, jak krople spadają na palenisko.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu sznurka. W pokoju nie było nic, co by mi się mogło przydać. Na drugim końcu znajdowały się drzwi, podeszłam do nich, nieco zaniepokojona, nieco wystraszona, gdyż ogarnęło mnie to dziwne uczucie, że niespodziewanie zobaczę coś, czego wcale nie chcę widzieć. Coś, co mi może sprawić ból, coś przerażającego.

Oczywiście było to absurdalne. Otworzyłam drzwi. To był właśnie skład, w którym znajdowały się liny, bloki, kilka żagli, obijacze, mała łódka, puszki z farbami oraz różnego rodzaju rupiecie. Zwój cienkiej linki leżał na półce, a obok zardzewiała składany nóż. Tego mi właśnie było potrzeba. Otworzyłam nóż, odciąłam kawałek linki i wróciłam do pokoju. Deszcz nadal dudnił po dachu, krople padały na palenisko. Szybko wyszłam z domku, nie oglądając się i starając nie widzieć dziur w tapczanie, porcelany pokrytej pleśnią, pajęczyn na modelach okrętów. Zamknęłam skrzypiącą furtkę i znalazłam się na białej plaży.

Biedny wariat przestał szukać muszli. Przyglądał mi się, a Jasper siedział przy nim.

– Chodź tu, Jasper – powiedziałam. – Bądź grzeczny.

Pochyliłam się, a pies tym razem pozwolił się schwytać za obrozę.

– Znalazłam linkę w domku – zwróciłam się do nieznajomego.

Nic nie odpowiedział. Przywiązałam linkę do obroży Jaspera.

– Do widzenia – powiedziałam, ciągnąc psa.

Mężczyzna kiwnął głową, wpatrując się we mnie swymi małymi oczkami wariata.

– Widziałem, jak pani tam weszła.

– Tak, nic nie szkodzi, pan de Winter nie będzie się o to gniewać.

– Ona teraz tu nie przychodzi – powiedział.

– Nie, teraz nie.

– Ona utonęła, prawda? Ona już tu nie wróci?

– Nie, ona nie wróci.

– Ja nic nikomu nie powiedziałem, prawda?

– Nie, naturalnie, że nie. Proszę się nie martwić.

Pochylił się i zaczął znowu grzebać w żwirze, mamrocząc coś do siebie.

Przebrnęłam przez żwir i zobaczyłam, że Maxim czeka na mnie przy skałach. Ręce trzymał w kieszeniach.

– Przepraszam cię – powiedziałam. – Jasper nie chciał iść ze mną. Musiałam zdobyć sznurek.

Maxim odwrócił się gwałtownie na pięcie i skierował w stronę lasu.

– Czy nie wrócimy przez skały? – spytałam.

– Po co, skoro już tu jesteśmy – odparł krótko.

Minęliśmy domek i weszliśmy na ścieżkę prowadzącą przez las.

– Przykro mi, że tak długo czekałeś, ale to wina Jaspera. Szcekał na tego człowieka. Kto to jest?

– To Ben, biedaczysko, jest zupełnie nieszkodliwy. Jego ojciec był jednym z dozorców, mieszka niedaleko naszego folwarku. Gdzie znalazłaś tę linkę?

– W domku na plaży.

– Czy drzwi były otwarte?

– Tak, tylko musiałam je pchnąć. Znalazłam linkę w drugim pokoju, w którym są żagle i mała łódka.

– Ach, tak – mruknął Maxim, a po chwili dodał: – Ten domek miał być zamknięty, drzwi nie powinny być otwarte.

Milczałam, to nie była moja sprawa.

– Czy Ben powiedział ci, że drzwi są otwarte?

– Nie, miałam wrażenie, że nie rozumiał moich pytań.

– On udaje większego wariata, niż jest. Potrafi mówić całkiem zrozumiale, jak chce. Pewnie wchodził do domku wiele razy, a nie chciał się do tego przyznać.

– Nie sądzę. W pokoju nic nie było ruszane. Kurz pokrywał wszystko, na podłodze nie dostrzegłam żadnych śladów stóp. Tam jest straszna wilgoć. Obawiam się, że wszystko zniszczy, książki i krzesła, i tapczan. Muszą tam być szczury, pogryzły obicia.

Maxim milczał. Szedł bardzo szybko, a ścieżka pięła się stromo pod górę. Nic tu nie przypominało Doliny Szczęścia. Znaleźliśmy się w ciemnym lesie, w którym drzewa rosły gęsto obok siebie, a azalie nie zdobiły ścieżki. Grube gałęzie ociekały deszczem. Kilka kropli spadło mi za kołnierz i spłynęło po szyi. Wstrząsnął mną dreszcz. To było nieprzyjemne, jakby dotyk zimnej ręki. Po wspinaczce na skały bolały mnie nogi. Jasper włókł się za nami z wywieszonym jęzorem, zmęczony dzikimi harcami na plaży.

– Prędej, Jasper, do diabła! – krzyknął Maxim. – Zmusz go, żeby szedł prędzej, chyba możesz szarpnąć linką. Beatrice miała rację. Pies jest stanowczo za gruby.

– To twoja wina, bo idziesz tak szybko. Nie możemy za tobą nadążyć.

– Gdybyś mnie posłuchała, a nie pędziła jak szalona przez skały, tobyśmy już dawno byli w domu. Jasper trafiłby sam doskonale. Nie rozumiem, po co po niego poszłaś.

– Myślałam, że może spadł ze skał, i bałam się przyływu.

– Czy wyobrażasz sobie, że zostawiłbym psa, gdyby mu mógł grozić przyływ? Powiedziałem ci, żebyś nie wchodziła na te skały, a teraz narzekasz, że jesteś zmęczona.

– Ja nie narzekam. Każdy, choćby miał nogi z żelaza, zmęczyłby się, idąc w tym tempie. Zresztą myślałam, że pójdziesz ze mną, gdy wybrałam się po Jaspera.

– Dlaczego miałbym się męczyć, uganiając się za tym przeklętym psem?!

– Uganianie się za Jasperem wcale nie było bardziej męczące niż uganianie się za kawałkami drzewa na plaży – odpowiedziałam. – Mówisz tak po prostu, bo nie masz innej wymówki.

– Moje dziecko, a z czego niby mam się tłumaczyć?

– Och, nie wiem – powiedziałam znużona – dajmy temu spokój.

– Bynajmniej, ty zaczęłaś. Co miałaś na myśli, mówiąc, że starałam się znaleźć jakąś wymówkę? Wymówkę na co?

– Na to, że nie poszedłeś ze mną po Jaspera.

– A dlaczego, według ciebie, nie chciałem przejść na tamtą plażę?

– Och, Maximie, skąd ja mogę wiedzieć? Nie jestem jasnowidzem. Wiem, że nie miałaś ochoty, to wszystko. Wyczytałam to z twojej twarzy.

– Co wyczytałaś z mojej twarzy?

– Już ci powiedziałam. Wyczytałam, że nie chcesz tam iść. Och, skończmy z tym wreszcie. Mam tego wyżej uszu.

– Wszystkie kobiety tak mówią, gdy nie mają racji. Tak, nie chciałem iść na tamtą plażę. Czy to ci sprawia satysfakcję? Nigdy nie zbliżam się do tego przeklętego miejsca ani do tego przeklętego domku. A gdybyś ty miała moje wspomnienia, tobyś także nie chciała tam chodzić ani mówić o tym, ani nawet myśleć. To wszystko. Możesz to sobie przetrawić, jeśli chcesz. Mam nadzieję, że to cię zadowoli.

Twarz mu pobladła, a w zmęczonych oczach pojawił się ten smutny wyraz, który miał wówczas, gdyśmy się poznali. Wzięłam go za rękę, ścisnęłam ją mocno.

– Proszę cię, Maximie, posłuchaj.

– O co ci chodzi? – powiedział ostro.

– Nie chcę, żebyś był taki nieszczęśliwy. To zanadto boli. Proszę cię, Maximie, zapomnijmy o tym wszystkim. To była głupia, niepotrzebna sprzeczka. Przepraszam cię, kochanie, przepraszam. Nie myśl o tym więcej.

– Powinniśmy byli zostać we Włoszech. Nie trzeba było w ogóle wracać do Manderley. O Boże, jaki ja byłem głupi, że wróciłem!

Zniecierpliwiony ruszył przez las jeszcze szybciej. Musiałam biec, by mu dotrzymać kroku. Z trudem chwyciłam oddech, łyż

napływały mi do oczu. Ciągnęłam za sobą na lince biednego Jaspera.

Wreszcie weszliśmy na szczyt wzgórza. Zobaczyłam ścieżkę prowadzącą do Doliny Szczęścia. Okazało się, że wracaliśmy tą dróżką, którą Jasper chciał pójść na początku spaceru. Teraz wiedziałam, dlaczego pies tam skręcił. Prowadziła do dobrze mu znanej plaży i do domku. Dawniej chodził tam często.

Szliśmy przez trawniki w kierunku domu, nie mówiąc ani słowa. Maxim miał zacięty wyraz twarzy. Wszedł do holu i skierował się prosto do biblioteki, nie spojrzawszy na mnie ani razu. Frith znajdował się w holu.

– Proszę zaraz podać podwieczorek – powiedział Maxim i zamknął za sobą drzwi.

Staralam się powstrzymać łzy. Nie mogłam dopuścić, by Frith je zobaczył. Pomyślałby, że kłóciliśmy się. Opowiedziałby całej służbie, że pani de Winter właśnie płakała w holu, bo widocznie niezbyt dobrze się wszystko układa.

Odwrociłam się, żeby Frith nie zobaczył mojej twarzy. Podeszedł jednak do mnie, by mi pomóc zdjąć płaszcz.

– Powieszę pani płaszcz w składziku.

– Dziękuję, Frith – odpowiedziałam, nadal odwracając twarz.

– Niezbyt przyjemna pogoda na spacer, proszę pani.

– Nie, nie była przyjemna.

– Czy to pani chusteczka? – spytał, podnosząc coś z podłogi.

– Dziękuję – powiedziałam, wkładając ją do kieszeni.

Zastanawiałam się, czy pójść na górę, czy też podążyć za Maximem do biblioteki. Frith poszedł zanieść płaszcz do składziku. Stałam w holu, wahając się i gryząc paznokcie. Frith wrócił. Zdziwił się, że mnie tu jeszcze zastał.

– W bibliotece już się pali w kominku, proszę pani.

– Dziękuję, Frith.

Wolno przeszłam przez hol do biblioteki. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Maxim siedział w swoim fotelu, Jasper leżał u jego stóp, stara suka w swoim koszu. Maxim nie czytał gazety, choć leżała na poręczy sąsiedniego fotela. Podeszłam do Maxima, uklękłam przy nim i przytuliłam się do niego.

– Nie gniewaj się na mnie – szepnęłam.

Ujął moją twarz w obie ręce i spojrzał na mnie swymi zmęczonymi oczami.

– Ja się nie gniewam na ciebie – powiedział.

– Zrobiłam ci przykrość. To tak samo, jakbym cię rozgniewała. Gryziesz się, szarpiesz i cierpisz. Nie mogę na to patrzeć. Ja tak bardzo cię kocham.

– Kochasz? – spytał. – Kochasz naprawdę?

Przytulił mnie mocno. Jego smutne oczy wpatrywały się we mnie badawczo. Były to oczy dziecka, które cierpi, dziecko, które się boi.

– Co ci jest, kochanie? – spytałam. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszałam, że otwierają się drzwi. Przysiadłam na piętach, udając, że sięgam po kłodę, by dorzucić ją do ognia. Do pokoju wszedł Frith, za nim Robert. Rozpoczął się zwykły rytuał naszego podwieczorku.

Powtórzył się ceremoniał z poprzedniego dnia: przysunięto stół, nakryto go śnieżnobiałym obrusem, podano ciastka i gorące placuszki, srebrny imbryk z wrzątkiem ustawiono nad małym płomyczkiem spirytusowej lampki. Jasper, machając ogonem i tuląc uszy w oczekiwaniu na smaczny kąsek, nie spuszczał ze mnie oczu. Musiało upłynąć z pięć minut, zanim zostaliśmy sami. Spojrzawszy na Maxima, zobaczyłam, że wróciły mu rumieńce i zniknął zmęczony, smutny wyraz oczu. Sięgał po kanapkę.

– Ci goście są wszystkimu winni – powiedział. – Poczciwa Beatrice zawsze musi mnie rozdrażnić. Będąc dziećmi, tłukliśmy się ciągle. Jestem do niej zresztą bardzo przywiązany. Co za szczęście jednak, że nie mieszkają zbyt blisko. To mi przypomniało, że któregoś dnia będziemy musieli odwiedzić moją babcię. Nalej mi herbaty, kochanie, i wybac, że zachowałem się jak ostatni gbur w stosunku do ciebie.

A więc minął zły nastrój. Epizod został zakończony. Nie będziemy więcej o tym mówić. Maxim uśmiechnął się do mnie, popijając herbatę, potem sięgnął po gazetę. Uśmiech ten był nagrodą dla mnie. Tak jak pogłaskanie po głowie dla Jaspera. Dobry pies, połóż się i nie nudź mnie więcej. Stałam się znowu Jasperem, znalazłam się na właściwym sobie miejscu. Wzięłam kawałek placuszka i dałam po kęsku obu psom. Nie chciało mi się jeść, nie byłam głodna. Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie, czułam się bezgranicznie wyczerpana. Spojrzałam na Maxima,

ale on nadal był zagłębiany w gazecie. Miałam palce lepkie od masła. Sięgnęłam do kieszeni po chustkę. Wyciągnęłam malusieńką chusteczkę obszytą koronką. Wpatrywałam się w nią, marszcząc brwi. To nie była moja chusteczka. Przypomniałam sobie wówczas, że Frith podniósł ją w holu. Musiała wypaść z kieszeni płaszcza. Przyjrzałam się jej uważnie. Była przybrudzona; przyczepiły się do niej małe gruzelki zbitego kurzu. Pewnie długo leżała w kieszeni. W rogu wyhaftowany był monogram. Duże, pochyle „R” ze splecionymi literami „de W”. „R” dominowało nad pozostałymi literami, zachodząc ozdobnym łukiem daleko na batyst. Była to mała chusteczka, zupełnie malusieńka. Zwinięta w kłębek, wsadzona do kieszeni i zapomniana.

Byłam zapewne pierwszą osobą, która włożyła ten płaszcz od chwili, gdy ktoś używał tej chusteczki. Kobieta, która nosiła ten płaszcz, musiała być wysoka, szczupła, szersza w ramionach niż ja, gdyż był on dla mnie zbyt szeroki i zbyt długi, a rękawy zakrywały mi część dłoni. Brakowało kilku guzików. Widocznie nie zapinała płaszcza. Zarzucała go na ramiona lub nosiła rozpięty, a ręce trzymała głęboko w kieszeniach.

Na chusteczce była różowa plama. Ślad pomadki do ust. Ta kobieta wytarła usta chusteczką, potem zwinęła ją i wsadziła do kieszeni. Wycierając palce w chusteczkę, poczułam nikły zapach perfum.

Znałam ten zapach. Zamknęłam oczy i starałam się przypomnieć sobie, skąd go znam. Był to zapach trudny do uchwycenia, delikatny i specyficzny, którego nie mogłam określić. Wdychałam go przedtem, miałam niedawno w ręku coś, co tak pachniało.

Nagle uświadomiłam sobie, że zapach chusteczki to zapach białych płatków azalii w Dolinie Szczęścia.

Przez cały tydzień panowała pogoda chłodna i deszczowa, jak to się często zdarza wczesnym latem na zachodzie Anglii. Nie schodziliśmy ani razu na plażę. Przyglądałam się morzu tylko z tarasu lub trawników. Szare, groźne morze wdzierało się wielkimi falami w głąb zatoki, omywając latarnię morską stojącą na półwyspie. Wyobrażałam sobie, jak fale wpadają do małej zatoczki, rozbijają się z hukiem o otaczające ją skały i szybko zalewają spadzistą plażę. Stojąc na tarasie, słyszałam dobiegający z dołu gniewny szum morza. Głuchy, nieustający pomruk. Mewy, przygnane burzą, przyleciały na ląd. Głośno krzycząc, krążyły godzinami nad domem. Zrozumiałam teraz, dlaczego niektóre osoby nie znoszą szumu morza. Dokuczliwy swą monotonnością, wywołuje smutny nastrój, nieustanny zaś huk uderzających i rozpryskujących się fal szarpie nerwy. Byłam zadowolona, że nasze pokoje znajdują się we wschodnim skrzydle. Wyglądając przez okno, widziałam ogród różany. Czasem, gdy nie mogłam spać, cichutko wstawałam z łóżka pośród nocy, podchodziłam do okna i opierając łokcie na parapecie, rozkoszowałam się ciszą i spokojem.

Nie dochodził tu szum wzburzonego morza, myśli moje opuszczał więc niepokój. Nie zmuszały mnie do wędrówki stromą ścieżką przez las do szarej zatoczki i opuszczonego domku. Nie chciałam myśleć o tym domku. Zbyt często wspominałam go w ciągu dnia. To wspomnienie dręczyło mnie za każdym razem, gdy patrzyłam na morze z tarasu. Stawały mi wówczas przed oczami plamy pleśni na porcelanie, osnute pajęczyną małe maszty modeli okrętów i pogryziony przez szczury tapczan. Pamiętałam dudnienie deszczu o dach. Myślałam także o Benie, o jego małych bladoniebieskich oczkach i chytrym uśmiechu wariata. Wspomnienia te niepokoiły mnie,

sprawiły przykrość. Chciałam zapomnieć o wszystkim, ale jednocześnie pragnęłam zrozumieć, dlaczego mnie to niepokoi, sprawia przykrość i ból. W jakimś zakamarku mózgu kiełkowało w ukryciu powoli i lękliwie ziarenko ciekawości, choć nie chciałam się do tego przyznać. Przeżywałam bowiem wątpliwości i niepokój dziecka, któremu powiedziano, że o tych sprawach się nie mówi.

Nie mogłam zapomnieć tego smutnego wyrazu oczu Maxima, gdy szliśmy ścieżką przez las, nie mogłam zapomnieć jego słów: „O Boże, jaki ja byłem głupi, że wróciłem!”. To wszystko z mojej winy, bo zesłam do zatoczki. Otworzyłam drogę do przeszłości. Chociaż Maxim odzyskał dobry nastrój i był znowu sobą, i chociaż żyliśmy wspólnym życiem – śpiąc, jedząc, spacerując, pisząc listy, jeżdżąc po okolicy, wiedziałam, że dzieli nas mur przeszłości.

Maxim szedł sam po drugiej stronie tego muru, a mnie nie wolno było do niego przejść. Denerwowałam się i bałam, że jakieś nierozważne słowo, jakiś temat niedbale poruszony wywoła znowu wyraz smutku w jego oczach. Obawiałam się rozmowy o morzu, gdyż morze kojarzy się z jachtami, z wypadkami, z utonięciem...

Nawet Frank Crawley, który przyszedł pewnego dnia na lunch, napędził mi strachu, wspominając o regatach żaglówek w porcie Kerrith odległym od nas o trzy mile. Wbiłam wzrok w talerz, serce skurczyło mi się boleśnie. Maxim jednak zaczął mówić na ten temat swobodnie i spokojnie, podczas gdy ja siedziałam cała drżąca, rozmyślając, do czego może doprowadzić ta rozmowa.

Właśnie podano sery i Frith wyszedł z pokoju. Pamiętam, że wstałam od stołu i podeszłam do kredensu, by wziąć jeszcze kawałek sera, choć wcale nie miałam ochoty go zjeść. Byle nie siedzieć z nimi przy stole. Nuciłam coś cicho, żeby nie słyszeć, o czym mówią. Oczywiście było to chorobliwe przewrażliwienie. Zachowywałam się głupio, źle, niezgodnie z moim prawdziwie pogodnym usposobieniem. Nie mogłam jednak zwalczyć tego nastroju. Nie wiedziałam, co robić. Moja nieśmiałość i niezręczność ostatnio wzrosły, a gdy zjawiali się goście, siedziałam otępiała i skrępowana. Pamiętam, że w ciągu pierwszych tygodni po naszym przyjeździe sąsiedzi składali

nam wizyty. Przyjmowanie ich, powitania, przebrnięcie przez te pół godziny oficjalnych odwiedzin było w istocie jeszcze gorszą męką, niż przypuszczałam. Sprawiał to mój nowy lęk, że zaczną mówić o czymś, o czym nie wolno wspominać. Przerazający odgłos kół w alei, dzwonek rozbrzmiewający u drzwi zmuszały mnie do ucieczki w dzikim popłochu do swego pokoju. Szybko pudrowałam nos, czesałam włosy, potem następowało nieuniknione stukanie do drzwi i ukazywały się wizytówki na srebrnej tacy.

– Dobrze. Zaraz schodzę.

Stuk obcasów po schodach i po kamiennej posadzce holu, wejście do biblioteki lub, co gorsza, do tego długiego, zimnego salonu, gdzie oczekiwała mnie jakaś obca kobieta, czasem dwie lub nieznane mi małżeństwo, napawały mnie lękiem.

– Dzień dobry. Bardzo mi przykro, ale Maxim jest gdzieś w ogrodzie, Frith poszedł go szukać.

– Chcieliśmy złożyć pani wizytę.

Trochę śmiechu, krótka pogawędka, milczenie, rozglądanie się po pokoju.

– Manderley jest urocze jak zawsze. Z pewnością jest pani nim oczarowana?

– O, bardzo...

Wskutek mojej nieśmiałości i chęci przypodobania się wymykały mi się w takich chwilach wyrażenia używane przez pensjonarki, słowa, którymi nigdy się nie posługiwałam: „Och, cudnie”, „fantastycznie”, „bosko”, a nawet, zdaje się, pozdrowiłam pewną utytułowaną starszą damę, wyposażoną w lornion, zwrotem „halo”.

Ulgę, którą odczuwałam po przyjsciu Maxima, osłabiał strach, że goście powiedzą coś niewłaściwego. Natychmiast milkłam i siedziałam z zastygłym uśmiechem na ustach, trzymając ręce na kolanach. Goście zwracali się wówczas do Maxima, rozmawiając o nieznanym mi ludziach i sprawach. Od czasu do czasu spoglądali na mnie, a w oczach ich dostrzegałam pobłażanie, a nawet zdumienie.

Wyobrażałam sobie ich rozmowę po wyjeździe od nas: „Moja droga, cóż to za nudna dziewczyna. Prawie wcale się nie odzywała”. A potem to zdanie, które po raz pierwszy usłyszałam

z ust Beatrice, zdanie, które mogłam wyczytać w każdym spojrzeniu. „Ona jest zupełnie inna niż Rebeka”.

Niekiedy zdobywałam garstkę wiadomości – jakieś słowo rzucone przypadkiem, jakieś pytanie czy odpowiedź. Jeśli Maxim był nieobecny, wiadomości zdobyte po kryjomu sprawiały mi przyjemność i ból zarazem.

Zdarzało się to na przykład, gdy byłam u kogoś z rewizytą. Maxim bardzo przestrzegał form towarzyskich i bezlitośnie zmuszał mnie, bym jechała sama, jeśli on nie mógł mi tego dnia towarzyszyć. W czasie wizyty rozmowa urywała się, a ja gorączkowo szukałam tematu. Wówczas gospodyni zwracała się do mnie z zapytaniem:

– Czy państwo zamierzają prowadzić dom otwarty?

– Nie wiem, Maxim nie wspominał jeszcze nic na ten temat.

– Naturalnie, na to jeszcze za wcześnie. O ile wiem, dawniej w Manderley pełno było gości.

Chwila ciszy.

– Zjeżdżało towarzystwo z Londynu, wie pani. Odbywały się ogromne przyjęcia.

– Tak – odpowiadałam – słyszałam o tym.

Znowu chwila milczenia, po czym ściszym głosem, jakim się zawsze mówi o nieżyjących lub w kościele:

– Ona była ogromnie lubiana. Co za indywidualność!

– Tak – mówiłam – niewątpliwie.

Po chwili zerkałam ukradkiem na zegarek i oznajmiałam:

– Niestety, muszę ruszać, już jest chyba po czwartej.

– Niech pani zostanie na podwieczorek. Pijemy herbatę zwykle kwadrans po czwartej.

– Nie, dziękuję bardzo, nie mogę. Obiecałam Maximowi...

Urywałam w połowie zdania, ale sens jego był zrozumiały. Wstawaliśmy obie, wiedząc, że nie zwiódł mnie zaproszenie na podwieczorek, tak samo jak nie zwiódł jej mój wykręt o obietnicy danej Maximowi. Niekiedy zastanawiałam się, co by było, gdyby się nie zważało na konwenanse. Gdybym, na przykład, wsiadłszy do samochodu i skinąwszy ręką pani domu stojącej na ganku, nagle otworzyła drzwi i powiedziała:

– Właściwie nie muszę wracać. Chodźmy do salonu i porozmawiajmy jeszcze. Mogę zostać na kolacji, jeśli pani chce, a nawet przenocować.

Zastanawiałam się, czy dobre wychowanie przewyciężyłoby zdumienie i czy zastygła twarz ożywiłaby się życzliwym uśmiechem.

– Ależ oczywiście! Jak to miło z pani strony.

Pragnęłam mieć tyle odwagi, by zdobyć się na taką próbę. W rzeczywistości drzwi się zatrzasną, samochód potoczy się po gładkiej alei, a pani domu wróci do pokoju z westchnieniem ulgi i odzyska swobodę.

Podczas wizyty u żony anglikańskiego biskupa w naszym mieście katedralnym pani domu zwróciła się do mnie zapytaniem:

– Czy pani mąż wznowi tradycyjne bale kostiumowe w Manderley? To było takie piękne widowisko, nigdy tego nie zapomnę.

Musiałam się uśmiechnąć, udając, że słyszałam o tych balach, i powiedzieć:

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Tyle mieliśmy spraw do załatwienia i do omówienia.

– Ach tak, oczywiście. Ale mam nadzieję, że ten zwyczaj nie będzie zaniechany. Niech pani namówi męża. W ubiegłym roku naturalnie nie urządzano balu. Pamiętam natomiast bal przed dwoma laty. Był uroczy. Manderley nadaje się wspaniale do takich celów. Hol wyglądał przepięknie. Tańczono tam, a orkiestrę umieszczono na krużganku. Wszystko było w wielkim stylu. Organizacja tej imprezy wymagała dużego wysiłku, ale wszyscy bawili się doskonale.

– Tak – powiedziałam – muszę spytać Maxima.

Pomyślałam o przegródkach z napisami, wyobraziłam sobie stosy zaproszeń, długą listę nazwisk i adresów, zobaczyłam kobietę siedzącą przy sekreterze. Stawiała znaczki przy nazwiskach osób, które chciała zaprosić, sięgała po zaproszenia, zanurzała pióro w atramencie i adresowała je szybko swoim pochyłym pismem.

– Byliśmy również któregoś lata na garden party – powiedziała pani domu. – Jak tam było pięknie! Kwiaty w pełnym rozkwicie, cudowna pogoda. Podwieczorek podano w ogrodzie różanym, na małych stolikach. Co za oryginalny pomysł! Nic dziwnego, ona była tak pełna inwencji...

Urwała, rumieniąc się lekko, przestraszona, że popełniła nietakt, ale ja natychmiast potwierdziłam jej słowa, żeby uniknąć zakłopotania. Usłyszałam siebie mówiącą śmiało, bez skrępowania:

– Rebeka musiała być nadzwyczajną osobą.

Nie mogłam uwierzyć, że wreszcie wymówiłam głośno to imię. Czekałam, co się stanie. Wymówiłam to imię. Wymówiłam głośno słowo „Rebeka”. Ulżyło mi ogromnie. Czułam się tak, jakby nagle po zażyciu środka uśmierzającego przestał mi dokuczać straszliwy ból. Rebeka. Wymówiłam głośno to imię.

Zastanawiałam się, czy pani domu zauważyła, że oblałam się rumieńcem, ale ona kontynuowała gładko rozmowę. Słuchałam chciwie, jak ktoś, kto podsłuchuje pod oknem.

– Pani jej nie znała? – spytała, a gdy potrząsnęłam przecząco głową, zawahała się chwilę, nie czując się na pewnym gruncie. – Nie znaliśmy jej bliżej co prawda, gdyż ingres biskupa odbył się zaledwie przed czterema laty. Podejmowała nas oczywiście na balu i na garden party. Byliśmy również na obiedzie którejś zimy. Tak, to była czarująca kobieta. I taka pełna życia.

– A przy tym umiała sobie ze wszystkim świetnie radzić – powiedziałam głosem obojętnym, by pokazać, że pochwały te nie sprawiają mi przykrości. Szarpiąc rękawiczki, dodałam: – Rzadko się zdarza, że ktoś jest mądry, a zarazem piękny. I ponadto lubi sport.

– Tak, bardzo rzadko. Niewątpliwie była wszechstronnie uzdolniona. Mam ją teraz przed oczami, jak stała przy schodach tego wieczoru, kiedy odbywał się bal, witając się ze wszystkimi. Aureola ciemnych włosów kontrastowała z niezwykle białością cery. Wyglądała ślicznie w swoim stroju. Tak, była naprawdę bardzo piękna.

– Do tego osobiście zarządzała domem – powiedziałam, uśmiechając się i jakby zaznaczając: „Nie robi mi to żadnej różnicy, często o niej rozmawiam”. – Musiała temu poświęcać sporo czasu. Ja natomiast zdaję się całkowicie na naszą zarządzającą.

– No cóż, nie każdy potrafi zajmować się wszystkim. A pani jest przecież bardzo młoda. Na pewno z biegiem czasu będzie pani sobie lepiej radzić. Zresztą pani ma też swojego konika, prawda? Ktoś mówił mi, że pani rysuje.

– Och, nie wydaje mi się, żebym miała wielkie zdolności.

– Ale to jest przyjemny talencik, nie każdy potrafi rysować. Niech pani tego nie zaniedbuje. W Manderley musi być wiele ślicznych miejsc do szkicowania.

– Tak, oczywiście – powiedziałam przygnębiona jej słowami. Nagle zobaczyłam siebie wędrującą po trawniku ze składanym krzeselkiem i pudełkiem kredek w jednej ręce oraz z moim „talencikiem”, jak go określiła, w drugiej. Słowa jej brzmiały tak, jakby delektowała się moimi drobnymi dolegliwościami.

– Czy pani uprawia jakieś sporty, jeździ konno lub strzela? – spytała po chwili.

– Nie, nie uprawiam żadnego z tych sportów. Za to bardzo lubię chodzić – dodałam na swoje usprawiedliwienie.

– Najlepszy sport na świecie – powiedziała z ożywieniem. – My także robimy z mężem długie spaceru.

Przeszło mi przez myśl, czy biskup chodzi dokoła katedry w kapeluszu o szerokim rondzie i w getrach, prowadząc żonę pod rękę. Zaczęła opowiadać o pieszej wyprawie w Góry Pennińskie przed wieloma laty, kiedy to robili przeciętnie dwadzieścia mil dziennie. Kiwałam głową, uśmiechając się grzecznie i zastanawiając się, czy Góry Pennińskie podobne są do Andów. Potem przypomniałam sobie, że jest to łańcuch wzgórz zaznaczony grubym pasmem na mapie Anglii w moim szkolnym atlasie. A w moich myślach biskup przez cały czas wędrował po górach w kapeluszu i getrach.

Nieunikniona przerwa w rozmowie. Niepotrzebnie spojrzałam na zegarek, gdyż zegar w salonie właśnie wybił czwartą. Wstałam z krzesła, mówiąc:

– Cieszę się, że panią zastałam. Mam nadzieję, że państwo zechcą nas odwiedzić.

– Z wielką przyjemnością. Niestety, mój mąż jest zawsze taki zajęty. Proszę pozdrowić pana de Wintera i niech go pani koniecznie poprosi, żeby urządził bal.

– Tak, na pewno poproszę.

Skłamałam, udając, że słyszałam o tych balach kostiumowych. Jadąc samochodem do domu, gryzłam paznokcie dużego palca, a przed oczami przesuwał mi się wielki hol w Manderley pełen ludzi w różnych strojach. Słyszałam gwar rozmów i śmiech licznie zgromadzonych gości, dźwięki

orkiestry umieszczonej na krużganku. Kolację podawano zapewne w salonie na długich stołach ustawionych pod ścianami. Widziałam Maxima stojącego przy schodach – jak się śmieje, wita gości i zwraca do tej, która stoi u jego boku. Do tej wysokiej, szczupłej, o ciemnych włosach, jak mówiła żona biskupa, o ciemnych włosach kontrastujących z białą cerą. Do tej, której bystre oczy opiekowały się gośćmi, która przez ramię rzucała polecenia służbie, która nigdy nie była nieśmiała, a zawsze pełna wdzięku i za którą, gdy tańczyła, unosiła się smuga perfum o zapachu białej azalii.

„Czy państwo zamierzają prowadzić dom otwarty?”

Znowu zabrzmiał mi w uszach ten ton sugestywny, dociekliwy, tym razem brzmiący w głosie jednej z pań mieszkającej za Kerrith. Zauważyłam także jej zdziwione spojrzenie oceniające każdy szczegół mojej garderoby oraz szybki rzut oka, by sprawdzić, czy spodziewam się dziecka.

Nie chciałam jej więcej widzieć. Nie chciałam widzieć żadnej z nich. Przyjeżdżały do Manderley, bo były ciekawe i wścibskie. Znajdowały przyjemność w krytykowaniu mego wyglądu, zachowania, figury. Lubiły obserwować, jak Maxim i ja odnosimy się do siebie, czy wyglądamy na zakochanych, tak aby mogły później nas obgadywać: „Dawniej było zupełnie co innego”. Przyjeżdżały, bo chciały porównać mnie z Rebeką...

Postanowiłam, że nie będę więcej składać żadnych wizyt. Powiem to Maximowi. Nic mnie nie obchodzi, że uznają mnie za niegrzeczną i nieobytą. Będą miały więcej tematu do krytyki i plotek. Mogą mnie nazwać źle wychowaną. „Nic dziwnego, przecież wiadomo, kim ona jest”. Pogardliwy śmiech, wzruszenie ramionami. „Nie wiesz, moja droga? On ją wynalazł w Monte Carlo czy gdzieś tam, nie miała ani grosza. Była panną do towarzystwa jakiejś starej osoby”. Znowu śmiech, zdziwiony wyraz twarzy. „Niemożliwe, co ty mówisz? Jacy dziwni są ci mężczyźni! I to Maxim, który był taki wybredny. Jak on mógł po Rebecę?!”

Wszystko mi jedno. Nic mnie nie obchodzi. Niech sobie mówią, co chcą.

Gdy samochód skręcił w bramę wjazdową, wychyliłam się, by pozdrowić kobietę, która mieszkała w domku dozorca. Pochylona, zrywała kwiaty w ogródku. Wyprostowała się,

słyszac nadjeżdżający samochód, ale nie widziała mego uśmiechu. Skinęłam jej ręką, ale popatrzyła na mnie zdziwiona. Pewnie nie wiedziała, kim jestem. Cofnęłam się w głąb siedzenia. Samochód sunął aleją.

Gdy minęliśmy jeden z wąskich zakrętów, zobaczyłam, że przed nami idzie Frank Crawley. Zatrzymał się, słysząc warkot motoru, a szofer zmniejszył szybkość. Frank Crawley zdjął kapelusz i uśmiechnął się na mój widok. Wydawało się, że spotkanie ze mną sprawia mu przyjemność. Odpowiedziałam mu uśmiechem. Jak to miło z jego strony, że cieszy się ze spotkania ze mną. Lubiłam go. Nie uważałam, tak jak Beatrice, że jest nudny. Może dlatego, że sama byłam nudna. Oboje byliśmy nudni. Żadne z nas nie miało nic do powiedzenia o sobie. Dobraliśmy się jak w korcu maku.

Zastukałam w szybę i kazałam szoferowi zatrzymać wóz.

– Wysiądę i przejdę się z panem Crawleyem.

Frank otworzył drzwi i powiedział:

– Jeździła pani z wizytami?

– Tak, Frank.

Mówiłam mu po imieniu, gdyż tak zwracał się do niego Maxim, ale on zawsze nazywał mnie panią de Winter. Było to dla niego charakterystyczne. Nawet gdybyśmy znaleźli się we dwoje na wyspie bezludnej i mieszkali tam razem do końca życia, nie przestałby nazywać mnie panią de Winter.

– Byłam z wizytą u biskupa, ale nie zastałam go w domu. Przyjęła mnie jego żona. Oboje bardzo lubią piesze wycieczki. Robili po dwadzieścia mil dziennie w Górach Pennińskich.

– Nie znam tej części kraju – powiedział Frank Crawley. – Podobno jest tam bardzo pięknie. Jeden z moich wujów mieszkał kiedyś w tych stronach.

Frank zawsze wypowiadał tego rodzaju uwagi. Bezpieczne, konwencjonalne, właściwe.

– Żona biskupa dopytywała się, czy wydamy bal kostiumowy w Manderley – powiedziałam, przyglądając mu się kątem oka. – Mówiła, że była na ostatnim, który jej się ogromnie podobał. Nie wiedziałam, że odbywały się tu bale kostiumowe.

Zawahał się, zanim odpowiedział. Wyglądał na nieco zaniepokojonego.

– Tak, bale w Manderley odbywały się co roku. Zjeżdżali goście z całego hrabstwa, a także wiele osób z Londynu. To były wielkie imprezy.

– Niewątpliwie zorganizowanie takiej imprezy wymagało dużego wysiłku.

– Tak.

– Przypuszczam, że to głównie Rebeka zajmowała się wszystkim? – spytałam obojętnym tonem.

Patrzyłam prosto przed siebie, ale widziałam kątem oka, że odwrócił się do mnie, jakby chcąc odczytać moje myśli.

– Wszyscy wkładaliśmy w to dużo wysiłku – odpowiedział spokojnie.

W zachowaniu się Franka wyczuwałam dziwną powściągliwość, jakieś onieśmienie podobne do mojego. Nagle przyszło mi na myśl, czy nie kochał się w Rebecce. Gdyby tak było, odpowiedziałabym na jego miejscu tym samym tonem. Ta myśl stwarzała wiele nowych możliwości. Frank Crawley, taki nieśmiały, taki nudny. Nie przyznałby się nikomu, a w żadnym wypadku Rebecce.

– Obawiam się, że ze mnie niewiele byłoby pożytku, gdybyśmy wydawali bal – powiedziałam. – Nie potrafię absolutnie nic zorganizować.

– Nie potrzebowałaby pani zajmować się niczym, tylko być sobą i ładnie wyglądać.

– Pan jest bardzo uprzejmy, Frank, ale obawiam się, że i tego nie potrafię należycie wykonać.

– Jestem pewien, że potrafi pani doskonale.

Kochany Frank, jaki taktowny i wyrozumiały! Omal mu nie uwierzyłam, ale w rzeczywistości nie zwiodły mnie jego słowa.

– Czy spyta pan Maxima o bal?

– Dlaczego pani sama go nie chce zapytać?

– Nie, nie mam ochoty.

Zapadło milczenie. Szliśmy ciągle aleją. Teraz, gdy przemogłam się i wymówiłam imię Rebeki, najpierw na wizycie, a potem w rozmowie z Frankiem, coś zmuszało mnie do powtarzania tego słowa. Sprawiało mi ono dziwną satysfakcję, działało jak narkotyk. Czułam, że za chwilę będę musiała je znowu wypowiedzieć.

– Któregoś dnia weszłam do zatoczki, do tej z falochronem. Jasper zachowywał się niemożliwie, czekał na tego biedaka o oczach wariata.

– To z pewnością Ben – Frank mówił teraz swobodnie – on zawsze szuka czegoś na plaży. To poczciwy człeczyna. Niech się pani go nie boi, on nawet muchy nie skrzywdzi.

– Ja się nie bałam. – Przez chwilę nuciłam jakąś melodię, żeby nabrać odwagi, po czym odezwałam się obojętnym tonem: – Obawiam się, że ten domek nad morzem ulegnie całkowitemu zniszczeniu. Weszłam tam po kawałek sznurka, bo nie miałam ze sobą smyczy Jaspera. Porcelana pokryta jest pleśnią, a książki butwieją. Dlaczego nikt się tym nie zajmie? Szkoda, że tak się wszystko marnuje.

Wiedziałam z góry, że nie odpowie mi od razu. Pochylił się, by zawiązać sznurowadło.

Udawałam, że oglądam liść na jednym z krzewów.

– Myślę, że Maxim powiedziałby mi, gdyby chciał, żeby się tym zająć – odparł, nadal manipulując sznurowadłem.

– Czy to są rzeczy Rebeki?

– Tak.

Odrzuciłam liść, zerwałam drugi i obracając go w ręce, spytałam:

– Do jakiego celu służył ten domek? Wewnątrz wygląda na domek mieszkalny, chociaż z zewnątrz robi wrażenie zwykłej przystani.

– Dawniej była to tylko przystań – powiedział Frank. Znowu stał się powściągliwy, stracił swobodę, w jego głosie wyczuwało się zakłopotanie. – Potem... potem ona urządziła go w ten sposób, kazała wstawić meble i porcelanę.

Zdziwiło mnie, że Frank mówi o Rebecce „ona”. Nie nazwał jej Rebeką ani panią de Winter, jak się tego spodziewałam.

– Czy często przebywała w tym domku?

– Tak, bardzo często. Urządzała tam pikniki przy świetle księżycy... służył on także do różnych innych celów.

Szliśmy znowu obok siebie, przez chwilę nuciłam tę samą melodię.

– To brzmi zachwycająco – powiedziałam wesołym tonem. – Pikniki przy świetle księżycy muszą być urocze. Czy pan brał w nich udział?

– Raz czy dwa razy.

Udawałam, że nie zauważam zmiany w zachowaniu Franka, jego powściągliwości i niechęci do poruszania tego tematu.

– Po co jest ta boja w zatoczce? – spytałam.

– Dawniej stała tam żaglówka.

– Co za żaglówka?

– Jej żaglówka.

Ogarnęło mnie niezwykle podniecenie. Nie mogłam przerwać pytań. Wiedziałam, że on nie chce o tym mówić, ale choć mi go było żal i wstyd siebie samej, musiałam brnąć dalej. Nie mogłam zamilknąć.

– Co się z nią stało? Czy to na tej żaglówce utonęła Rebeka?

– Tak – odpowiedział cicho – łódź przewróciła się i poszła na dno. Ją zmyła z pokładu fala.

– Czy to była duża żaglówka?

– Około trzech ton. Z małą kabiną.

– Dlaczego się przewróciła?

– W zatoce wieją porywiste wiatry.

Przypomniałam sobie zielone morze toczące spienione fale za półwyspem. Zastanawiałam się, czy łódź, wychodząc z zatoczki, nie została nagle uderzona z boku silnym podmuchem wiatru, tak że położyła się żaglem na wodzie.

– Czy nikt nie mógł jej przyjść z pomocą?

– Nikt nie widział tego wypadku, nikt nie wiedział, że ona wypłynęła.

Staralam się nie patrzeć na Franka. Mógłby zauważyć wyraz zdziwienia na mojej twarzy. Myślałam dotychczas, że wypadek ten zdarzył się podczas regat, że było tam wiele jachtów z Kerrith i że dużo osób przyglądało się regatom z nadbrzeżnych skał. Nie wiedziałam, że była sama. Zupełnie sama w tej zatoce.

– Ale chyba wiedzieli o tym w domu?

– Nie. Często wypływała sama. Wracała późno w nocy i wtedy spała w domku na plaży.

– Czy się nie bała?

– Bała? Nie, ona się niczego nie bała.

– Czy... czy Maxim pozwalał jej tak wyruszać samej?

Frank milczał przez chwilę, po czym powiedział krótko:

– Nie wiem.

Miałam wrażenie, że jest lojalny w stosunku do kogoś. Albo w stosunku do Maxima, albo do Rebeki, lub nawet do siebie samego. Zachowywał się dziwnie. Nie rozumiałam, co to znaczy.

– A więc utonęła, próbując dopłynąć do brzegu, gdy łódź poszła na dno? – spytałam.

– Tak.

Widziałam oczami wyobraźni, jak bezwładna łódź zanurza się coraz głębiej, jak woda zalewa pokład, jak obciążają ją żagle położone gwałtownym podmuchem wiatru na wodę. Zatoka była pewnie pogrążona w całkowitym mroku. Kogoś, kto usiłował płynąć do brzegu, musiał się on wydawać bardzo odległy.

– Ile czasu upłynęło, zanim ją znaleziono? – spytałam.

– Około dwóch miesięcy.

Dwa miesiące. Myślałam, że topielców znajduje się po dwóch dniach. Myślałam, że fale przypląwu wyrzucają ciała na brzeg.

– Gdzie ją znaleziono?

– W pobliżu Edgecombe, około czterdziestu mil stąd na północ.

Spędziłam raz wakacje w Edgecombe, gdy miałam siedem lat. Była to duża miejscowość. Pamiętałam molo i osiołki. Jeździłam na osiołku wzdłuż plaży.

– Skąd wiedziano, że to ona? Jak można ją było rozpoznać po dwóch miesiącach?

Zastanawiałam się, dlaczego Frank namyśla się nad każdą odpowiedzią, jakby ważył każde słowo. Czy dlatego, że ją kochał, że cierpiał tak bardzo?

– Maxim pojechał do Edgecombe, żeby stwierdzić, czy to ona.

Nagle odeszła mnie ochota do dalszych pytań. Miałam do siebie wstręt. Zachowywałam się jak ciekawy przechodzień, stojący w pierwszym rzędzie tłumu, gdy ktoś uległ wypadkowi. Czułam się jak jakaś uboga kobiecina, która gdy ktoś umrze w jej kamienicy, koniecznie chce zobaczyć nieboszczyka. Nienawidziłam siebie. Pytania moje były poniżające, bezwstydne. Wydawało mi się, że Frank Crawley musi mną pogardzać.

– To było okropne przejście dla was wszystkich – powiedziałam szybko. – Z pewnością nie lubi pan o tym

wspominać. Chodziło mi tylko o ten domek na plaży. Szkoda, że wszystko tam niszczy pod wpływem wilgoci.

Frank milczał. Byłam zmieszana i zakłopotana. Na pewno wyczuł, że to nie troska o pusty domek skłoniła mnie do tych pytań. Teraz milczał, bo był zgorszony moim zachowaniem. Łączyła nas spokojna, stateczna przyjaźń. Wyczuwałam w nim sprzymierzeńca. Może zniszczyłam to wszystko, może nie będzie już odnosić się do mnie z taką życzliwością jak dotychczas.

– Jaka to długa aleja – powiedziałam. – Przypomina mi zawsze ścieżkę w lesie z bajki Grimma, gdzie zablądził królewicz. Wydaje się dłuższa, niż się człowiek spodziewa. Drzewa rosną tak gęsto i tak tu ciemno.

– Tak, to niezwykła aleja.

Czułam, że Frank ma się nadal na baczności, jakby oczekiwał ode mnie dalszych pytań. Byliśmy oboje skrepowani i zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Uważałam, że muszę się jakoś wytłumaczyć, nawet gdybym się miała przez to najeść wstydu.

– Frank – powiedziałam doprowadzona do ostateczności. – Wiem, co pan myśli. Pan nie może zrozumieć, dlaczego zadawałam te pytania. Sądzi pan, że kierowała mną niezdrowa, ohydna ciekawość. Przysięgam, że tak nie jest. Chodzi o to, że... że czasem czuję się bardzo źle w tym otoczeniu. Tryb życia w Manderley jest mi zupełnie obcy. Byłam wychowana w innych warunkach. Gdy jeżdżę z rewizytami, tak jak dziś po południu, wiem, że ludzie oglądają mnie od stóp do głów i zastanawiają się, czy potrafię sobie poradzić jako pani na Manderley. Wyobrażam sobie, jak mówią: „Co, u licha, Maxim w niej widzi?”. A potem zaczynam się zastanawiać, zaczynam mieć wątpliwości, prześladuje mnie myśl, że nie powinnam była wyjść za mąż za Maxima, że nigdy nie będziemy szczęśliwi. Widzi pan, za każdym razem, gdy poznaję kogoś nowego, wiem, że wszyscy myślą tak samo: „Jak bardzo różni się ona od Rebeki”.

Umilkłam bez tchu, zawstydzona swoim wybuchem, czując, że spaliłam za sobą mosty raz na zawsze. Frank odwrócił się do mnie, bardzo przejęty i zmieszany.

– Niech pani tak nie myśli, proszę. Jeśli o mnie chodzi, to nie potrafię pani powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że pani wyszła za mąż za Maxima. Dzięki temu rozpocznie on nowe życie.

Jestem przekonany, że potrafi pani zapewnić mu szczęście. Moim zdaniem, to... to taki uroczy i miły widok, gdy ktoś tak jak pani nie jest całkiem... hm... – zaczerwienił się, szukając odpowiedniego słowa – nie całkiem obeznany, powiedzmy, ze zwyczajami Manderley. A jeśli odnosi pani wrażenie, że jacyś znajomi krytykują panią, to jest... no... potwornie niegrzecznie z ich strony i tyle. Nigdy nie słyszałem słowa krytyki, a gdybym usłyszał, postarałbym się, żeby to się więcej nie powtórzyło!

– Jaki pan miły, Frank. Pańskie słowa dodają mi otuchy. Muszę przyznać, że zachowywałam się głupio. Spotkania z obcymi ludźmi onieśmielają mnie, nigdy nie prowadziłam towarzyskiego trybu życia. Zawsze prześladowuje mnie myśl, że... że dawniej inaczej było w Manderley, gdy ktoś urodzony i wdrożony do takiego życia potrafił robić wszystko swobodnie i bez wysiłku. Zdaję sobie sprawę każdego dnia, że te cechy, których nie mam: pewność siebie, wdzięk, uroda, inteligencja, dowcip... och, te wszystkie zalety tak cenne w kobiecie ona posiadała. To nie dodaje otuchy, nie dodaje.

Frank milczał. Był nadal przejęty i zaniepokojony. Wyciągnął chustkę z kieszeni i wytarł nos.

– Proszę tak nie mówić – powiedział wreszcie.

– Dlaczego nie? To prawda.

– Pani ma inne zalety, równie ważne, a nawet znacznie ważniejsze. Może to zbyt śmiałość z mojej strony, bo przecież nie znam pani bliżej. Jestem kawalerem, niewiele wiem o kobietach, prowadzę tu w Manderley bardzo spokojny tryb życia, jak pani wiadomo. Ale uważam, że dobroć, szczerłość i, jeśli mi to wolno powiedzieć, skromność są o wiele cenniejsze dla mężczyzny, dla męża, niż dowcip i uroda.

Frank był bardzo poruszony. Znowu wytarł nos. Widziałam, że przejął się więcej moimi słowami niż ja. To mnie uspokoiło, poczułam nad nim przewagę. Dziwiłam się, dlaczego tak się tym przejął. Ostatecznie nie powiedziałam tak wiele. Przyznałam się tylko, że jako następczyni Rebeki czuję się bardzo niepewnie. Przecież ona niewątpliwie miała i te zalety, które Frank mnie przypisywał. Musiała być dobra i szczerą, mając tylu przyjaciół i ciesząc się tak wielką popularnością. Nie byłam pewna, co rozumiał pod słowem skromność. Nigdy nie rozumiałam, co ono oznacza. Myślałam, że skromność ma jakiś związek

z zażenowaniem, jakie się odczuwa, spotkawszy kogoś, gdy się idzie do łazienki... Biedny Frank! A Beatrice nazwała go nudnym człowiekiem, który nigdy nic nie ma do powiedzenia.

– No cóż – powiedziałam zmieszana – nie jestem pewna, czy mam te zalety. Nie sądzę, żebym była bardzo dobra lub wyjątkowo szczerą, a jeśli chodzi o moją skromność, to po prostu nie miałam wiele sposobności, żeby się inaczej zachowywać. Oczywiście moje zachowanie w Monte Carlo może się wydawać niezbyt właściwe... samotny pobyt w hotelu i pośpieszny ślub, ale może pan tego nie bierze pod uwagę?

– Droga pani, czyż mógłbym choć przez chwilę pomyśleć, że wasze zachowanie się tam nasuwało jakiegokolwiek wątpliwości? – powiedział cicho.

– Nie, skądże znowu – zaprzeczyłam poważnie.

Kochany Frank. Pewnie go zgorszyłam. Jaki typowy dla niego był zwrot „nasuwało wątpliwości”. Wywoływał od razu skojarzenie, co by się mogło dziać, gdyby nasze zachowanie wzbudzało wątpliwości.

– Jestem pewien – zaczął i zawahał się, nadal zakłopotany – jestem pewien, że Maxim zmartwiłby się bardzo i przejął, gdyby wiedział, co pani przeżywa. Sądzę, że nie ma o tym najmniejszego pojęcia.

– Nie powie mu pan? – spytałam szybko.

– Nie, naturalnie, że nie powiem. Ale widzi pani, znam Maxima dość dobrze i pomogłem mu przebrnąć przez wiele różnych... nastrojów. Gdyby wiedział, że pani martwi się o... o przeszłość, byłby zrozpaczony. Zapewniam panią. Wygląda teraz bardzo dobrze, zdrowo, ale pani Lacy miała rację, mówiąc wtedy, że przed rokiem był bliski załamania. Oczywiście postąpiła nietaktownie, mówiąc o tym w jego obecności. Dlatego właśnie pani towarzystwo jest dla niego zbawieniem. Pani jest młoda, świeża i rozsądna. Nie ma pani nic wspólnego z przeszłością. Niech pani zapomni o niej, tak jak on zapomniał, dzięki Bogu, i my wszyscy. Nikt z nas nie chce wspominać przeszłości, a najmniej Maxim. Pani musi nas od niej oderwać i nie pozwolić do niej nawracać.

Frank miał słuszość, z pewnością miał słuszość. Drogi, dobry Frank, mój przyjaciel, mój sprzymierzeniec.

Zachowywałam się jak przewrażliwiona egoistka, ofiara kompleksu niższości.

– Dawno powinnam była panu to wszystko powiedzieć.

– Żałuję, że pani tego nie zrobiła. Może oszczędziłbym pani niepotrzebnych zmartwień.

– Jest mi lżej na sercu, znacznie lżej. Czy mogę liczyć na pańską przyjaźń, cokolwiek się stanie, Frank?

– Może pani zawsze na mnie liczyć.

Wyszliśmy z zacienionej drzewami alei na polanę. Otoczyły nas rododendrony. Niedługo minie ich pora. Już przekwitwały i zaczynały więdnąć. Za miesiąc opadną wszystkie płatki z wielkich główek i ogrodnicy zmiotą je z alei. Uroda rododendronów jest krótkotrwała.

– Frank, zanim skończymy tę rozmowę, może raz na zawsze, proszę obiecać, że odpowie mi pan zupełnie szczerze na jedno pytanie.

Spojrzał na mnie nieco podejrzliwie, zanim odpowiedział:

– To nie jest całkiem uczciwie. Pani może mnie spytać o coś, na co nie będę mógł odpowiedzieć. O coś bardzo drażliwego.

– Nie, to nie będzie tego rodzaju pytanie, ani intymne, ani kłopotliwe.

– Dobrze. Postaram się.

Doszliśmy do zakrętu. Manderley ukazało się przed nami, godne i spokojne, leżące we wgłębieniu wśród trawników. Zdumiewało mnie zawsze swą doskonałą proporcją i pięknem, swą wielką prostotą.

Gotyckie okna lśniły w promieniach słońca, mech porastający kamienne mury tworzył na nich rdzawe plamy. Cienki słup dymu unosił się z komina nad biblioteką. Gryzłam paznokieć dużego palca, spoglądając na Franka kątem oka.

– Proszę mi powiedzieć – odezwałam się obojętnym tonem – proszę mi powiedzieć, czy Rebeka była bardzo piękna?

Frank milczał przez chwilę. Nie widziałam jego twarzy. Odwrócił się w kierunku domu.

– Tak – powiedział wolno – tak, myślę, że była najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu.

Weszliśmy po schodach do holu. Zadzwoiłam, by podano nam podwieczorek.

Rzadko widywałam panią Danvers, trzymała się bowiem na uboczu. Nadal telefonowała do mnie każdego ranka, żebym wyraziła zgodę na menu, ale na tym kończyły się nasze stosunki. Wynałazła dla mnie pokojówkę, Clarice, córkę jakiegoś dzierżawcy, miłą, spokojną i grzeczną dziewczynę, która – na szczęście – nigdzie jeszcze nie służyła i nie miała krępującego mnie wyrobienia. Dla niej, jedynej z całej służby, byłam autorytetem, panią domu, panią de Winter. Krążące wokół plotki nie miały na nią wpływu. Wychowywała się u swojej ciotki, która mieszkała w odległości piętnastu mil od nas, i była równie obca w Manderley jak i ja. Zachowywałam się swobodnie wobec niej i nie krępowałam się powiedzieć: „Clarice, proszę mi zacerować pończochę”.

Poprzedniczka jej, Alice, onieśmiałała mnie swoją postawą. Wolałam po kryjomu sama cerować swoją bieliznę, niż prosić ją o to. Zaskoczyłam ją pewnego razu, gdy przyglądała się mojej koszuli z taniego materiału, obszytej wąską koroneczką. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. Była wstrząśnięta, jakby to jej duma została zraniona. Dawniej uważałam, że wystarczy, aby bielizna była czysta i cała, nie przywiązywałam zaś wagi do jakości materiału czy koronki. Słyszałam o młodych pannach, które sprawiały sobie na wyprawę komplety bielizniane tuzinami. Nie zadałam sobie tego trudu. Wyraz twarzy Alice był dla mnie nauczką. Natychmiast napisałam do jednego ze sklepów w Londynie z prośbą o przysłanie katalogu bielizny damskiej. Zanim dokonałam wyboru, Clarice zastąpiła Alice. Uznałam wówczas, że zakup nowej bielizny ze względu na Clarice byłby rozrzutnością, toteż schowałam katalog do szuflady i nie wysłałam zamówienia do sklepu.

Często zastanawiałam się, czy Alice opowiedziała o jakości moich koszul innym pokojówkom i czy rozprawiano na ten wysoce nieprzyzwoity temat szeptem, gdy w pobliżu nie było mężczyzn. Alice była zbyt dystygowana, aby dowcipkować o koszulach na przykład z Frithem.

Nie, moja bielizna stanowiła dla niej poważniejszy problem. Tak jak sprawa rozwodowa tocząca się przy drzwiach zamkniętych...

W każdym razie ucieszyłam się, gdy Alice przekazała moją osobę w ręce Clarice. Clarice nie potrafi odróżnić ręcznie robionej koronki od maszynowej. Pani Danvers wykazała dużo zrozumienia, wybierając Clarice. Pewnie uważała, że pasujemy do siebie. Teraz gdy znałam przyczynę niechęci pani Danvers, było mi trochę lżej na sercu. Wiedziałam bowiem, że nienawiść jej skierowana jest nie przeciw mnie osobiście i że tak samo odnosiłaby się do każdej kobiety zajmującej miejsce Rebeki. Dowiedziałam się o tym od Beatrice, gdy była u nas po raz pierwszy.

– Nie wiedziałaś? – spytała. – Ona po prostu ubóstwiała Rebeke.

Słowa te wstrząsnęły mną wówczas. Były niespodziewane. Lecz po zastanowieniu zaczęłam wyzbywać się strachu przed panią Danvers. Zrobiło mi się jej żal. Wyobrażałam sobie, co odczuwa. Jak przykro jej musi być za każdym razem, gdy słyszy, że ktoś nazywa mnie „panią de Winter”. Każdego ranka, kiedy telefonuje do mnie, z pewnością myśli o innym głosie. Gdy przechodzi przez pokoje i widzi moje porzucane rzeczy – beret na kanapce pod oknem, robótkę na krześle – musi myśleć o tej, która tu była przede mną. Tak samo jak ja myślałam, ja, która nie znałam Rebeki. Pani Danvers wiedziała, jak ona chodziła i jak mówiła. Znała barwę jej oczu, jej uśmiech i kolor włosów. Ja nie znałam żadnego z tych szczegółów, nigdy o nic nie pytałam, lecz czasem wspomnienie Rebeki było dla mnie równie żywe, jak i dla pani Danvers.

Frank prosił, bym zapomniała o przeszłości. Chciałam o niej zapomnieć. Ale Frank nie przesiadywał dzień w dzień w buduarze, tak jak ja, i nie dotykał pióra, które ona trzymała w ręce. Nie opierał się o blat sekretary i nie wpatrywał w jej pismo na przegródkach. Nie patrzył na kandelabry, na półkę

nad kominkiem, na zegar, na wazon z kwiatami, na obrazy i nie myślał każdego dnia, że przedmioty te należały do niej, że ona je wybierała, że nie miały ze mną nic wspólnego. Frank nie siedział na jej miejscu przy stole w jadalni, nie używał noża i widelca, których ona używała, nie pił z jej szklanki. Nie zarzucał na ramiona płaszcz, który należał do niej, ani nie znajdował jej chustki w kieszeni. Nie widział każdego dnia ślepego psa w bibliotece, który podnosi łeb na odgłos moich kroków, kobiecych kroków, a powęszywszy, spuszcza łeb, gdyż nie jestem tą, której się spodziewa.

Głupie, nieistotne drobiazgi, ale widziałam je, słyszałam i odczuwałam. Boże drogi, przecież ja wcale nie chciałam myśleć o Rebecce. Pragnęłam być szczęśliwa, dać szczęście Maximowi, dzielić z nim życie. To było moim jedynym pragnieniem. Nie mogłam jednak nic na to poradzić, gdy Rebeka nawiedzała moje myśli i moje sny. Nie mogłam nic poradzić na to, że czułam się jak gość w Manderley, w moim własnym domu, chodząc po tych samych pokojach, po których ona chodziła, siadając na tych samych meblach. Czułam się jak gość wyczekujący powrotu pani domu. Przypadkowe słowa, drobne uwagi przypominały mi Reбекę każdego dnia, o każdej godzinie.

– Frith – powiedziała, wchodząc do biblioteki któregoś ranka z naręczem bzu – gdzie jest jakiś duży wazon? Te w składziku są wszystkie za małe.

– Bez zawsze wstawiano do białego alabastrowego wazonu, który stoi w salonie, proszę pani.

– Ależ wazon może się rozbić!

– Pani de Winter zawsze wstawiała bez do tego wazonu.

– Ach, tak.

Frith przyniósł mi alabastrowy wazon napełniony wodą. Wkładając gałązki bzu, którego zapach wypełniał pokój i mieszał się z zapachem świeżo skoszonej trawy wpadającym przez otwarte okna, pomyślałam: „Rebeka robiła to samo. Brała jedną gałązkę po drugiej i wkładała do białego wazonu. Nie ja pierwsza to robię. To jest wazon Rebeki, to jest Rebeki bez”.

Wychodziła do ogrodu w tym zmiętoszonym słomkowym kapeluszu, który kiedyś dostrzegłam pod starymi poduszkami w głębi szafy stojącej w składziku. Szła trawnikiem w kierunku

krzaków bzu, może pogwizdując, może nucąc piosenkę, przywołując psy i niosąc sekator, którym teraz ja się posługuję.

– Frith, proszę zabrać książki ze stolika przy oknie. Chcę tam postawić bez.

– Pani de Winter zawsze stawiała alabastrowy wazon na stole za kanapą, proszę pani.

– No cóż... – Zawahałam się, trzymając wazon w rękach.

Frith miał niewzruszony wyraz twarzy. Usłuchałby mnie oczywiście, gdybym powiedziała, że wolę postawić wazon na małym stoliku przy oknie. Natychmiast zabrałby książki.

– Dobrze – powiedziałam. – Może będzie lepiej wyglądać na większym stole.

Alabastrowy wazon został ustawiony tak jak dawniej, na stole za kanapą...

Beatrice pamiętała o obiecanej prezencie ślubnym. Pewnego ranka nadeszła ogromna paczka, którą Robert ledwo mógł udźwignąć. Siedziałam w buduarze, przeglądając menu na ten dzień. Zawsze lubiłam otrzymywać paczki. Podniecona przecięłam sznurek, zerwałam ciemnobrązowy papier. Przypuszczałam, że w paczce są książki, i nie omyliłam się. Cztery duże tomy. *Historia malarstwa*. W pierwszym tomie znalazłam arkusik papieru ze słowami: *Mam nadzieję, że to Ci się będzie podobać. Dużo serdeczności od Beatrice*.

Wyobraziłam sobie, jak weszła do sklepu na Wigmore Street, rozejrzała się energicznie i zwróciła do sprzedawcy:

– Chciałabym jakieś książki dla osoby, która interesuje się sztuką.

– Proszę, może pani pozwoli tędy – powiedział sprzedawca. Beatrice oglądała książki nieco podejrzliwie.

– Tak, cena odpowiednia. To ma być prezent ślubny. Chciałabym, żeby wyglądały efektownie. I te całe cztery tomy... to wszystko tylko o sztuce?

– Tak, to najbardziej znane dzieło z tej dziedziny.

Beatrice napisała liścik, wypełniła czek i podała adres: „Pani de Winter, Manderley”.

Jak to miło ze strony Beatrice, że pojechała specjalnie do Londynu i kupiła mi te książki, wiedząc, że interesuję się malarstwem. Pewnie wyobrażała sobie, że w deszczowy dzień zasiądę w fotelu i będę poważnie przyglądać się ilustracjom,

a może wezmę arkusz papieru, farby i zacznę kopiować jakiś obraz. Kochana Beatrice. Nagle zachciało mi się płakać. Podniosłam z ziemi ciężkie tomy i rozejrzałam się po buduarze, szukając dla nich miejsca. Nie pasowały do lekkich, delikatnych mebli. Mniejsza o to, przecież teraz to jest mój pokój. Ustawiłam książki rzędem na sekreterze. Cofnęłam się o kilka kroków, żeby zobaczyć, jak wyglądają w tym miejscu. Może poruszyłam się zbyt gwałtownie i tym spowodowałam katastrofę. Pierwszy z brzegu tom przewrócił się, za nim inne. Strąciły małego porcelanowego amorka, który stał na sekreterze wraz z kandelabrami. Amorek spadł na krawędź kosza do śmieci i rozbił się na drobne kawałeczki. Spojrzałam szybko na drzwi, jak dziecko, które coś przeszkobało. Uklęknęłam na podłodze i zebrałam kawałki. Włożyłam je do koperty i schowałam w głębi szuflady. Potem zaniiosłam książki do biblioteki i ustawiłam na półce.

Maxim roześmiał się, gdy mu je z dumą pokazałam.

– Kochana Bea, musiałaś jej przypaść do serca. Ona dobrowolnie nigdy nie zagłąda do książki.

– Czy mówiła ci coś o... mnie? – spytałam.

– Wtedy, gdy tu była na lunchu? Chyba nie.

– Myślałam, że może pisała do ciebie.

– Korespondujemy ze sobą tylko, gdy się coś ważnego wydarzy w rodzinie. Pisanie listów to strata czasu.

Widocznie moje przybycie nie stanowiło ważnego wydarzenia w rodzinie. Gdybym ja jednak była na miejscu Beatrice i miała brata, a brat by się ożenił, to chyba wyraziłabym swoje zdanie o jego żonie i napisała ze dwa słowa. Chyba że żona nie spodobałaby mi się lub wydała nieodpowiednia. Wtedy to co innego. Jednak Beatrice zadała sobie trud, by pojechać do Londynu i kupić książki dla mnie. Nie zrobiłaby tego, gdyby mnie nie polubiła.

Pamiętam, że następnego dnia Frith, podawszy kawę do biblioteki, zatrzymał się przy fotelu Maxima i powiedział:

– Czy mógłbym z panem porozmawiać?

Maxim spojrział zdziwiony znad gazety.

– Tak, Frith, o co chodzi?

Frith miał poważny wyraz twarzy, zacięte usta. Przeszło mi przez myśl, że umarła mu żona.

– Chodzi o Roberta, proszę pana. Między nim a panią Danvers zaszło pewne nieporozumienie. Robert jest bardzo przejęty.

– O Boże – westchnął Maxim, mrugając do mnie.

Pochyliłam się i zaczęłam głaskać Jaspera, co robiłam zawsze w kłopotliwych momentach.

– Okazuje się, że pani Danvers oskarżyła Roberta w związku ze zniknięciem cennej ozdoby z buduaru. Do obowiązków Roberta należy przynoszenie świeżych kwiatów do tego pokoju i wstawianie ich do wazonów. Pani Danvers weszła dziś rano do buduaru po zmianie kwiatów i zauważyła brak jednej z ozdób, która była tam jeszcze wczoraj. Zarzuciła Robertowi, że albo zabrał, albo zbił ozdobę i zataił ten fakt. Robert zaprzeczył stanowczo i przyszedł do mnie bliski płaczu. Może pan zauważył, jaki był zdenerwowany podczas lunchu.

– Zdziwiłem się, dlaczego podał mi półmisek z kotletami, nie postawiwszy przede mną talerza – mruknął Maxim. – Nie wiedziałem, że Robert jest taki wrażliwy. Cóż, pewnie kto inny to zrobił. Może jedna pokojówek.

– Nie, proszę pana. Pani Danvers weszła do pokoju przed sprzątaniami. Nikt tam nie wszedł od wczoraj po wyjściu pani de Winter, tylko Robert dziś rano z kwiatami. To bardzo nieprzyjemna sprawa dla Roberta i dla mnie, proszę pana.

– Tak, oczywiście. Proszę zawołać tu panią Danvers, postaramy się dojść do sedna sprawy. O jaką to ozdobę chodzi?

– O tego porcelanowego amorka, proszę pana, który stał na sekreterze.

– Ach, mój Boże! To jeden z naszych skarbów, prawda? Musi się znaleźć. Proszę zaraz sprowadzić panią Danvers.

– W tej chwili, proszę pana.

Frith wyszedł z pokoju, zostaliśmy sami.

– Co za przykrość – powiedział Maxim. – Ten amorek jest wart masę pieniędzy. Jak ja nienawidzę awantur ze służbą! Dlaczego przychodzą z tym do mnie? To są twoje sprawy, kochanie.

Podniosłam głowę, byłam czerwona jak burak.

– Mój drogi, chciałam ci powiedzieć przedtem, ale... ale zapomniałam. To ja zbiłam tego amorka wczoraj rano w buduarze.

– Ty zabiłaś? Więc dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś tego przy Frisie?!

– Nie wiem. Nie miałam odwagi. Bałam się, że mnie uzna za idiotkę.

– Teraz dopiero uzna cię za jeszcze większą. Musisz wyjaśnić to jemu i pani Danvers.

– Och nie, Maximie, proszę cię, wytłumacz im. Pozwól mi iść na górę.

– Nie bądź dzieckiem. Można pomyśleć, że się ich boisz.

– Boję się. Nie tyle boję, ile...

Otworzyły się drzwi i Frith wprowadził panią Danvers. Spojrzałam przestraszona na Maxima. Wzruszył ramionami, na wpół ubawiony, na wpół zły.

– Tu zaszło nieporozumienie, pani Danvers. Okazuje się, że pani de Winter sama zabiła amorka i zapomniała o tym powiedzieć.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Czułam się jak dziecko. Twarz mi płonęła ze wstydu.

– Bardzo mi przykro – wykrztusiłam, patrząc na panią Danvers. – Nigdy nie przypuszczałam, że podejrzenie padnie na Roberta.

– Czy da się skleić figurkę, proszę pani? – spytała pani Danvers.

Nie wyglądała na zdziwioną, że to ja jestem winowajczynią. Patrzyła na mnie badawczo swymi czarnymi oczami, świecącymi w bladej twarzy. Czułam, że wiedziała od początku, kto to zrobił. Oskarżyła Roberta, żeby przekonać się, czy będę miała odwagę przyznać się do winy.

– Obawiam się, że nie – odpowiedziałam. – Rozbiła się na drobne kawałki.

– Co zrobiłaś z tymi kawałkami? – spytał Maxim.

Czułam się jak więzień składający zeznanie. Jak nędznie przedstawiało się moje postępowanie nawet w moich własnych oczach.

– Włożyłam je do koperty.

– A co zrobiłaś z kopertą? – spytał Maxim, zapalając papierosa. W głosie jego brzmiało rozbawienie połączone ze zniecierpliwieniem.

– Wsadziłam ją do szuflady sekretery.

– Wygląda na to, że pani de Winter obawiała się, czy pani nie wsadzi jej do więzienia, prawda, pani Danvers? – powiedział Maxim. – Może pani wyszuka tę kopertę i wyśle kawałki do Londynu. Jeśli są za drobne do sklejenia, to trudno. Wszystko w porządku, Frith. Proszę powiedzieć Robertowi, by otarł łzy.

Pani Danvers została w pokoju po wyjściu Fritha.

– Oczywiście przeproszę Roberta, ale wszystkie poszlaki wskazywały na niego. Nie przyszło mi do głowy, że to pani de Winter stłukła figurkę. Gdyby się taka rzecz wydarzyła w przyszłości, prosiłabym, żeby pani zechciała mnie poinformować, a ja się już tym zajmę. Uniknęłoby się wielu nieprzyjemności.

– Naturalnie – rzucił niecierpliwie Maxim. – Nie rozumiem, dlaczego pani de Winter nie wspomniała o tym wczoraj. Właśnie miałem jej to powiedzieć, gdy pani weszła do pokoju.

– Może pani de Winter nie zdawała sobie sprawy z wartości tej figurki? – powiedziała pani Danvers, spoglądając na mnie badawczo.

– Zdawałam sobie sprawę – odparłam przygnębiona. – Dlatego tak starannie pozbierałam wszystkie kawałki.

– I schowałaś w głębi szuflady, tak aby nikt nie znalazł, co? – powiedział Maxim, śmiejąc się i wzruszając ramionami. – Czy nie tak by się zachowała posługaczka, pani Danvers?

– Posługaczce w Manderley nie wolno byłoby dotknąć żadnej cennej rzeczy w buduarze, proszę pana.

– Tak, nie sędzę, żeby pani do tego dopuściła – przyznał Maxim.

– To bardzo przykry wypadek – powiedziała pani Danvers. – Nigdy przedtem nie zdarzyło się nam nic zbić w buduarze. Zawsze tak uważaliśmy przy sprzątanii. Sama wycieram tam kurz od... roku. Nikomu nie dowierzam. Za życia pani de Winter odkurzałyśmy razem te cenne przedmioty.

– Cóż, stało się, nic na to nie poradzimy – powiedział Maxim. – To wszystko, pani Danvers.

Po jej wyjściu usiadłam na kanapce przy oknie. Maxim powrócił do gazety. Milczeliśmy oboje.

– Strasznie mi przykro, mój drogi – odezwałam się po chwili. – To wielkie niedbalstwo z mojej strony. Sama nie wiem, jak to się stało. Ustawiałam książki na sekreterze i straciłam amorka.

– Moje dziecko, nie martw się. To nie ma żadnego znaczenia.

– Ma. Powinna być uważać. Pani Danvers musi być na mnie wściekła.

– Co ona ma tu do gadania, do diabła?! To nie jej porcelana.

– Nie, ale tak ceni te rzeczy. To okropne, że dotychczas nic się nigdy nie zbiło i że właśnie ja to zrobiłam.

– Lepiej, że ty, a nie nieszczęsny Robert.

– Szkoda, że nie Robert. Pani Danvers nigdy mi tego nie wybaczy.

– Niech diabli wezmą panią Danvers! Nie rozumiem ciebie. Czy to ma znaczyć, że się jej boisz?

– Właściwie się nie boję. Rzadko ją widuję. To nie o to chodzi. Nie potrafię ci wytłumaczyć.

– Jak ty się czasem dziwnie zachowujesz – powiedział Maxim.

– Dlaczego nie zawołałaś jej, gdy zbiłaś tę figurkę, i nie powiedziałaś zwyczajnie: „Pani Danvers, proszę to posłać do sklejenia”? To by jej nie zdziwiło. Ty natomiast zbierasz kawałki i chowasz w głębi szuflady. Zupełnie jak posługaczka, a nie pani domu.

– Jestem podobna do posługaczki – powiedziałam powoli. – Wiem, że jestem, pod wieloma względami. Dlatego mam tyle wspólnego z Clarice. Jesteśmy z nią nieomal na stopie koleżeńskiej. Dlatego ona mnie lubi. Któregoś dnia odwiedziłam jej matkę. Spytałam ją, czy Clarice dobrze się u nas czuje. Czy wiesz, co odpowiedziała: „O tak, proszę pani. Clarice jest bardzo zadowolona. Ona mówi, że wcale nie czuje się tak, jakby była w służbie u pani, tylko jakby przebywała z kimś równym sobie”. Czy myślisz, że to miał być komplement?

– Znając matkę Clarice, uważałbym to za osobistą obrazę. W jej domku jest zawsze bałagan i śmierdzi gotowaną kapustą. W pewnym okresie miała dziewięcioro dzieci poniżej jedenastu lat, a sama dreptała po ogródku boso, z głową obwiązaną pończochą. Niewiele brakowało, byśmy jej wymówili dzierzawę. Nie rozumiem, jakim cudem Clarice jest taka porządna i czysta.

– Ona wychowywała się u ciotki – powiedziałam zgnębiona. – Co prawda moja flanelowa spódnica ma plamę z przodu, ale nigdy nie chodziłam boso, z pończochą obwiązaną dokoła głowy.

Zrozumiałam teraz, dlaczego Clarice nie pogardzała moją bielizną tak jak Alice.

– Może dlatego właśnie wolę odwiedzać matkę Clarice niż takie osoby jak żonę biskupa – mówiłam dalej. – Ona nie nazwała mnie równą sobie.

– Jeśli włożyłaś tę brudną spódnicę, gdy jechałaś do niej z wizytą, to na pewno cię tak nie nazwała.

– Nie pojechałam do niej w starej spódnicy, włożyłam suknię. W każdym razie nie cenię ludzi, którzy sądzą innych po ubiorze.

– Nie przypuszczam, żeby żona biskupa zwracała uwagę na ubranie – powiedział Maxim – ale mogła być zdziwiona, jeśli siedziałaś na brzeżku krzesła i odpowiadałaś „tak” lub „nie”, jak ktoś szukający pracy. Tak się zachowałam na tej jedynej wizycie, na której byliśmy razem.

– Czy to moja wina, że jestem nieśmiała?

– Nie, ale nie starasz się tego zwalczyć.

– To niesłuszny zarzut. Staram się codziennie, za każdym razem, gdy gdzieś jadę lub kogoś poznaję. Staram się ciągle. Ty tego nie rozumiesz. Tobie to łatwo przychodzi, jesteś przyzwyczajony do takiego życia. Ja byłam inaczej wychowana.

– Mówisz głupstwa, to nie kwestia wychowania, tylko dostosowania się. Czy myślisz, że ja lubię jeździć z wizytami? Nudzi mnie to potwornie. Ale taki jest u nas zwyczaj.

– Tu nie chodzi o nudę, ja się nie boję nudy. Gdybym się tylko nudziła, wszystko byłoby dobrze. Nienawidzę, gdy ludzie oglądają mnie od stóp do głów, jak krowę na wystawie bydła.

– Kto cię ogląda od stóp do głów?

– Wszyscy bez wyjątku.

– Cóż to szkodzi? Przynajmniej mają jakieś zajęcie.

– Dlaczego ja mam dostarczać im tego zajęcia i być przedmiotem ich krytycznych uwag?

– Dlatego że Manderley jest głównym ośrodkiem zainteresowania całej okolicy.

– Jakże więc muszą być rozczarowani!

Maxim milczał. Przeglądał gazetę.

– Jakże muszą być rozczarowani – powtórzyłam. – Pewnie dlatego ożeniłeś się ze mną, bo wiedziałeś, że jestem nudna, spokojna i niedoświadczona i że nigdy nie będzie o mnie żadnych plotek.

Maxim cisnął gazetę na podłogę i zerwał się z fotela.

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

Miał dziwny wyraz twarzy, głos szorstki, obcy.

– Nie wiem – powiedziałam, opierając się o okno. – Nic nie miałam na myśli. Co ci się stało?

– Jakie plotki słyszałaś tutaj?

– Nie słyszałam żadnych plotek – wykrztusiłam przerażona jego spojrzeniem. – Ja tylko tak sobie powiedziałam. Nie patrz tak na mnie, Maximie. O co ci chodzi, co się stało?

– Ktoś ci opowiadał jakieś historie? – spytał wolno.

– Nikt. Absolutnie nikt.

– Dlaczego mówiłaś o plotkach?

– Mówię ci, że nie wiem. Tak mi przyszło do głowy. Byłam zła, zdenerwowana. Nienawidzę jeździć z wizytami, nic na to nie poradzę. A ty mi zarzucasz, że jestem nieśmiała. Ja nie mówiłam tego z jakąś myślą. Naprawdę, Maximie. Wierz mi, proszę.

– To nie było szczególnie miłe powiedzenie, prawda?

– Nie, przykre, paskudne.

Patrzył na mnie ponurym wzrokiem. Kołysał się na piętach, trzymając ręce w kieszeniach.

– Zastanawiam się, czy postąpiłem bardzo egoistycznie, żeniąc się z tobą – powiedział powoli, z namysłem.

Serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Co masz na myśli? – spytałam.

– Nie jestem dla ciebie odpowiednim towarzyszem. Zbyt wielka jest różnica wieku między nami. Powinnaś była wyjść za mąż za chłopca w twoim wieku. Nie za kogoś takiego jak ja, co ma za sobą połowę życia.

– To śmieszne – powiedziałam szybko. – Przecież wiesz, że wiek nie odgrywa żadnej roli w małżeństwie. Jesteśmy dobrymi towarzyszami.

– Czy jesteśmy? Nie wiem.

Uklękałam na kanapce i objęłam go.

– Dlaczego tak mówisz? Przecież wiesz, że kocham cię nade wszystko na świecie. Nikogo tak nigdy nie kochałam. Ty jesteś dla mnie ojcem i bratem, i synem.

– To moja wina – powiedział, nie słuchając. – Zaskoczyłem cię, nie dając ci czasu na zastanowienie.

– Wcale nie chciałam się zastanawiać, nie miałam innego wyjścia. Ty nie rozumiesz, Maximie. Gdy się kogoś kocha...

– Czy jesteś tutaj szczęśliwa? – spytał, nie patrząc na mnie, wyglądając przez okno. – Zastanawiam się nad tym. Schudłaś, straciłaś rumieńce.

– Oczywiście, że jestem szczęśliwa. Kocham Manderley, kocham ogród, kocham wszystko tutaj. Wcale nie sprawia mi przykrości jeżdżenie z wizytami. Chciałam ci tylko dokuczyć. Jeśli chcesz, będę codziennie jeździć z wizytami. To mi obojętne. Nigdy, ani przez chwilę, nie żałowałam, że wyszłam za ciebie, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Pogłaskał mnie z roztargnieniem po policzku, pochylił się i pocałował w czubek głowy.

– Biedactwo, nie jest ci tutaj zbyt wesoło. Obawiam się, że jestem bardzo trudny do współżycia.

– Wcale nie jesteś trudny – powiedziałam skwapliwie. – Jesteś łatwy, nawet bardzo łatwy. O wiele łatwiejszy, niż przypuszczałam. Dawniej myślałam, że małżeństwo jest okropne, gdy na przykład mąż pije, używa ordynarnych słów, narzeka, jeśli grzanka nie jest dość krucha przy śniadaniu, lub jest w ogóle nieprzyjemny. Ty nie robisz nic takiego.

– Wielki Boże, mam nadzieję, że nie – powiedział Maxim, uśmiechając się.

Skorzystałam z tego uśmiechu, uśmiechnęłam się także i ucałowałam jego rękę.

– Jak możesz mówić, że nie jesteśmy dobrymi towarzyszami. Patrz, jak siedzimy tu co wieczór, ty z książką lub z gazetą, ja z moją robotą. Zupełnie jak starzy ludzie wiele lat po ślubie. Jesteśmy dobrymi towarzyszami. Jesteśmy szczęśliwi. Mówisz tak, jakbyś myślał, że popełniliśmy błąd. Chyba tak nie uważasz, Maximie? Chyba wiesz, że nasze małżeństwo jest udane, wyjątkowo udane?

– Jeśli tak uważasz, to dobrze.

– Ale czy ty też tak myślisz, kochanie? Nie tylko ja? Jesteśmy szczęśliwi, prawda? Bardzo szczęśliwi?

Maxim milczał. Nadal wyglądał przez okno, podczas gdy ja trzymałam go za rękę. Zaszło mi w gardle, w oczach piekły łzy. O Boże, pomyślałam, zupełnie jak aktorzy w sztuce. Za chwilę spadnie kurtyna, ukłonimy się widzom i udamy do garderoby.

Tak nie może się dziać naprawdę w naszym życiu. Usiadłam na kanapce i oswobodziłam jego ręce z uścisku. Usłyszałam swój ostry, zimny głos:

– Skoro uważasz, że nie jesteśmy szczęśliwi, byłoby lepiej, żebyś się do tego przyznał. Nie chcę, żebyś udawał. Wolę odejść i nie być z tobą więcej.

To nie mogło przecież dziać się naprawdę. To mówiła dziewczyna w sztuce, a nie ja do Maxima. Wyobrażałam sobie typ aktorki, która grałaby tę rolę. Wysoka, szczupła, nerwowa.

– Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Maxim ujął moją twarz w dłonie i spojrzał na mnie tak samo jak wtedy, gdy Frith wszedł do pokoju z podwieczorkiem tego dnia, kiedy poszliśmy na plażę.

– Czyż mogę odpowiedzieć? Sam nie znam odpowiedzi. Jeśli mówisz, że jesteśmy szczęśliwi, to niech tak będzie. Nie znam się na tym. Wierzę ci na słowo. Jesteśmy szczęśliwi. Zgoda, niech tak będzie!

Pocałował mnie i odszedł w drugi koniec pokoju. Siedziałam sztywna, bez ruchu, trzymając ręce na kolanach.

– Mówisz tak, bo się rozczarowałeś. Nie mam wyrobienia towarzyskiego, źle się ubieram, jestem nieśmiała wobec ludzi. Uprzedzałam cię w Monte Carlo, że tak będzie. Na pewno uważasz, że nie nadaję się do Manderley.

– Nie mów głupstw. Nigdy nie mówiłem, że źle się ubierasz i że nie masz wyrobienia. To twoja fantazja. A jeśli chodzi o nieśmiałość, zwalczysz ją z czasem. Już ci to nieraz mówiłem.

– Dyskutujemy w kółko to samo. Teraz zaczynamy od początku. A wszystko dlatego, że zbiłam amorka. Gdybym go nie zbiła, nie byłoby tej całej dyskusji. Wypilibyśmy kawę i poszli do ogrodu.

– Do diabła z tym przeklętym amorkiem! – powiedział Maxim znużonym głosem. – Chyba nie sądzisz, że mnie obchodzi, czy rozbił się w drobny mak, czy nie?

– Czy był bardzo wartościowy?

– Nie mam pojęcia. Chyba tak. Naprawdę zapomniałem.

– Czy wszystkie rzeczy w buduarze są cenne?

– Raczej tak.

– Dlaczego wszystkie najcenniejsze rzeczy zostały umieszczone w buduarze?

- Nie wiem. Pewnie dlatego, że dobrze tam wyglądały.
- Czy zawsze tam były? Jeszcze za życia twojej matki?
- Nie, były w różnych miejscach. Zdaje się, że krzesła znajdowały się w rupieciarni.
- Kiedy został urządzony buduar?
- Po moim ślubie.
- Pewnie wtedy postawiono tam amorka?
- Chyba tak.
- Czy on też pochodzi z rupieciarni?
- Nie. Zdaje mi się, że to był ślubny prezent. Rebeka знаła się doskonale na porcelanie.

Nie patrzyłam na Maxima. Zaczęłam polerować paznokcie. Maxim wymówił to słowo naturalnie i spokojnie, bez żadnego wysiłku. Po chwili zerknęłam na niego. Stał przy kominku, trzymając ręce w kieszeniach. Patrzył prosto przed siebie. Byłam pewna, że myśli o Rebecce. Myśli o tym dziwnym zbiegu okoliczności, że mój prezent ślubny był przyczyną zniszczenia prezentu ślubnego Rebeki. Myśli o amorku. Przypomina sobie, kto ofiarował go Rebecce. Przypomina sobie moment nadejścia paczki i radość Rebeki. „Ona znała się doskonale na porcelanie”. Może wszedł do pokoju, gdy ona, klęcząc na podłodze, otwierała skrzynkę, w której zapakowany był amorek. Na pewno spojrzała na Maxima z uśmiechem i powiedziała: „Zobacz, Max, co nam przysłano”. Potem wsunęła rękę w wiórki i wydobyła amorka stojącego na jednej nodze, z łukiem w ręku. „Postawimy go w buduarze” – powiedziała. Maxim uklęknął obok niej i razem przyglądali się prezentowi.

W dalszym ciągu polerowałam paznokcie. Były krótkie jak u uczniaka. Skórka zarastała półksiężycy. Paznokieć na dużym palcu obgryziony był niemal do ciała.

Spojrzałam znowu na Maxima. Nadal stał przed kominkiem.

– O czym myślisz? – spytałam głosem chłodnym i opanowanym, podczas gdy serce tłukło się jak szalone, a myśli wypełniała gorycz i żal.

Maxim zapalił papierosa, chyba już dwudziestego piątego, a dopiero skończyliśmy lunch. Rzucił zapalną do pustego kominka i wziął do ręki gazetę.

– O niczym specjalnie. Dlaczego pytasz?

– Bo miałeś taki poważny wyraz twarzy, byłeś daleko myślami.

Maxim z roztargnieniem gwizdał jakąś melodię, obracając w palcach papierosa.

– Zastanawiałem się, czy ustalono już skład drużyny Surrey przeciwko Middlesex na mecz, który rozegrany zostanie na stadionie Oval.

Usiadł w fotelu i złożył gazetę. Patrzyłam przez okno. Po chwili podszedł do mnie Jasper i wskoczył mi na kolana.

W końcu czerwca Maxim pojechał do Londynu na jakiś oficjalny bankiet. Bankiet bez kobiet. Chodziło o omówienie pewnych spraw związanych z hrabstwem. Zostałam sama. Jego wyjazd przeraził mnie. Gdy samochód zniknął mi z oczu za zakrętem, miałam wrażenie, że jest to nasze ostateczne rozstanie i że już nigdy nie zobaczę Maxima. Na pewno będzie jakiś wypadek i kiedy po południu wrócę ze spaceru, zobaczę bladego i przestraszonego Fritha oczekującego mnie ze złymi wiadomościami. Doktor zatelefonuje z jakiegoś wiejskiego szpitala i powie: „Musi pani być dzielna, proszę się przygotować na duży wstrząs”. Przyjdzie Frank i razem pojedziemy do szpitala. Maxim mnie nie pozna. Przeżywałam to wszystko, siedząc przy stole, w czasie lunchu. Widziałam tłum miejscowych ludzi wypełniający cmentarz podczas pogrzebu i siebie opartą o ramię Franka. Obraz ten był tak prawdziwy, że nie mogłam prawie nic przełknąć. Nasłuchiwałam przez cały czas, czy nie dzwoni telefon.

Po południu siedziałam pod kasztanem z książką na kolanach, ale nie mogłam czytać. Kiedy zobaczyłam Roberta zmierzającego w moim kierunku przez trawnik, byłam pewna, że niesie mi złą wiadomość. Zrobiło mi się słabo.

– Telefonowano z klubu, proszę pani, że pan de Winter przyjechał przed dziesięcioma minutami.

Zamknęłam książkę.

– Dziękuję, Robercie. Pan de Winter szybko dojechał.

– Tak, proszę pani. Bardzo szybko.

– Czy chciał mówić ze mną lub zostawił jakieś polecenie?

– Nie, proszę pani. Zawiadomiono tylko, że dojechał szczęśliwie. Telefonował portier z klubu.

– Dziękuję bardzo, Robercie.

Odczułam wielką ulgę. Słabość minęła. Ból zniknął. Miałam takie wrażenie, jakbym wylądowała po burzliwej przeprawie przez kanał La Manche. Poczułam głód. Gdy Robert wrócił do domu, zakradłam się do jadalni i wzięłam sześć biszkoptów z kredensu oraz jabłko. Byłam bardzo głodna. Poszłam do lasu i tam zjadłam moje zapasy. Bałam się, żeby ktoś ze służby nie zobaczył mnie przez okno, bo mógłby powiedzieć kucharzowi, że widocznie nie smakują mi jego potrawy, gdyż zajadam biszkopty i owoce po lunchu. Kucharz poczułby się dotknięty i mógłby pójść na skargę do pani Danvers.

Teraz gdy wiedziałam, że Maxim dojechał szczęśliwie do Londynu, a sama pokrzepiłam się biszkoptami, ogarnął mnie beztroski nastrój. Czułam się wolna, jakbym nie miała żadnych obowiązków. Tak jakby to była sobota za moich dziecinnych lat. Żadnych lekcji ani zadań domowych. Mogłam robić, co chciałam. Wkładałam starą spódnicę i sandaalki, i bawiłam się w berka z dziećmi sąsiadów.

Byłam w podobnym nastroju. Nie czułam się tak swobodnie przez cały czas mojego pobytu w Manderley. Widocznie przyczynił się do tego wyjazd Maxima.

Byłam zaskoczona swoim nastrojem. Nie rozumiałam tego. Wcale nie chciałam rozstawać się z Maximem. A teraz ta lekkość w sercu, sprężysty krok i to dziecinnie pragnienie pobiegania po trawniku i stoczenia się z górki. Otarłam okruszynki z ust i zawołałam Jaspera. A może czułam się dlatego tak bez troski, że dzień był niezwykle piękny...

Szłam Doliną Szczęścia do zatoczki. Azalie już przekwitły, przywiedle płatki zaścielały mech. Dzwonki tworzyły jeszcze błękitny dywan w lasach nad doliną, a młode pędy paproci odbijały się na tym tle jasną zielenią. Mocny zapach mchu mieszał się z gorzkawą wonią dzwonek. Położyłam się na trawie wśród kwiatów z rękami pod głową, Jasper usiadł obok. Ciężko dysząc, patrzył na mnie. Wyglądał głupio, gdy mu ślina kapiała z języka. Gołębie gruchały na drzewach. Było bardzo cicho i spokojnie. Zastanawiałam się, dlaczego wszystko wydaje się o tyle ładniejsze, gdy się jest samemu. Jakby to było głupio i pospolicie, gdyby teraz siedziała obok mnie jakaś znajoma, może koleżanka ze szkoły, która powiedziałaby: „Wiesz,

widziałam Hildę któregoś dnia. Pamiętasz ją zapewne, tak dobrze grała w tenisa. Wyszła za męża, ma dwoje dzieci”.

Nie widziałybyśmy dzwonek, nie słyszałybyśmy gruchania gołębi. Nie pragnęłam niczyjego towarzystwa, nawet towarzystwa Maxima. Gdyby Maxim był tutaj, nie leżałabym tak spokojnie z zamkniętymi oczami, gryząc źdźbło trawy. Obserwowałabym Maxima, jego oczy, wyraz twarzy. Zastanawiałabym się, czy jest zadowolony, czy też znudzony. Zastanawiałabym się, o czym myśli. Teraz mogłam się odprężyć. Maxim był w Londynie. Jak przyjemnie było być samej. Co za brzydka, paskudna myśl! Nie, to nieprawda! Maxim był moim życiem i całym światem.

Wstałam i przywołałam Jaspera. Poszliśmy w dół ścieżką ku zatoczce. Był odpływ. Morze wyglądało jak wielkie, spokojne jezioro. Nie mogłam go sobie wyobrazić wzburzonego, tak samo jak nie mogłam sobie wyobrazić zimy w lecie. Nie było wiatru. Promienie słońca odbijały się w małych zalewach wśród skał. Jasper od razu wdrapał się na głazy, oglądając się na mnie. Jedno ucho wywinęło mu się, przez co nabrał łobuzerskiego wyglądu.

– Chodź tu, Jasper!

Oczywiście nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Wdrapywał się szybko dalej, ani myśląc usłuchać.

– Jaki on jest nieznośny – powiedziałam głośno i zaczęłam wspinać się za nim, udając, że nie chcę iść do tamtej zatoczki.

No cóż, pomyślałam, nic na to nie poradzę. Zresztą jestem bez Maxima. A mnie to nie dotyczy. Brnęłam przez zalewy wśród skał, nucąc jakąś piosenkę. Zatoczka wyglądała inaczej podczas odpływu, mniej groźnie. W małym porcie było tylko ze trzy stopy wody. Zapewne łódź ledwie unosiła się na powierzchni przy najniższym poziomie wody. Boja kołysała się w tym samym miejscu. Nie zauważyłam przedtem, że była pomalowana na biało i zielono. Może kolory zlewały się w czasie deszczu. Plaża była pusta. Przeszłam przez pas żwiru na drugą stronę zatoczki i wdrapałam się na niski murek mola. Jasper biegł przede mną, tak jakby był do tego przyzwyczajony. W murze znajdowało się kółko i żelazna drabinka schodząca do wody. Tutaj przywiązywano dingi. Schodziło się do niej po drabince. Boja zakotwiczona była naprzeciwko, w odległości

około trzydziestu stóp. Dostrzegłam jakiś napis na boi. Przechyliłam głowę na bok, żeby odczytać litery. *Je reviens*. Co za dziwna nazwa. A może jacht był kiedyś francuską łodzią rybacką? Łodzie rybackie miały czasem takie dziwne nazwy, jak *Szczśliwy Powrót, Jestem Tutaj*.

Je reviens – powrócę. Tak, to dobra nazwa dla jachtu. Tylko nie była właściwa dla tego jachtu, który już nigdy nie powróci.

Chyba musi być zimno, gdy się wypłynie daleko na morze, poza latarnię morską na półwyspie. Morze dzisiaj było spokojne w zatoce, lecz nawet przy tej ciszy, hen tam, przy cyplu półwyspu woda pieniała się wzburzona silnym prądem odpływu.

Mały jacht mógłby się przechylić, gdy okrążał półwysep, wypływając z osłoniętej zatoczki. Fale mogłyby zalać jego pokład i wnętrze. Osoba przy sterze otarłaby krople wody z oczu i włosów, spjrzałaby na trzeszczący maszt. Zastanawiałam się, jakiego koloru był ten jacht. Może biało-zielony jak boja. Niezbyt duży, powiedział Frank, z małą kabiną.

Jasper węszył przy żelaznej drabince.

– Chodź stąd – powiedziałam – nie mam zamiaru skakać za tobą do wody.

Wróciłam po molu na brzeg. Domek u skraju lasu nie wydawał mi się taki ponury i opuszczony jak przedtem. W słońcu wszystko wyglądało inaczej.

Deszcz nie bębnił dziś o dach. Powoli szłam w kierunku domku. Przecież był to zwyczajny domek, w którym nikt nie mieszkał. Nie było czego się bać. Każdy budynek wydaje się ponury, jeśli jest przez dłuższy czas niezamieszkały. Nawet nowe wille. Kiedyś odbywały się tutaj pikniki przy świetle księżyca. Goście przyjeżdżający na weekend przychodzili tu i kąpali się w morzu lub żeglowali. Stałam przez chwilę, patrząc na zaniedbany ogródek zarośnięty pokrzywami. Któryś z ogrodników powinien go uporządkować. Dlaczego ma pozostawać w tym stanie? Pchnęłam furtkę i podeszłam do drzwi domku. Nie były zamknięte. Byłam pewna, że zamknęłam je wówczas, wychodząc, Jasper zaczął warczeć i węszyć przy drzwiach.

– Cicho bądź, Jasper! – powiedziałam.

Jasper węszył nadal, z nosem przytkniętym do progu. Pchnęłam drzwi i zajrzałam do środka. Było bardzo ciemno tak

jak przedtem. Nic się nie zmieniło. Pajęczyny nadal wisiały na takielunku modeli okrętów. Ale drzwi do składu w drugim końcu pokoju były otwarte. Jasper znowu zawarczał, a wtedy usłyszałam stuk spadającego przedmiotu. Pies zaczął szczekać z wściekłością i rzucił się w kierunku otwartych drzwi. Poszłam za nim z bijącym sercem, lecz zatrzymałam się na środku pokoju.

– Jasper, chodź tu, uspokój się! – krzyknęłam.

Pies zatrzymał się w drzwiach, nadal szczekając histerycznie. Coś musiało się więc dziać w składzie. Chyba nie szczur, bo Jasper skoczyłby za nim.

– Jasper, Jasper, chodź tutaj!

Nie usłuchał. Powoli podeszłam do drzwi.

– Czy jest tam ktoś? – spytałam.

Nikt nie odpowiadał. Pochyliłam się i schwyciłam psa za obrozę. Zajrzałam przez drzwi. Ktoś siedział skulony w rogu pod ścianą. Ktoś, kto był jeszcze bardziej przestraszony ode mnie. To był Ben. Usiłował ukryć się za jednym z żagli.

– Co tu się dzieje, czego tu szukacie? – spytałam.

Patrzył na mnie z otwartymi ustami, mrugając głupkowato.

– Ja nic złego nie robię – powiedział.

– Cicho, Jasper! – krzyknęłam, chwytając go za pysk. Zdjęłam pasek i przeciągnęłam przez obrozę, aby móc utrzymać psa.

– Czego tu szukacie, Ben? – spytałam, odzyskawszy odwagę. Nic nie odpowiedział. Przyglądał mi się swymi chytrymi oczkami wariata.

– Wyjdźcie stąd. Pan de Winter nie lubi, żeby się tutaj ktoś kręcił.

Wygramolił się ze swego kąta, uśmiechając się pod wąsem. Wierzchem dłoni otarł nos, drugą rękę trzymał schowaną za plecami.

– Co tam macie, Ben? – spytałam.

Posłusznie jak dziecko pokazał mi drugą rękę. Trzymał w niej linkę do wędki.

– Ja nie robię nic złego – powtórzył.

– Czy wzięliście stąd linkę?

– Ee?

– Słuchajcie, Ben, możecie sobie wziąć tę linkę, jeśli chcecie, ale żeby się to więcej nie powtórzyło. Nieuczciwie jest brać

cudze rzeczy.

Milczał, mrugając oczami i wiercąc się w miejscu.

– Chodźmy stąd – powiedziałam stanowczo i wyszłam ze składu. Ben szedł za mną. Jasper przestał szczekać i obwąchiwał buty Bena. Nie chciałam dłużej przebywać w tym domku. Szybko wyszłam do zalanego słońcem ogródka. Ben przywłókł się za mną. Wtedy zamknęłam drzwi.

– Idźcie teraz do domu – powiedziałam.

Przyciskał linkę do piersi, jakby to był największy skarb.

– Pani mnie nie wsadzi do domu wariatów? – spytał nagle.

Zauważyłam wtedy, że Ben trzęsie się ze strachu. Ręce mu drżały, a oczy wpatrywały się we mnie błagalnie – było to spojrzenie przerażonego zwierzęcia.

– Oczywiście, że nie – powiedziałam łagodnie.

– Ja nic złego nie zrobiłem – powtórzył. – Nigdy nic nikomu nie mówiłem. Ja nie chcę do domu wariatów.

Łza spłynęła mu po brudnym policzku.

– Nie martwcie się, Ben, nikt was tam nie wsadzi. Ale nie wchodźcie więcej do tego domku.

Odwróciłam się, a on podszedł do mnie i dotknął mojej ręki, mówiąc:

– Mam coś dla pani.

Uśmiechnął się głupkowato, kiwnął na mnie palcem i zawrócił na plażę. Poszłam za nim. Zatrzymał się przy skałach i podniósł płaski kamień, pod którym leżała kupka muszli. Wybrał jedną z nich i ofiarował mi ją, mówiąc:

– To dla pani.

– Dziękuję, jaka śliczna!

Uśmiechnął się znowu, pocierając ucho. Zapomniał o strachu.

– Pani ma oczy anioła.

Spojrzałam na muszlę zaskoczona. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Pani nie jest podobna do tamtej – stwierdził.

– O kim mówicie? Co za tamta? – spytałam.

Potrząsnął głową. Oczki jego nabrały znowu chytrego wyrazu. Przytknął palec do nosa.

– Ona była wysoka i czarna. Przypominała żmiję. Widziałem ją tutaj na własne oczy. Przychodziła wieczorami. Widziałem ją.

Przerwał, przyglądając mi się uważnie. Milczałam.

– Podglądałem ją raz przez okno – mówił dalej – a ona rozzłościła się na mnie. „Słuchajcie, Ben, powiedziała, nie widzieliście mnie tutaj nigdy i nie zobaczycie więcej. Jeśli was przyłapię jeszcze raz na podglądaniu mnie przez okno, wsadzę was do domu wariatów. Nie chcielibyście tego, co? W domu wariatów źle się obchodzą z ludźmi”, powiedziała. „Nic nie powiem, proszę pani”, obiecałem jej i dotknąłem czapki tak jak teraz.

Ben dotknął swego rybackiego kapelusza.

– Ona już nie wróci, prawda? – spytał z niepokojem.

– Nie wiem, o kim mówicie – powiedziałam powoli. – Nikt nie wsadzi was do domu wariatów. Do widzenia, Ben.

Odwróciłam się i poszłam plażą w kierunku ścieżki, ciągnąc za sobą Jaspera. Biedaczysko Ben był niewątpliwie pomyłony. Nie wiedział, co mówi. To bardzo nieprawdopodobne, żeby ktoś mu groził zamknięciem w domu wariatów. Maxim mówił, że jest niegroźny, to samo mówił Frank. Może Ben słyszał kiedyś, jak rozmawiano o nim w rodzinie, i wspomnienie to dręczyło go niczym koszmar prześladowający dziecko. Pewnie miał dziecienną umysłowość – mógł polubić kogoś bez żadnego powodu jednego dnia, okazywać mu życzliwość, a dąsać się nazajutrz. Polubił mnie, bo pozwoliłam mu zatrzymać linkę do wędk. Jeśli go spotkam jutro, może w ogóle mnie nie pozna. To bez sensu zwracać uwagę na słowa wariata.

Obejrzałam się na zatoczkę. Zaczynał się przypływ, woda przybierała powoli w porcie. Ben zniknął za skałami. Plaża była pusta. Poprzez gałęzie drzew dostrzegłam tylko komin domku. Opanowała mnie nagle niezrozumiała chęć ucieczki. Pociągnęłam Jaspera za smycz i pobiegłam wąską, stromą ścieżką w górę przez las, nie oglądając się więcej. Za żadne skarby świata nie zesłabym teraz do domku nad brzegiem morza. Wydawało mi się, że ktoś czeka na mnie w małym ogródku zarośniętym pokrzywami. Ktoś, kto patrzy i słucha.

Jasper czekał, gdy biegliśmy razem. Myślał pewnie, że to jakaś nowa zabawa. Usiłował gryźć i szarpać pasek. Nie zauważyłam przedtem, jak blisko siebie rosną tu drzewa. Korzenie przecinały ścieżkę niby szpony pragnące kogoś schwytać. To wszystko należy przetrzebić, pomyślałam, biegnąc i z trudem łapiąc oddech. Maxim powinien przysłać tu

ogrodników. Takie gęste zarośla nie są ani piękne, ani pożyteczne. Te krzewy trzeba ścinać, żeby ścieżka miała więcej światła. Jak tu ciemno, o wiele za ciemno! Ten ogołocoony z liści eukaliptus, zaduszony przez jeżyny, wygląda jak szkielet z bielejącymi kośćmi. Pod nim płynie strumień, zmierzając cicho ku morzu. Woda w nim wydaje się niemal czarna. Ptaki nie śpiewają tutaj, tak jak w dolinie. Panuje złowroga cisza. Biegając w górę po ścieżce, zadyszana, słyszałam szum przypływu. Zrozumiałam, dlaczego Maxim nie lubi tej ścieżki i zatoczki. Mnie też działała na nerwy. Zrobiłam głupstwo, idąc tędy. Trzeba było zostać na plaży z białym żwirem i wrócić przez Dolinę Szczęścia.

Z ulgą powitałam trawnik i dom stojący we wgłębieniu, który zapewniał bezpieczne schronienie. Las pozostał za mną. Poproszę Roberta, żeby mi podał podwieczorek pod kasztanem. Spojrzałam na zegarek. Było wcześniej, niż przypuszczałam, kilka minut przed czwartą. Trzeba będzie trochę poczekać. W Manderley podwieczorek podawano zawsze o wpół do piątej. Byłam zadowolona, że Frith ma wolne popołudnie. Robert nie będzie robił takiej ceremonii, podając herbatę w ogrodzie. Idąc przez trawnik w kierunku tarasu, dostrzegłam na zakręcie alei, poprzez zielen liści rododendronów, coś metalowego, błyszczącego w słońcu. Osłoniłam oczy, żeby zobaczyć, co to jest. Wyglądało jak przód samochodu. Może przyjechali jacyś goście. Ale zajechaliby wówczas przed dom, a nie zostawiliby samochodu w ukryciu za krzewami, na zakręcie alei. Podeszłam bliżej. Tak, to był samochód. Widziałam teraz błotniki i maskę. To dziwne. Goście nigdy się tutaj nie zatrzymywali, a dostawcy zajeżdżali od tyłu, drogą wiodącą obok starej stajni i garażu. To nie był Morris Franka, jego wóz znałam dobrze. Był to długi, niski samochód typu sportowego. Zastanawiałam się, co mam zrobić. Jeśli to goście, Robert zaprowadziłby ich do biblioteki lub do salonu. Z salonu mogliby mnie zobaczyć. Nie chciałam się pokazać w takim stroju. Będę musiała zaprosić ich na podwieczorek. Przystanąłam na skraju trawnika. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że słońce błysnęło w szybie, spojrzałam na dom. Zobaczyłam ze zdziwieniem, że okiennice jednego z okien w zachodnim skrzydle były otwarte. Ktoś stał przy tym oknie. Jakiś mężczyzna. Musiał mnie dostrzec, bo cofnął się

gwałtownie, a jakaś postać wyciągnęła rękę i zamknęła okiennice.

To była ręka pani Danvers. Spostrzegłam czarny rękaw. Zastanawiałam się, czy to dzień zwiedzania i czy ona oprowadza po pokojach. To się jednak nie zgadzało, bo zawsze robił to Frith, a Fritha dziś nie było. Ponadto pokoi w zachodnim skrzydle nie pokazywano publiczności. Nawet ja ich dotychczas nie widziałam. Nie, to nie był dzień dla zwiedzających. Nigdy nie przychodzili we wtorek. Może naprawiano coś w tym pokoju. Dziwne, dlaczego ten mężczyzna, ujrawszy mnie, cofnął się tak gwałtownie i dlaczego zamknięto okiennice. I co to za samochód ukryty za rododendronami, tak żeby go nie było widać z domu? Cóż, to sprawa pani Danvers. Jeśli oprowadzała kogoś ze swoich znajomych po zachodnim skrzydle, to właściwie nie moja rzecz. Co prawda nigdy przedtem tego nie robiła. Dziwne, że wydarzyło się to właśnie tego dnia, kiedy Maxim był nieobecny.

Szłam powoli przez trawnik w kierunku domu, zdając sobie sprawę, że oni mogą obserwować mnie nadal przez szparę w okiennicach.

Weszłam po schodach przez wielkie drzwi frontowe do holu. Nie było tam żadnej obcej czapki, laski ani też wizytówki na tacy. Widocznie to nie był oficjalny gość. Cóż, to nie moja sprawa. Poszłam do składziku i tam umyłam ręce, żeby nie wchodzić na górę. Wolałam uniknąć spotkania na schodach czy w korytarzu.

Przypomniałam sobie, że przed lunchem zostawiłam robotę na drutach w buduarze, więc poszłam po nią przez duży salon. Wierny Jasper dreptał mi po piętach. Drzwi do buduaru były otwarte. Zauważyłam, że ktoś ruszał moją robótkę. Zostawiłam ją na kanapie, a teraz wsadzono ją za poduszkę. Widać było wgłębienie na kanapie, gdzie przedtem leżały druty. Ktoś musiał tu siedzieć przed chwilą. Odłożył je, bo mu przeszkadzały. Krzesło przy sekretarze również było przesunięte. Widocznie pani Danvers przyjmowała w buduarze swoich gości, korzystając z naszej nieobecności. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Wolałabym o tym nie wiedzieć. Jasper obwąchiwał kanapę, machając ogonem. Widocznie nie żywił wrogich uczuć w stosunku do przybysza. Wzięłam robotę i wyszłam z pokoju. W tym momencie otworzyły się w salonie drzwi wiodące do

części gospodarczej domu. Usłyszałam głosy. Ledwie zdążyłam cofnąć się do buduaru. Nie zauważono mnie. Schowałam się za drzwiami, patrząc groźnie na Jaspera, który stał na progu z wywieszonym językiem, wpatrując się we mnie i machając ogonem. Ten nicpoń mnie wyda. Stałam bez ruchu, wstrzymując oddech.

Po chwili usłyszałam głos pani Danvers:

– Pewnie poszła do biblioteki. Nie wiadomo, dlaczego wróciła wcześniej. Jeśli jest w bibliotece, będzie pan mógł przejść przez hol niepostrzeżenie. Proszę tu poczekać, a ja sprawdzę, czy droga wolna.

Wiedziałam, że mówią o mnie. Byłam w wyjątkowo przykrew sytuacji. Co za tajemnicza sprawa! Nie chciałam przyłapać pani Danvers na gorącym uczynku.

Nagle Jasper odwrócił łeb w stronę salonu i wybiegł, machając ogonem.

– Jak się masz, kundelku – odezwał się nieznajomy.

Jasper zaczął szczekać radośnie. Rozejrzałam się, rozpaczliwie szukając jakiejś kryjówki. Ale jej nie znalazłam. Usłyszałam z bliska kroki i nieznajomy wszedł do pokoju. Nie zauważył mnie od razu, bo stałam za drzwiami, lecz Jasper rzucił się na mnie, nadal szczeakając wesoło.

Nieznajomy odwrócił się gwałtownie i zobaczył mnie. Nigdy nie widziałam kogoś równie zdumionego. Tak jakbym ja była złodziejem, a on panem domu.

– Przepraszam panią – powiedział, oglądając mnie od stóp do głów.

Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna. Przystojna twarz przyciągała wzrok dzięki opaleniznie. Niebieskie, przekrwione oczy świadczyły o nadużywaniu alkoholu i rozwiązłym trybie życia. Włosy miał rudawe, podobnie jak i cerę. Za kilka lat roztyje się i będzie miał fałdy tłuszczu na karku. Usta zdradzały jego charakter – były zbyt mięsiste, zbyt różowe. Dolatywał mnie zapach whisky w jego oddechu. Uśmiechnął się. Tak się uśmiecha do każdej kobiety.

– Mam nadzieję, że nie przestraszyłam pani.

Wyszłam z za drzwi. Musiałam mieć chyba bardzo głupi wyraz twarzy, bo też czułam się bardzo głupio.

– Nie, wcale nie. Usłyszałam głosy i nie byłam pewna, kto to może być. Nie spodziewałam się dziś nikogo.

– Jakże mi przykro – powiedział przymilnym tonem – że zaskoczyłem panią w ten sposób. Proszę mi wybaczyć. Właściwie wpadłem odwiedzić Danny, którą znam od bardzo dawna.

– Ależ naturalnie, nie ma o czym mówić.

– Kochana Danny, ona nigdy nie chce sprawiać nikomu kłopotu. Nie chciała pani niepokoić.

– Ach, to nie ma żadnego znaczenia – powiedziałam, patrząc na Jaspera, który skakał z zachwytem na nieznanego.

– Ten łobuz nie zapomniał mnie jeszcze. Wyrósł na ładnego psa. Był całkiem mały, gdy widziałem go po raz ostatni. Ale jest za gruby, powinien mieć więcej ruchu.

– Właśnie byłem z nim na długim spacerze.

– Naprawdę? To bardzo dzielnie z pani strony.

Głaskał Jaspera i uśmiechał się do mnie poufale. Po chwili wyciągnął papierośnicę.

– Zapali pani? – spytał.

– Ja nie palę.

– Naprawdę? – Wziął papierosa i zapalił.

Zdziwiło mnie, że pali w moim pokoju. To chyba było niegrzecznie wobec mnie.

– Jak się miewa Max? – spytał.

Zaskoczył mnie jego ton. Wydawało się, że przybysz dobrze zna Maxima. Dziwne, że go nazwał Maxem. Nikt go tak nie nazywa.

– Dziękuję, doskonale. Wyjechał do Londynu.

– I zostawił młodą żonę samą? A to bardzo źle. Czy on się nie boi, że ktoś panią porwie?

Roześmiał się, szeroko otwierając usta. Nie podobał mi się jego śmiech. Miał w sobie coś obraźliwego. I w ogóle nie podobał mi się ten nieznanomy i sposób jego bycia.

W tym momencie do pokoju weszła pani Danvers. Spojrzała na mnie tak, że zrobiło mi się zimno. O Boże, pomyślałam, jak ona mnie musi nienawidzić.

– A, Danny – powiedział przybysz – wszystkie pani wysiłki poszły na marne. Pani domu ukrywała się za drzwiami. – Roześmiał się znowu.

Pani Danvers milczała, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Proszę mnie przedstawić, Danny, przecież należy złożyć wizytę młodej mężatce, prawda?

– To jest pan Favell, proszę pani – powiedziała pani Danvers cicho, jakby niechętnie. Myślę, że nie chciała mi go przedstawiać.

– Bardzo mi miło – powiedziałam i dodałam z wysiłkiem: – Może pan zostanie na herbatę?

Wyglądał na mocno ubawionego.

– Co za czarująca propozycja! – zwrócił się do pani Danvers. – Zostałem zaproszony na herbatę. Na Boga, Danny, mam ochotę skorzystać z zaproszenia.

Zauważyłam, że rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Czułam się nieswojo. Nie powinnam była znaleźć się w tak niewłaściwej sytuacji.

– No, może ma pani rację, Danny – powiedział – ale to byłoby bardzo zabawne mimo wszystko. Lepiej, żebym sobie pojechał, prawda? Proszę zobaczyć mój wóz. – Mówił nadal poufałym tonem.

Nie chciałam oglądać jego samochodu. Byłam zmieszana i zakłopotana.

– No, proszę zobaczyć – nalegał. – To dobry wóz. Biedny Max nigdy nie miał tak szybkiego samochodu.

Nie mogłam znaleźć wymówki. Cała sytuacja była taka sztuczna i głupia. Nie podobało mi się to wszystko. I dlaczego pani Danvers wpatruje się we mnie z taką złością?

– Gdzie jest samochód? – spytałam.

– Za zakrętem alei. Nie podjechałem pod drzwi, bo nie chciałem pani niepokoić. Myślałem, że może pani odpoczywa po południu.

Milczałam. Kłamstwo było zbyt oczywiste. Przeszliśmy przez salon do holu. Zauważyłam, że Favell odwrócił się i mrugnął do pani Danvers. Nie odpowiedziała mu mrugnięciem. Miała zacięty, ponury wyraz twarzy. Jasper wybiegł w podskokach na taras. Był zachwycony nagłym zjawieniem się Favella. Z pewnością musiał go dobrze znać.

– Zdaje się, że zostawiłem czapkę w samochodzie – powiedział Favell, udając, że rozgląda się po holu. – Co prawda

nie wchodziłem tędy. Zakradłem się dokoła i zaskoczyłem Danny w jej kryjówce. Wyjdzie pani z nami?

Spojrzał pytająco na panią Danvers. Zawahała się, obserwując mnie kątem oka.

– Nie – powiedziała – teraz nie wyjdę. Do widzenia panu, Jack.

Favell uściśnął serdecznie jej rękę.

– Do widzenia, Danny, proszę uważać na siebie. Pani wie, jak się ze mną można porozumieć. Tak przyjemnie było zobaczyć się z panią.

Wyszedł z domu, Jasper kręcił się koło jego nóg. Szłam za nim powoli, nadal bardzo zakłopotana.

– Kochane Manderley – powiedział, patrząc w okna – niewiele się zmieniło. Przypuszczam, że to zasługa Danny. Co za nadzwyczajna kobieta, prawda?

– Tak, bardzo energiczna.

– A jak się pani tutaj podoba? Nie czuje się pani odcięta od świata i ludzi?

– Bardzo lubię Manderley – powiedziałam sztywno.

– Pani, zdaje się, mieszkała gdzieś na południu Francji, i tam poznała pani Maxa? W Monte Carlo, prawda? Znam dobrze Monte Carlo.

– Tak, mieszkałam tam.

Doszliśmy do samochodu. Był to jaskrawozielony, sportowy wóz, pasujący do właściciela.

– Jak się pani podoba?

– Bardzo ładny – powiedziałam przez grzecność.

– Może przejedzie się pani do bramy wjazdowej?

– Nie, dziękuję. Jestem zmęczona.

– Pani na Manderley nie uchodzi pokazywać się z takim osobnikiem jak ja, prawda? – powiedział, śmiejąc się i potrząsając głową.

– O nie – zaprzeczyłam, czerwieniąc się – skąd znowu.

Obrzucił mnie ubawionym spojrzeniem swoich nieprzyjemnych, niebieskich oczu. Czułam się jak dziewczyna usługująca w barze.

– Trudno, nie powinniśmy porywać młodej mężatki, prawda, Jasper? To byłoby wysoce niewłaściwe.

Sięgnął po czapkę i ogromne rękawice. Rzucił papierosa na ziemię.

– Do widzenia – powiedział, wyciągając rękę. – Bardzo miło było poznać panią.

– Do widzenia.

– Jeszcze jedno – rzucił niedbale. – Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani nie wspominała Maxowi o mojej wizycie. On nie ceni mnie zbyt, nie wiem dlaczego. Biedna Danny mogłaby mieć nieprzyjemności z tego powodu.

– Dobrze – powiedziałam zmieszana – nie powiem.

– To bardzo ładnie z pani strony. A może pani zmieni zdanie i przejedzie się ze mną?

– Nie, dziękuję.

– No to do widzenia. Może wpadnę kiedyś panią odwiedzić. Złaź, Jasper, ty diable, podrapiesz mi lakier. Bardzo brzydko ze strony Maxa, że zostawił panią samą.

– Lubię być sama, to mi nie przeszkadza.

– Naprawdę? Bardzo dziwne. Tak nie powinno być, to wbrew naturze. Jak dawno jesteście po ślubie? Trzy miesiące?

– Coś koło tego.

– Chciałbym mieć taką młodą żonę czekającą na mnie w domu! Jestem biednym, samotnym kawalerem.

Roześmiał się znowu i nasunął czapkę na oczy.

– Życzę powodzenia – powiedział, uruchamiając silnik.

Po chwili samochód pędził po alei z rykiem otwartego tłumika. Jasper patrzył w ślad za nim, uszy miał żałośnie stulone, ogon podwinięty pod siebie.

– Och, Jasper, nie bądź głupi!

Wolnym krokiem poszłam w kierunku domu. Pani Danvers gdzieś zniknęła. Zatrzymałam się w holu i zadzwoniłam na służbę. Przez kilka minut nikt się nie pojawiał. Zadzwoniłam ponownie. Po chwili przyszła Alice. Wyglądała na zaniepokojoną.

– Słucham panią.

– Alice, gdzie jest Robert? Mam ochotę zjeść podwieczorek pod kasztanem.

– Robert pojechał na pocztę i jeszcze nie wrócił, proszę pani. Pani Danvers powiedziała mu, że pani przyjdzie później na podwieczorek. Frith ma wolne popołudnie. Jeśli pani sobie

życzy, to ja zaraz podam herbatę. Ale chyba jeszcze nie ma wpół do piątej.

– Nie trzeba, Alice, poczekam, aż Robert wróci.

Jak Maxim jest poza domem, widocznie dyscyplina się rozprzęga. Nigdy przedtem Frith i Robert nie wychodzili jednocześnie. Frith ma wolny dzień, a pani Danvers wysłała Roberta na pocztę, przypuszczając, że wyszłam na dłuższy spacer. Ten Favell dobrze sobie wybrał porę na odwiedzin. Aż za dobrze. Coś tu jest z pewnością nie w porządku. Co więcej, prosił, żebym nie wspominała o jego bytności Maximowi. Nieprzyjemna historia. Nie chciałam narazić pani Danvers na przykrości lub robić jej jakichś wymówek. A co ważniejsze, nie chciałam martwić Maxima.

Zastanawiałam się, kim jest ten Favell. Nazywał Maxima „Max”. Nikt go tak nie nazywał. Raz widziałam ten skrót na stronie tytułowej książki. Pochyłe, cienkie litery, dziwnie zaostrome, ogonek litery „M” zamasyście wydłużony. Myślałam, że tylko jedna jedyna osoba nazywała go Maxem...

Gdy tak stałam w holu i zastanawiałam się, co dalej robić, przyszło mi nagle do głowy, że może pani Danvers była nieuczciwa. Może knuła coś za plecami Maxima, a ja, wróciwszy wcześniej, przyłapałam ją wraz z jej współnikiem. Ten Favell wymknął się chytrze, udając, że zna Maxima. Zastanowiło mnie, co oni robili w zachodnim skrzydle. Dlaczego zamknęli okiennice, kiedy zobaczyli mnie w ogrodzie? Ogarnął mnie niepokój. Fritha i Roberta nie było. Pokojówki siedziały zwykle po południu w swoich sypialniach. Pani Danvers miała całkowitą swobodę w domu. A nuż ten człowiek to złodziej, a pani Danvers jest na jego usługach. W zachodnim skrzydle znajdowały się cenne rzeczy. Opanowała mnie nagle chęć, żeby się zakraść do zachodniego skrzydła i zobaczyć, co się tam dzieje.

Robert jeszcze nie wrócił. Zdążę tam pójść przed podwieczorkiem. Zawahałam się. Spojrzałam na krużganek. W domu było cicho i spokojnie. Służba znajdowała się w swoich pokojach za kuchnią. Jasper głośno chleptał wodę ze swojej miseczki stojącej pod schodami. Odgłos ten rozbrzmiewał echem w wielkim holu. Zaczęłam wchodzić na górę. Serce biło mi gwałtownie z podniecenia.

Znalazłam się w korytarzu, do którego zawędrowałam pierwszego ranka po moim przyjeździe. Nie byłam tu od tego czasu, nie miałam ochoty tu przychodzić. Słońce wpadało przez okno w niszy, tworząc złote desenie na ciemnej boazerii.

Panowała cisza. Poczułam ten sam zapach stęchlizny co przedtem. Nie wiedziałam, w jakie drzwi wejść. Nagle przypomniałam sobie, że pani Danvers ukazała mi się wówczas w drzwiach, przed którymi właśnie stałam. Miałam wrażenie, że jest to właśnie ten pokój, który chcę zobaczyć. Pokój, którego okna wychodzą na morze. Nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Było ciemno wskutek zamkniętych okiennic. Poszukałam kontaktu i zapaliłam światło. Stałam w małym przedpokoju, zapewne w ubieralni z wielkimi szafami przy ścianach. W końcu ubieralni znajdowały się otwarte drzwi prowadzące do większego pokoju. Udałam się tam i zapaliłam światło. Pierwsze wrażenie było wstrząsające, gdyż pokój był urządzony tak, jakby w nim ktoś mieszkał.

Oczekiwałam, że zarówno krzesła i stoły, jak i wielkie, podwójne łóżko stojące pod ścianą przykryte będą pokrowcami. Nic podobnego. Na toaletce leżały szczotki i grzebień, stały perfumy i puder. Łóżko było posłane, dostrzegłam śnieżnobiałe płótno powłoczki i rozek kołdry pod puchową ozdobną pierzynką. Kwiaty stały na toaletce, na stoliku przy łóżku oraz na rzeźbionym obramowaniu kominka. Jedwabny szlafrok leżał na krześle, a pod nim stały ranne pantofelki. Przez chwilę myślałam, że jakimś dziwnym sposobem cofnęłam się w przeszłość i widzę ten pokój w takim stanie, w jakim był przed śmiercią Rebeki... Zaraz tu wejdzie, usiądzie przed lustrem, nucąc jakąś melodię, sięgnie po grzebień i zacznie czesać włosy.

Gdyby tam siedziała, widziałabym jej odbicie w lustrze, a ona zobaczyłaby mnie stojącą w drzwiach. Stałam, czekając, że coś się wydarzy, ale nic się nie wydarzyło. Cykanie zegara wiszącego na ścianie przywróciło mnie do rzeczywistości. Wskazywał dwadzieścia pięć minut po czwartej. Mój zegarek wskazywał tę samą godzinę. Cykanie zegara dodawało otuchy. Wkrótce podadzą mi herbatę w ogrodzie. Powoli skierowałam się na środek pokoju. Nie, nie był zamieszkały. Nawet kwiaty nie mogły zagłuszyć tego zapachu stęchlizny. Kotary były zasunięte, okiennice zamknięte. Rebeka nigdy nie wróci do tego pokoju. Nawet fakt, że pani Danvers ustawiała tam kwiaty i słała łóżko, nie przywróci Rebecce życia. Ona nie żyje. Nie żyje już od roku. Jest pochowana w krypcie kościoła obok innych zmarłych de Winterów.

Słysząc tu było wyraźnie szum morza. Podeszłam do okna i uchyliłam okiennice. Tak, stałam przy tym samym oknie, przy którym stali Favell i pani Danvers przed półgodziną. W paśmie wpadającego światła dziennego światło elektryczne wydawało się sztuczne, żółte. Otworzyłam szerzej okiennice. Biały promień padł na łóżko, oświetlając szaszetkę z koszulą nocną leżącą na poduszce, zaśnił na szkle pokrywającym toaletkę, na szczotkach i na butelkach z perfumami.

Światło dzienne nadawało pokojowi bardziej rzeczywisty, realny charakter. Przy zamkniętych okiennicach i w świetle elektrycznym pokój przypominał dekorację sceniczną, jakby między jednym a drugim przedstawieniem. Kurtyna zapadła po ostatnim akcie dzisiaj i oto ustawiono już dekorację do pierwszego aktu na jutrzejszy poranek. Światło dzienne ożywiało pokój. Zapomniałam o zapachu stęchlizny i zaciągniętych zasłonach na pozostałych oknach. Poczułam się znowu gościem, nieproszonym gościem. Weszłam do sypialni pani domu przez pomyłkę. Oto jej szczotki na toaletce, oto jej szlafrok na krześle i ranne pantofelki.

Uświadomiłam sobie, po raz pierwszy, od kiedy weszłam do tego pokoju, że nogi uginają się pode mną. Usiadłam na taborecie przed toaletką. Serce nie biło już tak mocno, ale ciążyło mi jak ołów. Rozglądałam się dokoła w otępieniu. Tak, to był piękny pokój. Pani Danvers nie przesadziła, opisując go tego pierwszego wieczoru. To był najpiękniejszy pokój w całym

domu. To wspaniałe obramowanie kominka, sufit, rzeźbione łóżko i zasłony, nawet zegar na ścianie i kandelabry na toaletce – te wszystkie rzeczy kochałabym, a nawet uwielbiałabym, gdyby były moje. Ale nie były moją własnością, należały do kogoś innego. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam szczotek. Jedna z nich była bardziej zniszczona. Rozumiałam to dobrze, zawsze używało się częściej jednej szczotki i zapominało o drugiej, a gdy się je myło, jedna była zupełnie czysta.

Jak blado i mizernie wyglądała w lustrze moja twarz z tymi prosto spadającymi włosami! Czy ja zawsze tak wyglądałam? Chyba zwykle mam więcej rumieńców? Wpatrywałam się w odbicie swojej twarzy, bezbarwnej i niepociągającej. Wstałam z taboretu, podeszłam do krzesła i dotknęłam szlafroka. Podniosłam ranne pantofelki i trzymałam je przez chwilę w rękach. Ogarniało mnie coraz silniejsze uczucie przerażenia, które przeradzało się w rozpacz. Dotknęłam jedwabnej pierzynki na łóżku, wodziłam palcami po monogramie wyhaftowanym na saszetce. Litera „R de W”, splecione ze sobą, uwypuklały się mocno na złotym jedwabiu. W saszetce znajdowała się morelowa koszula nocna, cienka jak pajęczyna. Dotknęłam jej ręką, wyciągnęłam z saszetki i przyłożyłam do twarzy. Była zimna, bardzo zimna. Ale pomimo lekkiego odoru stęchlizny poczułam jeszcze nikły zapach perfum, zapach białej azalii. Składając koszulę, spostrzegłam, że jest pognieciona. Serce ścisnęło mi się boleśnie. Nikt jej nie dotknął, od kiedy Rebeka miała ją na sobie po raz ostatni. Włożyłam koszulę z powrotem do saszetki.

Pod wpływem nagłego impulsu poszłam do małego przedpokoju, w którym stały szafy. Otworzyłam jedną z nich. Nie omyliłam się, szafa była pełna sukien. Wisiały tu toalety balowe. Dostrzegłam połysk srebrzystego materiału przez otwór białego pokrowca chroniącego suknię. Obok lśnił złoty brokat, dalej miękkie aksamit w kolorze wina. Tren z białego jedwabiu opadał na dno szafy. Wachlarz ze strusich piór, zawinięty w bibułkę, leżał na półce.

Z szafy unosił się dziwny, duszący zapach. Zapach azalii, tak delikatny i przyjemny na dworze, w szafie stracił swą świeżość, ale przenikał wszystkie suknie. Czułam, jak bije we mnie falami. Zamknęłam drzwi szafy.

Wróciłam znowu do sypialni. Pasma światła wpadające przez uchylone okiennice lśniło na złotej pierzynie i wyraźnie uwypuklało duże, pochyle „R” monogramu.

Nagle usłyszałam za sobą kroki. Odwróciwszy się, zobaczyłam panią Danvers. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy – był triumfujący, pełen złości i niezdrowego podniecenia. Ogarnął mnie strach.

– Czy coś się stało, proszę pani? – spytała.

Starłam się uśmiechnąć i nie mogłam. Próbowałam coś powiedzieć.

– Czy pani źle się czuje? – spytała cicho, podchodząc bliżej.

Cofnęłam się przed nią. Z pewnością zemdlałabym, gdyby podeszła jeszcze bliżej. Czułam jej oddech na twarzy.

– Nic mi nie jest – powiedziałam po chwili. – Nie spodziewałam się pani. Chodzi o to, że z ogrodu spojrzałam na okna i zauważyłam, że okiennice jednego z nich były uchylone. Chciałam je zamknąć.

– Ja zamknę – powiedziała, podeszła cicho do okna i zatrzasnęła okiennice. Światło dzienne zniknęło. W sztucznym, żółtym świetle pokój znów stał się nierealny. Nierealny i upiorny.

Pani Danvers zbliżyła się do mnie z uśmiechem. Nagle przestała być sztywna i zamknięta w sobie. Zaczęła mówić tonem poufałym, niemal uniżonym:

– Dlaczego pani powiedziała, że okiennice były otwarte? Zamknęłam je, zanim wyszłam z pokoju. Przecież pani otworzyła je sama, prawda? Chciała pani zobaczyć ten pokój. Dlaczego nie zażądała pani, żebym go pokazała? Chętnie bym to zrobiła, w każdej chwili, wystarczyło tylko tego zażądać.

Chciałam uciec, ale nie mogłam się ruszyć, nie mogłam oderwać od niej oczu.

– Skoro pani już tu jest, chcę pani wszystko pokazać – powiedziała przymilnym głosem, słodkim jak miód, a zarazem przerażająco fałszywym. – Ja wiem, że pani chciała to wszystko zobaczyć, i to już od dawna, ale nie miała pani odwagi mi o tym powiedzieć. To piękny pokój, prawda? Najpiękniejszy, jaki pani dotychczas widziała.

Wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do łóżka. Nie mogłam się jej przeciwstawić, byłam potulna jak baranek. Wstrząsnęłam

się, gdy mnie dotknęła. Głos jej był cichy, poufały – głos, którego się bałam i którego nienawidziłam.

– To było jej łóżko. Piękne, prawda? Przykrywam je zawsze tą jej ulubioną złotą pierzynką. A tu koszula nocna w saszetce. Pani ją oglądała, prawda? To była koszula, którą włożyła po raz ostatni przed śmiercią. Czy chciałaby pani jeszcze raz jej dotknąć?

Wyjęła koszulę z saszetki i rozłożyła przede mną.

– Proszę jej dotknąć, wziąć do ręki, jaka lekka i delikatna, prawda? Nie prałam jej od dnia, w którym moja pani miała ją na sobie po raz ostatni. Przygotowałam koszulę, szlafrok i pantofelki, tak jak tej nocy, po której ona nigdy nie wróciła, tej nocy, podczas której utonęła.

Włożyła koszulę z powrotem do saszetki.

– Robiłam dla niej wszystko – powiedziała, biorąc mnie znowu pod ramię i prowadząc do krzesła ze szlafrokiem. – Zmieniałyśmy garderobiane jedną po drugiej, ale żadna się nie nadawała. „Ty mi usługujesz najlepiej, Danny, mawiała moja pani. Nie chcę nikogo, tylko ciebie”. Proszę spojrzeć, to jej szlafrok. Była znacznie wyższa od pani, widać po długości. Proszę go przyłożyć. Sięga pani do kostek. Ona miała wspaniałą figurę. A to są jej pantofelki. „Rzuć mi pantofle, Danny”, mówiła zwykle. W stosunku do wzrostu miała małe stopy. Proszę włożyć rękę do pantofelka. Jest bardzo mały i wąski, prawda?

Wsadziła mi siłą pantofelek na rękę, ciągle uśmiechając się i nie spuszczać ze mnie oczu.

– Nigdy by się nikt nie domyślił, że była taka wysoka. Pantofle te pasowałyby na bardzo małą nóżkę. I taka była smukła. Nie robiła wrażenia wysokiej, choć dorównywała mi wzrostem. Ale w łóżku wyglądała tak drobniutko. Bujne czarne włosy otaczały aureolą jej twarz.

Postawiła pantofelki na podłodze i położyła szlafrok na krześle.

– Widziała pani jej szczotki? – spytała, prowadząc mnie do toaletki. – Oto są nietknięte i niemyte od chwili, gdy ich używała. Szczotkowałam jej włosy co wieczór. „Chodź, Danny, popracuj nad włosami”, mawiała, a ja stawałam za tym taboretom i szczotkowałam przez dwadzieścia minut. Dopiero od kilku lat nosiła krótkie włosy. Gdy wyszła za męża, sięgały jej niżej pasa.

Pan de Winter sam je wówczas szczotkował. Często, wchodząc do pokoju, widziałam go bez marynarki, z dwiema szczotkami w rękach. „Mocniej, Max, mocniej”, mówiła, śmiejąc się do niego, a on spełniał jej życzenie. Bywało tak, gdy przebierali się do obiadu, a dom był pełen gości. „Proszę mnie zastąpić, bo nie zdążę się przebrać”, mówił pan de Winter, rzucając mi szczotki i śmiejąc się do żony. W tamtych czasach był zawsze roześmiany i wesoły.

Przerwała na chwilę, nadal trzymając mnie pod rękę.

– Wszyscy gniewali się na nią, gdy obcięła włosy – ciągnęła – ale ona się tym nie przejmowała. „To jest wyłącznie moja sprawa”, mówiła. Oczywiście krótkie włosy są o wiele wygodniejsze przy jeździe konnej i żeglowaniu. Pewien słynny malarz namalował jej portret na koniu. Obraz ten wisiał w Akademii. Czy pani go widziała?

Potrząsnęłam głową.

– Nie – powiedziałam – nie widziałam.

– Słyszałam, że był to najlepszy obraz wystawiony w owym roku, ale pan de Winter nie lubił go i nie chciał, żeby wisiał w Manderley. Pewnie uważał, że nie oddaje w pełni jej urody. Pani chciałaby zobaczyć jej suknie, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, zaprowadziła mnie do małego przedpokoju i otworzyła po kolei wszystkie szafy.

– Tutaj trzymam jej futra, mole nie dostały się jeszcze do nich i sądzę, że nigdy się nie dostaną, dbam o to. Proszę dotknąć tej peleryny z soboli. Był to prezent gwiazdkowy od pana de Wintera. Kiedyś powiedziała mi, ile te sobole kosztowały, ale już teraz nie pamiętam. To futro z szynszyli wkładała przeważnie wieczorami. Bardzo często zarzucała je na ramiona w chłodne wieczory. W tej szafie pełno balowych sukien. Pani otwierała ją, prawda? Nie jest całkiem zamknięta. Zdaje się, że pan de Winter lubił moją panią najbardziej w srebrzystych sukniach. Ale ona mogła nosić wszystko, w każdym kolorze było jej do twarzy. Wyglądała pięknie w tej toalecie z aksamitu. Proszę przyłożyć ją do twarzy. Prawda, jaka miękka? Czuje pani? Zapach perfum jeszcze nie wywietrzał. Można sobie wyobrazić, że dopiero co zdjęła tę suknię. Zawsze wiedziałam, że ona była w pokoju przede mną, pozostawał tam zapach jej perfum. W tej szufladzie leży jej bielizna. Tego różowego kompletu jeszcze nie wkładała.

Miała na sobie spodnie i sportową koszulę, gdy utonęła. Ale morze zerwało z niej wszystko. Ciało było nagie, kiedy je znaleziono po wielu tygodniach.

Palce pani Danvers zacisnęły się na moim ramieniu. Nachyliła do mnie swą twarz podobną do trupiej czaszki, patrząc mi badawczo w oczy.

– Ciało jej roztrzaskało się o skały – szepnęła. – Piękna twarz została zmiażdżona, obie ręce urwane. Pan de Winter rozpoznał ją. Pojechał do Edgecoombe w tym celu. Pojechał sam. Był wówczas bardzo chory, ale uparł się, że pojedzie. Nikt nie mógł go powstrzymać. Nawet pan Crawley.

Umilkła na chwilę, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Nigdy nie przestanę siebie winić za ten wypadek, dlatego że nie było mnie w domu tego wieczoru. Wybrałam się do Kerrith po południu i zostałam tam dłużej, bo pani de Winter była w Londynie i miała wrócić znacznie później. Dlatego nie śpieszyłam się do domu. Gdy wróciłam około wpół do dziesiątej, dowiedziałam się, że ona wróciła już przed siódmą, zjadła obiad i wyszła znowu. Naturalnie do domku nad morzem. Zaniepokoiłam się wówczas. Wiał silny południowo-zachodni wiatr. Gdybym była w domu, nie puściłabym jej. Zawsze mnie słuchała. „Nie wypływałabym dzisiaj, za duży wiatr”, tak bym powiedziała, a ona zgodziłaby się ze mną: „Dobrze, Danny, ty stara nudziaro”. Siedziałybyśmy tutaj, rozmawiając. Opowiedziałyby mi wszystko, co robiła w Londynie, tak jak zwykle.

Palce jej wpijały się boleśnie w moje ramię. Widziałam, jak mocno naciągniętą miała skórę na twarzy, co podkreślało jeszcze jej wystające kości policzkowe. Zauważyłam małe, żółte plamki na szyi za uszami.

– Pan de Winter był na obiedzie u pana Crawleya – mówiła dalej. – Nie wiem dokładnie, kiedy wrócił, ale chyba po jedenastej. Tuż przed północą. Wiatr wzmógł się jeszcze, a ona nie wracała. Zeszłam na dół, ale w bibliotece było ciemno. Wróciłam na górę i zastukałam do drzwi ubieralni. Pan de Winter odezwał się natychmiast: „Kto tam, o co chodzi?”. Powiedziałam mu, że jestem niespokojna o panią de Winter. Po chwili otworzył drzwi, był w szlafroku. „Na pewno pozostanie na noc w domku na plaży – powiedział. – Radzę pani iść spać.

Nie wróci tutaj w taką pogodę”. Wyglądał na zmęczonego, więc nie chciałam go dłużej niepokoić. Przecież ona wiele nocy spędzała w tym domku i żeglowała przy różnej pogodzie. Może nawet nie wypłynęła wcale, tylko chciała wypocząć tam po Londynie. Powiedziałam panu de Winterowi dobranoc i poszłam do swojego pokoju. Nie mogłam zasnąć tej nocy. Ciągle myślałam, co się z nią dzieje.

Znowu przerwała. Nie chciałam nic więcej słyszeć. Pragnęłam uciec od niej, uciec z tego pokoju.

– Siedziałam na łóżku do wpół do szóstej rano – ciągnęła – lecz dłużej już nie mogłam wytrzymać. Włożyłam płaszcz i zesłam przez las na plażę. Zaczynało świtać, ale nadal mżył deszczyk, tylko wiatr ustał. Gdy wyszłam na brzeg, zobaczyłam boję i dingi, ale żaglówki nie było...

Wydawało mi się, że widzę zatoczkę o szarym brzasku, czuję drobne kropelki deszczu na twarzy i wyteżając wzrok przez mgłę, dostrzegam niewyraźny kształt boi.

Pani Danvers puściła moje ramię. Ręka jej opadła bezwładnie. Głos stał się obojętny, brzmiał teraz twardo, mechanicznie jak zawsze.

– Jeden pas ratunkowy morze wyrzuciło na brzeg w Kerrith tego popołudnia, a nazajutrz poławiacze krabów znaleźli drugi pas na skałach przy półwyspie. Przyptyw przynosił kawałki takielunku.

Odwróciła się ode mnie i zasunęła szuflady komody. Poprawiła przekrzywiony obraz na ścianie, podniosła kłaczek kurzu z dywanu. Stałam bez ruchu, wpatrując się w nią i nie wiedząc, co robić.

– Teraz pani wie, dlaczego pan de Winter nie chce mieszkać w tych pokojach. Niech pani posłucha szumu morza.

Nawet poprzez zamknięte okna i okiennice docierał cichy, groźny pomruk fal łamiących się na białym żwirze. Przyptyw wdzierał się gwałtownie do zatoczki i zalewał całą plażę niemal do samego domku.

– Pan de Winter nie używał tych pokojów od tej nocy, kiedy pani utonęła. Kazał zabrać stamtąd swoje rzeczy. Urządziliśmy dla niego jeden z pokojów w końcu korytarza. Ale tam też nie mógł spać. Przesiadywał w fotelu nocami. Rano podłoga dokoła fotela zasypana była popiołem z papierosów. W ciągu dnia Frith

słyszał, jak chodzi po bibliotece tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

W tym momencie zobaczyłam popiół na podłodze przy fotelu, usłyszałam także jego kroki, gdy przemierzał tam i z powrotem bibliotekę: raz, dwa, raz, dwa...

Pani Danvers zgasiła światło w sypialni i cicho zamknęła drzwi. Nie widziałam już łóżka z saszetką na poduszce ani toaletki, ani rannych pantofelków stojących pod krzesłem. Przeszła przez przedpokój, położyła rękę na klamce i czekała na mnie.

– Codziennie sprzątam sama te pokoje. Jeśli pani chciałaby tu przyjść znowu, proszę mi powiedzieć. Może pani do mnie zatelefonować. Będę wiedziała, o co chodzi. Nie pozwalam tu wchodzić pokojówkom, nikt prócz mnie tu nie zagląda.

Ton jej głosu stał się znów uniżony, niemile poufały. Uśmiech był sztuczny, fałszywy.

– Gdy pan de Winter wyjedzie, a pani będzie się czuła osamotniona, może pani będzie miała ochotę przyjść i posiedzieć w tym pokoju. Proszę, niech pani mi tylko o tym powie. To są takie piękne pokoje. Nie odnosi pani wrażenia, że jej tak dawno już tu nie ma, prawda? Wydaje się, że dopiero co wyszła i wróci wieczorem.

Zmusiłam się do uśmiechu. Nie mogłam wykrztusić ani słowa przez ściśnięte gardło.

– Obecność jej czuje się zresztą nie tylko w tym pokoju, w innych także. W buduarze, w holu, nawet w małym ogrodniczym składziku. Czuję jej obecność wszędzie, pani również, prawda?

Patrzyła na mnie z ciekawością. Głos ściszyła do szeptu.

– Czasem, gdy idę korytarzem, wydaje mi się, że ona idzie tuż za mną. Chodziła szybkim, lekkim krokiem, rozpoznawałam go zawsze. Widywałam ją nieraz wieczorami na krużganku nad holem, przechyloną przez parapet i przywołującą psy. Wyobrażam sobie od czasu do czasu, że ją tam widzę. Wydaje mi się, że słyszę szelest jej sukni, gdy schodzi na obiad.

Przerwała, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Czy pani myśli, że ona nas widzi teraz, jak rozmawiamy ze sobą? – spytała powoli. – Czy pani sądzi, że umarli wracają i przyglądają się żywym?

– Nie wiem – powiedziałam – nie wiem.

Głos mój zabrzmiał piskliwie, sztucznie. To nie był mój głos.

– Czasem zastanawiam się – szepnęła pani Danvers – czy ona wraca do Manderley i obserwuje panią i pana de Wintera, jak jesteście razem.

Stałyśmy przy drzwiach, wpatrując się w siebie. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Jakie czarne, ponure były jej oczy spoglądające z bladej twarzy, złej i pełnej nienawiści. Po chwili otworzyła drzwi na korytarz.

– Robert już wrócił – powiedziała. – Wrócił przed kwadrans. Dostał polecenie, aby podać pani podwieczorek w ogrodzie pod kasztanem.

Usunęła się na bok, by zrobić mi przejście. Wyszłam na korytarz, nie widząc, dokąd idę. Nie odezwałam się do niej. Zeszłam automatycznie po schodach i skręciłam do drzwi prowadzących do moich pokoiów we wschodnim skrzydle. Gdy weszłam do siebie, przekręciłam klucz w zamku i schowałam go do kieszeni.

Potem położyłam się na łóżko i zamknęłam oczy. Czułam się śmiertelnie znużona.

Maxim zatelefonował nazajutrz rano, zawiadamiając, że wróci koło siódmej. Frith odbierał telefon. Maxim nie poprosił mnie do aparatu. Siedząc przy śniadaniu, usłyszałam dzwonek i pomyślałam, że pewnie Frith wejdzie zaraz do jadalni i powie: „Pan de Winter przy aparacie, proszę pani”. Odłożyłam serwetkę i wstałam od stołu. Frith wszedł do jadalni i przekazał mi otrzymaną wiadomość.

Zobaczyłam, że odsuwam krzesło i kieruję się ku drzwiom.

– Pan de Winter już się rozłączył, proszę pani. Powiedział tylko, że wróci około siódmej.

Usiadłam przy stole i rozłożyłam serwetkę na kolanach. Frith z pewnością uważał, że zachowałam się głupio, zrywając się do telefonu.

– Dobrze, Frith. Dziękuję.

Jadłam jajka sadzone na bekonie, Jasper leżał u moich stóp, a stara suka drzemała w swoim koszu w rogu pokoju. Zastanawiałam się, jak sobie wypełnić ten dzień. Spałam źle, może dlatego, że byłam sama. Budziłam się co chwila, a ile razy spojrzęłam na zegar, stwierdzałam, że wskazówki przesunęły się zaledwie o kilka minut. Gdy zasypiałam, nawiedzały mnie dziwaczne sny. Szliśmy przez las, Maxim i ja, on mnie stale wyprzedzał. Nie mogłam go dogonić, a tak bardzo chciałam zobaczyć jego twarz. Widziałam tylko jego sylwetkę, ciągle idącą przede mną. Pewnie płakałam we śnie, bo gdy obudziłam się rano, poduszka była mokra. Spojrzawszy w lustro, przekonałam się, że mam zapuchnięte powieki. Wyglądałam brzydko i źle. Uróżowałam lekko policzki, nieudolnie próbując dodać sobie kolorów. Niestety, efekt był jeszcze gorszy. Wyglądałam jak kłown. Widocznie umalowałam się nieumiejętnie. Zauważyłam,

że Robert przyglądał mi się badawczo, gdy szłam przez hol do jadalni.

Około dziesiątej, kiedy kruszyłam na tarasie chleb dla ptaków, znowu zadzwonił telefon. Frith przyszedł mi powiedzieć, że pani Lacy chce ze mną mówić.

– Dzień dobry, Beatrice – powiedziałam.

– Jak się masz, moja droga?

Głos Beatrice był charakterystycznie energiczny, niemal męski, rzeczowy. Nie czekając na moją odpowiedź, mówiła dalej:

– Mam zamiar wybrać się po południu do babci. Będę na lunchu u znajomych w odległości około dwudziestu mil od Manderley. Czy mam po ciebie zajechać? Wiesz, już najwyższy czas, żebyś odwiedziła naszą staruszkę.

– Bardzo chętnie, Beatrice.

– Doskonale. Przyjadę po ciebie około wpół do czwartej. Giles spotkał się z Maximem na bankiecie. Jedzenie marne, powiedział, ale świetne wina. No to tymczasem, moja droga.

Stuknięcie odkładanej słuchawki, koniec rozmowy. Wysłałam do ogrodu. Cieszyłam się, że Beatrice zaproponowała wizytę u babki. Miałam teraz jakiś cel, który urozmaici mi dzień. Tyle godzin dzieliło mnie od siódmej. Nie miałam dzisiaj wakacyjnego nastroju i nie chciało mi się iść z Jasperem przez Dolinę Szczęścia do zatoczki, by tam rzucać kamyczki do wody. Opuściło mnie uczucie swobody, odechciało mi się biegania w sandałkach po trawie. Poszłam do ogrodu różanego i usiadłam tam z książką, „Timesem” i robotą na drutach. Czułam się jak stateczna matrona, poziewując w ciepłe słońca i słuchając brzęczenia pszczół wśród kwiatów.

Staralam się skupić uwagę nad nudnymi szpaltami gazety, usiłowałam śledzić porywający wątek powieści. Nie chciałam myśleć o wczorajszym popołudniu i pani Danvers. Usiłowałam zapomnieć o tym, że ona znajduje się obecnie w domu i może patrzy na mnie z któregoś okna. Od czasu do czasu, gdy odrywałam wzrok od książki i rozglądałam się po ogrodzie, miałam wrażenie, że nie jestem sama.

Tyle było okien w Manderley, tyle pokoi, których nie używaliśmy. Niezamieszkałe, ciche pokoje z meblami okrytymi pokrowcami, pokoje, które kiedyś, za życia ojca i dziadka

Maxima, nie stały pustką. W tych czasach dużo przyjmowano i wiele było służby. Pani Danvers z łatwością mogłaby cicho otworzyć jakieś drzwi, zamknąć je za sobą, przekraść się przez ciemny pokój i podglądać mnie ukradkiem przez szparę w zasłonach.

Nie wiedziałabym o tym. Nawet gdybym się odwróciła i spojrzała w okna, nie zobaczyłabym jej. Przypomniałam sobie grę z dziecinnych lat, którą moje przyjaciółki z sąsiedniego domu nazywały „krokami babci”, a ja „starą wiedźmą”. Jedno z dzieci stawało w końcu ogrodu odwrócone tyłem do pozostałych, które posuwały się szybkimi susami naprzód. Co kilka sekund „wiedźma” odwracała się i jeśli dostrzegła kogoś w ruchu, kazała mu wracać na linię wyjściową i zaczynać od nowa. Pamiętam, że zawsze znajdował się ktoś odważniejszy od innych, kto podkradał się bardzo blisko i kogo nie można było przyłapać w ruchu. Gdy tak czekałam, odwrócona tyłem, licząc przepisowo do dziesięciu, odczuwałam przerażenie na myśl, że lada moment, zanim jeszcze skończę liczyć, ten śmiałek, niesłyszany, niewidziany, podskoczy do mnie z okrzykiem triumfu. Obecnie ogarnął mnie ten sam nastrój pełen napięcia i wyczekiwania. Bawiłam się w starą wiedźmę z panią Danvers.

Lunch był przyjemnym urozmaiceniem po dłużącym się poranku. Widok spokojnego, zaradnego Fritha i głupawego Roberta wprowadził mnie w lepszy nastrój, czego nie mogła dokonać ani gazeta, ani książka. O wpół do czwartej, punktualnie co do minuty, usłyszałam, że samochód Beatrice wyjeżdża zza zakrętu i zatrzymuje się przy ganku. Wybiegłam z domu na jej spotkanie, już ubrana, z rękawiczkami w ręku.

– Jestem, moja droga. Co za piękny dzień, prawda? – mówiąc to, Beatrice zatrzasnęła drzwi samochodu i zaczęła wchodzić po schodach. Pocałowała mnie szybko, dotykając lekko wargami tuż przy uchu.

– Wyglądasz mizernie – powiedziała od razu, obrzucając mnie szybkim spojrzeniem. – Schudłaś na twarzy i jesteś blada. Co ci dolega?

– Nic – powiedziałam pokornie, znając aż za dobrze wady swojej urody. – Ja nigdy nie mam kolorów.

– Ach, co ty opowiadasz, zupełnie inaczej wyglądałaś ostatnim razem.

– Pewnie zeszła już włoska opalenizna – powiedziałam, wsiadając do samochodu.

– Hm – mruknęła Beatrice – jesteś równie niemożliwa jak Maxim. Nie znosicie żadnych uwag na temat waszego zdrowia. Zatrzaśnij mocno drzwi, bo inaczej się nie zamkną.

Beatrice ruszyła z miejsca i jadąc zbyt szybko, ostro wzięła zakręt.

– Czy aby przypadkiem nie spodziewasz się potomka? – zapytała, spoglądając na mnie swymi brązowymi oczami.

– Nie – odpowiedziałam zmieszana – chyba nie.

– Czy nie masz rano mdłości lub jakichś innych objawów?

– Nie.

– Cóż, nie zawsze się ma jakieś objawy. Ja nie miałam żadnych, gdy Roger miał się urodzić. Przez całe dziewięć miesięcy czułam się znakomicie. W przeddzień jego urodzin grałam w golfa. Nie należy się wstydzić, to są sprawy naturalne. Jeśli masz jakieś wątpliwości, powiedz mi lepiej.

– Nie, Beatrice, naprawdę nie mam nic do powiedzenia.

– Mam nadzieję jednak, że wkrótce urodzisz syna i spadkobiercę. Maxim byłby uszczęśliwiony. Spodziewam się, że nie robisz nic, żeby temu zapobiec.

– Oczywiście, że nie. – Co za niezwykła rozmowa!

– Nie gorsz się i nie przejmuj nigdy tym, co mówię. Obecnie młode mężatki zdolne są do wszystkiego. Oczywiście, to bardzo przykra sprawa, jeśli się chce polować, a tu okazuje się, że będzie dziecko na progu pierwszego sezonu po ślubie. Wystarczający powód do niesnasek małżeńskich, jeśli oboje są zapalonymi myśliwymi. W twoim przypadku to nie miałyby znaczenia. Dziecko nie przeszkadza w rysowaniu. À propos, czy dużo ostatnio rysowałaś?

– Nie, ostatnio bardzo mało.

– Naprawdę? A pogoda jest tak zachęcająca do przebywania na powietrzu. Zabierasz ze sobą tylko składane krzeselko i pudełko z kredkami, prawda? Czy podobały ci się książki, które ci wysłałam?

– Tak, bardzo. To był śliczny prezent, Beatrice.

– Cieszę się, że ci się podobały – powiedziała z wyraźnym zadowoleniem.

Samochód pędził szybko. Beatrice, nie zdejmując nogi z gazu, ostro ścinała zakręty. Kierowcy dwóch samochodów, które mijaliśmy, spojrzeli na nią z oburzeniem, a jakiś przechodzień pogroził jej laską. Wstydziłam się za nią. Wydawało się, że ona nic nie zauważyła. Skuliłam się na siedzeniu.

– Roger idzie do Oxfordu na przyszły rok – powiedziała Beatrice. – Nie mam pojęcia, co on będzie studiować. Uważam, że to zupełna strata czasu. Tak samo uważa Giles, ale nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Roger jest taki sam jak Giles i ja. Interesuje się wyłącznie końmi. Co, u licha, wyprawia ten samochód przed nami?! Dlaczego nie dał pan znaku ręką, mój panie?! Doprawdy, niektórych kierowców należałoby rozstrzelać!

Ostro skręciła na główną szosę, ledwie unikając zderzenia z samochodem, który jechał przed nami.

– Czy mieliście gości? – spytała po chwili.

– Nie, nikogo nie było.

– To i dobrze. Co za nudziarstwo te wszystkie duże przyjęcia. To ci nie grozi, jeśli przyjedziesz do nas. Mamy bardzo miłych sąsiadów, jesteśmy z nimi zaprzyjaźnieni. Jeździmy do siebie na obiady, gramy w brydża i nie przyjmujemy nikogo poza tym. Czy ty grasz w brydża?

– Niezbyt dobrze, Beatrice.

– To nie szkodzi. Ważne, że grasz. Nie lubię osób, które nie chcą się nauczyć. Co, u licha, robić z nimi w zimie między lunchem a obiadem i po obiedzie?! Nie można przecież siedzieć i ciągle gadać.

Zdziwiłam się, dlaczego nie można. Ale prościej było nie wypowiadać swego zdania.

– Teraz gdy Roger dorósł i przywozi swoich przyjaciół, spędzamy czas wesoło. Szkoda, że nie byłaś u nas na Boże Narodzenie. Bawiliśmy się w szarady. Bardzo było wesoło. Giles był w swoim żywiole. On strasznie lubi się przebierać, a po kilku kieliszkach szampana jest najzabawniejszym stworzeniem na świecie. Często mówimy, że minął się z powołaniem i że powinien był iść na scenę.

Pomyślałam o Gilesie, o jego twarzy okrągłej jak księżyc i o okularach w rogowej oprawie. Czułam, że widok męża Beatrice wygłupiającego się po szampanie byłby dla mnie żenujący.

– Giles i nasz wielki przyjaciel, Dick Marsh, przebrali się za kobiety i odśpiewali duet. Nikt nie wiedział, co to miało wspólnego ze słowem w szaradzie, ale to nie było ważne. Pokładaliśmy się wszyscy ze śmiechu.

– Jakie to zabawne – powiedziałam, uśmiechając się przez grzeczność.

Wyobraziłam sobie, jak wszyscy zaśmiewali się w salonie Beatrice, ci wszyscy zaprzyjaźnieni sąsiedzi. Roger musi być podobny do Gilesa.

Beatrice śmiała się na samo wspomnienie tej zabawy.

– Biedny Giles, nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy Dick wpompował mu syfon wody sodowej za kołnierz. Dostaliśmy histerycznych ataków śmiechu.

Ogarnęła mnie obawa, że Beatrice zaprosi nas na następne Boże Narodzenie. Może udałoby mi się zachorować na grypę.

– Nigdy nie mieliśmy wielkich ambicji aktorskich – powiedziała Beatrice. – Po prostu bawiliśmy się świetnie w naszym kółku. Natomiast Manderley nadaje się na prawdziwe przedstawienie. Pamiętam widowisko wystawione tam przed kilku laty. Sprowadzono aktorów z Londynu. Naturalnie to wymaga ogromnego wysiłku organizacyjnego.

– Tak.

Przez chwilę prowadziła wóz w milczeniu.

– Jak się miewa Maxim?

– Dziękuję, doskonale.

– Czy jest pogodny i szczęśliwy?

– O tak. Raczej tak.

Wąska ulica jakiegoś miasteczka pochłonęła jej uwagę. Zastanawiałam się, czy mam jej opowiedzieć o pani Danvers i o tym Favellu. Bałam się jednak, że wygada się przed Maximem.

– Beatrice – spytałam wreszcie – czy obito ci się kiedy o uszy nazwisko Favell? Jack Favell?

– Jack Favell? – powtórzyła. – Tak, znam to nazwisko. Zaraz, zaraz. Jack Favell. Tak. To okropny typ. Poznałam go kiedyś przed wielu laty.

– Przyjechał wczoraj do pani Danvers.

– Tak? No cóż, to możliwe...

– Dlaczego? – spytałam.

– Zdaje mi się, że to kuzyn Rebeki.

Byłam zaskoczona. Ten człowiek miał być jej kuzynem? Nie przypuszczałam, że Rebeka mogła mieć takiego kuzyna. Jack Favell!

– O, nie wiedziałam o tym.

– On pewnie często przyjeżdżał do Manderley. Zresztą nie wiem. Nie umiem ci tego powiedzieć. Ja tak rzadko tam bywałam – rzuciła lakonicznie.

Miałam wrażenie, że Beatrice nie chce mówić na ten temat.

– Nie podobał mi się ten Favell – zauważyłam.

– Nie dziwię ci się.

Czekałam, czy powie coś jeszcze, ale Beatrice milczała. Uznałam, że rozsądniej będzie, jeśli nie wspomnę o tym, że Favell prosił o zachowanie jego wizyty w tajemnicy. To mogłoby doprowadzić do jakichś komplikacji. Zresztą dojeżdżaliśmy właśnie do celu podróży. Przed nami ukazała się biała brama i posypana żwirem aleja.

– Pamiętaj, że staruszka jest prawie niewidoma – odezwała się Beatrice – a także nie zawsze całkiem przytomna. Telefonowałam do pielęgniarki, uprzedzając o naszym przyjeździe, więc wszystko będzie dobrze.

Zobaczyłam duży dom z czerwonej cegły, o spiczastym dachu. Przypuszczałam, że to styl późnowiktoriański. Nieładny dom. Mogłam stwierdzić na pierwszy rzut oka, że jest doskonale utrzymany przez liczną służbę. I to wszystko dla jednej staruszki, która jest prawie niewidoma.

Schludna pokojówka otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, Noro, jak się masz? – powiedziała Beatrice.

– Doskonale, dziękuję pani. Mam nadzieję, że pani czuje się dobrze?

– O tak, my wszyscy cieszymy się dobrym zdrowiem. Jak się czuje ostatnio pani starsza?

– Rozmaicie, proszę pani. Jednego dnia dobrze, drugiego źle. Jeśli chodzi o zdrowie, to nie jest najgorzej. Na pewno ucieszy się z odwiedzin.

Nora spojrzała na mnie z ciekawością.

– To jest pani Maximowa – powiedziała Beatrice.

– Dzień dobry pani – powiedziała do mnie Nora.

Przeszliśmy przez wąski hol i zapchany meblami salon na werandę z widokiem na kwadratowy gazon. Jaskrawoczerwone

pelargonie w kamiennych wazonach zdobiły stopnie werandy. W rogu stał fotel na kółkach. Babka Beatrice siedziała w fotelu oparta o poduszki i zawinięta w szale. Gdy podeszłam bliżej, spostrzegłam, że Maxim jest do niej bardzo podobny. Tak wyglądałby, gdyby był bardzo stary, gdyby był niewidomy. Poczulałam się nieswojo. Siedząca przy niej pielęgniarka wstała z krzesła, włożyła zakładkę do książki, którą czytała na głos, i uśmiechnęła się do Beatrice.

– Jak się pani miewa?

Beatrice przywitała się z nią i przedstawiła mnie.

– Staruszka wygląda dobrze. Nie wiem, jak ona to robi, mając swoje osiemdziesiąt sześć lat. Oto jesteśmy, babciu – powiedziała głośno. – Dojechaliśmy szczęśliwie.

Babka spojrzała w naszym kierunku.

– Kochana Beo – powiedziała – jak to miło, że przyjechałaś mnie odwiedzić. U nas tutaj tak nudno, nie mamy żadnych rozrywek.

Beatrice pochyliła się nad babką i pocałowała ją.

– Przywiozłam żonę Maxima. Ona chciała już dawno cię odwiedzić, ale oboje z Maximem byli bardzo zajęci.

Beatrice szturchnęła mnie w plecy.

– Pocałuj ją – szepnęła.

Pochyliłam się więc i pocałowałam ją w policzek. Babka dotknęła palcami mojej twarzy.

– Kochanie, jak to ładnie z twojej strony, że przyjechałaś. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Trzeba było zabrać Maxima.

– Maxim jest w Londynie. Wraca dziś wieczór.

– Musisz go zabrać następnym razem. Usiądź, moja droga, tu na tym krześle, żebym cię mogła widzieć. A ty, Beo, usiądź z drugiej strony. Jak się miewa Roger? Nieznośny chłopak, nie odwiedza mnie wcale.

– Przyjedzie w sierpniu! – krzyknęła Beatrice. – Kończy Eton i jedzie do Oxfordu.

– O, to już całkiem dorosły młody człowiek. Chyba go nie poznam.

– Już jest wyższy od Gilesa.

Beatrice opowiadała o Gilesie i Rogerze, o koniach i psach. Pielęgniarka wyciągnęła robótkę i zaczęła szybko manipulować drutami. Zwróciła się do mnie tonem wesołym i pogodnym:

– Jak się pani podoba Manderley?

– Bardzo.

– To piękna rezydencja – stwierdziła, stukając drutami. – Teraz nie możemy tam pojechać, staruszka nie ma sił na taką wyprawę. Bardzo żałuję, bo lubiłam ogromnie wizyty w Manderley.

– Może pani odwiedzi nas sama któregoś dnia.

– Dziękuję, z wielką przyjemnością. Mam nadzieję, że pan de Winter miewa się dobrze?

– Tak, doskonale.

– Państwo byli w podróży poślubnej we Włoszech, prawda? Ucieszyłyśmy się bardzo z pocztówki, którą przysłał pan de Winter.

Zastanawiałam się, czy używa zwrotu „my”, jak to czynią królowie, czy też uważa babkę Maxima i siebie za jedną osobę.

– Czy mąż wysłał pocztówkę? Nie pamiętam tego.

– O tak, jakie to było poruszenie! Lubimy bardzo różne pamiątki. Mamy album wycinków i wklejamy do niego wszystko, co ma związek ze sprawami rodzinnymi. Naturalnie tylko przyjemne pamiątki.

– To bardzo miłe zajęcie.

Dolatywały mnie urywki rozmowy Beatrice z babką.

– Musieliśmy zastrzelić starego Marksmana. Czy pamiętasz go? To był najlepszy hunter, jakiego miałam.

– Och, czyżby stary Marksman?

– Tak, biedaczysko oślepl na oboje oczu.

– Biedny Marksman – powtórzyła babka.

Pomyślałam wówczas, że to nietaktownie ze strony Beatrice mówić o ślepcie. Spojrzałam na pielęgniarkę, ale ona nadal stukala drutami.

– Czy pani poluje? – spytała.

– Nie, niestety, nie poluję.

– Może pani zacznie. My wszyscy tutaj przepadamy za polowaniem.

– Tak.

– Pani de Winter interesuje się sztuką – zwróciła się Beatrice do pielęgniarki. – Mówiłam jej, że w Manderley znajdzie wiele pięknych widoków.

– O tak – potwierdziła pielęgniarka, przerywając na chwilę szalone tempo roboty. – Jakie to miłe zajęcie. Miałam znajomą, która cudownie rysowała. Pojechałyśmy kiedyś na Wielkanoc do Prowansji, gdzie porobiła takie śliczne rysunki.

– Jak to miło.

– Rozmawiamy o rysunkach! – krzyknęła Beatrice. – Ty nie wiesz, babciu, że mamy artystkę w rodzinie, prawda?

– Kto jest artystką? – spytała staruszka. – Nie znam żadnej.

– Twoja nowa wnuczka – powiedziała Beatrice. – Spytaj ją, co jej darowałam w prezencie ślubnym.

Uśmiechnęłam się, czekając na zapytanie babki. Staruszka odwróciła głowę w moim kierunku.

– O czym ta Bea mówi? Nie wiedziałam, że jesteś artystką. Nigdy nie mieliśmy artystów w rodzinie.

– Beatrice zażartowała sobie – powiedziałam. – Wcale nie jestem artystką. Rysuję dla przyjemności. Nigdy się nie uczyłam. Beatrice podarowała mi piękne książki.

– O – zdziwiła się babka. – Beatrice podarowała ci książki? To tak, jakby przywiozła węgiel do Newcastle. Biblioteka w Manderley jest bardzo bogata. – Śmiała się serdecznie.

Zawtórowałyśmy, podkreślając, że doceniamy jej dowcip. Miałam nadzieję, że więcej już nie będzie o tym mowy, ale Beatrice uczepiła się tego tematu.

– Ty nie rozumiesz, babciu, to nie były zwykłe książki, lecz całe cztery tomy o sztuce.

Pielęgniarka pochyliła się do staruszki, żeby dodać coś miłego od siebie.

– Pani Lacy chciała powiedzieć, że pani de Winter pasjonuje się malarstwem. Dlatego też ofiarowała jej czterotomowe dzieło o sztuce.

– To śmieszne – powiedziała babka. – Nie uważam, żeby książki były właściwym prezentem ślubnym. Nikt mi nie darował książek, gdy wychodziłam za mąż. Nigdy bym ich zresztą nie przeczytała.

Roześmiała się znowu. Beatrice była dotknięta. Uśmiechnęłam się do niej, żeby okazać jej życzliwość. Chyba nie zauważyła tego. Pielęgniarka powróciła do swojej roboty.

– Ja chcę herbaty – powiedziała staruszka z rozdrażnieniem. – Już pewnie jest wpół do piątej. Dlaczego Nora nie podaje

podwieczorku?

– Naprawdę? Już jesteśmy głodne po naszym solidnym lunchu? – spytała pielęgniarka, wstając i uśmiechając się do staruszki.

Czułam się zmęczona. Zastanawiałam się, zgorszona własnymi myślami, dlaczego starzy ludzie są tak męczący. Trudniej z nimi wytrzymać niż z małymi dziećmi lub szczeniętami, gdyż trzeba ciągle być grzecznym. Siedziałam z rękami na kolanach, gotowa zgodzić się z każdym wypowiedzianym zdaniem. Pielęgniarka poprawiła poduszki i opatulila staruszkę szalami.

Babka Maxima zносиła cierpliwie jej zabiegi. Zamknęła oczy, jak gdyby również była zmęczona. Teraz była jeszcze bardziej podobna do Maxima. Wiedziałam, jak wyglądała, gdy była młoda – wysoka i przystojna, obchodziła stajnie w Manderley z kostkami cukru w kieszeni, trzymając w ręce tren sukni z wysokim kołnierzem. Słyszałam w wyobraźni jej głos nakazujący zaprząć powóz o drugiej. To wszystko skończyło się dla niej. Mąż jej nie żyje od czterdziestu lat, syn od piętnastu. Musi aż do śmierci mieszkać z pielęgniarką w tym czerwonym domu o spiczastym dachu. Pomyślałam, że tak mało rozumiemy uczucia innych osób. Rozumiemy dzieci, ich obawy, marzenia i fantazje. Ja niedawno przestałam być dzieckiem. Nie zapomniałam jeszcze psychologii dziecka. Ale co odczuwała, o czym myślała biedna, niewidoma babka Maxima opatulona szalami? Czy zdawała sobie sprawę, że Beatrice ziewa i spogląda ukradkiem na zegarek? Czy domyślała się, że przyjechałyśmy ją odwiedzić, gdyż uważałyśmy to za nasz obowiązek, po to, by Beatrice po powrocie do domu mogła powiedzieć: „No, teraz mam czyste sumienie na trzy miesiące”.

Czy babka myślała kiedy o Manderley? Czy wspominała miejsce przy stole, które teraz ja zajmowałam? Czy także jadła podwieczorek pod kasztanem? A może to wszystko zostało zapomniane i nie odczuwała nic prócz jakichś małych bólów i niewygód oraz cichej wdzięczności, gdy świeciło słońce, a niepokoju, gdy wiał zimny wiatr?

Miałam ochotę położyć ręce na jej twarzy i zdjąć z niej brzemień lat. Pragnęłam zobaczyć ją młodą, z zaróżowionymi policzkami i kasztanowatymi włosami, ożywioną i energiczną

jak Beatrice, rozmawiającą o polowaniach, psach i koniach. Nie tę postać z zamkniętymi oczami, której pielęgniarka poprawia poduszki.

– Mamy dziś ucztę na podwieczorek – powiedziała pielęgniarka. – Sandwicze z rzeżuchą. My bardzo lubimy rzeżuchę, prawda?

– To dziś będzie rzeżucha? – spytała babka, unosząc głowę z poduszki i patrząc w kierunku drzwi. – Nie powiedziała mi pani tego. Dlaczego Nora nie podaje podwieczorku?

– Nie wzięłabym pani posady, siostró, za tysiąc funtów dziennie – zwróciła się szeptem Beatrice do pielęgniarki.

– Och, jestem przyzwyczajona do tego, proszę pani. Mam tutaj bardzo dobre warunki. Naturalnie zdarzają się niedobre dni, ale mogłoby być gorzej. Ona nie jest taka trudna jak inni pacjenci. Służba jest bardzo miła, a to najważniejsze. Oto Nora.

Pokojówka wniosła mały składany stolik i śnieżnobiały obrus.

– Co tak zamarudziłaś, Noro? – mruknęła staruszka.

– Jest dopiero wpół do piątej, proszę pani – odpowiedziała Nora specjalnym tonem, wesołym i pogodnym, podobnie jak mówiła pielęgniarka.

Zastanawiałam się, czy babka uświadamia sobie, że wszyscy mówią do niej tym tonem, i czy zauważyła to wówczas, gdy zaczęli tak mówić. Może stwierdziła najpierw: „Oni myślą, że się starzeję, to śmieszne”, a potem powoli się przyzwyczaiła. Teraz uważała to za normalne i całkiem naturalne. Gdzież się podziała ta młoda kobieta o kasztanowatych włosach i szczupłej talii, karmiąca konie cukrem?

Przysunęłyśmy krzesła do składanego stolika i zaczęłyśmy jeść sandwicze z rzeżuchą. Pielęgniarka przygotowała osobno kanapki dla staruszki.

– Czyż to nie wspaniały smakołyk? – spytała.

Uśmiech pojawił się na spokojnym obliczu babki.

– Bardzo lubię rzeżuchę.

Herbata była tak gorąca, że parzyła usta. Pielęgniarka piła ją małymi łydkami.

– Ale dali dzisiaj wrzątek – zwróciła się do Beatrice. – Tyle mam kłopotu z herbatą, zawsze ją muszą zagotować. Zwracam im ciągle uwagę, ale nie chcą usłuchać.

– Ach, służba robi zawsze to samo – powiedziała Beatrice. – Przestałam o to walczyć.

Staruszka mieszała herbatę łyżeczką. Wzrok jej błędził gdzieś daleko. Byłam ciekawa, co myśli.

– Czy państwo mieli ładną pogodę we Włoszech? – spytała pielęgniarka.

– Tak, było bardzo ciepło.

Beatrice zwróciła się do babki:

– Oni mieli śliczną pogodę w czasie podróży poślubnej we Włoszech. Maxim wrócił bardzo opalony.

– Dlaczego Maxim nie przyjechał dzisiaj? – spytała staruszka.

– Już ci mówiłyśmy, kochanie. Maxim musiał pojechać do Londynu – powiedziała niecierpliwie Beatrice. – Jakiś oficjalny bankiet. Giles też pojechał.

– Aha, rozumiem. Dlaczego powiedziałaś, że Maxim jest we Włoszech?

– Maxim był we Włoszech, babciu. Teraz wrócili do Manderley. – Spojrzała na pielęgniarkę, wzruszając ramionami.

– Państwo de Winter są teraz w Manderley – powtórzyła pielęgniarka.

– W maju Manderley wygląda ślicznie – powiedziałam, przysuwając się do babki. – Róże są w pełnym rozkwicie. Żałuję, że nie przywiozłam róż.

– Tak, lubię róże – powiedziała w roztargnieniu, a po chwili zaczęła mi się przyglądać swymi zamglonymi niebieskimi oczami. – Czy pani także gości w Manderley?

Przełknęłam z trudem ślinę. Zapadło milczenie. Wreszcie Beatrice przerwała je swoim mocnym, niecierpliwym głosem:

– Kochana babciu, przecież wiesz doskonale, że ona teraz mieszka w Manderley. Jest żoną Maxima.

Zauważyłam, że pielęgniarka odstawiła filiżankę i spojrzała szybko na staruszkę, która, oparta o poduszki, zaczęła skubać szal. Usta jej drżały, gdy się odezwała:

– Mówicie za dużo. Ja nic nie rozumiem.

Potem spojrzała na mnie, marszcząc brwi i kiwając głową.

– Kim jesteś, moja droga? Nigdy ciebie przedtem nie widziałam. Nie znam ciebie. Nie spotkałam ciebie w Manderley. Beo, kim jest ta mała? Dlaczego Maxim nie przywiózł Rebeki? Ja tak kocham Rebeke. Gdzie jest Rebeka?

Zapanowało milczenie, długa chwila męki. Czułam, że oblewam się rumieńcem. Pielęgniarka zerwała się z krzesła i podeszła do staruszki.

– Ja chcę zobaczyć Rebeke – powtarzała babka. – Coście zrobili z Rebeką?

Beatrice wstała, potrącając stół, tak że zadźwięczały filiżanki. Ona również zaczerwieniła się mocno, nerwowo zaciskając usta.

– Lepiej będzie, jeśli panie teraz odjadą – powiedziała pielęgniarka, zaróżowiona i zmieszana. – Starsza pani jest zmęczona, a gdy zaczyna bredzić, trwa to czasem kilka godzin. Co jakiś czas miewa takie napady. Co za pech, że właśnie zdarzyło się to dzisiaj. Mam nadzieję, że pani de Winter to zrozumie? – zwróciła się do mnie.

– Naturalnie – powiedziałam szybko – najlepiej będzie, jeśli zaraz wyjedziemy.

Beatrice i ja chwyciliśmy za torebki i rękawiczki. Pielęgniarka zwróciła się do staruszki:

– Co się stało? Czy nie zje pani tego smacznego sandwicza, którego pani zrobiłam?

– Gdzie jest Rebeka? Dlaczego Maxim jej nie przywiózł? – powtarzał z uporem słaby, znużony głos.

Wyszliśmy przez salon i hol na dwór. Beatrice uruchomiła silnik w milczeniu. Ruszyliśmy aleją posypaną żwirem i minęliśmy białą bramę.

Patrzyłam na drogę. Nie chodziło mi o mnie, nie przejmowałabym się, gdybym była sama. Ale chodziło mi o Beatrice. Całe zajęcie było dla niej wyjątkowo przykre.

Gdy wyjechałyśmy ze wsi, Beatrice zwróciła się do mnie:

– Moja droga, jest mi strasznie przykro. Nie wiem, jak cię przeprosić.

– Nie mów głupstw, Beatrice – powiedziałam szybko. – To nie ma żadnego znaczenia. Nie przejmuj się.

– Nie miałam pojęcia, że ona coś podobnego zrobi. Nigdy bym cię nie zabrała. Przepraszam cię bardzo.

– Nie ma za co. Proszę cię, nie mówmy o tym więcej.

– Nic nie rozumiem. Przecież wiedziała wszystko o tobie. Pisałam do niej i Maxim pisał. Interesowała się bardzo waszym ślubem za granicą.

– Zapominasz, że jest bardzo stara. Mogła nie pamiętać. Nie kojarzy mojej osoby z Maximem. Jego kojarzy tylko z Rebeką.

Jechałyśmy dalej w milczeniu. Jazda samochodem sprawiała mi wielką ulgę. Nie przejmowałam się teraz ostrym sposobem prowadzenia wozu przez Beatrice.

– Zapomniałam, że ona tak lubiła Rebeke – powiedziała wolno Beatrice. – Co za idiotka ze mnie, że nie przewidziałam czegoś takiego! Myślę, że babka nie uświadomiła sobie nigdy, że Rebeka nie żyje. O Boże, co za koszmarnie popołudnie! Co ty sobie o mnie pomyślisz?

– Przestań, Beatrice! Mówię ci, że to nie ma znaczenia.

– Rebeka zawsze nadskakiwała babce. Zapraszała ją często do Manderley. Biedna babcia była wtedy znacznie przytomniejsza. Zaśmiewała się nad każdym powiedzonkiem Rebeki. Ona była bardzo zabawna i staruszce to się ogromnie podobało. Miała niezwykły dar, Rebeka naturalnie, potrafiła oczarować wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci, psy. Pewnie staruszka pamięta ją jeszcze. Moja droga, będziesz mnie błogosławić za to popołudnie.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi – powtarzałam mechanicznie.

Żeby już Beatrice przestała o tym mówić, myślałam. To mnie nic nie obchodzi. Jakie to ma znaczenie? Czy cokolwiek w ogóle może mieć znaczenie?

– Giles będzie się bardzo gniewać na mnie za to, że cię zabrałam. „Jak mogłaś zrobić takie głupstwo, Beo”, słyszę już, jak to mówi. Ale będę miała awanturę!

– Nie mów nic o tym. Wolę, żeby to zajście poszło w zapomnienie. W przeciwnym razie zostanie wyolbrzymione.

– Giles wyczyta z mojej twarzy, że coś jest nie w porządku. Nigdy nie udało mi się ukryć przed nim niczego.

Milczałam. Wyobrażałam sobie, jak będą rozprawiać o tym zajściu w ścisłym gronie przyjaciół, co się będzie działo na niedzielnym lunchu. Okrągłe oczy, nastawione uszy, liczne wykrzykniki...

„Mój Boże, to straszne, jak wybrnęłaś z tej sytuacji?”, a potem: „Jak ona to przyjęła? Co za kłopotliwa historia dla wszystkich!”.

Zależało mi jedynie na tym, aby Maxim nie dowiedział się nigdy o tym zajściu. Może kiedyś opowiem wszystko Frankowi, ale nie teraz, nieprędko.

Wkrótce znalazłyśmy się na szczycie wzgórza. W oddali zobaczyłam szare dachy Kerrith, a na prawo, w dolinie, gęste lasy Manderley. Za lasami widać było morze.

– Czy bardzo się śpieszysz do domu? – spytała Beatrice.

– Nie. Bynajmniej. Dlaczego pytasz?

– Czy nie będziesz mi miała za złe, jeśli wyrzucę cię przy bramie wjazdowej? Jeśli pojedę teraz na cały gaz, zdążę na londyński pociąg i Giles nie będzie musiał brać taksówki.

– Naturalnie, że mogę przejść się aleją.

– Dziękuję ci bardzo – powiedziała z wdzięcznością.

Czułam, że zmęczyło ją to popołudnie. Chciała być sama i wolała uniknąć drugiego podwieczorku w Manderley.

Wysiadłam z samochodu przy bramie. Pocałowałyśmy się na pożegnanie.

– Masz przytyć, zanim cię znowu zobaczę – powiedziała. – Jesteś chuda i źle wyglądasz. Pozdrów Maxima i przebacz mi dzisiejszą wizytę.

Zniknęła w obłokach kurzu, a ja skręciłam w aleję. Zastanawiałam się, czy aleja zmieniła się od czasu, kiedy babka Maxima jeździła po niej powozem. Jeździła tu konno, gdy była młoda. Uśmiechała się do kobiety mieszkającej w domku przy bramie. W owych czasach dozorczyńni dygała nisko przed babką, zamiatając ścieżkę szeroką spódnicą. Obecna dozorczyńni skinęła mi głową, potem zaczęła przywoływać synka, który karmił kociaki na podwórku.

Babka Maxima schylała głowę pod nisko splecionymi gałęziami, i koń kłusował po krętej alei, po której teraz szłam. Aleja była wówczas szersza i lepiej utrzymana. Nie wpełzały na nią drzewa.

Przed oczami miałam babkę Maxima, ale nie jako staruszkę opartą o poduszki i owiniętą szalami, tylko jako młodą kobietę, w czasie gdy Manderley było jej domem. Widziałam ją wędrującą po ogrodzie z małym chłopcem. Ojciec Maxima galopujący za nią na drewnianym koniku, ubrany w luźną kurtkę z paskiem i z białym okrągłym kołnierzykiem. Pikniki w zatoczce były wówczas wielką wyprawą – rozrywką, na którą

rzadko sobie pozwalano. Pewnie w starym albumie zachowała się fotografia całej rodziny siedzącej sztywno równo dokoła obrusa rozłożonego na plaży. Na drugim planie fotografii można było dostrzec służbę zajętą wydobywaniem wiktuałów z wielkiego kosza.

Wyobraziłam sobie również babkę, gdy już była starsza, przed kilku laty, spacerującą o lasce po tarasie w Manderley. A ktoś, śmiejąc się, prowadził ją pod rękę. Ktoś wysoki, smukły i bardzo piękny, ktoś, kto miał dar, jak powiedziała Beatrice, oczarowywania ludzi. Wszyscy ją lubili, wszyscy ją kochali...

Gdy doszłam wreszcie do końca długiej alei, zobaczyłam, że samochód Maxima stoi przed domem. Zrobiło mi się lżej na sercu. Szybko wbiegłam do holu. Kapelusz i rękawiczki Maxima leżały na stoliku. Skierowałam się do biblioteki, a gdy podeszłam bliżej, usłyszałam podniesiony głos Maxima. Drzwi były zamknięte. Zawahałam się, czy mam wejść.

– Proszę mu napisać, żeby na przyszłość trzymał się z daleka od Manderley, słyszy pani? Mniejsza z tym, kto mi o tym powiedział, to nie ma znaczenia. Dowiedziałem się, że wczoraj po południu widziano tutaj jego samochód. Jeśli pani chce się z nim spotykać, to tylko poza obrębem Manderley. Nie wolno mu przekroczyć bramy, rozumie pani? Proszę pamiętać, ostrzegam panią po raz ostatni!

Cicho wycofałam się do schodów. Usłyszałam, że otwierają się drzwi. Szybko wbiegłam na górę i ukryłam się na krużganku. Pani Danvers wyszła z biblioteki i zamknęła za sobą drzwi. Przycisnęłam się do ściany, żeby mnie nie zobaczyła. Dostrzegłam wyraz jej twarzy – blada z wściekłości, wykrzywiona, przerażająca.

Szybko weszła po schodach i zniknęła w drzwiach prowadzących do zachodniego skrzydła.

Odczekałam chwilę. Potem zeszłam powoli do biblioteki. Otworzyłam drzwi i weszłam do pokoju. Maxim stał przy oknie, odwrócony do mnie tyłem, trzymając jakieś listy w ręku.

Miałam ochotę wyslizgnąć się cicho i pójść do swego pokoju. Musiał jednak usłyszeć, że weszłam, gdyż odwrócił się zniecierpliwiony.

– Kto tam znowu?

Uśmiechnęłam się, wyciągając do niego rękę.

– Dzień dobry.

– Ach, to ty...

Spostrzegłam od razu, że był bardzo zły. Usta miał zacięte, nozdrza białe.

– Gdzie ty się podziewałaś?

Pocałował mnie w czubek głowy i objął ramieniem. Wydawało mi się, że bardzo wiele czasu upłynęło od chwili naszego rozstania.

– Pojechałam odwiedzić twoją babkę. Beatrice zabrała mnie dziś po południu samochodem.

– Jak się czuje staruszka?

– Dobrze.

– Co się stało z Beą?

– Pojechała na spotkanie Gilesa.

Usiedliśmy na kanapce pod oknem. Wzięłam go za rękę.

– Nie lubię zostawać sama. Tak mi strasznie było ciebie brak.

– Naprawdę?

Milczeliśmy przez chwilę. Trzymałam go za rękę.

– Czy w Londynie było gorąco?

– Tak, nawet bardzo. Nie cierpię miasta.

Byłam ciekawa, czy powie mi, co zaszło między nim a panią Danvers i skąd dowiedział się o Favellu.

– Czy miałeś jakieś przykrości?

– Miałem męczący dzień. Podróż tam i z powrotem w ciągu dwudziestu czterech godzin to zbyt wielki wysiłek.

Wstał i odszedł w głąb pokoju, zapalając papierosa. Zrozumiałam, że nie powie mi o zajściu z panią Danvers.

– Ja też jestem zmęczona – powiedziałam wolno. – To był bardzo dziwny dzień.

Pamiętam, że któreś niedzieli mieliśmy najazd gości po południu i że wtedy właśnie po raz pierwszy ktoś wspomniał o balu kostiumowym. Frank Crawley był u nas na lunchu i wszyscy troje marzyliśmy o tym, aby spokojnie spędzić popołudnie pod kasztanem. Nagle usłyszeliśmy odgłos zbliżającego się samochodu. Nie zdążyliśmy uprzedzić Fritha, gdyż samochód zajechał przed dom w chwili, gdy staliśmy na tarasie z poduszkami i gazetami w rękach.

Musieliśmy przyjąć niespodziewanych gości. Jak to się często zdarza, za nimi zjawili się następni. Pół godziny później zajechał drugi samochód, a potem nadeszło pieszko z Kerrith troje znajomych. Pokrzyżowało to nasze plany; zamiast spokojnie siedzieć w parku, musieliśmy zajmować się nudnymi gośćmi, odbywać z nimi przepisową przechadzkę – obchód ogrodu różanego, spacer po trawnikach i zwiedzanie Doliny Szczęścia.

Goście zostali na podwieczorku. Zamiast nieskrępowanego podwieczorku pod kasztanem i chrupania sandwiczów z ogórkami musieliśmy celebrować oficjalną herbatę w salonie. Nienawidziłam tego. Frith był w swoim żywiole. Dyrygował Robertem, dając mu dyskretne wskazówki. Siedziałam podniecona i zmieszana za ogromnym srebrnym czajnikiem, z którym nie umiałam sobie nigdy poradzić. Nie wiedziałam, ile mam dolać wrzątku do esencji, żeby herbata była w miarę mocna. Z trudem skupiałam uwagę na toczącej się rozmowie.

Frank Crawley był niezastąpiony w takiej sytuacji. Roznosił filiżanki z herbatą, a gdy zauważył, że odpowiadam z jeszcze większym niż zwykle roztargnieniem, pochłonięta manipulacjami przy czajniku, spokojnie wtrącał jakieś słówko do rozmowy, aby mi ulżyć. Maxim był zawsze w drugim końcu pokoju. Pokazywał książki jakiemuś nudziarzowi lub mówił

o obrazach, odgrywając w jemu tylko właściwy sposób rolę idealnego gospodarza. Podwieczorek był dla niego sprawą drugorzędną. Swoją filiżankę odstawił na stolik, herbata stygła zapomniana. Tylko my dwoje – ja mocująca się ze srebrnym czajnikiem i Frank szarmancko żonglujący ciastkami i tortem – dbaliśmy o prozaiczne potrzeby stada gości.

Podczas podwieczorku lady Crowan, męcząca, gadatliwa osoba zamieszkała w Kerrith, poruszyła temat balu. W pewnym momencie zapadło milczenie, a ja spostrzegłam, że Frank ma zamiar wypowiedzieć tę banalną i głupią uwagę o aniele przelatującym wśród ciszy nad głowami zgromadzonych, gdy lady Crowan, odkładając kawałek tortu na brzeg spodka, zwróciła się do Maxima:

– Już od dawna chciałam pana o coś spytać. Proszę mi powiedzieć, czy jest nadzieja, że pan wznowi bale kostiumowe?
– Mówiąc, przechyliła głowę na bok i błysnęła swymi wystającymi zębami, przekonana, że się wdzięcznie uśmiecha.

Pochyliłam głowę i udając, że piję herbatę, schowałam twarz za czajnikiem.

Minęło kilka sekund, zanim Maxim odpowiedział. Kiedy zaczął mówić, głos jego brzmiał spokojnie i rzeczowo.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Nie sądzę, żeby komuś specjalnie zależało na tych balach.

– Och, zapewniam pana, że my wszyscy bardzo lubiliśmy te bale – nalegała lady Crowan. – Była to główna atrakcja letniego sezonu w naszej okolicy. Pan nie ma pojęcia, jaka to była wspaniała rozrywka. Czy nie da się pan namówić?

– No cóż, nie wiem – sucho odparł Maxim. – Zorganizowanie takiego balu jest bardzo uciążliwe. Niech się pani zwróci do Franka Crawleya, bo to on musiałby się wszystkim zająć.

– Och, proszę pana, niech pan mnie poprze – nalegała lady Crowan. Kilka osób przyłączyło się do jej prośby. – Wzbudzi to powszechne zadowolenie, tak nam brakuje wesołych zabaw w Manderley.

Usłyszałam spokojny głos Franka:

– Nie mam nic przeciwko zorganizowaniu balu, jeśli Maxim się na to zgodzi. To sprawa państwa de Winter, nie zależy to ode mnie.

Naturalnie wszyscy zaczęli mnie atakować. Lady Crowan przesunęła krzesło tak, aby mnie widzieć.

– Musi pani namówić męża. On panią usłucha. Powinien wydać bal na pani cześć.

– Oczywiście, że powinien – odezwał się jakiś męski głos. – Ominęło nas wesele, to nieładnie pozbawiać nas tyłu rozrywek. Ręce do góry, kto jest za balem w Manderley! Widzi pan, panie de Winter? Jednomyślnie przegłosowane.

Wszyscy śmieli się i klaskali.

Maxim zapalił papierosa i spojrzał mi w oczy.

– Jak ty się na to zapatrujesz? – spytał.

– Nie wiem. Nie mam nic przeciw temu.

– Ależ oczywiście pańska żona marzy o tym, aby pan wydał bal na jej cześć – paplała lady Crowan. – Każda młoda kobieta o tym marzy. Pani wyglądałaby ślicznie jako pastereczka z dreздеńskiej porcelany z włosami schowanymi pod trójgraniastym kapeluszem.

Pomyślałam o swoich brzydkich rękach i nogach, o spadzistych ramionach. Śliczna byłaby ze mnie pastereczka! Co za idiotka z tej lady Crowan. Nie zdziwiłam się wcale, że nikt nie poparł tego pomysłu. Byłam wdzięczna Frankowi, który odwrócił uwagę od mojej osoby, mówiąc:

– A wiesz, Maximie, że ktoś niedawno wspominał o balu. „Mam nadzieję, że będziemy mieli jakąś uroczystość na cześć pani de Winter. Chciałbym, żeby pan de Winter wydał bal. To była dla nas wielka rozrywka”. Mówił to Tucker z naszego folwarku – wyjaśnił Frank, zwracając się do lady Crowan. – Oczywiście oni przepadają za wszelkimi widowiskami. Powiedziałem mu, że pan de Winter nie wspominał nic o tym.

– No, proszę – zwróciła się triumfująco lady Crowan do wszystkich zebranych w salonie. – Czyż nie mówiłam? Nawet pańscy pracownicy proszą o bal. Jeśli panu nie zależy na nas, z pewnością zależy panu na nich.

Maxim przyglądał mi się nadal z powątpiewaniem. Może myślał, że nie czuję się na siłach, a znając nazbyt dobrze moją nieśmiałość, obawiał się, że nie dam sobie rady. Nie chciałam, żeby tak myślał ani żeby się obawiał, że mu sprawię zawód.

– Sądzę, że taki bal byłby przyjemną rozrywką – powiedziałam.

Maxim odwrócił się, wzruszając ramionami.

– To rozstrzyga sprawę. W takim razie, Frank, musisz zająć się organizacją balu. Weź sobie panią Danvers do pomocy. Ona na pewno pamięta cały ceremoniał.

– Ta niezwykła pani Danvers jest nadal u państwa? – spytała lady Crowan.

– Tak – odparł lakonicznie Maxim. – Czy można pani podać tort? Jeśli państwo nie mają ochoty na nic więcej, to może przejdziemy do ogrodu?

Wyszliśmy na taras, rozmawiając o balu i terminie, w jakim należy go urządzić. Wkrótce, ku mojej wielkiej uldze, goście, którzy przyjechali samochodami, postanowili, że już czas ruszać w powrotną drogę, i zabrali ze sobą tych, którzy przybyli pieszo.

Wróciłam do salonu i wypłam drugą filiżankę herbaty. Teraz dopiero mi smakowała, gdy nie musiałam zabawiać gości. Frank przyszedł także. Zjedliśmy resztki placuszków, czując się jak konspiratorzy.

Maxim rzucał patyki Jasperowi na trawniku. Zastanawiałam się, czy w każdym domu panuje taka radość po wyjściu gości. Na razie nie wspominaliśmy o balu, dopiero gdy wypłam herbatę i wytarłam lepkie palce w chustkę, spytałam Franka:

– Co pan właściwie myśli o tym balu kostiumowym?

Frank zawahał się, spoglądając na Maxima przez okno.

– Nie wiem. Maxim nie miał chyba zastrzeżeń? Uważałem, że chętnie przyjął ten projekt.

– Nie wypadalo mu się sprzeciwić. Co to za natrętna osoba ta lady Crowan! Czy pan naprawdę uważa, że wszyscy w okolicy nie marzą o niczym więcej, jak tylko o balu kostiumowym w Manderley?

– Uważam, że wszyscy ucieszą się z takiego widowiska. Jesteśmy tutaj bardzo konwencjonalni. Mówiąc szczerze, lady Crowan miała rację, że należy wydać bal na pani cześć. Przecież pani jest młodą mężatką.

Jak uroczyście i głupio brzmiało to określenie! Wolałabym, żeby Frank nie był taki konwencjonalny.

– Nie byłam panną młodą, nie miałam kościelnego ślubu ani białej sukni, ani kwiatu pomarańczy, ani druchen. Nie chcę żadnego głupiego balu na moją cześć!

– Manderley wygląda pięknie podczas uroczystości. Zobacz pani, że będzie się pani dobrze bawić. Nie będzie pani miała żadnych uciążliwych obowiązków. Tylko powitanie gości, a to wcale nie jest straszne. Może pani zarezerwuje dla mnie jeden taniec?

Kochany Frank. Lubiłam jego pełną godności kurtuazję.

– Zarezerwuję dla pana tyle tańców, ile pan zechce. Nie będę tańczyć z nikim innym, jak tylko z panem i Maximem.

– O nie, to nie wypada – powiedział poważnie Frank. – Goście czuliby się obrażeni. Musi pani tańczyć z każdym, kto panią poprosi.

Odwrociłam się, by ukryć uśmiech. Bawiło mnie, że Frank nie zdawał sobie sprawy, kiedy z niego żartuję.

– Czy pan uważa, że pomysł lady Crowan, abym się przebrała za pasterkę, jest dobry? – spytałam podstępnie.

Przyjrzał mi się w skupieniu, bez cienia uśmiechu na ustach.

– Tak, będzie pani bardzo ładnie w tym stroju.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Och, Frank, jest pan czarujący!

Frank zaczerwienił się, zapewne zgorzony moimi słowami i urażony, że śmieję się z niego.

– Nie uważam, żebym powiedział coś śmiesznego – odezwał się chłodno.

Maxim zjawił się w drzwiach. Jasper biegł za nim w podskokach.

– Co was tak ubawiło? – spytał Maxim.

– Frank jest taki szarmancki – powiedziałam. – Uważa, że pomysł lady Crowan, abym przebrała się za pasterkę, nie jest wcale śmieszny.

– Lady Crowan jest nieznośna – rzucił Maxim. – Gdyby ona musiała wysyłać zaproszenia i organizować tę całą historię, nie byłaby tak entuzjastycznie nastawiona. Zresztą wszyscy w okolicy mają podobne nastawienie. Uważają, że Manderley jest jakimś pawilonem rozrywkowym na molu i wymagają, byśmy dla nich urządzali widowiska. Pewnie będziemy musieli zaprosić całe hrabstwo.

– Mam listę gości w biurze – powiedział Frank. – Z zaproszeniami nie będziemy mieli dużo roboty. Najwięcej czasu pochłonie naklejenie znaczków pocztowych.

– Tobie powierzymy to zajęcie – powiedział Maxim, uśmiechając się do mnie.

– Zrobimy to w biurze – odparł Frank. – Pani de Winter nie będzie miała z tego powodu żadnego kłopotu.

Byłam ciekawa, co by powiedzieli, gdybym nagle oznajmiła, że mam zamiar sama wszystko zorganizować. Pewnie uśmiechnęliby się i zaczęli mówić o czymś innym. Z jednej strony byłam zadowolona, że nie ciąży na mnie odpowiedzialność, ale z drugiej odczuwałam upokorzenie, że nie nadaję się nawet do naklejania znaczków. Przypomniałam sobie sekretkę w buduarze, przedziałki z karteczkami wypisanymi tym ostrym, pochyłym pismem.

– W jakim stroju wystąpisz? – spytałam Maxima.

– Ja się nigdy nie przebieram. To jest jedyny przywilej gospodarza, prawda, Frank?

– Przecież ja nie mogę wystąpić w stroju pasterki. Co mam włożyć? Nie przychodzi mi do głowy żaden pomysł.

– Założysz wstążkę na włosy i będziesz Alicją w Krainie Czarów – powiedział lekko Maxim. – Bardzo ją teraz przypominasz z tym palcem w buzi.

– Jesteś bardzo niegrzeczny. Wiem, że mam niekręjące się włosy, ale nie aż takie proste jak Alicja. Coś wam powiem. Zrobię wam obu taką niespodziankę, że mnie w ogóle nie poznacie.

– O ile nie wysmarujesz twarzy na czarno i nie będziesz udawała małpki, możesz robić, co ci się żywnie podoba – powiedział Maxim.

– Dobrze, umowa stoi. Zachowam mój kostium w tajemnicy do ostatniej chwili. Chodź, Jasper, nie będziemy się przejmować tym, co oni mówią.

Wychodząc do ogrodu, słyszałam śmiech Maxima, ale nie mogłam zrozumieć, co mówi.

Pragnęłam, żeby nie traktował mnie jak dziecko, rozpieszczone i kapryśne, które czasem się pieści, gdy się jest w dobrym nastroju, ale częściej się o nim zapomina lub też klepie po ramieniu, mówiąc: „A teraz idź i baw się grzecznie!”. Marzyłam, żeby wyglądać poważniej, bardziej dorosłe. Czy to zawsze tak będzie? On oddalony ode mnie, ulegający nastrojom, których z nim nie dzieliłam, zadręczający się wspomnieniami, które były dla mnie tajemnicą. Czyż nigdy nie będziemy iść

razem przez życie, jak mężczyzna z kobietą, ramię przy ramieniu, ręka w rękę, bez dzielącej nas przepaści? Nie chciałam być dzieckiem. Chciałam być jego żoną, matką. Chciałam być starsza.

Stałam na tarasie, gryząc paznokcie i patrząc na morze. Pomyślałam po raz dwudziesty chyba tego dnia, czy to z polecenia Maxima pokoje w zachodnim skrzydle pozostawiono całkowicie urządzone.

Byłam ciekawa, czy zagłąda tam podobnie jak pani Danvers, czy dotyka szczołek leżących na toaletce, otwiera szafy i przegląda suknie.

– Chodź, Jasper! – zawołałam. – Chodź, pobiegniemy razem!

Popędziłam jak szalona przez trawnik, czując, że gorzkie łzy napływają mi do oczu. Jasper gonił mnie, szczekając histerycznie.

Wiadomość o balu kostiumowym szybko rozeszła się po okolicy. Mojej garderobianej, Clarice, oczy błyszczały z podniecenia, gdy mówiła o balu, a innego tematu obecnie nie miała. Dowiedziałam się od niej, że służba była zachwycona tym projektem.

– Pan Frith mówi, że to będzie tak jak za dawnych czasów – powiedziała żywo Clarice. – Słyszałam, jak dziś rano mówił to Alice w korytarzu. Jaki strój pani włoży?

– Nie wiem, Clarice, jeszcze nic nie wymyśliłam.

– Matka kazała, żebym jej koniecznie opowiedziała o pani stroju. Ona pamięta ostatni bal w Manderley i zawsze go wspomina. Czy pani wypożyczy kostium z Londynu?

– Jeszcze nie obmyśliłam stroju, Clarice. Wiesz co, jak się zdecyduję, powiem tylko tobie i nikomu więcej. Będzie to nasza tajemnica.

– Och, proszę pani, to cudnie – szepnęła z przejęciem Clarice. – Nie mogę się doczekać tego dnia.

Ciekawiło mnie, jak się na to wszystko zapatruje pani Danvers. Od owego popołudnia nie chciałam słyszeć jej głosu nawet przez telefon. Używając Roberta jako pośrednika, zaoszczędziłam sobie tej przykrości. Nie mogłam zapomnieć wyrazu jej twarzy, gdy wyszła z biblioteki po rozmowie z Maximem. Dziękowałam Bogu, że nie widziała mnie ukrywającej się na krużganku. Zastanawiałam się, czy myślała,

że to ja powiedziałam Maximowi o bytności Favella. Jeśli tak, to musi mnie jeszcze bardziej nienawidzić. Jeszcze teraz wstrząsnął mną dreszcz na wspomnienie dotyku jej ręki i tego wstrętne go poufałego głosu tuż przy moim uchu. Chciałam zapomnieć o tym popołudniu. Dlatego nie rozmawiałam z nią nawet przez telefon.

Przygotowania do balu były już w toku. Wszystkie sprawy załatwiano w biurze. Maxim i Frank przesiadywali tam każdego ranka. Nie miałam z tego powodu żadnych kłopotów, zgodnie z przyrzeczeniem Franka. Nie nakleiałam ani jednego znaczka. Zaczęłam się denerwować, że nie mogę wymyślić sobie stroju. Jak to głupio, że mi nic nie przychodzi do głowy. Stale miałam przed oczami gości, którzy mają przyjechać z Kerrith i z okolicy. Żona biskupa, która z takim zachwytem wspominała ostatni bal, Beatrice z Gilesem, ta nudna lady Crowan i wiele innych osób jeszcze mi nieznanych – wszyscy bez wyjątku będą ciekawi, czego potrafię dokonać, wszyscy będą chętnie krytykować. Wreszcie przypomniałam sobie książki, które Beatrice ofiarowała mi w prezencie. Była to ostatnia deska ratunku. Zasiadłam rano w bibliotece, przeglądając gorączkowo stronę po stronie, studiując jedną ilustrację po drugiej. Nie mogłam znaleźć nic odpowiedniego. Te wspaniałe stroje z aksamitów i jedwabi na reprodukcjach obrazów Rubensa, Rembrandta i innych były bardzo skomplikowane i pretensjonalne. Wzięłam arkusz papieru i skopiowałam kilka sukien. Nie podobały mi się jednak, więc zniechęcona wyrzuciłam szkice do kosza i zapomniałam o nich. Wieczorem, gdy przebierałam się do obiadu, ktoś zapukał do drzwi. Zawołałam „proszę”, myśląc, że to Clarice. Drzwi otworzyły się, a w nich ukazała się pani Danvers. W ręce trzymała arkusz papieru.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale nie byłam pewna, czy pani umyślnie wyrzuciła te rysunki. Co wieczór sprawdzam wszystkie kosze na śmieci, żeby przypadkiem nie wyrzucono czegoś wartościowego. Robert powiedział mi, że znalazł te szkice w koszu w bibliotece.

Na jej widok zrobiło mi się zimno i w pierwszej chwili nie mogłam wydobyć głosu. Pokazała mi arkusz, na którym szkicowałam tego ranka.

– Nie, pani Danvers – powiedziałam po chwili – to można wyrzucić. To tylko szkic, nie jest mi potrzebny.

– Dobrze, ale wolałam spytać panią osobiście, żeby uniknąć nieporozumienia.

– Tak, naturalnie.

Myślałam, że już sobie pójdzie, ale nadal stała przy drzwiach.

– Więc pani się jeszcze nie zdecydowała na żaden strój? – spytała. W głosie jej zabrzmiała nutka szyderstwa i jakby satysfakcji. Pewnie Clarice wygadała się o moich kłopotach.

– Nie, jeszcze nie.

Przyglądała mi się, trzymając rękę na kłamec.

– Dlaczego nie skopiuje pani stroju z któregoś portretu wiszącego w galerii?

Udawałam, że opilowuję paznokcie. Były zbyt krótkie, ale czynność ta służyła za pretekst, żeby nie patrzeć na panią Danvers.

– Zastanowię się nad tym.

Dziwiłam się sama sobie, dlaczego nie wpadłam na ten pomysł. Przecież to takie proste i dobre rozwiązanie. Nie chciałam jednak, żeby odgadła moje myśli. Nadal pilnowałam paznokcie.

– Wszystkie obrazy w galerii nadają się do skopiowania – powiedziała pani Danvers – a szczególnie portret tej młodej dziewczyny w białej sukni z kapeluszem w ręce. Szkoda, że pan de Winter nie ogranicza strojów do jednej epoki, żeby wszyscy byli mniej więcej jednakowo ubrani. Zawsze uważałam, że to dziwnie wygląda, jak kłown tańczy z markizą.

– Niektórzy lubią właśnie różnorodność strojów. Uważają, że to jest zabawniejsze.

– Ja osobiście tego nie lubię – powiedziała pani Danvers.

Głos jej brzmiał zadziwiająco życzliwie. Zastanawiałam się, dlaczego zadała sobie tyle trudu i sama przyszła z moim rysunkiem. Czy chciała wreszcie zawrzeć ze mną przyjaźń? A może przekonała się, że to nie ja powiedziałam Maximowi o bytności Favella, i w ten sposób chciała mi okazać wdzięczność za dotrzymanie tajemnicy?

– Czy pan de Winter nie doradzał pani żadnego stroju?

– Nie – odpowiedziałam po chwili wahania. – Nie, chciałabym zrobić jemu i panu Crawleyowi niespodziankę. Nie chcę, żeby

przed balem dowiedzieli się, w jakim stroju wystąpię.

– Wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale gdy się pani zdecyduje, radziłabym uszyć suknię w Londynie. Tutaj nikt pani dobrze tego nie robi. Magazyn Voce na Bond Street jest dobrą pracownią.

– Muszę to sobie zapamiętać.

– Tak – powiedziała pani Danvers, otwierając drzwi. – Na pani miejscu przyjrzałabym się obrazom, a szczególnie temu portretowi, o którym wspominałam. Niech się pani nie obawia, że zdradzę pani tajemnicę. Nie powiem nikomu ani słowa.

– Dziękuję pani.

Cicho zamknęła za sobą drzwi. Byłam zdziwiona jej zachowaniem, tak odmiennym niż podczas ostatniego spotkania. Zastanawiałam się, ubierając, czy życzliwość jej zawdzięczam temu niesympatycznemu Favellowi.

Kuzyn Rebeki. Dlaczego Maxim nie lubi kuzyna Rebeki? Dlaczego zabronił mu wstępu do Manderley? Beatrice nazwała go „okropnym typem”. Nie mówiła o nim wiele. Im dłużej rozmyślałam o nim, tym słuszniejsza wydawała mi się opinia Beatrice. Te zuchwałe niebieskie oczy, mięsiste usta i poufały śmiech. Niektóre osoby z pewnością uważają go za przystojnego, na przykład sprzedawczynie w sklepach chichoczące za ladą lub dziewczęta roznoszące programy w kinach. Wyobrażałam sobie, jak patrzy na nie, uśmiechając się i pogwizdując pod nosem. Jest to ten rodzaj uśmiechu i gwizdania, który wprawia w zakłopotanie. Zastanawiałam się, czy dobrze znał Manderley. Niewątpliwie zachowywał się swobodnie, ponadto Jasper poznał go od razu, ale te dwa fakty nie zgadzały się ze słowami Maxima wypowiedzianymi do pani Danvers. Nie mogłam również powiązać Favella z moim obrazem Rebeki. Jak mogła Rebeka, z jej urodą i wdziękiem, tak dobrze wychowana, mieć takiego kuzyna jak Jack Favell? Coś tu było nie w porządku, jakoś nie pasowało. Doszłam do wniosku, że on musi być zakałą rodziny, a Rebeka wspaniałomyślnie litowała się nad nim i niekiedy zapraszała go do Manderley, prawdopodobnie podczas nieobecności męża, wiedząc, że Maxim go nie znosi. Możliwe, że doszło do sprzeczki na ten temat, podczas której Rebeka broniła Favella, a od tej pory, gdy ktoś wymieniał jego nazwisko, Maxim wpadał w rozdrażnienie.

Gdy zasiadłam do obiadu naprzeciwko Maxima, wyobrażałam sobie, że Rebeka siedzi na moim miejscu i bierze do ręki widelec. Rozlega się dzwonek telefonu, Frith wchodzi do pokoju i mówi: „Pan Favell chciałby z panią mówić”. Rebeka wstaje z krzesła i rzuca szybkie spojrzenie na Maxima, który się nie odzywa, tylko dalej je rybę. A po skończonej rozmowie Rebeka wraca, siada na swoim miejscu i zaczyna opowiadać coś wesoło, aby zatrzeć to drobne nieporozumienie. Z początku zachmurzony Maxim odpowiada lakonicznie, ale pomału udaje jej się go rozruszać opowiadaniem jakiejś zabawnej historyjki o kimś, kogo spotkała tego dnia w Kerrith. A po następnym daniu Maxim, rozbawiony, patrzy na nią z uśmiechem i wyciąga do niej rękę przez stół.

– O czym ty myślisz, do diabła?! – spytał nagle Maxim.

Drgnęłam i oblałam się rumieńcem, gdyż w ciągu tej krótkiej chwili, która może trwała minutę, tak się wczułam w rolę Rebeki, że sama przestałam istnieć, jakbym rozplynęła się w przestrzeni. Cofnęłam się myślami w przeszłość i stałam się inną osobą.

– Czy wiesz, że robiłaś niezwykle miny zamiast jeść rybę? – powiedział Maxim. – Najpierw nasłuchiwałaś, jakbyś usłyszała dzwonek telefonu, potem poruszyłaś wargami i spjrzałaś na mnie ukradkiem, następnie potrząsnęłaś głową, uśmiechnęłaś się i wzruszyłaś ramionami. I to wszystko w ciągu kilku sekund. Czy to są próby przed twoim występem na balu kostiumowym?

Śmiejąc się, patrzył na mnie przez stół. Zastanawiałam się, co by zrobił, gdyby znał moje myśli i uczucia, gdyby wiedział, że przez kilka sekund był Maximem sprzed roku, a ja Rebeką.

– Masz minę przestępcy, co przeskrobałaś?

– Nic – odpowiedziałam szybko – nic nie przeskrobałam.

– Powiedz mi, o czym myślałaś?

– Dlaczego mam ci powiedzieć? Ty mi nigdy nie mówisz, o czym myślisz.

– Zdaje mi się, że mnie nigdy o to nie pytałaś.

– Owszem, jeden raz.

– Nie pamiętam.

– Byliśmy wtedy w bibliotece.

– Bardzo możliwe. Co powiedziałem?

– Powiedziałaś, że zastanawiasz się, czy ustalono już skład drużyny Surrey na mecz przeciwko Middlesex.

Maxim roześmiał się znowu.

– Co za rozczarowanie dla ciebie! A czego się spodziewałaś?

– Czegoś zupełnie innego.

– Czego?

– Och, nie wiem.

– Tak, sądzę, że nie wiesz. Jeśli powiedziałem ci, że myślę o drużynach Surrey i Middlesex, to znaczy, że myślałem o drużynach Surrey i Middlesex. Mężczyźni są bardziej prości, niż ty to sobie wyobrażasz, moje dziecko. Ale to, co się dzieje w zawiłych, krętych umysłach kobiet, jest dla każdego zagadką. Czy wiesz, że przed chwilą nie byłaś wcale podobna do siebie? Miałaś zupełnie inny wyraz twarzy.

– Czyżby? Jaki?

– Nie wiem, czy potrafię ci wytłumaczyć. Wydawałaś się jakaś starsza i obłudna. To było nieprzyjemne.

– Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Tak, niewątpliwie.

Napiłam się wody, patrząc na Maxima znad brzegu szklanki.

– Czy ty nie chcesz, żebym wyglądała poważniej? – spytałam.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to nie pasuje do ciebie.

– Ale kiedyś to musi nastąpić. Będę miała siwe włosy, zmarszczki i tak dalej.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Nie chcę, żebyś wyglądała tak jak przed chwilą. Miałaś nieprzyjemny grymas na ustach i błysk takiej jakiejś mądrości życiowej w oczach. Niewłaściwej mądrości.

Byłam bardzo zaciekawiona i podniecona.

– Co ty masz na myśli, Maximie? Jaka mądrość jest niewłaściwa?

Maxim milczał przez chwilę. Frith wszedł do pokoju i zmienił talerze. Maxim odezwał się dopiero po jego wyjściu.

– Kiedy cię poznałem, miałaś pewien szczególny wyraz twarzy – powiedział powoli – i masz go nadal. Nie potrafię go określić, ale był jedną z przyczyn, dla których ożeniłem się

z tobą. Przed chwilą, gdy odgrywałaś tę dziwną scenę, wyraz ten zniknął z twojej twarzy. Zastąpił go całkiem inny wyraz.

– Jaki? Wy tłumacz mi, Maximie – powiedziałam skwapliwie.

Przyglądał mi się uważnie, cicho pogwizdując.

– Posłuchaj, moja kochana. Czy jak byłaś małą, nie pozwalano ci czytać pewnych ksiązek i czy ojciec twój trzymał je pod kluczem?

– Tak.

– A więc widzisz. Mimo wszystko mąż nie różni się tak bardzo od ojca. Wolę, żebyś nie posiadała takiej mądrości życiowej. Lepiej trzymać ją pod kluczem. Poprzestańmy na tym. A teraz zjedz brzoskwinie i nie zadawaj mi więcej pytań, bo postawię cię do kąta.

– Chciałabym, żebyś nie traktował mnie jak dziecko.

– Jak mam cię traktować?

– Jak inni mężowie traktują swoje żony.

– To znaczy, mam cię tłuc od czasu do czasu?

– Nie pleć głupstw! Dlaczego musisz wszystko obracać w żart?

– Ja nie żartuję. Mówię bardzo poważnie.

– Nie, wcale nie. Widzę to po twoich oczach. Zabawiasz się ze mną ciągle, tak jakbym była małą dziewczynką.

– Alicja w Krainie Czarów. To był świetny pomysł. Czy kupiłaś sobie szarfę i wstążkę do włosów?

– Ostrzegam cię. Będziesz zaskoczony, gdy zobaczysz mnie w moim przebraniu.

– Z pewnością. Skończ brzoskwinie i nie mów z pełnymi ustami. Mam dużo listów do napisania po obiedzie.

Nie czekał, aż zjem owoce. Wstał od stołu i krążył po pokoju. Kazał Frithowi podać kawę do biblioteki. Siedziałam w milczeniu, nadąsana, marudząc nad brzoskwinia, aby przedłużyć obiad i dokuczyć Maximowi, ale Frith nie zwrócił na mnie uwagi i podał natychmiast kawę. Maxim wyszedł sam do biblioteki.

Po obiedzie poszłam na górę do galerii, aby przyjrzeć się obrazom. Znałam je już dobrze, ale nigdy nie wpadło mi na myśl, żeby skopiować któryś ze strojów. Pani Danvers niewątpliwie miała rację. Co za idiotka ze mnie, że sama nie wpadłam na ten pomysł. Zawsze podobał mi się portret młodej

dziewczyny w białej sukni, z kapeluszem w ręce. Był to portret Karoliny de Winter, siostry prapradziadka Maxima, namalowany przez Raeburna. Karolina wyszła za mąż za znakomitego polityka ze stronnictwa wigów i była słynną pięknnością Londynu. Portret ten został wykonany przed jej ślubem. Biała suknia jest łatwa do skopiowania: bufiaste rękawki, krótki stanik obszyty falbanką. Trudniej będzie zrobić kapelusz. Będę musiała włożyć perukę, bo moje włosy nie dadzą się skrócić w loki. Może ten magazyn Voce w Londynie, o którym wspomniała pani Danvers, potrafi wykonać całość. Poślę im szkic portretu i każę go wiernie skopiować, podając swoje wymiary.

Co za ulga, że wreszcie dokonałam wyboru! Ciężar spadł mi z serca. Zaczęła mnie cieszyć myśl o balu. Może będę się na nim mimo wszystko dobrze bawić.

Nazajutrz rano napisałam do magazynu, załączając szkic portretu. Otrzymałam bardzo uprzejmą odpowiedź, że są zaszczytzeni moim łaskawym zamówieniem, że natychmiast przystępują do roboty i że dostarczą mi również perukę.

Clarice była prawie nieprzytomna z podniecenia, a mnie także opanowała „gorączka balu”, w miarę jak ten wielki dzień się zbliżał.

Tylko Giles i Beatrice mieli nocować u nas, nikt więcej, dzięki Bogu, mimo że sporo osób zostało zaproszonych na obiad przed balem. Myślałam, że będziemy mieli sporo gości, którzy zatrzymają się u nas na noc, ale Maxim nie życzył sobie tego. „Sam bal już jest dostatecznie męczący” – oświadczył mi. Zastanawiałam się, czy unikał gości tylko ze względu na mnie, czy też naprawdę nudzili go, tak jak mówił. Słyszałam tyle o dawnych przyjęciach w Manderley, kiedy goście spali nawet w łazienkach i na kanapkach, bo nie było dla nich miejsca gdzie indziej. A teraz byliśmy sami w wielkim domu, goszcząc jedynie Beatrice i Gilesa.

Dom zaczął nabierać świątecznego wyglądu. W holu ułożono drewniany parkiet do tańca, w salonie przesunięto meble tak, aby można było ustawić długie stoły wzdłuż ścian. Zawieszono lampiony na tarasie i w ogrodzie różanym. We wszystkich pokojach widać było przygotowania do balu. Robotnicy kręcili się po całym domu, a Frank przychodził niemal codziennie na

lunch. Służba nie mówiła o niczym innym, a Frith chodził z taką miną, jakby cała odpowiedzialność za bal spoczywała tylko na nim. Robert tracił głowę, zapominał położyć serwetki lub podać jarzyny. Miał niespokojny wyraz twarzy jak ktoś, kto się śpieszy na pociąg. Psy były nieszczęśliwe. Jasper krążył po holu z podwiniętym ogonem i próbował ugryźć każdego robotnika. Czasem stał na tarasie, szczerząc histerycznie, potem pędził jak szalony przez trawnik i zaczynał gwałtownie żreć trawę.

Pani Danvers działała dyskretnie, ale stale wyczuwałam jej obecność. Słyszałam jej głos, gdy ustawiano stoły w salonie, ona dawała wskazówki przy układaniu parkietu w holu. Gdziekolwiek się zjawiałam, ona dopiero co wychodziła z pokoju. Czasem dostrzegałam rąbek jej spódnicy znikający za drzwiami lub też słyszałam odgłos jej kroków na schodach. Ja byłam bezużytecznym manekinem. Stałam, nic nie robiąc, zawadzałam tylko innym.

– Przepraszam panią – odzywał się jakiś mężczyzna tuż za mną i z nieśmiałym uśmiechem przechodził obok, niosąc na plecach dwa krzesła. Twarz ociekała mu potem.

– Och, przepraszam – mówiłam, usuwając się szybko i dodawałam, aby zamaskować próżniactwo: – Czy mogę pomóc? Może by wstawić te krzesła do biblioteki?

Służący patrzył na mnie zdumiony.

– Pani Danvers kazała nam zanieść te krzesła do części gospodarczej domu, żeby tu nie przeszkadzały.

– Ach tak, naturalnie. Nie pomyślałam o tym. Wobec tego proszę je tam zanieść.

Szybko umykałam z pokoju, mamrocząc, że szukam papieru i ołówka, w daremnym wysiłku przekonania służącego, że jestem bardzo czynna. On szedł przez hol ze zdziwionym wyrazem twarzy, a ja czułam, że nie oszukałam go ani na chwilę.

Wielki dzień nastał zamglony i pochmurny, ale barometr wskazywał na pogodę, więc nie mieliśmy obaw. Mgła była dobrą oznaką. Około jedenastej przejaśniło się, zgodnie z przepowiednią Maxima. Na błękitnym niebie nie pozostała ani jedna chmurka. Zapanowała piękna, słoneczna pogoda.

Przez cały ranek ogrodnicy znosili do domu kwiaty – ostatnie kiście białego bzu, ogromne łubiny i ostróżki na pięć stóp

wysokie, setki róż i wszystkie gatunki lilii.

Wreszcie ukazała się pani Danvers. Spokojnie wskazywała ogrodnikom, gdzie mają położyć kwiaty, a sama szybko i zręcznie układała bukiety w wazonach. Obserwowałam ją, pełna podziwu, jak pięknie dekorowała wazony. Odnosiła je osobiście do salonu i innych pokoi, grupując w odpowiednich ilościach, ożywiając barwnymi bukietami wnętrza, które tego wymagały, i pozostawiając puste ściany tam, gdzie surowość była wskazana.

Frank zaprosił nas na lunch do swego kawalerskiego mieszkania sąsiadującego z biurem administracji, żeby tego dnia ulżyć służbie. Naszą trójkę ogarnął wisielczy humor. Opowiadaliśmy głupie dowcipy, ani na chwilę nie przestając myśleć o tym, co nas czeka za kilka godzin. Czułam się podobnie jak w dzień ślubu. Zdawałam sobie sprawę, że już teraz za późno, by się cofnąć.

Trzeba było mężnie stawić czoło temu wieczorowi. Na szczęście magazyn Voce przysłał mi suknię w obiecany terminie. Suknia wyglądała pięknie wśród zwojów bibułki. Peruka udała się nadzwyczajnie. Przymierzyłam ją po śniadaniu i zdumiałam się swoją przemianą. Wyglądałam całkiem ładnie – byłam zupełnie inną osobą; znacznie bardziej interesującą, pełną życia i temperamentu. Maxim i Frank dopytywali się o mój strój.

– Nie poznacie mnie, będziecie zaskoczeni jak nigdy w życiu.

– Chyba nie zamierzasz przebrać się za kłowna? – ponuro spytał Maxim. – Ani za jakąś koszmarną, śmieszna postać?

– Nie, skąd znowu – powiedziałam godnie.

– Wolalbym, żebyś wystąpiła jako Alicja w Krainie Czarów – zauważył Maxim.

– Albo jako Joanna d’Arc, bo ma pani takie włosy jak ona – nieśmiało wtrącił Frank.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło – powiedziałam obojętnym tonem.

Frank zaczerwienił się.

– Jestem pewien, że będzie się nam pani podobać w każdym stroju – oświadczył swoim najbardziej pompatycznym tonem.

– Nie wbijaj jej w dumę, Frank – odezwał się Maxim. – Ona już i tak przechwala się niemożliwie swoim strojem. Jedyna

pociecha, że Bea przytnie jej skrzydełka. Od razu cię skrytykuje, jeśli suknia się jej nie spodoba. Kochana Bea, zawsze wygląda nie tak jak trzeba na tych balach. Pamiętam, jak pewnego razu przebrała się za Madame Pompadour. Potknęła się wówczas, idąc na kolację, i peruka przekrzywiła się jej na głowie. „Nie mogę wytrzymać w tym okropieństwie”, powiedziała bez ogródek, cisnęła perukę na krzesło i przez resztę wieczoru obnosiła swoją nowoczesną fryzurę. Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądała z tymi krótkimi włosami w niebieskiej jedwabnej krynolinie. Biedny Giles nie bawił się tego roku. Zjawił się przebrany za kucharza i przesiedział całą noc w barze z bardzo nieszczęśliwą miną. Pewnie uważał, że Bea zachowała się niewłaściwie.

– Nie, to nie chodziło o to – wtrącił Frank. – Czyż nie pamiętasz, że wybił sobie przednie zęby, ujeżdżając nową klacz? Tak się tego wstydził, że nie odzywał się ani słowem.

– Ach, to dlatego! Biedny Giles. A tak lubi wszelkie zabawy z przebieraniem się.

– Beatrice mówiła, że on przepada za szaradami – powiedziałam. – Opowiadała mi, że na Boże Narodzenie zawsze zabawiają się w szarady.

– Wiem o tym – oświadczył Maxim – i dlatego nigdy nie spędzam u nich świąt.

– Może pani pozwoli jeszcze szparagów?

– Nie, naprawdę nie, Frank, nie jestem głodna, dziękuję.

– Nerwy – zauważył Maxim. – Nie trzeba się przejmować, jutro o tej porze już będzie po wszystkim.

– Mam nadzieję – powiedział poważnie Frank. – Właśnie miałem wydać polecenie, żeby wszystkie samochody były w pogotowiu już o piątej rano.

Zaczęłam się śmiać, łzy napłynęły mi do oczu.

– Och, roześlijmy depesze do wszystkich, żeby nie przyjeżdżali.

– Odwagi, musisz to dzielnie znieść – powiedział Maxim. – Nie musimy wydawać balu co roku. Frank, niepokoi mnie myśl, że już powinniśmy wrócić do domu. Jak uważasz?

Frank zgodził się z nim. Niechętnie opuszczałam ciasną, niewygodną jadalnię, tak charakterystyczną dla kawalerskiego

gospodarstwa Franka. Wydawała mi się przybytkiem ciszy i spokoju.

Po powrocie do domu okazało się, że przybyła orkiestra. Członkowie jej stali w holu zaczerwienieni i onieśmieleni, podczas gdy Frith, bardziej godny niż zwykle, roznosił kanapki i napoje. Muzycy mieli nocować u nas. Po powitaniu i wymianie kilku dowcipów udali się do swoich pokojów. Nieco później mieli zwiedzić Manderley.

Popołudnie wlokło się jak ostatnia godzina przed wyjazdem w podróż, kiedy rzeczy są spakowane, a nerwy napięte oczekiwaniem. Wędrowałam z pokoju do pokoju, równie podniecona jak Jasper, który człapał za mną z wyrazem żalości w oczach.

Mojej pomocy nikt nie potrzebował. Najrozsądniej byłoby, gdybym wybrała się z psem na długi spacer. Za późno jednak doszłam do tego wniosku, bo w tym momencie Maxim i Frank zażądali podwieczorku, a potem przyjechała Beatrice z Gilesem. Wieczór nadszedł zbyt szybko.

– Przypominają mi się dawne czasy – oznajmiła Beatrice, całując Maxima i rozglądając się dokoła. – Gratuluje, że pamiętałeś o wszystkim. Kwiaty są wspaniałe – dodała, zwracając się do mnie. – Czy ustawiałaś je sama?

– Nie – odpowiedziałam zawstydzona. – Pani Danvers zajmowała się wszystkim.

– No cóż, przecież... – Beatrice urwała w połowie zdania, w tym momencie Frank podał jej ogień, a gdy zapaliła papierosa, wydawało się, że zapomniała, co chciała powiedzieć.

– Czy jak zwykle firma Mitchell zajmuje się stroną kulinarną? – spytał Giles.

– Tak – powiedział Maxim. – Chyba wszystko zorganizowaliśmy tak jak dawniej, prawda, Frank? Mieliśmy dokładne notatki z poprzednich balów, więc o niczym nie zapomnieliśmy i chyba nie pominęliśmy nikogo.

– Jak to przyjemnie, że jesteśmy w swoim gronie – odezwała się Beatrice. – Pamiętam, że kiedyś przyjechaliśmy o tej porze i zastaliśmy już ponad dwadzieścia osób, które miały pozostać na noc. W jakich strojach występujecie? Pewnie Maxim jak zwykle nie raczy się przebrać?

– Tak, jak zwykle – potwierdził Maxim.

– Moim zdaniem niesłusznie. Gdybyś się przebrał, byłaby jeszcze lepsza zabawa.

– Czy zdarzyło ci się być na balu w Manderley, na którym nie bawiono by się doskonale?

– Nie, mój drogi, wszystko jest zbyt dobrze zorganizowane. Ale uważam, że gospodarz powinien dawać przykład.

– Wystarczy, jeśli gospodyni się wysili – odparł Maxim. – Dlaczego ma mi być gorąco i niewygodnie, a na domiar złego mam jeszcze robić z siebie błazna?!

– Ach, mówisz głupstwa. Na pewno nie wyglądałbyś na błazna. Ty, mój drogi, możesz sobie pozwolić na dowolny strój. Nie masz zmartwienia ze swoją figurą, jak biedny Giles.

– W czym wystąpi dzisiaj Giles? – spytałam. – A może to tajemnica?

– Nie, bynajmniej – rozpromienił się Giles – uważam, że to dobry pomysł. Wystąpię jako arabski szejek. Uszył mi ten strój nasz miejscowy krawiec.

– Wielki Boże – westchnął Maxim.

– To wcale nie jest zły pomysł – wtrąciła żywo Beatrice. – Giles oczywiście musi przyciemnić twarz, no i zdjąć okulary. Ubiór głowy jest autentyczny, pożyczaliśmy go od znajomego, który mieszkał na Wschodzie. Krawiec skopiował strój z jakiegoś pisma. Giles doskonale w nim wygląda.

– A za kogo pani się przebiera? – spytał Frank.

– O, ja się zbyt nie wysilałam – odpowiedziała Beatrice. – Zrobiłam sobie jakiś wschodni kostium, aby pasował do stroju Gilesa, ale nie twierdzę, że jest autentyczny. Sznury korali i zasłona na twarzy.

– To musi być bardzo ładny strój – powiedziałam uprzejmie.

– Tak, niebrzydki, a przede wszystkim wygodny. Jeśli mi będzie za gorąco, zdejmę zasłonę. A co ty włożysz?

– Nie pytaj jej – wtrącił Maxim. – Nie chce się przyznać. To wielka tajemnica. Zdaje się, że nawet sprowadziła sobie ten strój z Londynu.

– Moja droga – powiedziała z przejęciem Beatrice – czyżbyś się zrujnowała, aby zaćmić wszystkie panie? Ja sama szylam swój kostium.

– Nie martw się – powiedziałam ze śmiechem. – Moja suknia jest bardzo skromna. Ponieważ Maxim dokuczał mi,

powiedziałam mu, że czeka go wielka niespodzianka.

– Słusznie – odezwał się Giles. – Maxim jest za ważny. Z pewnością zazdrości nam, że się przebieramy, a nie chce się do tego przyznać.

– Nigdy w życiu – zaprzeczył Maxim.

– A co pan włoży, Crawley? – spytał Giles.

Frank miał zażenowaną minę.

– Byłem tak zajęty, że zostawiłem wszystko na ostatnią chwilę. Wczoraj wieczorem wyszukałem jakieś stare spodnie i pasiastą koszulkę futbolową. Chciałem włożyć czarny plaster na oko i wystąpić jako pirat.

– Dlaczego nie napisał pan do nas? Pożyczylibyśmy panu jakiś kostium – wtrąciła Beatrice. – Mamy strój Holendra, w którym Roger występował w zimie w Szwajcarii. Doskonale by pan w nim wyglądał.

– Nie zgadzam się, by mój administrator paradował jako Latający Holender – zaprotestował Maxim. – Nikt by mu nie zapłacił dzierżawy. Niech już lepiej będzie piratem. Może w ten sposób nastraszy niektórych.

– Czy może się ktoś gorzej nadawać na pirata? – szepnęła mi na ucho Beatrice.

Udałam, że nie słyszę. Biedny Frank, ona zawsze z niego kpiła.

– Ile czasu zajmie mi pomalowanie twarzy? – spytał Giles.

– Co najmniej ze dwie godziny – odpowiedziała Beatrice. – Na twoim miejscu już bym zaczynała. Ile osób będzie na obiedzie?

– Szesnaście – powiedział Maxim – łącznie z nami. Sami swoi. Znasz wszystkich.

– Zaczynam już mieć przedbalową trewę – powiedziała Beatrice. – Ile przyjemności dają nam te bale! Tak się cieszę, Maximie, że je wznowiłeś.

– Podziękuj jej za to – odparł Maxim, wskazując na mnie.

– Ach, skąd znowu – zaprzeczyłam. – To była inicjatywa lady Crowan.

– Nic podobnego – powiedział Maxim, uśmiechając się do mnie. – Widzę, że jesteś podniecona jak dziecko przed swoim pierwszym balikiem.

– Wcale nie.

– Jestem strasznie ciekawa twojej sukni – wtrąciła Beatrice.

– Nic nadzwyczajnego, naprawdę.

– Pani de Winter zapowiedziała, że jej nie poznamy – odezwał się Frank.

Wszyscy spojrzeli na mnie, uśmiechając się. Ogarnęło mnie przyjemne podniecenie, byłam niemal szczęśliwa. Wszyscy odnosili się do mnie tak miło i życzliwie. Nagle zaczęła mnie cieszyć myśl o balu oraz to, że wystąpię w roli pani domu.

Bal wydawano na moją cześć, ponieważ byłam młodą panią domu. Siedziałam na stole w bibliotece, machając nogami, wszyscy stali dokoła mnie. Miałam wielką ochotę pójść do swego pokoju, włożyć suknię, przymierzyć perukę i pokręcić się przed dużym lustrem wiszącym na ścianie. Nieznane mi było to nagłe, niespodziewane uczucie, że jestem osobą wzbudzającą zainteresowanie, Giles bowiem i Beatrice, Frank i Maxim, wszyscy patrzyli na mnie i rozmawiali o mojej sukni. Wszyscy zastanawiali się, w jakim stroju wystąpię. Pomyślałam o powiewnej białej sukni zawiniętej w bibułkę. Suknia ta ukryje moją płaską figurę i spadziste ramiona. Moje proste włosy schowam pod lśniącoymi lokami.

– Która godzina? – spytałam obojętnym tonem, dyskretnie ziewając, aby zamaskować podniecenie. – Czy nie powinniśmy już pójść na górę?

Przechodząc przez hol, zdałam sobie sprawę po raz pierwszy, jak wspaniale ten dom nadaje się do takich przyjęć i jak pięknie teraz wyglądają pokoje. Nawet salon, który uważałam zawsze za zimny i nieprzytulny, stał się bajecznie kolorowy. Pełno w nim było kwiatów. Czerwone róże w srebrnych czarach tworzyły barwne plamy na bieli obrusów. Otwarte okna i drzwi ukazywały taras, na którym z zapadnięciem zmierzchu rozblysnę kolorowe lampiony.

Orkiestra ustawiła instrumenty na krużganku pieśniarzy. W holu unosił się nastrój pełen wyczekiwania. Było w nim ciepło i przytulnie jak nigdy dotąd. Sprawił to cichy, pogodny wieczór, kwiaty ustawione pod obrazami i nasz wesoły śmiech, gdy żartowaliśmy, stojąc na szerokich kamiennych schodach.

Dawna surowość domu zniknęła. Nie przypuszczałam, że Manderley ożyje w taki widoczny sposób. To już nie był ten cichy, spokojny dom, który znałam. Nabrał teraz specyficznej godności, której nie dostrzegałam przedtem. Panował w nim

nastrój beztroski i jakby triumfalny. Miałam wrażenie, że dom wspomina dawne, dawne czasy, gdy w holu odbywały się uczyty, na ścianach wisiały gobeliny i broń, a rycerze siedzieli przy długim, wąskim stole ustawionym pośrodku, śmiejąc się głośniejszym niż my teraz, wołając o wino, o śpiew, rzucając drzemiącym psom duże kawały mięsa na kamienne płyty. W późniejszych latach panował podobnie wesoły nastrój, ale okraszony wdziękiem i godnością. Karolina de Winter, którą dziś będę uosabiać, schodziła po tych szerokich schodach w białej sukni, żeby zatańczyć menueta. Pragnęłam cofnąć się i zobaczyć ją. Żałowałam, że musimy obniżyć dostojeństwo domu, zezwalając na granie nowoczesnych jazzowych melodii, które tu nie pasują i są takie nieromantyczne. Będą razić w Manderley. Nagle przyznałam rację pani Danvers. Powinniśmy byli ograniczyć stroje do jednej epoki, a nie dopuścić do mieszaniny kostiumów, jaka siłą rzeczy powstanie. Chociażby ten biedny Giles w przebraniu szejka!

Clarice czekała na mnie w sypialni z wypiekami na twarzy. Chichotałyśmy obie jak pensjonarki. Kazałam jej zamknąć drzwi na klucz. Bibułka szeleściła tajemniczo. Mówiłyśmy szeptem jak spiskowcy, chodziłyśmy na palcach. Czułam się jak dziecko w wigilię Bożego Narodzenia. Bieganie boso po pokoju, ciche wybuchy śmiechu, zduszone wykrzykniki – to wszystko przypominało mi zawieszanie pończochy dla Świętego Mikołaja przed wielu laty. Maxim był w swojej ubieralni, nie miał do nas dostępu. Jedynie Clarice była moim sprzymierzeńcem i przyjacielem.

Suknia leżała doskonale. Stałam bez ruchu, z trudem opanowując zniecierpliwienie, gdy Clarice zapinała niezręcznie haftki.

– Piękna suknia, proszę pani – powtarzała ciągle, przysiadając na piętach, by mnie obejrzeć. – Takiej sukni nie powstydziliby się sama królowa Anglii.

– A tam na lewym ramieniu? – spytałam zaniepokojona. – Czy nie widać ramiączka?

– Nie, proszę pani, nic nie widać.

– Jak ja wyglądam? Czy dobrze?

Nie czekając na jej odpowiedź, zaczęłam obracać się przed lustrem, marszczyłam brwi, uśmiechałam się do swego odbicia.

Czułam się zupełnie inaczej, przestał mnie dręczyć mój wygląd. Odniosłam wreszcie zwycięstwo nad swoją nieciekawą osobowością.

– Podaj mi perukę – powiedziałam podniecona. – Ostrożnie, nie zgnieć loków, muszą odstawać od twarzy.

Clarice stała za mną, widziałam w lustrze jej okrągłą twarz obok mojej. Oczy jej błyszczały, usta miała rozchylone.

Zaczesalam włosy gładko za uszy. Drżącymi rękami wzięłam czarne loki, śmiałam się cichutko, patrząc na garderobianą.

– Och, Clarice, co powie pan de Winter?

Włożyłam perukę na moje popielate włosy, starając się ukryć triumf i radość. Ktoś zastukał głośno do drzwi.

– Kto tam?! – zawołałam przestraszona. – Nie można.

– To ja, moja droga, nie denerwuj się – odezwała się Beatrice.

– Czy już jesteś gotowa? Chciałabym cię zobaczyć.

– Nie, nie możesz wejść, jeszcze nie jestem gotowa.

Clarice stała obok mnie, podając mi szpilki do włosów, a ja przypinałam loki, które potargały się przy rozpakowywaniu.

– Zejdę sama, jak się ubiorę! – zawołałam. – Idźcie na dół, nie czekajcie na mnie. Powiedz Maximowi, żeby tu nie przychodził.

– Maxim jest na dole. Przyszedł do nas i powiedział, że walił do drzwi łazienki, a ty się wcale nie odezwałaś. Nie marudź zbyt długo, moja droga, jesteśmy wszyscy bardzo zaintrygowani. Czy nie potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie! – krzyknęłam niecierpliwie, tracąc głowę. – Idź już na dół!

Dlaczego musiała przyjść i przeszkadzać mi w tym momencie? Zdenerwowałam się, nie wiedziałam, co robię. Wetknęłam mocno szpilkę, przypinając lok. Beatrice nie odezwała się więcej, widocznie poszła na dół. Byłam ciekawa, czy dobrze się czuje w swoim wschodnim stroju i czy Gilesowi udało się przyciemnić twarz. Jakie to wszystko głupie! Dlaczego zachowywaliśmy się jak dzieci?

Nie poznałam twarzy, którą ujrzałam w lustrze. Oczy wydawały się większe, usta mniejsze, cera jaśniejsza. Czarne loki pięknie zdobiły głowę. Patrzyłam na swoje odbicie, które wcale nie było podobne do mnie, i po chwili uśmiechnęłam się. Był to nowy, inny uśmiech.

– Och, Clarice – powiedziałam. – Clarice.

Dygnęłam przed nią, unosząc suknię i falbankami zamiatając podłogę. Zachichotała zmieszana, ale zarumieniła się z zadowolenia. Paradowałam tam i z powrotem przed lustrem, przyglądając się swemu odbiciu.

– Otwórz drzwi – powiedziałam. – Schodzę na dół. Pobiegnij i zobacz, czy wszyscy są w holu.

Clarice wyszła, nadal chichocząc, a ja, uniósłszy falbany sukni, pośpieszyłam za nią. Obejrzała się i dała mi znak, że mogę iść.

– Wszyscy na dole – szepnęła. – Pan de Winter i państwo Lacy. Pan Crawley dopiero co przyszedł. Wszyscy stoją w holu.

Wyjrzałam zza kolumny i zerknęłam na dół. Tak, oto oni. Giles w białym arabskim stroju śmiał się głośno, wskazując na sztylet u swego boku. Przy nim stała Beatrice w dziwacznych zielonych draperiach, z długimi sznurami koralu na szyi. Biedny Frank, wyraźnie speszony, wyglądał śmiesznie w pasiastej koszulce i butach rybackich. Jedynie Maxim był we fraku.

– Nie wiem, co ona robi tak długo – powiedział. – Tyle godzin siedzi w swojej sypialni. Która godzina, Frank? Zanim się obejrzymy, zjadą goście zaproszeni na bal.

Muzycy przebrani w stroje wieczorowe zajęli już miejsca na krążanku. Jeden z nich stroił skrzypce. Cicho zagrał gamę, potem brzdąknął palcem o strunę. Światło padało na obraz Karoliny de Winter.

Tak, suknia była wiernie skopiowana według mojego szkicu. Bufiaste rękawki, szarfa, wstążka, duży miękki kapelusz, który trzymałam w ręce. Moje loki były dokładną kopią jej loków, tak samo otaczały moją twarz jak twarz z portretu. Nigdy nie odczuwałam takiego podniecenia, taka byłam szczęśliwa i dumna. Skinęłam ręką na skrzypka i przyłożyłam palec do ust. Ukłonił się z uśmiechem i podszedł do mnie.

– Niech pan powie, żeby mnie zapowiedziano – szepnęłam. – Pan wie, jak to zwykle biją w bęben przed występami, a potem proszę oznajmić pannę Karolinę de Winter. Chcę zrobić wszystkim niespodziankę.

Skinął głową na znak zrozumienia. Serce biło mi jak szalone, policzki płonęły. Co za wspaniała zabawa, śmieszna, dziecinna zabawa! Uśmiechnęłam się do Clarice, która nadal stała w korytarzu, i uniosłam falbany sukni. Werbel rozniósł się

echem po holu, oszołomił mnie na chwilę, chociaż czekałam na ten sygnał i wiedziałam, że nastąpi. Zobaczyłam, że wszyscy spojrzeli w górę, byli zdumieni i zaskoczeni.

– Panna Karolina de Winter – padła zapowiedź.

Wyszłam z mego ukrycia i stanęłam na górze schodów, uśmiechając się i trzymając kapelusz w ręce, jak dziewczyna z portretu. Powoli schodziłam, czekając na oklaski i śmiech, które powinny były nastąpić. Nikt nie klaskał, nikt się nie poruszył.

Wszyscy wpatrywali się we mnie bez słowa. Beatrice wydała cichy okrzyk i przycisnęła rękę do ust. Uśmiechając się nadal, oparłam się o poręcz.

– Witam pana, panie de Winter – powiedziałam.

Maxim stał bez ruchu. Wpatrywał się we mnie, trzymając kieliszek w ręce. Krew odpłynęła mu z twarzy, był śmiertelnie blady. Zobaczyłam, że Frank podszedł do niego, jakby chciał coś powiedzieć, ale Maxim go odtrącił. Zatrzymałam się z jedną nogą na schodach. Coś się stało, oni nie zrozumieli, o co chodzi. Dlaczego Maxim tak pobladł? Dlaczego wszyscy stali jak manekiny czy ludzie w transie?

Nagle Maxim zbliżył się do schodów, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Co ty sobie myślisz, do diabła?! – powiedział.

W jego oczach płonął gniew, twarz miał nadal śmiertelnie bladą.

Nie mogłam się ruszyć, stałam jak przykuta, z ręką na poręczy.

– To portret – powiedziałam przerażona jego wzrokiem, jego głosem. – Ten portret z galerii.

Zapadło głucho milczenie. Patrzyliśmy na siebie bez słowa. Nikt się nie poruszył. Przełknęłam ślinę, chwyciłam się za szyję.

– O co chodzi? – spytałam. – Co ja takiego zrobiłam?

Ach, żeby tylko nie wpatrywali się tak we mnie! Z ich twarzy nic nie mogłam wyczytać. Kiedy Maxim zaczął mówić, nie poznałam jego głosu. Był to cichy, spokojny, lodowato zimny głos, zupełnie mi obcy.

– Idź i przebierz się. Obojętne, co włożysz. Weź jakąś suknię wieczorową, byle jaką. Idź zaraz, zanim ktoś przyjedzie.

Nie mogłam wydobyć głosu, nadal patrzyłam na Maxima. Jedynie oczy miał żywe w białej masce twarzy.

– Na co czekasz? – rzucił ostrym, dziwnym tonem. – Nie słyszałaś, co ci powiedziałem?!

Odwróciłam się i pobiegłam na górę. Dostrzegłam zdumiony wyraz twarzy muzyka, który mnie zapowiadał. Minęłam go, potykając się, nie patrząc pod nogi. Oślepiały mnie łzy. Nie wiedziałam, co się dzieje. Clarice zniknęła. Korytarz był pusty. Rozejrzałam się dokoła, oszołomiona i zagubiona jak ścigane zwierzę. Nagle zobaczyłam, że drzwi prowadzące do zachodniego skrzydła są otwarte szeroko i że stoi w nich jakaś postać.

Była to pani Danvers. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, wyrazu pogardliwego i triumfującego. Rozradowana diabelska twarz. Stała, uśmiechając się do mnie szyderczo.

Wówczas rzuciłam się do ucieczki, wzdłuż długiego, wąskiego korytarza, potykając się i nadeptując falbanki sukni.

Clarice czekała na mnie w sypialni. Była blada i wystraszona. Na mój widok wybuchnęła płaczem. Nie odezwałam się ani słowem. Zaczęłam szarpać haftki sukni, drąc materiał. Nie mogłam ich rozpiąć. Clarice, szlochając głośno, zbliżyła się, żeby mi pomóc.

– Nie płacz, Clarice, to nie twoja wina.

Potrząsnęła głową, łzy płynęły jej po policzkach.

– Ta śliczna suknia – wykrztusiła. – Ta śliczna biała suknia.

– To nie ma znaczenia. Czy nie możesz znaleźć haftki? Tu jest jedna z tyłu. A druga trochę niżej.

Drżącymi rękami usiłowała rozpiąć suknię, robiąc to jeszcze gorzej ode mnie i z trudem łapiąc oddech.

– Co pani włoży teraz?

– Nie wiem. Nie wiem.

Wreszcie Clarice rozpięła haftki i pomogła mi zdjąć suknię.

– Chciałabym zostać sama, Clarice. Proszę cię, żebyś teraz wyszła. Nie martw się, dam sobie radę. Zapomnij o tym, co się stało. Chciałabym, żebyś się dobrze bawiła.

– Czy mogę odprasować pani jakąś suknię? – spytała, patrząc na mnie zapuchniętymi oczami, z których nadal płynęły łzy. – To potrwa chwileczkę.

– Nie, nie trzeba. Wolę, żebyś mnie zostawiła samą, i Clarice...

– Słucham panią?

– Nie mów... nie mów nikomu o tym, co zaszło.

– Dobrze, proszę pani. – Znowu wybuchnęła płaczem.

– Nie możesz się tak pokazać. Idź do swojego pokoju i odśwież twarz. Nie ma żadnego powodu do płaczu, żadnego.

Ktoś zastukał do drzwi. Clarice rzuciła mi przestraszone spojrzenie.

– Kto tam? – spytałam.

Drzwi się otworzyły, weszła Beatrice. Zbliżyła się do mnie. Wyglądała dziwnie w swoich wschodnich draperiach, z bransoletami dzwoniącymi na rękach.

– Moja droga – odezwała się. – Moja droga. – Wyciągnęła do mnie obie ręce.

Clarice wymknęła się z pokoju. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie, poczułam się zupełnie bezradna. Usiadłam na łóżku. Zdjęłam perukę. Beatrice przyglądała mi się badawczo.

– Jak się czujesz? Jesteś bardzo blada.

– Tu jest takie światło. Zawsze się przy nim blado wygląda.

– Posiedź spokojnie przez kilka minut, poczujesz się lepiej. Zaraz przyniosę ci szklankę wody.

Poszła do łazienki, dzwoniąc bransoletami przy każdym ruchu. Przyniosła mi szklankę wody.

Wypiłam kilka łyków, żeby jej zrobić przyjemność. Wcale nie chciało mi się pić. Woda była letnia, Beatrice nie poczekała, aż naleci zimna.

– Domyśliłam się od razu, że to był tylko fatalny zbieg okoliczności. Przecież nie mogłaś tego wiedzieć, skąd byś miała wiedzieć?

– O czym?

– Ależ, kochane biedactwo, o sukni, którą skopiowałaś z portretu. To samo zrobiła Rebeka na ostatnim balu. Skopiowała tę samą suknię. Suknię z tego samego obrazu. Jak stanęłaś tam na schodach, przez chwilę wydawało mi się...

Urwała i poklepała mnie po ramieniu.

– Moje biedne dziecko, co za pech, no, ale skąd mogłaś wiedzieć?

– Powinnam się była domyślić – powiedziałam głupio, wpatrując się w nią zbyt oszołomiona, żeby wszystko zrozumieć.
– Powinnam się była domyślić.

– Głupstwa mówisz, jak mogłaś się domyślić? Nikomu z nas to nie przyszło do głowy. Tylko że wrażenie było wstrząsające. Nikt się nie spodziewał, a Maxim...

– Co Maxim?

– On myśli, że zrobiłaś to celowo. Założyłaś się z nim, że go zaskoczysz, prawda? Myśli, że to taki głupi kawał. On nie rozumie tego. To był dla niego straszny wstrząs. Powiedziałam

mu od razu, że nie zrobiłabyś nigdy czegoś podobnego i że fatalnym zbiegiem okoliczności wybrałaś właśnie suknię z tego obrazu.

– Powinnaś się była domyślić – powtórzyłam znowu. – To moja wina. Powinnaś była wiedzieć.

– Nie, nie. Nie martw się, wytłumaczysz mi tę historię spokojnie. Wszystko się ułoży jak najlepiej. Pierwsi goście nadjechali, gdy szłam do ciebie. Piją koktajle. Wszystko jest w porządku. Pouczyłam Franka i Gilesa, żeby mówili, że twoja suknia się nie udała i że jesteś bardzo rozczarowana.

Milczałam. Siedziałam na łóżku, trzymając ręce na kolanach.

– Co możesz włożyć? – spytała Beatrice, podchodząc do szafy i otwierając drzwi. – O, tu jest coś niebieskiego. Wygląda ślicznie. Włóż tę suknię. Prędko, pomogę ci.

– Nie, ja nie zejdem.

Beatrice spojrzała na mnie zrozpaczona, trzymając niebieską suknię.

– Ależ, moja droga, musisz zejść. Twoja obecność jest konieczna.

– Nie, Beatrice, ja nie zejdem. Po tym, co zaszło, nie mogę spojrzeć ludziom w oczy.

– Przecież nikt się nie dowie o tym stroju. Frank i Giles nie pisną ani słówka. Ułożyliśmy doskonałą bajeczkę. Magazyn przysłał ci suknię, której nie możesz włożyć, i dlatego wystąpisz w zwykłej toalecie wieczorowej. Wszyscy w to uwierzą. Bal na tym nie ucierpi.

– Ty nie rozumiesz, to nie chodzi o suknię. Wcale nie. Chodzi o to, co zaszło, co ja zrobiłam. Nie mogę się pokazać teraz, Beatrice, nie mogę!

– Ależ, moja droga, Giles i Frank rozumieją to doskonale. Są pełni współczucia. Maxim także. To tylko ten szok... Postaram się pomówić z nim na osobności i wytłumaczę mu wszystko.

– Nie! Nie!

Położyła niebieską suknię na łóżku obok mnie.

– Wszyscy goście zaczną się wkrótce zjeżdżać – powiedziała bardzo zmartwiona, bardzo zdenerwowana. – Jak to będzie wyglądać, jeśli ty się nie zjawisz? Przecież nie mogę powiedzieć, że nagle dostałaś bólu głowy.

– Dlaczego nie? – odparłam znużona. – Co to szkodzi? Wymyśl jakiś wykręt. Nikt się tym nie przejmie, nikt mnie nie zna.

– Słuchaj, moja droga – powiedziała, głaszcząc moją rękę – zdobądź się na ten wysiłek. Włóż tę śliczną niebieską suknię. Pomyśl o Maximie. Musisz to zrobić dla niego.

– Cały czas myślę o Maximie.

– No więc, chyba...

– Nie – powiedziałam, gryząc paznokcie i kiwając się na łóżku. – Nie mogę, nie mogę!

Ktoś zastukał do drzwi.

– Och, któż tam znowu? – Beatrice westchnęła podchodząc do drzwi. – O co chodzi?

Otworzyła drzwi. Giles stał na korytarzu.

– Wszyscy przyjechali. Maxim przysłał mnie, żebym się dowiedziała, co się dzieje.

– Ona nie chce zejść – powiedziała Beatrice. – Co my powiemy?

Dostrzegłam Gilesa, który przyglądał mi się przez drzwi.

– O Boże, co za okropne zamieszanie – szepnął. Odwrócił się, gdy zauważył, że go dostrzegłam. – Co mam powiedzieć Maximowi? – spytał. – Już jest pięć po ósmej.

– Powiedz mu, że ona zasłabła, ale postara się zejść nieco później. Niech nie czekają z obiadem. Ja zaraz schodzę i załagodzę sytuację.

– Dobrze.

Zerknął ponownie w moim kierunku, pełen współczucia, ale i ciekawości. Dziwił się pewnie, dlaczego siedzę na łóżku. Odezwał się cichym głosem, tak jak się mówi po jakimś wypadku, przed przybyciem doktora.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Nie, idź na dół – odpowiedziała Beatrice. – Ja przyjdę za chwilę.

Odszedł posłusznie, powłócząc swym arabskim strojem. To chwila, pomyślałam, z której będę się śmiać po wielu latach, mówiąc: „Czy pamiętasz Gilesa przebranego za Araba, a Beatrice z zasłoną na twarzy i dzwoniącymi bransoletami na rękach?”. Czas złagodzi wszystko, zamieni to w chwilę śmiechu. Ale teraz ten moment nie był zabawny, teraz nie miałam ochoty się śmiać.

To nie była przeszłość, to była terażniejszość. Zbyt żywa i prawdziwa. Siedziałam na łóżku, skubiąc pierzynkę i wyciągając piórko przez dziurkę.

– Może napijesz się koniaku? – spytała Beatrice, próbując namówić mnie po raz ostatni. – Czasami działa znakomicie na samopoczucie.

– Nie, ja nic nie chcę.

– Muszę już iść. Giles mówi, że czekają z obiadem. Czy mogę cię zostawić samą?

– Tak, dziękuję ci, Beatrice.

– Och, moja droga, nie dziękuj mi. Chciałabym ci jakoś pomóc.

Pochyliła się do lustra i upudrowała.

– Boże, jak ja wyglądam! Ta przeklęta zasłona przekrzywiła się, ale nic na to nie poradzę.

Szybko wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Czułam, że odmawiając zejścia na dół, straciłam jej sympatię. Okazałam się tchórzem. Ona tego nie rozumiała. Należała do innej rasy ludzi niż ja. Kobiety jej rasy były dzielne. Nie tak jak ja. Gdyby Beatrice była na moim miejscu, włożyłaby inną suknię i zeszła witać gości. Stałaby u boku Gilesa i witała wszystkich z uśmiechem na ustach. Ja nie mogłam się na to zdobyć. Nie miałam dumy, nie miałam odwagi. Byłam źle wychowana.

Nadal widziałam oczy Maxima płonące w bladej twarzy, a za nim Gilesa, Beatrice i Franka stojących jak manekiny i wpatrujących się we mnie.

Podniosłam się z łóżka i podeszłam do okna. Ogrodnicy sprawdzali rzędy lampionów w ogrodzie różanym, próbując, czy wszystkie się palą. Po jasnym niebie płynęły na zachód nieliczne różowe chmurki. Gdy zapadnie zmierzch, zapłoną wszystkie lampiony. W ogrodzie różanym ustawiono stoły i krzesła dla par, które będą chciały wypocząć po tańcu. Przez okno napływał zapach róż. Ogrodnicy rozmawiali i śmieli się. Usłyszałam, jak jeden z nich zawołał:

– O, tu jedna lampka nie działa! Podaj mi małą żarówkę, Bill, tę niebieską.

Wkręcił żarówkę, gwizdząc swobodnie modną piosenkę. Pomyślałam, że może dziś wieczór orkiestra na krużganku zagra tę samą melodię.

– W porządku – powiedział ogrodnik, zapalając i gasząc lampiony. – Tu wszystkie się palą. Sprawdźmy teraz te na tarasie.

Zniknął za rogiem domu, nadal gwizdząc tę samą piosenkę. Żałowałam, że nie jestem w jego skórze. Później będzie stał z przyjacielem przy alei, z rękami w kieszeniach, z czapką zsuniętą na tył głowy, i będzie przyglądał się podjeżdżającym samochodom. Zmiesza się z tłumem innych ludzi z majątku, zasiądzie wraz z nimi przy długim stole ustawionym w rogu tarasu i będzie popijać jabłecznik.

– Przypominają się dawne czasy, co? – powie. Ale jego przyjaciel potrząśnie głową, pykając fajkę.

– Ta nowa nie jest taka jak nasza pani de Winter, ona jest całkiem inna.

Jakaś sąsiadka przytaknie, inni powiedzą: „Tak, racja” i pokiwają głowami.

– Gdzie ona jest? Nie pokazała się na tarasie ani razu.

– Nie mam pojęcia. Nie widziałem jej.

– Pani de Winter potrafiła być wszędzie.

– Ach, to prawda.

Kobieta zwróci się do sąsiadów, tajemniczo kiwając głową.

– Podobno ona się wcale dziś nie pokaże.

– Co też pani mówi?!

– To prawda. Spytajcie Mary.

– Tak. Jedna z pokojówek powiedziała mi, że pani de Winter nie wyszła ze swego pokoju przez cały wieczór.

– Co się tej dziewczynie stało, czy chora?

– Nie, podobno zła. Słyszałam, że suknia jej nie przypadła do gustu.

Wybuch śmiechu i dalsze ciche rozmowy.

– Kto to słyszał coś podobnego? Jaka to przykrość dla pana de Wintera.

– Nie pozwoliłbym tej małej na takie fochy.

– Może to nieprawda.

– A jakże. W pałacu wszyscy o tym mówią.

Jeden drugiemu przekazują tę wiadomość. Uśmiech, mrugnięcie, wzruszenie ramionami. Jedna grupa, potem druga. Wkrótce plotka przeniknie do gości spacerujących po tarasie lub po trawnikach; dowie się o tym również ta para, która za trzy

godziny zasiądzie w krzesłach pod moim oknem w ogrodzie różanym.

– Czy myślisz, że to prawda, co słyszałam?

– A co słyszałaś?

– Że nic jej nie jest, tylko oni się strasznie pokłócili i ona się wcale nie pojawi.

– Co ty mówisz?! – Zdziwiona mina, gwizdnięcie.

– Właśnie, to wygląda dość dziwnie, nie uważasz? Chodzi mi o to, że ludzie na ogół nie dostają tak nagle gwałtownych bólów głowy. Ta cała historia jest mocno podejrzana.

– Wydawało mi się, że on ma ponury wyraz twarzy.

– Mnie również.

– Już przedtem słyszałam, że małżeństwo to nie jest bardzo udane.

– Naprawdę?

– Hm. Kilka osób to mówiło. Podobno on zaczyna zdawać sobie sprawę, że popełnił wielki błąd. Ona wcale nie jest interesująca.

– Tak, słyszałam, nic ciekawego. A kto to w ogóle jest?

– Och, takie nic. Wynalazł ją na południu Francji, jakaś bona czy coś w tym rodzaju.

– O mój Boże!

– Tak. A gdy się wspomni Rebeke...

Wpatrywałam się w puste krzesła. Niebo straciło różową barwę, poszarzało. Nad moją głową świeciła gwiazda wieczorna. W lesie za ogrodem różanym ptaki szukały swoich gniazd. Na tle nieba ujrzałam lecącą samotną mewę.

Odwróciłam się od okna i podeszłam do łóżka. Podniosłam białą suknię, którą zostawiłam na podłodze, i włożyłam ją z powrotem do pudła. Perukę również schowałam do pudełka. Potem zaczęłam szukać w szafie małego podróznego żelazka, którego używałam w Monte Carlo do prasowania sukien pani van Hopper. Stało w głębi półki ukryte za swetrami, których dawno nie wkładałam. Żelazko to nadawało się do użytku przy dowolnym napięciu. Włączyłam je i zaczęłam prasować niebieską suknię, wyjętą z szafy przez Beatrice. Prasowałam powoli, starannie, tak jak kiedyś prasowałam suknie pani van Hopper. Gdy skończyłam, położyłam suknię na łóżku. Zmyłam makijaż, który zrobiłam do tamtego stroju. Uczesałam się,

umyłam ręce. Włożyłam niebieską suknię i odpowiednie pantofle. Czułam się jak dawniej, gdy schodziłam do salonu hotelowego z panią van Hopper.

Otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz. Panowała tu taka cisza i spokój, jakby w domu nie odbywał się bal. Szłam na palcach do końca korytarza. Skręciwszy w bok, zobaczyłam, że drzwi prowadzące do zachodniego skrzydła są zamknięte. Tu również było cicho. Gdy doszłam do krużganku i schodów, usłyszałam odgłosy rozmowy z jadalni. Goście nadal siedzieli przy obiedzie. Wielki hol był pusty. Na krużganku także nie było nikogo. Widocznie orkiestra poszła na obiad. Frank się nimi zajmował – Frank lub pani Danvers.

Zatrzymałam się na krużganku. Portret Karoliny de Winter wisiał w galerii na wprost mnie. Widziałam loki otaczające jej twarz, uśmiech na jej wargach. Przypomniałam sobie słowa żony biskupa: „Nigdy nie zapomnę jej w tej białej sukni z aureolą czarnych włosów”. Powinnam była pamiętać o tym, powinnam się była domyślić.

Jak dziwnie wyglądają instrumenty na krużganku, pulpity do nut, wielki bęben. Jeden z muzyków zostawił chustkę na krześle. Przechyliłam się przez poręcz i spojrzałam na hol. Wkrótce wypełni się ludźmi, a Maxim będzie stał u podnóża schodów, witając wchodzących. Odgłosy rozmów odbiją się echem od sufitu. Później zacznie grać orkiestra na krużganku, uśmiechnięty skrzypek będzie się kołysał w takt walca.

Nie będzie już tak cicho jak teraz. Nagle skrzypnęła deska na krużganku. Odwróciłam się szybko, ale nie zobaczyłam nikogo. Krużganek był pusty. Poczułam powiew świeżego powietrza, widocznie ktoś zostawił otwarte okno w którymś korytarzu. Odgłosy rozmowy nadal rozlegały się w jadalni. Zdziwiłam się, dlaczego skrzypnęła deska, skoro ja stałam bez ruchu. Może wskutek ciepła rozeschło się stare drzewo. Nadal czułam świeży powiew na twarzy. Kartka z nutami sfrunęła z któregoś pulpitu. Spojrzałam na sklepione przejście nad schodami. Właśnie stamtąd wiało. Poszłam w tym kierunku i zobaczyłam, że otworzyły się drzwi do zachodniego skrzydła. Było tam ciemno, nie paliły się żadne lampy. Czułam powiew wiatru wpadający przez otwarte okno. Szukałam po omacku kontaktu na ścianie, ale nie mogłam go znaleźć. Widziałam okno na zakręcie

korytarza, w którym powiewała firanka. W szarym zmierzchu rysowały się na podłodze dziwne cienie. Przez otwarte okno dochodził szum morza, cichy szmer odpływu.

Nie zamknęłam okna. Stałam drżąca w mojej lekkiej sukni i słuchałam szumu fal bijących o brzeg. Po chwili odwróciłam się szybko, zamknęłam za sobą drzwi do zachodniego skrzydła i poszłam w kierunku schodów. Teraz głośniej rozlegał się gwar rozmów. Przy otwartych drzwiach jadalni stał Robert. Goście wstawali od stołu. Słyszałam, jak odsuwają krzesła, rozmawiają z ożywieniem i śmieją się.

Powoli zeszałam po schodach na ich spotkanie.

Gdy wspominałam teraz mój pierwszy bal w Manderley, pierwszy i ostatni zarazem, zdaję sobie sprawę, że z całego wieczoru pozostały mi w pamięci jedynie pewne oderwane szczegóły. Jak przez mgłę widzę tłum nieznanymi mi twarzami, słyszę orkiestrę grającą walca, który się ciągnął w nieskończoność. Co pewien czas te same pary przesuwały się w wirze tańca obok mnie z uśmiechami przylepionymi do twarzy. Stoję z Maximem u stóp schodów, witając spóźnionych gości. Tańczące pary wydają mi się marionetkami wprawianymi w ruch niewidzialną ręką.

Zapamiętałam twarz jakiejś pani o nieznanym mi nazwisku, której nie zobaczyłam już nigdy więcej. Miała na sobie różową suknię, jakby krynolinę. Nie mogłam się jednak domyślić, czy to miał być strój z siedemnastego, osiemnastego czy dziewiętnastego wieku. Za każdym razem, gdy przesuwała się obok mnie, rozbrzmiewał ten sam melodyjny refren walca, a ona, kołysząc się w takt, uśmiechała się do mnie. Powtarzało się to raz po raz, aż wreszcie stało się automatyczne, podobnie jak podczas spacerów po pokładzie statku, gdy spotykamy wciąż te same osoby i wiemy z całą pewnością, że minimy się przy mostku kapitańskim.

Twarz tej pani mam dotychczas przed oczami, widzę jej wystające zęby, placki różu nałożone wysoko na kościach policzkowych i jej uśmiech bezmyślny, wesoły, dowodzący, że się dobrze bawi. Później dostrzegłam ją przy kolacji, kiedy byстрыm spojrzeniem obrzuciła stół, nabrała sobie obfitą porcję łososia i homara w majonezie, po czym oddaliła się w kąt pokoju, by tam spokojnie zjeść.

Wśród gości wyróżniała się lady Crowan w fioletowej szacie. Jej potężna postać nie pasowała wcale do romantycznej bohaterki, którą miała uosabiać. Nie wiedziałam, czy to ma być Maria Antonina czy też Nell Gwynne² lub jakieś dziwne skrzyżowanie obu tych postaci. Podniecona szampanem, piskliwym głosem wykrzykiwała co chwila:

– To mnie zawdzięczacie ten bal, a nie de Winterom!

Pamiętam, że Robert upuścił tacę z lodami. Widzę oburzony wyraz twarzy Fritha, gdy przekonał się, że to Robert jest winowajcą, a nie któryś ze służby wziętej do pomocy na ten wieczór. Miałam ochotę podejść do Roberta i pocieszyć go, mówiąc: „Rozumiem, jak się teraz czujesz. Ja popełniłam dzisiaj coś znacznie gorszego”.

Pamiętam sztuczny uśmiech przyklejony do mojej twarzy, tak bardzo kontrastujący z tragicznym wyrazem moich oczu.

Widzę również Beatrice, kochaną, życzliwą Beatrice, jak przygląda mi się znad ramienia partnera i kiwa głową, by dodać mi otuchy. Bransolety jej brzęczą przy każdym ruchu, zasłona zsuwa się stale z rozgrzanego czoła.

Przypominam sobie, jak wirowałam w walcu po sali balowej z Gilesem, który chcąc okazać mi życzliwość i sympatię, zmusił mnie do tańca i prowadził przez roztańczony tłum, tak jak prowadził swoje konie na polowaniach na lisa. Słyszę jego słowa:

– Jaką masz śliczną suknię! Wszyscy wyglądają przy tobie wprost śmiesznie.

Byłam mu wdzięczna za te słowa pociechy, wzruszające w swej prostocie i szczerości. Kochany Giles, myślał, że martwię się z powodu sukni, że zależy mi na moim wyglądzie.

Frank przyniósł mi na talerzu kawałek kurczęcia i szynki, ale nie mogłam przełknąć ani kęska. Podał mi również kieliszek szampana, którego nie chciałam wypić.

– Proszę wypić – powiedział spokojnie. – To pani dobrze zrobi.

Wypiłam kilka łyków, żeby mu sprawić przyjemność. Wyglądał dziwnie z czarną przepaską na oku, wydawał się starszy, inny. Na jego twarzy pojawiły się bruzdy, których przedtem nie zauważyłam.

Opiekował się gośćmi, jakby był drugim gospodarzem, pilnując, by nikomu nie zabrakło trunku, jedzenia, papierosów. Tańczył w swoisty, sztywny sposób, prowadząc partnerki dokoła pokoju z poważnym wyrazem twarzy. Nie nosił swego pirackiego stroju ze swobodą. Przyprawione bokobrody, wystające spod szkarłatnej chustki zawiązanej na głowie, nadawały smutny wyraz jego twarzy. Wyobrażałam go sobie, jak stoi przed lustrem w swojej skromnej, kawalerskiej sypialni i skręca na palcu bokobrody. Biedny Frank, drogi Frank. Nigdy go nie spytałam i nigdy się nie dowiedziałam, jak wielką sprawił mu przykrość ostatni bal kostiumowy w Manderley.

Orkiestra nie przestawała grać, pary wirowały jak marionetki dokoła wielkiego holu. Miałam wrażenie, że to nie ja przyglądam się tańczącym, nie ja, która cierpię i żyję, lecz manekin ze sztucznym uśmiechem na ustach.

Postać stojąca obok mnie była również martwa. Jego twarz przypominała maskę zastygłą w uśmiechu. To nie były oczy człowieka, którego kochałam, którego znałam. Zimne, bez wyrazu, patrzyły jakby przeze mnie, z napięciem wpatrując się w obraz kaźni i tortur, do którego nie miałam dostępu. Tych cierpień, które przeżywał, nie mogłam z nim dzielić.

Nie odezwał się do mnie ani razu. Nie dotknął mnie. Staliśmy obok siebie, pan i pani domu, ale nie byliśmy razem. Podziwiałam jego uprzejmość w stosunku do gości. Jednemu rzucił jakieś słówko, drugiemu – żart, trzeciemu – uśmiech, zawołał coś do czwartego. Nikt prócz mnie nie domyślał się, że każde jego słowo, każdy ruch były automatyczne. Przypominaliśmy dwoje aktorów grających w jednej sztuce, ale każde z nas grało z osobna. Każde z nas musiało męczyć się samotnie, musiało udawać, odgrywać tę nieszczęsną komedię ze względu na tych wszystkich ludzi, których nie znałam i których nie pragnęłam już nigdy więcej zobaczyć.

– Słyszałem, że pańskiej żonie nie przysłano w porę sukni – odezwał się ktoś przebrany za marynarza, o twarzy pokrytej czerwonymi plamami. Śmiejąc się, trącił Maxima w bok. – Co za skandal! Na pańskim miejscu zaskarżyłbym ten sklep do sądu. Podobna historia zdarzyła się kiedyś kuzynce mojej żony.

– Tak, to przykra sprawa – powiedział Maxim.

– Coś pani powiem – zwrócił się do mnie marynarz. – Powinna pani oznajmić, że pani jest niezapominajką. Niezapominajki to takie miłe kwiatuszki, one są niebieskie, prawda, de Winter? Niech pan powie żonie, żeby koniecznie oznajmiła, że jest niezapominajką.

Oddalił się, tańcząc i głośno się śmiejąc. Słyszałam, jak zwrócił się do partnerki:

– Dobry pomysł, co? Niezapominajka.

Po chwili Frank zjawił się przy mnie, tym razem ze szklanką lemoniady.

– Nie, dziękuję, Frank. Nie chce mi się pić.

– Dlaczego pani nie tańczy? A może pani usiądzie na chwilę w zacisznym kąciku na tarasie?

– Nie, wolę stać. Nie jestem zmęczona.

– Czy mogę pani coś podać, kanapkę lub brzoskwinie?

– Nie, dziękuję, nic nie chcę.

Znowu mijala mnie pani w różowej sukni, ale tym razem nie uśmiechała się do mnie. Po kolacji dostała wypieków. Wpatrzona była w partnera, który był bardzo wysoki, bardzo chudy i miał spiczasty podbródek.

Rozlegały się kolejne walce: *Przeznaczenie*, *Nad modrym, pięknym Dunajem* i walc z *Wesołej wdówki* – raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, okrążenie po okrążeniu, raz, dwa, trzy... Pani w różowej sukni, pani w zielonej, Beatrice z odrzuconą zasłoną. Giles z twarzą ociekającą potem i znowu marynarz, tym razem z inną partnerką. Zatrzymali się przy mnie. Nie znałam tej pani. Miała na sobie strój z epoki Tudorów – kryzę dokoła szyi i czarną aksamitną suknię.

– Kiedy państwo wybiorą się do nas? – rzuciła, tak jak gdybyśmy się dobrze znały.

– W najbliższym czasie, właśnie mówiliśmy o tym przed kilku dniami – odpowiedziałam, dziwiąc się, że kłamstwo to przyszło mi nagle z taką łatwością.

– Co za uroczy bal, gratuluję pani sukcesu.

– Dziękuję. Zdaje się, że zabawa jest udana.

– Słyszałam, że przysłano pani przez pomyłkę inną suknię.

– Tak, głupia pomyłka.

– Wszystkie sklepy są takie same. Nie można na nich polegać. Ale pani wygląda uroczo w tej ślicznej niebieskiej sukni! Na

pewno się pani w niej lepiej czuje niż ja w tym grubym aksamicie. Proszę pamiętać, że macie wkrótce przyjechać na obiad do nas do pałacu.

– Z wielką przyjemnością.

Co to miało znaczyć, do kogo, do jakiego pałacu? Czyżbyśmy podejmowali członka rodziny królewskiej? Nieznajoma odpłynęła w ramionach marynarza w takt walca *Nad modrym, pięknym Dunajem*, zamiatając podłogę trenem aksamitnej szaty. Dopiero po wielu dniach, podczas jakiejś bezsennej nocy, przypomniałam sobie, że osoba w stroju z epoki Tudorów jest żoną biskupa, która lubiła robić wycieczki w Góry Pennińskie.

Nie wiedziałam, która godzina. Noc ciągnęła się w nieskończoność. Patrzyłam wciąż na te same twarze, słuchałam tych samych melodii. Co pewien czas brydzyści wypełzali z biblioteki, niby pustelnicy z jaskini, przyglądali się przez chwilę tańczącym, po czym wracali do przerwanej gry.

Beatrice, powłócząc swymi wschodnimi draperiami, podeszła i szepnęła mi do ucha:

– Dlaczego nie usiądziesz na chwilę? Wyglądasz jak śmierć.

– Nic mi nie jest.

Giles, biedaczysko, zgrzał się w swoim arabskim burnusie. Ciemna szminka spływała mu po twarzy. Podszedł do mnie i powiedział:

– Chodź ze mną na taras, zobaczymy ognie sztuczne.

Pamiętam, jak stałam na tarasie i wpatrywałam się w niebo, podczas gdy kolorowe rakiety rozrywały się i spadały. Clarice siedziała w kąciaku z jakimś parobkiem, uśmiechając się i piszcząc z zachwytu, ilekroć jakiś odłamek rakiety spadał u jej nóg. Zapomniała już o łzach.

– O, to będzie coś wspaniałego! – zawołał Giles. Stał z zadartą głową i otwartymi ustami. – Brawo, to było nadzwyczajne!

Pamiętam syk rakiety lecącej w górę, huk wybuchu i deszcz szmaragdowych gwiazdek. Przez tłum przebiegł szmer uznania, później okrzyki zachwytu i oklaski.

Pani w różowej sukni stała w pierwszym rzędzie widzów. Miała przejęty wyraz twarzy i robiła uwagi przy każdej spadającej rakiecie: „Och, jaka piękna... patrzcie, ta taka cudna... Ach, a ta nie wybuchła... uwaga, spada na nas... odsuńcie się...”.

Nawet brydzyści pustelnicy wyszli ze swojej jaskini na taras. Na trawnikach roilo się od ludzi. Rozpryskujące się rakiety oświetlały ich twarze wzniesione ku niebu.

Raz po raz rakiety mknęły w górę jak kolorowe strzały, a niebo stawało się to purpurowe, to złote. Manderley wydawało się pałacem z bajki. W oknach odbijały się kolorowe blaski, a szare ściany barwiły się od spadających ogni. Zaczarowany pałac na tle ciemnego lasu.

Gdy spadła ostatnia rakietka i umilkły okrzyki zachwytu, noc, która wydawała się przedtem piękna, stała się przez kontrast ciemna i ponura, a niebo czarne jak kir. Grupy ludzi na trawnikach i w alei rozproszyły się. Goście tłoczyli się w drzwiach do salonu. Nastąpiło odprężenie. Staliśmy w milczeniu, z twarzami pozbawionymi wyrazu. Ktoś podał mi kieliszek szampana. Usłyszałam, że samochody podjeżdżają pod ganek. Zaczynają się rozjeżdżać, pomyślałam. Dzięki Bogu, zaczynają się rozjeżdżać.

Pani w różowej sukni pałaszowała coś znowu z apetytem. Wiedziałam, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim hol opustoszeje. Zauważyłam, jak Frank dał znak orkiestrze. Stałam w drzwiach salonu obok jakiegoś nieznanego mi pana.

– Co za wspaniały bal!

– Naprawdę?

– Bawiłem się świetnie przez cały czas.

– Bardzo się cieszę.

– Molly była strasznie zła, że nie mogła przyjechać.

– Co pan mówi?

Orkiestra zaczęła grać *Auld Lang Syne*³. Mój sąsiad chwycił mnie za rękę i zaczął nią wymachiwać. Zachęcał innych do przyłączenia się do nas. Ktoś wziął mnie za drugą rękę, utworzyliśmy wielkie koło, śpiewając pełnym głosem. Mój sąsiad, który się tak świetnie bawił i wspomniął mi o Molly, przebrany był za chińskiego mandaryna. Jego przyprawione paznokcie zaplątały się w rękaw, gdy wymachiwał rękami. Wybuchnął głośnym śmiechem, wszyscy mu zawtórowali.

Rozbawienie znikło wraz z ostatnimi taktami muzyki. Zabrzmiały werble, jak zwykle przed hymnem: *Boże, chroń Króla*. Uśmiechy zniknęły z twarzy, jakby je ktoś starł gąbką. Mandaryn stanął na baczność. Przeszło mi wówczas przez myśl,

że może jest oficerem. Tak dziwnie wyglądał ze zwisającymi wąsami mandaryna na długiej twarzy. Mój wzrok spotkał się ze wzrokiem pani w różowej sukni. Hymn zaskoczył ją w chwili, gdy trzymała w ręce talerz z obfitą porcją kury w galarecie. Trzymała go teraz sztywno przed sobą jak tacę podczas zbiórki w kościele. Ożywienie znikło z jej twarzy. Gdy przebrzmiała ostatnia nuta hymnu, pani w różowej sukni ożywiła się znowu i z wielkim apetytem zabrała się do kury, rozmawiając jednocześnie ze swoim towarzyszem. Ktoś podszedł do mnie i uścisnął mi rękę.

– Proszę pamiętać, że państwo mają być u nas na obiedzie czternastego.

– Nie wiedziałam o tym. – Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Tak, pani szwagierka obiecała również przyjechać.

– Bardzo nam będzie miło.

– Prosimy na wespół do dziewiątej. Strój wieczorowy. Liczymy na państwa.

– Dziękuję. Będziemy z pewnością.

Goście zaczęli podchodzić kolejno, aby się pożegnać. Maxim stał w drugim końcu pokoju. Zmusiłam się do uśmiechu, który zniknął, gdy orkiestra przestała grać *Auld Lang Syne*.

– Dawno nie bawiłam się tak świetnie!

– Bardzo mi miło.

– Dziękuję za wspaniały bal.

– Bardzo mi miło.

– Widzi pani, że zostaliśmy do samego końca.

– Tak, bardzo mi miło.

Czyż nie było już w języku angielskim innego zwrotu? Kłaniałam się i uśmiechałam jak automat. Ponad głowami gości szukałam wzrokiem Maxima. Stał przy drzwiach biblioteki otoczony grupką osób. Goście otaczali również Beatrice. Giles zaprowadził kilku maruderów do bufetu w salonie. Frank wyszedł na podjazd, aby dopilnować porządku przy odjeździe gości. Byłam osaczona przez obcych ludzi.

– Do widzenia, ogromnie dziękujemy.

– Bardzo mi miło.

Wielki hol zaczął pustoszeć. Panował w nim już nastrój opuszczenia po skończonym balu, świecił nowy dzień. W szarym

światle brzasku zaczynałam rozróżniać na trawnikach kontury urzędzeń do puszczania rakiet.

– Do widzenia, co za uroczy bal.

– Bardzo mi miło.

Maxim wyszedł na podjazd. Beatrice podeszła do mnie, ściągając swoje brzęczące bransoletki.

– Nie mogę już wytrzymać z tymi bransoletami. Jestem śmiertelnie zmęczona. Nie opuściłam chyba ani jednego tańca. Muszę ci powiedzieć, że bal był wyjątkowo udany.

– Naprawdę?

– Moja droga, powinnaś się jak najprędzej położyć. Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Stałaś prawie przez całą noc. Gdzie są nasi panowie?

– Na podjeździe.

– Zjadłabym jajka na bekonie i napiłabym się kawy. A ty?

– Nie, Beatrice, nie mam ochoty.

– Wyglądasz uroczo w tej niebieskiej sukni. Wszyscy są tego zdania. I nikt nie miał żadnych podejrzeń co do... do tamtej historii, więc nie powinnaś się martwić.

– Nie, nie będę się martwić.

– Na twoim miejscu nie wstawałabym do południa. Zjedz śniadanie w łóżku.

– Chyba tak zrobię.

– Czy mam powiedzieć Maximowi, że poszłaś na górę?

– Tak, powiedz mu, Beatrice.

– Doskonale, moja droga. Śpij dobrze.

Pocałowała mnie, poklepując jednocześnie po ramieniu, i poszła do salonu odszukać Gilesa.

Zacząłam powoli wchodzić na górę. Muzycy pogasili już światła na krużganku i poszli także na śniadanie. Nuty leżały rozrzucone po podłodze. Ktoś przewrócił krzesło. Dostrzegłam popielniczkę wypełnioną po brzegi niedopałkami papierosów. Nieporządek, jak zwykle po skończonym balu.

Szłam wzdłuż korytarza do mego pokoju. Robiło się coraz jaśniej, zaczynały śpiewać ptaki. Nie potrzebowałam zapalać lampy, żeby się rozebrać. W pokoju było zimno. Chłodny powiew wpadał przez otwarte okno. Wyjrzałam na zewnątrz. Wiele osób musiało widocznie przebywać w ciągu wieczoru w ogrodzie różanym, gdyż wszystkie krzesła zostały

poprzestawiane. Taca z pustymi szklankami stała na jednym ze stolików. Ktoś zostawił torebkę na krześle. Zaciągnęłam zasłony, ale szare światło brzasku przenikało przez szpary.

Położyłam się do łóżka. Bolały mnie bardzo nogi, czułam jakieś bóle w krzyżu. Zamknęłam oczy, rozkoszując się świeżością białych prześcieradeł. Gdyby tylko mój umysł mógł wypocząć tak jak ciało, odprężyć się i usnąć! Ale myśli kłębiły się nadal w głowie, ciągle słyszałam muzykę, miałam przed oczami roztańczone pary. Przycisnęłam dłońmi powieki, lecz obrazy te nie znikwały.

Czekałam na Maxima. Puste łóżko robiło przykre wrażenie. Wkrótce w pokoju będzie zupełnie widno, gdy ściany, podłoga i sufit rozjaśnią się blaskiem poranku. Ptaki będą śpiewały głośniejsze, weselej, śmielej. Słońce utka złote wzory na zasłonach. Zegarek przy łóżku cykał równomiernie. Wskazówka przesuwiała się powoli po tarczy. Wpatrywałam się w nią, leżąc na boku. Duża wskazówka doszła do cyfry dwanaście i minęła ją, rozpoczynając na nowo swoją godzinną wędrówkę. Lecz Maxim nie przychodził.

Musiałam zasnąć zapewne kilka minut po siódmej. Pamiętam, że był już jasny dzień i zasłony nie stanowiły przeszkody dla słońca. Żłociste promienie wpadały przez otwarte okno, tworząc różne wzory na ścianach. Słyszałam, jak ogrodnicy usuwali stoliki i krzesła z ogrodu różanego i zdejmowali sznury z lampionami.

Łóżko Maxima nadal było puste. Leżałam w poprzek mego pośłania, ramieniem zasłaniając oczy. Pomimo tej dziwacznej pozycji wreszcie pogrążyłam się we śnie.

Gdy się obudziłam, było już po jedenastej. Nie słyszałam wejścia Clarice, która przyniosła mi herbatę. Na stoliku przy łóżku stał na tacy już zupełnie zimny imbryk. Clarice sprzątnęła porozrzucane części garderoby, a niebieską suknię schowała do szafy.

Oszołomiona, na wpół przebudzona z twardego snu, piłam zimną herbatę, wpatrując się tępym wzrokiem w ścianę. Widok pustego łóżka Maxima przywrócił mi do rzeczywistości. Serce ścisnęło mi się boleśnie, wróciła udręka wczorajszego wieczoru. Maxim wcale się nie kładł. Jego piżama leżała nietknięta. Co pomyślała sobie Clarice, gdy przyniosła mi herbatę? Czy zauważyła? Czy opowiedziała o tym innym pokojówkom i czy rozprawiła na ten temat podczas śniadania? Zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo obchodzi mnie i doprowadza do rozpaczki przypuszczenie, że służba plotkuje w kuchni. Zapewne dlatego, że jestem małostkowa, konwencjonalna i nie znoszę plotek.

Dlatego właśnie wczoraj wieczorem zesłam do holu w niebieskiej sukni, a nie zostałam w ukryciu. Nie był to bynajmniej piękny akt odwagi, tylko haracz tchórza złożony konwenansom. Nie zrobiłam tego ze względu na Maxima ani ze

względu na Beatrice, ani ze względu na Manderley. Zeszłam do holu, ponieważ nie chciałam, by nasi goście myśleli, że pokłóciłam się z Maximem. Nie chciałam, by po powrocie do domu mówili: „No cóż, wiadomo przecież, że oni nie żyją w zgodzie. Słyszałam, że on wcale nie jest szczęśliwy”. Zeszłam tylko ze względu na siebie, ze względu na swoją nieszczęsną ambicję. Pijąc małymi łyżkami zimną herbatę, myślałam z rozpaczą i goryczą w sercu, że zgodziłabym się przebywać w jednym końcu domu, a Maxima pozostawiłabym w drugim, byleby tylko nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Wydawało mi się, że potrafiłabym znieść sytuację, w której Maxim nie okazywałby mi żadnych czułości, nie pocałował mnie i rozmawiał ze mną tylko w razie niezbędnej konieczności. Ale taką sytuację zniosłabym jedynie wówczas, gdybym miała pewność, że nikt oprócz nas nie będzie o tym wiedział. Gdyby się nam udało zapewnić milczenie służby i dobrze odgrywać nasze role przed rodziną, przed Beatrice, zgodziłabym się na to, aby, gdy zostaniemy sami, siedzieć w oddzielnych pokojach i prowadzić oddzielne życie.

Gdy tak siedziałam na łóżku, wpatrując się w ścianę, w promienie słońca wpadające przez okno, w puste łóżko Maxima, wydawało mi się, że nie ma nic bardziej hańbiącego i upokarzającego niż małżeństwo, które się rozpada. I to rozpada zaledwie po trzech miesiącach. Nie miałam już żadnych złudzeń, przestałam udawać przed samą sobą. Wczorajsza noc wykazała to ponad wszelką wątpliwość. Nasze małżeństwo było nieudane. Wszystkie plotki na ten temat okazałyby się prawdziwe. Nie żyliśmy w zgodzie. Nie byliśmy dobrymi towarzyszami. Nie pasowaliśmy do siebie. Byłam za młoda dla Maxima, zbyt niedoświadczona i co najważniejsze, nie należałam do jego świata. To, że kochałam go chorobliwie, rozpaczliwie, jak dziecko czy też jak pies, nie miało żadnego znaczenia. On nie potrzebował tego rodzaju miłości. Pragnął czegoś innego, czego nie mogłam mu dać, czegoś, co miał poprzednio. Przypomniałam sobie swoje dziecinne, niemal histeryczne podniecenie i dumę, jaką odczuwałam, gdy zawierałam to małżeństwo, wyobrażając sobie, że potrafię dać szczęście Maximowi, który przedtem doznał tak wielkiego szczęścia. Nawet wulgarna pani van Hopper zdawała sobie

sprawę, że popełniam omyłkę. „Obawiam się, że pożałujesz tego – powiedziała. – Uważam, że popełniasz wielki błąd”.

Nie chciałam słuchać jej rad, uważając, że jest bezwzględna i okrutna. Ale ona miała rację. Miała rację pod każdym względem. Ostatni cios, który mi zadała na pożegnanie, to były słowa: „Chyba nie pochlebiasz sobie, myśląc, że on cię kocha? On po prostu nie może dłużej mieszkać sam w tym wielkim, pustym domu”. Było to najbardziej trafne, zgodne z prawdą stwierdzenie, jakie kiedykolwiek wypowiedziała. Maxim nie kocha mnie i nigdy mnie nie kochał. Nasz miodowy miesiąc we Włoszech nie miał dla niego żadnego znaczenia, jak również i nasze wspólne życie w Manderley. To, co uważałam za miłość z jego strony, to nie była miłość. Po prostu był mężczyzną, odczuwał samotność, a ja byłam jego żoną, byłam młoda. Nie należał do mnie, należał do Rebeki. Nadal myślał o niej. Nigdy mnie nie pokocha, zawsze dzielić nas będzie Rebeka.

Obecność Rebeki czuje się w całym domu, powiedziała pani Danvers, w jej sypialni, w bibliotece, w buduarze i na krużganku. Nawet w ogrodniczym składziku, w którym nadal wisi jej płaszcz. W ogrodzie i w lesie, i w małym domku na plaży. Odgłos jej kroków rozbrzmiewa w korytarzach, zapach perfum unosi się na schodach. Służba nadal wykonuje jej rozkazy. Jemy potrawy, które jej smakowały. Ulubione przez nią kwiaty zdobią pokoje. Jej suknie wiszą w szafie, szczotki leżą na toaletce, ranne pantofelki stoją pod krzesłem, nocna koszula leży na łóżku. Rebeka jest nadal panią na Manderley. Rebeka jest nadal panią de Winter. Dla mnie tu nie ma miejsca. Zawędrowałam przez głupotę na teren zakazany.

„Gdzie jest Rebeka? – dopominała się babka Maxima. – Ja chcę zobaczyć Rebeke! Coście zrobili z Rebeke?” Nie zna mnie, nic jej nie obchodzi. Dlaczego zresztą miałabym ją obchodzić? Jestem dla niej obca. Nie kojarzy mnie z Maximem ani z Manderley.

A Beatrice przy naszym pierwszym spotkaniu stwierdziła szczerze i otwarcie, obejrawszy mnie od stóp do głów: „Jesteś zupełnie inna od Rebeki”.

Jakże powściągliwy i zmieszany był Frank, gdy zaczęłam mówić o Rebecie. Z jaką niechęcią odnosił się do pytań, którymi go zasypywałam, chociaż nienawidziłam siebie za to. A później,

gdy już byliśmy blisko domu, odpowiedział na moje ostatnie pytanie głosem poważnym i cichym: „Tak, ona była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem”.

Rebeka, zawsze Rebeka! Dokądkolwiek bym poszła, gdziekolwiek bym usiadła, nawet w moich myślach i moich snach, spotykałam Rebekę. Znałam teraz jej figurę, długie, smukłe nogi, małe, wąskie stopy. Ramiona szersze od moich, zwinne, zgrabne ręce. Ręce, które potrafiły sterować, potrafiły utrzymać konia. Ręce, które układały bukiety, wykonywały modele okrętów i napisały „Maxowi od Rebeki” na tytułowej stronie książki. Znałam także jej drobną, owalną twarz, jasną cerę, ciemne włosy. Znałam zapach jej perfum, domyślałam się, jak brzmiał jej śmiech, jaki miała uśmiech. Rozpoznałabym jej głos wśród tysiąca innych głosów. Rebeka, zawsze Rebeka! Nigdy się od niej nie uwolnię.

A może ja prześladowuję ją tak samo jak ona mnie. Przygląda mi się z krużganku, jak wspominała o tym pani Danvers, siedzi obok mnie w chwili, gdy piszę listy przy jej sekretarce. Płaszcz, który włożyłam, chusteczka, którą znalazłam – te rzeczy należały do niej. Może ona widzi, że ich używam. Jasper był jej psem, a teraz nie odstępuję mnie ani na krok. Róże, które hodowała, teraz ja ścinam. Czy nienawidzi i boi się mnie, tak jak ja jej nienawidzę? Czy pragnie, aby Maxim znowu był sam w domu? Mogłabym walczyć z osobą żywą, ale nie z umarłą. Gdyby Maxim kochał jakąś kobietę mieszkającą w Londynie, do której by pisywał, którą by odwiedzał, z którą by jadł i spał, mogłabym z nią walczyć. Miałybyśmy równe szanse. Nie bałabym się wówczas. Przewycięzyłabym gniew i zazdrość. Kobieta ta zestarzałaby się wreszcie lub Maxim by się jej znudził i on także przestałby ją kochać. Ale Rebeka nigdy się nie zestarzeje. Rebeka się nie zmieni. Nie mogę z nią walczyć, jest o wiele silniejsza ode mnie.

Wstałam z łóżka i rozsunałam zasłony. Słońce zalało pokój. Ogrodnicy uprzątnęli już ogród różany. Zastanawiałam się, czy goście nasi rozmawiają o balu, tak jak to zwykle się robi następnego dnia.

– Czy uważasz, że bal był na tym samym poziomie co dawniej?

– Chyba tak.

- Orkiestra nie grała najlepiej.
- Kolacja była wspaniała.
- Ognie sztuczne wypadły nie najgorzej.
- Bea Lacy wyglądała staro.
- Każda by tak wyglądała w tym stroju!
- De Winter robił wrażenie chorego.
- On zawsze jest mizerny.
- Jak ci się podobała jego żona?
- Tak sobie. Nic ciekawego.
- Ciekawam, czy oni są szczęśliwi?
- Ja także jestem ciekaw...

Nagle dostrzegłam jakąś kartkę pod drzwiami. Podniosłam ją. Poznałam energiczne pismo Beatrice. Napisała ten liścik ołówkiem, po śniadaniu:

Stukałam do Twoich drzwi, ale się nie odzywałaś, więc przypuszczam, że posłuchałaś mojej rady i odsypiasz bal. Giles śpieszy się do domu, bo telefonowano do niego, że ma zastąpić kogoś w meczu krykietowym, który rozpoczyna się o drugiej. Nie wyobrażam sobie, jak dojrzy piłkę po tej ilości szampana, którą wczoraj wypił. Jeśli chodzi o mnie, to nie czuję się zbyt pewnie na nogach, ale wyspałam się znakomicie. Frith powiedział, że Maxim zjadł wcześniej śniadanie. Nie mogłam go odszukać, więc pożegnaj go od nas, proszę. Dziękujemy Wam bardzo za tak udany wieczór. Nie przejmuj się więcej tą historią z suknią. (To zdanie było grubo podkreślone). Serdecznie Ci oddana

Bea

PS Musicie nas prędko odwiedzić.

Napisała u góry „dziewięta trzydzieści”, a teraz dochodziło wpół do dwunastej. Wyjechali przed dwoma godzinami. Już są pewnie w domu. Beatrice, rozpakowawszy walizkę, wyszła do ogrodu i zaczęła swe zwykłe zajęcia, a Giles przygotowuje się do meczu.

Po południu Beatrice włoży lekką suknię i duży kapelusz i uda się na mecz. Potem wszyscy zejdą się w namiocie na podwieczorek. Zjawi się czerwony, zgrzany Giles, a roześmiana Beatrice będzie mówiła swoim znajomym: „Tak, byliśmy

wczoraj na balu w Manderley. Bawiliśmy się doskonale. Dziwi mnie, że Giles mógł dzisiaj w ogóle biegać”. Uśmiechnie się do Gilesa, poklepując go po ramieniu. Oboje są już niemłodzi i tak bardzo nieromantyczni. Od dwudziestu lat są małżeństwem. Mają dorosłego syna, który jedzie na uniwersytet do Oxfordu. Są bardzo szczęśliwi. Małżeństwo ich jest udane. Nie rozpadło się po trzech miesiącach, tak jak nasze.

Nie mogłam już dłużej pozostawać w sypialni. Pokojówki zaraz przyjdą sprzątać. A może Clarice nie zauważyła, że łóżko Maxima było nietknięte. Rozrzuciłam pościel, żeby wyglądało tak, jakby Maxim spał obok. Nie chciałam, aby pokojówki dowiedziały się o tym. Może Clarice nic im nie wspomniała.

Wykąpałam się, ubrałam i zeszłam na dół. Służba już zdjęła parkiet do tańca ułożony w holu i zabrała kwiaty. Pulpity muzyków zniknęły z krużganku. Widocznie orkiestra wyjechała rannym pociągiem. Ogrodnicy zbierali z trawników i alei kawałki zwęglonych fajerwerków. Wkrótce nie pozostanie ani śladu po balu kostiumowym w Manderley. Tak długo trwały przygotowania do zabawy, a tak szybko wszystko minęło!

Przypomniała mi się pani w różowej sukni stojąca w drzwiach salonu z talerzem w ręce. Miałam wrażenie, że był to wytwór mojej fantazji lub że scena ta wydarzyła się bardzo dawno. Robert polerował stół w jadalni. Powrócił mu zwykły spokój. Nie przypominał już tego podnieconego, roztargnionego chłopca, jakim był przez kilka ostatnich tygodni.

– Dzień dobry, Robercie.

– Dzień dobry pani.

– Czy pan de Winter jest gdzieś w pobliżu?

– Wszedł wkrótce po śniadaniu, proszę pani, zanim państwo Lacy zeszli na dół. Od tej pory nie widziałem pana.

– Czy nie wiesz, dokąd poszedł?

– Nie, proszę pani, nie wiem.

Wróciłam do holu. Przeszłam przez salon do buduaru. Jasper rzucił się na mnie i zaczął mi lizać ręce z taką radością, jakbym wróciła po długiej podróży. Ostatnio widziałam go w czasie podwieczorku poprzedniego dnia. Noc przespał na łóżku Clarice. Może godziny dłużyły mu się podobnie jak i mnie.

Podniosłam słuchawkę i poprosiłam o połączenie z administracją. Może Maxim jest u Franka? Muszę z nim

pomówić, choćby tylko przez dwie minuty. Muszę mu wytłumaczyć, że nie zrobiłam tego wczoraj umyślnie. Muszę mu to powiedzieć, choćbym już nigdy nie miała z nim rozmawiać. Odezwał się kancelista i powiedział, że Maxima tu nie ma.

– Pan Crawley jest tutaj, proszę pani, może pani zechce z nim porozmawiać?

Zanim zdążyłam odmówić, usłyszałam głos Franka:

– Czy coś się stało?

Co za dziwny sposób zaczynania rozmowy! – przeleciało mi błyskawicznie przez myśl. Nie przywitał się ani nie spytał, czy dobrze spałam. Dlaczego spytał od razu, czy coś się stało?

– To ja, Frank, gdzie jest Maxim?

– Nie wiem, nie widziałem go. Dzisiaj go tu nie było.

– Nie było go u pana?

– Nie.

– No to trudno.

– Czy widziała go pani przy śniadaniu?

– Nie, nie wstałam do śniadania.

– A czy on dobrze spał?

Zawahałam się, ale Frank był jedyną osobą, której mogłam się zwierzyć.

– Nie kładł się wcale tej nocy.

Frank milczał przez chwilę, jak gdyby namyślał się poważnie nad odpowiedzią.

– Rozumiem – powiedział wreszcie bardzo wolno i dodał: – Obawiałem się, że coś takiego może się zdarzyć.

– Frank – powiedziałam z rozpaczą – co on mówił wczoraj po wyjeździe gości? Coście wszyscy robili?

– Jedliśmy z Gilesem i panią Lacy kanapki. Maxim nie przyłączył się do nas. Pod jakimś pretekstem wymknął się do biblioteki. Ja wkrótce wyszedłem do domu. Może pani Lacy wie coś więcej na ten temat?

– Już jej nie ma, wyjechali zaraz po śniadaniu. Przysłała mi bilecik, napisała, że nie widziała się z Maximem.

– O! – powiedział Frank ostrym, złowróżbnym tonem. Nie podobał mi się ten ton.

– Jak pan myśli, dokąd on poszedł?

– Nie wiem, może poszedł na spacer. – Słowa te wypowiedział tonem, jakim przemawia lekarz do krewnych, którzy pytają

o stan zdrowia pacjenta.

– Frank, muszę go zobaczyć, muszę wytłumaczyć, jak to się stało.

Frank milczał. Wyobrażałam sobie jego zaniepokojoną twarz, zmarszczone czoło.

– Maxim sądzi, że zrobiłam to umyślnie – powiedziałam drżącym głosem, a łzy, które piekły mnie pod powiekami przez cały wczorajszy wieczór, popłynęły teraz spóźnione o szesnaście godzin. – Maxim myśli, że to miał być żart, okrutny, podły żart!

– Nie, nie.

– Mówię panu, że tak. Pan nie widział jego oczu. Pan nie stał przy nim przez cały wieczór, obserwując go tak jak ja. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Nie spojrzął na mnie ani razu. Staliśmy obok siebie przez cały wieczór i nie zamieniliśmy jednego słowa.

– Nie było ku temu okazji przy takim tłumie gości. Zauważyłem to, oczywiście, zbyt dobrze znam Maxima, żebym miał tego nie widzieć. Niech pani posłucha...

– Nie winię go za to – przerwałam. – Jeśli myśli, że pozwoliłam sobie na taki podły, okrutny żart, to ma prawo odpowiednio mnie osądzić, nie odezwać się do mnie więcej, nie spojrzeć na mnie nigdy!

– Proszę tak nie mówić. Pani nie zdaje sobie sprawy, co pani mówi. Chciałbym się z panią zobaczyć, żeby pani coś wyjaśnić.

Rozmowa z Frankiem na nic się nie zda. Zasiądziemy w buduarze, a Frank z wrodzonym taktem będzie mnie pocieszał i okaże mi wiele serca. Nie potrzebuję niczyjej dobroci. Już jest za późno.

– Nie – powiedziałam. – Nie chcę o tym więcej mówić. Stało się, nic na to nie poradzimy. Może i dobrze, że tak się stało, bo przynajmniej zrozumiałam coś, czego powinnam się była domyślać, gdy wychodziłam za mąż za Maxima.

– Co pani ma na myśli? – Głos Franka brzmiał dziwnie ostro. Zdziwiłam się, dlaczego przejął się tym, że Maxim mnie nie kocha. Dlaczego on nie chciał, żebym się tego domyśliła?

– Chodzi o niego i o Rebeke – powiedziałam. Jej imię miało dla mnie nadal zakazany posmak, lecz wymawianie go nie sprawiało ulgi ani przyjemności, tylko piekło wstydem jak grzech wyznany na spowiedzi.

Frank milczał przez chwilę. Usłyszałam, jak zaczerpnął tchu.

– O co chodzi? – spytał ostrzej. – O co chodzi?

– On mnie nie kocha, on kocha Rebeke. Nie może o niej zapomnieć, myśli o niej ciągle, dzień i noc. Nigdy mnie nie kochał, tylko zawsze Rebeke, Rebeke, Rebeke!

Usłyszałam okrzyk zdumienia, ale teraz nie obchodziło mnie, jak bardzo Frank się zgorszy.

– Teraz pan wie, co czuję, teraz pan wreszcie zrozumiał.

– Niech pani posłucha, muszę natychmiast pomówić z panią, słyszy pani? To niezwykle ważne. Nie mogę mówić przez telefon. Pani de Winter, halo, halo...

Cisnęłam słuchawkę na widełki i wstałam z krzesła. Nie chciałam widzieć Franka. Nie mógł mi pomóc. Nikt mi nie mógł pomóc. Twarz miałam czerwoną i zapuchniętą od płaczu. Chodziłam w kółko po pokoju, gryząc chusteczkę, szarpiąc jej brzeg.

Byłam pewna, że już nigdy nie zobaczę Maxima. Pewność ta zrodziła się z jakiegoś dziwnego instynktu. Odszedł i nie wróci. Czułam, że Frank również tak myśli, tylko nie chciał się do tego przyznać. Nie chciał mnie przestraszyć. Gdybym zatelefonowała znowu do niego, dowiedziałabym się, że już wyszedł. Wyobrażałam sobie, jak Frank, bez kapelusza, wsiada do swego małego, niepozornego morrisa i rusza na poszukiwanie Maxima.

Wyrzałam przez okno na polankę, pośrodku której stał posążek satyra grającego na flecie. Rododendrony już przekwitły. Zakwitną dopiero za rok. Po opadnięciu barwnych płatków wysokie krzewy straciły swą urodę. Mgła nadciągała od strony morza, lasy za skarpą przestały być widoczne. Było bardzo gorąco i parno. Wyobrażałam sobie, jak nasi wczorajsi goście mówią: „Jak to dobrze, że wczoraj nie było mgły, nie widzielibyśmy fajerwerków”.

Wyszłam z buduaru przez salon na taras. Gęsta mgła zakryła słońce. Wydawało się, że jakaś plaga spadła na Manderley, przesłaniając niebo i światło dzienne.

Jeden z ogrodników mijał mnie, pchając taczkę pełną kawałków papieru i skórek od owoców pozostawionych przez gości na trawnikach.

– Dzień dobry – odezwałam się.

– Dzień dobry pani.

– Myślę, że po balu macie wiele roboty.

– Nic nie szkodzi, proszę pani. Wszyscy bawili się dobrze, a to przecież najważniejsze, prawda?

– Tak, naturalnie.

Ogrodnik spojrział w kierunku polanki w lesie, tam gdzie dolina spada ku morzu. Ciemnozielone drzewa były ledwie widoczne.

– Mgła staje się bardzo gęsta.

– Tak.

– Jak to dobrze, że wczoraj wieczorem nie było mgły.

– Tak.

Postać chwilę, potem dotknął ręką czapki i odszedł, pchając taczkę.

Poszłam przez trawnik w stronę lasu. Mgła, osiadła na drzewach, spadała na moją głowę drobnymi kroplami. Jasper stał przy mnie smutny, z podwiniętym ogonem i wywieszonym językiem. Duchota odebrała mu wigor. Słyszałam groźny szum morza, huk fal w zatoczkach za lasem. Biała mgła płynęła w kierunku domu, niosąc zapach wodorostów. Dotknęłam sierści Jaspera. Była zupełnie mokra.

Gdy spojrzałam na dom, nie mogłam dojrzeć kominów ani ścian, tylko niewyraźny zarys budynku oraz okna w zachodnim skrzydle i skrzynki z kwiatami na tarasie. Okiennice w sypialni Rebeki były otwarte, ktoś stał tam, patrząc na ogród. Postać była niewyraźna. Pomyślałam z przerażeniem, że to Maxim. Następnie ten ktoś poruszył się, zobaczyłam rękę wyciągającą się do okiennicy i przekonałam się, że to pani Danvers. Przyglądała mi się, gdy stałam na skraju lasu osnuta oparami białej mgły. Widziała, jak schodziłam powoli z tarasu na trawnik. Może podsłuchiwała ze swego aparatu moją rozmowę z Frankiem. W takim razie wie, że Maxim nie przyszedł do sypialni. W takim razie słyszała mój głos, mój płacz. Wiedziała, co przeżyłam w ciągu tych długich godzin, stojąc u boku Maxima w niebieskiej sukni, wiedziała, że on nie spojrział na mnie i nie odezwał się ani słowem. Wiedziała, bo sama doprowadziła do tego. To był jej triumf, jej i Rebeki.

Stanęła mi przed oczami taka, jaką ujrzałam wczoraj wieczorem w drzwiach prowadzących do zachodniego skrzydła – z tym diabelskim uśmiechem na trupio bladej twarzy. Nagle

uświadomiłam sobie, że ona jest kobietą żywą, tak jak ja, kobietą z krwi i kości. Przecież nie jest martwa tak jak Rebeka. Z nią mogę się rozmówić, ale nie mogę rozmówić się z Rebeką.

Pod wpływem nagłego impulsu zawróciłam do domu. Minęłam hol, weszłam po schodach na krużganek, otworzyłam drzwi do zachodniego skrzydła i ciemnym, cichym korytarzem doszłam do pokoju Rebeki. Nacisnęłam klamkę i otworzyłam drzwi.

Pani Danvers nadal stała przy oknie. Okiennice były otwarte.

– Pani Danvers – powiedziałam – pani Danvers!

Odwróciła się do mnie. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od płaczu, tak jak moje, twarz ściągniętą bólem.

– O co chodzi? – spytała głosem zachrypniętym i nabrzmiałym łzami. Mój głos brzmiał podobnie, gdy rozmawiałam z Frankiem.

Nie spodziewałam się, że zobaczę ją w tym stanie. Wyobrażałam sobie, że będzie się uśmiechać, tak jak wczoraj, tym okrutnym, szyderczym uśmiechem. Na jej twarzy nie malowało się teraz ani okrucieństwo, ani szyderstwo. Miałam przed sobą starą kobietę, chorą i zmęczoną.

Zawahałam się, trzymając rękę na klamce. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć, co zrobić.

Wpatrywała się we mnie czerwonymi, zapuchniętymi oczami, a ja nie mogłam się zdobyć na odpowiedź.

– Położyłam menu jak zwykle na sekreterze – powiedziała. – Czy pani chciałaby coś zmienić?

Słowa jej dodały mi odwagi. Weszłam do pokoju.

– Pani Danvers, nie przyszłam omawiać menu. Pani wie o tym doskonale.

Milczała, kurczowo zacisnęła lewą dłoń.

– Dopięła pani swego, prawda? Chciała pani do tego doprowadzić. Czy jest pani teraz zadowolona, szczęśliwa?

Odwróciła głowę i spojrzała w okno.

– Dlaczego pani tu przyjechała? – odezwała się wreszcie. – Nikt pani nie chciał w Manderley. Dlaczego nie została pani tam, we Francji?

– Zapomina pani, że ja kocham pana de Wintera.

– Gdyby pani go kochała, nie wyszłaby pani za niego.

Nie miałam na to odpowiedzi. Sytuacja była niezwykła, fantastyczna. Pani Danvers mówiła dalej zduszonym głosem, z głową zwróconą w przeciwnym kierunku:

– Myślałam, że pani nienawidzę, ale teraz nie wiem. Wydaje mi się, że już nic nie odczuwam.

– Dlaczego miałyby mnie pani nienawidzić? – spytałam. – Co ja pani zrobiłam takiego, żeby mnie pani miała nienawidzić?

– Próbowала pani zająć miejsce pani de Winter.

Nadal nie patrzyła na mnie. Stała posępna z odwróconą głową.

– Nie wprowadziłam przecież żadnych zmian – powiedziałam. – Tryb życia w Manderley biegnie tak jak dawniej. Nie wydawałam żadnych rozkazów, pozostawiłam wszystko w pani rękach. Chciałam być z panią w dobrych stosunkach, ale pani od pierwszej chwili była do mnie wrogo nastawiona. Wyczytałam to z pani twarzy w momencie, gdy witałam się z panią w Manderley.

Milczała, kurczowo zaciskając dłoń.

– Wiele osób zawiera związki małżeńskie po raz drugi – ciągnęłam – zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Codziennie łączy się tysiące powtórnych małżeństw. Pani mówi tak, jak gdybym popełniła zbrodnię czy świętokradztwo, wychodząc za mąż za pana de Wintera. Czyż nie mamy prawa do szczęścia, tak jak inni ludzie?

– Pan de Winter nie jest szczęśliwy – powiedziała, odwracając się do mnie wreszcie. – To jasne jak słońce. Wystarczy spojrzeć w jego oczy. Cierpi nieludzko. Cierpi od chwili jej śmierci.

– To nieprawda, nieprawda! Był szczęśliwy ze mną we Francji. Wyglądał młodo, o wiele młodziej, zawsze roześmiany i wesoły.

– Jest przecież mężczyzną! Żaden mężczyzna nie odmawia sobie przyjemności w czasie miodowego miesiąca. Pan de Winter nie ma jeszcze czterdziestu trzech lat!

Roześmiała się pogardliwie, wzruszając ramionami.

– Jak pani śmie odzywać się do mnie w ten sposób, jak pani śmie! – krzyknęłam.

Przestałam się jej bać. Podeszłam do niej i chwyciłam ją za ramię.

– To pani podstępnie namówiła mnie na ten strój z portretu! Nie przyszłoby mi to na myśl, gdyby nie pani podszept. Pani to zrobiła, aby sprawić ból panu de Winterowi. Czyż nie dość się już nacierpiał, a pani jeszcze uknuła tę podłą, ohydną intrygę! Czy pani myśli, że jego ból i cierpienie wskrzeszą zmarłą?

Uwolniła się od mego chwytu. Jej trupio blada twarz zaczerwieniła się z gniewu.

– Co mnie obchodzi jego cierpienie! On nigdy nie przejmował się moim. Czy pani myśli, że przyjemnie mi było patrzeć, jak pani siedzi na jej miejscu, chodzi po jej śladach, dotyka rzeczy, które należały do niej? Co ja się nacierpiałam przez te ostatnie miesiące, wiedząc, że pani pisze listy przy jej sekretarce, używa jej pióra, rozmawia ze mną przez telefon, tak jak ona to robiła każdego ranka od chwili, kiedy przyjechała do Manderley! Czy pani wie, co ja czułam, słysząc, jak Frith, Robert i reszta służby nazywa panią „panią de Winter”? „Pani de Winter wyszła na spacer”. „Pani de Winter kazała postawić samochód na trzecią”. „Pani de Winter wróci na podwieczorek dopiero o piątej”. Tymczasem moja pani de Winter, moja pani ze swoim uroczym uśmiechem na pięknej twarzy, moja dzielna, prawdziwa pani de Winter leży martwa, zimna i zapomniana w krypcie kościoła. Jeśli on cierpi, to zasłużył na to, żeniąc się z młodą dziewczyną w niespełna dziesięć miesięcy po śmierci mojej pani. Cóż, teraz płaci za to. Widziałam jego twarz, jego oczy. Sam stworzył sobie piekło i tylko siebie o to może winić. Wie, że ona przychodzi co noc, by go pilnować. Ale nie przychodzi łagodna i dobra, o nie, moja pani taka nie jest! Ona nigdy nie pozwoliłaby się skrzywdzić. „Wpierw zobaczę ich w piekle, Danny”, powiedziałyby. „Słusznie, moja droga, odpowiedziałabym, nikt ciebie nie zwycięży. Żyjesz po to, by życie w pełni wykorzystać”. Tak właśnie postępowała, nie dbając o nic, nie bojąc się niczego. Moja pani de Winter miała odwagę i usposobienie chłopca. Często mówiłam, że powinna być urodzić się chłopcem. Opiekowałam się nią od dziecka. Czy pani o tym wiedziała?

– Nie, nie wiedziałam. Po co pani mi to wszystko mówi? Nie chcę nic więcej słyszeć, nie chcę nic więcej wiedzieć! Czyż nie cierpię tak samo jak pani? Czy pani nie rozumie, co odczuwam, stojąc tu i słuchając pani wspomnień o niej?

Nie słyszała widocznie, co do niej mówię, i ciągnęła z pasją, nieprzytomnie, jak fanatyczka, szarpiąc długimi palcami czarną suknię.

– Już wtedy była śliczna, śliczna jak obrazek. Mężczyźni odwracali się za nią na ulicy, chociaż nie miała jeszcze dwunastu lat. Wiedziała o tym i mrugała do mnie porozumiewawczo ta mała diablica. „Będę piękną, prawda, Danny?”, pytała. „Postaramy się o to, moje złotko, postaramy”. Już w tym wieku miała umysłowość dorosłej osoby. Potrafiła prowadzić rozmowę swobodnie i dowcipnie, jak osiemnastoletnia panna. Robiła, co chciała, ze swoim ojcem i z pewnością robiłaby to samo z matką, gdyby jej matka żyła. Nikt nie mógł dorównać mojej pani odwagą. W dniu, gdy skończyła czternaście lat, powoziła czwórką koni. Kuzyn jej, pan Jack, wdrapał się na kozioł i chciał odebrać jej lejce. Bili się na koźle jak dzikusy przez kilka minut, a tymczasem konie ponosiły. Ale moja pani zwyciężyła! Zdzieliła go batem po głowie, pan Jack spadł na ziemię, klnąc i zaśmiewając się. To była dobrana para, powiadam pani. Posłali go do marynarki wojennej, ale nie chciał się podporządkować dyscyplinie. Wcale mu się nie dziwię, był zbyt żywiołowy, żeby słuchać jakichś rozkazów, podobnie jak moja pani.

Wpatrywałam się w panią Danvers, zaciekawiona i przerażona zarazem. Dziwny, ekstatyczny uśmiech postarzał ją jeszcze bardziej, ale jednocześnie ożywiał jej bladą twarz.

– Nikt jej nigdy nie pokonał, nigdy! Zawsze robiła to, co chciała, żyła tak, jak jej się podobało. Była silna jak lwiątko. Pamiętam, że mając szesnaście lat, dosiadła jednego z koni ojca. Masztalerz twierdził, że ten koń jest dla niej zbyt narowisty. Ale ona siedziała mocno w siodle. Widzę ją jeszcze teraz, jak pędzi z rozwianym włosiem, waląc konia szpicrutą aż do krwi i wbijając mu ostrogi. Gdy zsiadła, wielki, narowisty koń drżał pokryty pianą i krwią. „Dostał dobrą nauczkę, co, Danny?”, powiedziała i najspokojniej w świecie poszła umyć ręce. W taki sposób szła przez życie, gdy dorosła. Obserwowałam ją, byłam z nią stale. Nie dbała o nic i o nikogo. A jednak została pokonana. Lecz nie pokonał jej żaden mężczyzna ani żadna kobieta. Pokonało ją morze. Było potężniejsze od niej i w końcu zwyciężyło!

Urwała, wykrzywiając boleśnie usta. Zaczęła szlochać głośno, z otwartymi ustami, nie roniąc ani jednej łzy.

– Pani Danvers, pani Danvers!

Stałam bezradna, nie wiedząc, co robić. Przestałam jej nie dowierzać, przestałam się jej bać, ale na widok twarzy wykrzywionej rozpaczą dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Pani Danvers, pani źle się czuje, powinna się pani położyć. Proszę pójść do swego pokoju i położyć się do łóżka.

– Proszę mnie zostawić w spokoju! – krzyknęła z pasją. – Co to panią obchodzi, że okazuję swoją rozpacz? Ja się nie wstydzę tego, nie zamykam się u siebie, żeby się wypłakać. Nie chodzę tam i z powrotem po pokoju, tak jak pan de Winter, który zamyka się przede mną na klucz.

– Co to ma znaczyć? Pan de Winter tego wcale nie robi.

– Robił to po jej śmierci. Chodził tam i z powrotem po bibliotece. Słyszałam, jak chodził. Podglądałam go nieraz przez dziurkę od klucza. Chodził tam i z powrotem jak zwierzę w klatce.

– Nie chcę tego słyszeć, nie chcę o tym wiedzieć!

– I pani twierdzi, że był szczęśliwy w czasie podróży poślubnej, że pani dała mu szczęście, pani, młoda, niedoświadczona dziewczyna, która mogłaby być jego córką! Co pani wie o życiu, co pani wie o mężczyznach? Przyjeżdża pani tutaj, wyobrażając sobie, że zajmie miejsce mojej pani de Winter! Pani miałyby zająć jej miejsce! Nawet służba śmiała się z pani, gdy państwo przyjechali do Manderley. Śmiała się nawet ta mała posługaczka, którą pani spotkała w korytarzu pierwszego ranka po przyjeździe. Ciekawa jestem, co myślał sobie pan de Winter, gdy przywiózł tu panią po tej rozkosznej podróży poślubnej. Ciekawa jestem, co sobie pomyślał, gdy zobaczył panią siedzącą po raz pierwszy przy stole w jadalni.

– Proszę przestać, pani Danvers, proszę iść do swego pokoju!

– Proszę iść do swego pokoju – przedrzeźniała mnie – proszę iść do swego pokoju! Pani domu uważa, że powinnam iść do swego pokoju! A co potem? Pobiegnie pani do pana de Wintera i powie mu: „Pani Danvers zachowała się niegrzecznie w stosunku do mnie. Bardzo niegrzecznie”. Pobiegnie pani do niego na skargę, tak jak wtedy, gdy pan Jack przyjechał mnie odwiedzić.

– Nie wspominałam o tym panu de Winterowi.

– To kłamstwo! Któż inny mógł mu powiedzieć? Nikogo nie było w domu prócz pani. Frith miał wolne popołudnie, Robert pojechał na pocztę, nikt ze służby nie wiedział. Postanowiłam wtedy, że dam pani nauczkę, a i jemu również. Niech cierpi, co mnie to obchodzi! Dlaczego miałabym nie widywać w Manderley pana Jacka? Jest on ostatnim ogniwem, które mnie łączy z moją panią. „Nie życzę sobie, żeby tu przyjeżdżał, powiedział pan de Winter, ostrzegam panią po raz ostatni”. Okazuje się, że nadal jest zazdrosny!

Przypomniałam sobie, jak wówczas ukryłam się na krużganku, gdy otworzyły się drzwi do biblioteki. Pamiętam podniesiony głos Maxima wypowiadający słowa, które właśnie powtórzyła pani Danvers. Maxim zazdrosny...

– Był zazdrosny za jej życia i nadal jest zazdrosny po jej śmierci. Zabrania panu Jackowi wstępu do domu tak samo jak dawniej. Najlepszy dowód, że jej nie zapomniał. Był bardzo zazdrosny o nią. Ja także. Każdy, kto ją znał, musiał być zazdrosny. Nic jej to nie obchodziło. Śmiała się tylko. „Żyję tak, jak mi się podoba, Danny, nikt na świecie mnie nie powstrzyma!” Każdy mężczyzna, który raz na nią spojrzeł, tracił głowę. Widywałam tutaj wielu mężczyzn, z którymi spotykała się w Londynie, a następnie zabierała do Manderley na weekendy. Pływali z nią żaglówką, kąpali się w morzu. Moja pani urządzała wieczorami pikniki nad zatoczką. Oczywiście oni wszyscy zalecali się do niej, czyż mogło być inaczej? Śmiejąc się, opowiadała mi później, co który z nich mówił i jak się zachowywał. Nie przywiązywała do tego żadnej wagi, dla niej to była tylko zabawa. Tylko zabawa. Któż nie byłby zazdrosny? Wszyscy byli zazdrośni, wszyscy szaleli za nią, pan de Winter, pan Jack, pan Crawley, wszyscy, którzy ją znali, wszyscy, którzy bywali w Manderley!

– Nie chcę o tym słyszeć, nie chcę nic o tym wiedzieć!

Pani Danvers podeszła do mnie tak blisko, że jej twarz niemal dotykała mojej.

– Po co dalej walczyć? Pani jej nigdy nie zwycięży! Ona jest nadal panią domu, chociaż nie żyje. Ona jest prawdziwą panią de Winter, a nie pani. To pani jest cieniem, to pani jest duchem!

To pani jest zapomniana i odtrącona. Pani powinna jej zostawić Manderley, powinna pani opuścić ten dom!

Cofnęłam się pod okno, ogarnęło mnie znowu dawne przerażenie. Schwyciła mnie za ramię i trzymała jak w kleszczach.

– Powinna pani opuścić ten dom – powtarzała groźnie. – Nikt tu pani nie chce. On pani nie potrzebuje i nigdy nie potrzebował. On nie może jej zapomnieć. Chce być znowu sam w tym domu z nią. To pani powinna leżeć w krypcie kościelnej, a nie ona. To pani powinna umrzeć, a nie moja pani de Winter!

Popchnęła mnie w kierunku otwartego okna. Widziałam na dole taras osnuty białą mgłą.

– Proszę spojrzeć w dół! – powiedziała. – To by było tak łatwo. Mogłaby pani wyskoczyć, to nie boli, gdy się naraz łamie kark! To nagła, dobra śmierć. Nie to, co utonięcie. Niech pani spróbuje, niech pani skacze!

Wilgotna, lepka mgła wpadała przez okno, szczypała oczy, osiadała w nozdrzach. Uchwyciłam się parapetu.

– Niech się pani nie boi – powiedziała pani Danvers. – Nie wypchnę pani. Nie pomogę pani. Może pani sama skoczyć. Po co miałyby pani pozostawać nadal w Manderley? Pani nie jest szczęśliwa. Pan de Winter nie kocha pani. Po co miałyby pani dalej żyć? Niech pani skoczy w dół i wreszcie skończy z tym wszystkim! Przystanie pani cierpieć!

Widziałam niebieskie hortensje rosnące w wazonach i gładkie, szare, kamienne płyty tarasu. Wydawały się odległe we mgle, choć w rzeczywistości okno nie było tak bardzo wysoko od ziemi.

– Dlaczego pani nie skacze? – szepnęła pani Danvers. – Niech pani się odważy!

Napłynęła gęstsza fala mgły i zasnuła taras. Już nie mogłam dostrzec kwiatów ani gładkich kamiennych płyt. Spowity mnie białe opary pachnące wodorostami. Jedyłą realną rzeczą był parapet, którego się trzymałam, i palce pani Danvers silnie zaciśnięte na moim ramieniu. Gdybym skoczyła, nie zobaczyłabym kamiennych płyt przybliżających się ku mnie, mgła by je zasłoniła. Ból będzie ostry i krótki, natychmiast złamię kark. To nie będzie powolna śmierć jak przy tonięciu.

Koniec nastąpi błyskawicznie. Maxim mnie nie kocha, chce być znowu sam z Rebeką!

– Prędko – szeptała pani Danvers – prędko, nie ma się czego bać!

Zamknęłam oczy. Zakręciło mi się w głowie od patrzenia w dół, bolały mnie palce zaciśnięte kurczowo na parapecie. Mgła wciskała się do nozdrzy, dusiła jak narkoza, czułam jej wstrętny, kwaśny osad na wargach. Zaczynałam zapominać o tym, że jestem nieszczęśliwa, i o mojej miłości do Maxima. Zaczynałam zapominać o Rebecce. Wkrótce przestanę na zawsze myśleć o Rebecce...

W momencie gdy puściłam parapet i głęboko westchnęłam, huk eksplozji rozdarł ciszę spowitą w białe mgły. Szyby zadzwoniły w oknie. Otworzyłam oczy i spojrzałam na panią Danvers. Po pierwszym wybuchu następowały dalsze. Odgłosy detonacji spłoszyły wrony w lesie, które wzbiły się w powietrze głośno kracząc.

– Co to jest? – spytałam oszołomiona. – Co się stało?

Pani Danvers puściła moje ramię. Wpatrywała się w mgłę.

– To rakiety – powiedziała. – Widocznie jakiś statek osiadł na skałach w zatoce.

Nasłuchiwałyśmy obie, wpatrując się w mgłę. Po chwili na tarasie rozległ się odgłos szybkich kroków.

Był to Maxim. Nie mogłam go zobaczyć, ale słyszałam jego głos. Biegając, wołał Fritha. Frith odezwał się z holu i pośpieszył na taras. Postacie ich zarysowały się we mgle pod naszym oknem.

– Statek wpadł na skały – powiedział Maxim. – Przyglądałem mu się z półwyspu, jak wchodził do zatoki i zmierzał wprost na rafę. Nie uda im się ściągnąć statku przy tym poziomie przypływu. Widocznie myśleli, że wchodzi do portu Kerrith. Nad zatoką mgła gęsta jak mleko. Proszę powiedzieć w domu, żeby przygotowano jedzenie i napoje dla rozbitków, oraz zawiadomić telefonicznie pana Crawleya o tym wypadku. Zaraz idę do zatoczki, bo mogą potrzebować mojej pomocy. Proszę mi dać papierosy.

Pani Danvers cofnęła się od okna. Twarz jej stała się znowu bladą, zimną maską.

– Zejdźmy na dół – powiedziała. – Frith będzie mnie szukał. Pan de Winter pewnie zabierze rozbitków do domu. Proszę uważać na ręce, zamykam okno.

Cofnęłam się w głąb pokoju, nadal jeszcze oszołomiona i otępiała, niepewna ani jej, ani siebie. Przyglądałam się, jak zamykała okno, umocowywała okiennice i zaciągała kotary.

– Całe szczęście, że morze jest spokojne – powiedziała. – W przeciwnym razie nie udałoby się im wyratować. Ale przy takiej pogodzie nie grozi im niebezpieczeństwo. Jednakże właściciele tracą statek, jeśli wpadł na skały.

Rozejrzała się po pokoju, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Wyrównała kołdrę na francuskim łóżku. Następnie podeszła do drzwi i otworzyła je, usuwając się na bok.

– Powiem kucharzowi, by podał państwu zimny lunch, tak będzie najlepiej. Pan de Winter nie zechce wracać tutaj na pierwszą, jeśli będzie pomagał przy akcji ratowniczej.

Spojrzałam na nią niezbyt przytomnym wzrokiem i wyszłam z pokoju, sztywna i drewniana jak manekin.

– Gdy pani zobaczy pana de Wintera, zechce mu pani powiedzieć, że wszystko będzie przygotowane na przyjęcie rozbitków. O każdej porze dostaną jakieś gorące danie.

– Dobrze.

Odwróciła się i poszła w kierunku schodów dla służby. Jej chuda postać w czarnej sukni wyglądała niesamowicie. Szeroka spódnica sięgała ziemi. Takie spódnice noszono przed trzydziestu laty. Po chwili pani Danvers doszła do zakrętu i zniknęła mi z oczu.

Szłam wolno korytarzem w stronę krużganku. Umysł miałam otepiały, jak gdybym zbudziła się z długiego snu. Zeszłam po wielkich schodach, nie wiedząc, co robić. Frith przechodził właśnie przez hol do jadalni. Zobaczywszy mnie, zatrzymał się i powiedział:

– Pan de Winter był tutaj przed chwilą, proszę pani. Wziął papierosy i poszedł z powrotem do zatoczki. Podobno jakiś statek osiadł na mieliźnie.

– Tak.

– Czy pani słyszała rakiety? – spytał Frith.

– Tak, słyszałam.

– Byliśmy właśnie z Robertem w spiżarni. Pomyśleliśmy obaj, że to jeden z ogrodników wystrzelił nieużyty wczoraj fajerwerk. Powiedziałem nawet Robertowi: „Po co on to robi w taką pogodę? Zachowałyby lepiej dla dzieci na sobotę wieczór”. A potem wybuchła następna rakietka i jeszcze jedna. „To nie są fajerwerki, powiedział Robert, to statek wzywa pomocy”. „Zdaje się, że masz rację”, powiedziałem, a gdy wszedłem do holu, pan de Winter właśnie wbiegł na taras i zawołał mnie.

– Tak.

– Jeśli pani chce dogonić pana de Wintera, to on dopiero co poszedł prosto przez trawnik.

– Dziękuję, Frith.

Wyszłam na taras. Drzewa stały się bardziej widoczne. Mgła rzedła, unosząc się małymi strzępami ku niebu. Kłębiła się nad moją głową jak dym. Spojrzałam w górę na okna. Były zamknięte tak samo jak okiennice. Wydawało się, że okien tych nie można otworzyć.

Przed kilku minutami stałam przy tym dużym oknie pośrodku fasady. Jakże wysoko się znajdowało, wysoko i daleko! Płyty kamienne pod moimi stopami były twarde i masywne. Spojrzałam w dół, potem w górę na okno. Nagle zakręciło mi się w głowie i zrobiło słabo. Poczułam, że krople potu spływają mi po karku. Przed oczami zawirowały czarne płatki. Weszłam do holu i usiadłam na krześle. Dłonie miałam mokre. Siedziałam bez ruchu, objąwszy kolana.

– Frith! – zawołałam. – Czy Frith jest w jadalni?

– Słucham panią?

Zjawił się natychmiast i podszedł do mnie.

– Proszę się nie zdziwić, Frith, ale chciałabym się napić kieliszek koniaku.

– W tej chwili, proszę pani.

Siedziałam nadal bez ruchu, objąwszy kolana. Frith wrócił, niosąc kieliszek na srebrnej tacy.

– Czy pani źle się czuje? Może zawołać Clarice?

– Nie, to zaraz minie, Frith. To tylko lekkie zamroczenie.

– Dziś jest tak gorąco, proszę pani, bardzo gorąco. Właściwie parno.

– Tak, Frith, bardzo parno.

Wypiłam koniak i odstawiłam kieliszek na tacę.

– A może wybuchy rakiet przestraszyły panią, to było takie nieoczekiwane?

– Tak.

– A do tego doszedł upał i zmęczenie po wczorajszym balu, więc nic dziwnego, że pani czuje się nienadzwyczajnie.

– Tak, możliwe.

– Może pani zechce się położyć na pół godziny? W bibliotece jest całkiem chłodno.

– Nie, wyjdę za chwilę. Proszę się nie martwić, Frith.

– Dobrze, proszę pani.

Zostawił mnie samą w holu. Panowała tu cisza i spokój. Nie zostało żadnego śladu po wczorajszym balu, tak jakby się wcale nie odbył. Dawna surowość powróciła do tych ścian zawieszonych portretami i starożytną bronią.

Wydawało mi się zupełnie nieprawdopodobne, że to ja właśnie wczoraj wieczorem stałam w niebieskiej sukni u podnóża schodów, witając pięćset osób, że na krużganku

znajdowały się pulpity muzyków i że grała tam orkiestra. Wstałam z krzesła i wyszłam znowu na taras.

Mgła podniosła się już ponad wierzchołki drzew. Las stał się widoczny. Blade słońce próbowało przebić się przez gęste opary. Zrobiło się jeszcze goręcej. Parno, jak powiedział Frith. Pszczoła w poszukiwaniu nektaru, brzęcząc, przeleciała koło mnie i nagle zamilkła, wsuwając się do kielicha kwiatu. Na zboczach otaczających gazon ogrodnik zaczął ścinać trawę. Przestraszona makolągwa zerwała się spod terkoczącej kosiarki i pofrunęła do ogrodu różanego. Ogrodnik wolno posuwał się po zboczu, rozrzucając ściętą trawę i drobne stokrotki. Zapach ciepłej trawy unosił się w powietrzu, słońce grzało mocno poprzez białą mgłę.

Gwizdnęłam na Jaspera, ale pies nie przybiegł. Może poszedł z Maximem nad brzeg morza. Spojrzałam na zegarek. Za dwadzieścia pierwsza. Wczoraj o tej porze staliśmy z Frankiem w jego ogródku przed domem, czekając na lunch. Dwadzieścia cztery godziny upłynęły od chwili, gdy Maxim i Frank dokuczali mi i podkpiwali na temat mego stroju. „Będziecie zaskoczeni jak nigdy w życiu” – powiedziałam wtedy.

Wspominając te słowa, płonęłam ze wstydu. Nagle uprzytomniłam sobie po raz pierwszy, że Maxim nie opuścił mnie, jak się tego obawiałam. Jego głos brzmiał spokojnie i rzeczowo. To był znany mi głos. Inny niż ten, który usłyszałam wczoraj wieczorem, stojąc na schodach. Maxim nie opuścił mnie. Był teraz na brzegu morza, taki sam jak zwykle, normalny i rozsądny. Po prostu poszedł na spacer, tak jak powiedział Frank. Znajdował się na półwyspie, gdy statek zbliżał się do brzegu. Moje obawy były bezpodstawne. Maximowi nic nie groziło. Maximowi nic się nie stało. Przed chwilą przeżyłam coś poniżającego, straszliwego i szaleńczego, coś, czego dotychczas nie mogłam pojąć, coś, o czym chciałam zapomnieć raz na zawsze, tak jak się zapomina koszmary z lat dziecińczych. Ale to wszystko nie miało znaczenia, skoro Maximowi nic się nie stało.

Teraz i ja z kolei poszłam w dół stromą, wijącą się ścieżką przez ciemny las ku morzu.

Mgła rozviała się niemal całkowicie. Gdy zesłam do zatoczki, zobaczyłam statek, który znajdował się w odległości około dwóch mil od brzegu. Dziób statku zwrócony był w kierunku skał. Doszłam do końca falochronu i oparłam się

o parapet. Na skałach było już pełno ludzi. Widocznie przyszli z Kerrith ścieżką używaną przez strażników wybrzeża. Skały i półwysep należały do Manderley, ale ludność miała ustalone zwyczajem prawo przejścia ścieżką wzdłuż skał. Niektórzy schodzili po urwistym brzegu, żeby przyjrzeć się lepiej rozbitemu statkowi. Rufa wznosiła się pod niezwykłym kątem. Dokoła krążyło wiele łódek. Łódź ratownicza zatrzymała się nie opodal. Zobaczyłam, że jakiś mężczyzna stał w łodzi i krzyczał coś przez megafon, ale nie mogłam rozróżnić słów. W dali, nad zatoką, unosiła się jeszcze mgła, horyzont był niewidoczny. Jakaś ciemnoszara motorówka wyłoniła się nagle z mgły, kilku mężczyzn znajdowało się na pokładzie. Jeden z nich był w mundurze, to zapewne kapitan portu w Kerrith w towarzystwie agenta ubezpieczeniowego Lloyda. Po chwili pojawiła się następna motorówka, wioząca grupkę wycieczkowiczów z Kerrith. Łódź krążyła dokoła statku, przybysze rozmawiali w podnieceniu. Głosy ich niosły się wyraźnie nad cichą wodą.

Zesłam z falochronu i wspięłam się po ścieżce na skały, podążając w stronę zgromadzonych ludzi. Nie dostrzegłam nigdzie Maxima. Zobaczyłam Franka, który rozmawiał z jednym ze strażników. Zatrzymałam się zmieszana. Przed niecałą godziną wypłakiwałam mu się przez telefon. Nie wiedziałam, jak się teraz zachować. Dostrzegł mnie od razu i pomachał ręką. Podeszłam do niego. Strażnik, który mnie znał, odezwał się z uśmiechem:

– Przyszła pani popatrzeć na tę całą hecę, pani de Winter? Obawiam się, że to będzie trudna sprawa. Wątpię, czy holowniki zdołają ściągnąć statek ze skał. Mocno utknął na rafie.

– Co teraz zrobią? – spytałam.

– Opuuszczą nurka, żeby zobaczył, czy kadłub nie jest uszkodzony. Ten w czerwonej czapce to nurek. Chce pani popatrzeć przez lornetkę?

Wzięłam lornetkę i zaczęłam obserwować statek. Grupa ludzi przechylona przez burtę na rufie statku przyglądała się czemuś badawczo. Jeden z nich wskazywał coś ręką. Mężczyzna w łodzi ratowniczej nadal wołał przez megafon.

Kapitan portu Kerrith przyłączył się do grupki stojącej na rufie statku. Nurek w czerwonej czapce siedział w szarej

motorówce kapitana portu.

Łódź z wycieczkowiczami nadal krążyła dokoła statku. Jakaś kobieta stała w niej, robiąc zdjęcia. Kilka mew siadło na wodzie. Krzyczały głośno, spodziewając się zera.

Oddałam lornetkę strażnikowi.

– Na razie nic się nie dzieje.

– Niedługo opuszczą nurka na dno – powiedział strażnik. – Z pewnością teraz sprzeczą się, tak jak wszyscy cudzoziemcy. Oto przybyły holowniki!

– To im się nie uda – powiedział Frank. – Spójrzcie na przechył statku. Tu jest o wiele płycej, niż myślałem.

– Ta rafa ciągnie się dość daleko – powiedział strażnik. – Nie zauważa się jej, płynąc nad nią małą łódką, ale statek o takim dużym zanurzeniu musi tu utknąć.

– Byłem w pierwszej zatoczce, przy dolinie, gdy wystrzelono rakiety – powiedział Frank. – Widoczność ograniczała się do trzech jardów, i tu nagle te rakiety nie wiadomo skąd!

Pomyślałam, że wszyscy ludzie reagują podobnie na niezwykle wypadki. Frank zachowywał się tak samo jak Frith, podając nam swoją wersję katastrofy, jak gdyby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Wiedziałam, że Frank poszedł na plażę w poszukiwaniu Maxima. Wiedziałam, że był równie przerażony jak i ja. A teraz to wszystko zostało zapomniane – nasza rozmowa przez telefon, nasz wspólny niepokój, jego naleganie, że musi się ze mną zobaczyć. I to dlatego, że jakiś statek wskutek mgły osiadł na skałach. Jakiś mały chłopczyk podbiegł do nas.

– Czy ci marynarze się potopią? – spytał z przejęciem.

– Nie, synku, nic im się nie stanie – odpowiedział strażnik. – Morze jest gładkie jak jezioro. Tym razem nikt nie utonie.

– Gdyby to się wydarzyło wczoraj wieczorem, nie usłyszeliśmy ich rakiet – wtrącił Frank. – Wystrzeliliśmy przecież sami ponad pięćdziesiąt sztucznych ogni, nie licząc mniejszych fajerwerków.

– My usłyszeliśmy na pewno – zaznaczył strażnik. – Zobaczylibyśmy błysk i wiedzielibyśmy, skąd wystrzelono rakiety. Niech pani spojrzy teraz na nurka, właśnie wkłada hełm.

– Ja chcę zobaczyć nurka – dopominał się chłopczyk.

– Tam, widzisz go? – powiedział Frank, nachylając się do chłopca i wskazując mu nurka. – O, ten, który teraz wkłada hełm. Zaraz go opuszczą na dno.

– Czy on nie utonie? – spytał chłopczyk.

– Nurkowie nie toną – powiedział strażnik. – Przez cały czas pompują mu powietrze. Patrz, jak znika pod wodą!

Na tafli wody pojawiły się kręgi, po czym powierzchnia morza znowu się wygładziła.

– Nurek zniknął – powiedział chłopiec.

– Gdzie jest Maxim? – spytałam.

– Zabrał jednego z załogi i pojechał do Kerrith – odpowiedział Frank. – Ten chłop widocznie stracił głowę w chwili, gdy statek natknął się na rafę, i skoczył za burtę. Znaleźliśmy go uczepionego do skały niedaleko stąd. Oczywiście był przemoczony do suchej nitki i trząsł się jak galareta. Nie umiał ani słowa po angielsku. Maxim zszedł do niego i przekonał się, że marynarz krwawi silnie wskutek rozbicia o skałę. Maxim rozmawiał z nim po niemiecku. Potem przywołał jakąś motorówkę z Kerrith, która krążyła tutaj jak głodny rekin, i pojechał z marynarzem do doktora. Jeśli szczęście mu dopisze, złapie starego Phillipa przy lunchu.

– Kiedy pojechał? – spytałam.

– Jakies pięć minut przed pani przyjściem. To dziwne, że pani nie zauważyła tej motorówki. Maxim siedział z tyłu z tym Niemcem.

– Widocznie odjechał, gdy ja wspinałam się na skały.

– Maxim jest nadzwyczajny w takich wypadkach – powiedział Frank. – Zawsze gotów do wszelkiej pomocy. Zobacz pani, że zaprosi całą załogę do Manderley, będzie ich karmił i poił, a w dodatku jeszcze ich przenocuje.

– To prawda – potwierdził strażnik. – Odda własną koszulę każdemu ze swoich ludzi. Żeby więcej takich było w naszym hrabstwie!

– Tak, przydałoby się – powiedział Frank.

Przyglądaliśmy się nadal statkowi. Holowniki ciągle trzymały się w pobliżu, ale łódź ratownicza zawróciła już w kierunku Kerrith.

– Dziś nie mają tu nic do roboty – odezwał się strażnik.

– Nie – powiedział Frank. – Wydaje mi się, że i holowniki nic tu nie poradzą. Statek pójdzie na złom i jakiś przedsiębiorca zarobi sobie tym razem.

Mewy krążyły nad nami, miaucząc jak głodne koty. Niektóre siadały na skałach, inne, bardziej śmiało – na wodzie obok statku.

Strażnik zdjął czapkę i otarł czoło.

– Nie ma czym oddychać, prawda?

– Tak – powiedziałam.

Motorówka z wycieczkowiczami odpłynęła w kierunku Kerrith.

– Znudzilo im się – zauważył strażnik.

– Nic dziwnego – powiedział Frank. – Jeszcze sporo czasu upłynie, zanim się coś zacznie dziać. Nurek musi najpierw złożyć meldunek. Dopiero potem mogą podjąć próbę ściągnięcia statku ze skał.

– Ma pan rację – przytaknął strażnik.

– Nie mamy po co tutaj sterczeć – stwierdził Frank. – Nie możemy nic pomóc. A ja chcę zjeść lunch.

Milczałam. Frank zawahał się. Czułam na sobie jego wzrok.

– Co pani ma zamiar robić?

– Zostanę tu jeszcze trochę. Lunch mogę zjeść o dowolnej porze. Dziś ma być zimny, to zresztą nieważne. Chcę zobaczyć, co robi nurek.

Nie chciałam wracać do domu z Frankiem. Pragnęłam teraz być sama lub z kimś, kto mi nie był bliski, jak na przykład strażnik.

– Nic pani nie zobaczy – nalegał Frank. – Tu nie ma nic do zobaczenia. Wracajmy lepiej. Zapraszam panią na lunch.

– Nie – powiedziałam – nie, dziękuję...

– No, trudno. Pani wie, gdzie mnie znaleźć w razie potrzeby. Całe popołudnie będę w biurze.

– Dobrze.

Frank skinął głową strażnikowi i zaczął schodzić ze skał ku zatoczce. Zastanawiałam się, czy go dotknęłam. Ale nic na to mogłam poradzić. Kiedyś nasze sprawy ułożą się jakoś. Tyle wydarzyło się od chwili naszej rozmowy przez telefon. Nie chciałam o niczym myśleć. Pragnęłam siedzieć na skałach i patrzeć na statek.

– Pan Crawley to porządny chłop – odezwał się strażnik.

– Tak.

– Dałby sobie uciąć rękę za pana de Wintera.

– I ja tak myślę.

Mały chłopczyk biegał po trawie koło nas.

– Kiedy nurek wyjdzie z wody? – spytał.

– Jeszcze nieprędko, synku.

Jakaś kobieta w różowej pasiastej sukni, z siatką na włosach, zbliżyła się do nas.

– Charlie! Charlie! Gdzie jesteś?

– Idzie twoja matka, zaraz dostaniesz za swoje – powiedział strażnik.

– Mamusiu, widziałem nurka! – krzyknął chłopczyk.

Kobieta skinęła nam głową z uśmiechem. Zapewne przyjechała na wakacje z dzieckiem do Kerrith i dlatego mnie nie znała.

– Zdaje się, że przedstawienie już skończone – odezwała się do nas. – Tam w dole mówią, że statek będzie tkwił na skałach przez dłuższy czas.

– Czekają na meldunek nurka – powiedział strażnik.

– Nie wiem, dlaczego nurkowie godzą się schodzić pod wodę – powiedziała nieznajoma. – Chyba że im za to dobrze płacą.

– Tak, płacą im dobrze – potwierdził strażnik.

– Ja chcę być nurkiem, mamusiu – powiedział chłopczyk.

– Musisz spytać tatusia, czy ci pozwoli – odpowiedziała matka, śmiejąc się do nas. – Jak tu pięknie! – zwróciła się do mnie. – Wybraliśmy się na całodzienną wycieczkę, nie przypuszczając, że będzie taka mgła. W dodatku byliśmy świadkami katastrofy. Właśnie chcieliśmy już wracać do Kerrith, gdy wystrzeliły rakiety, tuż pod nosem, jak nam się wydawało. Omal nie umarłam ze strachu. „Co to jest?”, spytałam męża. „To statek wzywa ratunku, zostanemy tutaj, zobaczymy, co się będzie działo”. Nie mogę go odciągnąć w żaden sposób, jest równie nieznośny jak mój mały. Ja nie widzę tu nic ciekawego.

– Nie, teraz się tu nic ciekawego nie dzieje – przytaknął strażnik.

– Jaki tam piękny las, to chyba własność prywatna?

Strażnik chrząknął zmieszany i zerknął na mnie. Zaczęłam gryźć źdźbło trawy i odwróciłam głowę.

– Tak, to wszystko dokoła jest własnością prywatną – odpowiedział strażnik.

– Mój mąż mówi, że te wszystkie wielkie majątki zostaną z czasem rozparcelowane, a na tych terenach zbuduje się małe domki. Zgodziłabym się na mały domek w tej okolicy, nad brzegiem morza. Tylko nie wiem, czy chciałabym tutaj przebywać w zimie.

– W zimie jest tu bardzo nudno – przyznał strażnik.

Gryzłam dalej źdźbło trawy. Chłopczyk biegał dokoła nas. Strażnik spojrzął na zegarek.

– Muszę już iść, do widzenia.

Zasalutował mi i poszedł ścieżką w kierunku Kerrith.

– Chodź, Charlie, pójdziemy poszukać tatusia – powiedziała nieznajoma.

Skinęła mi przyjaźnie głową i powoli skierowała się nad skraj skalnej ściany. Chłopczyk pobiegł za nią. Chudy mężczyzna w szortach koloru khaki i pasiastym blezerze zaczął machać do nich ręką. Rodzina usiadła pod krzewem jałowca, a kobieta zaczęła rozwijać paczki z żywnością.

Marzyłam o tym, żebym przestała być sobą i mogła przyłączyć się do nich. Jeść jajka na twardo i kanapki z pasztetem, śmiać się głośno i gawędzić z nimi. A po południu pieszo wrócić do Kerrith, chodzić boszo po wodzie, ścigać się na piaszczystej plaży i na podwieczorek w pensjonacie zajadać krewetki. Tymczasem muszę wracać sama przez las do Manderley i czekać na Maxima. Nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć, jak on spojrzy na mnie, jak zabrzmie jego głos. Nie ruszałam się z miejsca. Nie byłam głodna, zapomniałam o lunchu.

Przybywało coraz więcej gapiów żądnych sensacji. Była to dla nich dobra rozrywka na popołudnie. Nie znałam nikogo, to wszystko byli letnicy z Kerrith.

Gładkiej tafli morza nie marszczył najmniejszy podmuch. Mewy nie krążyły już nad głowami, osiadły na wodzie w pobliżu statku. Po południu zjawilo się sporo łódek. Co za wspaniała okazja dla wynajmujących łodzie w Kerrith. Nurek wychylił się z wody, a po chwili opuścił ponownie na dno. Jeden z holowników odpłynął, drugi jeszcze pozostał. Kapitan portu odjechał szarą motorówką, zabierając ze sobą kilku ludzi oraz

nurka, który powtórnie ukazał się na powierzchni wody. Przechyleni przez burtę marynarze rzucali mewom resztki jedzenia, a wycieczkowicze wiosłowali leniwie, wolno okrążając statek.

Nie działo się nic ciekawego. Nadszedł kulminacyjny punkt odpływu. Statek przechylił się tak dalece, że śruba znalazła się nad wodą. Małe pasemka białych chmurków płynęły po zachodniej części nieba, słońce poblądło. Nadal było bardzo gorąco.

Kobieta w różowej sukni wyruszyła z synkiem w powrotną drogę do Kerrith. Mężczyzna w szortach podążył za nimi, niosąc koszyk z prowiantem.

Spojrzałam na zegarek, było już po trzeciej. Wstałam i zesłam ze skał do zatoczki, jak zawsze pustej i cichej. Żwir na brzegu miał ciemnoszarą barwę. Morze było gładkie jak lustro. Żwir chrząścił pod nogami. Pasma białych chmur zasnuły całe niebo, słońce zniknęło.

Przechodząc na drugą stronę zatoczki, zobaczyłam Bena siedzącego w kucki nad małym zalewem wśród skał, z którego wydobywał ślimaki. Gdy się zbliżyłam, Ben dostrzegł moje odbicie w wodzie i podniósł głowę.

– Dzień dobry – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– Dzień dobry.

Podniósł się z kucek i rozwinął brudną chustkę, w której przechowywał ślimaki.

– Czy pani je ślimaki?

Nie chciałam go urazić odmową.

– Dziękuję.

Wysypał mi na rękę kilkanaście ślimaków, które włożyłam do kieszeni.

– Najlepiej smakują z chlebem i masłem – powiedział – ale trzeba je najpierw ugotować.

– Tak, naturalnie.

Stał, uśmiechając się do mnie.

– Widziała pani statek?

– Tak, wpadł na rafę.

– Ee?

– Wpadł na rafę – powtórzyłam. – Pewnie jest uszkodzony.

Na jego twarzy pojawił się wyraz obłędu.

– Tak, ona leży na dnie morza. Ona już nie wróci.

– Może holownikom uda się go ściągnąć, gdy zacznie się przypływ.

Ben milczał. Wpatrywał się w statek. Z miejsca, w którym się znajdowałam, widoczny był bok statku. Widziałam dolną część kadłuba pomalowaną na czerwono, odcinającą się jaskrawo od czarnych burt, oraz komin groźnie pochylony ku skałom. Marynarze nadal karmili mewy i wpatrywali się w wodę. Łodzie z wioślarzami powracały do Kerrith.

– To duński statek? – spytał Ben.

– Nie wiem, duński albo niemiecki.

– Rozbije się na tych skałach.

– Obawiam się, że tak.

Ben uśmiechnął się i otarł nos wierzchem dłoni.

– Będzie się rozpadać kawałek po kawałku, nie pójdzie na dno jak kamień, tak jak tamta żaglówka.

Zachichotał, dłubiąc w nosie. Ja milczałam.

– Już ją chyba ryby zjadły, prawda? – spytał.

– Kogo?

Wskazał palcem w morze.

– No ją, tamtą.

– Ryby nie jedzą łodzi, Ben.

– Ee?

Wpatrywał się we mnie błędnym wzrokiem.

– Muszę już iść – powiedziałam. – Do widzenia.

Poszłam w kierunku ścieżki prowadzącej przez las. Nie spojrzałam na domek. Zdawałam sobie sprawę, że mam go po prawej ręce, że stoi tam szary i cichy. Szłam wprost ku ścieżce w lesie, potem w górę. W połowie drogi zatrzymałam się, aby odpocząć. Poprzez gałęzie drzew jeszcze widać było statek przechylony w stronę brzegu. Wszystkie łodzie zniknęły. Marynarze zeszli pod pokład. Pasma chmur zasnuły całe niebo. Lekki podmuch wiatru owiał mi twarz. Liść spadł mi na rękę. Wstrząsnął mną dreszcz. Wiatr nagle ustał, zrobiło się znowu gorąco i parno tak jak przedtem. Statek wyglądał teraz żałośnie, bez żywej duszy na pokładzie. Morze było spokojne, fale cicho szemrały na żwirze. Odwróciłam się i zaczęłam iść w górę stromą ścieżką przez las. Nogi niosły mnie niechętnie, szłam z ciężkim sercem, ogarnięta jakimś niedobrym przecuciem.

Gdy wyszłam z lasu i spojrzałam na dom, wydał mi się on oazą spokoju, bezpiecznym schronieniem. Nigdy nie wyglądał tak pięknie jak dzisiaj. Patrząc na niego ze zbocza, uświadomiłam sobie po raz pierwszy ze zdziwieniem i dumą, że to jest mój dom, że tu jest moje miejsce, że Manderley należy do mnie. Drzewa, trawa i kwiaty na tarasie odbijały się w szybach gotyckich okien. Cienka smuga dymu unosiła się z komina. Świeżo skoszona trawa pachniała mocno. Kos ukryty wśród gałęzi kasztana śpiewał wesoło. Żółty motyl leciał przede mną ku tarasowi.

Weszłam przez hol do jadalni. Moje nakrycie jeszcze stało, ale nakrycie Maxima już sprzątnięto. Zimne mięso i sałata postawione były na kredensie. Po chwili wahania zadzwoniłam na służbę. Robert zjawił się natychmiast.

– Czy pan de Winter był w domu? – spytałam.

– Tak, proszę pani, przyszedł zaraz po drugiej, szybko zjadł lunch i znowu wyszedł. Pytał o panią, Frith powiedział, że pani pewnie poszła zobaczyć statek.

– Czy pan powiedział, kiedy wróci?

– Nie, proszę pani.

– Może poszedł na brzeg inną drogą i minęliśmy się.

– Możliwe, proszę pani.

Spojrzałam na zimne mięso i sałatę. Miałam pusty żołądek, ale nie byłam głodna. Nie miałam ochoty na zimne mięso.

– Czy pani zje teraz lunch? – spytał Robert.

– Nie, proszę mi podać herbatę do biblioteki. Nie chcę żadnych ciastek ani placuszków. Tylko herbatę i chleb z masłem.

– Dobrze, proszę pani.

Poszłam do biblioteki i usiadłam przy oknie. Brakowało mi Jaspera. Widocznie poszedł z Maximem. Stara suka spała na swoim posłaniu. Wzięłam do ręki „Timesa”. Przewracałam strony, nie czytając ich. Zabijałam czas jak w poczekalni u dentysty. Wiedziałam, że nie potrafię teraz robić na drutach lub czytać. Czułam, że stanie się coś nieoczekiwanego. Koszmar, który przeżyłam dziś rano, katastrofa statku, brak jedzenia – wszystko to razem sprawiło, że ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój. Czułam się tak, jakbym zaczynała nową fazę życia, czułam, że wszystko się teraz odmieni.

Dziewczyna, która ubierała się wczoraj wieczorem na bal, pozostała tylko we wspomnieniach. Wydawało mi się, że wiele czasu upłynęło od tej chwili. Osoba, która siedziała tu przy oknie, była inna, nie ta sama...

Robert przyniósł mi herbatę. Zjadłam z apetytem chleb z masłem. Robert podał również gorące placuszki, sandwicze i kawałek tortu. Widocznie uważał, że uchybiłoby zwyczajom panującym w Manderley, gdyby przyniósł tylko chleb z masłem. Ucieszył mnie zresztą widok placuszków i tortu. Przypomniałam sobie, że prócz zimnej herbaty nie miałam nic w ustach od rana. Właśnie wypłam trzecią filiżankę herbaty, gdy Robert ponownie wszedł do pokoju.

– Czy pan de Winter nie wrócił jeszcze, proszę pani?

– Nie. O co chodzi? Czy ktoś szuka pana?

– Tak, proszę pani, telefonuje kapitan Searle, kapitan portu Kerrith. Zapytuje, czy może przyjechać i rozmówić się osobiście z panem de Winterem.

– Nie wiem, co mu powiedzieć. Nie wiadomo, kiedy pan wróci.

– Właśnie, proszę pani.

– Proszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił o piątej.

Robert wyszedł, ale po kilku minutach wrócił.

– Kapitan Searle chciałby się z panią zobaczyć, jeśli to możliwe. Mówi, że sprawa jest pilna. Telefonował do pana Crawleya, ale tam się nikt nie zgłaszał.

– Naturalnie, muszę go przyjąć, skoro sprawa jest pilna. Proszę poprosić go, żeby zaraz przyjechał. Czy on ma samochód?

– Chyba tak, proszę pani.

Robert wyszedł. Zastanawiałam się, co mam powiedzieć kapitanowi. Z pewnością jest to sprawa związana z katastrofą statku. Nie mogłam zrozumieć, co Maxim może mieć z tym wspólnego. Gdyby statek osiadł na rafie w zatoczce, to co innego. Zatoczka należała do Manderley. Musieliby uzyskać zgodę Maxima na wysadzenie w powietrze skał lub podobne prace ratownicze. Ale brzeg nad dużą zatoką i podwodna rafa nie należały do Maxima. Kapitan Searle tylko niepotrzebnie stracił czas na rozmowę ze mną.

Widocznie wszedł do samochodu od razu po rozmowie telefonicznej, gdyż przed upływem kwadransa już znalazł się

w bibliotece. Był nadal w mundurze, w którym widziałam go przez lornetkę po południu. Wstałam z kanapy i przywitałam się z nim.

– Bardzo mi przykro, ale mój mąż jeszcze nie wrócił. Widocznie poszedł znowu nad morze. Przedtem był w Kerrith. Nie widziałam go przez cały dzień.

– Tak, słyszałem, że był w Kerrith, ale nie spotkałem się z nim. Widocznie poszedł z powrotem ścieżką wzdłuż brzegu, podczas gdy ja wracałem motorówką. Nie mogłem również porozumieć się z panem Crawleyem.

– Katastrofa statku narobiła dużego zamieszania. Ja także dłuższy czas spędziłam na nadbrzeżnych skałach i nawet nie jadłam lunchu. Widziałam tam pana Crawleya. Co się stanie ze statkiem? Czy uda się go ściągnąć za pomocą holowników?

Kapitan Searle zakreślił w powietrzu duże koło.

– Ma taką dziurę w dnie kadłuba – powiedział. – Już nigdy nie wróci do Hamburga. Mniejsza z tym. Właściciel i agent Lloyda uzgodnią tę sprawę między sobą. Nie, proszę pani, nie przychodzę tu w związku ze statkiem. Chociaż pośrednio jest on przyczyną mojej wizyty. Chodzi o to, że mam pewną wiadomość dla pana de Wintera i sam nie wiem, jak mu to powiedzieć.

Patrzył mi prosto w oczy.

– Jaką wiadomość, panie kapitanie?

Wyciągnął z kieszeni dużą białą chustkę i wytarł nos.

– Przykro mi, że muszę to pani mówić. Za nic nie chciałbym sprawić przykrości pani lub mężowi. My wszyscy w Kerrith bardzo lubimy pana de Wintera, jego rodzina zawsze robiła tyle dobrego. To straszne dla pani męża, że nie możemy zostawić przeszłości w spokoju. Ale, niestety, w tych okolicznościach jest to niemożliwe.

Przerwał i schował chustkę do kieszeni. Ściszył głos, choć byliśmy sami w pokoju.

– Opuściliśmy nurka na dno, aby zbadał, czy kadłub jest uszkodzony. Nurek zrobił tam pewne odkrycie. Znalazł on dziurę w kadłubie i właśnie obchodził statek, żeby sprawdzić, czy z drugiej strony są jakieś uszkodzenia, gdy natknął się na mały jacht leżący na boku, ale zupełnie cały. Nurek jest tutejszy, więc od razu poznał ten jacht. Jest to jacht, który należał do nieżyjącej pani de Winter.

W pierwszej chwili odczułam wielką ulgę, że Maxim jest nieobecny i tego nie słyszy. Nowy cios, który spada na niego tak szybko po moim wczorajszym występie, jest przez to jeszcze bardziej okrutny.

– To straszne – powiedziałam powoli. – Kto by się tego spodziewał! Czy trzeba mówić o tym mojemu mężowi? Czy nie można by zostawić żagłówki w spokoju, chyba tam nikomu nie przeszkadza?

– Zostawilibyśmy ją, gdyby nie pewne okoliczności. Nie ruszałbym jej, gdyby to zależało ode mnie. Wiele bym dał, żeby nie sprawić przykrości panu de Winterowi. Ale to jeszcze nie wszystko, proszę pani. Oglądając jacht, nurek zrobił jeszcze jedno, znacznie ważniejsze odkrycie. Drzwi kabiny, nieuszkodzone, oraz iluminatory były szczelnie zamknięte. Nurek rozbił kamieniem, który znalazł na dnie morza, szybę jednego z iluminatorów i zajrzał do kabiny. Wnętrze było pełne wody, ale żadnych uszkodzeń nie zauważył. A potem przeraził się śmiertelnie.

Kapitan przerwał i obejrzał się przez ramię, jakby w obawie, że ktoś ze służby może go usłyszeć.

– W kabinie na podłodze leżały jakieś zwłoki – powiedział cicho. – Były całkowicie rozłożone, pozostały same kości. Ale to był ludzki szkielet. Nurek wyraźnie dostrzegł czaszkę oraz kości nóg i rąk. Po wyjściu na powierzchnię zameldował mi o tym. Teraz pani rozumie, dlaczego muszę pomówić z pani mężem.

Najpierw ogarnęło mnie zdumienie, potem przerażenie. Zrobiło mi się niedobrze.

– Wszyscy przypuszczali, że ona wypłynęła sama – szepnęłam. – To znaczy, że ktoś był z nią w czasie wyprawy i nikt o tym nic wiedział?

– Wygląda na to – powiedział kapitan Searle.

– Któż to mógł być? Z pewnością rodzina wiedziałaby, gdyby ktoś zaginął? Gazety rozpisywały się przecież o tym wypadku. Dlaczego ten ktoś był w kabinie, a jej ciało znaleziono daleko stąd po tylu miesiącach?

Kapitan potrząsnął głową.

– Nie umiem pani tego powiedzieć. Wiemy tylko tyle, że jakieś zwłoki znajdują się w kabinie jachtu i że musimy o tym zameldować władzom. Obawiam się, że sprawa nabierze

rozgłosu. To jest nie do uniknięcia. To bardzo przykre dla pani i pana de Wintera. Założyliście dom, chcielibyście być szczęśliwi, a teraz musiało się to wydarzyć.

Zrozumiałam w tym momencie, dlaczego miałam to dziwne przeczucie. To nie sylwetka rozbitego statku budziła grozę ani czarny komin przechylony ku skałom, ani żaloszny krzyk mew. Lęk i grozę budziła tajemnicza głębia morza kryjąca coś nieznanego. Nurek opuścił się w tę zimną otchłań, natknął się na jacht Rebeki i znalazł jej martwego towarzysza. Dotykał żaglówki, zaglądał do kabiny w tym czasie, gdy ja siedziałam na skałach i nie wiedziałam o niczym.

– Gdybyśmy tylko nie musieli powiedzieć o tym mężowi – odezwałam się po chwili. – Gdybyśmy mogli ukryć przed nim tę całą sprawę!

– Zapewniam panią, że tak bym zrobił, gdybym tylko mógł – odparł kapitan portu. – Niestety, w tych okolicznościach nie mogę kierować się uczuciami osobistymi. Muszę spełnić swój obowiązek. Muszę zameldować władzom o znalezieniu zwłok.

Urwał nagle, bo otworzyły się drzwi i Maxim wszedł do pokoju.

– Dzień dobry – powiedział. – Co się tu dzieje? Nie wiedziałem, że pan tu jest, kapitanie. Czy coś się stało?

Nie mogłam dłużej tego znieść. Ulegając swemu tchórzostwu, wymknęłam się z pokoju, zamknęłam za sobą drzwi. Nawet nie spojrzałam na twarz Maxima. Wydawało mi się, że jest zmęczony i brudny.

Zatrzymałam się w drzwiach prowadzących na taras. Jasper głośno chleptał wodę ze swojej miski. Pomachał ogonem na mój widok, ale pił dalej. Po chwili rzucił się do mnie w radosnych podskokach. Pocałowałam go w czubek głowy i wyszłam na taras. Nadszedł krytyczny moment, muszę mu stawić czoło. Muszę teraz przewyciężyć moje obawy, niepewność, nieśmiałość i beznadziejny kompleks niższości. Jeśli teraz przegram, przegram na zawsze. To moja ostatnia szansa. Modliłam się rozpaczliwie o odwagę, zaciskając kurczowo ręce. Siedziałam przez pięć minut, patrząc na zielony trawnik i kwiaty na tarasie. Usłyszałam, że samochód rusza sprzed domu. To pewnie kapitan Searle przekazał już wiadomość Maximowi i odjechał.

Wstałam i poszłam powoli przez hol do biblioteki. Przerzucałam w kieszeniach ślimaki, które dostałam od Bena.

Maxim stał przy oknie, odwrócony tyłem do pokoju. Zatrzymałam się w drzwiach, ale on się nie obejrzał. Wyjęłam ręce z kieszeni i podeszłam do niego. Ujęłam jego rękę i przytuliłam ją do policzka. Nie odezwał się, stał bez ruchu.

– Tak mi przykro – szepnęłam – tak strasznie przykro.

Nic nie odpowiedział. Jego ręka była zimna jak lód. Zaczęłam ją tkliwie całować.

– Nie chcę, byś sam to przeżywał. Chcę wszystko dzielić z tobą. W ciągu tych dwudziestu czterech godzin, Maximie, przestałam być dzieckiem.

Objął mnie ramieniem i mocno przygarnął do siebie. Przewyciężyłam moją powściągliwość i nieśmiałość. Oparłam głowę o jego ramię.

– Czy przebaczyłeś mi?

Odezwał się wreszcie:

– Czy przebaczyłem? Co ci miałem przebaczyć?

– Wczorajszy wieczór. Myślałeś, że zrobiłam to umyślnie.

– Ach, zapomniałem o tym. Rozgniewałem się na ciebie, prawda.

– Tak.

Nie powiedział nic więcej i nadal trzymał mnie w uścisku.

– Maximie, czy nie moglibyśmy rozpocząć na nowo? Rozpocząć od dnia dzisiejszego i razem wszystkiemu stawiać czoło? Nie żądam, byś mnie kochał, nie żądam rzeczy niemożliwych. Będę twoim przyjacielem i towarzyszem, jakby młodszym kolegą. Nie chcę być niczym więcej.

Ujął moją twarz w dłonie i spojrzał mi w oczy. Po raz pierwszy dostrzegłam, jak bardzo jest mizerny. Na zmęczonej twarzy pojawiły się bruzdy.

– Czy bardzo mnie kochasz? – spytał.

Nie mogłam nic wykrztusić, wpatrywałam się tylko w jego czarne, udręczone oczy, w jego bladą twarz.

– Za późno, kochanie, za późno – powiedział. – Przegraliśmy naszą stawkę o szczęście.

– Nie, Maximie, nie!

– Tak, już po wszystkim. Stało się.

– Co się stało?

– To, czego się obawiałem. To, co mnie gnębiło dzień po dniu, noc po nocy. Nam niesądzone jest szczęście.

Usiadł na kanapce przy oknie, a ja uklękłam przy nim, kładąc mu ręce na ramiona.

– Co ty masz na myśli? – spytałam.

– Rebeka zwyciężyła!

Patrzyłam na niego z bijącym sercem. Ręce mi nagle zlodowaciały.

– Jej cień dzieli nas ciągle. Jej przeklęty cień nie pozwala nam się zbliżyć. Czyż mogłem tak cię trzymać w ramionach, moja kochana maleńka, z tą obawą w sercu, że to się stanie?! Widzę ciągle jej oczy, jak patrzą na mnie przed śmiercią. Pamiętam ten jej podstępny uśmiech. Ona wiedziała, że to się stanie. Wiedziała, że w końcu zwycięży.

– Maximie – szepnęłam – co ty mówisz, co ty mi chcesz powiedzieć?

– Znaleźli jej żagłówkę. Nurek natknął się na nią dziś po południu.

– Wiem, kapitan Searle mi o tym powiedział. Myślisz o zwłokach, które znaleziono w kabinie.

– Tak.

– To oznacza, że ona nie była sama. Ktoś wypłynął wówczas razem z Rebeką. A ty chcesz się dowiedzieć, kto to był. Czy o to ci chodzi, Maximie?

– Nie, ty tego nie zrozumiesz.

– Chcę wszystko dzielić z tobą, kochanie. Chcę ci pomóc.

– Nikt nie wypłynął z Rebeką, ona była sama.

Kłęczałam, wpatrując się w jego oczy.

– To zwłoki Rebeki leżą w kabinie na dnie morza.

– Nie, nie!

– Kobieta pochowana w krypcie nie jest Rebeką. To jakaś obca kobieta, której nikt nie poszukiwał. Nie było żadnego wypadku, Rebeka wcale nie utonęła. Ja ją zabiłem. Zastrzeliłem ją w domku nad zatoką. Zaniósłem jej ciało do kabiny, wypłynąłem na morze i zatopiłem jacht w tym miejscu, gdzie go dziś znaleźli. To Rebeka leży tam w kabinie. Spójrz mi teraz w oczy i powiedz, czy nadal mnie kochasz.

W bibliotece było bardzo cicho. Słyszałam, jak Jasper liże łapę. Widocznie wbił mu się jakiś kolec, bo szarpał i gryzł skórę. Po chwili usłyszałam cykanie zegarka Maxima tuż przy moim uchu. Zwykle, codzienne odgłosy. Nie wiadomo, dlaczego przyszło mi na myśl głupie przysłowie ze szkolnych lat: „Czas i przeznaczenie nie czekają na nikogo”. Słowa te krążyły mi uporczywie po głowie.

Gdy ktoś przeżyje wielki wstrząs, jak na przykład utratę ręki, podobno nie odczuwa tego z początku. Ulega wrażeniu, że porusza palcami, choć nie ma już ani ręki, ani palców.

Kłęcząc przed Maximem, trzymając go za ramiona, nie odczuwałam nic – ani bólu, ani strachu. W sercu moim nie było goryczy. Myślałam o tym, że muszę wyciągnąć kolec z łapy psa. Zastanawiałam się, czy Robert przyjdzie sprzątnąć filiżanki i ciastka. Dziwiłam się sama sobie, że myślę o takich drobiazgach. Byłam zaskoczona swoim odrętwieniem, zaskoczona tym, że nie gnębi mnie rozpacz. Powoli minie odrętwienie – powtarzałam sobie – pomału odzyskam zdolność odczuwania. To, co mi powiedział Maxim, i to, co się stało, ułoży się podobnie jak cząstki układanki dla dzieci. Cząstki te ułożą się w pewien określony wzór. W tym momencie jestem niczym, nie mam serca ani mózgu, ani zmysłów – jestem kawałkiem drewna w ramionach Maxima. Nagle Maxim zaczął mnie całować. Nigdy mnie tak nie całował. Objęłam go za szyję i zamknęłam oczy.

– Kocham cię tak bardzo – szepnęła – tak bardzo!

To były słowa, które pragnęłam usłyszeć od niego każdego dnia i każdej nocy. Teraz je wreszcie wypowiedział. Marzyłam o tym w Monte Carlo, we Włoszech, i tu, w Manderley. Teraz je wypowiedział. Otworzyłam oczy i spojrzałam na firankę nad jego głową. Całował mnie nadal namiętnie, rozpaczliwie,

szepecząc moje imię. Patrzyłam wciąż na firankę miejscami spleśniałą od słońca. Jaka jestem spokojna, pomyślałam, jaka obojętna. Oto przyglądam się firance, a Maxim mnie całuje. I po raz pierwszy mówi, że mnie kocha.

Nagle odepchnął mnie i wstał z kanapki.

– Widzisz, miałem rację – powiedział. – Już jest za późno. Ty mnie teraz nie kochasz. Dlaczego miałabyś mnie kochać?!

Odszedł od okna i zatrzymał się przy kominku.

– Zapomnijmy o tym.

Nagle minęło otępienie i serce drgnęło mi ze strachu.

– Wcale nie jest za późno – powiedziałam szybko, podchodząc do Maxima i obejmując go. – Nie wolno ci tak mówić, ty nic nie rozumiesz. Kocham cię nad wszystko na świecie. Ale gdy całowałaś mnie przed chwilą, byłam taka wstrząśnięta i oszołomiona, że nic nie odczuwałam. Nie mogłam pozbierać myśli. Byłam niezdolna do jakichkolwiek uczuć.

– Nie kochasz mnie, dlatego nic nie odczuwałaś. Ja wiem, ja to rozumiem. Ta fala uczucia przyszła za późno.

– Nie!

– Takie zbliżenie powinno było się wydarzyć przed czterema miesiącami. Kobiety inaczej odczuwają takie wstrząsy niż mężczyźni, powinienem o tym wiedzieć.

– Pocałuj mnie jeszcze, Maximie.

– Nie, już za późno.

– Teraz nie chcę i nie mogę cię stracić ani ty mnie. Musimy być razem zawsze, nic nas nie może dzielić... żadne tajemnice, żadne cienie. Proszę cię, kochanie, wysłuchaj mnie.

– Za późno, mamy przed sobą zaledwie kilka dni, a może kilka godzin. Czyż możemy być razem teraz, gdy to się wydarzyło? Powiedziałem ci, że znaleziono żagłówkę, znaleziono Rebekę.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Co oni zrobią? – spytałam.

– Zidentyfikują ją, znajdą dowody w kabinie. Jej ubranie, buty, pierścionki. A gdy ją zidentyfikują, przypomną sobie o tej kobiecie pochowanej w krypcie kościoła.

– Co ty zrobisz? – szepnęłam.

– Nie wiem, nie wiem.

Pomału odrętwienie mijało, działo się tak, jak przypuszczałam. Ręce przestały być lodowate, stały się ciepłe, wilgotne. Poczułam, że fala krwi zalewa mi twarz i szyję. Policzki mi płonęły. Pomyślałam o kapitanie Searle'u, o nurku, o agencji Lloyda, o marynarzach na statku wpatrujących się w wodę. Pomyślałam o sklepikarzach w Kerrith, o chłopcach na posyłki gwizdzących na ulicy, o proboszczu wychodzącym z kościoła, o lady Crowan ścinającej różę w ogrodzie, o kobiecie w różowej sukni i jej synku. Wkrótce dowiedzą się o tym. Za kilka godzin. Jutro podczas śniadania. „Znaleziono żaglówkę pani de Winter i podobno jakieś zwłoki w kabinie”. Szkielet w kabinie. Rebeka leży tam na podłodze. Wcale nie jest pochowana w krypcie. Jakaś inna kobieta leży w krypcie. Maxim zabił Rebeke. Rebeka wcale nie utonęła. Maxim ją zabił. Zastrzelił ją w domku na plaży. Przeniósł jej ciało do żaglówki i łódź zatopił w zatoce. Ten szary, cichy domek i deszcz dudniący po dachu. Cząstki układanki spadały na mnie gradem. Oderwane obrazy przelatywały błyskawicznie przez oszołomiony umysł. Maxim siedzący w samochodzie obok mnie na południu Francji. „Przed rokiem wydarzyło się coś, co zmieniło całe moje życie. Muszę zacząć żyć na nowo...” Milczenie Maxima, nastroje Maxima. To, że nigdy nie mówił o Rebecce, nie wspominał jej imienia. To, że nie lubił zatoczki i domku na plaży. „Gdybyś miała moje wspomnienia, nie chodziłabyś tam także”. Jego zachowanie, gdy szedł w górę ścieżką przez las, nie oglądając się ani razu. Jak chodził tam i z powrotem po bibliotecę po śmierci Rebeki. Tam i z powrotem. „Wyjechałem dość nagle”, powiedział pani van Hopper, lekko marszcząc brwi. „Mówią, że nie może przeboleć śmierci swojej żony...” Bal kostiumowy i ja ukazująca się na schodach w sukni Rebeki. „Zabiłem Rebeke, powiedział Maxim. Zastrzeliłem ją w domku na plaży”. A nurek znalazł ją w kabinie na dnie morza...

– Co my zrobimy? – spytałam. – Co my powiemy?

Maxim milczał. Stał przy kominku ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

– Czy ktoś wie o tym?

Potrząsnął głową.

– Nie.

– Nikt prócz ciebie i mnie?

– Nikt prócz ciebie i mnie.

– A Frank – powiedziałam szybko. – Czy jesteś pewien, że Frank nic o tym nie wie?

– Skąd miałby wiedzieć? Nikogo tam nie było oprócz mnie. W tych ciemnościach...

Urwał, usiadł na fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Uklękałam przy nim. Przez chwilę siedział bez ruchu. Odjęłam jego ręce od twarzy i spojrzałam mu w oczy.

– Kocham cię – szepnęłam – kocham cię. Czy wierzysz mi teraz?

Całował mnie po twarzy, po rękach. Ścisnął mocno moje dłonie, jak dziecko, które chce sobie dodać odwagi.

– Myślałem, że zwariuję, czekając tu dzień po dniu, aż się coś stanie. Siedziałem przy biurku, odpisując na te koszmarnie listy kondolencyjne. Czytałem wzmianki w prasie, udzielałem wywiadów, załatwiałem te wszystkie drobne sprawy związane ze śmiercią. Jadłem, piłem, starałem się zachowywać normalnie, starałem się nie postradać rozsądku. Frith, reszta służby, pani Danvers. Nie miałem odwagi wymówić pracy pani Danvers, która tak dobrze знаła Rebeke, że mogłaby powziąć jakieś podejrzenia, mogłaby się domyślić... Frank nie opuszczał mnie, był dyskretny i życzliwy. „Dlaczego nie wyjedziesz stąd?, namawiał mnie. Dam sobie tutaj radę. Powinieneś wyjechać”. Giles i Bea, kochana, nietaktowna Bea. „Wyglądasz bardzo źle, wybierz się do doktora”. Musiałem ciągle grać komedię wobec nich wszystkich, wiedząc, że każde moje słowo jest kłamstwem.

Ścisnąłam go nadal za ręce, pochyliłam się jak najbliżej do niego.

– Była taka chwila, że chciałem ci wszystko wyznać – mówił dalej. – Właśnie tego dnia, gdy Jasper pobiegł do zatoczki, a ty weszłaś do domku po sznurek. Siedzieliśmy wówczas tutaj, tak samo jak teraz, ale w tym momencie wszedł Frith z Robertem.

– Tak, pamiętam. Dlaczego mi nie powiedziałeś? Ile czasu zmarnowaliśmy, tyle dni i tygodni, a przecież mogliśmy razem dzielić wszystko.

– Taka byłaś daleka, zawsze wędrowałaś gdzieś z Jasperem. Nigdy nie okazywałaś mi tyle serca.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – szepnęłam. – Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– Myślałam, że jesteś nieszczęśliwa, znudzona. Jestem o tyle lat starszy od ciebie. Wydawało mi się, że masz o wiele więcej do powiedzenia Frankowi niż mnie. Zachowywałaś się dziwnie wobec mnie, byłaś taka skrępowana, nieśmiała.

– Czyż mogłam zbliżyć się do ciebie, gdy wiedziałam, że myślisz o Rebecce? Czyż mogłam żądać twej miłości, gdy wiedziałam, że nadal kochasz Reбекę?

Przytulił mnie do siebie i spojrzał badawczo w oczy.

– Co to ma znaczyć, co chcesz przez to powiedzieć?

Wyprostowałam się nagle.

– Gdy dotykałeś mnie, myślałam, że porównujesz mnie z Rebecą. Gdy mówiłeś do mnie, spoglądałeś na mnie, chodziłeś ze mną po ogrodzie, siadałeś ze mną do stołu, czułam, że myślisz sobie: „To wszystko robiłem z Rebecą”.

Patrzył na mnie zdumiony, jakby nic nie rozumiał.

– Czyż nie tak było? – spytałam.

– O mój Boże!

Odepchnął mnie, wstał i zaczął krążyć po pokoju, zaciskając dłonie.

– O co chodzi? Co się stało, Maximie?

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie. Siedziałam skulona na podłodze.

– Ty myślałaś, że ja kochałem Reбекę? Myślałaś, że zabiłem ją z miłości? Nienawidziłem jej, słyszysz! Nasze małżeństwo od samego początku było farszą. Rebeka była niegodziwa, podła, zepsuta do szpiku kości. Nie kochaliśmy się nigdy, nie mieliśmy ani jednej chwili szczęścia. Rebeka była niezdolna do miłości, do tkliwości. Pozbawiona była poczucia przyzwoitości. Nie była zresztą normalna.

Siedziałam na podłodze, obejmując kolana i wpatrując się w niego.

– Tyle że była sprytna, diabelnie sprytna. Każdy, kto ją poznał, był święcie przekonany, że ona jest najlepszą, najszlachetniejszą, najbardziej uzdolnioną kobietą na świecie. Wiedziała doskonale, co komu należy powiedzieć, umiała przystosować się do ludzi. Gdybyś się z nią zetknęła, poszłaby z tobą pod rękę do ogrodu, przywołując Jaspera, rozmawiając

o kwiatach, muzyce lub malarstwie, zależnie od twoich zainteresowań. Oszukałaby ciebie, tak jak oszukiwała wszystkich. Siedziałybyś u jej stóp, adorując ją.

Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem po pokoju.

– Gdy ożeniłem się z nią, mówiono o mnie, że jestem najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Ona była taka urocza, uzdolniona, dowcipna. Nawet babcia, której trudno było wówczas dogodzić, przepadała za nią od pierwszej chwili i mówiła: „Ona ma trzy zalety tak cenne dla męża: rasę, mądrość i urodę”. Wierzyłem w to lub też chciałem w to wierzyć. Ale przez cały czas gnębiły mnie podświadomie wątpliwości. W wyrazie jej oczu było coś niepokojącego...

Cząstki układanki łączyły się teraz w całość i prawdziwa Rebeka nabierała pełnych kształtów, wychodziła ze świata cieniów jak żywa postać wychodząca z ram obrazu. Rebeka bijąca konia szpicrutą, Rebeka chwytająca życie oburącz, Rebeka triumfująca, zawsze z uśmiechem na ustach.

Przypomniałam sobie chwilę, gdy stałam na plaży obok biednego, przestraszonego Bena. „Pani jest dobra – powiedział – nie taka jak tamta. Pani mnie nie wsadzi do domu wariatów, prawda?” Jakaś wysoka, smukła postać wędrowała nocą przez las. „Przypominała żmiję...”

Tymczasem Maxim mówił dalej, chodząc tam i z powrotem po pokoju:

– Przejrzałem ją natychmiast, w pięć dni po ślubie. Czy pamiętasz tę przejażdżkę, kiedy zawiozłem cię w góry nad Monte Carlo? Chciałem zobaczyć to miejsce, przypomnieć sobie, co tam zaszło. Rebeka siedziała na głazie roześmiana, wiatr rozwiewał jej czarne włosy. Opowiadała mi o sobie, opowiadała takie rzeczy, których nigdy w życiu nikomu nie powtórzę. Zrozumiałem wówczas, co zrobiłem, z kim się ożeniłem! Uroda, mądrość, rasa. O mój Boże!

Urwał i podszedł do okna. Nagle zaczął się śmiać. Śmiał się jak szaleniec. Nie mogłam tego znieść, przerażał mnie ten śmiech.

– Maxim! – krzyknęłam. – Maxim!

Zapalił papierosa i stał przez chwilę w milczeniu. Po kilku minutach odwrócił się i zaczął znowu chodzić po pokoju.

– Omal jej wtedy nie zabiłem. To byłoby tak łatwo. Jeden nieostrożny krok, potknięcie. Pamiętasz tę przepaść. Przestraszyłaś się wtedy, prawda? Myślałaś, że jestem wariatem. Może nim byłem. Może nim nadal jestem. Nietrudno zwariować, przebywając stale z diabłem.

Patrzyłam na Maxima, jak chodził bez przerwy po pokoju.

– Tam, nad tą przepaścią, Rebeka postawiła mi swoje warunki. „Będę ci prowadzić dom, oświadczyła, będę dbać o twoje najdroższe Manderley. Jeśli chcesz, zrobię z Manderley najsłynniejszą rezydencję. Będą do nas przyjeżdżać goście, będą zazdrościć nam i mówić o nas. Będą mówić, że jesteśmy najszcześniejszą i najprzystojniejszą parą w całej Anglii. To wspaniały kawał. Max, co za cholerny triumf!” Siedziała nad brzegiem przepaści, śmiejąc się i obrywając jakiś kwiat z płatków.

Maxim rzucił niewypalonego papierosa do pustego kominka.

– Nie zabiłem jej wówczas, tylko patrzyłem na nią, nie mówiąc ani słowa, pozwalając jej się śmiać. Po chwili wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy. Wiedziała, że zgodzę się na jej warunki, że wrócimy do Manderley, będziemy prowadzić dom otwarty, przyjmować, wydawać bale. O naszym małżeństwie będzie się mówiło, że jest wyjątkowo udane. Wiedziała, że poświęcę swoją dumę, honor, poczucie własnej godności, wszystko na świecie, byleby tylko nie wyznać prawdy przed naszym małym światkiem już po tygodniu małżeństwa i nie ujawnić tego, co ona mi wyznała. Wiedziała, że nie zdobęde się na wniesienie sprawy rozwodowej, na oskarżenie jej przed sądem, boby wskazywano na nas palcami, obrzucano błotem, opisywano w gazetach. Moi dzierżawcy szeptałiby złośliwie, gdyby ktoś wymienił moje nazwisko, wycieczkowicze z Kerrith tłoczyłoby się do bramy wjazdowej i gapili na dom, mówiąc: „To tutaj właśnie on mieszka. To jest Manderley. Ta rezydencja należy do człowieka, o którego sprawie rozwodowej ostatnio tyle czytaliśmy w prasie. Czy przypominasz sobie, jak sędzia określił jego żonę...”.

Maxim zatrzymał się nagle przede mną i wyciągnął do mnie obie ręce.

– Na pewno pogardzasz mną. Nie jesteś w stanie zrozumieć mego wstydu, odrazy i wstrętu.

Milczałam. Przytuliłam jego ręce do serca. Co mnie obchodził jego wstyd i to wszystko, co mi wyznał! Uczepiłam się jednej jedynej prawdy, którą powtarzałam sobie raz po raz. Maxim nie kochał Rebeki. Nie kochał jej nigdy, nigdy! Ani przez chwilę nie był z nią szczęśliwy. Maxim mówił nadal, a ja słuchałam, lecz jego słowa nie miały żadnego znaczenia, nic mnie nie obchodziły.

– Za bardzo cenilem Manderley. Stawiałem je na pierwszym miejscu. Ale taka miłość nie popłaca. Nie ucząją o niej w kościołach. Chrystus nie mówił o kamieniach, ceglach i ścianach, nie mówił o poświęceniu człowieka dla kawałka ziemi, który czasem człowiek niesłusznie uważa za swoje małe królestwo. Tego wiara chrześcijańska nie uznaje.

– Jedyne mój, Maximie, mój ukochany!

Przytuliłam jego ręce do twarzy, do ust.

– Czy ty możesz to zrozumieć? – pytał natarczywie. – Powiedz, czy to rozumiesz?

– Tak, mój miły, kochany.

Odwróciłam twarz, by nie dostrzegł mego wyrazu. To nie było istotne, czy go rozumiem, czy też nie. Moje serce było lekkie jak piórko unoszące się w powietrzu. On nigdy nie kochał Rebeki!

– Nie chcę wspominać tych lat – powiedział powoli. – Nie chcę opowiadać ci o nich, o tym wstydzie i poniżeniu. Żyliśmy w kłamstwie, odgrywaliśmy obrzydliwą farsę przed przyjaciółmi, rodziną, przed służbą, nawet przed wiernym, oddanym mi Frithem. Wszyscy byli pod jej urokiem, podziwiali ją, nie wiedząc, jak szydziła z ludzi za ich plecami, wyśmiewała się i przedrzeźniała. Pamiętam, jak to z tej czy innej okazji przybywały do nas tłumy gości bądź na garden party, bądź też na jakieś widowisko. Rebeka z uśmiechem anioła na ustach kroczyła, trzymając mnie pod ramię, rozdając nagrody dzieciom. A następnego dnia o świcie siadała za kierownicą i pędziła do Londynu, do swego mieszkania nad rzeką, niby zwierzę szukające swej nory. Wracała pod koniec tygodnia, po pięciu dniach, których się nie da opisać. Lecz ja dotrzymałam warunków naszej umowy. Nie wydałem jej nigdy. Dzięki jej przekłętemu gustowi Manderley stało się tym, czym jest dzisiaj. Czy myślisz, że te ogrody, krzewy, nawet azalie w Dolinie

Szcęścia istniały tu za życia mego ojca? Manderley było dzikie, piękne, a nawet urocze w swej dzikości. Prosiło się jednak o troskliwą opiekę, o pieniądze, których ojciec nie chciał na to przeznaczyć. Ja bym również nie dał na ten cel pieniędzy, gdyby nie żądania Rebeki. Wiele przedmiotów, które znajdują się teraz w pokojach, nie stałoby tutaj, gdyby nie Rebeka. Salon w swojej dzisiejszej postaci, buduar, to wszystko dzieło Rebeki. Te krzesła, które Frith pokazuje z dumą zwiedzającym, te gobeliny, to znowu Rebeka. Niektóre przedmioty poniewierały się po całym domu, gdyż ojciec mój nie znał się ani na meblach, ani na obrazach, ale większość rzeczy zakupiła Rebeka. Całe piękno, z którego dziś słynie Manderley, powstało dzięki Rebecce.

Milczałam, ciągle trzymając go w uścisku. Chciałam, żeby mówił dalej. W ten sposób może opuści go wreszcie gorycz, może pozbędzie się nagromadzonej przez tyle koszmarnych lat nienawiści i odrazy.

– I tak żyliśmy dzień po dniu, rok po roku. Zgadzałem się na wszystko ze względu na Manderley. To, co ona robiła w Londynie, nie obchodziło mnie wcale, ponieważ nie szkodziło Manderley. Przez pierwsze lata zachowywała się ostrożnie, nie dając powodu do najmniejszych podejrzeń, do żadnych plotek. Ale stopniowo stawała się mniej ostrożna. Wiesz, jak to jest, gdy ktoś zaczyna pić. Z początku poprzestaje na małych ilościach alkoholu pitych przy jakiejś okazji, a na większe pijaństwo idzie raz na kilka miesięcy. Potem przerwy między pijaństwami stają się coraz krótsze... miesiąc, dwa tygodnie, kilka dni. Aż wreszcie przestaje dbać o pozory, nie kryje się ze swoim nałogiem. Podobnie było z Rebeką. Zaczęła zapraszać swoich przyjaciół do Manderley. Czasem kilku z nich widziałem wśród gości zaproszonych na weekend, więc najpierw nie miałem jeszcze całkowitej pewności. Urządzała pikniki w domku nad zatoczką. Kiedyś wróciłem z polowania w Szkocji i zastałem ją tam z kilkoma nieznanymi mi osobnikami. Ostrzegłem ją, ale ona wzruszyła ramionami. „Co to ciebie, do diabła, obchodzi!” Powiedziałem jej, że może spotykać się ze swoimi przyjaciółmi w Londynie, ale wara od Manderley. Musi dotrzymać warunków naszej umowy. Uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Potem zaczęła uwodzić Franka, nieśmiałego, poczciwego Franka. Przyszedł do mnie pewnego dnia i oświadczył, że chce opuścić

Manderley. Rozmawialiśmy przez dwie godziny tu, w bibliotece, i wtedy zrozumiałem, o co chodzi. Frank załamał się i wyznał mi wszystko. Nie dawała mu chwili spokoju, ciągle go odwiedzała, starając się zwabić go do swego domku. Nieszczęsny Frank nie orientował się w sytuacji, zawsze uważał nas za normalną, szczęśliwą parę, jaką udawaliśmy.

Gdy zacząłem jej robić wymówki z powodu Franka, Rebeka wpadła w furję. Przeklinała mnie najwulgarniejszymi słowami wybranymi ze swego bogatego repertuaru. Była to obrzydliwa, ohydna scena. Potem Rebeka wyjechała do Londynu i pozostała tam przez miesiąc. Po powrocie przez pewien czas zachowywała się spokojnie, myślałem, że nauczka poskutkowała. Pewnego dnia przyjechali do nas Bea z Gilesem. Upewniłem się wówczas, że moje przypuszczenia były słuszne: Bea nie lubiła Rebeki. Widocznie dzięki swemu szczeremu, bezpośredniemu podejściu do ludzi przejrzała Rebekę na wskroś i domyśliła się, że coś tu nie jest w porządku. Był to dziwny, denerwujący weekend. Giles wypłynął z Rebeką na żaglówce. Bea i ja wylegiwaliśmy się na trawniku. A gdy tamci wrócili, wyczułem z hałaśliwego, jowialnego zachowania Gilesa i szczególnego wyrazu oczu Rebeki, że uwodziła go, podobnie jak Franka. Zauważyłem, że Bea obserwuje podczas obiadu Gilesa, który śmiał się głośniejszym niż zwykle i mówił zbyt wiele. Przez cały czas Rebeka siedziała przy stole z miną niewiniątka.

Teraz wszystkie części układanki połączyły się wreszcie w całość. Te pojedyncze, dziwaczne kawałki, które starałam się ułożyć drżącymi rękami i których długi czas nie mogłam dopasować. Dziwne zachowanie Franka, gdy mówiłam o Rebecce. Niechętne nastawienie Beatrice. Jej milczenie, które uważałam za współczucie i żal, było milczeniem zrodzonym ze zgorszenia i zakłopotania. Teraz wydawało mi się wprost nieprawdopodobne, że tego nie rozumiałam. Jak wiele musi istnieć na świecie osób, które cierpiały i cierpią nadal, ponieważ nie mogą uwolnić się z sieci własnej nieśmiałości; w swoim zaślepieniu i szaleństwie budują one ogromny sztuczny mur, który przesłania im prawdę. I ja właśnie tak postępowałam. Stworzyłam sobie w wyobraźni fałszywy obraz i wpatrywałam się w niego. Nie miałam odwagi dotrzeć do prawdy. Gdybym

przewyciężyła swoją nieśmiałość i zrobiła pierwszy krok, Maxim dawno wyznałby mi wszystko.

– Był to ostatni weekend, jaki Bea z Gilesem spędzili w Manderley – powiedział Maxim. – Od tego czasu zapraszałem ich tylko na oficjalne przyjęcia lub bale. Bea nie wspomniała ani słowem o tym incydencie, ja także. Sądzę jednak, że zgadła, jakie jest moje życie, domyśliła się tego, podobnie jak Frank. Po pewnym czasie Rebeka powróciła do dawnego trybu życia. Na pozór jej zachowanie było bez zarzutu. Ale gdy wyjeżdżałem z Manderley, zostawiając ją w domu, nigdy nie wiedziałem, co się może stać. Przecież uwodziła już i Franka, i Gilesa. Mogła równie dobrze przyczepić się do jakiegoś robotnika z naszego majątku, kogoś ze znajomych z Kerrith, kogokolwiek bądź wreszcie... A wówczas wybuchłaby bomba: plotki i rozgłos, których się tak obawiałem.

Miałam wrażenie, że stoję znowu w domku nad zatoką i słyszę dudnienie deszczu o dach. Widzę zakurzone modele okrętów, dziury w tapczanie wygryzione przez szczury. Widzę Bena i jego obłądne oczy. „Pani mnie nie odda do domu wariatów, prawda?” Przypomniałam sobie, jak wędrowałam po ścieżce wiodącej przez ciemny las i jak wyobrażałam sobie, że za drzewem ktoś stoi i że słyszę szelest sukni wieczorowej w łagodnym podmuchu wiatru.

– Rebeka miała kuzyna – powiedział wolno Maxim – który przez jakiś czas przebywał za granicą, a potem wrócił do Anglii. Przyjeżdżał tu często, ale zawsze podczas mojej nieobecności. Opowiadał mi o tym Frank, ten kuzyn nazywał się Jack Favell.

– Poznałam go – wtrąciłam. – Zjawił się tutaj tego dnia, gdy ty wyjechałeś do Londynu.

– To ty też go widziałaś? Dlaczego mi o tym nie wspomniałaś? O jego bytności dowiedziałem się od Franka, który zobaczył jego samochód, jak skręcał do bramy wjazdowej.

– Nie chciałam ci o tym mówić. Bałam się, że to przypomni ci Rebeke.

– Przypomni! O Boże, tak jakby trzeba mi było ją przypominać!

Patrzył przed siebie, przerwawszy nagle opowieść. Byłam ciekawa, czy myśli tak samo jak ja o zatopionej żagłówce na dnie morza.

– Tego Favella stale zabierała do domku na plaży – mówił dalej Maxim. – Oznajmiała wówczas służbie, że ma zamiar żeglować i wróci dopiero nazajutrz rano. Spędzała z nim noc w tym domku. Ponownie ją ostrzegłem. Powiedziałem, że jeśli gdziekolwiek w obrębie Manderley spotkam Favella, zastrzelę go. Favell był ostatnim łajdakiem... Myśl o tym, że on chodzi po lasach Manderley, po Dolinie Szczęścia, doprowadzała mnie do furii. Powiedziałem Rebecce, że tego dłużej nie zniosę. Wzruszyła ramionami. Tym razem zapomniała o przekleństwach. Zauważyłem, że była bledsza niż zwykle, mizerna, jakby zdenerwowana. Pomyślałem sobie wówczas, co się z nią stanie, gdy zacznie wyglądać staro i czuć się staro. Życie biegło swoim trybem. Nic szczególnego się nie działo. Aż pewnego razu Rebeka pojechała do Londynu i wróciła tego samego dnia, co się nigdy dotychczas nie zdarzało. Nie spodziewałem się jej. Tego wieczoru jadłem obiad u Franka, bo mieliśmy bardzo dużo pracy w tym okresie.

Maxim mówił teraz krótkimi, urywanymi zdaniami. Mocno ścisnąłem jego rękę.

– Wróciłem do domu około wpół do jedenastej i zobaczyłem jej szalik i rękawiczki leżące na krześle w holu. Pomyślałem sobie, po jakiego diabła tak szybko wróciła do Manderley. Poszedłem do buduaru, ale jej tam nie było. Domyśliłem się, że poszła do swego domku nad zatoczką. Wtedy uświadomiłem sobie, że nie zniosę dłużej tego życia w kłamstwie, brudzie i oszustwie. Trzeba tę sprawę wreszcie rozstrzygnąć. Przyszło mi na myśl, żeby wziąć broń i nastraszyć tego gagatka, nastraszyć oboje. Poszedłem wprost nad zatoczkę. Służba nie wiedziała, że wstąpiłem do domu. Wyślizgnąłem się do ogrodu i powędrowałem przez las. W domku nad brzegiem morza paliło się światło. Wszedłem do środka. Ku memu zdumieniu Rebeka była sama. Leżała na tapczanie, obok niej stała popielniczka wypełniona niedopałkami papierosów. Rebeka wyglądała na chorą, była jakaś dziwna. Zacząłem od razu mówić o Favellu, ona nie odezwała się ani słowem. „Żyliście w ten poniżający sposób wystarczająco długo, powiedziałem. Dość mam tego, rozumiesz?! To, co robisz w Londynie, nic mnie nie obchodzi. Możesz tam sobie żyć z Favellem lub z kimkolwiek tylko zechcesz. Ale nie tutaj. Nie w Manderley!”

Milczała przez chwilę, wpatrując się we mnie. Wreszcie uśmiechnęła się i powiedziała: „A przypuśćmy, że wolę z nim żyć tutaj, to co wtedy”. „Znasz moje warunki, ja przecież dotrzymałem tej brudnej, przekłętej umowy. Ale ty wciąż mnie oszukiwałaś. Uważasz, że wolno ci zachowywać się w moim domu tak, jak w twoim rynsztoku w Londynie. Byłem dotychczas cierpliwy, Rebeko, ale, na Boga, to twoja ostatnia szansa!” Zgasła papierosa, wstała z tapczanu i przeciągnęła się leniwie. „Masz rację, Max, pora zacząć nowe życie”.

Była bardzo blada i wychudzona. Zaczęła chodzić po pokoju, trzymając ręce w kieszeniach spodni. Wyglądała jak chłopak w swoim żeglarskim stroju, chłopak o twarzy anioła z obrazu Botticellego. „Czy nigdy nie zastanawiałeś się, jak trudno by ci było wytoczyć przeciwko mnie sprawę? Mam na myśli sprawę rozwodową. Czy uświadamiasz sobie, że nie masz przeciwko mnie żadnego dowodu? Wszyscy twoi znajomi, a nawet służba uważają nas za szczęśliwe małżeństwo”.

„A Frank, a Beatrice?”

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się głośno.

„A cóż Frank może zeznać przeciwko mnie? Chyba wiesz dobrze, że sobie z nim poradzę. Jeśli zaś chodzi o Beatrice, czyż nie byłaby to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, gdyby wystąpiła w charakterze świadka jako zazdrosna żona, której mąż pewnego razu stracił głowę i zbłądził się? O nie, Max, musiałbyś się namęczyć jak potępieniec, aby dowieść mi zdrady!”

052Rfbeka obserwowała mnie, kołysząc się na piętach i trzymając ręce w kieszeniach.

„Czy zdajesz sobie sprawę, że moja pokojówka, Danny, przysięgłaby w sądzie na wszystko, na co bym kazała jej przysiąc? A reszta służby w swojej nieświadomości poszłaby za jej przykładem. Oni myślą, że żyjemy ze sobą jak mąż i żona. Tak myślą wszyscy twoi znajomi, cały nasz świat. A więc jak udowodnisz, że tak nie jest?”

Usiadła na stole, machając nogami i patrząc na mnie wyzywająco.

„Czyż nie odgrywaliśmy aż za dobrze roli kochającego się małżeństwa?”

Patrzyłem na jej rytmicznie poruszające się stopy obute w sandały, pociemniało mi w oczach, krew uderzyła mi do

głowy.

„Danny i ja ośmieszyłybyśmy ciebie – powiedziała cicho. – Potrafiłybyśmy ciebie przedstawić w takim świetle, Max, że nikt by ci nie uwierzył, absolutnie nikt”.

Wpatrywałem się nadal w biało-niebieski sandalek migający mi przed oczami.

Zsunęła się nagle ze stołu i stanęła przede mną, wciąż uśmiechając się i trzymając ręce w kieszeniach.

„Gdybym miała dziecko, Max, ani ty, ani nikt na świecie nie mógłby dowieść, że to nie jest twoje dziecko. Rosłoby tu, w Manderley, i nosiłoby twoje nazwisko. Nie mógłbyś nic na to poradzić. A po twojej śmierci Manderley stałoby się jego własnością. Nie mógłbyś temu zapobiec. Majątek jest dziedziczny. Chciałbyś mieć spadkobiercę dla twego ukochanego Manderley, prawda? Cieszyłby cię widok mego syna leżącego w wózku pod kasztanem, skaczącego po trawniku, łapiącego motyle w Dolinie Szczęścia, prawda? Podobałoby ci się bardzo, Max, jakbyś patrzył na mojego syna rozwijającego się z każdym dniem i miał tę świadomość, że po twojej śmierci on odziedziczy Manderley!”

Zamilkła na chwilę, zapaliła papierosa i podeszła do okna. Nagle zaczęła się śmiać. Śmiała się długo, myślałem, że nigdy nie przestanie.

„Boże, jakie to śmieszne, niebywale śmieszne! – odezwała się wreszcie. – Słyszałeś, powiedziałam ci przed chwilą, że zacznę nowe życie, teraz wiesz dlaczego. Jakże się będą cieszyć ci wszyscy szacowni okoliczni mieszkańcy, ci twoi głupi dzierżawcy! Marzyliśmy o tym, proszę pani, będą mówić do mnie. A ja będę wzorową matką, Max, tak jak byłem wzorową żoną. Nikt się niczego nie domyśli, nikt się nigdy nie dowie!”

Odwróciła się i spojrzała na mnie, wciąż się uśmiechając. W jednej ręce trzymała papierosa, drugą miała w kieszeni. Gdy zabiłem ją, uśmiechała się nadal. Strzeliłem prosto w serce. Kula przeszła na wylot. Rebeka nie upadła od razu, stała przez kilka sekund, patrząc na mnie z tym swoim dziwnym uśmiechem na ustach i szeroko otwartymi oczami...

Maxim mówił cicho, tak cicho, że niemal szeptem. Ręka jego, którą trzymałam w swoich dłoniach, była zimna jak lód. Nie patrzyłam na niego. Przyglądałam się Jasperowi, który spał na

dywanie obok mnie i od czasu do czasu stukał ogonem o podłogę.

– Nie wiedziałem – powiedział Maxim znużonym, bezdźwięcznym głosem – że z człowieka może wypłynąć tyle krwi.

Obok Jaspera była dziura w dywanie, zapewne wypalona papierosem. Zastanawiałam się, jak dawno została wypalona. Niektórzy mówią, że popiół dobrze czyści dywany.

– Musiałem nosić wodę z zatoczki, musiałem chodzić po nią wiele razy. Nawet na podłodze przy kominku dostrzegłem czerwoną plamę. Rebeka leżała w kałuży krwi. Zerwał się wiatr. Okno nie miało haczyka, obijało się wciąż o ścianę, gdy ja, klęcząc, szorowałem podłogę.

W tym momencie przypomniałam sobie dudnienie deszczu o dach. Czyżby Maxim nie pamiętał tego nieustannego szmeru spadających kropli?

– Dochodziła północ, gdy wyniosłem ją do żagłówki. Noc była bardzo ciemna, bezksiężycowa. Wiał porywisty wiatr z zachodu. Położyłem ją w kabinie. Musiałem wypłynąć z portu pod falę przyływu i do tego holować dingi. Dał pomyślny wiatr, ale uderzał podmuchami, nadto osłaniał mnie półwysep. Pamiętam, że grot zaciął mi się w połowie masztu. Nie żeglowałem od dawna. Nigdy nie wypływałem z Rebeką.

Patrzyłem na silny prąd przyływu szybko rwącego do zatoczki. Wiatr wiał od strony półwyspu. Dopłynąłem do cypla, minąłem latarnię morską i chciałem okrążyć półwysep, omijając rafę podwodną. Mały fok zaczął łopotać. Nie mogłem go dociągnąć. Podmuchał wiatru wyrwał mi z ręki szot, który owinał się dokoła masztu. Fok łopotał głośno, trzaskając jak bat nad moją głową. Nie mogłem sobie przypomnieć, co w takim wypadku należy zrobić. Nie przychodziło mi nic do głowy. Próbowałem sięgnąć do żagła ręką, ale był zbyt wysoko. Następny podmuchał uderzył od dziobu. Zaczęło mnie znosić w bok, w kierunku rafy. Było ciemno, tak cholernie ciemno, że nie widziałem nawet pokładu pod nogami. Z trudem udało mi się zejść z oślizgłego pokładu do kabiny. Wziąłem ze sobą nagiel. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli zaraz nie zacznę działać, będzie za późno. Żagłóvkę ostro zносиło na rafę, po kilku minutach znajdzie się na płytkiej wodzie. Otworzyłem zawory

denne. Woda zaczęła napływać do kabiny. Wbiłem nagięł w deski dna. Jedna deska pękła wzdłuż. Wyciągnąłem nagięł i wbiłem go w inną deskę. Woda zalewała mi stopy. Pozostawiłem Rebekę na podłodze. Zamknąłem oba iluminatory i wyszedłem z kabiny. Zaryglowałem drzwi od zewnątrz. Dostrzegłem, że żaglówka znajduje się w odległości dwudziestu jardów od rafy. Wyrzuciłem kilka przedmiotów z pokładu do morza: pas ratunkowy, wiosła, zwój liny. Wsiadłem do dingi. Wiosłując szybko, oddaliłem się od żaglówki. Po chwili przestałem wiosłować i spojrzałem na jacht. Znosiło go nadal ku rafie. Zaczynał tonąć, tonął od dziobu. Fok nadal łopotał i trzaskał jak bat. Obawiałem się, że ktoś może usłyszeć ten trzask, ktoś, kto chodzi w nocy po skałach, jakiś rybak z Kerrith, którego łodzi mogę nie dojrzeć na tle ciemnego morza. Żaglówka zanurzała się stopniowo, wyglądała jak cień na wodzie. Maszt zaczął trzeszczeć. Nagle łódź przechyliła się gwałtownie, a maszt złamał się w połowie. Żaglówka zniknęła mi z oczu. Pamiętam, że dłuższą chwilę wpatrywałem się w miejsce, w którym ostatnio ją widziałem. Wróciłem do zatoczki. Zaczął padać deszcz.

Maxim zamilkł, nadal patrzył przed siebie. Po kilku sekundach spojrzał na mnie. Siedziałem obok niego na podłodze.

– To wszystko, nie mam już nic do dodania. Przymocowałem dingi do boi, tak jak zrobiłaby to Rebeka. Wróciłem do domku. Świeżo wyszorowana podłoga zwracała uwagę, ale przecież mogła ją umyć Rebeka. Wracałem do domu ścieżką przez las. Poszedłem prosto do ubieralni. Pamiętam, że się rozebrałem. Wiatr wzmógł się, deszcz przeszedł w ulewę. Siedziałem w sypialni na łóżku, gdy pani Danvers zastukała do drzwi. Otworzyłem jej w szlafroku. Niepokoiła się o Rebekę. Powiedziałem jej, żeby poszła spać i zamknęła drzwi. Usiadłem przy oknie, patrzyłem na krople deszczu spływające po szybach, słuchałem szumu fal bijących o brzeg zatoczki.

Siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. Trzymałem jego zimne ręce. Dziwiłem się, dlaczego Robert nie przychodzi sprzątać po podwieczorku.

– Zatonęła za blisko brzegu. Chciałem zatopić ją na pełnym morzu. Nigdy by jej tam nie znaleziono. Ale łódź zatonęła zbyt

blisko.

– Gdyby nie ten statek, nie znaleziono by jej. Nikt by nadal nic nie wiedział – odezwałam się po raz pierwszy.

– Zatonęła zbyt blisko.

Znowu zamilkliśmy oboje. Czuję się bardzo zmęczona.

– Wiedziałem, że to się kiedyś wykryje. Nawet wtedy, gdy pojechałem do Edgecombe i zidentyfikowałem zwłoki Rebeki, wiedziałem, że to nic nie pomoże, że to wszystko na próżno. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Rebeka w końcu zwycięży. To, że spotkałem ciebie, nie zmieniło sytuacji. I to, że cię kocham, również nie wpłynie na bieg wypadków. Rebeka wiedziała, że zwycięży. Widziałem jej uśmiech, gdy umierała.

– Rebeka umarła – powiedziałam stanowczo. – Musimy o tym pamiętać. Rebeka nie żyje, nie może mówić, nie może świadczyć przeciwko tobie. Nie może ci więcej wyrządzić żadnej krzywdy.

– Znaleziono przecież jej zwłoki – powiedział Maxim – nurek je widział. Leżą tam w kabinie na podłodze.

– Musimy znaleźć jakieś wytłumaczenie. Musimy się dobrze namyślić, jak to wytłumaczyć. Trzeba powiedzieć, że to są zwłoki jakiejś nieznannej osoby, której ty nigdy nie widziałeś.

– Znajdą tam przecież jej rzeczy – odparł Maxim. – Pierścionki na palcach. Nawet jeśli jej ubranie rozpadło się w wodzie, znajdą coś, co im zdradzi tajemnicę. Zwłoki jej nie wyglądają tak jak zwłoki topielca zmiażdżone o skały. Kabina jest nieuszkodzona. Rebeka zapewne leży na podłodze, tak jak ją tam zostawiłem. Żagłówka tkwiła w tym samym miejscu przez cały czas. Nikt nic nie ruszał. Łódź leży na dnie morza tam, gdzie zatonęła.

– Ciało przecież rozkłada się w wodzie, prawda? – szepnęłam.

– Nawet jeśli leży w zamkniętej kabinie, woda z pewnością je rozkłada.

– Nie wiem, nie wiem.

– W jaki sposób dowiesz się, co oni zrobią?

– Nurek opuści się na dno morza jutro rano, o wpół do szóstej – powiedział Maxim. – Searle już wszystko zorganizował. Spróbują wydobyć żagłówkę. Nikt nie będzie miał dostępu do brzegu w pobliżu miejsca wypadku. Mam udać się z nimi. Searle przyśle po mnie motorówkę do zatoczki. Jutro rano o wpół do szóstej.

– A co potem? – spytałam. – Co zrobią, jeśli ją wydobędą?

– Searle ma zakotwiczyć dużą barkę tuż przy rafie. Jeśli drzewo nie zbutwiało i łódź się nie rozpadnie, uda się wydobyć ją za pomocą dźwigu i załadować na barkę. Wówczas zabiorą ją do Kerrith. Searle mówi, że każe przycumować barkę w zatoczce wcinającej się w nabrzeże portu Kerrith. Podczas odpływu woda schodzi tak daleko, że pozostaje tam tylko muł, co uniemożliwia wpływanie do niej ciekawskim wycieczkowiczom. Nikt nie będzie nam przeszkadzał. Searle mówi, że trzeba poczekać, aż woda wycieknie z kabiny. Wówczas sprowadzi lekarza.

– Co on zrobi? Co zrobi lekarz?

– Nie wiem.

– Jeśli stwierdzą, że to jest Rebeka, musisz powiedzieć, że pomyliłeś się przy rozpoznawaniu tamtych zwłok. Musisz powiedzieć, że to była pomyłka, straszliwa pomyłka. Musisz powiedzieć, że byłeś chory, gdy jechałeś do Edgecoombe, i że nie wiedziałeś, co robisz. Że nie byłeś pewien, nie mogłeś dobrze rozpoznać. Że to była pomyłka, po prostu pomyłka. Powiesz tak, prawda?

– Dobrze, powiem tak.

– Nie mogą ci niczego dowieść. Nikt ciebie nie widział tej nocy. Poszedłeś spać. Nie mogą niczego dowieść. Nikt o tym nie wie, tylko ty i ja. Nawet Frank nie wie. Jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy o tym wiedzą, Maximie, ty i ja.

– Tak.

– Pomyślą, że żaglówka przewróciła się i zatoniła, podczas gdy Rebeka znajdowała się w kabinie. Pomyślą, że ona poszła po linę czy coś innego, a w tym momencie zerwał się gwałtowny wiatr, łódź przewróciła się, a Rebeka została uwięziona w kabinie. Powinni chyba tak pomyśleć, prawda?

– Nie wiem – powiedział Maxim – nie wiem.

Nagle w małym pokoiku za biblioteką zadzwonił telefon.

Maxim poszedł do małego pokoiku i zamknął drzwi. Po chwili zjawił się Robert, żeby sprzątnąć po podwieczorku. Odwróciłam się do niego plecami, by nie widział mojej twarzy. Zastanawiałam się, kiedy dowiedzą się o tym wszystkim dzierżawcy, służba, mieszkańcy Kerrith. Ile czasu upłynie, zanim wiadomość przesączy się do tych ludzi?

Słyszałam głos Maxima mówiącego przez telefon. Serce ścisnęło mi się bólem w przeczuciu niebezpieczeństwa. Dzwonek telefonu jak gdyby pobudził wszystkie nerwy w moim ciele. Przed chwilą siedziałam na podłodze przy Maximie, jakby we śnie, trzymając go za ręce, głowę opierając na jego ramieniu. Składałam się jakby z dwóch istot. Słuchałam jego wyznania i wraz z nim przeżywałam wszystko jak cień wędrujący po jego śladach. Ja także zabiłam Rebekę, ja także zatopiłam łódź w zatoce. Przysłuchiwałam się wraz z nim wicherze i ulewie dzwoniącej o szyby. Czekałam na zjawienie się pani Danvers. Przeżywałam wszystkie jego cierpienia, a nadto moje własne. Lecz ta druga istota tkwiąca we mnie siedziała na dywanie, niewzruszona i odległa myślami, powtarzając ciągle jedno zdanie: „On nie kochał Rebeki, on nie kochał Rebeki”.

Teraz gdy zadzwonił telefon, obie te istoty połączyły się w jedną, stałam się znowu sobą, taką, jaką zawsze byłam. Nie zmieniłam się wcale. Lecz spłynęło na mnie jakieś nowe doznanie. Serce moje, pomimo niepokoju, stało się lekkie, uwolniło się od bólu. Sprawiała to świadomość, że przestałam się bać Rebeki. Przestałam jej nienawidzić. Teraz gdy dowiedziałam się, że ona była zła i zepsuta, pozbyłam się nienawiści. Rebeka nie sprawi mi więcej bólu. Mogę pójść do buduaru, usiąść przy jej sekretarce, dotknąć jej pióra i spojrzeć na jej pismo na przegródkach – nie będę się więcej dręczyć. Mogę pójść do jej

pokoju w zachodnim skrzydle, stanąć przy oknie, tak jak stałam dziś rano, i nie będę się bać. Siła Rebeki rozwiała się jak mgła. Rebeka przestanie mnie prześladować. Nie będzie stać za mną na schodach, siedzieć obok mnie w jadalni, wychylać się z krużganku i przyglądać mi się, gdy stoję w holu. Maxim nie kochał jej nigdy. Przestałam jej nienawidzić. Zwłoki jej wróciły, znaleziono łódź o dziwnej, proroczej nazwie *Je reviens*, lecz ja uwolniłam się od Rebeki na zawsze.

Wolno mi teraz będzie przebywać z Maximem, dotykać go, tulić go do siebie i kochać. Przestałam być dzieckiem. Teraz pojęcie „ja” zniknie, zastąpi je pojęcie „my”. Będziemy razem. Razem będziemy bronić się w tej sprawie, on i ja. Kapitan Searle, nurek, Frank, pani Danvers, Beatrice i mieszkańcy Kerrith czytający gazety nie rozdziela nas teraz. Nasze szczęście nie przyszło zbyt późno. Przestałam być dzieckiem, pozbyłam się nieśmiałości. Nie bałam się. Będę walczyć o Maxima. Będę kłamać i krzywoprzysięgać, będę kląć i modlić się! Rebeka nie zwyciężyła, Rebeka przegrała!

Robert zabrał filiżanki i wyszedł. Maxim wrócił do pokoju.

– Telefonował pułkownik Julyan – powiedział. – Przed chwilą rozmawiał z kapitanem Searle’em. Pojedzie razem z nami jutro rano na miejsce wypadku. Searle opowiedział mu wszystko.

– Dlaczego pułkownik Julyan ma jechać z wami?

– On jest sędzią w Kerrith. Musi być obecny.

– Co powiedział?

– Spytał mnie, czy domyślam się, czyje to są zwłoki.

– A co ty powiedziałaś?

– Powiedziałem, że nie wiem. Przypuszczaliśmy zawsze, że Rebeka wypłynęła sama. Nie słyszałem, żeby miała towarzysza.

– Czy mówił coś jeszcze?

– Tak.

– Co?

– Zapytał, czy uważam za możliwe, że pomyliłem się wówczas, gdy byłem w Edgecoombe.

– Zapytał o to? Już o to zapytał?

– Tak.

– A co ty na to?

– Powiedziałem, że to możliwe. Nie byłem zupełnie pewien.

– To znaczy, że on będzie przy tobie podczas oględzin żagłówki. On, kapitan Searle i lekarz?

– Będzie jeszcze inspektor Welch.

– Inspektor Welch?

– Tak.

– Dlaczego inspektor Welch, dlaczego?

– Taki jest zwyczaj, gdy znajduje się jakieś zwłoki.

Milczałam. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Bolesny skurcz znowu ścisnął mi serce.

– Nie wiadomo, czy im się uda wydobyć żagłówkę – powiedziałam.

– Nie wiadomo.

– Gdyby nie wydobyli, to nie mogliby rozpoznać zwłok, prawda?

– Nie wiem.

Maxim wyjrzał przez okno. Niebo zasnuło się białymi obłokami. Wiatr ustał, było cicho i spokojnie.

– Myślałem przed godziną, że zacznie wiać południowo-zachodni wiatr, ale nic z tego.

– Tak.

– Nurek będzie miał jutro sztil.

Znowu zadzwonił telefon. Ostry, natarczywy dzwonek brzmiał niepokojąco. Spojrzeliśmy po sobie, potem Maxim wyszedł do małego pokoiku i zamknął drzwi. Bolesny skurcz serca wzmógł się jeszcze. Pamiętam ten ból z dziecinnych lat. Odczuwałam go, gdy byłam bardzo mała, słysząc wybuchy rakiet⁴ w Londynie. Uciekałam wówczas do schowka pod schodami, nie rozumiejąc, co się dzieje, i drżąc ze strachu. To samo uczucie miałam teraz, wrócił ten sam ból.

Maxim wszedł do pokoju.

– Zaczęło się! – powiedział powoli.

– Co się stało? – spytałam. Nagle zrobiło mi się zimno.

– Telefonował reporter z „County Chronicle”. Pytał, czy to prawda, że znaleziono żagłówkę, która należała do nieżyjącej pani de Winter.

– Co mu powiedziałaś?

– Powiedziałem, że znaleziono jakąś żagłówkę, ale nie wiemy, czy to jej żagłówka.

– Czy pytał o coś jeszcze?

– Tak. Spytał, czy mogę potwierdzić pogłoskę, że w kabinie znaleziono jakieś zwłoki.

– Nie!

– Tak, widocznie ktoś się wygadał. Jestem pewien, że nie Searle, ale może nurek lub któryś z jego kolegów. Ludzie mają długie języki. Jutro rano pogłoska ta obiegnie całe Kerrith.

– A co powiedziałaś o zwłokach?

– Powiedziałem, że nic o tym nie wiem, nie mam żadnych informacji do przekazania prasie i bardzo proszę, żeby więcej do mnie nie telefonował.

– Poczują się urażeni i będą nastawieni wrogo w stosunku do ciebie.

– Nic na to nie poradzę. Nie udzielam wywiadów prasie. Nie chcę, żeby reporterzy telefonowali i zamęczali mnie pytaniami.

– Dobrze by ich było mieć po naszej stronie.

– Jak dojdzie do walki, będę walczyć sam. Nie chcę pomocy prasy.

– Ten reporter zatelefonuje do kogoś innego, do pułkownika Julyana lub kapitana Searle'a.

– Niewiele się od nich dowie.

– Gdybyśmy tylko mogli coś zdziałać – powiedziałam. – Mamy przed sobą tyle godzin bezczynnego czekania aż do rana.

– Nic teraz nie możemy zrobić.

Pozostaliśmy w bibliotece. Maxim wziął do ręki książkę, ale nie czytał. Od czasu do czasu podnosił głowę i nasłuchiwał jak gdyby dzwonek telefonu. Ale telefon nie zadzwonił więcej. Nikt nam nie przeszkadzał.

Przebraliśmy się do obiadu jak zwykle. Wydawało mi się nieprawdopodobne, że wczoraj o tej porze wkładałam białą suknię i przymierałam przed lustrem perukę. Miałam wrażenie, że po wielu miesiącach przypominam sobie jakiś koszmarny sen.

Zasiedliśmy do obiadu. Frith usługiwał nam z poważnym wyrazem twarzy. Zastanawiałam się, czy podczas wolnego popołudnia był w Kerrith i czy słyszał jakieś plotki.

Po obiedzie wróciliśmy do biblioteki. Nie rozmawialiśmy wiele. Usiadłam na podłodze u stóp Maxima, opierając głowę na jego kolanach. Maxim głaskał mnie po włosach, ale inaczej niż dawniej. Teraz nie miałam wrażenia, że głaszcze mnie jak

Jaspera. Czułam, jak jego palce przesuwają się pieszczotliwie po mojej głowie. Niekiedy całował mnie, niekiedy mówił coś do mnie. Nie dzieliły nas teraz żadne cienie, a gdy milczeliśmy, to dlatego, że nie mieliśmy ochoty mówić. Dziwiłam się, że mogę się czuć tak szczęśliwa, choć nad nami wiszą czarne chmury. Było to dziwne szczęście, nie takie, o jakim marzyłam; inne, niż wyobrażałam sobie podczas długich godzin samotności. Nie odczuwałam żadnego podniecenia, żadnych pragnień. Było to spokojne, ciche szczęście. Okna były otwarte szeroko. Milczeliśmy lub tuliliśmy się do siebie, patrząc na ciemne, pochmurne niebo.

W nocy widocznie padał deszcz, bo gdy się obudziłam nazajutrz rano kilka minut po siódmej i wyjrzałam przez okno, zobaczyłam silnie pochylone pąki róż i połyskujące srebrzyście trawniki. W powietrzu unosiły się wilgotne opary i jakby zapach pierwszych opadających liści. Pomyślałam, czy w tym roku jesień nadejdzie o dwa miesiące wcześniej.

Maxim nie obudził mnie, gdy wstawał o piątej. Widocznie wymknął się cichutko do ubieralni. Teraz znajduje się na brzegu zatoki wraz pułkownikiem Julyanem, kapitanem Searle'em i robotnikami portowymi, barka jest z pewnością zakotwiczona, a dźwig wydobywa żaglówkę Rebeki. Myślałam o tym wszystkim spokojnie, chłodno, nie przejmując się wcale. Wyobrażałam sobie, jak ciemny kadłub żaglówki powoli wychodzi na powierzchnię, ociekając wodą, oblepiony po bokach zielonymi wodorostami i muszlami. Gdy wciągną żaglówkę na barkę, woda zacznie ściekać strumieniami. Boki żaglówki będą poszarzałe, miejscami zbutwiałe. W powietrzu będzie się unosić zapach mułu, rdzy i czarnych wodorostów, które rosną na dnie morza wśród skał. Może tabliczka z nazwą *Je reviens* nadal widnieje na rufie. Zielone litery zapewne straciły swą barwę, śruby zaśniedziały. A Rebeka leży w kabinie.

Wykąpałam się, ubrałam i o dziewiątej, jak zwykle, zeszłam na śniadanie. Na stole leżał duży stos listów. Były to listy od naszych gości, którzy dziękowali za bal. Przejrzałam je, ale nie miałam ochoty ich czytać. Frith zapytał mnie, czy ma zostawić gorące potrawy dla Maxima. Powiedziałam mu, że nie wiem, kiedy Maxim wróci, i że musiał dziś bardzo wcześnie wyjść z domu. Frith nie odezwał się ani słowem. Miał bardzo poważny

wyraz twarzy. Znowu przeszło mi przez myśl, że może już wie, o co chodzi.

Po śniadaniu zabrałam listy i poszłam do buduaru. W pokoju było duszno, widocznie nie wietrzono go dziś rano. Otworzyłam szeroko okna. Poczułam świeży powiew chłodnego powietrza. Na półce nad kominkiem stały zwiędłe kwiaty, na podłodze leżały opadłe płatki. Zadzwoiłam. Po chwili zjawiła się jedna z pokojówek.

– Ten pokój nie był sprzątny dziś rano – powiedziałam. – Nawet okna były zamknięte. Proszę zabrać te zwiędłe kwiaty.

Dziewczyna miała zmieszana minę.

– Bardzo panią przepraszam.

Podeszła do kominka i zabrała wazon.

– Żeby mi się to więcej nie powtórzyło – powiedziałam groźnie.

– Postaram się, proszę pani.

Wyszła z pokoju, zabierając kwiaty. Nie przypuszczałam, że tak łatwo mi będzie okazać surowość. Zastanawiałam się, dlaczego dawniej nic mogłam się na to zdobyć.

Dzisiejsze menu leżało na sekretarce: zimny łosoś z majonezem, zimne mięso, kura w galarecie, suflet. Były to te same dania, które przygotowano na bal. Widocznie mieliśmy zjadać resztki. Z pewnością wczoraj podano je na lunch, którego nie jadłam. Służbie nie chciało się gotować nowych potraw. Przekreśliłam całe menu i zadzwoniłam na Roberta.

– Proszę powiedzieć pani Danvers, żeby zamówiła coś gorącego – powiedziałam. – Nie życzę sobie, by nam ciągle podawano te resztki.

– Dobrze, proszę pani.

Poszłam do składziku po sekator, potem powędrowałam do ogrodu różanego i zaczęłam ścinać rozwijające się pączki róż. Poranek stracił swą świeżość. Wyglądało, że znowu będzie tak gorąco i duszno jak wczoraj. Zastanawiałam się, czy oni są nadal nad zatoką, czy też odpłynęli już do portu w Kerrith. Niedługo dowiem się wszystkiego. Niedługo Maxim wróci i powie mi, co tam się działo. Cokolwiek się stanie, nie wolno mi się bać.

Naciąwszy róż, wróciłam do buduaru. W czasie mojej nieobecności dywan został oczyszczony. Zaczęłam układać róże

w wazonach, które przed chwilą Robert napełnił wodą. Gdy już kończyłam układać bukiety, rozległo się stukanie do drzwi.

– Proszę!

Weszła pani Danvers, trzymając w ręce menu. Była blada i mizerna, miała silnie podkrążone oczy.

– Dzień dobry, pani Danvers.

– Nie rozumiem, dlaczego pani odesłała mi menu i wydała polecenie przez Roberta? Dlaczego pani to zrobiła?

Spojrzałam na nią, biorąc różę z koszyka.

– Te zimne mięsa i łosoś podane były wczoraj do stołu. Widziałam je na kredensie. Proszę zamówić jakąś gorącą potrawę. Jeśli służba nie chce jeść tych resztek, niech pani je wyrzuci. Tyle jedzenia marnuje się stale w tym domu, że nie robi większej różnicy, jeśli się jeszcze trochę więcej zmarnuje.

Wpatrywała się we mnie bez słowa. Włożyłam spokojnie różę do wazonu.

– Nie chce mi się wierzyć – powiedziałam – że pani nie może wymyślić czegoś gorącego. Z pewnością ma pani u siebie spis najróżniejszych potraw.

– Nie jestem przyzwyczajona, by mi przekazywano polecenia przez Roberta. Gdy pani de Winter chciała coś zmienić, dzwoniła do mnie osobiście.

– Nic mnie nie obchodzi, co robiła pani de Winter – powiedziałam stanowczo. – Proszę pamiętać, że ja jestem teraz panią de Winter! A przekazywać polecenia będę tak, jak mnie się podoba!

W tym momencie do pokoju wszedł Robert.

– Telefonuję z redakcji „County Chronicle”, proszę pani.

– Proszę powiedzieć, że mnie nie ma w domu.

– Dobrze, proszę pani.

Robert wyszedł, a ja zwróciłam się do pani Danvers:

– Czy ma pani jeszcze do mnie jakąś sprawę?

Wpatrywała się we mnie w milczeniu.

– Jeśli to wszystko, to proszę wydać polecenie kucharzowi, żeby przygotował gorący lunch – powiedziałam. – Teraz jestem zajęta.

– Dlaczego redakcja „County Chronicle” chciała z panią mówić? – spytała nagle pani Danvers.

– Nie mam pojęcia.

– Czy to prawda – powiedziała powoli – że znaleziono żaglówkę pani de Winter? Frith słyszał wczoraj tę pogłoskę w Kerrith.

– Czy taka pogłoska krąży po Kerrith? – spytałam. – Nic o tym nie wiem.

– Kapitan Searle był tu wczoraj. Słyszałam o tym od Roberta, który go wprowadził. Frith mówi, że po Kerrith krąży pogłoska o znalezieniu żaglówki przez nurka.

– Możliwe – powiedziałam. – Najlepiej będzie, jeśli pani zapyta o to pana de Wintera, jak wróci.

– Dlaczego pan de Winter wyszedł tak wcześnie?

– To nie pani sprawa.

Nadal uporczywie wpatrywała się we mnie.

– Frith mówi, że podobno znaleziono jakieś zwłoki w kabinie. Skąd one się tam wzięły? Pani de Winter zawsze żeglowała sama.

– Niepotrzebnie zadaje mi pani te pytania – powiedziałam. – Wiem tyle co i pani.

– Czyżby? – powiedziała powoli, wciąż patrząc na mnie.

Odwróciłam się i postawiłam wazon na stoliku przy oknie.

– Zaraz wydam polecenie kucharzowi – powiedziała. Wyczekiwała przez chwilę, ale ja nie odzywałam się więcej. Wreszcie wyszła z pokoju.

Pomyślałam wówczas, że przestałam się jej bać. Straciła swą moc wraz z Rebeką. Cokolwiek by powiedziała lub zrobiła, nie będzie mnie to więcej obchodzić, nie sprawi mi już przykrości. Wiedziałam, że jest moim wrogiem, ale to mi było obojętne. Lecz jeśli dowie się, czyje zwłoki znaleziono w kabinie, i stanie się również wrogiem Maxima, to co wtedy? Usiadłam na fotelu, odłożyłam sekator. Nie miałam już ochoty zajmować się różami. Myślałam bezustannie, co robi Maxim. Byłam ciekawa, dlaczego ten reporter znowu do nas dzwonił. Powróciło poprzednie uczucie bólu serca. Podeszłam do okna. Było bardzo gorąco. Zanosilo się na burzę. Ogrodnicy ścinali trawę. Widziałam, jak jeden z nich chodzi tam i z powrotem po skarpie z kosiarką. Nie mogłam dłużej wysiedzieć w buduarze, wyszłam na taras i zaczęłam się po nim przechadzać. Jasper dreptał za mną, zdziwiony, dlaczego nie idziemy na spacer. Lecz ja nie przestawałam krążyć po tarasie.

Około wpół do dwunastej zjawił się Frith.

– Pan de Winter przy telefonie, proszę pani.

Przeszłam przez bibliotekę do małego pokoiku. Ręka mi się trzęsa, gdy podnosiłam słuchawkę.

– Czy to ty? – spytał Maxim. – Jestem u Franka, dzwonię z biura.

– Tak?

Chwila milczenia.

– Zabieram Franka i pułkownika Julyana do nas na lunch. Będziemy o pierwszej.

– Dobrze.

Czekałam, żeby powiedział coś więcej.

– Udało się wydobyć zagłówkę. Właśnie przyjechaliśmy z Kerrith.

– Tak.

– Był Searle, pułkownik Julyan, Frank i robotnicy.

Zastanawiałam się, czy Maxim mówi tak chłodno i powściągliwie, bo Frank stoi obok niego.

– A więc oczekuj nas około pierwszej.

Odłożyłam słuchawkę. Nie usłyszałam wiele. Nadal nie wiedziałam, co tam się działo. Zanim wróciłam na taras, uprzedziłam Fritha, że będziemy mieli gości na lunchu.

Minuty wlokły się w nieskończoność, wreszcie upłynęła godzina. Poszłam na górę i włożyłam lżejszą suknię. Potem zeszłam do salonu. Pięć minut przed pierwszą usłyszałam, że samochód podjeżdża pod dom. Po chwili rozległy się głosy w holu. Poprawiłam włosy przed lustrem. Zobaczyłam, że jestem bardzo blada. Zaczęłam szczypać policzki, żeby nabrały rumieńców.

Po chwili do salonu wszedł Maxim z Frankiem i pułkownikiem Julyanem. Przypomniałam sobie, że pułkownik Julyan był na balu przebrany za Cromwella. Teraz wyglądał zupełnie inaczej, wydawał się znacznie drobniejszy.

– Dzień dobry pani – powiedział spokojnie, poważnie, jak doktor.

– Powiedz Frithowi, żeby podał sherry – zwrócił się do mnie Maxim. – Muszę umyć ręce.

– Ja również – podchwycił Frank.

Zanim zdążyłam zadzwonić, Frith zjawił się z winem. Pułkownik Julyan odmówił, a ja wzięłam kieliszek do ręki, żeby czymś się zająć. Pułkownik podszedł do mnie bliżej.

– To bardzo przykra sprawa, proszę pani – powiedział łagodnie. – Współczuję państwu z całego serca.

– Dziękuję.

Wypiłam kilka łyków sherry, ale czym prędzej odstawiłam kieliszek. Nie chciałam, aby zauważył, że ręka mi się trzęsie.

– Cała trudność polega na tym, że pani mąż przed rokiem zidentyfikował inne zwłoki jako zwłoki swojej żony.

– Nie rozumiem, o co chodzi.

– Więc pani nie słyszała, co stwierdziliśmy dziś rano?

– Wiem tylko tyle, że nurek znalazł jakieś zwłoki.

– Tak – powiedział pułkownik. Obejrzawszy się przez ramię, ściszył głos: – Niestety, nie ma żadnych wątpliwości, że są to zwłoki pani de Winter. Nie mogę pani podać szczegółów, ale dowody były wystarczające, aby pani mąż i doktor Phillips mogli zidentyfikować zwłoki.

Urwał nagle i odsunął się ode mnie. Maxim z Frankiem weszli do pokoju.

– Prosimy na lunch – powiedział Maxim.

Wyszłam pierwsza z holu z sercem ciężkim jak kamień. Zasiadliśmy do stołu w jadalni – pułkownik po mojej prawej ręce, Frank po lewej. Nie patrzyłam na Maxima. Frith i Robert zaczęli obnosić pierwsze danie. Rozmawialiśmy o pogodzie.

– Czytałem w „Timesie”, że wczoraj w Londynie było ponad dwadzieścia siedem stopni w cieniu – powiedział pułkownik Julyan.

– Co pan mówi?! – zdziwiłam się.

– Tak. To straszne dla tych, którzy nie mogą wyjechać z miasta.

– Tak, to okropne – potwierdziłam.

– W Paryżu zdarzają się jeszcze większe upały – wtrącił Frank. – Pamiętam, że kiedyś byłem tam w połowie sierpnia. Nie mogłem spać, nie było czym oddychać. Termometr wskazywał ponad trzydzieści dwa stopnie.

– Francuzi zawsze śpią przy zamkniętych oknach, prawda? – spytał pułkownik.

– Nie wiem – odpowiedział Frank. – Zatrzymałem się wówczas w hotelu, w którym przeważnie mieszkali Amerykanie.

– Pani z pewnością zna Francję? – zwrócił się do mnie pułkownik.

– Niezbyt dobrze.

– Wydawało mi się, że pani spędziła we Francji kilka lat.

– Nie – powiedziałam.

– Żona przebywała w Monte Carlo i tam ją właśnie poznałem – wyjaśnił Maxim. – Monte Carlo trudno nazwać Francją.

– Tak, sądzę, że jest to miejscowość bardzo kosmopolityczna. Ale wybrzeże podobno jest piękne, prawda?

– Tak, bardzo piękne – powiedziałam.

– Nie tak skaliste jak nasze, co? Mimo wszystko wiem, które bym wybrał. Tylko w Anglii mógłbym osiedlić się na stałe. Tutaj człowiek czuje się u siebie w domu.

– Przypuszczam, że Francuzi są tego samego zdania o Francji – zauważył Maxim.

– O, niewątpliwie – powiedział pułkownik.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Frith stał za moim krzesłem. Myśleliśmy wszyscy o tej samej sprawie, ale ze względu na obecność Fritha musieliśmy zachowywać pozory. Frith zapewne myślał także o tym samym. Gdybyśmy przestali zważać na konwenanse i pozwolili mu wziąć udział w rozmowie, sytuacja byłaby o wiele łatwiejsza. Robert wszedł z winem. Frith zmienił talerze i podał drugie danie. Pani Danvers nie zapomniała o gorącej potrawie. Była to jakaś zapiekanka w sosie grzybowym podana w kamiennym naczyniu.

– Wszyscy bawili się świetnie na balu u państwa – odezwał się pułkownik Julyan.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Takie imprezy sprawiają dużą przyjemność okolicznym mieszkańcom.

– Myślę, że tak.

– Zamiłowanie do przebierania się jest chyba powszechną cechą wszystkich ludzi – zauważył Frank.

– W takim razie jestem bardzo nieludzki – powiedział Maxim.

– Wydaje mi się naturalne, że wszyscy lubimy zmieniać swój wygląd. Jesteśmy dziećmi pod wieloma względami.

Ciekawiło mnie, czy dużą przyjemność sprawiło mu przebranie się za Cromwella. Rzadko ukazywał się na sali balowej, gdyż grał w brydża niemal przez całą noc.

– Zdaje mi się, że pani nie gra w golfa? – spytał.

– Niestety, nie gram.

– Powinna pani się nauczyć. Moja najstarsza córka jest wielką amatorką golfa, ale nie może tutaj znaleźć partnerów wśród młodzieży. Podarowałem jej na urodziny mały samochód, więc jeździ teraz niemal codziennie na północny brzeg zatoki, bo tam jest więcej chętnych do golfa. Przynajmniej ma zajęcie.

– To bardzo przyjemne zajęcie.

– Powinna była urodzić się chłopcem. Mój syn jest zupełnie inny. Nie ma żadnych zdolności do sportu. Pisze wiersze. Mam nadzieję, że wyrośnie z tego nałogu.

– Na pewno – wtrącił Frank. – Jak byłem w jego wieku, także pisałem wiersze. I to jakie głupie! Teraz nigdy tego nie robię.

– Całe szczęście – rzucił Maxim.

– Nie rozumiem, po kim mój syn odziedziczył tę skłonność do poezji, bo z całą pewnością nie po matce ani po mnie.

Znowu zapadło milczenie. Pułkownik nałożył sobie na talerz drugą porcję zapiekanki i powiedział:

– Pani Lacy wyglądała świetnie na balu.

– Tak.

– Zasłona zsuwała jej się z głowy – wtrącił Maxim.

– Te wschodnie stroje muszą być trudne do noszenia – zauważył pułkownik. – Podobno jednak są o wiele wygodniejsze i chłodniejsze od sukien, jakie noszą panie w Europie.

– Czyż to możliwe? – spytałam.

– Tak, mówią, że luźne draperie lepiej chronią przed gorącymi promieniami słońca.

– To ciekawe – odezwał się Frank. – Wydawałoby się, że powinno być odwrotnie.

– Podobno nie.

– Czy pan zna Wschód, panie pułkowniku? – spytał Frank.

– Znam Daleki Wschód – odpowiedział pułkownik. – Mieszkałem przez pięć lat w Chinach. Później byłem w Singapurze.

– Czy to tam przyrządzają curry? – spytałam.

– Tak, jadaliśmy tam znakomite curry.

– Bardzo lubię tę potrawę – powiedział Frank.

– Ach, to, co nam podają w Anglii, nie przypomina nawet curry, to jakaś mdła siekanina.

Podano suflet i sałatkę owocową.

– U państwa pewnie też już się kończą maliny – odezwał się pułkownik. – W tym roku wspaniale obrodziły. Mamy ogromne zapasy dżemu.

– Nie lubię dżemu z malin – zauważył Frank. – Tyle w nim pesteczek.

– Musi pan skosztować naszego – powiedział pułkownik. – Przekona się pan, że wcale nie ma w nim tak wiele pestek.

– W tym roku będziemy mieli mnóstwo jabłek – pochwalił się Frank. – Właśnie mówiłem Maximowi, że zapowiada się rekordowy urodzaj. Będziemy mogli wysłać spory transport do Londynu.

– Czy to się opłaca? – spytał pułkownik. – Czy zostaje jakiś dochód po opłaceniu kosztów robocizny, pakowania i wysyłki?

– O tak, naturalnie – potwierdził Frank.

– To ciekawe. Muszę powiedzieć o tym mojej żonie.

Suflet i sałatka owocowa zostały szybko zjedzone. Robert podał sery i biszkopty, a po chwili zjawił się Frith z kawą i papierosami. Następnie obaj wyszli z pokoju. Piliśmy kawę w milczeniu. Wpatrywałam się uporczywie w swój talerzyk.

– Właśnie przed lunchem mówiłem pańskiej żonie, de Winter – odezwał się pułkownik cichym, poufnym tonem – że zidentyfikowanie przez pana tamtych zwłok stanowi drażliwy punkt w tej całej przykrej sprawie.

– Tak, niewątpliwie – przyznał Maxim.

– Moim zdaniem w tych warunkach bardzo łatwo było popełnić omyłkę – wtrącił szybko Frank. – Władze wezwały Maxima do Edgecoombe, z góry zakładając, że są to zwłoki pani de Winter. Maxim był wówczas chory. Chciałem z nim pojechać, ale nie zgodził się na to. W takim stanie zdrowia nie powinien był podejmować się tego rodzaju przedsięwzięcia.

– Co ty opowiadasz – sprzeciwił się Maxim – czułem się zupełnie dobrze.

– Teraz nie będziemy w to wnikać – powiedział pułkownik. – Pan zidentyfikował tamte zwłoki, a obecnie nie ma innej rady, tylko trzeba przyznać się do pomyłki. Tym razem nie może być chyba żadnych wątpliwości.

– Żadnych – potwierdził Maxim.

– Pragnąłbym oszczędzić panu rozgłosu i formalności związanych ze śledztwem, ale obawiam się, że to jest niemożliwe.

– Oczywiście, że nie – powiedział Maxim.

– Myślę, że śledztwo nie będzie trwało długo. Będzie pan musiał znowu zidentyfikować zwłoki. Potem trzeba będzie wezwać Tabbę, który, jak pan mówi, przerabiał żaglówkę po sprowadzeniu jej przez pańską żonę z Francji. Tabb musi złożyć zeznanie, że łódź była zdarna do żeglugi i w dobrym stanie, gdy wypuścił ją ze swego warsztatu skutniczego. To zwykła formalność, ale nieunikniona. Martwi mnie jednak najbardziej, że sprawa nabierze rozgłosu. To bardzo przykre i smutne dla pana i pańskiej żony.

– Trudno, rozumiemy, że nie da się tego uniknąć.

– Co za fatalny zbieg okoliczności, że ten nieszczęsny statek wpadł tu na rafę. Gdyby nie ta awaria, nie byłoby tej całej sprawy.

– Tak – powiedział Maxim.

– Jediną pociechą jest to, że wiemy teraz, w jaki sposób zginęła biedna pani de Winter. Śmierć jej musiała nastąpić szybko, a nie tak, jak przypuszczaliśmy, po długich, powolnych męczarniach. Wydaje się rzeczą bezsporną, że nawet nie próbowała dopłynąć do brzegu.

– Tak – potwierdził Maxim.

– Widocznie zeszła po coś do kabiny, drzwi zacięły się, a gwałtowny podmuch wiatru uderzył w jacht w chwili, gdy nikogo nie było przy sterze – rozważał pułkownik. – To straszny wypadek.

– Tak – powiedział Maxim.

– To jest chyba właściwe wyjaśnienie tego wypadku, jak pan uważa, Crawley? – zwrócił się pułkownik do Franka.

– O tak, niewątpliwie!

Podniosłam wzrok i dostrzegłam wyraz oczu Franka w chwili, gdy ukradkiem spojrział na Maxima. Zrozumiałam, że

Frank wie o wszystkim. A Maxim nie zdaje sobie sprawy z tego, że on zna jego tajemnicę. Jak automat mieszałam cukier w kawie. Miałam gorące, wilgotne dłonie.

– Każdemu z nas zdarza się popełnić jakiś błąd – odezwał się pułkownik – za który trzeba płacić. Pani de Winter powinna była wiedzieć, że na zatoce wieją porywiste wiatry i że nie wolno ani na sekundę opuszczać steru. Przecież wielokrotnie żeglowała sama po zatoce. A tu nagle postąpiła tak ryzykownie i to ją zgubiło. To nauczka dla nas wszystkich.

– O wypadek tak łatwo – powiedział Frank. – Może się przytrafić najbardziej doświadczonym. Niech pan weźmie pod uwagę, ile osób ponosi śmierć podczas polowania.

– O tak, ale w czasie polowania upadek z konia jest najczęściej przyczyną śmierci. Gdyby pani de Winter nie opuściła steru, nie doszłoby do katastrofy. Jak ona mogła zrobić coś podobnego! Obserwowałam ją wiele razy podczas regat sobotnich w Kerrith i nigdy nie zauważyłem, aby popełniła jakiś zasadniczy błąd. W ten sposób mógł się zachować tylko ktoś niedoświadczony. I do tego nieostrożność popełniła właśnie w tym miejscu, tuż przy rafie.

– Tej nocy wiał porywisty wiatr – wtrącił Frank. – Może coś się zacięło w takielunku. Może zeszła po nóż.

– Tak, to możliwe. No cóż, nigdy się tego nie dowiemy. A zresztą niewiele by to pomogło w tym wypadku. Jak już powiedziałem, wolałbym nie dopuścić do śledztwa, lecz, niestety, nie mogę tego zrobić. Chciałbym naznaczyć je na wtorek rano. Postaram się, żeby trwało jak najkrócej. To tylko formalność. Obawiam się, że nie uda nam się uniknąć reporterów.

Znowu zapadło milczenie. Uznałam, że pora już wstać od stołu.

– Może przejdziemy do ogrodu? – powiedziałam.

Wstaliśmy i wyszliśmy na taras. Pułkownik Julyan pogłaskał Jaspera.

– Wyrósł na ładnego psa.

– Tak.

– Spaniele są miłymi kompanami.

– Tak, są bardzo miłe.

Przez chwilę staliśmy na tarasie, wreszcie pułkownik zerknął na zegarek.

– Bardzo dziękuję za wyśmienity lunch. Niestety, mam bardzo dużo roboty dziś po południu. Proszę mi wybaczyć, ale muszę już uciekać.

– Rozumiem, panie pułkowniku – powiedziałam.

– Jest mi bardzo przykro z powodu tej sprawy. Współczuję pani z całego serca. Wydaje mi się, że dla pani jest to chyba jeszcze cięższym przeżyciem niż dla męża. Po skończonym śledztwie muszą państwo jak najszybciej o tym wszystkim zapomnieć.

– Tak – powiedziałam. – Postaramy się o to.

– Mój samochód stoi na podjeździe. Może pana podwieźć do biura, panie Crawley, o ile to panu dogadza?

– Z przyjemnością skorzystam – odpowiedział Frank.

Podszedł i uściskał mi rękę.

– Zobaczymy się wkrótce.

– Tak, naturalnie – powiedziałam, nie patrząc na niego. Bałam się, by nie wyczytał z moich oczu, że wiem wszystko. Maxim odprowadził ich do samochodu. Gdy odjechali, wrócił na taras i wziął mnie pod rękę. Patrzyliśmy razem na morze i latarnię morską na półwyspie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Maxim. – Jestem tego pewien. Słyszałaś, co mówili Julyan i Frank podczas lunchu. Nie powinno być żadnych trudności w czasie śledztwa. Wszystko będzie dobrze.

Milczałam. Ścisnęłam go za ramię.

– Od pierwszej chwili nie było żadnych wątpliwości, czyje to zwłoki. Doktor Phillips mógł zidentyfikować je nawet bez mojej pomocy. To było bardzo proste. Na szczęście kula nie drasnęła kości, nie ma żadnych śladów.

Barwny motyl przeleciał koło nas, zwabiony kwiatami na tarasie.

– Słyszałaś, co mówili – ciągnął Maxim. – Przypuszczają, że Rebeka nie mogła wydostać się z kabiny. Sąd przysięgłych z pewnością w to uwierzy. Phillips im to tak przedstawi.

Nie odzywałam się nadal.

– Przejmuję się tym tylko ze względu na ciebie. Nie żałuję niczego. Postąpiłbym tak samo po raz drugi. Nie martwię się, że

zabiłem Rebeke. Nie będę miał wyrzutów sumienia z tego powodu, nigdy! Chodzi mi tylko o ciebie. Nie mogę przeboleć, że tak się zmieniłaś przeze mnie. Przyglądałem ci się podczas lunchu, myślałem tylko o tym. Z twojej twarzy zniknął na zawsze ten dziecięcy, uroczy wyraz, który tak kochałem. Już nigdy nie powróci. Zabiłem go, gdy powiedziałem ci prawdę o Rebecce. Wyraz ten zniknął w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jesteś teraz znacznie starsza...

Tego wieczoru w miejscowej gazecie ukazały się wielkie nagłówki na pierwszej stronie. Frith przyniósł gazetę i położył ją na stole. Maxim poszedł przebrać się do obiadu. Frith zatrzymał się, jakby czekając, że coś powiem. Wydawało mi się, że byłoby głupio i niewłaściwie wobec niego, gdybym nie wspomniała o tej sprawie, która musiała wywołać wielkie poruszenie wśród służby.

– To bardzo przykra sprawa, Frith.

– Tak, proszę pani, jesteśmy wszyscy ogromnie nią przejęci.

– Jakie to smutne, że pan de Winter musi to wszystko przeżywać po raz drugi.

– Tak, proszę pani. Smutne. Jaki to musiał być wstrząs dla pana ta druga identyfikacja zwłok. Teraz już chyba nie ma wątpliwości, że zwłoki znalezione w żaglówce są zwłokami pani de Winter?

– Nie, Frith. Nie ma żadnych wątpliwości.

– Jesteśmy wszyscy bardzo zdziwieni, proszę pani, że ona zeszła do kabiny. Była przecież doświadczonym żeglarzem.

– Tak, Frith. Nas to też dziwi. Ale wypadki zdarzają się nawet doświadczonym. A w jaki sposób to się stało, pewnie się nigdy nie dowiemy.

– I ja tak myślę, proszę pani. Ale to okropny wstrząs. Przejęliśmy się tym bardzo. Na domiar złego musiało się to stać tuż po balu.

– Właśnie.

– Podobno ma być śledztwo, proszę pani?

– Tak, to zwykła formalność.

– Z pewnością, proszę pani. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś z nas będzie wezwany na świadka.

– Nie sądzę.

– Z największą chęcią zrobiłbym wszystko, aby pomóc państwu. Chyba pan de Winter wie o tym.

– Jestem pewna, że wie, Frith.

– Przykazałem personelowi, aby nie gadali o tej sprawie, ale trudno ich upilnować, szczególnie dziewczęta. Oczywiście poradzę sobie z Robertem. Dla pani Danvers był to ogromny wstrząs.

– Przypuszczałam, że tak będzie.

– Poszła do swego pokoju zaraz po lunchu i nie pokazała się więcej. Przed chwilą Alice zaniósła jej filiżankę herbaty i gazetę. Powiedziała, że pani Danvers bardzo źle wygląda.

– Byłoby najlepiej, żeby pozostała u siebie. Jeśli jest chora, niech nie wstaje. Proszę jej to przekazać przez Alice. Ja sama wydam polecenia kucharzowi.

– Dobrze, proszę pani. Ale wydaje mi się, że to nie jest zwykła choroba, tylko wstrząs z powodu odnalezienia zwłok pani de Winter. Pani Danvers była do niej ogromnie przywiązana.

– Tak, wiem o tym.

Frith wyszedł z pokoju, a ja szybko chwyciłam gazetę, żeby przejrzeć ją, zanim wróci Maxim. Na pierwszej stronie zobaczyłam całą kolumnę poświęconą naszej sprawie oraz zamazaną fotografię Maxima zrobioną co najmniej przed piętnastu laty. Fotografia ta, zamieszczona na pierwszej stronie, zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. U dołu kolumny podano, z kim Maxim ożenił się po raz drugi i że właśnie wydał bal kostiumowy w Manderley. Słowa te w druku wydawały się niezwykle brutalne i nieżyczliwe. O Rebecce napisano, że była piękna i mądra, otoczona powszechną miłością i że utonęła przed rokiem. Dalej, że Maxim ożenił się następnej wiosny, przywiózł swoją młodą żonę wprost do Manderley (tak brzmiał artykuł) i wydał wielki bal na jej cześć. A nazajutrz rano znaleziono zwłoki jego pierwszej żony w kabinie żaglówki leżącej na dnie zatoki...

Wszystko to było prawdą, ale reportaż upstrzony był drobnymi niedokładnościami, które dodawały pikanterii i stanowiły atrakcyjną lekturę dla setek czytelników żądających od gazety sensacji za swoje pensy. Maxima pokazano w niekorzystnym świetle, przedstawiono jako satyra. Wyglądało

tak, jakby Maxim chciał popisać się przed światem, przywożąc swoją „młodą żonę” do Manderley i wydając ten sławetny bal.

Schowałam gazetę pod poduszkę leżącą na fotelu, żeby Maxim jej nie zobaczył. Ale nie mogłam ukryć przed nim rannych wydań. W londyńskiej prasie także ukazały się reportaże na ten temat. Zamieszczono fotografię Manderley, a pod nią reportaż. Manderley i Maxim byli sensacją dnia. Nazywano go Max de Winter – brzmiało to bardzo poufale, nieprzyjemnie. W każdej gazecie kładziono nacisk na fakt, że zwłoki Rebeki zostały znalezione następnego dnia po balu, jakby ktoś to zrobił umyślnie. W dwóch reportażach użyto tego samego zwrotu: „ironia losu”. Tak, ten splot okoliczności rzeczywiście można nazwać ironią losu. Co za wspaniały temat dla prasy!

Przyglądałam się Maximowi podczas śniadania, jak czytając gazety jedną po drugiej, stawał się coraz bledszy. Nie odezwał się ani słowem. Gdy skończył czytać, spojrzał na mnie, a ja wyciągnęłam do niego rękę.

– Przekłęte pismaki – szepnął. – Przekłęte!

Myślałam o tym, co by napisali, gdyby znali całą prawdę. Zapełniliby nie jedną kolumnę, lecz pięć lub sześć. Reklamowe tablice z wielkimi tytułami reportaży wystawione na ulicach Londynu. Gazeciarze wykrzykujący tytuły przed stacjami metra. To straszliwe słowo złożone z dziesięciu liter umieszczone pośrodku tablicy!

Frank przyszedł wkrótce po śniadaniu. Był blady i zmęczony, jakby wcale nie spał.

– Kazałem centrali przełączać wszystkie rozmowy do biura – powiedział do Maxima. – Jeśli będą dzwonić reporterzy, ja sobie z nimi poradzę. Z innymi interesantami również. Nie chcę, żeby wam dokuczano. Dzwoniło już kilka osób z sąsiedztwa. Wszystkim odpowiedziałem to samo: państwo de Winter bardzo dziękują za okazywane im współczucie i proszą o wybaczenie, że nie będą przyjmować telefonów przez kilka dni. Pani Lacy dzwoniła o wpół do dziewiątej. Chciała natychmiast przyjechać.

– O mój Boże... – zaczął Maxim.

– Nie bój się, powstrzymałem ją. Powiedziałem szczerze, że jej przyjazd nie jest wskazany, bo ty nikogo prócz pani de Winter nie chcesz widzieć. Pytała, kiedy odbędzie się śledztwo,

a ja odpowiedziałem, że jeszcze nie wiadomo. Nie wiem, czy uda nam się ją powstrzymać, jak dowie się z gazet o terminie.

– Ci przekleci reporterzy! – powiedział Maxim.

– Tak, wszyscy udusilibyśmy ich chętnie, ale musisz zrozumieć i ich punkt widzenia. Oni z tego żyją i muszą pracować dla swojej gazety. Jeśli nie napiszą dobrego reportażu, wydawca wyrzuci ich na bruk. Jeśli redaktor nie skleci poczytnej gazety, właściciel pisma jego z kolei wyrzuci. A jeśli gazeta nie jest rozchwytywana, właściciel pisma traci pieniądze. Nie potrzebujesz z nimi rozmawiać. Załatwię to za ciebie. Ty powinienesz zastanowić się dobrze nad tym, co zeznasz podczas śledztwa.

– Wiem, co mam mówić.

– Naturalnie, ale nie zapominaj, że sędzią śledczym jest stary Horridge. Jest bardzo drobiazgowy, wchodzi w szczegóły, które są często nieistotne, aby tylko pokazać przysięgłym, jak to on sumiennie sprawuje swoje obowiązki. Uważaj, żeby cię nie wyprowadził z równowagi.

– Dlaczego, do diabła, miałby mnie wyprowadzić z równowagi! Nie widzę żadnego powodu.

– Oczywiście, ale posłuchaj mnie. Widziałem nieraz, jak to się odbywa, i wiem, że łatwo się można zdenerwować. Nie ma potrzeby zrażać sobie sędziego śledczego.

– Frank ma rację – powiedziałam. – Wiem, co ma na myśli. Im szybciej i gładziej odbędzie się śledztwo, tym lżej to wszyscy zniesiemy. A gdy się ta nieszczęsna sprawa skończy, zapomnimy o niej i inni też zapomną. Prawda, Frank?

– Naturalnie.

Nadal unikałam jego oczu, ale nabrałam jeszcze większej pewności, że Frank zna całą prawdę. Znał ją od początku, od samego początku. Przypomniałam sobie mój pierwszy dzień w Manderley, gdy Frank i Beatrice z mężem byli na lunchu, a Beatrice nietaktownie mówiła o zdrowiu Maxima. Frank zręcznie zmienił wówczas temat rozmowy. Zawsze pomagał Maximowi wybrnąć z jakiejś trudnej sytuacji. Zrozumiałam teraz jego powściągliwość, gdy pytałam go o Rebeke, oraz niechęć do szczerzej rozmowy ze mną. Frank wiedział wszystko, ale Maxim nie przypuszczał, że on zna jego tajemnicę. A Frank nie chciał, żeby Maxim domyślił się tego. I tak staliśmy we

trójkę, przyglądając się sobie, oddzieleni od siebie niewidzialnymi przegrodami.

Telefon milczał. Wszystkie rozmowy przełączano do biura Franka. Pozostało nam tylko oczekiwanie. Oczekiwanie na ten krytyczny wtorek.

Nie widywałam przez te dni pani Danvers. Przesyłała mi jak zwykle menu, którego nie zmieniałam. Spytałam o nią Clarice. Powiedziała, że wykonuje swoje obowiązki, ale z nikim nie rozmawia. Wszystkie posiłki spożywa w swoim pokoju.

Clarice miała bardzo zaciekawioną minę, ale nie śmiała zadawać mi pytań, a ja nie miałam zamiaru rozmawiać z nią na ten temat. Z pewnością o niczym innym nie mówiono w kuchni, na farmach i w domku dozorca. Całe Kerrith trzęsło się od plotek.

Spędzaliśmy te dni w domu lub w ogrodzie. Nawet nie chodziliśmy do lasu. Pogoda nadal była upalna. W powietrzu wisiała burza. Za białymi chmurami gromadził się deszcz, ale nie spadał na ziemię.

Śledztwo wyznaczono na wtorek o godzinie drugiej po południu. Przed pierwszą siedliśmy do lunchu. Przyszedł Frank i powiedział, że telefonowała Beatrice. Na szczęście nie mogła przyjechać, bo Roger zachorował na odrę. Doktor nakazał im kwarantannę. Błogosławiłam tę odrę. Maxim zniósłby wszystko o wiele gorzej, gdyby Beatrice przebywała z nami, okazując mu troskliwość i czułość, ale bezustannie zadając pytania.

Jedliśmy lunch w pośpiechu i zdenerwowaniu. Nie mówiliśmy wiele. Bolesny skurcz znowu ścisnął mi serce. Nie mogłam przełknąć ani kęska. Odetchnąłam z ulgą, gdy ta parodia lunchu się skończyła. Maxim wyszedł na podjazd i uruchomił silnik samochodu. Szum motoru podziałał na mnie uspokajająco. Oznaczał, że musimy już jechać, że skończyło się bezczynne wyczekiwanie w Manderley.

Frank jechał za nami swoim samochodem. Położyłam rękę na kolanie Maxima. Wydawało mi się, że jest zupełnie spokojny. Nie przejawiał żadnych oznak zdenerwowania. Czułam się podobnie, jakbym odwoziła kogoś do szpitala na operację, nie wiedząc, co się stanie, czy operacja się uda. Miałam ręce zimne jak lód. Serce biło mi gwałtownie, czułam ściskanie w dołku. Śledztwo miało się odbyć w Lanyon, mieście targowym

położonym sześć mil za Kerrith. Zaparkowaliśmy na rynku wybrukowanym kocimi łbami. Stało tam już auto doktora Phillipa, pułkownika Julyana i inne samochody. Jakaś kobieta spojrzała z ciekawością na Maxima, trącając łokciem swoją towarzyszkę.

– Ja zostanę tutaj – zwróciłam się do Maxima. – Nie pójdę z tobą.

– Wcale nie chciałem, żebyś tu przyjeżdżała – powiedział Maxim. – Byłem temu przeciwny od początku. Trzeba było zostać w Manderley.

– Nie, wolę poczekać w samochodzie.

Frank podszedł i zajrzał przez okno.

– Czy pani nie idzie z nami?

– Nie – odparł Maxim. – Woli zostać w samochodzie.

– Słusznie, pani obecność wcale nie jest konieczna. My wkrótce wrócimy.

– Dobrze.

– Zarezerwuję dla pani miejsce – powiedział Frank – gdyby pani zmieniła zdanie.

Odeszli razem, zostawiając mnie w samochodzie. Był to dzień, w którym wszystkie sklepy są po południu zamknięte. Ulice były puste, sklepy miały opuszczony wygląd. Lanyon nigdy zresztą nie miało powodzenia jako miejscowość letniskowa, gdyż położone jest dość daleko od morza. Siedziałam, patrząc na pozamykane sklepy. Mijały minuty. Zastanawiałam się, co oni tam robią – sędzia, Frank, Maxim, pułkownik Julyan. Wysiadłam z samochodu i zaczęłam spacerować po rynku. Zatrzymałam się przy jakiejś wystawie sklepowej. Potem znowu zaczęłam chodzić tam i z powrotem. Nagle zauważyłam policjanta, który przyglądał mi się badawczo. Skręciłam w boczną uliczkę, by uniknąć jego obserwacji.

Bezwiednie znalazłam się przed budynkiem, w którym odbywało się śledztwo. Ponieważ gazety nie podały dokładnej godziny, nie zgromadził się tu tłum ciekawskich, tak jak się tego obawiałam. Miałam wrażenie, że w środku nie ma żywego ducha. Weszłam do budynku i zatrzymałam się przy drzwiach. Jak spod ziemi wyrósł przede mną policjant.

– Czy pani kogoś szuka?

– Nie, nie.

– Tu nie wolno czekać.

– Przepraszam – powiedziała i skierowała się do wyjścia.

– Przepraszam, czy to pani de Winter?

– Tak.

– To co innego. Jeśli pani sobie tego życzy, to proszę tutaj poczekać. A może pani usiądzie w tym pokoju?

– Dziękuję.

Zaprowadził mnie do małego, pustego pokoiku, w którym stało biurko. Pokoik przypominał poczekalnię na dworcu. Usiadłam na krześle, złożyłam ręce na kolanach. Minęło pięć minut. Nic się nie działo. Czekanie tutaj było jeszcze bardziej denerwujące niż czekanie na ulicy. Wyszłam na korytarz. Policjant stał tam nadal.

– Czy to jeszcze długo potrwa? – spytałam.

– Jeśli pani sobie tego życzy, pójdę się dowiedzieć. – Zniknął w głębi korytarza. Po chwili wrócił i powiedział: – Powinno się wkrótce skończyć. Pan de Winter już złożył swoje zeznanie. Kapitan Searle, nurek i doktor Phillips także już zeznawali. Pozostał jeszcze ostatni świadek, pan Tabb, szkutnik z Kerrith.

– To chyba zaraz się skończy.

– Chyba tak, proszę pani – powiedział policjant, po czym nagle dodał: – A może pani chciałaby usłyszeć ostatnie zeznanie? Tuż przy drzwiach jest wolne krzesło. Jeśli pani wślizgnie się teraz, nikt pani nie zauważy.

– Dobrze, chętnie posłucham.

Śledztwo dobiegało końca. Maxim już złożył swoje zeznanie. Innymi zeznaniami nie będę się denerwować. Nie chciałam tylko słyszeć zeznań Maxima, bałam się. Dlatego nie poszłam z nim od razu. Teraz to już nie ma znaczenia. Maxim odbył swoje.

Policjant zaprowadził mnie do drzwi na końcu korytarza. Otworzył je, a ja wślizgnęłam się cicho i usiadłam tuż przy wejściu. Opuściłam głowę, żeby nie patrzeć na nikogo. Sala była mniejsza, niż przypuszczałam. Było w niej gorąco i duszno. Wyobrażałam sobie, że będzie to wielka, pusta sala z ławkami jak w kościele.

Maxim z Frankiem siedzieli z drugiej strony sali. Sędzia był chudym, starszym mężczyzną w binoklach. Kątem oka patrzyłam na salę. Znajdowało się tam wiele nieznanych mi

osób. Nagle serce mi drgnęło, gdyż ujrzałam panią Danvers. Siedziała na ostatniej ławce. Obok niej siedział Favell. Jack Favell, kuzyn Rebeki. Pochylony naprzód, podpierając brodę rękami, wpatrywał się w sędziego Horridge'a. Nie spodziewałam się, że on tu będzie. Byłam ciekawa, czy Maxim go widział. Szkutnik James Tabb składał zeznanie. Sędzia zadawał mu pytania.

– Tak, panie sędzio – powiedział Tabb. – To ja przerabiałem łódź pani de Winter. Była to francuska łódź rybacka, którą pani de Winter kupiła w Bretanii za bezcen i przywiozła tutaj. Poleciała mi przerobić tę łódź na mały jacht.

– Czy jacht był zdatny do żeglugi?

– Tak. Był zdatny, gdy oporządziłem go w kwietniu ubiegłego roku. Pani de Winter kazała go wstawić do mojego warsztatu jak zwykle w październiku, a w marcu poleciała mi doprowadzić go do porządku, co też wykonałem. Był to czwarty sezon żeglarski pani de Winter od czasu, gdy przerobiłem dla niej ten jacht.

– Czy zdarzyło się kiedyś, żeby ten jacht się przewrócił?

– Nie, panie sędzio. Pani de Winter zawiadomiłaby mnie natychmiast, gdyby coś podobnego się wydarzyło. Była zachwycona tym jachtem, nieraz mi to mówiła.

– Czy jacht wymagał szczególnych umiejętności żeglarskich?

– Nie przeczę, panie sędzio, że każdy żeglarz musi zawsze zachować przytomność umysłu. Ale żaglówka pani de Winter nie była jedną z tych wywrotnych łodzi, jakie się widuje w Kerrith. W takich łodziach nie można ani na chwilę opuścić steru. Żaglówka pani de Winter była solidna, zdatna do morskiej żeglugi i odporna na najsilniejszy wiatr. Pani de Winter żeglowała w niej nieraz podczas pogody gorszej niż owej nocy. Wówczas nie było sztormu, wiał tylko porywisty wiatr. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ten jacht zatonął w taką pogodę. Twierdziłem tak od początku.

– Ale jeżeli pani de Winter zeszła do kabiny po płaszcz, tak jak przypuszczamy, a w tym momencie uderzył gwałtowny podmuch wiatru od strony półwyspu, to chyba jacht mógł się przewrócić?

James Tabb potrząsnął przecząco głową.

– Nie – powiedział z uporem. – Nie uważam, żeby się mógł przewrócić.

– Jednak tak się musiało zapewne stać – odparł sędzia. – Nie wydaje mi się, aby pan de Winter lub ktokolwiek z nas przypisywał panu winę za ten wypadek. Pan oporządził jacht na początku sezonu i stwierdził, że jest zdalny do żeglugi. To jest dla mnie istotne. Niestety, pani de Winter zachowała się nieostrożnie i przyplącała to życiem. Takie wypadki zdarzały się nieraz. Powtarzam, że nie mamy panu nic do zarzucenia.

– Przepraszam, panie sędzio – powiedział skutnik – ale to nie wszystko. Jeśli pan pozwoli, chciałbym jeszcze coś zeznać.

– Dobrze, proszę mówić.

– To było tak, panie sędzio. Po tym wypadku w ubiegłym roku wiele osób wyrażało się krytycznie o mojej robocie. Niektórzy mówili, że oddałem do użytku pani de Winter jacht niezdatny do żeglugi, przeciekający, z przegniłym dnem. Straciłem z tego powodu kilka zamówień. Były to krzywdzące pogłoski, ale nie mogłem się z tych zarzutów oczyścić, gdyż łódź zatonała. Teraz ten niemiecki statek osiadł na skałach, jak wszyscy wiemy, i jacht pani de Winter został wydobyty z dna morza. Kapitan Searle pozwolił mi wczoraj obejrzeć jacht. Chciałem przekonać się, że moja robota była dobrze wykonana, choć jacht znajdował się pod wodą więcej niż rok.

– To całkiem zrozumiałe – powiedział sędzia. – Mam nadzieję, że pan się przekonał.

– Tak, panie sędzio. Jeśli chodzi o moją robotę, wszystko było w porządku. Obejrzałem bardzo dokładnie całą żaglówkę, która znajduje się teraz na barce. Jak mi oświadczył nurek, żaglówka osiadła na piaszczystym dnie. Nie wpadła na rafę. Od rafy dzieliło ją co najmniej pięć stóp. Leżała na piasku, a na kadłubie nie znalazłem żadnych śladów uderzenia o skały.

Tabb zamilkł. Sędzia spojrzał na niego wyczekująco.

– Czy to już wszystko, co pan ma do powiedzenia?

– Nie, panie sędzio – powiedział z naciskiem Tabb. – To nie wszystko. Chciałbym wiedzieć, kto przebił dziury w deskach. Na pewno nie powstały wskutek uderzenia o rafy. Najbliższa skała znajdowała się w odległości pięciu stóp. Ponadto są to dziury przebite nagle.

Nie patrzyłam na niego. Utkwiłam wzrok w podłodze. Deski pokryte były linoleum, zielonym linoleum. Wpatrywałam się w nie z uporem. Dziwiłam się, dlaczego sędzia milczy. Dlaczego

cisza trwa tak długo. Gdy się wreszcie odezwał, głos jego dochodził mnie jakby z oddali.

– Co pan ma na myśli? Jakie to są dziury?

– Znalazłem trzy dziury. Jedną w dziobie, przy skoblu łańcuchowym na prawej burcie, poniżej linii wodnej. Dwie pozostałe blisko siebie w śródkręciu, w dnie pod podłogą. Balast został przesunięty, leżał luzem. Ale to jeszcze nie wszystko. Zawory denne były otwarte.

– Zawory denne? Co to jest? – spytał sędzia.

– Są to zawory zamykające rury ściekowe od umywalki lub ubikacji. Pani de Winter kazała zainstalować ubikację na rufie, a umywalkę na dziobie. W tych miejscach były zawory. Zawory muszą być zawsze szczelnie zamknięte podczas żeglowania, bo woda dostałaby się do środka. Gdy oglądałem wczoraj żaglówkę, oba zawory były otwarte.

W sali było gorąco, za gorąco. Dlaczego nie otwierają okien? Udusimy się tu, przecież tyle osób oddycha ciągle tym samym powietrzem, tyle osób!

– Z tymi dziurami w dnie i otwartymi zaworami taka mała żaglówka musiała szybko zatonać. Myślę, że w ciągu dziesięciu minut poszła na dno. Tych dziur nie było, gdy łódź opuściła mój warsztat. Byłem dumny ze swojej roboty. Pani de Winter wyraziła mi uznanie. Moim zdaniem, panie sędzio, żaglówka nie przewróciła się wcale, została umyślnie zatopiona.

Muszę wyjść z sali. Muszę wrócić do poczekalni. Tutaj nie ma czym oddychać, a osoba siedząca obok mnie przesuwa się coraz bliżej i bliżej... Ktoś wstał i zaczął mówić, wszyscy zaczęli mówić naraz. Nie wiedziałam, co się dzieje. Było gorąco, tak bardzo gorąco. Sędzia nakazał spokój. Powiedział coś i wymienił nazwisko de Winter. Nie mogłam nic zobaczyć. Przeszkadzał mi kapelusz kobiety siedzącej przede mną. Dostrzegłam tylko, że Maxim wstaje. Nie mogłam spojrzeć na niego. Nie powinnam spojrzeć. Raz w życiu czułam się tak jak teraz. Kiedy to było? Nie wiem. Nie pamiętam. Ach tak, to wówczas, gdy stałam z panią Danvers przy oknie. Pani Danvers znajdowała się teraz na sali, przysłuchiwała się śledztwu. Maxim stał przed sędzią. Fale gorąca powoli unosiły się od podłogi, sięgały moich rąk, szyi, twarzy.

– Panie de Winter, słyszał pan zeznania Jamesa Tabba, który opiekował się żaglówką pani de Winter. Czy wiadomo panu coś o tych dziurach przebitych w dnie?

– Nic mi nie wiadomo.

– Czy może pan wyjaśnić, skąd się tam wzięły?

– Nie, nie mogę tego wyjaśnić.

– Czy słyszał pan o nich teraz po raz pierwszy?

– Tak.

– Z pewnością jest pan tym zaskoczony i wstrząśnięty?

– Byłem już zaskoczony i wstrząśnięty, gdy dowiedziałem się, że omyliłem się przy identyfikowaniu zwłok przed rokiem. A teraz dowiaduję się, że moja żona zatonała w kabinie żaglówki, ale nie dość na tym. Ktoś celowo przebił dziury w dnie, aby zatopić łódź. Cóż w tym dziwnego, że jestem wstrząśnięty?

Nie, Maximie, nie! – błagałam go w myśli. Zrazisz go sobie. Słyszałeś, co mówił Frank. Nie wolno ci go zrazić. Nie wolno ci mówić tym tonem, tym gniewnym tonem! On się poczuje dotknięty. Proszę cię, mój kochany! O Boże, spraw, aby Maxim nie stracił panowania nad sobą!

– Panie de Winter, proszę mi wierzyć, że wszyscy panu gorąco współczujemy. Niewątpliwie był to dla pana wielki wstrząs, gdy pan się dowiedział, że pańska żona utonęła w kabinie żaglówki, a nie płynąc do brzegu, jak pan to przypuszczał. Badam tę sprawę ze względu na pana. Chcę wyjaśnić dokładnie, dla pańskiego dobra, okoliczności, w jakich ona poniosła śmierć. Nie prowadzę tego śledztwa dla własnej przyjemności.

– To chyba nie ulega wątpliwości.

– Mam nadzieję, że nie. James Tabb oświadczył nam właśnie, że jacht, w którym znajdowały się zwłoki pani de Winter, miał trzy dziury przebite w dnie oraz otwarte zawory denne. Czy pan ma zastrzeżenia co do prawdziwości jego zeznania?

– Nie mam żadnych. On jest skutnikiem, więc jego zdanie jest miarodajne.

– Kto opiekował się żaglówką pani de Winter?

– Sama się nią opiekowała.

– Nie miała nikogo do pomocy?

– Nie, nikogo.

– Czy żaglówka stała w prywatnej przystani należącej do Manderley?

– Tak.

– Czy zauważono by, gdyby ktoś obcy próbował uszkodzić łódź? Czy do przystani jest dostęp z jakiejś drogi publicznej?

– Nie, nie ma dostępu.

– Przystań leży na uboczu i jest otoczona drzewami?

– Tak.

– Czy ktoś mógłby zakraść się do przystani niepostrzeżenie?

– Chyba tak.

– James Tabb zeznał jednakże, iż żaglówka z dziurami przebitymi w dnie i otwartymi zaworami nie utrzymałaby się na powierzchni dłużej niż dziesięć minut.

– Tak.

– Wobec tego możemy odrzucić tę ewentualność, że ktoś uszkodził żaglówkę, zanim pani de Winter wyruszyła na niej wieczorem. Gdyby tak było, łódź zatonąłaby już w przystani.

– Niewątpliwie.

– Musimy więc przyjąć drugą ewentualność, że to ten, kto wypłynął tej nocy na żaglówce, przebił dziury i otworzył zawory.

– Chyba tak.

– Zeznał pan poprzednio, że drzwi kabiny oraz iluminatory były zamknięte, a zwłoki żony leżały na podłodze. Tak brzmiało pańskie zeznanie, to samo stwierdził doktor Phillips i kapitan Searle, prawda?

– Tak.

– A teraz dowiadujemy się, że dziury przebite były nagłem i że zawory denne były otwarte. Czy nie wydaje się to panu bardzo dziwne?

– Oczywiście, że tak.

– Czy nie ma pan żadnego wyjaśnienia?

– Nie, żadnego.

– Z wielką przykrością zmuszony jestem zadać panu bardzo osobiste pytanie.

– Słucham.

– Czy pożycie pana ze zmarłą panią de Winter było szczęśliwe?

Przed oczami zaczęły wirować mi czarne płatki, było gorąco, tak bardzo gorąco, tyle osób, tyle twarzy, zamknięte okna. Drzwi jakby oddaliły się ode mnie, podłoga zaczęła podnosić się ku mnie.

I nagle poprzez otaczającą mnie mgłę usłyszałam wyraźnie dźwięczny głos Maxima:

– Może ktoś wyprowadzi moją żonę? Ona mdleje.

Znalazłam się w małym pokoiku przypominającym poczekalnię na dworcu. Nachylony nade mną policjant podawał mi szklanekę wody. Ktoś trzymał mnie za ramię, to Frank. Siedziałam bez ruchu. Powoli podłoga, ściany, postacie Franka i policjanta stały się wyraźniejsze.

– Jak mi przykro – powiedziałam. – Tak głupio się zachowałam. Ale tam było bardzo gorąco.

– Tam bywa bardzo duszno – odezwał się policjant. – Dużo osób skarżyło się na to, ale nikt się tym nie zajmie. Zdarzało się już nieraz, że panie tam mdlały.

– Czy pani lepiej? – spytał Frank.

– Tak, znacznie lepiej. Zaraz mi to przejdzie. Niech pan wraca na salę.

– Nie, zawiozę panią do Manderley.

– Nie.

– Tak. Maxim prosił mnie o to.

– Pan powinien z nim zostać.

– Maxim kazał mi zawieźć panią do Manderley.

Frank wziął mnie pod rękę i pomógł wstać.

– Czy pani dojdzie do samochodu, czy też mam go podprowadzić?

– Dojdę, ale wolałabym zostać. Chciałabym poczekać na Maxima.

– To może potrwać długo.

Dlaczego on to powiedział? Co miał na myśli? Dlaczego nie patrzy na mnie?

Trzymając mnie pod rękę, Frank wyprowadził mnie przez korytarz na ulicę.

„To może potrwać długo”...

W milczeniu doszliśmy do małego morrisa. Frank otworzył drzwi i pomógł mi wsiąść. Potem wsiadł sam i uruchomił silnik. Wyjechaliśmy z rynku przez puste ulice na drogę prowadzącą do Kerrith.

– Dlaczego to ma trwać długo? Co oni teraz będą robić?

– Może będą jeszcze raz przesłuchiwać świadków.

Frank wpatrywał się w białą drogę.

– Przecież już przesłuchiwali wszystkich świadków. Cóż oni mogą mieć więcej do powiedzenia?

– Nigdy nie wiadomo. Sędzia może inaczej ująć swoje pytania. Tabb obalił poprzednią hipotezę. Sędzia będzie musiał rozpatrywać sprawę pod innym kątem widzenia.

– Jakim kątem widzenia? Co pan ma na myśli?

– Słyszała pani zeznania? Słyszała pani, co Tabb powiedział o żagłowie? Teraz nikt nie uwierzy w wypadek.

– Ale to nie ma sensu, Frank, to śmieszne! Nie powinni dać wiary Tabbowi. Czyż on mógł stwierdzić po tylu miesiącach, w jaki sposób powstały te dziury? Czego oni chcą dowieść?

– Nie wiem.

– Ten sędzia będzie wypytywać Maxima, aż Maxim straci panowanie nad sobą i powie coś niewłaściwego. Będzie go zasypywać pytaniami, a Maxim tego nie zniesie. Ja wiem, że on tego nie zniesie.

Frank milczał. Jechał bardzo szybko. Po raz pierwszy, od kiedy go poznałam, nie znalazł żadnej konwencjonalnej odpowiedzi. Oznaczało to, że jest bardzo przejęty, niezwykle przejęty. Zazwyczaj prowadził samochód wolno i ostrożnie, zatrzymywał się przed każdym skrzyżowaniem, rozglądał się uważnie, trąbił na każdym zakręcie.

– Na sali był ten mężczyzna, który kiedyś przyjechał odwiedzić panią Danvers.

– Pani ma na myśli Favella? Tak, ja też go widziałem.

– Siedział obok pani Danvers.

– Tak.

– Dlaczego on tam był? Jakim prawem znalazł się na śledztwie?

– To jej kuzyn.

– To niedobrze, że on i pani Danvers siedzą tam i przysłuchują się zeznaniom. Nie mam do nich zaufania.

– Ja również.

– Oni mogą coś uknuć, oni mogą zaszkodzić Maximowi.

Frank milczał. Niewątpliwie jego lojalność w stosunku do Maxima była tak wielka, że nie chciał nawet ze mną o tym rozmawiać. Nie wiedział, co ja wiem o tej sprawie. Ja też nie byłam pewna, co on wie. Byliśmy sprzymierzeńcami, jechaliśmy razem, ale nie mogliśmy spojrzeć sobie w oczy. Żadne z nas nie śmiało zaryzykować szczerego wyznania.

Skręciliśmy w bramę wjazdową i jechaliśmy długą, krętą aleją. Po raz pierwszy zauważyłam, że zaczynają kwitnąć hortensje. Niebieskie pąki wychylały się z zielonej gęstwiny liści. Choć piękne, hortensje miały w sobie coś smutnego. Przypominały sztywne, sztuczne wieńce, jakie się widzi pod szkłem na zagranicznych cmentarzach. Gęste szpalery niebieskich kwiatów ciągnęły się po obu stronach alei niby przechodnie oczekujący na nasz przyjazd.

Wreszcie zajechaliśmy przed dom.

– Czy pani da sobie radę sama? – spytał Frank. – Może się pani położy?

– Tak, może.

– Ja wracam do Lanyon. Maxim może mnie potrzebować.

Nie powiedział nic więcej. Wsiadł szybko do samochodu i odjechał. Maxim może go potrzebować. Dlaczego on to powiedział? A może sędzia będzie chciał przesłuchać Franka. Będzie go wypytywał o ten wieczór przed rokiem, kiedy Maxim był u niego na obiedzie. Zapyta, o której godzinie Maxim wyszedł od niego. Będzie chciał sprawdzić, czy ktoś widział, kiedy Maxim wrócił do domu. Czy służba wiedziała, że on był w domu. Czy ktoś mógłby dowieść, że Maxim od razu poszedł do sypialni i położył się spać. Może będą przesłuchiwać panią Danvers. A Maxim zacznie tracić panowanie nad sobą, stanie się śmiertelnie blady...

Weszłam do holu, następnie powędrowałam do swego pokoju i położyłam się na łóżku, tak jak radził Frank. Przycisnęłam dłońmi powieki, ale nadal miałam przed oczami tę salę i twarze obcych ludzi, pomarszczoną twarz sędziego z binoklami w złotej oprawie na nosie, tę denerwującą twarz pedanta.

„Nie prowadzę tego śledztwa dla własnej przyjemności”. Jakże trzeba uważać z człowiekiem, który wolno myśli, jest drobiazgowy, a przy tym łatwo się obraża! O czym oni teraz rozprawiają? Co się tam dzieje? A co będzie, jeśli wkrótce Frank powróci do Manderley sam?

Nie wiedziałam, jak to się odbywa i jak w takim przypadku ludzie się zachowują. Przypomniałam sobie z gazet fotografie wychodzących z sądu mężczyzn, których zabierano do więzienia. A jeśli zabiorą Maxima? Nie pozwolą mi go odwiedzić, nie pozwolą mi go zobaczyć. Będę musiała przebywać w Manderley, dzień po dniu, noc po nocy, czekając, tak jak czekam teraz.

Znajomi, jak na przykład pułkownik Julyan, okazywaliby mi życzliwość, mówiąc: „Nie powinna pani być sama. Proszę przyjechać do nas”. Telefony, reporterzy, telefony. „Nie, pani de Winter nie przyjmuje nikogo. Pani de Winter nie udzieli wywiadu »County Chronicle«”. Nadejdzie następny dzień i jeszcze jeden dzień. Tygodnie zacierające się w pamięci, jakby ich nie było. Wreszcie Frank zawiezie mnie na widzenie z Maximem, który będzie blady, zmieniony, o wyglądzie chorego w szpitalu...

Inne kobiety przeżywały podobne tragedie, czytałam o nich w gazetach. Pisały listy o ułaskawienie do ministra spraw wewnętrznych, ale listy te nie odnosiły skutku. Minister odpowiadał niezmiennie, że sprawiedliwości musi się stać zadość. Przyjaciele również wysyłali petycje podpisane przez wiele osób, ale minister nigdy ich nie uwzględniał.

A zwykli śmiertelnicy, którzy czytali o tej sprawie w gazetach, mówili: „Dlaczego miałby się ten facet wywinąć, przecież zamordował swoją żonę! Należy się ująć za biedną, zamordowaną żonę! Te sentymentalne bzdury o zniesieniu kary śmierci tylko zachęcają do zbrodni. Ten typ powinien się być zastanowić, zanim zabił swoją żonę. Teraz już jest za późno. Będzie wisiał za to jak każdy inny morderca. Dobrze mu tak! Niech to będzie przestrogą dla innych”.

Widziałam kiedyś w gazecie fotografię przedstawiającą garstkę ludzi zebranych pod bramą więzienia oraz policjanta wywieszającego zawiadomienie: „Wyrok śmierci został

wykonany dziś rano o dziewiątej w obecności naczelnika więzienia, doktora i szeryfa hrabstwa”.

Śmierć przez powieszenie następuje szybko, bezboleśnie. Natychmiast przerywa się rdzeń kręgowy. Chociaż nie! Ktoś, kto znał naczelnika więzienia, mówił, że nie zawsze tak się dzieje. Skazany stoi na małej platformie, nakładają mu worek na głowę i nagle deski usuwają mu się spod nóg. Od momentu wyjścia z celi do chwili śmierci upływają dokładnie trzy minuty. Nie, ktoś inny mówił, że tylko pięćdziesiąt sekund. To niemożliwe. Małe schodki prowadzą w dół pod szubienicę. Doktor schodzi tam, by stwierdzić zgon. Umierają natychmiast. Nie, nie zawsze! Ciało porusza się jeszcze, nie zawsze rdzeń kręgowy jest przerwany. Lecz mimo to nie czują bólu. Chociaż ktoś, kto miał brata, który był lekarzem więziennym, mówił, że nie zawsze umierają od razu. Oczy mają żywe jeszcze przez pewien czas. Nie podaje się tego do publicznej wiadomości, gdyż wywołałoby to wielkie oburzenie.

O Boże, spraw, abym przestała o tym myśleć. Pozwól myśleć mi o czymś innym. Choćby o pani van Hopper w Ameryce. Zapewne bawi teraz u córki. Lato zwykle spędzają na Long Island. Grają tam w brydża, chodzą na wyścigi. Ciekawe, czy nadal nosi ten mały, żółty kapelusz, znacznie za mały do tej wielkiej głowy. Przesiaduje w ogrodzie otaczającym dom na Long Island i czyta książki, tygodniki, gazety. Nagle przykłada lornion do oczu i woła do córki: „Spójrz na to, Heleno! Piszą, że Max de Winter zamordował swoją pierwszą żonę. Zawsze go uważałam za dziwaka. Ostrzegałam tę głupią dziewczynę, ale ona nie chciała mnie słuchać. Teraz ma za swoje. Pewnie zaangażują ją do filmu”.

Coś dotknęło mej ręki. To Jasper trącił mnie zimnym, wilgotnym nosem. Przyszedł za mną z holu. Dlaczego na widok psa, okazującego współczucie, ma się ochotę płakać? Jasper czuł, że coś nie jest w porządku. Wszystkie psy to czują. Wiedzą, co oznacza pakowanie walizek i podjeżdżający pod ganek samochód. Stoją wówczas z podwiniętymi ogonami i smutnie patrzą na swoich państwa. A gdy szum silnika ścichnie w oddali, wracają powoli do domu...

Widocznie zasnęłam, bo nagle ocknęłam się, słysząc pierwszy huk grzmotu. Usiadłam na łóżku. Zegarek wskazywał

piątą. Wstałam i podeszłam do okna. Najłżejszy podmuch nie poruszał liści. Zygzak błyskawicy rozdarł ołowiane niebo. W oddali zagrzmiało. Ale nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Wyszłam na korytarz i zaczęłam nasłuchiwać. Nie dochodziły mnie żadne odgłosy. Skierowałam się w stronę schodów. Nadal nic nie zakłócało ciszy. W holu było ciemno. Wyszłam na taras. Znowu rozległy się grzmoty. Jedna kropla deszczu spadła mi na rękę. Tylko jedna. Było bardzo ciemno. Morze wyglądało jak czarne jezioro. Druga kropla spadła mi na rękę i znowu zagrzmiało. Pokojówka zaczęła zamykać okna na pierwszym piętrze, a Robert w salonie.

- Czy panowie jeszcze nie wrócili, Robercie?
- Nie, proszę pani. Myślałem, że pani jest z nimi.
- Już dawno jestem w domu.
- Czy podać pani herbatę?
- Nie, zaczekam na pana.
- Wygląda na to, że wreszcie będzie padać, proszę pani.
- Tak.

Ale deszcz nie nadchodził. Tylko te dwie krople spadły mi na rękę. Wróciłam do biblioteki. O wpół do szóstej Robert wszedł do pokoju i oznajmił:

- Samochód właśnie zajechał pod dom, proszę pani.
- Jaki samochód?
- Pana de Wintera, proszę pani.
- Czy pan de Winter sam prowadził?
- Tak, proszę pani.

Chciałam wstać, ale nogi ugięły się pode mną. Oparłam się o kanapę. W gardle mi zaschło. Po minucie Maxim wszedł i zatrzymał się przy drzwiach.

Wyglądał staro, był bardzo zmęczony. W pobliżu ust rysowały się bruzdy, których dawniej nie widziałam.

- Już po wszystkim – powiedział.

Czekałam. Nie mogłam wydobyć głosu ani podejść do niego.

– Samobójstwo bez wystarczających dowodów, które pozwoliłyby stwierdzić stan umysłu zmarłej w chwili śmierci. Nie mogli, oczywiście, zorientować się w tej sprawie, nie wiedzieli, jak z tego wybrnąć.

Usiadłam na kanapie.

– Samobójstwo? – spytałam. – Ale dlaczego? Z jakiego powodu?

– Pan Bóg raczy wiedzieć. Widocznie nie uważali za konieczne doszukiwać się przyczyny. Stary Horridge, wpatrując się we mnie badawczo, spytał, czy Rebeka miała jakieś kłopoty finansowe. Ona i kłopoty finansowe!

Maxim podszedł do okna i utkwiał wzrok w zielonym trawniku.

– Będzie deszcz. Nareszcie będzie padać.

– Ale jak to było? Co powiedział sędzia? Dlaczego to trwało tak długo?

– Sędzia roztrząsał drobiazgowo wszystkie szczegóły dotyczące żaglówki. Zupełnie nieistotne szczegóły. Czy zawory denne łatwo się odkręcały? W jakim odstępnie znajdowały się dziury? Z czego składał się balast? Jaki wpływ na stateczność jachtu ma przesunięcie balastu? Czy kobieta mogła go przesunąć bez niczyjej pomocy? Czy drzwi kabiny zamykały się szczelnie? Jakie ciśnienie wody mogłoby wyważyć te drzwi? Myślałem, że zwariuję. Ale nie straciłem panowania nad sobą. Gdy zobaczyłem cię na sali, uprzytomniłem sobie, co muszę mówić. Gdybyś nie zemdląła, nie wytrzymałbym tego napięcia. Twoje zemdlenie dodało mi bodźca. Uświadomiłem sobie jasno, co mam mówić. Patrzyłem Horridge'owi prosto w oczy, ani na chwilę nie spuściłem wzroku z jego chudej, drobnej twarzy z binoklami w złotej oprawie. Będę pamiętał tę twarz do śmierci. Jestem zmęczony, moja kochana, tak zmęczony, że nic nie widzę, nie słyszę i nie czuję.

Maxim usiadł na kanapie pod oknem. Pochylił się naprzód i oparł głowę na rękach. Usiadłam obok niego. Po chwili wszedł Frith, za nim Robert, niosąc stolik. Uroczysty ceremoniał podwieczorku zaczął się odbywać jak zawsze, jak co dnia. Rozstawiono stolik, nakryto go śnieżnobiałym obrusem, podano srebrny czajnik i imbryk na maszynie spirytusowej. Pojawiły się placuszki, sandwicze, trzy rodzaje ciastek. Jasper siedział obok stołu, stukając ogonem o podłogę i wpatrując się we mnie wzrokiem pełnym wyczekiwania. Pomyślałam sobie, jakie to dziwne, że życie biegnie niezmiennie swoim trybem, niezależnie od jakichkolwiek wypadków. Wykonujemy mechanicznie te

same czynności – jemy, śpimy, myjemy się. Żadne dramatyczne wydarzenie nie może przełamać siły życia.

Nalałam herbatę do filiżanki, zaniiosłam ją Maximowi, podałam mu gorącą bułeczkę, potem sama zaczęłam jeść.

– Gdzie jest Frank? – spytałam.

– Musiał pojechać do proboszcza. I ja powinienem tam pojechać, ale chciałem jak najprędzej zobaczyć się z tobą. Przez cały czas myślałem o tym, że czekasz tu sama i denerwujesz się wynikiem śledztwa.

– Dlaczego pojechał do proboszcza?

– Dziś wieczór ma się coś odbyć w kościele.

Patrzyłam na Maxima, nic nie rozumiejąc. Nagle domyśliłam się. Będzie to pogrzeb Rebeki. Przewiozą ją z kostnicy do kościoła.

– Naznaczony jest na wpół do siódmej. Nikt o tym nie wie, tylko Frank, pułkownik Julyan, proboszcz i ja. Nie będzie tam żadnych gapiów. Ustaliliśmy wszystko wczoraj, bez względu na to, jaki będzie wyrok.

– O której musisz wyjść?

– Mam się spotkać z nimi w kościele dwadzieścia pięć minut po szóstej.

Piłam w milczeniu herbatę. Maxim nie tknął jedzenia.

– Nadal jest bardzo gorąco, prawda? – odezwał się po chwili.

– Tak, a ta burza wciąż wisi nad nami i deszcz nie zaczyna padać. Trochę tylko pokropiło. Ani rusz nie może się rozpadać.

– Grzmiało, gdy wyjeżdżałem z Lanyon. Niebo było zupełnie czarne. Dlaczego ten deszcz nie chce padać?!

Ptaki umilkły, nadal było bardzo ciemno.

– Martwię się, że musisz znowu wyjść – powiedziałam. Maxim milczał. Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony.

– Porozmawiamy, gdy wrócę – odezwał się po chwili. – Mamy przecież tyle sobie do powiedzenia, czeka nas tyle spraw i zajęć, prawda? Musimy zacząć nowe życie. Byłem dla ciebie dotychczas bardzo złym mężem.

– Nie, nie!

– Zacniemy żyć na nowo, gdy to wszystko się skończy. We dwoje potrafimy tego dokonać, ty i ja. To już nie będzie samotna udręka. Przeszłość nie może nas gnębić, gdy będziemy razem. Będziemy mieli dzieci.

Przerwał i spojrzął na zegarek.

– Dziesięć po szóstej, muszę już iść. To nie potrwa długo, najwyżej pół godziny. Trzeba będzie zejść do krypty.

Wzięłam go za rękę.

– Pójdę z tobą. Nie zrobi mi to przykrości. Pozwól mi pójść z tobą.

– Nie, wolę, żebyś nie szła.

Wyszedł z pokoju. Usłyszałam, jak samochód ruszył sprzed domu. Po chwili szum motoru ucichł w oddali.

Robert wszedł i zaczął sprzątać ze stołu. Wszystko odbywało się jak każdego innego dnia. Tryb życia nie uległ zmianie. Zastanawiałam się, co by było, gdyby Maxim nie powrócił z Lanyon. Czy Robert stałby tutaj tak samo z tym głupkowatym wyrazem twarzy, zmiatał okruszki z obrusa, składał stolik i wynosił go z pokoju?

Po wyjściu Roberta w bibliotece zapadła cisza. Wyobraziałam sobie Maxima w kościele, jak schodzi do krypty. Nigdy tam nie byłam, widziałam tylko wejście. Zastanawiałam się, jak wygląda krypta, czy stoją w niej trumny rodziców Maxima. Co zrobią z trumną tej kobiety, którą umieszczono tam przez pomyłkę? Kim była ta biedna, nieposzukiwana przez nikogo kobieta, którą fale wyrzuciły na brzeg? Teraz przybędzie nowa trumna. Rebeka zostanie pochowana w krypcie. Czy proboszcz odprawia teraz nabożeństwo w obecności Maxima, Franka i pułkownika Julyana? Popiół do popiołu, proch do prochu. Rebeka przestała dla mnie istnieć w chwili, gdy znaleziono ją w kabinie. To nie Rebeka leżała w trumnie, lecz jej prochy. Tylko prochy.

Kilka minut po siódmej zaczął padać deszcz. Najpierw łagodnie szeleścił po liściach, potem stopniowo przybierał na sile, aż wreszcie zaczął lać strumieniami, zacinając ukośnie z ołowianego nieba. Otworzyłam szeroko okna. Wdychałam chłodne, czyste powietrze. Krople deszczu opryskiwały mi twarz i ręce. Widziałam tylko kawałek trawnika, ulewa przesłaniała widok. Słyszałam, jak woda dudni w rynnach, jak strumienie deszczu bębnią o płyty tarasu. Przestało już grzmieć. W powietrzu unosił się zapach mchu, mokrej ziemi i kory drzew.

Nie słyszałam wejścia Fritha. Stałam przy oknie, rozkoszując się deszczem. Zobaczyłam go dopiero, gdy podszedł do mnie.

– Przepraszam panią, czy pani nie wie, kiedy wróci pan de Winter?

– Niedługo.

– Jeden pan chce się z nim zobaczyć – powiedział Frith po chwili wahania. – Nie wiem, co mu mam powiedzieć. On nalega, że musi koniecznie zobaczyć się z panem de Winterem.

– Kto to jest? Czy Frith go zna?

Frith był wyraźnie zakłopotany.

– Tak, proszę pani. Ten pan często tu przyjeżdżał za życia pani de Winter. Nazywa się Favell.

Uklękłam na kanapce i zamknęłam okno. Krople deszczu spływały na poduszki. Potem odwróciłam się i spojrzałam na Fritha.

– Może będzie lepiej, jeśli ja przyjmę pana Favella.

– Dobrze, proszę pani.

Podeszłam do kominka. Może uda mi się pozbyć Favella przed powrotem Maxima. Nie wiedziałam, co mu powiem, ale wcale się go nie bałam.

Po chwili Frith wprowadził Favella. Wyglądał podobnie jak dawniej, ale jeszcze bardziej wulgarnie, bardziej nieporządnie. Widocznie nigdy nie nosił kapelusza, gdyż włosy wyblakły mu od słońca, a twarz miał mocno opaloną. Oczy były przekrwione, jak po picciu.

– Niestety, Maxima nie ma w domu – powiedziałam. – Nie wiem, kiedy wróci. Byłoby lepiej, żeby pan umówił się z nim na jutro rano.

– Wolę poczekać – odparł Favell. – Przypuszczam, że nie potrwa to długo. Zajrzałem, przechodząc, do jadalni i zobaczyłem, że nakryto dla Maxa.

– Nasze plany uległy zmianie. Możliwe, że Maxim nie wróci do domu dziś wieczorem.

– Czyżby uciekł? – spytał z uśmiechem, który mi się wcale nie podobał. – Czy pani mówi prawdę? W tych okolicznościach to by było, oczywiście, najmądrzejsze. Plotki są bardzo przykre dla niektórych. O wiele przyjemniej uniknąć ich, prawda?

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

– Czyżby? Och, nie sądzi pani chyba, że ja w to uwierzę. Proszę mi powiedzieć, czy pani już czuje się lepiej? To przykre, że pani zemdląła dzisiaj podczas śledztwa. Wyprowadziłbym

panią chętnie, ale widziałem, że miała pani swego rycerza. Założę się, że Frank Crawley opiekował się panią z rozkoszą. Czy pozwoliła mu pani odwiedzić się do domu? Ze mną nie chciała pani się przejechać.

– Jaką pan ma sprawę do Maxima?

Favell pochylił się nad stołem i sięgnął po papierosa.

– Pani nie przeszkadza, że zapalę? Nie zrobi się pani niedobrze? Z młodymi mężatkami to nigdy nie wiadomo.

Spojrzał na mnie znad zapalniczki.

– Wygląda pani trochę doroślej niż wtedy, gdy panią widziałem ostatnio. Ciekaw jestem, co pani porabiała przez te tygodnie. Zabawiała się pani uwodzeniem Franka Crawleya? – Wypuścił obłok dymu z papierosa. – Czy nie zechciałaby pani kazać staremu Frithowi, aby podał mi whisky z wodą sodową?

Zadzwoniłam na służbę. Favell z uśmiechem usiadł na poręczu kanapy i zaczął machać nogami. Na dzwonek zjawił się Robert.

– Proszę podać whisky i wodę sodową – powiedziałam.

– Jak tam, Robercie? – odezwał się Favell. – Bardzo dawno cię nie widziałem. Czy nadal łamiesz serca dziewcząt w Kerrith?

Robert zaczerwienił się i zerknął na mnie bardzo zmieszany.

– Nie bój się, chłopie, nie wydam cię. Leć i przynieś mi prędko podwójną whisky.

Robert zniknął. Favell roześmiał się, strzepując popiół na podłogę.

– Kiedyś zabrałem Roberta na popijawę. Rebeka założyła się ze mną o pięć funtów, że go nie zaproszę. Wygrałem uczciwie te pięć funtów. Spędziłem z nim jeden z najzabawniejszych wieczorów w moim życiu. Jak ja się wtedy uśmieiałem! Och, co to było! Robert pod gazem jest bezkonkurencyjny, mówię pani. Muszę przyznać, że ma dobry gust. Wybrał sobie najładniejszą dziewczynę spośród tych, które widzieliśmy tego wieczoru.

Robert wrócił z butelką whisky na tacy. Był nadal bardzo zmieszany i czerwony na twarzy. Favell przyglądał mu się, nalewając sobie whisky do szklaneczki, a potem zaczął się śmiać. Oparł się o poręcz kanapy i zagwizdał refren jakiejś piosenki, nie spuszczając oczu z Roberta.

– To ta melodia, prawda? – spytał. – Ta sama piosenka. Czy nadal lubisz rude włosy, Robercie?

Robert uśmiechnął się blado. Miał nieszczęśliwy wyraz twarzy. Favell zaśmiał się jeszcze głośniej. Robert odwrócił się i wyszedł z pokoju.

– Biedny chłopak – powiedział Favell. – Pewnie nie wyrwał się więcej na zabawę. Ten stary osioł Frith trzyma go krótko.

Zaczął pić whisky, rozglądając się po pokoju. Od czasu do czasu spoglądał na mnie i uśmiechał się.

– Wcale się nie zmartwię, jeśli Max nie wróci na obiad. Co pani na to?

Milczałam. Stałam przy kominku z rękami założonymi do tyłu.

– Chyba nie chciałaby pani, aby to nakrycie pozostało niewykorzystane?

Spojrzał na mnie z tym samym uśmieszkiem, przechyliwszy na bok głowę.

– Nie chciałabym być niegrzeczna, ale jestem bardzo zmęczona. Miałam wyjątkowo ciężki dzień. Jeśli pan nie może mi powiedzieć, o co panu chodzi, to dalsze przebywanie tutaj mija się z celem. Najlepiej będzie, jeśli pan jutro wstąpi do administracji.

Ześlizgnął się z poręczy kanapy i podszedł do mnie ze szklaneczką w ręce.

– Nie, nie! Niech pani nie będzie taka zła. Ja także miałem bardzo ciężki dzień. Niech pani nie ucieka! Ja naprawdę nie jestem wcale groźny. Pewnie Max opowiadał o mnie jakieś straszne historie?

Milczałam.

– Pani myśli, że ja jestem czarny charakter, prawda? Wcale nie. Jestem sobie zupełnie nieszkodliwy facet. Uważam zresztą, że pani zachowuje się wspaniale, wprost nadzwyczajnie. Jestem doprawdy pełen uznania.

Ostatnie słowa przeszły w niewyraźny bełkot. Żałowałam, że kazałam Frithowi go wpuścić.

– Przyjeżdża pani do Manderley – powiedział, wymachując ręką – obejmuje pani ten dom w posiadanie, spotyka setki nieznananych osób, znosi pani humory starego Maxa, nie przejmuje się pani nikim, chodzi pani swoimi drogami. Muszę przyznać, że to wielki sukces. Mogę to każdemu powtórzyć, wielki sukces.

Zachwiał się lekko, ale odzyskał równowagę i odstawił pustą szklaneczkę na stół.

– Ta cała sprawa wstrząsnęła mną. To był cholerny szok. Rebeka była moją kuzynką. Kochałem ją bardzo.

– Tak, współczuję panu.

– Wychowywaliśmy się razem. Zawsze byliśmy w wielkiej przyjaźni. Lubiliśmy te same rzeczy, tych samych ludzi. Śmieliśmy się z tych samych dowcipów. Kochałem Rebekę jak nikogo na świecie. Ona mnie też kochała. To był cholerny wstrząs.

– Tak, to zrozumiałe.

– Chciałbym wiedzieć, co Max zamierza teraz zrobić. Czy wyobraża sobie, że po tym fikcyjnym śledztwie zasiądzie sobie spokojnie w domu? Proszę mi to powiedzieć!

Przestał się uśmiechać i pochylił się ku mnie.

– Postaram się, aby sprawiedliwości stało się zadość – zaczął głośno. – Samobójstwo... Wielki Boże! Ten stary ramol wmówił w przysięgłych, że to było samobójstwo. Ale pani i ja wiemy, że to nie było samobójstwo, prawda?

Pochylił się jeszcze bliżej do mnie.

– My to wiemy, prawda? – powiedział powoli.

Nagle otworzyły się drzwi i Maxim wszedł do pokoju, a za nim Frank. Maxim stanął jak wryty, wpatrując się w Favella.

– Co pan tu robi, do diabła?!

Favell odwrócił się, trzymając ręce w kieszeniach. Milczał przez chwilę, a potem rzucił z uśmiechem:

– Właśnie przyszedłem pogratulować panu, Max, że śledztwo poszło tak gładko.

– Proszę opuścić mój dom albo pana stąd siłą wyrzucimy.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział Favell.

Zapalił papierosa i usiadł znowu na poręczu kanapy.

– Chyba nie chce pan, aby Frith słyszał to, co panu powiem. Usłyszysz, jeśli pan nie zamknie drzwi.

Maxim nie poruszył się nawet. Zobaczyłam, że Frank cichutko zamknął drzwi.

– Niech pan słucha, Max! Wywinął się pan zgrabnie z tej sprawy. Nawet się pan nie spodziewał, że tak gładko pójdzie. O tak, byłem w sądzie dziś po południu i pan na pewno mnie widział. Byłem od początku do końca. Widziałem, jak pańska

żona w krytycznym momencie zemdląca, i wcale się jej nie dziwię. W tej właśnie chwili rozstrzygało się, w jakim kierunku pójdzie śledztwo. Pańskie szczęście, że poszło tak, a nie inaczej. Chyba pan przekupił tych durniów w ławie przysięgłych? Takie miałem wrażenie.

Maxim zrobił krok w kierunku Favella, ale ten powstrzymał go ruchem ręki.

– Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Rozumie pan chyba, Max, że mogę, jeśli zechcę, postawić pana w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Nie tylko nieprzyjemnej, ale, powiedziałbym, nawet niebezpiecznej!

Usiadłam w fotelu stojącym przy kominku. Kurczowo zacisnęłam ręce na poręczach. Frank podszedł i stanął za moim fotelem. Maxim stał bez ruchu, nie spuszczać oczu z Favella.

– Czyżby? A dlaczego miałbym się znaleźć w niebezpiecznej sytuacji?

– Niech pan posłucha – powiedział Favell. – Przypuszczam, że pańska żona wie o wszystkim, a podejrzewam, że Crawley jest tym trzecim wtajemniczonym. Wobec tego mogę mówić bez ogródek. Wiecie wszyscy o Rebecie i o mnie. Byliśmy kochankami. Nigdy się tego nie wypierałem i nigdy się nie wyprę. A więc dobrze. Dotychczas wierzyłem, jak wszyscy inni głupcy, że Rebeka utonęła, żeglując po zatoce, i że jej ciało znaleziono po wielu tygodniach w Edgemoor. Był to dla mnie straszliwy wstrząs. Ale mówiłem sobie, że Rebeka wybrałaby taką właśnie śmierć. Wolałaby zginąć w walce, tak jak żyła.

Przerwał i spojrzał kolejno na każdego z nas.

– Przed kilku dniami biorę do ręki gazetę i czytam, że nurek natknął się na łódź Rebeki i że znaleziono jakieś zwłoki w kabinie. Nie mogłem tego zrozumieć. Kogo, do diabła, Rebeka zabrała ze sobą? To nie miało sensu. Przyjechałem tutaj i zatrzymałem się w oberży tuż pod Kerrith. Porozumiałem się z panią Danvers. Od niej dowiedziałem się, że to są zwłoki Rebeki. Ale nawet wtedy sądziłem, tak jak wszyscy, że tamte zwłoki zostały mylnie rozpoznane i że Rebeka utonęła, nie mogąc wydostać się z kabiny. Jak wiecie, byłem dziś na śledztwie. Wszystko szło gładko, dopóki nie zaczął zeznawać Tabb, prawda? A potem? No cóż, Max, co pan nam może

powiedzieć o tych dziurach w dnie łodzi i otwartych zaworach dennych?

– Czy pan myśli – powiedział wolno Maxim – że po tylu godzinach śledztwa dam się wciągnąć w roztrząsanie tych szczegółów z panem? Słyszał pan zeznania i słyszał pan wyrok. Skoro sędzia śledczy uznał go za zadowolający, musi też zadowolić pana.

– Samobójstwo? – odparł Favell. – Rebeka i samobójstwo! Tak jakby to do niej pasowało! Niech pan posłucha, nie wiedział pan, że mam ten list. Zachowałem go, bo to jest ostatni list, jaki do mnie napisała. Przeczytam go panu. Myślę, że to pana zainteresuje.

Wyciągnął z kieszeni arkusik papieru. Poznałam to ostre, pochyłe pismo.

Telefonowałam do Ciebie z mego mieszkania, ale nikt się nie odzywał. Zaraz wyjeżdżam do Manderley. Dziś wieczorem będę w domku nad morzem. Jeśli dostaniesz ten list w porę, wsiadaj zaraz do samochodu i przyjedź do mnie. Przenocuję w domku. Zostawię drzwi otwarte. Mam Ci coś do powiedzenia. Chcę zobaczyć się z Tobą jak najprędzej.

Rebeka

Favell schował list do kieszeni.

– Takich listów nie pisze się przecież, gdy się ma zamiar popełnić samobójstwo. List ten zastałem w domu, gdy wróciłem o czwartej rano. Nie wiedziałem o tym, że Rebeka przyjechała tego dnia do Londynu. Gdybym wiedział, skomunikowałbym się z nią natychmiast. Trzeba pecha, że tego wieczoru byłem na przyjęciu. Kiedy przeczytałem ten list o czwartej rano, uznałem, że już za późno, by wyruszać w sześciogodzinną podróż do Manderley. Położyłem się spać, postanawiając, że zatelefonuję do niej za kilka godzin. Zadzwoiłem około południa. Dowiedziałem się, że Rebeka utonęła!

Oczy miał wlepione w Maxima. Nikt z nas się nie odezwał.

– Przypuśćmy, że sędzia przeczytałby ten list dziś po południu. Nie wywinąłby się pan tak łatwo, co, Max?

– Dlaczego więc nie dał mu pan tego listu? – spytał Maxim.

– Pomału, bracie, pomału. Niech się pan nie denerwuje! Wcale nie chcę pana zniszczyć, Max. Wiem, że nie żywił pan do mnie przyjaznych uczuć, ale nie mam o to urazy. Wszyscy mężowie pięknych żon są zazdrośni. A niektórzy z nich muszą wprost odgrywać rolę Otella. Taką już mają naturę. Nie mam im tego za złe. Żal mi ich. Jestem poniekąd socjalistą i nie rozumiem, dlaczego mężczyźni nie dzielą się swymi pięknymi kobietami zamiast je zabijać. Co za różnica? Przyjemność jest ta sama mimo wszystko. Piękna kobieta nie jest oponą samochodową, nie niszczy się przez używanie, im więcej się jej używa, tym jest lepsza. A więc wyłożyłem karty na stół. Dlaczego nie mielibyśmy dojść do porozumienia? Nie jestem bogaty, za bardzo lubię hazard. Ale gnębi mnie brak kapitału. Otóż gdybym miał zapewnioną dożywotnią rentę w wysokości dwóch czy trzech tysięcy funtów rocznie, mógłbym sobie dość wygodnie ułożyć życie. Nigdy nie nachodziłbym pana więcej, przysięgam na Boga, nigdy!

– Już pana raz prosiłem, żeby pan opuścił mój dom – powiedział Maxim. – Mówię to po raz ostatni. Drzwi są za mną, może je pan sam sobie otworzyć!

– Chwileczkę, Maximie – wtrącił Frank. – To wszystko nie jest takie proste. – A zwracając się do Favella dodał: – Rozumiem, do czego pan zmierza. Niestety, tak się składa, że rzeczywiście mógłby pan postawić Maxima w kłopotliwej sytuacji. Wydaje mi się, że on sobie nie zdaje z tego sprawy. Jaką dokładnie sumę chciałby pan otrzymać od Maxima?

Maxim zbladł jak papier, na skroniach nabrzmiały mu żyły.

– Nie wtrącaj się, Frank, to jest wyłącznie moja sprawa. Nie pozwolę się szantażować.

– Wątpię, czy pańskiej żonie będzie przyjemnie, gdy będą ją wskazywać palcami jako wdowę po mordercy, którego powieszono – powiedział Favell, śmiejąc się i patrząc na mnie.

– Czy pan myśli, że dam się zastraszyć, Favell? – odparł Maxim. – Bardzo się pan myli. Nie boję się pańskich pogroźek. W sąsiednim pokoju jest telefon. Czy mam zadzwonić do pułkownika Julyana i poprosić, żeby tu przyjechał? Jest sędzią w Kerrith. Z pewnością zainteresuje się pańską opowieścią.

Favell spojrzał na Maxima i roześmiał się.

– Dobry blef, ale to się panu nie uda. Nie ośmieli się pan zatelefonować do starego Julyana. Mam dość dowodów w ręku, aby pana powiesić, Max!

Maxim skierował się wolnym krokiem do małego pokoiku. Usłyszałam odgłos podnoszonej słuchawki.

– Niech go pan powstrzyma! – powiedziałam do Franka. – Niech go pan powstrzyma, na litość boską!

Frank spojrział na mnie i szybko ruszył ku drzwiom. Rozległ się spokojny, opanowany głos Maxima:

– Proszę Kerrith siedemnaście.

Favell wpatrywał się w drzwi z ciekawością i napięciem.

– Daj mi spokój – powiedział Maxim do Franka, a po chwili: – Czy to pułkownik Julyan? Mówi de Winter. Tak, tak, wiem. Czy mógłby pan zaraz do nas przyjechać? Tak, do Manderley. To bardzo pilna sprawa. Nie mogę panu tego wyjaśnić przez telefon, ale muszę się z panem osobiście rozmówić. Ogromnie mi przykro, że pana wyciągam z domu. Tak. Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Maxim wrócił do pokoju i oznajmił:

– Julyan zaraz przyjedzie.

Podszedł do okna i otworzył je szeroko. Nadal padał silny deszcz. Maxim stał odwrócony do nas plecami i wdychał orzeźwiające powietrze.

– Maximie – powiedział cicho Frank. – Maximie!

Maxim nie odpowiedział. Favell roześmiał się i sięgnął po papierosa, mówiąc:

– Jeśli pan sam pakuje głowę pod stryczek, to już pańska rzecz.

Wziął gazetę ze stołu, rozsiadł się na kanapie, założył nogę na nogę i zaczął przewracać strony. Frank spojrział z wahaniem najpierw na mnie, potem na Maxima, wreszcie podszedł do mego fotela.

– Czy nie można temu zapobiec? – szepnęłam. – Może by pan wyszedł na spotkanie pułkownika Julyana i zatrzymał go pod pretekstem, że wynikło pewne nieporozumienie?

Maxim odezwał się nagle, nie odwracając głowy:

– Niech Frank nie wychodzi z pokoju. Ja sam załatwię tę sprawę. Pułkownik Julyan będzie tu za dziesięć minut.

Milczeliśmy. Favell czytał gazetę. Ciszę zakłócał jedynie padający uporczywie deszcz. Padał bez przerwy, równomiernie, monotonnie. Czułam się bezsilna, nie mogłam nic zdziałać. Frank również nic nie mógł poradzić. W książce lub sztuce wzięłabym rewolwer, zastrzeliła Favella i ukryła jego ciało w szafie. Ale nie miałam rewolweru, a w bibliotece nie było szafy. Byliśmy zwykłymi ludźmi, którzy nie postępują tak jak w powieści. Nie mogłam też teraz podejść do Maxima i ubłagać go, by dał pieniądze Favellowi. Musiałam siedzieć spokojnie z rękami założonymi na kolanach, wpatrując się w krople deszczu i w sylwetkę Maxima na tle okna.

Ulewa zagłuszała wszystkie odgłosy. Nie słyszeliśmy podjeżdżającego samochodu. Nie wiedzieliśmy, że pułkownik Julyan przyjechał, dopóki Frith nie wprowadził go do pokoju.

Maxim odwrócił się szybko od okna.

– Dobry wieczór, jeszcze raz się dzisiaj spotykamy. Pan bardzo szybko przyjechał.

– Tak, pan powiedział, że sprawa jest pilna, więc od razu wyjechałem. Na szczęście mój szofer zostawił samochód pod domem. Co za pogoda!

Spojrzał podejrzliwie na Favella, skinął głową Frankowi, potem podszedł do mnie i przywitał się.

– Jak to dobrze, że wreszcie zaczął padać deszcz – powiedział.

– Ta burza tak długo wisiała nad nami. Mam nadzieję, że teraz pani czuje się lepiej.

Nawet nie wiem, co mu szepnęłam w odpowiedzi. Pułkownik stał, zacierając ręce i spoglądając na każdego z nas po kolei.

– Domyśla się pan z pewnością – odezwał się Maxim – że nie wyciągnąłem pana z domu w taką pogodę na towarzyską pogawędkę przed obiadem. To jest Jack Favell, kuzyn mojej zmarłej żony. Nie wiem, czy panowie się znają.

Pułkownik Julyan skinął głową.

– Pańska twarz wydaje mi się znajoma. Może spotkaliśmy się tutaj kiedyś.

– To możliwe – powiedział Maxim. – Niech pan zaczyna, Favell.

Favell wstał z kanapy i rzucił gazetę na stół. Widocznie otrzeźwiał w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Nie chwiał się teraz na nogach. Przestał się uśmiechać. Miałam wrażenie, że

nie jest zadowolony z takiego obrotu rzeczy ani przygotowany na spotkanie z pułkownikiem Julyanem. Zaczął mówić głośno, stanowczym tonem:

– Nie mam zamiaru owijać rzeczy w bawełnę, panie pułkowniku. Przyjechałem tutaj, bo nie odpowiada mi wyrok wydany dziś po śledztwie.

– Tak? – zdziwił się Julyan. – Wydaje mi się, że to de Winter mógłby mieć jakieś zastrzeżenia, a nie pan.

– Jestem innego zdania – odparł Favell. – Mam prawo zabierać głos w tej sprawie nie tylko jako kuzyn Rebeki, ale także jako jej niedoszły mąż.

Pułkownik Julyan był wyraźnie zaskoczony.

– Ach tak, to co innego. Czy to prawda, de Winter?

Maxim wzruszył ramionami.

– Pierwszy raz o tym słyszę.

Julyan spoglądał z powątpiewaniem to na jednego, to na drugiego.

– Ale o co panu właściwie chodzi, Favell?

Favell przyglądał mu się w milczeniu. Widziałam, że obmyśla plan działania, nie jest jednak dostatecznie trzeźwy, aby go przeprowadzić. Powoli sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął list Rebeki.

– Rebeka napisała ten liścik kilka godzin przed rzekomym samobójstwem. Proszę, niech pan go przeczyta i powie, czy według pana kobieta, która napisała ten liścik, gotowa była popełnić samobójstwo?

Pułkownik wyjął okulary, przeczytał list, po czym zwrócił go Favellowi, mówiąc:

– Nie, list na to nie wskazuje. Ale ja nie wiem, o co tu chodzi. Może pan albo de Winter to wyjaśni?

Maxim milczał. Favell obracał list w rękach, nie spuszczać oczu z pułkownika.

– Moja kuzynka wyraźnie naznaczyła mi spotkanie. Prosiła, żebym przyjechał tego wieczoru do Manderley, gdyż ma mi coś ważnego do powiedzenia. Chyba nigdy się nie dowiemy, o co jej chodziło. Naznaczyła mi spotkanie w domku nad morzem, w którym miała przenocować, aby rozmówić się ze mną na osobności. Nie zdziwiłem się, że wypłynęła żaglówką, bo taki miała zwyczaj. Po dniu spędzonym w Londynie żeglowała

godzinę lub dwie. Ale przebić dziury w dnie i utopić się rozmyślnie – to by mogła zrobić jakaś histeryczka, ale nie ona, nie, na Boga!

Krew uderzyła mu do głowy, ostatnie słowa przeszły w krzyk. Zachowanie Favella zraziło pułkownika. Po jego zaciśniętych ustach widziałam, że nie czuje sympatii do Favella.

– Mój panie, niepotrzebnie pan się unosi. Nie jestem sędzią śledczym ani też członkiem sądu przysięgłych, którzy wydali wyrok. Jestem tylko sędzią okręgowym. Niewątpliwie chcę pomóc zarówno panu, jak i de Winterowi. Twierdzi pan, że pan nie wierzy w samobójstwo kuzynki. Z drugiej strony jednakże słyszał pan, tak samo jak my wszyscy, zeznanie skutnika. Zawory denne były otwarte, dziury przebite w dnie. Dobrze. Przejdźmy do sedna sprawy. Jakie są pańskie przypuszczenia?

Favell obrzucił Maxima powolnym spojrzeniem. Nadal obracał list w rękach.

– Rebeka nie otworzyła tych zaworów ani nie przebiła dziur w deskach. Rebeka nie popełniła samobójstwa. Pytał mnie pan, co o tym sądzę, no to się pan teraz dowie. Rebeka została zamordowana. A jeśli pan chce wiedzieć, kto jest mordercą, zaraz go panu wskażę. Oto stoi tam przy oknie z tym swoim przekłętym uśmiechem wyższości na ustach. Nie odczekał nawet roku, tylko ożenił się z pierwszą dziewczyną, która mu się nawinęła. Oto on, oto morderca, pan Maximilian de Winter! Niech mu się pan dobrze przyjrzy! Dobrze będzie wyglądał na szubienicy, co?

Favell zaczął się śmiać sztucznym, idiotycznym śmiechem pijaka, obracając przez cały czas w palcach list Rebeki.

Dziękowałam Bogu za śmiech Favella, za jego palec pokazujący Maxima, za jego czerwoną twarz, przekrwione oczy, za to, że chwiał się na nogach. Dzięki temu pułkownik Julyan nastawił się do niego wrogo i stanął po naszej stronie. Dostrzegłam wyraz odrazy na jego twarzy. Pułkownik nie uwierzył Favellowi. Pułkownik został naszym sprzymierzeńcem.

– On jest pijany – powiedział cicho. – Nie wie, co mówi.

– Ja pijany?! – krzyknął Favell. – O nie, mój przyjacielu. Może pan sobie być sędzią i do tego jeszcze pułkownikiem, ale ja nie dam się zastraszyć. Prawo jest tym razem po mojej stronie i ja zrobię z tego użytek. Są jeszcze inni sędziowie prócz pana w tym cholernym hrabstwie. Ludzie o jasnych umysłach, którzy wiedzą, co to sprawiedliwość. Nie jacyś żołnierze, których dawno wyrzucono z wojska za brak kwalifikacji, a którzy paradują teraz obwieszeni medalami. Max de Winter zamordował Rebekeę i ja tego dowiodę!

– Chwileczkę, Favell – powiedział spokojnie Julyan – pan był obecny na śledztwie, prawda? Przypominam sobie teraz, że pana widziałem na sali. Skoro pan był tak głęboko przekonany o tym, że wyrok jest niesprawiedliwy, to dlaczego nie powiedział pan tego przysięgłym lub sędziemu śledczemu? Dlaczego nie ujawnił pan tego listu podczas śledztwa?

Favell spojrział na niego i roześmiał się.

– Dlaczego? Bo tak mi się podobało. Wolałem osobiście rozprawić się z de Winterem.

– Dlatego zatelefonowałam do pana – powiedział Maxim, zbliżając się do pułkownika. – Favell oskarżył mnie przed pańskim przyjazdem. Zadałem mu to samo pytanie: dlaczego nie przedstawił swoich podejrzeń sędziemu śledczemu? Odpowiedział mi, że nie jest bogaty i że gdybym zapewnił mu

rentę w wysokości dwóch czy trzech tysięcy funtów rocznie do końca życia, to nigdy mnie nie będzie więcej niepokoił. Był przy tym Frank i moja żona. Oboje to słyszeli. Proszę ich zapytać.

– To prawda – potwierdził Frank. – To jest zwyczajny szantaż.

– Oczywiście – powiedział pułkownik – tylko że szantaż nie jest taką sobie zwyczajną rzeczą. Mogą z tego wyniknąć poważne przykrości dla wielu osób, nawet jeśli szantażysta w końcu wyląduje w więzieniu. Czasem niewinni ludzie również trafiają do więzienia. W tym przypadku chcemy tego uniknąć. Nie wiem, czy pan jest dostatecznie trzeźwy, Favell, aby odpowiadać na moje pytania. Jeśli się pan powstrzyma od nieistotnych uwag osobistych, skończymy prędzej z tą sprawą. Przed chwilą wysunął pan bardzo ciężkie oskarżenie przeciwko de Winterowi. Czy pan ma jakieś dowody?

– Dowody? A po diabła panu dowody? Czyż te dziury w łodzi nie są wystarczającym dowodem?

– Nie, nie są – odparł Julyan. – Chyba że przedstawi pan świadka, który widział, że to de Winter je przebił. Gdzie jest pański świadek?

– Do diabła ze świadkiem! To jasne, że de Winter to zrobił. Któż inny zabiłby Rebeke?

– Kerrith ma dużo mieszkańców – powiedział pułkownik. – Można by chodzić od domu do domu i prowadzić dochodzenie. A może ja to zrobiłem? Tak samo, jak nie ma pan żadnych dowodów przeciwko mnie, nie ma pan żadnych dowodów przeciwko de Winterowi.

– Aha, rozumiem – syknął Favell. – Pan chce iść na rękę de Winterowi. Pan chce mu pomóc. Nie zdradzi go pan, bo on pana podejmował, a pan jego. On jest tutaj ważną osobistością. To właściciel Manderley. A pan jest marnym, nędznym snobem!

– Proszę się liczyć ze słowami, Favell!

– Myśli pan, że pan mnie wystrychnie na dudka? Myśli pan, że nie mam podstaw, aby skierować sprawę do sądu? Dostarczę panu dowodów. Powiadam panu, że de Winter zabił Rebeke przeze mnie. Wiedział, że byłem jej kochankiem, był zazdrosny, wściekle zazdrosny. Wiedział, że ona czeka na mnie w domku nad morzem, poszedł tam tej nocy i zabił ją. Potem zaniósł ciało na żaglówkę, którą zatopił.

– Bardzo zręczna opowieść, Favell, ale powtarzam, że nie ma pan żadnych dowodów. Proszę mi przedstawić świadka, który to widział, a wtedy zacznę pana traktować poważnie. Znam ten domek na plaży. To taki kempingowy domek, prawda? Pani de Winter przechowywała tam sprzęt żeglarski. Pańska opowieść miałaby pewne szanse prawdopodobieństwa, gdyby ten domek otoczony był pięćdziesięcioma innymi domkami, bo wówczas któryś z mieszkańców mógłby coś powiedzieć o tym, co wydarzyło się tej nocy.

– Chwileczkę – powiedział powoli Favell – chwileczkę... A może jednak ktoś widział de Wintera tej nocy. To jest całkiem możliwe, warto sprawdzić. Co by pan powiedział, gdybym przedstawił świadka?

Julyan wzruszył ramionami. Frank spojrział pytająco na Maxima. Maxim w milczeniu obserwował Favella. Nagle zrozumiałam, o co chodzi Favellowi, kogo ma na myśli. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że ma rację. Był ktoś, kto widział wszystko tej nocy. Oderwane zdania zabrzmiały mi w uszach. Niezrozumiałe słowa, które uważałam za wytwór chorego umysłu biednego wariata: „Ona utonęła, prawda? Ona już nie wróci. Ja nic nie mówiłem nikomu. Oni ją tam znajdą, prawda? Ryby ją zjadły, ona już nie wróci”.

Ben wiedział. Ben był świadkiem całego wydarzenia. Tej nocy koczował w lesie. Widział, jak Maxim wypłynął na żaglówce i wrócił sam na dingi. Czułam, że krew ucieka mi z twarzy. Opadłam na oparcie fotela.

– Jest tu taki pomylenieć, który całymi dniami włóczy się po brzegu – powiedział Favell. – Widywałem go często, gdy szedłem na spotkanie z Rebeką. W upalne noce sypia w lesie bądź też na plaży. Jest niespełna rozumu, więc nie zdobyłby się sam na to, żeby ujawnić, co widział. Ale ja go potrafię zmusić do mówienia, jeśli widział cokolwiek tej nocy. A możliwe, że widział wiele.

– Kto to jest? O kim on mówi? – spytał Julyan.

– Zapewne mówi o Benie – odpowiedział Frank, ponownie spoglądając na Maxima. – To syn jednego z naszych dzierżawców. Nie jest odpowiedzialny ani za swoje słowa, ani za czyny. To wariat od urodzenia.

– To nie ma znaczenia, do diabła! – rzucił Favell. – Chyba ma oczy, nie? Zdaje sobie sprawę z tego, co widzi. Niech odpowiada

tylko „tak” lub „nie”. Teraz obleciał pana strach, co, Max? Nie jest pan już taki pewny siebie?

– Czy można by sprowadzić tego człowieka tutaj i przesłuchać? – spytał pułkownik.

– Oczywiście – powiedział Maxim. – Frank, każ Robertowi pójść do matki Bena i przyprowadzić go tutaj.

Frank zawahał się i zerknął na mnie ukradkiem.

– Pośpiesz się, na litość boską – ponaglił go Maxim. – Chcemy skończyć wreszcie z tą sprawą.

Frank wyszedł z pokoju. Serce ścisnęło mi się bólem.

Po kilku minutach Frank wrócił.

– Robert wziął mój samochód. Jeśli Ben jest w domu, przywiezie go za dziesięć minut.

– Na pewno deszcz zatrzymał go w domu – powiedział Favell.

– Przekonacie się, że potrafię go zmusić do mówienia.

Roześmiał się i spojrzał na Maxima. Twarz miał nadał purpurową. Pocił się ze zdenerwowania, krople potu wystąpiły mu na czole. Szpeciły go fałdy tłuszczu na karku i brzydkie, zbyt nisko osadzone uszy. Widać było, że uroda jego nie potrwa długo. Już teraz twarz miał nalaną, przeżytą. Znowu sięgnął po papierosa.

– Jesteście tutaj w Manderley takim małym związkim zawodowym, co? Jeden nie chce wydać drugiego. Nawet miejscowy sędzia jest w tej sytuacji. Oczywiście musimy wyłączyć młodą panią domu. Żona nie będzie świadczyć przeciwko mężowi. Naturalnie Crawley musi milczeć. Straciłby posadę, gdyby powiedział prawdę. A jeśli się nie mylę, to ma on do mnie pewną urazę. Nie powiodło się panu z Rebeką, co, Crawley? Nie było to takie proste. Tym razem jest łatwiej, prawda? Nowa pani domu z wdzięcznością oprze się na braterskim ramieniu, gdy będzie mdła. Pańskie ramię przyda się bardzo w chwili, kiedy usłyszysz, jak sędzia skazuje jej męża na śmierć.

Cios był błyskawiczny. Zbyt szybki, żebym mogła dostrzec, jak Maxim go zadał. Zobaczyłam tylko, że Favell zachwiał się, osunął na poręcz kanapy, a potem na podłogę. Maxim stał nad nim. Zrobiło mi się słabo. Było coś poniżającego w tym, że Maxim go uderzył. Wolałabym tego nie widzieć. Pułkownik milczał. Miał zacięty wyraz twarzy. Odwrócił się od nich i podszedł do mnie.

– Powinna pani pójść do swego pokoju – powiedział spokojnie.

– Nie, nie – szepnęłam, potrząsając głową.

– Ten człowiek może nie wiadomo co powiedzieć. To, co pani widziała przed chwilą, nie było zbyt przyjemne, prawda? Mąż pani postąpił słusznie, ale szkoda, że stało się to w pani obecności.

Milczałam. Patrzyłam na Favella, który powoli podnosił się z podłogi. Opadł ciężko na kanapę i przyłożył chustkę do twarzy.

– Dajcie mi whisky, dajcie mi whisky!

Maxim spojrzał na Franka. Frank wyszedł, a po chwili wrócił, niosąc na tacy butelkę. Nalał whisky do szklanki, potem wodę sodową i podał Favellowi. Favell pił chciwie jak zwierzę. Jego sposób picia miał w sobie coś nieprzyjemnie zmysłowego. Wargi układały się na brzegu szklanki w jakiś szczególny sposób. Na szczęście widniała ciemnoczerwona plama od uderzenia Maxima. Maxim znowu podszedł do okna.

Spojrzałam na pułkownika i zobaczyłam, że przygląda się badawczo Maximowi. Serce zaczęło mi bić gwałtownie. Dlaczego pułkownik patrzy na niego w taki szczególny sposób? Czy oznacza to, że zaczyna się zastanawiać, podejrzewać? Maxim nie widział tego spojrzenia, patrzył przez okno. Deszcz padał równie ulewny jak poprzednio, wypełniając pokój swoim dudnieniem. Favell wypił whisky i odstawił szklaneczkę na stolik. Oddychał ciężko, nie patrzył na nikogo, wzrok miał utkwiony w podłogę.

Nagle zadzwonił telefon. Dzwonek zabrzmiał dziwnie rażąco. Frank podszedł do aparatu. Po kilku sekundach wrócił i spojrzał na Julyana.

– Dzwoni pańska córka, pyta, czy mają czekać z obiadem.

Pułkownik niecierpliwie machnął ręką.

– Proszę powiedzieć, żeby nie czekali, bo nie wiem, kiedy wrócę. – Spojrzał na zegarek i mruknął: – Co też jej przyszło do głowy, żeby telefonować, i do tego jeszcze w takim momencie!

Frank poszedł przekazać polecenie pułkownika. Telefonowała jego córka, to pewnie ta, która gra w golfa. Teraz woła do siostry: „Tatuś mówi, żeby na niego nie czekać. Cóż on tam robi tak długo? Stek będzie twardy jak podeszwa!”. W ich małym gospodarstwie powstało zamieszanie z naszego powodu.

Spokojny tryb życia został naruszony. Wszystko się poplątało, ponieważ Maxim zabił Rebekeę. Spojrzałam na Franka. Był blady i miał zacięty wyraz twarzy.

– Słyszałem, że Robert przyjechał – zwrócił się do Julyana. – Okno w tym pokoiku wychodzi na podjazd.

Wyszedł do holu. Na dźwięk jego głosu Favell podniósł głowę. Wstał z kanapy, wpatrując się w drzwi z szyderczym uśmiechem na ustach.

Po chwili pojawił się Frank, przystanął w drzwiach i zwrócił się do kogoś stojącego w holu.

– Nie bój się, Ben – powiedział łagodnie. – Pan de Winter chce ci dać trochę papierosów. Nie masz się czego bać.

Ben wszedł nieśmiało do pokoju. Trzymał w ręce swój rybacki kapelusz. Wyglądał dziwnie bez nakrycia głowy. Po raz pierwszy zobaczyłam, że ma zgolone włosy. Łysa czaszka szpeciła go jeszcze bardziej.

Widocznie raziło go światło. Rozglądał się głupkowato po pokoju, mrugając swymi małymi oczkami. Spojrzał na mnie, a ja z wysiłkiem uśmiechnęłam się do niego. Nie wiem, czy mnie poznał. Tylko mrugał.

Favell zbliżył się do niego i powiedział:

– No, jak ci się tam wiodło, od kiedy cię ostatnio widziałem?

Ben, milcząc, wpatrywał się w niego. Widać było, że nie poznaje Favella.

– No, przecież znasz mnie, prawda? – odezwał się Favell.

Ben obracał w rękach kapelusz.

– Ee?

– Weź papierosa – powiedział Favell, podając mu pudełko.

Ben zerknął na Maxima i Franka.

– Tak – wtrącił Maxim – weź sobie, ile tylko chcesz, Ben.

Ben wziął cztery i włożył po dwa za każde ucho. Potem znowu zaczął miętosić kapelusz.

– Znasz mnie przecież, prawda? – powtórzył Favell.

Ben nadal milczał. Pułkownik podszedł do niego.

– Za chwilę wrócisz do domu, Ben. Nikt ci tutaj nie robi krzywdy. Chcemy tylko, żebyś odpowiedział na kilka pytań. Czy znasz pana Favella?

Tym razem Ben potrząsnął głową.

– Nigdy go nie widziałem.

– Nie pleć głupstw – powiedział ze złością Favell. – Widziałeś mnie nieraz. Widziałeś, jak szedłem do domku nad morzem, do domku pani de Winter. Widziałeś mnie tam, prawda?

– Nie, nikogo nie widziałem.

– Ty przekłety łgarzu! – krzyknął Favell. – Jak ty śmiesz twierdzić, że nie widziałeś mnie przed rokiem, gdy szliśmy przez las z panią de Winter do domku nad zatoczką! Czyż nie złapaliśmy cię, jak podglądałeś nas przez okno?!

– Ee?

– Niezwykle przekonujący świadek – zauważył sarkastycznie Julyan.

Favell wpadł na niego z pasją.

– To wszystko zostało ukartowane. Ktoś przekupił i tego idiotę. Mówię panu, że widywał mnie wiele razy. Zaraz, może to odświeży twoją pamięć? – wyciągnął z kieszeni portfel, wyjął banknot funtowy i zaczął wymachiwać nim przed nosem Bena. – A teraz czy mnie pamiętasz?

Ben potrząsnął głową.

– Nie widziałem nikogo – powiedział, a potem schwycił Franka za ramię. – Czy on mnie zabierze do szpitala?

– Nie, nie bój się, Ben.

– Ja nie chcę iść do szpitala. Tam są okrutni ludzie. Chcę zostać w domu. Ja nic nie zrobiłem.

– Uspokój się, Ben – powiedział pułkownik. – Nikt cię nie zabierze do szpitala. Czy jesteś zupełnie pewien, że nigdy nie widziałeś tego człowieka?

– Nie, nigdy go nie widziałem.

– Czy pamiętasz panią de Winter?

Ben niepewnie spojrzał na mnie.

– Nie – powiedział łagodnie Julyan – nie tę panią. Tamtą, która przychodziła do domku nad morzem.

– Ee?

– Czy pamiętasz tę panią, która miała żagłówkę?

Ben zamruczał szybko:

– Ona nie żyje.

– Tak, wiemy o tym. Często żeglowała, prawda? Czy byłeś na brzegu, gdy wypłynęła po raz ostatni pewnego wieczoru przed rokiem? Wtedy, gdy już nie wróciła?

Ben obracał w rękach kapelusz. Spojrzał na Franka, potem na Maxima.

– Ee?

– Byłeś tam, prawda? – spytał Favell, pochylając się do niego. – Widziałeś, jak pani de Winter weszła do swego domku, a nieco później zobaczyłeś także pana de Wintera. On wszedł za nią do domku. Co stało się wtedy? Mów! Co tam się stało?

Ben cofnął się pod ścianę.

– Nic nie widziałem. Chcę zostać w domu. Nie pójdę do szpitala. Nigdy pana nie widziałem. Nigdy w życiu. Nigdy nie widziałem pana i jej w lesie.

Zaczął szlochać jak dziecko.

– Ty nędzny szurze! – syknął Favell. – Ty przekłety wariacie!

Ben ocierał oczy rękawem.

– Pański świadek nie pomógł panu zbytnio – stwierdził pułkownik. – Cała ta scena to strata czasu. Czy chce pan jeszcze go o coś zapytać?

– To zмова! – krzyknął Favell. – Zмова przeciwko mnie! Wszyscy jesteście w zmovie! Ktoś przekupił tego wariata. Ktoś go przekupił, żeby opowiadał te łgarstwa!

– Myślę, że można odesłać Bena do domu – zauważył Julian.

– To wszystko, Ben – odezwał się Maxim. – Robert odwiezie cię do domu. Nie bój się, nikt cię nie zabierze do szpitala. – Potem zwrócił się do Franka: – Powiedz Robertowi, żeby mu dał coś do zjedzenia, jakies zimne mięso lub to, na co będzie miał ochotę.

– Zapłata za oddaną przysługę, co? – powiedział Favell. – Dzisiaj dobrze spełnił swoją powinność wobec pana, Max, prawda?

Frank wyprowadził Bena z pokoju. Pułkownik spojrzał na Maxima.

– Ten biedak był śmiertelnie przerażony. Zauważyłem, że trząsał się cały ze strachu. Czy ktoś się z nim źle obchodził?

– Nie – odparł Maxim – on jest zupełnie nieszkodliwy. Zawsze pozwalałem mu chodzić po całym terenie majątku.

– A jednak ktoś go musiał przestraszyć – powiedział Julian. – Wywracał białkami oczu jak pies, gdy grozi mu bicie.

– Dlaczego go pan nie uderzył? – wtrącił Favell. – Gdyby go pan uderzył, przypomniałby mi sobie doskonale. Ale nie, Ben dostanie dobrą kolację za swoje zasługi. Bena nikt nie będzie bić.

– Nie pomógł pańskiej sprawie – powiedział spokojnie pułkownik. – Nie ruszyliśmy z miejsca. Nie ma pan najmniejszego dowodu przeciwko de Winterowi i pan wie o tym. Podany przez pana motyw nie wytrzymuje krytyki. W sądzie nie miałby pan żadnych argumentów dla poparcia swego oskarżenia. Powiada pan, że miał pan zostać mężem pani de Winter i że spotykał się pan z nią potajemnie w domku na plaży. Ale nawet ten biedny wariat, którego przesłuchiwalismy przed chwilą, przysięga, że nigdy pana nie widział. A więc nie jest pan w stanie dowieść prawdziwości swojej opowieści.

– Czyżby? – odparł ironicznie Favell. Uśmiechnął się, podszedł do kominka i zadzwonił na służbę.

– Co pan robi? – spytał Julyan.

– Zobaczy pan za chwilę.

Domyśliłam się, o co mu chodzi. Frith zjawił się na dzwonek.

– Proszę poprosić tu panią Danvers – powiedział Favell.

Frith spojrział na Maxima, który skinął głową. Frith wyszedł z pokoju.

– Czy pani Danvers jest zarządzającą domem? – spytał pułkownik.

– Była również przyjaciółką Rebeki – odparł Favell. – Właściwie ona wychowała Rebekę i spędziła z nią wiele lat przed jej zamążpójściem. Zobaczy pan, że Danny będzie zupełnie innym świadkiem niż Ben.

Frank wrócił do pokoju.

– Ułożył pan Bena do łóżeczka? – zadrwił Favell. – Dał mu pan kolacyjkę i pogłaskał po główce za to, że był grzeczny? Tym razem nie pójdzie tak łatwo waszemu związkowi zawodowemu.

– Czekamy na panią Danvers – wyjaśnił Julyan. – Favellowi wydaje się, że coś z niej wydobędzie.

Frank zerknął na Maxima, a pułkownik dostrzegł to spojrzenie. Widziałam, że zacisnął usta. Nie podobało mi się to wszystko, nie, wcale mi się nie podobało. Zaczęłam obgryzać paznokcie.

Czekaliśmy, patrząc na drzwi. Wreszcie pani Danvers weszła. Wydała mi się teraz mniejsza, bardziej zasuszona, może dlatego,

że na ogół widywałam ją samą i przy mnie robiła wrażenie kobiety o wiele wyższej. Gdy patrzyła na Favella, Franka i Maxima, musiała zadzierać głowę. Zatrzymała się przy drzwiach, ręce złożyła na podołku i zaczęła przyglądać się wszystkim po kolei.

– Dobry wieczór, pani Danvers – odezwał się Julian.

– Dobry wieczór panu.

Jej głos miał teraz dawne, martwe brzmienie.

– Przede wszystkim chcę zadać pani jedno pytanie – powiedział pułkownik – a mianowicie: czy znany był pani stosunek, jaki łączył zmarłą panią de Winter z obecnym tutaj panem Favellem?

– Byli ciotecznym rodzeństwem.

– Nie miałem na myśli stopnia pokrewieństwa, pani Danvers – zaznaczył Julian. – Chodzi mi o znacznie bliższe więzy.

– Niestety, nie rozumiem, o co panu pułkownikowi chodzi.

– Och, proszę nie udawać, Danny! – wtrącił Favell. – Pani wie doskonale, do czego on zmierza. Powiedziałem już panu pułkownikowi, ale on nie chce w to uwierzyć. Żyliśmy z Rebeką od wielu lat, prawda? Kochała mnie, prawda?

Ku memu zdumieniu pani Danvers spojrzała na niego bez słowa, a w jej oczach rozbłysła pogarda.

– Nie, nie kochała pana.

– Słuchaj, ty stara idiotko... – zaczął Favell, ale pani Danvers przerwała mu natychmiast:

– Nie kochała ani pana, ani pana de Wintera. Nie kochała nikogo. Pogardzała mężczyznami. Była wyższa ponad to wszystko.

Favell zaczerwienił się z gniewu.

– Niech pani posłucha. Czy Rebeka nie wymykała się co wieczór ścieżką przez las, by spotkać się ze mną? Czyż nie czekała pani na jej powrót? Czyż nie spędzała ze mną weekendów w Londynie?

– No to co z tego?! – wybuchnęła z pasją pani Danvers. – Miała prawo się zabawić. To była dla niej zabawa, tylko zabawa. Sama mi tak mówiła. Robiła to, bo to ją bawiło. Śmieszyło ją tylko. Śmiała się z pana tak samo jak i z innych. Nieraz po powrocie do domu siedziała na łóżku, pokładając się ze śmiechu. Zaśmiewała się z was wszystkich!

Ten nagły, niespodziewany potok słów wywarł wstrząsające wrażenie. Napełnił mnie obrzydzeniem, chociaż wypowiedź jej nie była dla mnie nowością. Maxim zbladł jak papier, Favell wpatrywał się w panią Danvers, jak gdyby nic nie rozumiał, Julyan skubał swój mały wąsik. Przez kilka minut panowało milczenie. Ciszę zakłócał jedynie ulewny deszcz.

Nagle pani Danvers zaczęła płakać. Płakała tak samo jak tego pamiętnego ranka w sypialni Rebeki. Nie mogłam na nią patrzeć. Musiałam odwrócić głowę. Nikt się nie odzywał. Ciszę przerywały tylko dwa odgłosy – deszcz i szlochanie pani Danvers. Miałam ochotę krzyczeć, wybiec z pokoju i krzyczeć, krzyczeć...

Nikt nie podszedł, aby ją uspokoić. Płakała nadal. Po chwili, która wydawała się wiecznością, zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą. Powoli szlochanie zamierało. Stała bez ruchu, usta jej drgały, ręce trzymała kurczowo zaciśnięte. Wreszcie uspokoiła się zupełnie. Wówczas pułkownik przemówił do niej spokojnym, cichym głosem:

– Pani Danvers, czy przychodzi pani na myśl jakaś przyczyna, choćby najbliższy powód w pani mniemaniu, który by mógł doprowadzić panią de Winter do samobójstwa?

Pani Danvers przełknęła ślinę. Nadal zaciskała ręce na sukni. Potrząsnęła głową.

– Nie, nie.

– Widzi pan? – szybko wtrącił Favell. – To wykluczone. Ona wie o tym równie dobrze jak i ja. Mówiłem już panu.

– Proszę nie przeszkadzać – powiedział Julyan. – Trzeba dać pani Danvers czas do namysłu. Wszyscy zgadzamy się, że w tych okolicznościach samobójstwo wydaje się niemożliwe. Nie mam zastrzeżeń co do prawdziwości tego listu. To jest jasne. Napisała do pana podczas pobytu w Londynie. Miała panu coś ważnego do powiedzenia. Możliwe, że gdybyśmy wiedzieli, o co jej chodziło, mielibyśmy wyjaśnienie tego straszliwego wypadku. Proszę dać pani Danvers ten list do przeczytania. Może ona będzie mogła powiedzieć nam coś na ten temat.

Favell wzruszył ramionami. Sięgnął do kieszeni po list i rzucił go pod nogi pani Danvers. Podniosła go. Widzieliśmy, jak, czytając, porusza wargami. Przeczytała list dwukrotnie. Potem potrząsnęła głową.

– Nic z tego. Nie wiem, o co jej chodziło. Gdyby miała coś ważnego do powiedzenia panu Jackowi, najpierw mnie by to powiedziała.

– Pani nie widziała jej tego wieczoru?

– Nie. Spędziłam popołudnie i wieczór w Kerrith. Nigdy sobie tego nie przebaczę. Nigdy, aż do śmierci!

– To znaczy, że pani nie wie, o co jej chodziło. Nie może pani nam nic wyjaśnić? Czy te słowa: „Mam ci coś do powiedzenia” niczego pani nie nasuwają?

– Nie, panie pułkowniku, nic mi one nie mówią.

– Czy ktoś z obecnych wie, jak pani de Winter spędziła ten dzień w Londynie?

Nikt się nie odezwał. Maxim potrząsnął głową. Favell zaklął cicho.

– Zostawiła ten list w moim mieszkaniu o trzeciej po południu. Portier widział ją wówczas. Widocznie wprost stamtąd pojechała do Manderley. Musiała pędzić jak wiatr.

– Pani de Winter miała zamówioną godzinę u fryzjera od dwunastej do wpół do drugiej – powiedziała pani Danvers. – Pamiętam doskonale, bo telefonowałam do Londynu kilka dni wcześniej, żeby zamówić godzinę. Pamiętam dokładnie, dwunasta do wpół do drugiej. Zawsze jadła lunch w swoim klubie po bytności u fryzjera, bo mogła wówczas zostawić szpilki we włosach. Z wszelką pewnością tego dnia jadła lunch w klubie.

– Powiedzmy, że lunch zajął jej pół godziny, to co robiła od drugiej do trzeciej? Trzeba to sprawdzić.

– Chryste Panie, kogo to może obchodzić?! – krzyknął Favell.

– Nie zabiła się, to jest jedyna istotna rzecz, do cholery!

– Przechowuję u siebie jej kalendarzyk – powiedziała powoli pani Danvers. – Zatrzymałam sobie różne drobiazgi na pamiątkę. Pan de Winter nigdy mnie o te rzeczy nie pytał. Możliwe, że pani de Winter zanotowała sobie, co miała załatwić tego dnia. Pod tym względem była bardzo systematyczna. Zapisywała wszystko, a potem stawiała krzyżyk przy sprawach załatwionych. Jeśli pan uważa, że kalendarzyk może nam coś wyjaśnić, zaraz go przyniosę.

– De Winter, czy nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy obejrzel ten kalendarzyk? – spytał Julyan.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu.

Po raz drugi zauważyłam, że pułkownik spojrzał badawczo na Maxima. Tym razem spostrzegł to również Frank. Zobaczyłam, że zerknął na Maxima, a potem na mnie.

Teraz ja wstałam i podeszłam do okna. Wydawało mi się, że ulewa straciła na sile. Wyczerpała się już potęga żywiołu. Krople deszczu łagodnie szeleściły po liściach drzew. Szare światło zmierzchu rozjaśniło niebo. Zieleń trawników nasyconych ulewą stała się ciemniejsza, a drzewa miały smutny, płaczący wygląd.

Słyszałam, jak pokojówka zaciąga na górze zasłony i zamyka okna. Życie biegło swoim normalnym trybem. Zaciągano zasłony, zabierano buty do czyszczenia, rozkładano ręczniki na krzesła w łazience i przygotowywano kąpiel dla mnie. Ścielono łóżka, stawiano ranne pantofle przy krzesła. A myśmy siedzieli w bibliotece, nie mówiąc ani słowa i wiedząc, że w tej właśnie chwili ważą się losy Maxima.

Odwróciłam się, słysząc, że ktoś cicho zamyka drzwi. Weszła pani Danvers z kalendarzykiem w ręce.

– Miałam rację – powiedziała cicho. – Zapisała to, co miała do załatwienia, tak jak mówiłam. Tu są notatki zrobione w dniu jej śmierci.

Otworzyła kalendarzyk w czerwonej skórzanej oprawie i podała go pułkownikowi. Po raz drugi sięgnął po okulary. Długo przyglądał się notatkom. Ta właśnie chwila, podczas której pułkownik studiował kalendarzyk, a my czekaliśmy wpatrzni w niego, miała w sobie coś strasznego, coś, co przerażało mnie bardziej niż wszystkie wydarzenia tego wieczoru.

Zacisnęłam kurczowo dłonie. Nie mogłam spojrzeć na Maxima. Z pewnością Julyan słyszy, jak mi wali serce.

– Aha – odezwał się wreszcie. Jego palec zatrzymał się pośrodku stroniczki.

Teraz coś się stanie, pomyślałam, stanie się coś strasznego.

– Tak, tutaj jest ta notatka. Fryzjer o dwunastej, tak jak mówiła pani Danvers. Obok krzyżyk, więc była u fryzjera. Lunch w klubie i także krzyżyk. Ale co tutaj mamy? Baker o drugiej. Kto to jest Baker?

Spojrzał na Maxima, który potrząsnął głową, a potem na panią Danvers.

– Baker? – powtórzyła pani Danvers. – Pani de Winter nie znała żadnego Bakera. Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

– A jednak to nazwisko tu figuruje – odparł pułkownik, podając jej kalendarzyk. – Proszę zobaczyć. Baker. Obok postawiła wielki krzyż, jakby chciała złamać ołówek. Widocznie widziała się z tym Bakerem.

Pani Danvers wpatrywała się w to nazwisko i w czarny krzyż obok niego.

– Baker – szepnęła – Baker.

– Przypuszczam, że gdybyśmy wiedzieli, kim jest Baker, doszlibyśmy do sedna sprawy – powiedział Julian. – Czy pani de Winter nie była czasem w rękach lichwiarzy?

Pani Danvers spojrzała na niego z pogardą.

– Pani de Winter?

– A może w rękach szantażystów? – spytał pułkownik, zerkając na Favella.

Pani Danvers potrząsnęła głową.

– Baker – powtórzyła – Baker.

– Czy nie miała wrogów, którzy by jej grozili? Czy nie bała się kogoś?

– Pani de Winter miałyby się bać? Nie bała się niczego ani nikogo. Jedną jedyną rzecz tylko ją gnębiła: myśl o starości, chorobie, śmierci w łóżku. Mówiła mi wiele razy: „Chciałabym umrzeć szybko, zgasnąć jak zdmuchnięta świeca”. To była moja jedyna pociecha po jej śmierci. Podobno utonięcie jest bezbolesne, prawda?

Spojrzała błagalnym wzrokiem na pułkownika, ale on milczał. Pełen wahania skubał wąsy. Znowu spojrzał na Maxima.

– I po diabła to wszystko? – rzucił Favell, podchodząc bliżej. – Oddaliśmy się coraz bardziej od istoty rzeczy. Kogo ten Baker obchodzi? Co on ma wspólnego z tą sprawą? To pewnie jakiś sprzedawca pończoch lub kremów. Gdyby to był ktoś o jakimś znaczeniu, Danny słyszałaby o nim. Rebeka nie miała przed nią tajemnic.

Przyglądałam się pani Danvers. Przewracała kartki kalendarzyka. Nagle wydała okrzyk zdziwienia.

– Tu jest coś jeszcze – powiedziała. – Na samym końcu, w spisie numerów telefonicznych. Baker i obok numer zero cztery osiem osiem, ale nie ma centrali dzielnicowej.

– Genialna Danny! – zakpił Favell. – Na stare lata staje się pani detektywem. Tylko spóźniła się pani o rok. Gdyby to pani wynalazła przed rokiem, może by się na coś przydało.

– To na pewno numer Bakera – powiedział Julyan – zero cztery osiem osiem i obok jego nazwisko. Dlaczego nie zanotowała centrali?

– Próbuje dzwonić do wszystkich centrali w Londynie – szydził Favell. – Potrwa to całą noc, ale to nie szkodzi. Maxowi nie robi różnicy, jeśli rachunek za telefon wyniesie nawet sto funtów. Pan gra na zwłokę, prawda, Max? Ja też bym tak robił, gdybym był w pańskiej skórze.

– Obok tego numeru jest jakiś znak – powiedział Julyan. – Proszę spojrzeć, pani Danvers. Czy to może być litera „M”?

Pani Danvers wzięła znów kalendarzyk do ręki.

– Możliwe. Nie jest to jej zwykłe „M”, ale może pisała w pośpiechu. Tak, to może być „M”.

– Mayfair zero cztery osiem osiem – powiedział Favell. – Co za geniusz, co za umysł!

– Frank – odezwał się Maxim, zapalając papierosa – a może by tak spróbować? Połącz się z Mayfair zero cztery osiem osiem.

Serce ścisnęło mi się bólem. Stałam bez ruchu, ze spuszczoneymi rękami. Maxim nie patrzył na mnie.

– No, Frank, na co czekasz?

Frank poszedł do małego pokoiku. Zamówił rozmowę międzymiastową. Po chwili wrócił i powiedział spokojnie:

– Zadzwoń, jak będzie połączenie.

Pułkownik założył ręce z tyłu i zaczął chodzić po pokoju. Nikt się nie odzywał. Po kilku minutach rozległ się natarczywy, długi dzwonek centrali międzymiastowej. Frank podszedł do telefonu.

– Czy to Mayfair zero cztery osiem osiem? Chciałbym się dowiedzieć, czy mieszka tam ktoś o nazwisku Baker? Ach, tak, bardzo przepraszam. Widocznie podano mi zły numer. Dziękuję.

Usłyszałam lekki trzask odkładanej słuchawki. Frank wrócił do pokoju.

– To jest numer telefonu lady Eastleigh, która mieszka na Grosvenor Street. Nigdy nie słyszeli o Bakerze.

Favell głośno zachichotał.

– Entele, pentele, czerwony guziczek... Jazda dalej, genialny detektywie, na jaką centralę teraz kolej?

– Niech pan spróbuje Museum – powiedziała pani Danvers.

Frank spojrział na Maxima, który powiedział:

– Spróbuj Museum.

Powtórzyła się ta sama scena. Pułkownik chodził po pokoju. Po pięciu minutach zadzwonił telefon. Frank zostawił drzwi szeroko otwarte. Widziałam, jak pochylił się nad stołem, na którym stał telefon, i podniósł słuchawkę.

– Halo? Czy to Museum zero cztery osiem osiem? Chciałbym się dowiedzieć, czy mieszka tam ktoś o nazwisku Baker? A kto mówi? Portier nocny, tak, tak, rozumiem. To nie są biura. Nie, nie, oczywiście. Czy może mi pan dać jego adres? Tak, to bardzo ważna sprawa.

Urwał i zawołał do nas przez ramię:

– Zdaje się, że trafiliśmy tym razem.

O Boże, niech to nie będzie prawda! Nie pozwól, aby Baker się znalazł! Spraw, Boże, aby Baker nie żył! Wiedziałam, kim był Baker. Wiedziałam od początku. Patrzyłam na Franka przez drzwi. Zobaczyłam, jak nagle pochylił się naprzód, sięgnął po ołówek i kawałek papieru.

– Halo? Tak, jestem przy telefonie. Czy może pan to przeliterować? Dziękuję, bardzo panu dziękuję. Dobranoc.

Wrócił do pokoju z kartką w ręce. Frank, który był tak bardzo oddany Maximowi, nie zdawał sobie sprawy, że ten kawałek papieru stanowił jedyny istotny dowód zdobyty w ciągu tego koszmarnego wieczoru, że zdobywając ten dowód, mógł zniszczyć Maxima równie skutecznie, jak gdyby wbił mu sztylet w plecy.

– Rozmawiałem z portierem nocnym w jakimś domu na Bloomsbury. Tam nikt nie mieszka. W tym domu mieszczą się tylko gabinety lekarskie. Podobno Baker przestał praktykować i zlikwidował swój gabinet przed pół rokiem. Ale możemy się z nim porozumieć. Portier dał mi jego adres. Zapisałem go na tej kartce.

Wówczas dopiero Maxim spojrzał na mnie. Spojrzał po raz pierwszy w ciągu tego wieczoru. W oczach jego wyczytałam pożegnanie. Miałam wrażenie, że Maxim przechyla się przez burzę statku, a ja stoję na nabrzeżu. Otacza nas tłum ludzi, ale on ich nie widzi. Nie rozmawiamy ze sobą, gdyż wiatr zagłuszyłby nasze głosy. Lecz ja widzę jego oczy, a Maxim widzi moje w chwili, gdy statek odbija od brzegu. W tym momencie Favell, pani Danvers, pułkownik Julyan, Frank z kartką papieru w ręce przestali dla nas istnieć. Ten moment był nasz – ułamek czasu zawieszony między dwiema sekundami.

Nagle Maxim odwrócił się i wyciągnął rękę po kartkę.

– Dobrze się spisałeś – powiedział do Franka. – Pokaż mi ten adres.

– To gdzieś w Barnet, na północ od Londynu – wyjaśnił Frank, podając mu kartkę. – Ale Baker nie ma telefonu, więc nie możemy do niego zadzwonić.

– Doskonale pan to załatwił, Crawley – wtrącił Julyan. – Pani również nam dużo pomogła, pani Danvers. A może teraz będzie pani mogła coś wyjaśnić?

Pani Danvers potrząsnęła głową.

– Pani de Winter nigdy nie miała do czynienia z lekarzami. Jak wszyscy zdrowi ludzie pogardzała nimi. Jeden jedyny raz wzywaliśmy doktora Phillipsa z Kerrith, gdy zwichnęła rękę. Nigdy nie wspominała o doktorze Bakerze, nigdy nie wymieniała jego nazwiska.

– A ja wam mówię, że ten facet wyrabiał kremy do twarzy – odezwał się Favell. – Kogo to, do diabła, obchodzi, kim on jest?! Gdyby to była jakaś ważna sprawa, Danny wiedziałaby o tym. Mówię wam, że ten facet pewnie wymyślił jakiś nowy sposób rozjaśniania włosów lub wybielania skóry. Rebeka dowiedziała

się o nim od fryzjera i po lunchu poszła do niego przez ciekawość.

– Nie – sprzeciwił się Frank. – Myli się pan. Baker nie jest żadnym naciągaczem. Portier powiedział mi, że jest bardzo znanym specjalistą chorób kobiecych.

– Hm – mruknął Julyan, skubiąc wąsy – widocznie jednak musiało jej coś dolegać. To dziwne, że nie wspomniała o tym nikomu, nawet pani Danvers.

– Była za chuda – powiedział Favell. – Mówiłem jej o tym, ale ona tylko się śmiała. Twierdziła, że woli być szczupłą. Z pewnością odchudzała się, jak to robią obecnie wszystkie kobiety. Może poszła do tego Bakera po przepis na dietę odchudzającą.

– Czy to możliwe, pani Danvers? – spytał pułkownik.

Pani Danvers potrząsnęła głową. Była wyraźnie zdumiona wiadomością o Bakerze.

– Nie rozumiem tego. Nie wiem, co to ma znaczyć. Baker, doktor Baker? Dlaczego nic mi nie powiedziała? Dlaczego ukryła to przede mną? Przecież nie miała przede mną tajemnic.

– Może nie chciała pani martwić – zauważył Julyan. – Z pewnością zamówiła sobie wizytę u Bakera, poszła na badanie, a po powrocie do domu opowiedziałyby pani wszystko.

– I ten list do pana Jacka – wtrąciła nagle pani Danvers. – To zdanie: „Mam ci coś do powiedzenia, chcę zobaczyć się z tobą jak najprędzej”. Może miała zamiar jemu również o tym opowiedzieć?

– To prawda – potwierdził Favell. – Zapomnieliśmy o tym liście.

Wyciągnął go ponownie z kieszeni i przeczytał głośno zdanie:

– „Mam Ci coś do powiedzenia. Chcę zobaczyć się z Tobą jak najprędzej. Rebeka”.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – zwrócił się pułkownik do Maxima. – Założyłbym się o tysiąc funtów, że pani de Winter chciała opowiedzieć Favellowi o wyniku wizyty u doktora Bakera.

– Zdaje się, że mimo wszystko pan ma rację – odezwał się Favell. – Ten list i ta wizyta mogą mieć jakiś związek ze sobą. Ale o co tu chodziło, do diabła?! Co jej dolegało?

Prawda rzucała się w oczy, ale nikt jej nie widział. Wszyscy stali, wpatrując się w siebie, i nic nie rozumieli. Nie śmiałam spojrzeć na nich, nie śmiałam się poruszyć, aby nie zdradzić się, że znam prawdę.

Maxim milczał. Wyglądał przez okno na ciemny, cichy ogród. Deszcz ustał wreszcie, ale krople spadały z mokrych liści i z rynny nad oknem.

– To chyba bardzo łatwo sprawdzić – odezwał się Frank. – Mamy przecież adres doktora. Mógłbym napisać do niego list i zapytać, czy pamięta wizytę pani de Winter.

– Wątpię, czy Baker odpisałby na taki list – zauważył pułkownik. – Etyka lekarska nie pozwoliłaby mu na to. Lekarze zobowiązani są do zachowania tajemnicy. Żeby się czegoś dowiedzieć, de Winter musiałby udać się do niego osobiście i wyjaśnić, o co chodzi. Jak się pan na to zapatruje, de Winter?

Maxim odwrócił się od okna.

– Gotów jestem wykonać wszystko, co pan uzna za wskazane.

– Byleby tylko zyskać na czasie, co? – powiedział Favell. – W ciągu dwudziestu czterech godzin można wiele zdziałać, prawda? Można wsiąść do pociągu, odpłynąć statkiem, odlecieć samolotem...

Pani Danvers spojrzała badawczo na Favella, potem na Maxima. Uświadomiłam sobie wówczas, że ona nie wiedziała o oskarżeniu Favella. Z twarzy jej można było wyczytać, że dopiero teraz zaczyna domyślać się, o co chodzi. Najpierw wyrażała powątpiewanie, potem zdziwienie połączone z nienawiścią, a wreszcie głębokie przekonanie. Znowu jej chude ręce zacisnęły się kurczowo na sukni. Zwilżyła językiem wargi. Wpatrywała się w Maxima, ani na sekundę nie spuszczając z niego oczu.

Za późno, pomyślałam, już więcej nie może nam zaszkodzić, najgorsze już się stało. Obojętne, co ona teraz powie lub zrobi. Najgorsze już się stało. Nie może nas więcej skrzywdzić.

Maxim nie zwracał na nią uwagi, w każdym razie nie okazywał tego. Rozmawiał z Julyanem.

– Jak pan uważa? Czy mam pojechać jutro rano do Barnet? Mogę zadeszować i uprzedzić Bakera, że przyjadę.

– Nie pojedzie sam – oświadczył Favell ze śmiechem. – Mam prawo domagać się tego. Niech jedzie z inspektorem Welchem,

wtedy się zgodzę.

Oby tylko pani Danvers przestała wpatrywać się w Maxima! Frank zauważył teraz to spojrzenie. Obserwował ją zdziwiony i zaniepokojony. Spojrzał na kartkę, na której zanotował adres Bakera, potem on również popatrzył na Maxima. Widocznie zaczął snuć jakieś domysły, gdyż zbladł jak papier i położył kartkę na stole.

– Nie uważam za konieczne wciąganie inspektora Welcha do tej sprawy, przynajmniej na razie – powiedział pułkownik.

Głos jego brzmiał teraz inaczej, bardziej surowo. Nie podobał mi się ton, jakim wymówił słowa „przynajmniej na razie”. Dlaczego wymówił te słowa? Wcale mi się to nie podobało.

– Jeśli ja pojedę z de Winterem, będę mu przez cały czas towarzyszyć i wrócę z nim razem, czy to pana zadowoli? – spytał pułkownik.

Favell spojrzał na Maxima, potem na Julyana. Na jego twarzy odmalowało się chytre wyrachowanie, niebieskie oczy błysnęły triumfująco.

– Tak – powiedział powoli – chyba tak. Ale dla większej gwarancji, czy nie ma pan nic przeciw temu, że i ja z wami pojedę?

– Niestety, ma pan prawo tego żądać – odparł pułkownik. – Ale w takim razie ja mam prawo żądać, aby pan był trzeźwy.

– Niech się pan o to nie martwi – powiedział Favell z uśmiechem. – Będę trzeźwy, równie trzeźwy jak sędzia, który za trzy miesiące wyda wyrok na Maxima. Przypuszczam, że ten doktor Baker dostarczy przekonujących dowodów oskarżenia.

Spojrzał na nas wszystkich po kolei i zaczął się śmiać. Widocznie zrozumiał wreszcie, co oznaczała ta wizyta u doktora.

– O której wyruszymy?

Pułkownik zwrócił się do Maxima:

– O której pan może wyjechać?

– Proszę, niech pan wyznaczy godzinę.

– Dziewiąta?

– Dobrze.

– A jakąż mamy gwarancję, że on nam nie ucieknie w nocy? – wtrącił Favell. – Przecież może wyslizgnąć się do garażu po

samochód.

– Czy moje słowo panu nie wystarczy? – zwrócił się Maxim do pułkownika.

Po raz pierwszy Julyan zawahał się. Spojrzał na Franka. Maxim zaczerwienił się, żyły nabrzmiały mu na czole.

– Pani Danvers – powiedział dobitnie Maxim – gdy pani de Winter i ja pójdziemy do sypialni, zechce pani osobiście zamknąć drzwi na klucz i otworzyć je o siódmej rano.

– Dobrze, proszę pana – odpowiedziała, nadal wpatrując się w Maxima i zaciskając ręce na sukni.

– No dobrze – rzucił Julyan. – Dzisiaj nie mamy już nic więcej do omawiania. Będę tutaj jutro rano punktualnie o dziewiątej. Czy będzie pan miał miejsce dla mnie w swoim samochodzie, de Winter?

– Tak.

– A Favell pojedzie za nami w swoim wozie?

– Tuż za wami, drogi panie, tuż za wami!

Pułkownik podszedł do mnie i uściśnął mi rękę, zatrzymując ją w swojej dłoni.

– Dobranoc. Nie muszę chyba powtarzać, jak bardzo pani współczuję. Niech pani namówi męża, żeby poszedł wcześniej spać. Jutro będzie męczący dzień.

Puścił moją rękę i odwrócił się. Unikał spojrzenia mi w oczy, patrząc na mój podbródek. Frank otworzył przed nim drzwi. Favell pochylił się nad stołem i napełnił swoją papierośnicę papierosami z pudełka.

– Pewnie nie zostanę zaproszony na obiad?

Nikt nie odpowiedział. Zapalił papierosa i wypuścił obłok dymu.

– W takim razie spędzę nudny wieczór w oberży. Na domiar złego dziewczyna usługująca przy barze ma zęza. To będzie koszmarna noc! Nie szkodzi, za to po jutrzejszym dniu spodziewam się wiele. Dobranoc, Danny, niech pani nie zapomni zamknąć pana de Wintera na klucz!

Podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Jak dziecko schowałam rękę za siebie. Favell roześmiał się i uklonił.

– Co za fatalna historia, prawda? Taki podły człowiek jak ja zjawia się i psuje pani całą zabawę. Niech się pani nie martwi, dopiero będzie uciecha, jak brukowa prasa rozpisze się o pani

życiu. Zobaczy pani nagłówki „Od Monte Carlo do Manderley. Przejścia młodej żony mordercy”. Życzę więcej szczęścia następnym razem.

Skierował się ku drzwiom, kiwając ręką Maximowi.

– Do jutra, przyjemnych snów. Niech pan wykorzysta dobrze tę noc za zamkniętymi drzwiami!

Odwrócił się do mnie ze śmiechem i wreszcie wyszedł z pokoju. Pani Danvers wymknęła się za nim. Zostaliśmy sami z Maximem. Maxim stał nadal przy oknie. Nie podszedł do mnie. Jasper wbiegł z holu. Nie wolno mu było wejść do biblioteki przez cały wieczór. Zaczął łąsić się do mnie i szarpać zębami za spódnice.

– Pojadę z tobą jutro – powiedziałam. – Pojadę z tobą do Londynu.

Maxim milczał chwilę, wyglądając przez okno.

– Dobrze – odezwał się bezbarwnym głosem. – Musimy być razem.

Frank stanął w drzwiach z ręką na klamce.

– Obaj już wyjechali. Widziałem, jak odjeżdżają.

– Dobrze, Frank.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? Zadepeszować, załatwić jakieś sprawy? Mogę nie kłaść się całą noc, jeśli tylko przydam się na coś. Zaraz wyślę telegram do Bakera.

– Nie martw się – powiedział Maxim. – Na razie nie ma nic do roboty. Po dniu jutrzejszym może będziesz miał wiele do działania. Ale omówimy to we właściwym czasie. Ten wieczór chcemy spędzić sami, rozumiesz to, prawda?

– Tak, oczywiście.

Zatrzymał się jeszcze chwilę z ręką na klamce, aż wreszcie powiedział:

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Po jego wyjściu Maxim podszedł do mnie. Wyciągnęłam do niego ręce, a on przytulił się do mnie jak dziecko. Objęłam go mocnym uściskiem. Nie odzywaliśmy się przez dłuższy czas. Tuliłam go i pocieszałam, jakby był Jasperem, który się skaleczył i przyszedł do mnie po ratunek.

– Możemy siedzieć obok siebie w samochodzie – powiedział Maxim.

– Tak.

– Julyan zgodzi się na to.

– Na pewno.

– Chyba będziemy jeszcze mieli jutrzejszą noc. Myślę, że nie zrobią nic tak nagle, przynajmniej w ciągu najbliższej doby.

– Na pewno nie.

– Teraz już nie są tacy surowi, pozwalają się widywać. To wszystko trwa bardzo długo. Jeśli się uda, wezmę Hastingsa, on jest najlepszy. Hastings albo Birkett. Hastings znał mego ojca.

– Tak.

– Będę musiał powiedzieć mu prawdę. To ułatwia obronę. Będzie wiedział wówczas, jak nią pokierować.

– Tak.

Nagle otworzyły się drzwi i Frith wszedł do pokoju. Odsunęłam Maxima i wyprostowałam się, poprawiając włosy.

– Czy pani będzie się przebierać, czy też mam teraz podać obiad?

– Nie, Frith, dzisiaj nie będziemy się przebierać. Proszę podawać.

– Dobrze, proszę pani.

Zostawił otwarte drzwi. Wszedł Robert i zaczął zaciągać zasłony. Potem poprawił poduszki, przesunął kanapę, uporządkował książki i pisma na stole. Zabrał whisky, syfon i brudne popielniczki.

Widziałam, jak wykonywał te czynności co wieczór od chwili mego przyjazdu do Manderley, lecz dzisiaj nabrały w moich oczach szczególnego znaczenia. Miałam wrażenie, że utrwalają się na zawsze w pamięci i że kiedyś w przyszłości powiem: „Pamiętam ten moment”.

Po chwili Frith oznajmił, że obiad podany.

Pamiętam każdy szczegół tego wieczoru. Pamiętam zimny rosół w filiżankach, filety z ryby i pieczeń baranią. Pamiętam krem karmelowy i małe przekąski.

Białe, długie świece w srebrnych kandelabrach. Zaciągnięte zasłony. Wydawało mi się dziwne, że siedząc przy stole, nie widzimy ogrodu przez okna. Tak jak gdyby zaczęła się już jesień.

Gdy piliśmy kawę w bibliotece, zadzwonił telefon. Tym razem ja podeszłam do aparatu. Usłyszałam głos Beatrice:

– Czy to ty? Przez cały wieczór nie mogłam się z wami połączyć. Dwa razy telefon był zajęty.

– Bardzo mi przykro.

– Przed dwoma godzinami dostaliśmy wieczorne gazety.

Wyrok wstrząsnął nami. Co Maxim o tym mówi?

– Wyrok był wstrząsem dla wszystkich.

– Moja droga, przecież to niedorzeczność! Dlaczego Rebeka miałaby popełnić samobójstwo? Ostatnia osoba na świecie, która by to zrobiła. Musiała zająć jakąś pomyłkę.

– Nie wiem.

– Co mówi o tym Maxim? Gdzie on jest?

– Był tutaj pułkownik Julyan i jeszcze ktoś. Maxim jest bardzo zmęczony. Jutro jedziemy do Londynu.

– Po co?

– W związku z wyrokiem. Nie mogę teraz wyjaśnić dokładniej.

– Musicie zatuszować tę sprawę. To jest niedorzeczne. A ten rozgłos w prasie zaszkodzi Maximowi. Odbije się na jego opinii.

– Tak.

– Chyba pułkownik Julyan może coś pomóc? Jest przecież sędzią. Od czegoż są sędziowie! Stary Horridge z Lanyon widocznie zwariował. Czy doszli, jaki był powód samobójstwa? Nigdy w życiu nie słyszałam takich głupstw. Trzeba się porozumieć z Tabbem. Skąd on może wiedzieć, czy dziury w dnie były umyślnie przebite, czy nie? Giles mówi, że powstały przez uderzenie o skałę.

– Oni uznali, że było inaczej.

– Gdybym ja tam była, wypowiedziałabym swoje zdanie. Nikt nie postarał się, aby coś działać. Czy Maxim jest bardzo przejęty?

– Jest bardzo zmęczony. Nieludzko zmęczony.

– Żałuję, że nie mogę spotkać się z wami w Londynie, ale to niemożliwe. Roger ma wysoką gorączkę, biedny chłopiec, a pielęgniarka jest skończoną idiotką. On jej nie znosi, więc nie mogę go tak zostawić.

– Oczywiście, nie powinnaś wyjeżdżać.

– Gdzie zatrzymacie się w Londynie?

– Nie wiem, jeszcze nie ustaliliśmy.

– Powiedz Maximowi, żeby się postarał zmienić ten wyrok. To rzuca złe światło na naszą rodzinę. Opowiadam wszystkim sąsiadom, że to jest zupełnie niedorzeczne. Rebeka nigdy nie odebrałaby sobie życia, ona nie należała do tego rodzaju osób. Mam ochotę napisać do sędziego śledczego.

– Za późno. Nie rób tego. To nic nie pomoże.

– Głupota tego wyroku wyprowadza mnie z równowagi. Oboje z Gilesem jesteśmy zdania, że jeśli te dziury nie powstały wskutek uderzenie łodzi o skałę, to zapewne przebił je umyślnie jakiś włóczęga. Może to był komunista? Tylu ich się tutaj kręci. Komunista mógłby właśnie zrobić coś takiego.

Maxim zawołał z biblioteki:

– Czy nie możesz się jej pozbyć? Co ona tam opowiada?!

– Beatrice – powiedziałam zrozpaczona – postaram się zatelefonować do ciebie z Londynu.

– Czy nie byłoby dobrze, gdybym zwróciła się do Dicka Godolphina? On jest posłem z waszego okręgu. Znam go doskonale, lepiej niż Maxim. Był w Oxfordzie razem z Gilesem. Spytaj Maxima, czy mam zadzwonić do Dicka i poprosić go, aby pomógł zmienić wyrok. Spytaj, czy Maxim myśli, że to mógł zrobić komunista.

– To nic nie pomoże. Proszę cię, Beatrice, nie próbuj teraz działać. To tylko pogorszy sprawę, bardzo pogorszy. Rebeka mogła mieć jakiś powód, o którym nie wiemy. Ponadto nie sądzę, żeby komuniści zajmowali się przebijaniem dziur w łodziach, po co mieliby to robić? Proszę cię, Beatrice, nie rób nic w tej sprawie.

Co za szczęście, że nie była dzisiaj z nami! Przynajmniej tego uniknęliśmy.

Telefon zaczął brzęczeć, usłyszałam głos Beatrice:

– Halo, halo, proszę nas nie rozłączać!

Potem rozległ się trzask i głucha cisza.

Wróciłam do biblioteki zmęczona i wyczerpana. Po kilku minutach telefon znowu zaczął dzwonić. Nie podeszłam do aparatu. Usiadłam u stóp Maxima. Telefon dzwonił uporczywie. Nie ruszyłam się z miejsca. Po chwili umilkł, jak gdyby ktoś zniechęcony odłożył nagle słuchawkę. Zegar nad kominkiem wybił dziesiątą. Maxim objął mnie i przytulił. Zaczęliśmy się

całować gorączkowo, rozpaczliwie, jak kochankowie, którzy się nigdy przedtem nie całowali.

Nazajutrz rano obudziłam się kilka minut po szóstej. Wstałam i podeszłam do okna. Trawa srebrzyła się kropelkami rosy, niby pokryta szronem, a drzewa spowijała biała mgła. Wiał chłodny wiatr. W powietrzu unosił się już zapach jesieni.

Kłęcząc na kanapce pod oknem, patrzyłam na ogród różany, na zbite ulewą, zwisające główki kwiatów o zbrązowiałych płatkach. Wydawało mi się, że wydarzenia dnia wczorajszego są dalekie i jakby nierealne. Tu, w Manderley, wstawał nowy dzień. Nasze zmartwienia nie miały wpływu na przyrodę. Kos przebiegał przez trawnik, zatrzymując się niekiedy, by dziobnąć coś swym żółtym dziobem. Drozd również zajęty był własnymi sprawami, dwie małe pliszki biegły po trawie jedna za drugą, gromadka ćwierkających wróbli obsiadła krzewy. Samotna mewa zawisła wysoko w powietrzu i spłynęła ku lasom i Dolinie Szczęścia.

Życie biegło jak dawniej. Nasze zmartwienia i kłopoty nie mogły dokonać jakichkolwiek zmian. Wkrótce ogrodnicy rozpoczną swoje codzienne prace, będą zmiatać z trawników i ścieżek pierwsze opadłe liście, gracować żwir w alei. Na podwórzu zabręczą wiadra, kierowca zacznie myć samochód strumieniem wody z gumowego węża. Posługaczka będzie przekomarzać się z parobkami. Niebawem poczuję apetyczny zapach smażonego bekonu. Pokojówki odsuną zasłony i otworzą okna w całym domu.

Psy wypełzną ze swoich posłań, ziewną, przeciągną się, wyjdą na taras i spojrzą na blade promienie słońca przebijające przez mgłę. Robert nakryje do śniadania, przyniesie gorące bułeczki, jajka, miseczki z miodem i dżemem, paterę ze świeżo zerwanymi brzoskwiniami i kiśćmi ciemnych winogron, jeszcze pokrytych „barwą”.

Pokojówki złączą sprzątać buduar i salon. Orzeźwiający powietrze napłynie przez wielkie okna. Dym wzniesie się z komina. Powoli rozwieje się jesienna mgła, a wzgórza i lasy zarysują się w oddali. Morze załśni w promieniach słońca, latarnia morska na półwyspie wystrzeli ku niebu swą wysmukłą sylwetką.

Nad wszystkim panuje spokój Manderley. Spokój i piękno. Wszelkie zmartwienia i troski, niepokój i ból, przelane łzy i cierpienia mieszkańców Manderley nie mogły zniszczyć tego spokoju i piękna. Obumierające kwiaty zakwitną znowu w następnym roku, te same ptaki uwiją sobie gniazda, zakwitną te same drzewa. W powietrzu unosić się będzie zapach mchu, słychać będzie brzęk pszczół i świerkanie świerszczy. W wilgotnych głębiach lasu czaple zbudują sobie gniazda. Motyle roztańczą się w barwnym korowodzie nad trawnikami, pająki rozsnują swe cieniutkie sieci, a małe, przestraszone króliczki, zabłąkane w obcym terenie, wysuną swe pyszczki z gęstych zarośli. Zakwitną bzy, kapryfolium, a białe pączki magnolii rosnącej pod oknem jadalni będą się rozwijać powoli. Nikt nie wyrządzi krzywdy Manderley. Będzie zawsze leżało w kotlinie, jak zaczarowane, chronione przez lasy, bezpieczne, spokojne, a morze będzie monotonicznie i niezmiennie toczyć fale po żwirze w małych zatoczkach.

Maxim spał jeszcze, a ja go nie budziłam. Czekał nas długi i męczący dzień. Jazda po krętych szosach, migające słupy telegraficzne, monotoniczny ruch mijanych pojazdów, powolny wjazd do Londynu. Nie wiadomo, co nas czeka u kresu podróży. Przyszłość jest nieznana. Gdzieś na północ od Londynu mieszka człowiek nazwiskiem Baker, który nigdy jeszcze o nas nie słyszał, ale w jego właśnie rękach spoczywają nasze losy. Wkrótce on też się zbudzi, przeciągnie, ziewnie i rozpocznie swoje codzienne zajęcia.

Poszłam do łazienki i zaczęłam przygotowywać kąpiel. Czynności te miały dla mnie podobne znaczenie, jak sprząkanie Roberta w bibliotece poprzedniego wieczoru. Dawniej zdarzało mi się wykonywać je mechanicznie, ale dzisiaj zdawałam sobie wyraźnie sprawę z tego, że rzucam gąbkę do wanny, że rozkładam nagrzaną ręcznik na krześle, że zanurzam się

w wodzie. Każda chwila była cenna, miała w sobie posmak czegoś, co nie wróci.

Gdy zaczęłam ubierać się w sypialni, usłyszałam ciche kroki na korytarzu. Ktoś zatrzymał się przed naszymi drzwiami i przekręcił klucz w zamku. Po chwili kroki oddaliły się. To była pani Danvers.

Nie zapomniała o swoim obowiązku. Słyszałam te same odgłosy wczoraj wieczorem, kiedy weszliśmy do sypialni. Nie zastukała do drzwi, nie odezwała się ani słowem. Słyszałam jedynie ciche kroki i trzask przekręcanego klucza. Te odgłosy przywoływały mnie do rzeczywistości, przypomniały, co nas dzisiaj czeka.

Ubrałam się, a następnie puściłam do wanny wodę dla Maxima. Po chwili Clarice przyniosła herbatę. Obudziłam Maxima. Najpierw wpatrywał się we mnie jak zdziwione dziecko, potem wyciągnął do mnie ramiona.

Wypiliśmy herbatę. Maxim wstał z łóżka i poszedł do łazienki, a ja zaczęłam pakować walizkę. Możliwe, że będziemy musieli zatrzymać się dłużej w Londynie.

Zapakowałam szczotki, które dostałam od Maxima, koszulę nocną, szlafrok, ranne pantofle, suknię na zmianę i trzewiki. Kiedy wyciągnęłam mój neseser z głębi szafy, wydał mi się jakiś obcy. Miałam wrażenie, że bardzo dawno go nie używałam, a przecież upłynęły dopiero cztery miesiące od ostatniej podróży. Na neseserze pozostał jeszcze znaczek zrobiony kredą przez celników w Calais. W jednej z przegródek znalazłam bilet na koncert w kasynie Monte Carlo. Zgniotłam go i wyrzuciłam do kosza. Pochodził jak gdyby z innego wieku, z innego świata.

Sypialnia zaczynała przybierać wygląd pokoju opuszczonego przez mieszkańców: toaletka ogołocona z moich drobiazgów, bibułka i stare nalepki rozrzucone na podłodze. Łóżka, w których spaliśmy, wydawały się dziwnie puste. Zmięte ręczniki leżały na podłodze w łazience. Drzwi szaf stały otworem.

Włożyłam kapelusz, aby nie wchodzić ponownie na górę, wzięłam torebkę, rękawiczki i neseser. Rozejrzałam się po pokoju, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniałam.

Mgła rzedła, promienie słońca przebijały przez nią, tworząc wzory na dywanie. Gdy znalazłam się w połowie korytarza,

ogarnęło mnie dziwne, niezrozumiałe uczucie, że muszę jeszcze raz spojrzeć na mój pokój. Wróciłam i zatrzymałam się chwilę w drzwiach, patrząc na otwarte szafy, puste łóżka i tacę z filiżankami na stoliku. Wpatrywałam się w te przedmioty, uwieczniając je w pamięci i zastanawiając się, dlaczego mnie tak wzruszały i zasmucały, jak gdyby były moimi dziećmi, które nie chcą się ze mną rozstać.

Po kilku sekundach odwróciłam się i zeszłam na śniadanie. W jadalni było zimno. Słońce nie doszło jeszcze do okien. Z przyjemnością zjadłam plasterek chrupkiego bekonu i wypiliśmy gorącą, gorzką kawę. Jedliśmy w milczeniu. Maxim raz po raz spoglądał na zegar. Słyszałam, jak Robert ustawia walizki w holu, jak podjeżdża samochód.

Wyszłam na taras. Deszcz odświeżył powietrze, trawa pachniała mocno. Gdy słońce wzejdzie wyżej, będziemy mieli piękny dzień. Pomyślałam sobie, jakby to było przyjemnie powędrować rano do Doliny Szczęścia, a po południu zasiąść z książkami i pismami pod kasztanem. Zamknęłam na chwilę oczy i poczułam ciepły dotyk słońca na twarzy i rękach.

Maxim zawołał mnie z holu. Weszłam do domu, Frith podał mi płaszcz. Usłyszałam, że podjeżdża drugi samochód. To był Frank.

– Pułkownik Julyan czeka przy bramie – powiedział Frank. – Uważał, że nie warto podjeżdżać do domu.

– Słusznie – odezwał się Maxim.

– Będę czekać w biurze przez cały dzień na twój telefon. Po rozmowie z Bakerem może będziesz mnie potrzebował w Londynie.

– Tak, to możliwe – odparł Maxim.

– Jest teraz punkt dziewiąta. Zdążyliście z wyjazdem na czas. Zapowiada się ładna pogoda. Powinniście mieć dobrą podróż.

– Chyba tak.

– Mam nadzieję, że pani się zbyt nie zmęczy – zwrócił się do mnie Frank. – To będzie jednak ciężki dzień dla pani.

– Nic mi nie będzie, Frank.

Spojrzałam na Jaspera, który nie spuszczał ze mnie smutnych, pełnych wyrzutu oczu.

– Niech pan zabierze Jaspera ze sobą – poprosiłam Franka. – Jest taki nieszczęśliwy.

– Dobrze, zabiorę go.

– Musimy ruszać – powiedział Maxim. – Stary Julyan zacznie się niecierpliwić. Do widzenia, Frank.

Usiadłam obok Maxima. Frank zatrzasnął drzwi.

– Zatelefonujesz, prawda? – spytał Maxima.

– Oczywiście.

Odwróciłam głowę i spojrzałam na dom. Frith stał na schodach, tuż za nim Robert. Nie wiem, dlaczego łzy zakręciły mi się w oczach. Pochyliłam się nad torebką, aby nikt ich nie zauważył. Wóz ruszył, skręciliśmy w aleję i dom zniknął nam z oczu.

Zatrzymaliśmy się przy bramie, aby zabrać Julyana. Siadł z tyłu. Popatrzył na mnie z dezaprobatą i powiedział:

– To będzie męczący dzień. Powinna pani zostać w domu. Zaopiekowałbym się przecież pani mężem.

– Ale ja bardzo chciałam pojechać z wami.

Nie poruszał już więcej tego tematu. Usadowił się wygodnie.

– Przynajmniej mamy ładną pogodę.

– Tak – potwierdził Maxim.

– Ten Favell powiedział, że będzie czekać na nas na skrzyżowaniu. Jeśli go tam nie będzie, niech pan się nawet nie zatrzymuje. Będzie nam o wiele przyjemniej bez niego. Mam nadzieję, że ten okropny facet zasnął.

Gdy dojechaliśmy do skrzyżowania dróg, zobaczyłam, niestety, długi zielony samochód. Ogarnęło mnie przygnębienie. Myślałam, że może on nie zdąży na czas. Favell siedział przy kierownicy, bez kapelusza, z papierosem w ustach. Uśmiechnął się na nasz widok i dał znak ręką, żebyśmy jechali naprzód. Zasiadłam wygodnie, przygotowując się do długiej drogi. Położyłam rękę na kolanie Maxima. Minęło kilka godzin, przejechaliśmy wiele mil. Wpatrywałam się w drogę w otępieniu. Pułkownik drzemał. Gdy odwracałam się od czasu do czasu, widziałam jego głowę opartą o poduszkę i otwarte usta. Zielony samochód stale trzymał się w pobliżu. Niekiedy mijał nas, niekiedy jechał z tyłu, ale nigdy nie traciliśmy go z oczu.

O pierwszej zatrzymaliśmy się na lunch przed typowym staromodnym hotelem na głównej ulicy jakiegoś miasta. Pułkownik spożył z apetytem zupę, potem rybę, nadto jeszcze

rostbef. Maxim i ja zjedliśmy po kawałku szynki i wypiliśmy kawę.

Obawiałam się, że Favell wejdzie i przyłączy się do nas, ale gdy wychodziliśmy, zobaczyłam, że jego samochód stoi po drugiej stronie ulicy przed kawiarnią. Widocznie pilnował nas przez okno, bo w trzy minuty po naszym odjeździe już nas dogonił.

Około trzeciej wjechaliśmy w przedmieścia Londynu. Poczulałam wówczas zmęczenie. Hałas uliczny i duży ruch oszałamiały mnie. W Londynie było bardzo gorąco. Zakurzone ulice, przywiędłe drzewa, których liści nie poruszał najlżejszy powiew wiatru, przypominały o końcu lata. Burza, która wczoraj przeszła nad Manderley, nie dotarła do Londynu. Tutaj nie padał deszcz.

Kobiety chodziły w kretonowych sukienkach, mężczyźni bez kapeluszy. W powietrzu unosiła się cikliwa woń śmieci pomieszana z zapachem skórek pomarańczowych i rozgrzanych ludzkich ciał. Autobusy sunęły wolno, taksówki wlokły się z trudem po jezdniach zatłoczonych pojazdami.

Miałam wrażenie, że kostium przylepił mi się do ciała. Pończochy przeszkadzały na nogach.

Pułkownik wyjrzał przez okno.

– Tutaj nie padało.

– Nie – powiedział Maxim.

– A przydałby się deszcz.

– O tak.

– Nie udało nam się zgubić Favella. Trzyma się tuż za nami – stwierdził Julyan.

– Tak.

Sklepy na przedmieściach były zatłoczone. Zmęczone kobiety, pchające wózki z płaczącymi dziećmi, gapily się na wystawy sklepowe, przekupnie zachwalali głośno swój towar, mali chłopcy czepiali się ciężarówek. Za dużo ludzi, za dużo hałasu. W powietrzu wyczuwało się nastrój nerwowości. Nie było czym oddychać.

Przejazd przez Londyn trwał w nieskończoność. Kiedy wyjechaliśmy ze śródmieścia i minęliśmy Hampstead, w głowie dudniło mi tak, jakby waliły bębny, a oczy piekły niemiłosiernie.

Pomyślałam, że Maxim musi być bardzo zmęczony. Był blady, miał podkrążone oczy, ale nie narzekał. Pułkownik ciągle ziewał. Otwierał szeroko usta, ziewał, a potem ciężko wzdychał. Powtarzało się to co kilka minut. Ogarnęło mnie rozdrażnienie. Z trudem powstrzymywałam się, żeby nie krzyknąć: „Niech pan wreszcie przestanie ziewać!”.

Gdy minęliśmy Hampstead, Julyan wyciągnął z kieszeni dokładną mapę okolic Londynu i zaczął pouczać Maxima, jak ma dojechać do Barnet. Droga była łatwa, doskonale oznaczona drogowskazami, ale mimo to pułkownik uprzedzał o każdym zakręcie bądź skrzyżowaniu. Gdy Maxim wahał się chwilę, pułkownik otwierał okno i pytał przechodniów o drogę.

Po wjeździe do Barnet zmuszał Maxima, żeby zatrzymał się co chwila.

– Czy może nam pan powiedzieć, gdzie jest willa Roselands? Mieszka tam doktor Baker, który porzucił praktykę i niedawno przeniósł się tutaj.

Przechodzień zatrzymywał się, marszczył brwi. Widać było wyraźnie po jego twarzy, że nigdy nie słyszał o Bakerze.

– Doktor Baker? Nie znam go. Przy kościele jest dom, który nazywał się Rose Cottage, ale tam mieszka pani Wilson.

– Nie, my szukamy domu doktora Bakera.

Pojechaliśmy dalej i zatrzymaliśmy się tym razem przed niańką pchającą wózek z dzieckiem.

– Czy może nam pani powiedzieć, gdzie jest willa Roselands?

– Niestety, nie. Mieszkam tu od niedawna.

– Nie zna pani doktora Bakera?

– Nie, znam tylko doktora Davidsona.

– Nie, my szukamy Bakera.

Spojrzałam na Maxima. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Usta miał zaciśnięte. Za nami włókł się Favell. Zielony samochód pokryty był grubą warstwą kurzu.

Wreszcie listonosz wskazał nam dom doktora Bakera. Była to spora, obrosnięta bluszczem willa, którą minęliśmy już dwukrotnie. Na bramie nie było tabliczki z nazwą domu. Automatycznie sięgnęłam do torebki i lekko przypudrowałam twarz. Maxim zatrzymał się przy bramie, nie wjechał do środka. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się pułkownik. – Teraz jest dwanaście minut po piątej. Przerwalibyśmy im podwieczorek, więc lepiej zaczekajmy chwilę.

Maxim zapalił papierosa, następnie wyciągnął do mnie rękę. Nie mówił nic. Słyszałam, jak Julyan szeleścił mapą.

– Mogliśmy przyjechać tutaj, omijając Londyn. Oszczędzilibyśmy co najmniej ze czterdzieści minut. Pierwsze dwieście mil przejechaliśmy dość szybko. Od Chiswick posuwaliśmy się już znacznie wolniej.

Obok nas przejechał na rowerze chłopiec rozwożący paczki. Gwizdał beztrosko. Autobus zatrzymał się na rogu ulicy, wysiadły z niego dwie kobiety. Zegar na kościele wybił kwadrans. Widziałam Favella rozpartego w swoim wozie i palącego papierosa. Siedziałam w odrętwieniu. Przyglądałam się bezmyślnie temu, co się dzieje dokoła nas. Dwie kobiety, które wysiadły z autobusu, szły w naszym kierunku. Chłopiec na rowerze zniknął za rogiem. Wróbel skakał pośrodku drogi, szukając pożywienia.

– Ten Baker nie jest dobrym ogrodnikiem – odezwał się Julyan. – Spójrzcie na krzewy przerastające mur. Dawno już trzeba było je przyciąć.

Złożył mapę i schował do kieszeni.

– Dziwne miejsce wybrał sobie do mieszkania na stare lata. Tuż przy głównej ulicy, a w dodatku tak ciasno otoczone innymi domami. Nie chciałbym tutaj mieszkać. Mogło tu być całkiem ładnie, zanim się ta ulica tak gęsto zabudowała. W pobliżu są zapewne dobre tereny golfowe.

Milczał przez chwilę, wreszcie otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– A więc, de Winter, może już pójdziemy?

– Jestem gotów.

Wysiedliśmy z auta. Favell podszedł do nas.

– Na co czekaliście? Strach was obleciał?

Nikt mu nie odpowiedział. Poszliśmy aleją ku drzwiom frontowym. Stanowiliśmy dziwną, niedobraną grupkę. Zobaczyłam kort tenisowy za domem i usłyszałam głos odbijanych piłek. Chłopięcy głos zawołał:

– Czterdzieści, piętnaście, a nie po trzydzieści! Nie pamiętasz, że zrobiłeś auta, głupi osle?!

– Widocznie już są po podwieczorku – zauważył pułkownik.

Zawahał się, zerkając na Maxima. Wreszcie nacisnął dzwonek, który cicho zabrzmiał w głębi domu. Po długim oczekiwaniu bardzo młoda pokojówka otworzyła drzwi. Była wyraźnie zaskoczona przybyciem aż tylu osób.

– Czy jest pan doktor Baker? – spytał Julian.

– Tak, proszę pana, może państwo zechcą wejść?

Otworzyła drzwi po lewej stronie holu. Był to salon, rzadko używany w lecie. Na ścianie wisiał portret bardzo brzydkiej kobiety o czarnych włosach. Zastanawiałam się, czy to portret pani Baker. Kretonowe pokrowce na fotelach i kanapie zwracały uwagę swą nowością. Na półce nad kominkiem stały fotografie dwóch uczniów o okrągłych, roześmianych twarzach. Wielki aparat radiowy stał w rogu pokoju przy oknie. Zwieszały się z niego różnorodne druty.

Favell przyglądał się portretowi. Pułkownik stanął przy kominku. Maxim i ja wyglądaliśmy przez okno. Zobaczyłam leżak ustawiony pod drzewem i tył głowy siedzącej na nim kobiety. Kort tenisowy jest widocznie z drugiej strony. Słyszałam okrzyki chłopców. Bardzo stary terier szkocki drapał się na środku ścieżki.

Czekaliśmy około pięciu minut. Wydawało mi się, że żyję życiem jakiejś innej osoby i przyszłam do tego domu, aby poprosić o datek na cel dobroczynny. Nigdy przedtem nie przeżywałam czegoś podobnego. Nie odczuwałam żadnego bólu.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł doktor Baker. Był to mężczyzna średniego wzrostu, miał długą twarz z wystającym podbródkiem. Jasne włosy zaczynały mu siwieć. Ubrany był w granatowy blezer i flanelowe spodnie.

– Przepraszam, że państwo czekali na mnie tak długo – powiedział. Był zdziwiony, podobnie jak i pokojówka, widokiem tylu osób. – Musiałem umyć ręce, bo właśnie grałem w tenisa, gdy państwo zadzwonili. Może pani spocznie? – zwrócił się do mnie.

Usiadłam na najbliższym krześle i czekałam, co teraz nastąpi.

– Na pewno jest pan zaskoczony taką niezwykłą inwazją, panie doktorze – odezwał się pułkownik. – Bardzo przepraszamy, że sprawiamy panu tyle kłopotu. Nazywam się

Julyan. To jest pan de Winter, pani de Winter i pan Favell. Może spotkał się pan ostatnio w prasie z nazwiskiem de Winter.

– A tak, chyba tak. Było jakieś śledztwo czy coś w tym rodzaju, prawda? Moja żona czytała wszystkie reportaże.

– Sąd przysięgłych orzekł, że to było samobójstwo – wtrącił Favell, wysuwając się naprzód. – Natomiast ja twierdzę, że to wykluczone. Pani de Winter była moją kuzynką, znałem ją doskonale. Nigdy nie zrobiłaby tego, a co więcej, nie miała ku temu żadnego powodu. Chcemy się dowiedzieć, po diabła przyszła do pana w dniu swojej śmierci.

– Niech pan pozostawi tę sprawę Julyanowi i mnie – spokojnie powiedział Maxim. – Doktor Baker nie rozumie, do czego pan zmierza.

Zwrócił się do doktora, który stał między nimi, marszcząc brwi, z uprzejmym uśmiechem zastygłym na twarzy:

– Kuzyn mojej zmarłej żony nie jest zadowolony z wyroku. Przyjechaliśmy dzisiaj do pana, bo znaleźliśmy pańskie nazwisko i numer telefonu pana gabinetu w kalendarzyku mojej żony. Z notatek jej wynika, że zamówiła sobie wizytę u pana i była u pana o godzinie drugiej tego ostatniego dnia, który spędziła w Londynie. Czy mógłby pan sprawdzić, czy tak istotnie było?

Baker słuchał z wielkim zainteresowaniem, lecz gdy Maxim skończył, potrząsnął głową.

– Żałuję bardzo, ale sądzę, że państwo popełnili błąd. Zapamiętałbym sobie nazwisko de Winter. Nigdy w życiu nie miałem pacjentki o tym nazwisku.

Pułkownik wyciągnął portfel i podał mu stroniczkę wyrwaną z kalendarzyka.

– Proszę zobaczyć, tu jest napisane „Baker, godzina druga”. Obok duży krzyż, który oznacza, że była u pana. A tu jest podany numer telefonu: Museum zero cztery osiem osiem.

Baker wpatrywał się w kartkę papieru.

„To bardzo dziwne, doprawdy bardzo dziwne. Tak, to był mój dawny telefon.

– Może podała panu inne nazwisko?

– Tak, to możliwe. Mogła tak zrobić, chociaż to nie byłoby właściwe. Nigdy nie godziłem się na to. Taki stosunek pacjentów do lekarzy podrywa autorytet lekarski.

– Czy w książce przyjęć pana doktora można by odnaleźć notatki z tej wizyty? – spytał Julyan. – Zdaję sobie sprawę, że jest to naruszenie tajemnicy lekarskiej, ale zmuszają nas do tego wyjątkowe okoliczności. Przypuszczamy, że wizyta pani de Winter u pana ma pewien związek z całą sprawą, a zwłaszcza z jej zagadkowym samobójstwem.

– Morderstwem – wtrącił Favell.

Doktor Baker uniósł brwi ze zdziwieniem i spojrzał pytająco na Maxima.

– Nie przypuszczałem, że takie podejrzenia wchodzą w grę. Oczywiście postaram się dopomóc państwu w miarę możliwości. Jeśli państwo pozwolą, pójde przejrzeć moje notatki. Zapisywałem zawsze wszystkie wizyty, podając opis choroby. Proszę, tutaj stoją papierosy. Chyba jest jeszcze za wcześnie, by państwa poczęstować sherry?

Julyan i Maxim potrząsnęli głowami. Wydawało mi się, że Favell chce coś powiedzieć, ale Baker wyszedł z pokoju, zanim zdążył się odezwać.

– Robi wrażenie przyzwoitego człowieka – zauważył pułkownik.

– Dlaczego nie poczęstował nas whisky? – powiedział Favell.

– Pewnie trzymają pod kluczem. Nie jestem nim zachwycony. Nie wierzę, żeby nam pomógł.

Maxim milczał. Słyszałam uderzenia piłek tenisowych. Terier zaczął szczekać. Kobięcy głos uspokajał go. Wakacje. Baker grał w tenisa z synami. Zakłóciliśmy ich spokojny tryb życia. Złoty zegar pod szklanym kloszem, stojący na półce nad kominkiem, cykał szybko. O zegar opierała się pocztówka z widokiem Jeziora Genewskiego. Widocznie Bakerowie mieli znajomych w Szwajcarii.

Doktor wrócił do pokoju, niosąc dużą księgę i segregator. Położył je na stole.

– Przyniosłem notatki dotyczące ubiegłego roku. Nie przeglądałem ich jeszcze po przeprowadzce. Jak państwo wiedzą, przestałem praktykować zaledwie przed pół rokiem.

Otworzył księgę i zaczął przewracać kartki. Przyglądałam mu się w napięciu. Bez wątplenia znajdzie opis tej wizyty. Teraz to tylko kwestia minut, sekund.

– Siódmy, ósmy, dziesiąty – mruzczał doktor. – Tu nic nie ma. Pan mówił, że to było dwunastego, prawda? O drugiej? Aa...

Nikt z nas nie drgnął, nie spuszczaaliśmy oczu z jego twarzy.

– Dwunastego o drugiej przyjąłem niejaką panią Danvers.

– Danny, co u diabła... – zaczął Favell, ale Maxim przerwał mu natychmiast.

– Podała cudze nazwisko, tak jak przewidywaliśmy. Czy przypomina pan sobie teraz tę wizytę, panie doktorze?

Baker już przeglądał segregator. Sięgnął do przegródki oznaczonej literą „D”. Znalazł od razu kartę chorobową. Szybko przejrzał notatki.

– Tak – powiedział wolno – teraz przypominam sobie dokładnie panią Danvers.

– Wysoka, smukła, bardzo ładna brunetka? – spytał Julian.

– Tak – potwierdził Baker – tak.

Przeczytał cały opis, po czym schował go do segregatora.

– Pan rozumie – zwrócił się do Maxima – że naruszam tajemnicę lekarską. Traktujemy pacjentów tak jak ksiądz przy spowiedzi. Ale pańska żona nie żyje, a ja zdaję sobie sprawę, że okoliczności są wyjątkowe. Pan chciałby dowiedzieć się, czy mogę podać powód, który skłonił ją do odebrania sobie życia. Otóż mogę podać powód. Kobieta, która podała mi nazwisko pani Danvers, była bardzo poważnie chora.

Przerwał i spojrział kolejno po nas wszystkich.

– Pamiętam ją doskonale – powiedział i znowu sięgnął do segregatora. – Po raz pierwszy przyszła do mnie na tydzień przed datą, o której pan wspomniał. Uskarżała się na pewne dolegliwości. Zrobiłem zdjęcia rentgenowskie. Przyszła do mnie po raz drugi, by dowiedzieć się, co wykazały zdjęcia. Nie mam tutaj tych fotografii, ale zanotowałem wszystkie szczegóły. Pamiętam, jak stała w moim gabinecie, wyciągając rękę po te zdjęcia. „Proszę mi powiedzieć prawdę. Nie chcę pocieszających słów i zbyt cichej delikatności. Jeśli mi coś grozi, proszę mi to wprost powiedzieć!”

Zamilkł i znowu zajrzał do notatek. Czekałam z rosnącym napięciem. Niechże skończy wreszcie i pozwoli nam już wyjść! Dlaczego musimy jeszcze tutaj siedzieć, nie spuszczać z niego oczu?!

– Moja pacjentka prosiła, bym powiedział jej prawdę, toteż tak zrobiłem. Niektórzy pacjenci wolą szczerłość, nie znoszą ukrywania przed nimi ich stanu. Ta pani Danvers, a właściwie pani de Winter, nie zadowoliliby się kłamstwem. Z pewnością wiecie o tym. Cios zniosła bardzo dzielnie, nic po sobie nie okazała. Powiedziała, że domyślała się tego od dłuższego czasu. Następnie zapłaciła mi honorarium i wyszła. Nie zobaczyłem jej nigdy więcej.

Zamknął segregator z trzaskiem i odłożył księgę.

– W tym czasie odczuwała tylko lekkie bóle, ale nowotwór był już głęboko zakorzeniony. Po trzech lub czterech miesiącach konieczne byłoby stosowanie morfiny. Operacja nic by nie pomogła. Powiedziałem jej to wręcz. Nowotwór był zbyt daleko posunięty w rozwoju. W takim wypadku nie ma ratunku, można tylko dawać morfinę i oczekiwać końca.

Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Zegar cykał nad kominkiem. Słysząc było, jak chłopcy grają w tenisa. Nad nami rozległ się warkot samolotu.

– Pozornie wyglądała na zupełnie zdrową – ciągnął Baker. – Była co prawda bardzo chuda i blada, ale, niestety, taka obecnie jest moda. Z wyglądu nie można sądzić o stanie zdrowia pacjentki. W tym przypadku ból wzrastałby się z tygodnia na tydzień, tak jak już mówiłem, a po kilku miesiącach konieczne byłoby stosowanie morfiny. Zdjęcia rentgenowskie wykazały ponadto skrzywienie macicy, wskutek czego nie mogła mieć dzieci. Ale to jest inna sprawa, która nie ma nic wspólnego z nowotworem.

Słyszałam, jak pułkownik dziękował doktorowi za pomoc w wyświetleniu sprawy.

– Dowiedzieliśmy się od pana najistotniejszej rzeczy. Bylibyśmy bardzo wdzięczni za odpis pańskich notatek, który może nam się przydać.

– Ależ naturalnie, bardzo chętnie to zrobię.

Wszyscy wstali. Ja również podniosłam się z krzesła i podałam rękę doktorowi Bakerowi. Żegnaliśmy się z nim kolejno. Wyszliśmy za nim do holu. Jakaś kobieta wyjrzała z przeciwległego pokoju i cofnęła się gwałtownie na nasz widok. Ktoś przygotowywał sobie kąpiel, woda głośno dudniła

w łazience. Terier przybiegł z ogrodu i zaczął obwąchiwać moje buty.

– Czy mam przesłać moje orzeczenie do pana, czy do pana de Wintera? – spytał Baker.

– Możliwe, że wcale nie będzie nam potrzebne – odparł Julyan. – Myślę, że obejdziemy się bez niego. W razie czego zwróci się do pana de Winter albo ja. Oto mój bilet wizytowy.

– Bardzo się cieszę, że mogłem państwu pomóc w tej sprawie – powiedział Baker. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pani de Winter i pani Danvers to jedna i ta sama osoba.

– To zrozumiałe – powiedział pułkownik.

– Państwo pewnie wracają do Londynu?

– Tak sądzę.

– W takim razie proszę skrócić w lewo zaraz przy słupku ze skrzynką pocztową, a potem na prawo przy kościele. Dalej droga jest prosta.

– Dziękujemy, bardzo dziękujemy za wszystko.

Wyszliśmy na podjazd i skierowaliśmy się ku samochodom. Baker wciągnął teriera do domu. Jednonogi inwalida zatrzymał się na końcu ulicy i zaczął grać na katarynce piosenkę *Róże Pikardii*.

Zatrzymaliśmy się przy samochodzie. Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Pułkownik Julyan poczęstował wszystkich papierosami. Favell był wyraźnie wstrząśnięty, twarz mu poszarzała. Gdy zapalał papierosa, zauważyłam, że ręka mu drży. Inwalida przestał grać i pokuśtykał do nas z kapeluszem w ręce. Maxim dał mu dwa szylingi. Inwalida wrócił do katarynki i nakręcił inną melodię. Zegar na kościele wybił szóstą.

Nagle Favell zaczął mówić. Choć silił się na obojętność, głos jego brzmiał niepewnie, a twarz miał nadal szarawą. Nie patrzył na nikogo, tylko spoglądał raz po raz na papieros, który obracał w palcach.

– Czy ten rak jest zaraźliwy?

Nikt mu nie odpowiedział. Pułkownik wzruszył ramionami.

– Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że Rebeka jest chora – powiedział nerwowo. – Trzymała to w tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed Danny. Co za okropna historia! Nigdy bym nie przypuszczał, że Rebeka była tak ciężko chora. Czy panowie nie napiliby się czegoś? Przyznaję, że jestem całkowicie wytrącony z równowagi. Rak! O mój Boże!

Oparł się o samochód i zasłonił oczy rękami.

– Powiedźcie temu przekłętemu grajkowi, żeby się stąd wyniósł. Nie mogę wytrzymać tego koszmarnego rzępolenia.

– Czy nie byłoby prościej, żebyśmy sami odjechali? – powiedział Maxim. – Czy pan może sam prowadzić wóz, czy też musi pana zastąpić pułkownik Julyan?

– Chwileczkę – mruknął Favell. – Zaraz mi to przejdzie. Nie rozumiecie, co to był za potworny wstrząs dla mnie.

– Niech się pan opanuje, człowieku, na litość boską! – zniecierpliwiał się Julyan. – Jeśli pan chce się czegoś napić, to

niech pan wróci do tego domu i poprosi Bakera o kieliszek. Z pewnością potrafi on coś poradzić na wstrząs. Niech pan nie robi z siebie przedstawienia na ulicy!

– O, łatwo to panu mówić! – powiedział Favell, prostując się i patrząc na pułkownika i Maxima. – Dla was to już po zmartwieniu. Max wywinął się gracko, co? Macie teraz stwierdzony powód do samobójstwa. Na wasze żądanie Baker przyśle swoje orzeczenie czarno na białym, za darmo. Pan będzie mógł dzięki temu jadać obiady w Manderley przynajmniej raz na tydzień i będzie pan dumny z siebie! Z pewnością Max poprosi, aby pan był ojcem chrzestnym jego pierwszego dziecka.

– Może już pojedziemy? – zwrócił się Julyan do Maxima. – Ułożymy dalsze plany po drodze.

Maxim otworzył drzwi i Julyan wsiadł do wozu. Ja usiadłam z przodu. Favell nadal opierał się o samochód.

– Radzę panu wrócić prosto do domu i położyć się do łóżka – powiedział ostro pułkownik. – I niech pan jedzie wolno, bo inaczej znajdzie się pan w więzieniu za zabójstwo. Przy okazji ostrzegam pana, że jako sędzia mam pewną władzę, którą zastosuję w pełni, jeśli pan kiedykolwiek pojawi się w Kerrith lub w okolicy. Szantaż nie jest dobrym zawodem, panie Favell. I umiemy temu przeciwdziałać w naszym kraju, choć może pan w to wątpi.

Favell wpatrywał się w Maxima, twarz jego odzyskała normalny kolor. Dawny, nieprzyjemny uśmiech pojawił się na ustach.

– Ma pan szczęście, Max – powiedział powoli. – Pan myśli, że pan wygrał, co? Ale prawo może pana jeszcze dosięgnąć, a ja także, choć w inny sposób...

Maxim zapalił silnik.

– Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia? Jeśli tak, to niech pan powie od razu.

– Nie – odparł Favell. – Nie będę was dłużej zatrzymywał. Możecie jechać.

Cofnął się na chodnik z tym samym uśmiechem na ustach. Samochód ruszył. Gdy skręcaliśmy na skrzyżowaniu, obejrzałam się i zobaczyłam, że stoi i patrzy na nas. Pomachał do nas ręką i zaczął się śmiać.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Nagle odezwał się pułkownik:

– On nic nie może zrobić. Ten uśmiech i kiwanie ręką to także blef. Oni są wszyscy tacy sami. Teraz nie ma najmniejszych podstaw do oskarżenia. Orzeczenie Bakera obali je od razu.

Maxim milczał. Zerknęłam na niego, ale nic nie mogłam wyczytać z jego twarzy.

– Czuję, że Baker pomoże nam wyjaśnić ten wypadek – powiedział Julian. – Ta potajemna wizyta, ukrywanie wszystkiego przed panią Danvers. Zmarła pani de Winter podejrzewała, że jest chora. Wiedziała, że coś nie jest w porządku. To straszna rzecz, oczywiście. Straszna. Wystarczyło, by młoda i piękna kobieta straciła głowę.

Jechaliśmy prosto główną ulicą. Słupy telegraficzne, autobusy, otwarte wozy sportowe, małe wille w ogródkach migąły mi przed oczami, pozostawiając niezatarte wspomnienie...

– Pan chyba nic o tym nie wiedział, de Winter?

– Nie, nic.

– Niektóre osoby panicznie boją się raka – powiedział Julian – a zwłaszcza kobiety. Widocznie pańska żona do nich należała. Była odważna pod wielu innymi względami, ale bała się bólu. Przynajmniej los tego jej oszczędził.

– Tak.

– Sądzę, że byłoby dobrze, gdybym rozgłosił po Kerrith i naszym hrabstwie wiadomość, że londyński lekarz podał nam powód samobójstwa. Zapobiegnie to plotkom. Nigdy nie wiadomo, co ludzie potrafią wymyślić. Gdyby dowiedzieli się prawdy, ułatwiłoby to panu znacznie sytuację.

– Tak, rozumiem to dobrze.

– To ciekawe i irytujące zarazem, jak długo i uporczywie potrafią krążyć jakieś historie na wsi. Nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje, ale, niestety, tak jest. Nie sądzę, aby o tej sprawie wiele gadano, ale lepiej być na to przygotowanym. Ludzie potrafią wyssać z palca najdziwsze historie.

– Tak.

– Oczywiście pan z Crawleyem możecie przeciąć głupie plotkowanie na terenie Manderley, a ja to zrobię skutecznie w Kerrith. Powiem też słówko mojej córce. Ona ma tylu

znajomych chłopców i dziewcząt, a przecież wśród młodzieży spotyka się często najgorszych plotkarzy. Myślę, że gazety nie będą pana więcej niepokoić, a to też coś znaczy. Zobaczysz pan, że za kilka dni przestaną pisać o tej sprawie.

– Tak.

Minęliśmy północne przedmieścia Londynu i dojechaliśmy znowu do Hampstead.

– Wpół do siódmej – stwierdził Julyan. – Co państwo zamierzają robić? Moja siostra mieszka w St John's Wood. Mam ochotę zrobić jej niespodziankę i zaprosić ją na obiad. Wrócę ostatnim pociągami z dworca Paddington. Wiem, że siostra jeszcze nie wyjechała z Londynu. Jestem pewien, że będzie jej bardzo przyjemnie państwa poznać.

Maxim zawahał się i spojrzał na mnie.

– Bardzo dziękujemy, ale, niestety, nie będziemy mogli panu towarzyszyć. Muszę zatelefonować do Franka i załatwić kilka spraw. Myślę, że zjemy obiad w jakiejś małej restauracji, a potem wyruszymy do domu. Przenocujemy w jakimś hoteliku po drodze. Tak chyba będzie najlepiej.

– Oczywiście, rozumiem to doskonale. Czy może mnie pan podwieźć do mojej siostry? Mieszka na jednej z przecznic Avenue Road.

Gdy podjechaliśmy pod dom, Maxim minął bramę i zatrzymał się kilka kroków za nią.

– Nie wiem, jak dziękować panu za wszystko, co pan zrobił. Mam nadzieję, że pan wie, jak bardzo jestem panu wdzięczny, choć nie potrafię tego wyrazić.

– Mój drogi, cieszy mnie, że mogłem panu pomóc. Gdybyśmy tylko wiedzieli to, co wiedział Baker, nie doszłoby do tej całej historii. Mniejsza z tym. Musi pan zapomnieć o tym przykrym epizodzie. Jestem pewien, że Favell nie będzie pana więcej niepokoił. Gdyby się odezwał, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Już ja go unieszkodliwię!

Wysiadł z samochodu, biorąc z siedzenia płaszcz i mapę.

– Radziłbym państwu wyjechać na jakiś czas – powiedział, nie patrząc na nas. – Może jakiś krótki wypad za granicę.

Milczeliśmy. Pułkownik składał mapę.

– O tej porze roku bardzo przyjemnie jest w Szwajcarii. Pamiętam, że byliśmy tam z córką podczas wakacji. To był

bardzo udany pobyt. Jakież tam są piękne spacery!

Zawahał się, odchrząknął i mówił dalej:

– Istnieje mimo wszystko pewne prawdopodobieństwo, że mogą powstać drobne nieprzyjemności, nie wskutek intryg Favella, ale wskutek gadania okolicznych ludzi. Nie wiadomo, co opowiadał Tabb i tak dalej. To absurdalne, oczywiście. Ale, jak powiada stare przysłowie, co z oczu, to i z serca. Jeśli osoby, o których krążą plotki, znikną na pewien czas, wszelkie plotki zamierają. Tak to już bywa na tym świecie. – Stał chwilę, sprawdzając swoje rzeczy. – Chyba mam wszystko: mapa, szkła, laska, płaszcz. Wszystko w komplecie. Do widzenia państwu. Nie przemęczajcie się zbytnio. Mieliśmy bardzo ciężki dzień.

Wszedł do ogródka i skierował się ku gankowi. Jakaś kobieta wyjrzała przez okno, uśmiechnęła się i pokiwała mu ręką. Odjechaliśmy i skręciliśmy za rogiem. Oparłam się o siedzenie i zamknęłam oczy. Teraz gdy napięcie minęło i zostaliśmy sami, ogarnęło mnie uczucie niewypowiedzianej ulgi, uczucie podobne jak przy pęknięciu wrzodu. Maxim milczał. Położył dłoń na mojej ręce. Jechaliśmy wśród gwaru i rozgardiaszu śródmieścia, lecz ja nic nie widziałam. Słyszałam warkot autobusów, klaksony taksówek, ten typowy, nieustanny hałas Londynu. Ale ten zgiełk nie dochodził do mnie. Przebywałam w innym miejscu, które było chłodne, spokojne i zaciszne. Nic nam już teraz nie grozi. Przeżyliśmy najtrudniejszy moment.

Gdy Maxim zatrzymał wóz, otworzyłam oczy i wyprostowałam się. Staliśmy przed jedną z licznych restauracyjek w wąskiej uliczce Soho. Rozejrzałam się oszołomiona i ogłupiała.

– Jesteś zmęczona – powiedział Maxim. – Głodna i wyczerpana. Poczujesz się lepiej, jak coś zjesz. Ja również. Wejdziemy tutaj i zjemy obiad. Mogę stąd zadzwonić do Franka.

Wysiedliśmy z samochodu. W restauracji nie było nikogo prócz maître d'hôtel, kelnera i dziewczyny za kasą. Sala była ciemna i chłodna. Usiedliśmy przy stoliku w rogu. Maxim zamówił obiad.

– Favell miał rację, mówiąc, że należałoby się czegoś napić. Ja też mam ochotę, a i tobie to dobrze zrobi. Napij się kieliszek koniaku.

Gruby maître d'hôtel uśmiechnął się do nas. Podał długie, cienkie bułeczki owinięte w ochronny papier. Miały twardą skórkę i były chrupiące. Zaczęłam jeść żarłocznie. Koniak z wodą sodową miał łagodny smak, rozgrzewał, działał kojąco.

– Jak zjemy obiad, pojedziemy powoli, bardzo spokojnie – powiedział Maxim. – Wieczorem będzie chłodno. Znajdziemy po drodze jakiś hotelik, w którym przenocujemy. Z rana wyruszymy do Manderley.

– Tak.

– Chyba nie miałaś ochoty iść na obiad z siostrą Julyana i wracać ostatnim pociągiem?

– Nie.

Maxim wypił kieliszek koniaku. Oczy miał podkrążone, przez co wydawały się ogromne i bardzo ciemne w bladej twarzy.

– Jak myślisz, ile prawdy odgadł Julyan?

Patrzyłam na Maxima znad kieliszka. Milczałam.

– On się domyślił – powiedział wolno Maxim. – Na pewno się domyślił.

– Jeśli się nawet domyślił, to nie powie o tym nikomu. Nigdy w życiu.

– Tak, tak.

Maxim zamówił sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku. Siedzieliśmy milczący i spokojni w ciemnym kącie.

– Przypuszczam – odezwał się Maxim – że Rebeka skłamała celowo. To był jej ostatni wspaniały blef. Chciała, żebym ją zabił. Przewidziała wszystko, stąd jej śmiech w chwili śmierci.

Milczałam, popijając koniak z wodą sodową. Już było po wszystkim. Sprawa zakończyła się pomyślnie. Przestała być istotna. Nie wiedziałam, dlaczego Maxim jest blady i zdenerwowany.

– To był jej ostatni żart, najlepszy ze wszystkich. Wcale nie jestem pewien, czy w rezultacie nie wygrała.

– Co ty masz na myśli? W jaki sposób mogła wygrać?

– Nie wiem, nie wiem.

Wypił drugi kieliszek i wstał od stołu.

– Pójdę zatelefonować do Franka.

Siedziałam spokojnie w zacisznym kąciku. Po chwili kelner podał mi homara. Był gorący i bardzo smaczny. Wypiłam jeszcze jedną szklaneczkę koniaku z wodą sodową. Jak przyjemnie

i wygodnie siedziało się tutaj. Nic mnie już nie obchodziło. Uśmiechnęłam się do kelnera. Nie wiem, dlaczego zwróciłam się do niego po francusku, prosząc o chleb. Jakże tu było spokojnie i miło! Byliśmy razem z Maximem. Wszystko minęło, wszystko skończyło się pomyślnie. Rebeka nie żyje. Rebeka nie może nam więcej wyrządzić krzywdy. To był jej ostatni żart, jak powiedział Maxim. Już teraz nie może nam zaszkodzić.

Po dziesięciu minutach wrócił Maxim.

– Co powiedział Frank? – spytałam. Mój głos zabrzmiał mi w uszach jakby z oddali.

– Jeśli chodzi o Franka, to wszystko w porządku. Czekał w biurze na mój telefon od czwartej. Powiedziałem mu, jak było. Słyszałem po głosie, że się uspokoił i ucieszył.

– Tak.

– Ale stało się coś dziwnego – powiedział wolno Maxim, marszcząc brwi. – Frank przypuszcza, że pani Danvers uciekła. Nie ma jej, zniknęła. Nie wspomniała o tym nikomu, ale podobno pakowała się przez cały dzień. Ogołociła swój pokój ze wszystkich rzeczy. Około czwartej przyjechał ze stacji jakiś człowiek po jej walizki. Frith zawiadomił o tym Franka telefonicznie, a ten polecił mu, żeby pani Danvers wstąpiła do biura. Czekał na nią, ale nie przyszła. Na jakieś dziesięć minut przed moim telefonem Frith znowu zadzwonił do Franka i powiedział, że przed chwilą był telefon zamiejscowy do pani Danvers. Frith przełączył rozmówcę na jej aparat i pani Danvers odezwała się. To było dziesięć po szóstej. Za piętnaście siódma Frith zastukał do jej drzwi i przekonał się, że w pokoju nie ma nikogo. Sypialnia jej również była pusta. Szukali wszędzie, ale jej nie znaleźli. Myślą, że wyjechała. Widocznie poszła prosto przez las, nie przechodząc przez bramę wjazdową.

– Jak to dobrze! – powiedziałam. – Zaoszczędzi nam to wielu nieprzyjemności. I tak musielibyśmy się jej pozbyć. Obawiam się, że ona domyśliła się prawdy. Wczoraj wieczorem miała szczególny wyraz twarzy. Myślałam o tym, jadąc do Barnet.

– Nie podoba mi się to, nie podoba mi się wcale.

– Ona nie może nam nic zrobić – tłumaczyłam Maximowi. – Jeśli wyjechała, tym lepiej dla nas. Dzwonił z pewnością Favell. Powiedział jej o diagnozie Bakera i powtórzył to, co mówił Julyan. Pułkownik oznajmił, że jeśli spróbuje nas szantażować,

mamy go natychmiast zawiadomić. Nie odważą się na to. Nie mogą. To zbyt niebezpieczne.

– Nie myślę o szantażu.

– A cóż innego mogą nam zrobić? Musimy usłuchać rady Julyana. Musimy zapomnieć o tej sprawie. Nie wolno nam więcej o niej myśleć. Wszystko minęło, mój kochany, skończyło się. Powinniśmy na klęczkach dziękować Bogu, że się skończyło!

Maxim milczał. Wpatrywał się w przestrzeń.

– Wystygnie ci homar, zjedz go, kochanie. Zrobi ci dobrze, musisz wreszcie coś zjeść. Jesteś zmęczony.

Używałam tych samych słów, których on użył przed chwilą. Czułam się lepiej, nabrałam sił. Teraz ja się nim będę opiekować. Był blady, zmęczony. Mnie już minęło znużenie, a u niego zaczyna się reakcja. Po prostu dlatego, że był głodny i zmęczony. Nie mamy już powodu do zmartwień. Pani Danvers wyjechała. Za to również należy podziękować Bogu. Wszystko ułożyło się tak dobrze, bardzo dobrze.

– Zjedz homara – powiedziałam.

W przyszłości będę zupełnie inaczej się zachowywać. Nie będę onieśmielona wobec służby. Bez pani Danvers nauczę się powoli prowadzić dom. Będę chodziła do kuchni na naradę z kucharzem. Służba polubi mnie i zacznie szanować. Wkrótce wszyscy zapomną o rządach pani Danvers. Zainteresuję się również sprawami związanymi z zarządzaniem majątkiem. Poproszę Franka, żeby mi wytłumaczył różne rzeczy. Jestem pewna, że Frank mnie lubi, ja go także lubię. Z biegiem czasu nabiorę doświadczenia i nauczę się gospodarować majątkiem. Dowiem się, jak odbywa się praca na folwarkach, w jaki sposób planuje się roboty rolne. A może zajmę się ogrodem i wprowadzę pewne zmiany, na przykład na tej małej polance z posążkiem satyra, który widać z okna buduaru. Nie lubię tego satyra. Usuniemy ten posążek. Tyle jest spraw, którymi mogłabym się zająć. Będziemy zapraszać gości i nie będzie mi to sprawiać przykrości. Z przyjemnością będę troszczyć się o ich wygodę, ustawiać kwiaty w pokojach, wybierać dla nich książki, obmyślać potrawy. Będziemy mieli dzieci, z pewnością będziemy mieli dzieci.

– Czy skończyłaś? – odezwał się nagle Maxim. – Ja już nie mogę jeść więcej. Napiję się tylko kawy.

Zwrócił się do maître d'hôtel:

– Poproszę o czarną kawę, bardzo mocną, i rachunek.

Zdziwiłam się, że Maxim chce już ruszać. W restauracji było tak przyjemnie i przecież nie mieliśmy po co się śpieszyć. Siedziałam oparta wygodnie o kanapkę i snułam przyjemne, mgliste marzenia o przyszłości. Mogłabym tak siedzieć jeszcze bardzo długo.

Wyszłam z Maximem z restauracji, potykając się lekko i ziewając.

– Słuchaj – powiedział Maxim, gdy znaleźliśmy się na ulicy – czy mogłabyś przespać się na tylnym siedzeniu, gdybym cię otulił pledem? Tam jest poduszka, a także mój płaszcz.

– Myślałam, że przenocujemy gdzieś po drodze? – zdziwiłam się. – W jednym z tych hotelików stojących przy szosie.

– Istotnie taki mieliśmy zamiar. Coś mi jednak mówi, że powinienem wrócić dziś w nocy. Czy nie mogłabyś przespać się w samochodzie?

– Tak – powiedziałam niepewnie. – Chyba tak.

– Jeśli wyruszymy zaraz, a jest za piętnaście ósma, powinniśmy być na miejscu o wpół do trzeciej rano. Na szosie będzie w nocy mały ruch.

– Zmęczysz się bardzo, okropnie się zmęczysz.

– Nie – potrząsnął głową – wytrzymam jakoś. Chcę zaraz wracać do domu. Czuję, że coś jest nie w porządku. Chcę wrócić jak najprędzej.

Miał dziwny, zaniepokojony wyraz twarzy. Otworzył drzwi i zaczął układać poduszkę i koce na tylnym siedzeniu.

– Cóż się tam mogło stać? – uspokajałam go. – Niepotrzebnie martwisz się, gdy wszystko skończyło się pomyślnie. Nie rozumiem ciebie.

Maxim milczał. Wsiadłam do samochodu i ułożyłam się, podkurczając nogi. Maxim nakrył mnie pledem. Było mi bardzo wygodnie, znacznie wygodniej, niż przypuszczałam. Poprawiłam sobie poduszkę pod głową.

– Czy ci wygodnie? – spytał Maxim. – Czy aby na pewno nie masz nic przeciw temu, że pojedziemy w nocy?

– Nie – powiedziałam z uśmiechem. – Jest mi bardzo wygodnie. Będę spać doskonale. Wcale nie chcę zatrzymywać

się w hotelu. Znacznie lepiej wrócić wprost do domu. Będziemy w Manderley na długo przed wschodem słońca.

Maxim usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Zamknęłam oczy. Samochód ruszył, poczułam, jak sprężyny siedzenia uginają się pod ciężarem mojego ciała. Wtuliłam twarz w poduszkę. Ruch samochodu był płynny, kołyszący, pobudzał umysł do wspomnień. Setki obrazów przesuwają mi się przed oczami, osoby i przedmioty kiedyś widziane, znane i dawno zapomniane. Łączyły się w jakiś bezsensowny korowód. Pióro na kapeluszu pani van Hopper, twarde krzesła o wysokich oparciach w jadalni Franka, szerokie okno w zachodnim skrzydle Manderley, różowa suknia uśmiechniętej damy na balu kostiumowym, wiejska dziewczyna idąca po drodze pod Monte Carlo.

Widziałam Jaspera goniącego motyle po trawniku i drapiącego się za uchem teriera szkockiego. Pojawił się listonosz, który wskazał nam dom Bakera, i matka Clarice wycierająca krzesło, na którym miałam usiąść. Ben uśmiechał się do mnie, trzymając w ręku ślimaki, a żona biskupa zapraszała mnie na podwieczorek. Czułam dotyk chłodnych prześcieradeł w swoim łóżku i ostry żwir na brzegu zatoczki. Czułam zapach paproci w lesie, mokrego mchu i zwiędłych płatków azalii. Zapadłam w dziwny, przerywany sen. Było mi bardzo niewygodnie. Budząc się raz po raz, widziałam przed sobą plecy Maxima. Zapadły ciemności. Migają światła jadących samochodów. Mijaliśmy wioski, w których przez zasłonięte okna przebłyskiwały nagle światełka. Zmieniałam pozycję i znowu zasypiałam.

Widziałam schody w Manderley i panią Danvers w czarnej sukni stojącą na górze i czekającą na mnie. Gdy weszłam na schody, ona cofnęła się przez sklepione przejście i zniknęła. Szukałam, ale nie mogłam jej znaleźć. Nagle jej twarz ukazała się w otwartych drzwiach. Krzyknęłam, ale pani Danvers znowu zniknęła.

– Która godzina?! – zawołałam do Maxima.

Maxim odwrócił się. Twarz jego wydawała się śmiertelnie blada.

– Jest wpół do dwunastej. Przejechaliśmy już połowę drogi. Postaraj się pospać jeszcze.

– Pić mi się chce.

Maxim zatrzymał wóz w najbliższym miasteczku. Właściciel garażu powiedział, że żona jego jeszcze nie śpi i robi herbatę. Weszliśmy do garażu. Chodziłam tam i z powrotem, żeby się rozruszać. Maxim palił papierosa. Było zimno. Ostry wiatr wpadał przez otwarte drzwi i szumiał po dachu z blachy falistej. Chwyciły mnie dreszcze, zapięłam płaszcz.

– Tak, powietrze jest bardzo ostre – powiedział właściciel garażu, pompując benzynę. – Dziś po południu gwałtownie się oziębiło. To była ostatnia fala upałów w tym roku. Niedługo rozpalimy ogień w kominkach.

– W Londynie było bardzo gorąco – powiedziałam.

– Tak? Oni tam zawsze mają krańcowe temperatury. W naszej okolicy najwcześniej zaczyna się zła pogoda. Pewnie w ciągu nocy na wybrzeżu zerwie się silny wiatr.

Żona gospodarza przyniosła nam herbatę, która miała gorzkawy smak, ale była gorąca. Wypiłam ją łapczywie, z wdzięcznością. Maxim spojrzął na zegarek.

– Powinniśmy już ruszać. Za dziesięć dwunasta.

Niechętnie opuściłam garaż. Zimny wiatr powiał mi w twarz. Na niebie zobaczyłam spadające gwiazdy i pasemka chmur.

– Tak – powiedział właściciel garażu – to już koniec lata.

Wsiedliśmy do samochodu. Ułożyłam się znowu pod pledem. Wóz ruszył. Zamknęłam oczy. W majaczeniach pojawił się inwalida z drewnianą nogą grający na katarynce i melodia *Róże Pikardii* zadźwięczała mi w uszach przy akompaniamencie szumu silnika. Frith i Robert podawali podwieczorek w bibliotece. Kobieta z domku przy bramie wjazdowej, skinąwszy mi głową, przywoływała dziecko. Zobaczyłam modele okrętów pokryte drobnym pyłem w domku nad zatoczką, osnute pajęczyną małe maszty. Słyszałam dudnienie deszczu o dach i szum morza.

Chciałam pójść do Doliny Szczęścia, ale nie mogłam do niej trafić. Otaczał mnie las, Dolina Szczęścia zniknęła. Pozostały tylko ciemne drzewa i młode pędy paproci. Sowy pohukiwały dokoła. Światło księżycy srebrzyło okna Manderley. W ogrodzie rosły pokrzywki wysokie na dziesięć stóp.

– Maxim, Maxim!

– Tak, jestem tutaj, nie bój się.

– Miałam sen, niesamowity sen.

– Co ci się śniło?

– Nie wiem, nie wiem.

Znów zapadłam w niespokojne majaczenia. Pisałam listy w buduarze. Wysyłałam zaproszenia. Wypisywałam je grubym czarnym piórem. Lecz gdy spojrzałam na listy, zobaczyłam, że to wcale nie jest moje drobne, proste pismo, tylko duże, pochyłe, ostre litery. Odepchnęłam od siebie te listy i schowałam je. Wstałam i podeszłam do lustra. Ukazała się w nim inna twarz. Błada, piękna, otoczona aureolą czarnych włosów. Oczy zwężyły się, wargi rozchyliły się w uśmiechu. Kobieta w lustrze, roześmiana, wpatrywała się we mnie. Wówczas zobaczyłam, że ona siedzi na krześle przed toaletką w swojej sypialni, a Maxim czesze jej włosy. Trzymając te włosy w rękach i szczotkując, skręcał je powoli w gruby, długi powróż, który wił się jak żmija. Maxim chwycił ten powróż obiema rękami, uśmiechnął się do Rebeki i założył go sobie na szyję.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie, nie! Musimy wyjechać do Szwajcarii. Pułkownik Julyan powiedział, że musimy wyjechać do Szwajcarii.

Poczułam rękę Maxima na twarzy.

– Co ci jest? Co ci się stało?

Usiadłam i odgarnęłam włosy z twarzy.

– Nie mogę spać. To na nic.

– Przecież spałaś. Spałaś dwie godziny. Teraz jest kwadrans po drugiej. Jesteśmy w odległości czterech mil od Lanyon.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Drżałam z chłodu.

– Usiądę obok ciebie. Około trzeciej będziemy w domu.

Przełamłam przez oparcie i usadowiłam się obok Maxima. Wpatrywałam się w drogę. Położyłam mu rękę na kolanie. Szczękałam zębami.

– Zimno ci?

– Tak.

Wzgórza wyrastały przed nami, droga unosiła się i opadała. Zrobiło się zupełnie ciemno, nie było widać gwiazd.

– Która to godzina? Coś powiedział przed chwilą? – spytałam.

– Dwadzieścia po drugiej.

– To dziwne. Wygląda tak, jakby świtało, tam za tymi wzgórzami. Ale przecież jest jeszcze za wcześnie na świt.

– Patrzysz w złym kierunku, tam jest zachód.

– Właśnie, to dziwne, prawda?

Maxim milczał, a ja przyglądałam się niebu. Wydawało mi się, że staje się coraz jaśniejsze. Pojawiła się czerwona luna, jak zwykle przed wschodem słońca. Powoli rozszerzała się na niebie.

– Zorzę polarną widać zimą, a nie latem, prawda? – spytałam.

– To nie zorza polarna, to luna nad Manderley!

Spojrzałam na niego, zobaczyłam wyraz jego twarzy, jego oczu.

– Maxim, Maxim, co to?

Samochód pędził coraz szybciej. Wjechaliśmy na szczyt wzgórza i zobaczyliśmy Lanyon leżące w kotlinie. Na lewo widać się srebrzysta smuga rzeki, która rozszerzała się przy ujściu w Kerrith odległym o sześć mil. Przed nami ciągnęła się droga do Manderley. Księżyc nie świecił. Niebo nad nami było czarne jak smoła. Ale niebo na horyzoncie barwiło się szkarłatem niby rozlaną krwią. A słony wiatr od morza niósł ze sobą popioły.

1)

Już idę, Blaize... (franc.). ↵

2)

Nell Gwynne (1650–1687) – słynna tancerka i aktorka londyńska, odznaczająca się wielką urodą. Kochanka króla angielskiego – Karola II. ↵

3)

Stara angielska pieśń ludowa. ↵

4)

W czasie pierwszej wojny światowej alarm lotniczy (zeppelinowy) oznajmiano w Londynie za pomocą czerwonych rakiet. ↵